

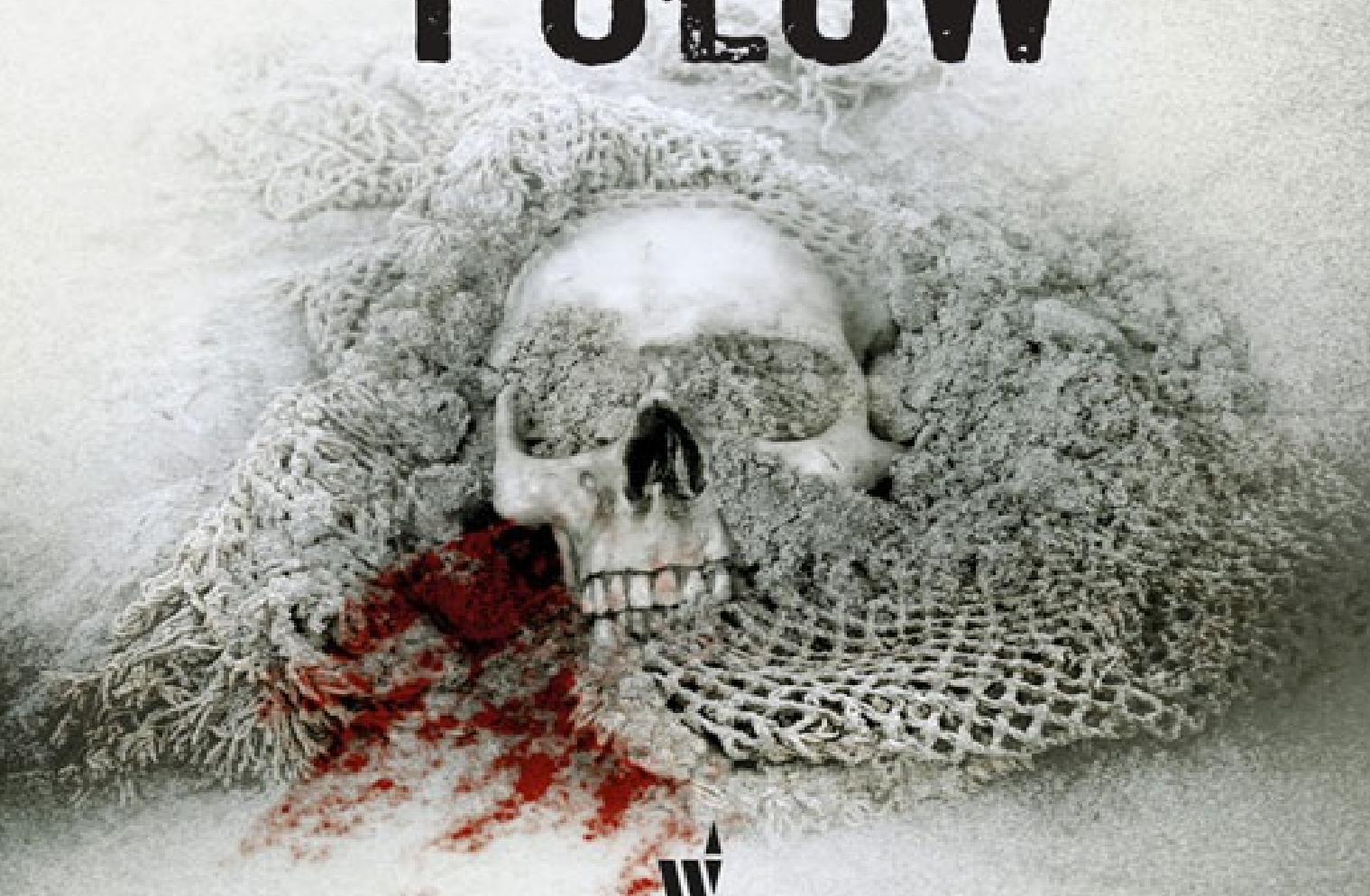
ŚLADY



ZBRODNI

Makabryczne znalezisko  
na **Wyspach Owczych**

# OVE LØGMANSBØ POŁÓW



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

OVE  
**LØGMANSBØ**

**POŁÓW**



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2016

Projekt okładki MARIUSZ BANACHOWICZ

Redakcja IWONA GAWRYŚ

Korekta BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna LOREM IPSUM

Polish editions © Publicat S.A., Ove Løgmansbø MMXVI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-271-5619-8



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu 50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)



Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

*Monice i Natalii. Bez nich ta książka nigdy by nie powstała.  
Bartalowi z podziękowaniem za nieustanne wsparcie.*

*Kto raz stał się samotny, będzie nim do końca życia.  
Trygve Gulbrandsen, A lasy wiecznie śpiewają*

## Wtorek, 11 października, godz. 12.40

Ten rok nie był dobry dla Vestmanny. W lutym odkryto kulisy makabrycznej zbrodni, która wstrząsnęła małą społecznością, w lecie pogoda nie dopisywała i na wyspę Streymoy przyplęnęło wyjątkowo mało turystów, a teraz zanosilo się na nowy rekord opadów deszczu.

W dodatku grindwale wciąż się nie pojawiały. Raz do roku urządzano tradycyjny połów, w którym brali udział wszyscy mieszkańcy Vestmanny. Nie miał stałej, z góry wyznaczonej daty – odbywał się, kiedy któryś z rybaków wypatrył ławicę w cieśninie Vestmannasund. Walenie zazwyczaj przyplęwały w lecie, ale nie w tym roku. Farerowie musieli czekać na nie aż do października.

Niegdyś mawiało się, że starszyzna potrafi przewidzieć konkretny dzień, w którym grindwale się pojawiają. Od kilku lat jednak najstarszych Farerów nie pytano o zdanie. Gdyby zrobiono to w tym roku, być może stara kobieta mieszkająca przy Niðari Vegur powiedziała, że ławicy należy spodziewać się dopiero, gdy godzin słonecznych w trakcie dnia będzie mniej niż dziesięć, a temperatura zacznie spadać poniżej dziesięciu stopni.

Nikt jednak jej o to nie zapytał. Za to wnuk przybiegł do jej domu na nabrzeżu zaraz po tym, jak jeden z rybaków oznajmił przez radio, że pojawiły się grindwale.

– Babciu! – krzyknął chłopiec, wpadając do środka bez pukania.

Nie zamykała drzwi. Nikt w Vestmannie tego nie robił, mimo zeszłorocznej tragedii. Mieszkańcy przez pewien czas czuli niepokój, ale ostatecznie nie było powodu, by stracili poczucie bezpieczeństwa. Hallbjørn Olsen został osądzony i zamknięty w Vestre Fængsel, kopenhaskim więzieniu, w którym spędzi resztę życia. Miasteczko było bezpieczne.

– Będzie *grindadráp!* – dodał chłopiec, podbiegając do staruszki.

Spojrzała za okno. Tak, już pora.

– Jesteś pewien? – zapytała, podnosząc się.

Pokiwał gorączkowo głową.

– Pan Petersen nadał wiadomość przez radio, wszystkie kutry już się zbierają. Zaraz będą zaganiać *grindaboð* do zatoki.

Kobieta musiała być pewna. Nie miała zamiaru podejmować niepotrzebnego wysiłku, a przejście do portu z tym się wiązało. Przez chwilę patrzyła na zaróżowione policzki wnuka, zastanawiając się.

– Babciu? – zapytał, ciągnąc ją za rękaw swetra.

– Pędź – odparła spokojnie. – Zobacz, jak płyną. Ja zaraz dojdę.

Nie trzeba było mu tego powtarzać. Obrócił się na pięcie i pobiegł na dwór, posyłając jeszcze staruszce uśmiech na pożegnanie. Kiedy znikł za progiem, włożyła grubą kurtkę i wełnianą czapkę – prawdziwą, a nie jedną z tych, które sprzedawano na kontynencie. Tutaj wełna miała znacznie więcej lanoliny, dzięki czemu stawała się nieprzemakalna. Ludzie z zewnątrz w to nie wierzyli – przynajmniej dopóty, dopóki nie przekonali się o tym na własnej skórze.

Kobieta wyszła z domu i powoli ruszyła w stronę falochronu. Tuż za nim znajdował się kawałek wybrzeża, przy którym wyjątkowo nie było żadnych szkierów. Mieszkańcy ustawiali się tam, czekając, aż rybacy zagonią grindwale w śmiertelną pułapkę.

Staruszka się nie spieszyła. Wiedziała, że musi minąć trochę czasu, nim ofiary znajdą się w potrzasku. Właściwie nie interesowało jej zbytnio, co będzie się działo za falochronem. Widziała *grindadráp* już tyle razy, że spokojnie mogłaby sobie odpuścić. Przypuszczała jednak, że to ostatni połów, który dane jej będzie zobaczyć. Czuła, że zbliża się do kresu swojej drogi, słabła z dnia na dzień i trudno było się spodziewać, że nagle nastąpi poprawa. Starość się nie leczy.

Kiedy minęła budynek elektrowni wodnej, dostrzegła, że wszystkie kutry wykonały już swoje zadanie, a ludzie przystąpili do polowania, brodząc po pas w wodzie. Nie przypuszczała, że dojście do falochronu zajmie jej tyle czasu. Najwyraźniej znów przeceniła swoje możliwości – zdarzało jej się to coraz częściej.

Do kamienistej plaży stara kobieta dotarła już po fakcie. Ogromne cielska ułożono jedno przy drugim, a woda w zatoce zabarwiła się na czerwono. Samochody policyjne zablokowały Niðari Vegur od strony portu, choć staruszka nie sądziła, by w tym roku był ku temu powód. Zazwyczaj stróże prawa przyjeżdżali dopilnować, aby żaden aktywista nie przeszkodził w tradycyjnym połowie – obrońcy zwierząt z organizacji Sea Shepherd zazwyczaj opuszczali Wyspy Owcze ubożsi o pięć tysięcy euro, a czasem także bogatsi o czternastodniowe wspomnienia z aresztu.

W październiku trudno jednak było się spodziewać ich obecności. Czatowali tutaj raczej

w lecie, potem walczyli o humanitarny ubój zwierząt hodowlanych gdzieś na kontynencie.

Kobietę tym bardziej zastanowiło, dlaczego jeden z mieszkańców pędzi na złamanie karku w kierunku policjantów. Staruszka zmarszczyła czoło i zaciekawiona przyspieszyła nieco kroku.

Schodząc w kierunku plaży, zobaczyła, że rybacy otaczają jedno z cielsk. Dzieci starały się przebić przez kordon i dojrzeć, co stanowi powód ogólnego zainteresowania, ale dorośli nie mieli zamiaru się przesunąć.

Kobieta podeszła do gapiów, a potem zaczepiła jednego z młodszych mężczyzn, byłego trenera szkolnej drużyny piłkarek ręcznych. Nie знаła go zbyt dobrze, ale wiedziała, że Ragnar Sørensen, zupełnie jak jego ojciec i dziadek, był jednym z najbardziej uczynnych mieszkańców wyspy. Kiedy tylko zobaczył staruszkę, podał jej rękę i przeprowadził przez gęstniejący tłum.

– Co tam się stało? – zapytała.

Ragnar się zawahał.

– Podobno znaleźli coś w jednym z grindwali.

– Co takiego?

– Teitur mówił coś o kościach.

Przez moment miała nadzieję, że źle usłyszała. Zdarzało się to coraz częściej.

– Rozcięli żołądek i... wypłynęły razem z zawartością – dodał Ragnar.

Teraz nie miała już wątpliwości, że się nie przesłyszała. Kiedy Sørensenowi udało się przepchnąć bliżej cielska walenia, kobieta spojrzała na niespodziewane znalezisko i z trudem przełknęła ślinę. Rzeczywiście, między wnętrznościami, pośród krwi, przebijała się biel kości.

– Co to jest? – zapytała jedna z kobiet.

Staruszka doskonale wiedziała. Wystarczyło pobieżne spojrzenie.

– Chyba kawałek ludzkiej czaszki... – odezwał się Ragnar Sørensen. – Widać górną szczękę i część oczodołu.

Stara kobieta wbijała w czaszkę puste spojrzenie. Nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy. Ta sprawa była zamknięta, skrzętnie upchnięta w mroku niepamięci.

Poczuła, że opuszczają ją siły. Czym prędzej się odwróciła i zaczęła oddalać od wybrzeża. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Historia zataczała krąg, a jej dawno zapomniane ofiary domagały się sprawiedliwości.

Demony przeszłości się przebudziły, ale staruszka nie chciała patrzeć na to, co wypluły.

## 2

### Wtorek, 11 października, godz. 13.01

– Nie rozumiem, szefie – powiedziała Katrine Ellegaard, patrząc na przełożonego, jakby pochodził z innego świata. Zazwyczaj wizyty w jego gabinecie wiązały się raczej z odprężeniem i dobrą, niemal koleżeńską atmosferą. Pili kawę, omawiali najnowsze postępy w sprawie, komentowali życie polityczne czy w końcu plotkowali jak dwójka starych przyjaciół.

Tym razem jednak było inaczej.

– Co tu jest do rozumienia? – zdziwił się Kjeld Moslund. – Zadanie jak każde inne.

– Nie sądzę.

Westchnął i napił się kawy. Siedzieli przy niewielkim stoliku pod oknem, który przełożony ustawił tam raptem dwa tygodnie temu. Katrine przypuszczała, że zrobił to głównie z myślą o ich codziennych rozmowach.

– Wiem, że to może w pewien sposób być kłopotliwe, ale...

– „Kłopotliwe” to mało powiedziane.

– Ale służba to służba, Ellegaard – ciągnął Kjeld. – Musisz dać przykład społeczeństwu.

– Więc teraz to jakaś szlachetna misja?

– Uważam, że wszystko, co dotyczy dotykania piersi, jest szlachetną misją.

Katrine przewróciła oczami.

– Szefie, mammografia to badanie rentgenowskie.

– Mhm – mruknął Moslund. – Jesteś pewna?

– Tak.

Dowódca wydziału zabójstw skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, musisz to zrobić – oznajmił.

– Więc to rozkaz?

– Gorzej. Prośba prosto z ministerstwa.

– Ale...

– Masz zebrać kilka funkcjonariuszek, pójść tam, dać się przebadać, a potem wyjść z gabinetu z uśmiechem na ustach i powiedzieć przed kamerami, że warto robić takie rzeczy



– wyrecytował Kjeld. – Jasne?

– Tylko że sprawa, nad którą teraz pracuję...

– Nie wiem nic o żadnej sprawie – przerwał jej. – Poza tym zajmie ci to pół godziny. Zrób to dla królowej Małgorzaty i wszystkich jej poddanych.

Ellegaard wiedziała, że nie ma sensu dyskutować. Jeśli minister wymyślił sobie, że policjantki mają przekonać inne Dunki do profilaktycznych badań mammograficznych, należało zacisnąć zęby i wykonać polecenie. Właściwie sama idea była trafiona – rak piersi stawał się już chyba chorobą cywilizacyjną. Co roku wykrywano dwa miliony nowych przypadków zachorowań na świecie, a w statystykach Dania zajmowała niechlubne, drugie miejsce, tuż za Belgią. Na sto tysięcy kobiet sto chorowało na ten nowotwór.

– Więc jak będzie? – zapytał Moslund.

Katrine jednym haustem dopiła kawę i podniosła się.

– Pójdę – mruknęła. – Ale co dzień przed snem będę modliła się o to, żeby pana wytypowali do podobnej akcji, kiedy minister uzna, że warto by zadbać o profilaktykę wśród mężczyzn.

– My chyba nie miewamy raka piersi.

– Ale na badania prostaty nadajecie się jak najbardziej.

Moslund otworzył usta, ale nie zdążył skomentować – Katrine czym prędzej opuściła gabinet.

Namówienie kilku ochotniczek okazało się trudne i Ellegaard szybko uświadomiła sobie, że straci cały dzień, jeśli nie wyda rozkazów. Problem polegał na tym, że w jednostce nie było zbyt wielu niższych rangą kobiet. Wprawdzie po sukcesie na Wyspach Owczych awansowano ją do stopnia *vicepolitikommisær*, ale wciąż należała raczej do żółtodziobów.

Ostatecznie udało jej się zebrać trzyosobowy oddział. Policjantki pojechały do kliniki Frederiksstadens przy Store Kongensgade, gdzie czekały już na nich kamery. Katrine wypatrywała znanych stacji, ale dostrzegła jedynie logo lokalnych redakcji. Dziennikarka z Kanal København poprosiła, by po wyjściu z gabinetu Ellegaard powiedziała kilka słów.

Katrine z uśmiechem zapewniła, że chętnie udzieli wywiadu, a potem szybko znikła w pokoju rentgenowskim. Samo badanie trwało kilka minut i wiązało się jedynie z niewielkim dyskomfortem, kiedy technik elektroradiologii założyła jej płytkę uciskową.

Kwadrans później czekała już przed szpitalem na pozostałe policjantki. Rzuciła przed kamerą Kanal København kilka komunałów, które z trudem przechodziły jej przez gardło, ale co przełomowego mogła powiedzieć.

Po chwili włączyła komórkę i zobaczyła, że Moslund próbował się z nią skontaktować. Wybrała jego numer.

– Zrobione, szefie. Materiał mają puścić...

– Przyjeżdżaj na komendę – uciął Kjeld.

Katrine ściągnęła brwi. Rzadko kiedy miał aż tak poważny głos.

– Co się stało? – zapytała. – Czekam jeszcze na resztę.

– Ładuj się do samochodu, Ellegaard, i natychmiast jedź na komendę.

– Tak jest.

Rozłączył się, zanim zdążyła dopytać o cokolwiek. Wyjęła telefon, napisała SMS-a do jednej z policjantek i wsiadła do służbowego samochodu. Dotarła do budynku komendy przy Halmtorvet w piętnaście minut, po czym zaparkowała na jednym ze służbowych miejsc.

Wjechała windą na górę i bez pukania weszła do gabinetu przełożonego. Kjeld siedział przy stoliku i wyglądał przez okno, paląc nerwowo papierosa. Nawet nie spojrzał na Katrine.

– Siadaj – powiedział.

– Po co ten dramatyzm, szefie?

– Po prostu usiądź, do cholery.

Wykonała polecenie, założyła nogę na nogę i poczuła, że pasek od spodni trochę za bardzo ściska ją w talii. Od jakiegoś czasu przygotowywała się psychicznie do diety. Nie jakiejś drakońskiej, ot, żeby w ciągu kilku miesięcy zrzucić dwa czy trzy kilogramy, zmniejszyć nieco krągłość twarzy czy pozbyć się nieco tkanki tłuszczowej na nogach i rękach. Przypuszczała, że nie będzie trzeba zmuszać się do zbyt wielu wyrzeczeń – wystarczy, że zrezygnuje z białej czekolady, która od pewnego czasu stanowiła jeden z jej niewielu nałogów.

Ktoś mógłby powiedzieć, że kolejnym z nich były papierosy, ale Ellegaard paliła sporadycznie, głównie dla towarzystwa. W szufladzie biurka miała wprawdzie paczkę, ale rzadko sama po nią sięgała, a w domu nie paliła wcale.

Teraz jednak najwyraźniej nadszedł dobry moment, by wypełnić płuca dymem. Moslund

sam podsunął jej paczkę prince'ów, najpopularniejszych papierosów w Danii. Katrine czasem wydawało się, że w tym kraju nie pali się niczego innego.

Poczęstowała się i po chwili zaciągnęła się głęboko.

– Więc o co chodzi, szefie? – ponagliła Kjelda.

– Mam dwie wiadomości.

– Obydwie złe?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Niestety – przyznał. – Jedna jest gówniana, druga o kant dupy potłuc. Od której mam zacząć?

– Od tej o kant dupy potłuc.

Zduślił papierosa w popielniczce, zreflektował się, że pobrudził sobie palce, i zaczął nerwowo pocierać opuszki. Nabrał głęboko tchu.

– Dzwonili z Tórshavn – zaczął.

– Słucham?

– A konkretnie kontaktował się ze mną sam *Landsfoged*.

Szef farerskiej policji. Na samą myśl o nim i o tym przeklętym archipelagu Katrine poczuła ciarki na plecach. Wyobraźnia zarysowała jej przed oczami wizję złowrogiego, spowitego mgłą górzystego terenu, który swym mrokiem zdawał się zachęcać do najgorszych czynów.

Nie chciała wracać myślami do wydarzeń z tamtego roku, a tym bardziej przypominać sobie tego, co wydarzyło się w lutym. Czternastego odbyła się akcja duńskiej policji, której Katrine przewodziła. Pojawiła się na Streymoy pod pretekstem spędzenia walentynek z Hallbjørnem, po czym zakuła go w kajdanki i wysłała prosto do aresztu.

Mężczyzna, którego pokochała, okazał się bestią. W takiej sytuacji nawet najbardziej malowniczy skrawek ziemi na Morzu Norweskim jawiłby się jak przedsionek piekła, jeśli nie samo piekło.

Ellegaard gwałtownie zaciągnęła się papierosem.

– Czego chcą Farerowie? – zapytała.

– Dobre pytanie. Nasi politycy zadają je sobie od setek lat... Sami wyspiarze zapewne też.

– Szefie...

– W porządku, w porządku – odparł, unosząc otwarte dłonie. – Policja z Tórshavn

twierdzi, że w jednej z wiosek podczas połowu grindwali doszło do makabrycznego odkrycia.

– Jakiego?

– W żołądku jednego z nich znaleźli kawałek ludzkiej czaszki.

– Mhm.

– Poprosili o pomoc – ciągnął Kjeld. – Nie mają nikogo, kto potrafiłby dokonać projekcji wstecznej i rekonstrukcji.

– Więc niech przyślą kości do nas.

– Nic z tego. – Moslund pokręcił głową i wyciągnął kolejnego prince'a. – Komendant nie chce, żebyśmy przenieśli tu śledztwo. Obowiązuje właściwość terytorialna.

– Więc mamy tam kogoś wysłać?

Ledwo Katrine o to zapytała, a uświadomiła sobie, że odpowiedź może być tylko jedna. Formalnie farerska policja wchodziła w skład duńskiej, ale obydwie strony dbały o to, by lokalni stróże prawa zachowywali jak najwięcej autonomii. Jednocześnie Dania nie była skłonna pozwalać Farerom na pełną samodzielność, więc wybrano wyjście pośrednie.

– Tak – potwierdził Kjeld. – Będzie łączony zespół na miejscu.

– Z powodu czaszki? Z całym szacunkiem, ale to mogą być kości jakiegoś irlandzkiego mnicha, którego wieki temu zabili przybywający na wyspę wikingowie.

Moslund wydawał się nieprzekonany.

– Twierdzą, że nie – odparł i wzruszył ramionami. – Zresztą nam wszystkim zależy na tym, żeby jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Szczególnie biorąc pod uwagę to, co działo się w lutym.

Ujęcie Hallbjørna Olsena stanowiło niewątpliwy sukces duńskiej policji, ale Katrine zdawała sobie sprawę, że jednocześnie jest to przyznanie się do winy. Przez długie miesiące koncentrowali się na innych podejrzanych, a nawet doprowadzili do nieprawomocnego skazania jednego z nich w pierwszej instancji. Dopiero Wschodni Sąd Wyższy w apelacji uniewinnił Ragnara Sørensen od zarzutów.

Nikt nie chciał powtórki z rozrywki, zwłaszcza komendant.

Ellegaard odchyliła się na krześle i wypuściła dym w górę.

– Padło na mnie, jak rozumiem.

– Obawiam się, że tak. Byłaś już na Farojach, znasz tę społeczność, teren i...

– Byłam jedynie w Vestmannie.

Cisza była niepokojąca. Katrine opuściła głowę i spojrzała podejrzliwie na przełożonego.

– Szefie?

Milczał, wyglądając przez okno.

– Nie chodzi chyba o...

– Czaszkę znaleziono w Vestmannie – przerwał jej.

– To jakiś żart?

– Nie. Jak żartuję, robią mi się kurze łapki. – Wskazał na kąciaki oczu. – A widzisz je tu gdzieś?

Właściwie miał tyle zmarszczek, że nie robiło żadnej różnicy, czy się uśmiechał, czy nie. W tej chwili jednak Ellegaard niespecjalnie to interesowało.

– Nie rozumiem – rzuciła, strzepując nerwowo popiół.

– Po prostu urządzili połów, rozkroili tę rybę, a potem...

– To ssak.

– Widzisz? Znasz się na miejscowych sprawach. Nadajesz się wprost idealnie.

– Szczególnie jeśli chodzi o moje doświadczenia z tamtego archipelagu.

Kjeld pstryknął palcami.

– Otóż to. Komendant był tego samego zdania. Uważa, że wzbudzasz tam wielką sympatię z powodu tego, co ci się przydarzyło.

– Sympatię? Chyba politowanie.

– Tym lepiej. – Moslund zaciągnął się dymem, mrużąc oczy. – Ludzie chętnie ci pomogą, pamiętając, jak parszywy los cię spotkał.

– Dzięki, szefie.

– Zawsze do usług – odparł. – Ale nie dziękuj jeszcze, bo jest druga wiadomość. Ta główniana.

– Więc temat Vestmanny jest zamknięty? Nie mam nic do gadania?

– Oczywiście, że nie. Chciałaś dyskusji w robocie, trzeba było kształcić się na patologa. Podobno trupy lepiej współpracują, kiedy się z nimi gada. Stają się mniej sztywne.

Moslund czekał na odpowiedź Katrine. Po chwili odchrząknął i poprawił się na krześle.

– Samolot na Vágar odlatuje dziś o siedemnastej, na miejscu będziecie półtorej godziny później.

Katrine spojrzała na zegarek. Nie miała zbyt wiele czasu.

– My? – zapytała. – Kto ze mną leci?

– Frida Skovmand oczywiście.

Tylko tego brakowało jej do szczęścia. Jako technik kryminalistyki Frida sprawdzała się wprost idealnie, ale jako towarzysz podróży niekoniecznie. Jej wygląd doskonale oddawał charakter – Skovmand miała orli nos, wystające kości policzkowe i agresywne spojrzenie. W połączeniu ze ściągniętymi z tyłu, niemal przylizanymi włosami sprawiała aroganckie wrażenie.

– Będzie przewodziła ekipie kryminalistycznej na miejscu.

Trudno było się dziwić. Podczas oględzin zwłok na akwakulturze w Lómundaroyrn Frida udowodniła, że na podstawie strzępków informacji i dobrze ukierunkowanych spekulacji potrafi wyciągnąć całkiem sporo z samych oględzin, co dopiero mówić o sekcji.

– Rozumiem – powiedziała Ellegaard. – I to była ta główniana wiadomość?

– W żadnym wypadku. Skovmand to dobra wieść.

– Przynajmniej dla śledztwa. Niekoniecznie dla śledczej.

– No tak – mruknął Kjeld i uśmiechnął się lekko.

– Więc co z tą drugą kwestią?

Przez moment patrzył na Katrine, jakby starał się odnaleźć odpowiednie słowa. Przełknął ślinę.

– Jakiś czas temu Olsen złożył odwołanie do Sądu Najwyższego – oznajmił w końcu.

– Tak?

– Nie wiedziałaś o tym?

– Nie śledzę tej sprawy, szefie. Trzymam się od niej jak najdalej.

– To zrozumiałe – przyznał, spuszczać wzrok. – Ale obawiam się, że nie będziesz mogła dłużej tego robić.

Katrine poruszyła się nerwowo na krześle.

– Rada do spraw Zezwoleń na Złożenie Środków Zaskarżenia dopuściła wniosek i dziś odbędzie się rozprawa – dodał Moslund.

– Rozumiem.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Ellegaard nie miała zamiaru o tym myśleć ani tym bardziej rozmawiać. Kiedy sprawę rozpatrywał sąd okręgowy w Tórshavn, dopuszczała możliwość, że na apelacji się nie skończy i prawnik Hallbjørna będzie walczył do końca. Nie myślała jednak, że rada przychyli się do wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Zasięgnęła języka wśród znajomych prawników – twierdzili, że dzieje się tak tylko przy spełnieniu określonych przesłanek, takich jak pojawienie się nowych dowodów czy rażące błędy w poprzednich instancjach.

Katrine zgasila papierosa i wstała.

– Czas na mnie, jeśli mam zdążyć na ten samolot – oznajmiła.

Moslund skinął głową.

### 3

## Wtorek, 11 października, godz. 15.24

Hallbjørn Olsen siedział na pryczy i wpatrywał się w ścianę przed sobą. Znał na pamięć każdy zaciek, każdą grudkę farby i każdą rysę. Cella była niewielka, ale zmieściły się w niej dość duże składane łóżko, szafa, umywalka, lodówka i podwójna szafka ścienna.

Olsen spojrział na zegarek. Normalnie o tej porze kończył czytać jedną z wypożyczonych książek i powoli rozgrzewał się przed codziennym treningiem. Trudno było zliczyć, ile pompek zrobił przez te wszystkie miesiące – i ile powieści przeczytał. Wydawało mu się, że więzienna biblioteka nie ma już żadnej pozycji, którą by pominął.

Ostatnio zmęczył nawet osiem tomów cyklu kryminalnego Sary Blædel, w którym główna bohaterka trzęsła się ze strachu równie często, jak Harry Hole myślał o piciu u Jo Nesbø.

Olsen miał dosyć. Dosyć słabych lektur, ale także tych przeklętych czterech ścian. Widział swoją podłużną celę nie tylko za dnia, ale także nocą. Wciąż mu się śniła, choć wówczas patrzył na nią z góry, jakby unosił się nad więzieniem. Zamiast dachu pomieszczenie miało wieko trumny, po którego zamknięciu za każdym razem się budził.

Hallbjørn podniósł się i podszedł do umywalki. Złapał jej brzeg, a potem spojrział na swoje odbicie w lustrze.

„Wreszcie wyglądasz jak żołnierz”, powiedział mu wczoraj jeden ze strażników. Miał rację. Od kiedy Olsen rozpoczął odsiadkę, ogolił głowę i zaczął pracować nad muskulaturą. Uznał, że w połączeniu z książkami pozwoli mu to nie zwariować, ale wiedział już, że się pomylił. Czuł się coraz bardziej otępiały i zobojętniały na zewnętrzny świat.

A może tak miała wyglądać resocjalizacja? Może apatia i indolencja były punktem

wyjścia, by rozpocząć proces powtórnego wchodzenia w ramy cywilizowanego świata?

Tak czy inaczej, Hallbjørn oddałby wszystko, by znów samodzielnie decydować choćby o tak błahych sprawach, jak pora jedzenia czy korzystania z prysznic. Nie, nie wszystko. Nigdy nie oddałby Ann-Mari – przeciwnie, byłby gotów zrezygnować z resztek możliwości decydowania o swoim losie, byleby widywać się z córką.

Tymczasem w ciągu dziewięciu miesięcy Ann-Mari odwiedziła go tylko raz. Rozumiał, że lot z Vágar na Kastrup zabierał trochę czasu – i jeszcze więcej pieniędzy – ale liczył, że córka będzie pojawiała się częściej.

Dziewczyna od samego początku wiedziała o tym, co zrobił, a mimo to postanowiła go kryć, a nawet kłamać przed organami ścigania. Wspierała go też podczas procesu, a potem... Nagle się od niego odwróciła. Przynajmniej takie odniósł wrażenie.

Jaki mógł być powód? Być może sądowi psychologowie mieli z tym coś wspólnego. Olsen nie mógł wykluczyć, że przemówili córce do rozsądku. Mogli jej wytłumaczyć, że ojciec miał na nią destrukcyjny wpływ, a ona poddała mu się, próbując za wszelką cenę go bronić. Mimo tego, co zrobił.

Tyle że to był wypadek. Hallbjørn nigdy świadomie nie podniósłby ręki na żadne dziecko. Owszem, nie był aniołkiem, a po *Operation Bøllebank* w Bośni nosił w sobie traumę, ale nie cierpiał na gwałtowne napady niekontrolowanego gniewu. Nie stanowił dla nikogo zagrożenia.

A przynajmniej chciał tak myśleć.

Olsen spędził niemal godzinę, wpatrując się w ścianę naprzeciwko łóżka, zanim rozległ się dźwięk odsuwanej zasuwy w drzwiach. W progu stanął klawisz.

– Masz widzenie z prawnikiem – oznajmił.

Hallbjørn podniósł się, a potem wyszedł na korytarz i pozwolił się przeszukać. Strażnik niespecjalnie przejmował się godnością więźnia i właściwie Olsen mu się nie dziwił. Od kiedy trafił za mury Vestre Fængsel, był traktowany jak przestępca najgorszej kategorii. Zarówno współosadzeni, jak i klawisze postrzegali zabójców dzieci niemal na równi z gwałtocielami i pedofilami.

Strażnik poprowadził Hallbjørna schodami w dół. Mijali pootwierane cele, w których sprzątano lub przeprowadzano przeszukania. O tej porze większość więźniów znajdowała się na spacerunku, ale nie Olsen. Farer wiedział, jaki los by go tam spotkał.

Dania nie mogła się poszczycić systemem penitencjarnym na miarę Norwegii czy



Szwecji. W Vestre Fængsel nie było luksusowych cel, jakie znało się z przekazów medialnych, a jeśli więzienie przywodziło na myśl jakikolwiek hotel, to jedynie opuszczony, nawiedzony, wyjęty żywcem wprost z prozy Stephena Kinga.

Olsen stanął przed okratowanymi drzwiami. Strażnicy wymienili się przez radio zapewnieniami, że więźnia można spokojnie wprowadzić do sali widzeń.

Wewnątrz czekała na niego Anette Westerholm, prawniczka, która zajmowała się złożeniem odwołania do Sądu Najwyższego. Reprezentowała jedną z najbardziej prestiżowych firm w Danii – kancelarię Fabritius Tengnagel & Heine, która praktykę w Kopenhadze otworzyła już w połowie dziewiętnastego wieku. Jej usługi nie należały do najtańszych, ale Hallbjørn uznał, że jeśli ktokolwiek ma go wybronić, to właśnie ci ludzie.

W porównaniu z większością prawników Fabritiusa Anette była młodym wilczkiem. Miała trzydzieści sześć lat i mnóstwo motywacji, by zapisać się złotymi zgłoskami w historii duńskiej palestry. Z tego, co Hallbjørn zdążył się zorientować, pracowała mniej więcej dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Dzień dobry, panie Olsen – powiedziała, podnosząc się z metalowego krzesła. Spojrzała spod oka na strażnika, a ten skinął głową i szybko opuścił pomieszczenie.

Więzień zajął miejsce naprzeciw Westerholm, po drugiej stronie niewielkiego stolika. Nie tracił czasu na przywitania. Prawniczka zjawiła się tu dzisiaj, by oznajmić mu, jaka była decyzja Sądu Najwyższego. Obiecała, że przyjdzie do więzienia od razu po ogłoszeniu wyroku.

– I? – zapytał.

Wpatrywał się w nią, ale nie mógł niczego wyczytać z jej twarzy. Jak zwykle przywodziła na myśl robota, nie tylko jeśli chodziło o godziny pracy, ale także powierzchowność. Miała zawsze tę samą minę, mięśnie twarzy zdawały się sparaliżowane, a mrugała, jakby sterowała nią maszyna.

Nabrała głęboko tchu.

Olsen uznał, że to nie najlepszy znak. Przez cały dzień udawało mu się zachować względny spokój, ale teraz emocje brały górę. Miał wyrok na wyciągnięcie ręki, wystarczyło wytrwać jeszcze tylko kilkanaście sekund.

Mógł uczestniczyć w procesie, ale Anette uważała, że lepiej będzie, jeśli pojawi się w sądzie sama. Twierdziła, że jeszcze kilka miesięcy temu być może przyjęłaby inną strategię, ale teraz muskulatura i krótkie włosy Olsena nie współgrają z obrazem, który zamierzała

przedstawić sędziom.

Westerholm planowała bowiem zaprezentować Hallbjørna jako przykładnego, kochającego ojca, który samotnie wychowuje dziecko. Jako ciepłego człowieka, który podczas konfliktu w Bośni przeszedł tak wiele, że sama myśl o agresji napawa go abominacją. Zamierzała także podkreślić fakt, że podczas *Operation Bøllebank* Olsen nosił duński mundur.

W pierwszych miesiącach przygotowań Hallbjørn nie był dobrej myśli. Wiedział, że potrzeba nowych dowodów lub znaczących uchybień podczas orzekania, aby mógł myśleć o uchyleniu wyroku skazującego. Anette nie ukrywała, że nie wygląda to optymistycznie.

Od kilku dni jednak dostrzegał w oczach obrończyni wyraźny błysk. Im bliżej było wydania wyroku, tym częściej przechodziło mu przez myśl, że może jeszcze nie wszystko stracone.

Istniała wszakże możliwość, że dziewczyny obecne na imprezie po meczu piłki ręcznej zwyczajnie kłamały. Koronnym dowodem jego winy były właśnie ich zeznania – w szczególności Jytty Gregersen, która postawiła kropkę nad i. Adwokat Olsena w dwóch pierwszych instancjach starał się wykazać, że świadkowie mogli ustalić wspólną wersję, by obarczyć Hallbjørna winą, ale prokurator uparcie podkreślał, że Ann-Mari nie zgłasza żadnych zastrzeżeń co do przedstawionej wersji.

A jeśli osoba, która bronila go rękami i nogami, milczy, może to oznaczać tylko jedno.

Czy coś mogło się teraz zmienić? Hallbjørn w to wątpił. Trudno było się spodziewać, że pojawiły się nowe dowody, które mogłyby oczyścić go z zarzutów. Westerholm starała się przekonać jego córkę, by zeznawała, ale Ann-Mari kategorycznie odmówiła, powołując się na przepis o nieoczernianiu własnej rodziny. Nie chciała brać w tym udziału, a Hallbjørn doskonale to rozumiał. I tak zrobiła dla niego więcej, niż można by wymagać od własnej córki.

– Panie Olsen – zaczęła Anette. – Obawiam się, że...

– Kurwa mać – przerwał jej, kręcąc głową. Nie musiała mówić nic więcej. – Wiedziałem.

Sporunowała go wzrokiem.

– Proszę pozwolić mi skończyć – upomniała go. – Rozprawa przebiegła nie najgorzej i jestem dobrej myśli.

– Co takiego?

– Obawiam się jednak, że musimy trochę poczekać na werdykt. Sąd odroczył wydanie wyroku.

Olsen z trudem przepchnął ślinę przez kurczący się przełyk. Czy to możliwe? Nie wszystko stracone? Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wielkie wezbrane pokłady optymizmu trzymała tama w jego umyśle. Z każdą upływającą sekundą zdawała się coraz bardziej pękać i Hallbjørn oczami wyobraźni zobaczył siebie na Smyrilu, przybijającego do portu w Vestmannie.

Nie, upomniał się w duchu, do tego daleka droga.

– Do kiedy? – zapytał. – Jak długo będziemy musieli czekać?

– Do wieczora.

– Co to oznacza?

Westerholm splotła ręce na blacie stolika i westchnęła.

– Tylko tyle, że nie osiągnięto decyzji w żadnym z trybów głosowania – odparła. – Co jest raczej dziwne, ponieważ cały system skonstruowano tak, aby wyrok zawsze mógł zapaść szybko.

– To znaczy?

– Pomijając kwalifikowane większości, starczy powiedzieć, że orzeka pięciu sędziów, więc ostatecznie wszystko sprowadza się do proporcji trzy do dwóch.

– Więc teraz dwóch jest za, a dwóch przeciw? I jeden się wstrzymał?

– Na to wygląda.

– To... – zaczął Hallbjørn i urwał. – To jak dar od losu.

Anette nie wyglądała na choćby w połowie tak zadowoloną, jak on.

– Spokojnie – upomniała go. – Szala może się przechylić na każdą stronę.

– Mimo to z mojego punktu widzenia jest lepiej niż jeszcze kilka minut temu... Wtedy miałem przeciw sobie pięciu sędziów, teraz mam tylko dwóch. I od jednego zależy, co się ze mną stanie.

– No tak – mruknęła.

Nie miał zamiaru pozwolić, by rezerwa prawniczki ugasiła jego entuzjazm. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu i uzmysłowił sobie, że kąciki ust podnoszą mu się pierwszy raz od dobrych dziewięciu miesięcy. No, może z wyjątkiem sytuacji, kiedy obcował z wisielczym humorem Harry'ego Hole czy przepychankami w zespole śledczym u Arnaldura Indriðasona. Skandynawskie kryminały uratowały jego zdrowie psychiczne, nie miał co do

tego najmniejszych wątpliwości.

Odchrząknął i spoważniał nieco, widząc twarde spojrzenie Westerholm.

– Więc może teraz powie mi pani, jakich argumentów użyła? – zapytał.

Adwokat rozplotła dłonie i wyprostowała się. Od początku była ostrożna w przedstawianiu mu taktyki sądowej. Twierdziła, że jeśli będzie czegoś potrzebowała, z pewnością zapyta, a dla dobra sprawy istotne jest, by sam nie zagłębiał się w meandry prawa. Kilka razy próbował naciskać, ale odpowiadała mu, rzucając suche formułki ustawowe, z których niewiele rozumiał.

– Przeczyta pan o tym w uzasadnieniu – powiedziała. – Znajdą się tam wszystkie istotne szczegóły.

– Nie potrzebuję szczegółów.

– W takim razie...

– Interesuje mnie jednak całościowość.

Dotychczas Olsen jej odpuszczał, wychodząc z założenia, że Anette najlepiej wie, jak prowadzić tę sprawę. Poza tym nie chciał jej do siebie zrażać. Owszem, płacił rachunki na czas, ale przypuszczał, że nie zawadzi, by obrończyni miała także motywację pozafinansową – z pewnością łatwiej broniło się osobę, wobec której żywiło się jakąś sympatię.

– Całościowość... – powtórzyła. – W porządku, panie Olsen, choć część pan już zna.

– Niewielką część.

– Przeciwnie – zaoponowała, znów pochylając się nad stołem. – Kluczowym elementem było wykazanie, że w gruncie rzeczy jest pan porządnym facetem.

– Mało to przebiegłe.

– Nie wszystko musi takie być. Czasem najprostsze wyjście jest tym słusznym – odparła i wzięła głęboki oddech. – Sędziowie to też ludzie, wie pan. Istotne jest to, jak postrzegają skazanego.

– Okej – odparł dla porządku. – Ale na jakiej podstawie dopuścili odwołanie?

– Staralam się wykazać, że doszło do błędu formalnego.

– Formalnego? – Hallbjørn się skrzywił. Nie tak to sobie wyobrażał. Miał nadzieję, że obrończyni będzie dążyć do tego, by sędziowie uznali, że jest niewinny. Nie do tego, że ktoś popełnił błąd proceduralny.

– Tak – potwierdziła ze spokojem. – Jak pan być może wie, Sąd Najwyższy nie orzeka

co do winy.

– Nie?

Pokręciła głową, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Sędziowie biorą jednak pod uwagę błędy popełnione w niższych instancjach.

– Ale...

– Żadnych „ale”, panie Olsen. Nie przedstawiałam panu taktyki, bo zazwyczaj budzi sprzeciw klientów. – Podniosła wzrok. – Każdy chce wyjść z więzienia, ale nikt nie chce tego robić boczną furtką, prawda?

Hallbjørn nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Wszyscy chcą uniewinnienia, a nie unieważnienia procesu.

– Tak, przypuszczam, że tak... – bąknął Olsen.

– Tymczasem nie tędy droga – oznajmiła stanowczo Anette. – Błędy proceduralne to najlepsze rozwiązanie.

Olsen potarł krótką szczecinę na głowie.

– O jakich błędach mowa? – spytał.

– Próbowałam udowodnić, że sędzia w pierwszej instancji uchybił przepisom procesowym.

– W jaki sposób?

– Popełnił błąd w podsumowaniu stanu faktycznego, na podstawie którego orzekali ławnicy.

Olsen czekał na ciąg dalszy, ale prawniczka zamilkła. Rozłożył lekko ręce.

– I to wszystko? – zapytał.

– Mniej więcej. Choć udowodnienie tego zajęło mi dobre półtorej godziny.

Duńskie prawo nigdy nie przestawało go fascynować. Wystarczyło wyciągnąć jeden, zapewne niezbyt znaczący element procesu, uwydatnić go, zakłamać nieco rzeczywistość, a pojawiła się szansa, by wszystkie dowody w jednej chwili zostały pozbawione znaczenia.

Jeśli tak się stanie w jego przypadku, będzie mógł podziękować farerskiemu sędziemu. To on prowadził sprawę w pierwszej instancji i to on podsumowywał stan faktyczny dla ławników. Olsen zmarszczył czoło i zastanawiał się przez chwilę.

– Podeszła pani do tego pod kątem ambicji... – powiedział cicho.

– Słucham?

– Zrobiła pani pośmiewisko z Farera, który orzekał.

Jej nikły uśmiech kazał mu sądzić, że w istocie tak było.

– Zagrała pani na ich poczuciu własnej wartości – dodał. – Mam na myśli sędziów Sądu Najwyższego...

– Nie ujęłabym tak tego.

A jednak taka musiała być prawda. Hallbjørn nie miał złudzeń co do tego, że duńscy juryści w głębi ducha chcieli pokazać swoją wyższość nad jedynym sądem, który działał na Farojach. Zamierzali udowodnić, że procesy powinny odbywać się wyłącznie w Danii, gdzie do takich błędów nie dochodziło.

– To wszystko polityka – odezwał się Olsen. – Zawsze, niezmiennie... wszystko to polityka.

– Mhm.

– Jeśli mnie uniewinnią, będziecie mogli mówić, że...

– Niech pan da spokój – przerwała mu. – Czy to ważne?

– Dla nas tak.

– Nas?

– Dla Farerów. Każdy najmniejszy przejaw niezależności jest dla nas na wagę złota.

– Nie bronię Wysp Owczych, tylko pana, panie Olsen.

– Ale...

– Żadnych „ale” – powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo. – Dlatego nie mówiłam panu o strategii. Nie lubię wysłuchiwać takich utyskiwań.

– To nie utyskiwania. Raptem komentarz.

– Który mnie nie interesuje – podkreśliła. – Dla mnie liczy się tylko to, żeby wyszedł pan z więzienia i wrócił do domu.

– Gdzie zaszytują mnie już pierwszej nocy.

– To już nie mój problem.

Rzeczywiście, jej rola kończyła się na wyroku uchylającym. Reszta spoczywała na barkach Hallbjørna i był świadomy, że jeśli sąd przychylił się do argumentacji Westerholm, czekają go kolejne zmagania. Cała społeczność Vestmanny będzie widziała w nim nie tylko mordercę, ale także uosobienie kolejnego ciosu, jaki wyspy dostały od Danii. Nie wiedział, który z tych zarzutów będzie poważniejszym problemem.

– Jest jeszcze coś – dodała po chwili Anette.

– Co takiego?

– Na Faroje wysłano grupę policjantów.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Według mojego źródła w kopenhaskiej policji sprawa jest poważna. Prawdopodobnie doszło do kolejnej zbrodni.

– Żartuje sobie pani?

Wystarczyło rzucić okiem na jej beznamiętne oblicze, by wiedzieć, że nigdy tego nie robi.

Wracając do celi, Olsen zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Kiedy jednak położył się na łóżku i wziął do ręki dziewiąty tom cyklu Sary Blædel, jego myśli popłynęły w innym kierunku.

Dla Vestmanny będzie zabójcą. Dla córki być może także.

Ale kim był dla siebie?

Obawiał się, że odnalezienie odpowiedzi na to pytanie może okazać się niemożliwe. Próbował skupić się na lekturze, ale mimo że czuł już emocjonalną więź z *kriminalassistent* Louise Rick, wciąż nie mógł wsiąknąć w opowieść.

W końcu zamknął książkę. Przez chwilę trwał w bezruchu, a potem spojrzał na duńskie napisy na okładce. Miał wrażenie, że przez ostatnie dziewięć miesięcy oddalił się bardziej od bycia Farerem niż podczas służby w Jydske Dragonregiment. Jeśli wróci na archipelag, będzie musiał się przygotować na prawdziwy ostracyzm.

Ale samo rozważanie takiego scenariusza było w istocie przyjemne. Zakładało, że szala przechyli się na jego korzyść i trzeci z sędziów orzeknie zgodnie z argumentacją przedstawioną przez Westerholm.

Wieczorem ogłoszono wyrok. Sprawozdawca przedstawił uzasadnienie.

Wyspy Owcze dostały kolejnego pstryczka od Danii. Tym razem podwójnego.

## 4

### 11 października, wtorek, godz. 18.40

Niewiele było na świecie lotnisk, które cieszyłyby się tak złą sławą jak Vága Floghavn. Podejście na nie wymagało niemałych umiejętności pilotażowych załogi oraz sporej cierpliwości i wytrwałości ze strony pasażerów. Nieraz bywało, że wiatry boczne były zbyt mocne i samolot musiał odchodzić na drugi lub trzeci krąg. Telepało przy tym tak,

jakby maszyna miała się rozpaść.

Katrine mocno ścisnęła podłokietniki, czując, że jej spocone dłonie zaczynają się ślizgać.

– Nikt się tu jeszcze nie rozbił – odezwała się Frida Skovmand.

Ellegaard obróciła się w jej stronę.

– Że co proszę? – zapytała.

– Nie słyszałam, żeby jakiś samolot miał tu wypadek.

– To mało słyszałaś.

– Tak? – odparła bez cienia zainteresowania Frida.

– W latach pięćdziesiątych rozbiła się tu wojskowa maszyna, zginął nasz ówczesny szef sztabu generalnego. Że nie wspomnę o innych zdarzeniach spowodowanych oblodzonym pasem czy złą pogodą...

Katrine poczuła, że robi jej się niedobrze. Zakończyli okrążanie wyspy Streymoy i przygotowywali się do drugiego podejścia. Wyrzała przez okno, ale chmury były nieprzeniknione. Mimowolnie pomyślała o tym, co muszą czuć piloci. Obniżając lot, przez większość czasu absolutnie nic nie widzą. Dopiero tuż nad wyspą z mleka wyłoni się lotnisko.

– Ale żaden pasażerski się nie rozbił – mruknęła Skovmand. – Jak dotąd.

Kiedy Ellegaard na nią spojrzała, przekonała się, że technik kryminalistyki uśmiecha się pod nosem. Do tej pory Katrine postrzegała ją jako upierdliwą, ale w gruncie rzeczy sympatyczną żołą. Teraz musiała zrewidować ten osąd. Frida Skovmand najwyraźniej była psychopatką.

– Nawet tak nie mów – powiedziała Katrine.

– Moje słowa niczego nie zmieniają. W tę czy we w tę. Co ma być, to będzie.

– Przestaniesz?

Frida obróciła się w drugą stronę, a Katrine znów wyrzała za okno. Wlepiła wzrok w chmury, jakby jakimś cudem mogła je rozgonić. Po chwili znów zaczęły się przeredzać, a samolotem zatrzęsło. Podchodzili do lądowania od strony południowej, widać już było wcinającą się w ląd zatokę, za którą znajdowało się lotnisko. Nieruchome chmury orograficzne oplatały najwyższe wzniesienia, widoczność nie była zbyt dobra. Z tej perspektywy Faroje wyglądały jak skrawek ziemi pośrodku niczego, w dodatku pogrążony we mgle.



– Brakowało ci tego widoku, co? – odezwała się Skovmand.

– Wyjątkowo.

– Podołasz?

Katrine obróciła się do rozmówczynie.

– Słucham? – zapytała.

– Dasz sobie z tym radę?

– Z czym konkretnie?

– No wiesz... ze wspomnieniami, spojrzeniami Farerów, uśmiechami politowania i tak dalej.

Samolotem szarpnęło w dół, jakby miał spaść. Ellegaard ścisnęła mocniej podłokietniki i natychmiast zapomniała o bzdurnych pytaniach Fridy. Skupiła się tylko na tym, by nie zapomnieć o oddychaniu.

Po chwili koła airbusa sięgnęły pasa do lądowania, a potem rozległ się charakterystyczny dźwięk odwracaczy ciągu. Silniki zaczęły wspomagać proces hamowania, a Katrine odetchnęła.

W hali przylotów czekał na nie Sigvald Nolsøe, przedstawiciel farerskiej policji, z którym Katrine współpracowała przy sprawie Pouli Løkin.

– Jest i małpolud – mruknęła Skovmand, wskazując na Sigvalda.

– Hm?

– Nie przypomina ci trochę goryla?

Katrine przyjrzała mu się. Nie, dla niej wyglądał raczej jak typowy zakapior, który całe dnie spędza w jednym z pubów Christianii, dzielnicy Kopenhagi, gdzie w niejednym zaułku można natknąć się na podejrzanych typów. Nolsøe był łysy, miał głęboko osadzone oczy i mocno ciosane rysy twarzy. Koniec końców być może przywodził nieco na myśl małpoluda.

Powitał je niezbyt wylewnie, ale Ellegaard nie spodziewała się po nim niczego innego. Był niepodległościowcem, zresztą swego czasu widziała go w Vestmannie na spontanicznym zgromadzeniu urządzonym przez jedną z nacjonalistycznych posłanek do Løgtingu.

Wsiedli do jego służbowego mondeo, a potem Sigvald skierował się na krajową jedenastkę w kierunku Sandavágur. Katrine miała nadzieję, że Nolsøe w końcu podejmie rozmowę, ale kiedy wjeżdżali do łączącego wyspy Vágar i Streymoy tunelu pod dnem

oceanu, Sigvald nadal milczał.

Omiotła wzrokiem nierówne, oświetlone kilkoma kolorowymi reflektorami stropy i przypomniała sobie, jak Olsen opowiadał jej o Vágatunnilin. Budowę zaczęto w dwutysięcznym roku, ukończono dwa lata później. Po raz pierwszy w historii Farerowie mogli przedostać się z jednej wyspy na drugą, nie korzystając z promu. O ile jej pamięć nie myliła, tunel miał pięć kilometrów długości i w pewnym momencie podróżujący znajdowali się sto metrów poniżej tafli wód cieśniny Vestmannasund.

Kiedy radio przestało grać, w samochodzie zapadła niezręczna cisza.

Frida odchrząknęła.

– Nie masz żadnej muzyki? – zapytała. – Choćby tych farerskich rytmów, do których tańczycie, trzymając się za ręce?

– Nie.

– Więc może coś zanucisz?

Nolsøe spojrział na nią jak na wariatkę, a potem przeniósł wzrok na Katrine.

– Nie mogliśmy po prostu wysłać wam tej czaszki? – zapytał. – Nie byłoby łatwiej?

– To nie od nas zależało, Sigvald.

– A od kogo? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że Dania też ma kogoś nad sobą, tak jak my?

– Nie – odparła. – Ale pojawiły się naciski z ministerstwa.

Nolsøe mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, zapewne farerskie przekleństwo. Wprawdzie Hallbjørn nauczył Katrine kilku podstawowych zwrotów, żeby orientowała się jako tako w tej materii, ale tego określenia nie знаła.

Przez moment Ellegaard zastanawiała się, czy nie rozwinąć tematu. Doszła jednak do wniosku, że ostatecznie wszystko sprowadzało się do tego, iż Dania miała problem z Farojami. Rosnący problem. Najpierw presja Unii Europejskiej, by zrobić coś z polowaniem na grindwale, potem głośna zbrodnia w Vestmannie i początkowe ośmieszenie duńskiej policji, a teraz jeszcze ta czaszka. Minister nie mógł pozwolić sobie na to, by przed wyborami Wyspy Owcze znów stały się głośnym tematem – opozycja niechybnie to wykorzysta, punktując każdą koronę wydaną na utrzymywanie farerskiej gospodarki.

Wyjechali z tunelu i skręcili na krajową dwudziestkę jedynek w kierunku Vestmanny. Radio na powrót złapało lokalną stację Staðið FM 101. Grano muzykę niespecjalnie nadającą się dla uszu przyjezdnych – grupowe śpiewy przywodziły na myśl osobliwe

obrzędy religijne, choć dla Farerów zapewne były radosnymi piosenkami.

Sigvald w milczeniu zaparkował pod Krákureiðrið, gdzie Katrine zatrzymała się podczas poprzedniej wizyty.

– Było miło – powiedziała Frida, wysiadając z auta.

Ellegaard chwyciła za klamkę i kątem oka zauważyła, że Nolsøe się obrócił.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Masz na myśli ten niespełna trzyprocentowy trunk, który nazywacie piwem?

– Na przykład.

Spojrziała na zegarek. Pora była już odpowiednia, by skusić się na coś mocniejszego, ale na Farojach nie było o to łatwo. Władze dbały, by obywatele nie mieli wielu okazji do kultywowania jednego ze swoich najstarszych zwyczajów – zalewania się w sztok.

– Chętnie – odparła. – Zostawię tylko rzeczy w pokoju.

Sigvald skinął głową i wyłączył silnik. Kiedy wysiadała, oznajmił, że będzie czekał w pubie.

– Bądź sama – dodał jeszcze, zanim zatrzasnęła drzwi.

Katrine dopiero teraz rozumiała, że to nie ona była problemem, a Skovmand. Fakt ten dotarł do niej dobitnie, kiedy Farerowie zaczęli wylewnie się z nią witać, ignorując Fridę. W przypadku Nolsøego było to poniekąd zrozumiałe – w chacie starego Mikkelsena uratowała mu życie, tamując krwotok. Reakcja reszty stanowiła jednak dla niej zaskoczenie. Najwyraźniej Katrine nie była już traktowana jak obcy, jak wysłannik wrogiego kraju. Stała się członkiem społeczności – i zapewne cała ta historia z Hallbjørnem odegrała w tym procesie kluczową rolę.

Wraz z Fridą stanęły przed recepcją i odebrały klucz.

– A drugi? – zapytała Skovmand.

– Mamy tylko jeden wolny pokój – odparła Farerka.

– Co? – Frida przeciągnęła dłonią po przylizanych włosach. – Nie rozumiem.

– I tak udało nam się wyjątkowo znaleźć miejsce. Mamy zarezerwowane wszystkie pokoje aż do maja przyszłego roku. Musieliśmy przekonać jedną parę, żeby zatrzymała się na kempingu przy Fjarðavegur.

– Jak to?

Właścicielka hotelu rozłożyła ręce.

– Mamy tutaj tylko dwa miejsca, gdzie można zakwaterować przyjezdnych. Jest dużo

chętnych.

– Chce pani powiedzieć, że mamy spać w jednym pokoju?

Farerka spojrzała na Ellegaard w poszukiwaniu ratunku, ale Katrine tylko lekko się uśmiechnęła. Chwilę później razem ze Skovmand wtaszczyły swoje torby do niewielkiego pokoiku. Łóżko było małżeńskie. Spojrzały po sobie, nie odzywając się słowem.

– Wiedziałaś o tym – mruknęła Frida.

Katrine nie była pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

– Przypuszczałam, że będzie licho z noclegami, ale tego się nie spodziewałam.

Skovmand rzuciła torbę na łóżko i podeszła do okna. Z pokoju rozpościerał się widok na zbocza pobliskiego wzniesienia. Znacznie lepiej było po drugiej stronie hotelu, ale Ellegaard nie miała zamiaru narzekać – ani na to, ani na fakt, że będą musiały jakoś się tu zmieścić. I wytrzymać ze sobą.

– Tak się tu traktuje Duńczyków – zauważyła Frida. – Robią to z premedytacją.

– Zawsze możemy wynająć przyczepę kempingową.

– I tłoczyć się w wozie zamiast w tym pokoju?

– Są jeszcze mieszkania na wynajem przy Niðari Vegur piętnaście.

– Pewnie zajęte. Albo zarezerwowane dla kogokolwiek, kto może przypadkiem się tu zjawić. Z wyjątkiem Duńczyków.

Katrine uśmiechnęła się blado, uznając, że najwyższa pora opuścić pole walki. Sigvald z pewnością czekał już na dole i miał dla niej informacje związane ze sprawą.

– Nie ma tu nawet łazienki – ciągnęła Frida.

– Są dwie wspólne, z prysznicem.

– Świetnie.

Ellegaard skierowała się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – spytała Skovmand.

– Muszę zamienić kilka słów z Sigvaldem.

– A ja...

– A ty zadzwoń do Tórshavn i wypytaj o wszystko, co wiedzą o tych szczątkach.

Frida spojrzała na zegarek.

– O tej porze każdy Farer pije już w najlepsze i nie myśli o robocie.

– Na posterunku z pewnością ktoś jest – odparła Katrine. Na odchodnym posłała jeszcze Fridzie uśmiech, a potem poszła do lokalu. Nolsø czekał na nią z piwem. Dwa kufle stały

na stole, piana niemal się z nich wylewała.

Ellegaard usiadła naprzeciw Farera.

– *Skál* – powiedziała i pociągnęła łyk. – A teraz mów, co z tą czaszką.

Sigvald oparł łokcie na blacie.

– Od razu do rzeczy?

– A jakże.

Skinął głową.

– Wysłaliśmy ją do Tórshavn na badania, razem z cielskiem grindwala. Dziadostwo ważyło tyle, że ledwie je załadowaliśmy na pakę samochodu dostawczego.

Katrine nie chciała nawet sobie wyobrazić, jakie emocje musiał przeżywać kierowca, jadąc krętymi górskimi drózkami w kierunku stolicy.

– Macie tam sprzęt do obrazowania? – zapytała.

– Jako taki.

– To znaczy?

– Technologiczne możliwości zbadania tej czaszki są, ale brakuje nam ludzi z doświadczeniem.

– Skovmand pomoże.

– Nie wątpię – odburknął. – Ale z tego, co wiem, chodzi tylko o skan. Potem mamy przesłać wszystkie pliki do jakiegoś pracownika uniwersyteckiego w Danii i czekać, aż je zinterpretuje.

Ellegaard miała nadzieję zobaczyć czaszkę, ale z drugiej strony nie powinna się dziwić, że wszystko zostało spakowane i przewiezione do Tórshavn. Nikomu nie zależało na tym, by truchło walenia leżało w porcie – zwłaszcza po publikacji pewnego nagrania na YouTubie, które jakiś czas temu obejrzało dziesięć milionów internautów. Nawet teraz wystarczyło wpisać w polu wyszukiwania „Wyspy Owcze”, a trafiało się na film przedstawiający martwego grindwala, z którego eksplodują gazy i wnętrzności.

– Jak ta czaszka wyglądała? – zapytała Katrine.

Nolsøe sięgnął do stojącej przy nodze stołu teczki i wyjął z niej kilka fotografii. Prawdopodobnie w każdym innym miejscu na świecie podsunąłby jej tablet czy telefon, ale nie tutaj.

– Zasadniczo to tylko część czaszki – oznajmił. – Miejscowy lekarz twierdzi, że znaleźliśmy kawałek kości szczękowej, czołowej i oczodołu.

Katrine spojrzała na pierwsze zdjęcie. Kość była pokryta krwią i wnętrznościami, nikt jej nie oczyścił. Stanowiła może jedną czwartą całej czaszki. Poza tym trudno było powiedzieć cokolwiek więcej – Katrine nie wiedziała nawet, czy szczątki należą do osoby dorosłej, czy dziecka.

– Nic więcej nie znaleźliście? – spytała.

– Nie.

– Co z pozostałymi grindwalami?

– Wszystkie są wyłożone w porcie, będziemy je sprawdzać do późnych godzin nocnych – odparł i westchnął. – Normalnie na tym etapie kroimy je i rozdzielamy po równo między wszystkie wioski, ale w tej sytuacji zajmie to dwa razy więcej czasu. I wcale nie jest pewne, że znajdziemy resztę. Ten okaz mógł dołączyć do ławicy po tym, jak...

– Jak zeżarł kawałek ludzkiego ciała? – wtrąciła Ellegaard. – Sądzisz, że w ten sposób połknął tę kość?

– Nie wiem.

Widziała, że sama myśl wywoływała w Sigvaldzie odrazę. Mimo że Farerowie polowali na grindwale, szanowali te zwierzęta jak żadne inne. Była to głęboko zakorzeniona tradycja, jeszcze z czasów, gdy mięso tych ssaków stanowiło jedyny ratunek lokalnych społeczności przed zagłodzeniem.

– Czym one się żywią?

– Głównie mięczakami i rybami, takimi jak skarp, makreła czy dorsz. Pochłaniają je masowo, dziennie muszą przyjąć przynajmniej czterdzieści kilogramów pokarmu.

– Żartujesz?

– Nie, tak to wygląda.

– A ty skąd o tym wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Każdy Farer na jakimś etapie swojego życia pracuje na kutrze rybackim. Tak to jest.

Katrine przypomniała sobie, z jaką sprawnością Hallbjørn prowadził jednostkę, gdy płynęli za Øssurem Edvardssonem. Szybko odsunęła od siebie ten obraz, ale nasza ją dojmująca myśl, że tutaj wszystko prędzej czy później będzie kojarzyło jej się z Olsenem.

Przejrzała kilka kolejnych zdjęć. Nic jej nie mówiły.

– Wiemy coś jeszcze? – zapytała.

– Jeśli chodzi o właściciela czaszki? Nie.

– A jeśli chodzi o zaginione osoby?

– Też nie – westchnął Nolsøe. – W ciągu ostatnich dwudziestu lat nagle zniknęły tylko dwie osoby. Danjal Petur Hansen, którego...

– Zamordował chorwacki turysta w Runavíku, pamiętam.

– To nie był turysta, tylko imigrant z Chorwacji.

– No tak.

– Do tego dochodzi oczywiście Poula Løkin. I jest jeszcze pewne zabójstwo sprzed prawie trzydziestu lat.

– Zabójstwo?

Nolsøe ściągnął brwi i podrapał się po łysinie.

– To było w osiemdziesiątym ósmym – powiedział. – Dopiero zaczynałem pracę w policji. Każdy Farer pamięta tamto zdarzenie.

– Co się wtedy stało?

– Zazdrość się stała.

– A konkretniej?

– Facet zastrzelił swoją narzeczoną na Suðuroy, został ujęty, a potem skazany na karę pozbawienia wolności. Ale nie widzę, w jaki sposób miałyby to się wiązać z czaszką.

Katrine również nie miała pojęcia.

– Prędzej ten Chorwat mógłby mieć z tym coś wspólnego – dodał po chwili Sigvald.

– Dlaczego?

– Ciało Danjala Petura Hansena nigdy nie odnaleziono.

Ellegaard pociągnęła łyk föroya bjór. Nie było to najlepsze piwo, jakie w życiu piła, ale musiała przyznać, że jego smak dobrze się kojarzył. Ze szczęściem.

Natychmiast przestała o tym myśleć, świadoma kierunku, w którym zmierzały jej wspomnienia.

– Kim był ten Hansen? – zapytała.

– Byłem mężem pewnej Farerki – odparł Nolsøe i również się napił. Potem wziął głęboki oddech. – Chorwat, Milan Konovrat, przyjechał tutaj w dwa tysiące dziewiątym, zaczął uczyć się farerskiego, nawiązywał znajomości. W pewnym momencie związał się z byłą żoną Danjala Petura Hansena, którego wszyscy nazywaliśmy Pidde. Mieli romans, a w pewnym momencie doszło do jakiejś kłótni między aktualnym a byłym partnerem. W mieszkaniu Konovrata znaleziono zakrwawioną poduszkę i patelnię.

– Nie powiedział, gdzie ukrył ciało?

– Ukrył? – prychnął Nolsøe. – Skurczybyk zrzucił je z klifów. Nurkowie szukali przez długie tygodnie, ale nie natknęli się nawet na skrawek ubrania.

– Ile lat dostał Konovrat?

– Czternaście. Siedzi w jakimś duńskim więzieniu, wyjdzie dopiero w dwa tysiące dwudziestym piątym.

Ellegaard wyciągnęła komórkę, obróciła ją i zaczęła notować. Nie brzmiało to jak solidny trop, ale od czegoś trzeba było zacząć.

– Zmieniłaś notatnik na iPhone'a? – zagaił Sigvald.

– Tak jest wygodniej. Poza tym sam sprzęt to tylko odpowiednik długopisu, a za kartkę, tablicę korkową czy cokolwiek innego służy mi Evernote.

Nolsøe nie sprawiał wrażenia, jakby go to interesowało. Obracał kufel na stole i wzdychał przy tym, jakby miał wszystkiego już serdecznie dosyć. Może rzeczywiście miał. Poprzednim razem tylko czekał, by wrócić do Tórshavn – jeśli jakiegokolwiek Farera można było traktować jako mieszcucha, to z pewnością właśnie Sigvalda.

– Muszę wiedzieć, gdzie on konkretnie siedzi.

– Załatwię to – rzucił Nolsøe. – Ale wątpię, żeby zrobili wam telekonferencję.

– Nie ja będę z nim rozmawiać, a Kjeld Moslund.

Sigvald z powagą skinął głową. Nie tylko duńscy stróże prawa znali to imię i nazwisko. Niektórzy twierdzili, że przełożony Katrine był legendą, inni, że Moslund przez lata zajmował się raczej budowaniem własnej renomy niż ściganiem przestępców. Prawda zapewne leżała gdzieś pośrodku.

– Co ze sprawą Olsena? – zapytał nagle Nolsøe.

Katrine się wzdrygnęła.

– Złożył...

– Odwołanie do waszego Sądu Najwyższego – dopowiedział Sigvald. – Tak, wiem. Mam na myśli to, jaki był wyrok.

– Nie wiem.

– Nie śledziłaś tego?

– Nie. Zresztą możesz sam wejść na witrynę sądu i się przekonać. Do tej pory pewnie wszystko już tam jest, łącznie z krótkim uzasadnieniem. Pełne sporządzą do przyszłego tygodnia.



Nolsøe przez moment milczał.

– Miałaś dużo czasu na lotnisku – odezwał się w końcu.

– Słucham?

– Mogłaś zadzwonić do kogoś, zorientować się. Nie mówiąc już o wejściu na stronę sądu.

Wzruszyła ramionami.

– Ty też mogłeś to zrobić.

– Miałem pełne ręce roboty – mruknął. – Najpierw ta pierdolona czaszka w waleniu, a potem dwie Dunki, które musiałem przywieźć z lotniska.

– No tak.

Pociągnął dwa łyki, rozglądając się.

– Tak czy owak, to ty powinnaś być najbardziej zainteresowana – zauważył.

– A jednak nie jestem.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, pokręcił głową, a potem opróżnił kufel, nie pozostawiając wątpliwości, że nie ma zamiaru zostać w Krákureiðrið ani chwili dłużej.

– Starasz się upchnąć traumę gdzieś głęboko, co? – spytał. – Nigdy nie wychodzi z tego nic dobrego.

– Zachowaj te banały dla siebie, Sigvald.

– W porządku.

Sądziła, że wymienią się jeszcze drobnymi uszczypliwościami, by rozładować nieco atmosferę, ale Farer bez pożegnania skierował się do wyjścia. Podniósł rękę dopiero, gdy zobaczył, że spojrzała na niego właścicielka hotelu.

Katrine dokończyła piwo, po czym wróciła do pokoju. Podała Fridzie plik fotografii, nie do końca przekonana, czy Skovmand będzie chciała pracować o tej porze. Ta jednak rzuciła się na materiały, jakby czekała na nie od kilku miesięcy, a nie godzin.

Przeglądała chciwie zdjęcia, mruzczała coś pod nosem, kiwała do siebie głową, w końcu podniosła wzrok i wlepiła go w Ellegaard.

– Z jakiegoś powodu byłam przekonana, że to będzie dziecko – powiedziała.

– Ale nie jest?

– Nie, absolutnie nie. Czaszka jest za duża – odparła Frida, kładąc się na łóżku. Przerzuciła kilka fotografii. – Kości są duże, grube. To zawsze sygnał, że ofiarą najprawdopodobniej jest mężczyzna.

Katrine usiadła na łóżku i przypatrywała się Fridzie. Miała nadzieję, że Skovmand będzie potrafiła wyczytać z czaszki znacznie więcej. Techników szkolono, by kości do nich przemawiały.

– Niestety, mamy tylko twarzoczaszkę, więc nie widać całej *linea temporalis*, ale...

– Czego?

– Kresy skroniowej – odparła Frida, nie odrywając spojrzenia od dokumentacji. – Miejsca, do którego dociera mięsień skroniowy. U facetów zazwyczaj jest bardziej uwypuklony... i tutaj wydaje się, że też tak jest. Ale potrzebowałabym całości.

– W porządku. Co jeszcze?

– Najistotniejsze są oczodoły – powiedziała Frida. – U mężczyzn ich kształt jest raczej kanciasty, choć sam górny brzeg jest bardziej zaokrąglony. I gładki, to też ważne.

– Mhm.

– U kobiet oczodoły są bardziej owalne, ale górne brzegi ostrzejsze i węższe. W dodatku u nas łuska kości czołowej zazwyczaj jest pionowa, u mężczyzn nieco pochylona. Dochodzi jeszcze nadoczodołowe zgrubienie kostne, które...

– W porządku – ucięła Katrine. – Więc to najpewniej mężczyzna?

– Na to wygląda. Wstępnie. Bardzo wstępnie.

Zatem istniało prawdopodobieństwo, że nie będzie to żadna wielka zagadka. Być może po latach wreszcie odnalazło się zaginione ciało Danjala Petura Hansena. Właściwie było to dość logiczne założenie – jedne zwłoki znikły, jedna czaszka się pojawiła. Czy był powód, żeby dopatrywać się w tym czegoś więcej?

Ellegaard spojrzała na Fridę i przez moment się zastanawiała. Frida, leżąc na brzuchu, przerzucała fotografie. Wyglądała jak dziecko, które właśnie odnalazło pod choinką górę długo wyczekiwanych prezentów.

– Możesz oszacować wiek? – spytała Katrine bez większej nadziei.

– Na podstawie tego?

Policjantka pokiwała głową, a Skovmand z sykiem wypuściła powietrze.

– Potrzebowałabym mikroskopu, żeby zbadać zmiany w mikrostrukturach – mruknęła. – Bez tego wiele ci nie powiem.

– A jednak coś widzisz.

– Coś tak.

– Więc słucham.

– Patrząc na niektóre ujęcia, mogę pogdybać na temat stopnia kostnienia szwów czaszkowych. – Wskazała na jedną z fotografii i dopiero teraz uświadomiła sobie, że Katrine nie ruszyła się z miejsca. Podniosła głowę. – Będziesz łaskawa podejść? – warknęła.

Ellegaard szybko przysiadła na skraju łóżka. Skovmand pokazała jej linie biegnące tuż za oczodołem.

– Prosta sprawa – oznajmiła. – Im bardziej zrosnięte szwy, tym starsza czaszka.

Katrine patrzyła na linie, ale nic jej nie mówiły. Nie wyobrażała sobie, jak na tej podstawie można cokolwiek ustalić.

– To szew wieńcowy – dodała Frida, wskazując linię zaczynającą się gdzieś w okolicach skroni. – Zawsze wiele mówi na temat wieku ofiary. W tym przypadku stopień obliteracji jest dość zaawansowany, szczególnie w górnej partii...

Ellegaard czekała na ciąg dalszy, wpatrując się w zdjęcia, które nic jej nie mówiły. Pierwszy raz prowadziła sprawę, w której ofiara... właściwie nie przypominała ofiary. Zwłoki nie robiły na Katrine wielkiego wrażenia, nawet jeśli rozkładały się od pewnego czasu. Przez lata przygotowywała się do tego, że może obcować z takim widokiem na co dzień – i wiedziała, jak się w takiej sytuacji zachować, co przeanalizować, z czego wyciągnąć wnioski. Kościec jednak był dla niej zupełną zagadką.

Skovmand nagle nabrała tchu, wrywając Katrine z zamyślenia.

– Niestety, nie widać szwu klinowo-jarzmowego – oznajmiła. – Ale bez tego mogę coś z grubsza oszacować. Pamiętaj tylko, że to nic pewnego. Niektórzy zresztą twierdzą, że w ogóle nie powinniśmy dokonywać oceny wieku na podstawie skostnienia szwów.

– Niech idą w cholere – odparła Ellegaard. – Mów, co widzisz.

– Mężczyzna, rasy białej...

– Umiesz ustalić rasę?

– Spójrz na kształt oczodołów. U rasy żółtej są owalne, jak okulary Eltona Johna. U czarnej podłużne, jak okulary noszone w *Matrixie*. U białej zaś kształt przypomina awiatory.

Katrine skinęła głową. Musiała przyznać, że w ten sposób nikt jej jeszcze takich rzeczy nie tłumaczył.

– Wiek?

– Oceniłabym na pięćdziesiąt – sześćdziesiąt lat – stwierdziła Frida, mrużąc oczy. – Ale

raczej sześćdziesiąt. Obliteracja jest znaczna.

– Nie ma możliwości, żeby miał koło czterdziestki?

– Moim zdaniem nie. Ale, jak mówię, to tylko ustalenia na podstawie zdjęć.

– Więc to nie Pidde.

– Kto?

– Ofiara Milana Konovrata.

Skovmand skinęła głową na znak, że kojarzy tę sprawę.

– Danjal Petur Hansen w momencie śmierci miał czterdzieści dwa lata – dodała Katrine.

Obie spojrzały w okno.

– Kim w takim razie był ten gość? – zapytała Frida.

Katrine przypuszczała, że odnalezienie odpowiedzi na to pytanie będzie kosztowało ją sporo wysiłku.

## 12 października, środa, godz. 8.10

Staruszka włączyła telewizor i usiadła na starym, nieco wyleniałym fotelu. Spojrzała na zegarek i westchnęła. Mogła jeszcze pospać, a raczej mogłaby, gdyby tylko potrafiła. Z każdym kolejnym rokiem było jednak coraz gorzej. Budziła się, wstawała w nocy, zapadała nagle w drzemki podczas dnia. Czasem nie wiedziała nawet, czy jest rano, czy wieczór.

Teraz godzin słonecznych było około dziewięciu, ale w czerwcu noc trwała jedynie przez cztery godziny. W grudniu sytuacja się odwróci i słońce będzie ponad horyzontem raptem przez pięć godzin. Niegdyś uważała to za naturalne, teraz jednak gubiła się w rytmie dnia i nocy.

O trzynastej wnuczek miał przyjść na obiad. Zrobiła *ræstanfisk*, choć wiedziała, że dzisiejsza młodzież niespecjalnie lubi surowe ryby. Na więcej jednak nie miała siły. Może kiedy rozdzieli mięso z ostatniego połowu waleni, przygotuje *grindabúffur*, gotowane steki z ziemniakami w mundurkach i tranem. Za tym wnuk również nie przepada, ale wyjdzie mu to na zdrowie.

Kobieta zapatrzyła się w telewizor. Jak zawsze rozpoczynała oglądanie telewizji od włączenia KVF. Właśnie trwała powtórka wczorajszego wydania *Dagur og Vika*, jedyne go programu informacyjnego na wyspach, który rozpoczął nadawanie w osiemdziesiątym czwartym roku.

Pokazywano samolot podchodzący do lądowania na zamglonym lotnisku, a potem korowód turystów wysiadających z maszyny. Wśród nich staruszka rozpoznała Katrine Ellegaard. Dobrze pamiętała duńską policjantkę, zresztą nie ona jedna. Mieszkańcy Vestmanny darzyli ją dużą sympatią po tym, co się stało.

Prowadzący powiedział kilka słów o tym, że przedstawiciele Danii wejdą w skład grupy dochodzeniowej, która ma za zadanie ustalić, skąd wzięła się czaszka w żołądku upolowanego grindwala.

Staruszka długo nad tym myślała poprzedniego dnia. Ostatecznie doszła do wniosku, że nikt nigdy nie dowie się prawdy. Owszem, metody śledczych na pewno się udoskonaliły przez ostatnie lata, ale nigdy nie ustalą tożsamości ofiary. To po prostu niemożliwe.

Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. Zbudził ją dopiero dzwonek do drzwi.

Ocknęła się, rozglądając się nerwowo. Odniosła wrażenie, że w gardle ma namokniętą chusteczkę. Odchrząknęła, ale nic nie pomogło. Trudno, zmagająca się z tym już od dłuższego czasu.

Podniosła się powoli i podeszła do drzwi. Zakłęła w duchu, uświadamiając sobie, że nie zerknęła na zegarek. Ale z pewnością nie było jeszcze trzynastej, bo wtedy miał przyjść wnuczek. A on raczej by nie dzwonił. Zapukałby, a potem wszedł do środka.

Staruszka nieufnie otworzyła drzwi. W progu ujrzała Katrine Ellegaard i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Otworzyła usta, ale nie zdołała wydobyć głosu.

– *Góðan morgun* – powiedziała policjantka.

– Dzień dobry.

– Mogę zająć chwilę?

Kobieta poczuła drapanie w gardle, ale stłumiła kasznięcie. Zamiast tego znów odchrząknęła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że musi wyglądać na zdenerwowaną.

– Tak – bąknęła. – Proszę... proszę wejść. Dopiero co wstałam, ale...

Cofnęła się i wpuściła Ellegaard. Dunka natychmiast rozejrzała się uważnie. Nieostentacyjnie, ale z dostrzegalną czujnością. Typowe policyjne spojrzenie, skwitowała w duchu staruszka, a potem zaprowadziła gościa do pokoju dziennego.

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję. Nie zajmę wiele czasu.

Staruszka z przerażeniem pomyślała, że jakimś cudem trafili na jej trop. Zaraz jednak zmitygowała się, nie było powodu do paniki. Nikt nigdy nie odkryje prawdy, mogła być co do tego pewna. Wszystkie ślady zostały zatarte, wszystkie poszlaki zniszczone. Nawet cud nie naprowadziłby tej Dunki na właściwy trop.

Kobieta obróciła się i spojrzała na Katrine. Policjantka uśmiechnęła się i w końcu przestała się rozglądać.

– Bada pani sprawę tej czaszki? – spytała staruszka, siadając na swoim fotelu.

– Tak. Staram się zebrać trochę ogólnych informacji.

– Rozumiem – odparła kobieta i w końcu kaszlnęła. Było to jak kamień wywołujący lawinę. Dopiero po dłuższej chwili opanowała kaszel i mogła głębiej nabrać tchu. – Jak mogę pomóc? – zapytała.

– Powiedziano mi, że najstarsze domy w Vestmannie stoją przy Niðari Vegur.

– To prawda.

- Siłą rzeczy właśnie tutaj mogę znaleźć tych, którzy mieszkają tu najdłużej.
- To ładne określenie ludzi starych.

Ellegaard przysiadła na poręczy kanapy i uśmiechnęła się przyjaźnie. W jej oczach staruszka dostrzegła jednak determinację. Najwyraźniej czas na uprzejmości powoli się kończył, a policjantka miała zamiar przejść do konkretów.

- Zbieram informacje o wszystkich zaginięciach, jakie zdarzyły się w Vestmannie.
- Ach...
- Coś nie tak?
- Powinna pani sprawdzić archiwum „Sosialurin”.

Katrine zmarszczyła czoło.

– To największa lokalna gazeta na archipelagu – wyjaśniła gospodyni. – Chociaż... nie wiem, jak to teraz jest z „Dimmalætting”. Kiedyś to oni byli najwięksi, potem zawiesili działalność, a dzisiaj? Trzeba sprawdzić.

– Sprawdzę, dziękuję – odparła uprzejmie Katrine. – A tymczasem chciałam zapytać, czy pani czegoś takiego nie pamięta?

- Zaginięcia? Sama nie wiem...
- Nie musiało być niewyjaśnione – zaznaczyła Ellegaard. – Mam na myśli każde nagłe zniknięcie czy opuszczenie wyspy.

Staruszka zmrużyła oczy i pochyliła głowę. Miała nadzieję, że wygląda, jakby za wszelką cenę starała się przypomnieć sobie takie sytuacje.

- Jak daleko mam sięgnąć pamięcią? – spytała.
- Jak tylko się da.
- W tym wieku, wie pani...
- Przyda mi się każda informacja.

Kobieta widziała, że Dunce się spieszy. Policjantka zapewne miała do obejścia jeszcze kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt domów na Niðari Vegur. Być może później zacznie rozpytywać także na innych ulicach. Straci sporo czasu i do niczego nie dojdzie.

– Cóż... – podjęła staruszka. – Kiedyś mawiało się, że niejedną dziewczynę zabrali ukryci ludzie. *Huldufólk*.

- Tak, znam te mity.
- Mity?

Staruszka rzadko piorunowała kogoś wzrokiem. Właściwie zapomniała już, jak to jest.

Tym razem jednak skierowała na Dunkę najgroźniejsze ze swoich spojrzeń.

Młodzi. Zawsze tak samo butni, bezczelni i gotowi igrać z rzeczami, których nie rozumieją.

– To nie żadne mity – powiedziała dobitnie. – *Huldufólk* istnieją.

Dostrzegła, że Katrine próbuje zachować powagę.

– Tak... słyszałam o badaniach – odezwała się policjantka. – Podobno na Islandii pięćdziesiąt sześć procent ludności wierzy w ukrytych ludzi i elfy.

Staruszka milczała. Nie miała zamiaru rozprawiać na ten temat z osobą, która w każdej chwili może urazić kogoś z *huldufólk*. Przyjezdni byli najgorsi. Nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, nie widzieli tego, co doświadczyło wielu Farerów.

Ellegaard patrzyła na nią wyczekująco, jakby spodziewała się, że usłyszy coś więcej.

– Więc te istoty mieszkają w głazach? – zagaiła.

– Najprawdopodobniej.

– Ktoś je widział?

– Nie. Nie przyjmują fizycznej formy, przynajmniej już nie.

– A więc jak mogłyby porwać te dziewczyny, o których pani wspomniała?

– Nie robią tego same. Wnikają w psychikę ludzką.

– Posługują się innymi?

– Tak – odparła z przekonaniem kobieta. – Zresztą ich obecność da się wyczuć. Żaden z przyjezdnych nigdy nie doznał tego uczucia, ale jeśli zostanie pani odpowiednio długo i uwierzy, ukryci ludzie być może się odezwą.

– Być może – mruknęła Katrine. – A tymczasem może opowie mi pani o tych zaginięciach?

Staruszka przez chwilę się namyślała. Właściwie nie było nic złego w tym, by opisać policjantce każdy przypadek. Sprowadzi ją tym samym na manowce, ale przecież o to chodziło. Wzięła oddech, a potem zaczęła snuć opowieść o dziewczynie, która zaginęła niegdyś na wiele dni i mimo wzmożonych poszukiwań nikt nie mógł jej znaleźć. Ostatecznie odnalazła się na szczycie Loysingarfjall – twierdziła, że zaprowadził ją tam mężczyzna w bieli. Miał się nią opiekować i karmić, dzięki niemu przetrwała srogie warunki panujące w górach. Nigdy nie rozpoznała jego oblicza w żadnym z mieszkańców Vestmanny.

Staruszka zdążyła opowiedzieć jeszcze jedną, podobną historię, zanim Katrine uprzejmie



podziękowała. Szkoda, było jeszcze kilka takich przypadków, ale skoro policjantka chciała, by *huldufólk* sami przekonali ją o swoim istnieniu, był to wyłącznie jej problem.

– Będę się zbierać – powiedziała. – I jeszcze raz dziękuję. Gdyby przypomniała sobie pani coś, proszę po mnie posłać. Zatrzymałam się w Krákureiðrið.

– Poślę.

Stara Farerka pomyślała, że gdyby Ellegaard miała choć blade pojęcie o tym, co wie gospodyni, nigdy tak szybko nie opuściłaby jej domu.

Katrine ruszyła do wyjścia.

– Wie pani...

– Tak? – zapytała Ellegaard, zatrzymując się przed drzwiami.

– Ta cała sprawa z Hallbjørnem... To wszystko przez duchy kamieni.

– Duchy kamieni?

– To inne określenie *huldufólk* – wyjaśniła kobieta. – To oni wniknęli w jego umysł.

Policjantka nacisnęła klamkę i pociągnęła drzwi do siebie.

– Miłego dnia – powiedziała.

– To ich sprawka.

Katrine przekroczyła próg i zamknęła drzwi, nie odwracając się.

## 6

### 12 października, środa, godz. 19.42

Tego wieczoru Ellegaard zrezygnowała z niskoprocentowego piwa i kupiła okkarę. Nie było jednak łatwo – musiała pożyczyć służbowe mondeo Nolsøego i pojechać do Miðvágur na wyspie Vágar. Na samym końcu wioski, niedaleko jeziora Leitisvatn, znajdował się niewielki, niepozorny budynek. Była to jedna z sześciu placówek detalicznych państwowego monopolu, w których można było kupić piwo o normalnej zawartości alkoholu. Katrine chciała pojechać do Tórshavn, ale Sigvald szybko wyperswadował jej ten pomysł, twierdząc, że na Vágar jest bliżej. Zaufała mu – wyglądał na człowieka, który orientował się w temacie.

Niestety, nie był tak dobrze zorientowany w sprawach zaginięć. Twierdził, że jedynymi osobami, które nagle znikły, byli Danjal Petur Hansen i Poula Løkin. Ostatecznie więc Ellegaard pozostał jedynie trop *huldufólk*. Choć właściwie trudno było mówić o

jakimkolwiek tropie. Ponieważ historie były przekazywane z pokolenia na pokolenie, nawet najstarsi mieszkańcy Niðari Vegur nie potrafili stwierdzić, w którym roku rzekome zniknięcia się wydarzyły.

Katrine czekała na wieści od Skovmand i powoli traciła cierpliwość. Od kiedy Frida zabrała piwo i wyszła z pokoju, by spokojnie porozmawiać z kimś z Tórshavn, minęła już dobra godzina.

Ellegaard nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta sprawa okaże się ślepym zaułkiem jej kariery. Będzie zajmowała się nią przez długie miesiące, aż wreszcie śledztwo zostanie umorzone z braku dowodów. Nikt nigdy do niego nie wróci, chyba że analizując rozwiązane i nierozwiązane sprawy Katrine, kiedy przyjdzie do awansowania jej na wyższe stanowisko. I wówczas czaszka może przechylić szalę na jej niekorzyść.

Katrine wyciągnęła z torby tabliczkę białej czekolady. Przez chwilę jej się przyglądała, jakby mierzyła wzrokiem potencjalnego przeciwnika. Ostatecznie schowała czekoladę, otworzyła drugie piwo i pociągnęła duży łyk. W Miðvágur kupiła klasyczną okkarę, piwo smakowało nie najgorzej. Miało delikatny karmelowy, chlebowy posmak, ale najważniejsze było to, że mogło pochwalić się przyzwoitą zawartością alkoholu.

Ellegaard przez moment skupiała się na odklejaniu rogu etykiety. W końcu zerwała część i postanowiła, że musi jak najprędzej zakończyć tę sprawę. Nie doszło tutaj do żadnego przestępstwa, a do niej należało, by szybko to wykazać. Nie odłożą tej sprawy *ad acta*, zamkną ją. Katrine będzie miała spokój i zajmie się poważnymi dochodzeniami w Kopenhadze.

Przerwała rozmyślenia, kiedy na korytarzu rozległy się kroki.

Frida uchyliła drzwi, wsunęła głowę do pokoju i skinęła na Katrine.

– Chodź – powiedziała. – Mam coś.

– Lepiej, żeby to było coś dobrego.

– Weź mi piwo – rzuciła jeszcze Frida, po czym zniknęła w korytarzu.

Wyszły przed Krákureiðrið i skierowały się w stronę falochronu. Pirs nieopodal był oświetlony wysoką latarnią, Katrine pamiętała, że jeden z mieszkańców określił to miejsce jako najjaśniejsze w Vestmannie. Być może tak było.

Usiadły na sztucznym półwyspie i zwiesiły nogi nad wodą.

– Co wiemy? – zapytała Ellegaard.

– Że badanie DNA jest o kant dupy potłuc. Przydałyby się zęby, bo w nich materiał

zachowuje się najdłużej, ale z tego, co wiem, żadnych nie znaleziono.

Katrine wbiła wzrok w światła domów po drugiej stronie zatoki.

– Ani zębów, ani reszty tego nieszczęśnika – powiedziała.

– W Tórshavn wyciągnęli co nieco, ale tak czy inaczej, potrzebujemy kogoś z rodziny, by porównać DNA.

– To akurat nie problem, Vestmanna nie należy do skandynawskich metropolii.

– Mhm... to zarazem plus i minus.

– Bo są ze sobą spokrewnieni?

– Otóż to – potwierdziła Frida. – Przy tak nikłym materiale, bez zachowanego szpiku kostnego, trudno zdobyć wystarczającą liczbę informacji. DNA nam nie pomoże, dopóki nie znajdziemy czegoś więcej.

– Przypuszczam, że w końcu na coś trafimy.

– Nurkowie już pracują?

– Tak.

– I co, pływają po całym Morzu Norweskim? Bo ławica mogła na dobrą sprawę przyplłynąć z Islandii.

– Podobno mają jakiegoś specjalistę, który potrafi stwierdzić mniej więcej, gdzie ostatnio były te grindwale.

– Tyle że ta czaszka mogła zostać połknięta gdziekolwiek – mruknęła Skovmand.

Katrine obróciła się do niej.

– Ale nie kiedykolwiek – zauważyła.

– Ano nie.

– Więc w Tórshavn ustalili wiek tego szkieletu?

– A skąd. To banda farerskich wieśniaków, których trzeba by wysłać na porządny kurs do Kopenhagi albo Brøndby, żeby zaczęli w ogóle ogarniać temat kryminalistyki.

Katrine uśmiechnęła się pod nosem, żałując, że Frida wyszła z pokoju, gdy rozmawiała ze swoim farerskim odpowiednikiem. Konwersacja z pewnością była żywiołowa.

– Ale ty wyciągnęłaś coś z tej czaszki, tak? – zapytała.

Frida spojrzała na nią.

– Próbujesz połechtać moje ego?

– Nie. Jest już tak wysokie, że go nie dosięgam.

Frida skrzywiła się, a potem wyjęła z kieszeni paczkę prince'ów. Poczęstowała Katrine,

która chętnie skorzystała.

– Coś zawsze można ustalić – odezwała się po chwili Skovmand.

– Na przykład to, od jak dawna ciało znajdowało się w wodzie – podsunęła Ellegaard. Czekala, aż technik zajaknie się na ten temat, ale najwyraźniej musiała pociągnąć ją za język. Był to dobry znak – jeśli Frida zostawiła te ustalenia na koniec, oznaczało to, że dotarła do konkretów.

– Na przykład – zgodziła się Skovmand.

– I jak to jest w przypadku naszego Johna Doe?

Frida zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Na łądzie sprawa jest prosta – zaczęła. – Czasem wystarczą nawet dwa tygodnie, żeby został praktycznie sam szkielet. – Rozejrzała się. – Przynajmniej w normalnych miejscach, gdzie jest sporo bakterii, owadów i dzikich zwierząt. W oceanach jest jednak inaczej. Jeśli nawet ciało dryfuje na powierzchni, obecność insektów jest znikoma.

– Jak długo może się unosić?

– Wszystko zależy od warunków. Tutaj... Dajmy na to, trzy tygodnie. W tym czasie dochodzi do saponifikacji. Przeobrażenia tłuszczowo-woskowego.

– Mhm...

– Tkanki zmieniają się w mydlaną, tłustą powłokę, która hamuje rozwój bakterii – kontynuowała Frida. – Skóra pokrywa się pęcherzami, a dodatkowo przyjmuje ciemnozielony odcień, właściwie bardzo bliski czerni. W końcu pojawiają się małe ryby, kraby czy inne morskie żyjątka i zaczynają ucztę. Zajmują się głównie miękkimi częściami ciała, szczególnie gustują w oczach i ustach.

Katrine przełknęła ślinę.

– A potem trafiają jako owoce morza na twój talerz – dodała Frida.

– Nie jadam sushi. I chyba szybko się to nie zmieni.

– W takim razie powstrzymaj się też przed spożywaniem mięsa z rekina, bo właśnie te ryby najchętniej polują na takie łakome kąski. Jeśli jakieś żerują w okolicy, wszystkie nasze obliczenia wezmą w łeb.

– Ale założmy, że ich nie było.

– Założmy – zgodziła się Skovmand. – W takim wypadku po jakichś trzech tygodniach zwłoki przechodzą zaawansowany proces dekompozycji. Gdybyśmy wtedy znalazły Johna Doe, jak mówisz, mogłybyśmy zidentyfikować go jedynie na podstawie DNA lub karty

dentystycznej.

– A zeszkieletowanie?

– W ciepłych wodach około miesiąca.

– A w tych?

– Trudno powiedzieć. Poziom pH jest tutaj znikomy, temperatura dość niska... jeśli byłaby niższa od siedmiu stopni, w ogóle trudno byłoby mówić o zeszkieletowaniu. W takich warunkach dostalibyśmy trupa dokładnie takiego, jaki wylądował w wodzie.

Katrine przygryzła dolną wargę.

– Więc trzeba założyć, że grindwale nie przyplłynęły z północy.

Frida skinęła głową.

– Jeśli waleń połknął czaszkę gdzieś poza Wyspami Owczymi, to tylko na południu albo na wschodzie, gdzie temperatura jest wyższa.

– Ale kiedy to się mogło stać?

– Nie mam pojęcia – odparła Frida i pstryknęła niedopałkiem w taflę wody. – Kości na dobrą sprawę mogą pochodzić z wikińskiego langskipu, który zatonął kilka wieków temu. A równie dobrze może to być Bogu ducha winny Farer, którego ktoś zepchnął z klifów dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści lat temu.

Ellegaard wypuściła ze świstem powietrze. Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie przyjąć, że wszystko jest możliwe. Nawet interwencja *huldufólk*<sup>[1]</sup>.

– O jakim minimalnym okresie mówimy? – spytała.

– Pięć lat.

– Więc musimy tylko sprawdzić zaginięcia z okresu od pięciu do dwóch tysięcy lat wstecz.

– Mniej więcej.

– Świetnie. Sprawa rozwiąże się sama, przy naszym kurtuazyjnym udziale.

– Otóż to.

Zamilkły, patrząc na oświetlone budynki na zboczach, wyglądające stąd jak liche światełka na ubogiej choince bożonarodzeniowej. Stały w dużej odległości od siebie, światło było żółtawe, jakby przygasające. Katrine pomyślała, że obserwowanie takiego widoku przez kilka dni czy tygodni może napełniać spokojem, ale kiedy trwa tutaj niemal noc polarna, musi to być dojmujące uczucie.

– Musimy też uwzględnić wersję, że ławica przyplłynęła z wybrzeży Norwegii, Wielkiej

Brytanii czy nawet Danii. Tam tempo rozkładu byłoby nieco szybsze – dodała Frida.

Dopiły piwo w milczeniu, wypalając przy tym po jeszcze jednym papierosie. Ellegaard miała dosyć piętrzących się pytań i niepewności, ale nie wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi. Jedna ze starszych kobiet na Niðari Vegur proponowała, by przejrzeć archiwa lokalnej gazety – i być może to jedyne wyjście.

Problem polegał na tym, że archiwum w tym przypadku rozumiane było tak jak w Danii kilkanaście lat temu – nie jako zdigitalizowany zbiór, ale pomieszczenie, w którym piętrzyły się zakurzone stare wydania gazety, zapomniane materiały i zbędne dokumenty. Ellegaard nie przypuszczała, by dbano tam o skrupulatne katalogowanie bazy danych. Aby dokopać się do informacji o osobach, które znikły bez wyjaśnienia, będzie musiała wykonać katorżniczą pracę.

Z drugiej strony nie ona jedna się tym zajmowała. Ledwie pojawiła się ta myśl, Katrine sięgnęła po komórkę. Przez chwilę bezskutecznie próbowała połączyć się z Internetem, a potem wybrała numer informacji z Tórshavn.

– Co robisz? – zapytała Skovmand.

– Starymi metodami zdobywam namiar na naczelnego „Dimmalætting”.

Początkowo kobieta w informacji nie była zbyt pomocna, twierdząc, że o tej porze nikogo w redakcji nie ma, a ona nie może przekazać numeru domowego, jeśli Ellegaard nie poda jej adresu. Ostatecznie jednak Katrine udało się przekonać ją, że sprawa jest nagląca, a duńska policja musi mieć ten numer. Z pewnością pomógł fakt, że kobieta prywatnie знаła naczelnego, o co nietrudno było w dwunastotysięcznym mieście.

Stolica kraju, a ludzi jak w duńskim Brønderslev, odludnym miasteczku na samym krańcu Półwyspu Jutlandzkiego, pomyślała Katrine.

Wybrała numer redaktora naczelnego.

– Rasmus Christiansen? – zapytała.

– Tak. Kto mówi?

Ellegaard przedstawiła się, a potem z dobrze skrywaną satysfakcją wymieniła swój nowy stopień służbowy. Usłyszała, jak Rasmus odchrząkuje.

– Miło mi, że pani dzwoni, choć nie bardzo wiem, skąd ma pani numer.

– Prowadzimy nieustanną inwigilację prasy.

– Ach tak.

– Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Christiansen.

– W sprawie czaszki? Czy znaleźliście coś więcej?

– Niestety nie – odparła Katrine i westchnęła. Powinna się spodziewać, że dziennikarz od razu skorzysta z okazji, by coś z niej wyciągnąć. Zasadniczo nie miała nic przeciwko, zresztą od początku powinna zadbać o dobre relacje z którąś z rywalizujących ze sobą gazet. Sprawa kości mogła okazać się jedną z tych, w których kluczową rolę odegra czwarta władza.

– Więc w czym mogę pomóc? – zapytał Rasmus.

Przyjazny, uczynny ton świadczył dobitnie o tym, że dziennikarz zwietrzył okazję.

– Pomyślałam, że do tej pory zbadaliście już wszystkie przypadki zaginięć.

– Słusznie.

– Przekopaliście archiwum?

– Wzdłuż i wszerz, pani *vicepolitikommisær*. Zaprząłem do roboty kilku stażystów i nie wypuszczałem ich z archiwum dopóty, dopóki czegoś nie znaleźli.

– A więc chyba dalej tam siedzą.

– Słucham?

– Przeglądałam dziś wieczorem stronę „Dimmy” i nie widziałam tam żadnych nowych doniesień.

Christiansen zagwizdał pod nosem. Dźwięk był tak wysoki, że Ellegaard musiała odsunąć telefon od ucha.

– Trzymamy prawdziwą bombę na papierowe wydanie.

– Wątpię – odparła z uśmiechem Katrine. – W erze Internetu nie moglibyście sobie na to pozwolić.

– W porządku, ale rzeczywiście coś mamy.

– Co takiego?

– Przeczyta pani o tym w najnowszym numerze „Dimmalætting”.

– Niech pan sobie nie żartuje.

– Jestem śmiertelnie poważny – zaprotestował. – Ale chętnie zmienię podejście.

– Jeśli...

– Jeśli obieca pani informować mnie pierwszego o postępach w sprawie.

– Z pominięciem „Sosialurin”, jak rozumiem.

– Tak, ale to nic zdrożnego – stwierdził z przekonaniem Rasmus. – Nie mówię, że oczekuję nielegalnych przecieków czy wykluczania innych mediów. Chodzi mi jedynie o

pierwszeństwo. Może mi to pani obiecać?

– Gdyby było inaczej, nie dzwoniłabym do pana.

Zaśmiał się cicho.

– Same konkrety, świetnie – odparł. – To lubię.

– Ja też, więc proszę mi jakieś przedstawić.

Usłyszała, jak bierze oddech.

– Moi pracownicy przegrzebali wszystko, co było do przegrzebania – zaczął. – I nie natknęli się na żaden pojedynczy przypadek zaginięcia, który nie zostałby już opisany w mediach. A zapewniam, że gdyby ktoś znikł, mielibyśmy po tym jakiś ślad. Nasza gazeta istnieje od tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku... Czego nie można powiedzieć o „Sosialurin”.

– Z pewnością nie macie materiałów z tamtego okresu.

– Nie, ale mamy indeksy artykułów. Próżno szukać czegoś, co odpowiadałoby tej sprawie.

Ellegaard zakłęta w duchu. Prawdopodobieństwo, że grindwal przyplłynął z południa lub ze wschodu, właśnie znacznie wzrosło. A jeśli tak, ta sprawa może okazać się jeszcze większą zmorą. Oczywiście wymarzoną sytuacją byłoby, gdyby w grę wchodziły wody przybrzeżne Norwegii lub Wielkiej Brytanii – wówczas przekazałaby sprawę stosownej jednostce. Ale co, jeśli denat pochodził z Danii? Niełatwo będzie umorzyć dalsze postępowanie.

– Oby to nie była jedyna wieść, jaką ma pan dla mnie.

– Oczywiście, że nie jest.

Katrine dostrzegła kątem oka, że Frida się podnosi. Skovmand postukała dwiema pustymi butelkami o siebie, a potem znacząco spojrzała w kierunku Krákureiðrið. Ellegaard skinęła głową, uznając, że chętnie wypiłaby jeszcze jedną okkarę.

– Więc? – ponagliła rozmówcę.

– Kazałem rozszerzyć poszukiwania. Jasne jest, że czaszka nie należy do nikogo zaginionego, ale przecież różni ludzie mieszkają na archipelagu. Także samotni, przyjezdni, imigrujący, emigrujący...

– Emigrujący?

Zadawszy to pytanie, Katrine uświadomiła sobie, co Rasmus ma na myśli. Wyspy Owcze rokrocznie opuszczało całe mrowie Farerów. Szukali wykształcenia, lepszej pracy,



cieplejszego klimatu, większych zarobków... nowego życia. Nikogo nie dziwiło, że jeden czy drugi z dnia na dzień potrafił podjąć decyzję o przeniesieniu się na kontynent. Było to wpisane w nowoczesny kształt Farojóów.

– Twierdzi pan, że ktoś mógł upozorować opuszczenie wyspy przez ofiarę? – zapytała.

– Czemu nie? To wygodny sposób na uniknięcie konsekwencji.

Miał stuprocentową rację. Wystarczyło, by denat był jednym z odludków, których tutaj nie brakowało. Zabójca mógł pozbawić go życia, przekonać kilka osób, że ofiara przeniosła się na kontynent, a potem pozbyć się ciała, zrzucając je z klifów.

Nagle Ellegaard zaczęły zalewać inne pomysły. Poczuli, że jej umysł wreszcie się otworzył, wskakując na odpowiednie tory. Czaszka mogła należeć do przypadkowego turysty, którego losem nikt się nie zainteresował. Mogła pochodzić od człowieka, który miał zostać pochowany gdzieś na cmentarzu w Vestmannie, ale z jakichś powodów nie został.

Nie były to jedyne możliwości. Katrine wiedziała, że Wyspy Owcze to raj dla trekkingowców – dzika natura, brak ścieżek i map sprawiały, że ludzie masowo wyruszali na długie piesze wyprawy. Problem polegał na tym, że czasem nikt nie wiedział, gdzie są ani dokąd idą. W najwyższym punkcie niewielkiej wysepki Mykines jest zresztą tablica pamiątkowa poświęcona tym, którzy spadli stamtąd w przepaść. Uważa się jednak, że nie ma tam wszystkich nazwisk.

Oprócz tego na archipelagu znajdowały się tak odludne miejsca, że mogłaby zniknąć cała rodzina, a reszta prawdopodobnie nigdy by tego faktu nie odnotowała.

Katrine dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Christiansen coś do niej mówi.

– Może pan powtórzyć?

Westchnął, jakby na co dzień musiał się zmagać z duńskim dyletanctwem.

– Mówiłem, że jak tylko próba węglowa zostanie wykonana, a wiek kości ustalony, trzeba będzie przejść się po wszystkich hotelach czy mieszkaniach na wynajem i sprawdzić, czy ktoś akurat w tym czasie nie wyemigrował.

– Mhm – potwierdziła Ellegaard. – Niech pan to zostawi nam.

– Pewnie, zostawię. Przynajmniej do czasu, aż znów pani do mnie zadzwoni.

– Z pewnością to zrobię. A tymczasem dziękuję.

Rozłączyła się, zanim dziennikarz zdążył odpowiedzieć. Przypuszczała, że w przeciwnym wypadku musiałaby udzielić mu jeszcze kilku solennych zapewnień, że zgłosi

się do niego pierwszego, jak tylko na coś trafi.

Poczekala na Fridę, a potem streściła jej rozmowę. Technik słuchała relacji ze stoickim spokojem. Kiedy Katrine skończyła, czekała na reakcję, ale Frida trwała z kamiennym wyrazem twarzy. Właściwie był to najbardziej wymowny komentarz.

– Możemy na coś liczyć, korzystając z metody radiowęglowej? – zapytała Ellegaard.

– Oczywiście.

– Myślałam, że to wchodzi w grę głównie w archeologii.

– Nie tylko. Nawet z mikrograma dobrego materiału można określić wiek znaleziska do pięćdziesięciu tysięcy lat wstecz, z dokładnością plus minus dwadzieścia lat. No, o ile nie jest to okres między osiemnastym wiekiem a połową dwudziestego, bo wtedy stężenie...

– Dobra, dobra. Dwudziestoletnia granica błędu nas nie urządza.

– Ano nie.

– Więc jak datowanie może nam pomóc?

– Dzięki próbom termojądrowym.

– Hm?

– Gdyby nie one, trudno byłoby kryminalistycy korzystać z radiowęgla. Chodzi o to, że stężenie interesującego nas izotopu znacznie się podniosło w latach sześćdziesiątych, a potem znów opadło. Dzięki temu możemy stwierdzić mniej więcej, kiedy zmarł nasz John Doe.

– Z jaką dokładnością?

– To zależy od stężenia węgla-czternaście. Jeśli ta próba nic nie da, skorzystamy z cezu-sto trzydzieści siedem. Po wybuchu w Czarnobylu nadaje się idealnie.

– Jak długo to potrwa?

– A wyglądam, jakbym siedziała w laboratorium w Zurychu?

– Tam pójdzie czaszka?

Skovmand się skrzywiła.

– Tam poszłaby, gdyby sprawa była priorytetowa. Ale nie jest, więc przypuszczam, że trafi do laboratorium w Kopenhadze. I najpierw będą badania antropologiczne; są tańsze i szybsze. Trudno powiedzieć, kiedy możemy spodziewać się wyników.

Katrine zastanawiała się, co mają tutaj robić przez ten czas. Oczywiście zbadają wszystko to, co znajdowało się w grindwalach – pewnie już je oczyszczono – i przepytają każdego mieszkańca Vestmanny oraz okolicznych wiosek... Ale co dalej?

Z tym pytaniem kołaczącym się w głowie Ellegaard położyła się spać. Wypiły z Fridą co najmniej o jedno piwo za dużo, ale dzięki temu żadnej z nich nie przeszkadzało, że muszą dzielić ze sobą pokój i łóżko. Poza tym Katrine spodziewała się, że będą miały okazję się wyspać.

Pobudka o siódmej rano była jednak przypomnieniem, że na Farojach można się spodziewać wszystkiego.

Jako pierwsza z łóżka zwlekła się Skovmand.

– Co jest, do cholery... – wychrypiała.

Katrine potrzebowała chwili, by otrząsnąć się ze snu. Spojrzała w okno i dopiero teraz uświadomiła sobie, co ją obudziło. Na zewnątrz panowało poruszenie. Farerowie krzyczeli coś w swoim języku, brzmiało to, jakby wszyscy nagle zwariowali.

– Ci ludzie podobno są flegmatyczni i spokojni...

– Na co dzień – odparła Katrine, podnosząc się.

Frida podeszła do okna i odsłoniła firankę.

– Widzisz, co się dzieje? – spytała Katrine.

– Nie. Muszą być po drugiej stronie.

Kiedy wyszły na korytarz, minął ich pędzący mężczyzna, ledwo unikając zderzenia. Zatrzymał się przed głównym wejściem, jedną ręką dopinając kurtkę, a drugą narzucając kaptur na głowę.

– Powiedzieć, że mu się spieszy, to mało – zauważyła Frida. – Wypowiedzieli wojnę Danii, czy jak?

Ellegaard musiała przyznać, że tak to wyglądało. Opuścili Krákureiðrið i zobaczyły dużą grupę ludzi idącą po Niðari Vegur w kierunku wodospadu i mostu, pod którym płynęły spienione wody. Kilka kolejnych grup nadciągało od strony centrum. Wszyscy byli wzburzeni. Ostatnim razem takie poruszenie Ellegaard widziała podczas wiecu zorganizowanego przez nacjonalistyczną posłankę. Choć ówczesne emocje stanowiły tylko ułamek tych, które dziś buzowały w mieszkańcach.

– Chodźmy – powiedziała do Fridy.

Nie musiała dwa razy jej tego powtarzać. Lekkim truchtem ruszyły za ostatnią z grup. Katrine rozpoznała jednego z mężczyzn, Jóhana Bærentsena.

– Co się dzieje? – zapytała.

Spojrzał na nią, jakby urwała się z choinki.

- Nic dobrego.
- A konkretnie?
- Hallbjørn wrócił.

7

## 13 października, czwartek, godz. 7.04

Taksówka zatrzymała się tuż przed stacją benzynową, obok wjazdu na kemping. Ulicę zablokowała grupka kilku osób trzymających się za ręce. Olsenowi przypominali protestujących ekologów lub obrońców praw zwierząt, którzy od czasu do czasu przyplływali do Vestmanny, by wyrazić sprzeciw wobec poławiania grindwali.

Istniała jednak pewna różnica między aktywistami a paroma mieszkańcami, którzy zablokowali ulicę. Ci stojący przed taksówką nie byli pokojowo nastawieni. Nie interesowała ich spokojna manifestacja – przeciwnie, łaknęli krwi.

- Dalej nie pojedę – odezwał się kierowca.
- Proszę spróbować. Rozsuną się.
- Nie wygląda na to – stwierdził taksówkarz. – A ja nie mam zamiaru ryzykować. Płać pan i wysiadaj.

– Ale...

– A potem powodzenia. Jakby co, mogę zadzwonić po policję.

Hallbjørn popatrzył w lusterko nad głową kierowcy. Mężczyzna wiercił się na fotelu, nerwowo odchrząkiwał i zaczynał się pocić. Nic dziwnego. Stojący przed nimi Farerowie nie sprawiali wrażenia, jakby chcieli odejść bez łupów.

– No już – ponaglił go kierowca.

Olsen wyciągnął portfel i odliczył odpowiednią kwotę.

– Daj pan połowę i po prostu idź.

Wręczył mu całość, a potem bez słowa otworzył drzwiczki i wysiadł. Rzucił okiem na czterech mężczyzn i dwie kobiety, po czym obszedł samochód. Wyjął z bagażnika wojskową torbę i przerzucił ją sobie przez ramię. Ostatnim razem, gdy mijał z nią rogatki Vestmanny, był przez większość witany z honorami. Oczywiście, niektórzy twierdzili, że służba w duńskiej armii to ujmą dla prawdziwego Farera, ale ci narodowcy uaktywnili się na dobre dopiero po jakimś czasie, gdy emocje opadły.

Hallbjørn przypuszczał, że tym razem nie będzie tak łatwo.

Taksówkarz skręcił w kierunku kempingu, szybko nawrócił, a potem skierował się z powrotem w stronę Vágar.

Olsen dostrzegł, że z miasta nadchodzą posiłki. Najwyraźniej tych sześcioro nie było jedynymi ludźmi w Vestmannie, którzy mieli obiekcje co do jego powrotu.

Czy mógł im się dziwić? Sam nie był pewien, kim jest, co dopiero mówić o winie lub jej braku. Wiedział jedynie, że musi wrócić do córki. Zabierze ją stąd, jeśli nie będzie innego wyjścia, a potem zaczną nowe życie gdzie indziej. Może na Suðuroy, może na innej wyspie, nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, by Ann-Mari była bezpieczna.

– Zawracaj, Olsen! – krzyknął jeden z mężczyzn.

Svein Fløtum. Hallbjørn poznałby ten głos wszędzie, nawet jeśli sam Svein nie stałby kilkadziesiąt metrów dalej. Znali się od dziecka – i prawdopodobnie już w kołyskach skakali sobie do gardeł. Do pierwszego świadomego starcia doszło jeszcze w przedszkolu, ostatnie odbyło się podczas burdy w pubie Bryggjan, po którym Svein i dwóch jego kumpli trafili do szpitala. Olsen zresztą też, bogatszy o kilka siniaków i ran, a uboższy o wspomnienia z tamtej nocy.

Wzdrygnął się na myśl o dziurach w pamięci.

– Już, odwracaj się i won! – dodał Fløtum. – Póki jeszcze możesz spierdolić stąd o własnych siłach!

Pozostałych Hallbjørn także znał, zresztą tutaj każdy znał każdego, każdy z każdym kiedyś rozmawiał lub śpiewał *grindavísan*, trzymając się za ręce i potupując. Nie licząc dwóch kumpli Sveina, z pozostałymi nigdy nie wchodził w konflikty. Mimo to teraz patrzyli na niego, jakby pozabijał im matki.

Podszedł do Fløtuma i jego towarzyszy. Dwóch z nich podciągnęło rękawy.

– Przepuście mnie.

Svein spojrział na stojącego obok mężczyznę i roześmiał się. Reszta szybko mu zawtórowała.

– Ocipiałeś, Olsen? – syknął Fløtum. – Myślisz, że wpuścimy cię do miasta?

– Moja córka na mnie czeka.

– To się nie doczeka.

Znów śmiech.

Hallbjørn zacisnął wargi. Cisnęło mu się na usta kilka niewybrednych sformułowań, ale

wiedział, że jedynym ratunkiem jest zachowanie spokoju. Spojrzał na nadciągających mieszkańców. Szybko przekonał się, że pójdą w sukurs Sveinowi, nie jemu.

– Posłuchaj...

– Nie, nie – przerwał mu Fløtum. – Słuchaliśmy już przekazów z sali sądowej, Olsen. Wystarczająco tam nałgałeś, razem z tą swoją duńską prawniczką.

– Chcę tylko...

– Gównu nas obchodzi, czego chcesz! – ryknął Svein i zbliżył się o krok. Hallbjørn odruchowo zrzucił z ramienia torbę, żeby mu nie przeszkadzała.

– Wracaj do Danii – dodała jedna z kobiet. – Nikt cię tu nie chce.

– Nie ma tu miejsca dla zbrodniarzy! – krzyknął jeden z mężczyzn.

– Nie jestem...

– Nikt cię nie uniewinnił, Olsen – rzucił Fløtum.

Właściwie miał rację. Sąd Najwyższy stwierdził jedynie, że doszło do błędów proceduralnych, które bezpośrednio wpłynęły na osąd ławników. Wyrok sądu pierwszej instancji został uchylony, a sprawę przekazano do powtórnego rozpoznania przez farerski wymiar sprawiedliwości.

Hallbjørn korzystał na powrót z domniemania niewinności, ale dla tych ludzi nie miało to żadnego znaczenia. Wyrok zapadł i nikogo nie interesowało, że popełniono błędy formalne.

Olsen obawiał się, że zostanie przeniesiony do aresztu śledczego, ale tak się nie stało – miał odpowiadać z wolnej stopy. Wprawdzie prokurator wnioskował o środek zapobiegawczy, ale Anette Westerholm udało się przekonać sąd, że nie istnieje obawa mactwa. Hallbjørn nie zamierzał nigdzie uciekać, nie mógł ingerować w śledztwo, które przecież już się zakończyło, a oprócz tego prawnicze udało się przekonać sędziego, że jedyne, czego pragnie jej klient, to możliwość przebywania z córką.

Czy to coś zmieniało w ogólnym rozrachunku? Nie, zapewne nie. Hallbjørn wiedział, co zrobił, mimo że nie pamiętał nic z tamtej pechowej nocy. Sędziowie jeszcze raz pochylił się nad tym samym materiałem dowodowym i podejmą tę samą decyzję. Trudno było liczyć na to, że cokolwiek się zmieni.

Ale miał trochę czasu. Mógł podjąć kolejną próbę obrony, to się liczyło. Wystarczy kilka ziaren nadziei, by coś z nich wykiełkowało. A jeśli nawet ostatecznie wszystko sprowadzi się do tego samego, przynajmniej spędzi trochę czasu z córką.

Najpierw jednak musiał się do niej dostać.

Olsen rozłożył ręce w geście bezbronności, a potem zrobił krok w stronę Sveina.

– Wejść do Vestmanny tak czy inaczej – powiedział, starając się, by nie zabrzmiało to agresywnie. – Musisz zdawać sobie sprawę, że mogę przejść po zboczach czy wzdłuż rzeki i...

– Szybko wrócisz tu, gdzie jesteś.

– Nie.

– W takim razie trafisz w inne miejsce, Olsen. Ale z pewnością nie zostaniesz w mieście.

Hallbjørn wiedział, że ta wymiana zdań do niczego nie doprowadzi. Mimo to już otwierał usta, by zaprotestować, kiedy zza pleców Sveina wyłonił się starszy mężczyzna w grubym wełnianym swetrze. Miał gęstą brodę, która ukrywała większość zmarszczek – widoczne były jedynie te ponad linią szczęki.

Holgar Isaksen był jednym z tych, którzy nigdy nie ruszali się z Vestmanny. Mieszkał i pracował przy Lómundaröyn, dbając o akwakultury na jeziorze. Rzadko kiedy schodził do miasta, ale zawsze orientował się w jego sprawach – zapewne dlatego, że rybacy chodzili do niego pić.

Mawiało się, że nie było w mieście rzeczy, o której Holgar by nie wiedział. Od czasu do czasu ktoś przebąkiwał także o tym, że Isaksen popatruje z góry na Vestmannę i czuwa nad tym, żeby wszystko było w porządku.

Isaksen cieszył się więc niejakim szacunkiem, choć opartym na całkowitych bzdurach. Przywodził na myśl Hemingwaya, ale z wielkim amerykańskim pisarzem miał tylko tyle wspólnego, że cenił sobie gorzałę.

Hallbjørn poczuł na sobie ciężki wzrok Holgara. Przez moment łudził się, że może starzec wystąpi w jego obronie – podejdzie do sprawy racjonalnie i pomoże wypracować jakiś kompromis.

Olsen szybko przekonał się, że był w błędzie.

– Po prostu zawróć, chłopcze – rzekł Isaksen. – Nie rób sobie kłopotów.

– Moja córka na mnie czeka.

– Wątpię – odezwał się Svein.

– Myślisz, że chce mieć w domu potwora? – dodał Holgar.

Hallbjørn być może zastanawiałby się nad zasadnością tej uwagi, gdyby nie to, że Ann-

Mari kryła go od samego początku. Kłamała policji, znajomym i dziennikarzom, byleby uchronić go przed konsekwencjami prawnymi.

– Zamordowałeś jej przyjaciółkę, Olsen. Tego nigdy ci nie zapomni.

– Mhm.

Nie miał zamiaru z nimi polemizować, i tak by nie zrozumieli. Właściwie on sam nie do końca rozumiał. Miłość córki może była bezwarunkowa, ale miała przecież swoje granice. On przekroczył jedną z nich, a mimo to Ann-Mari nie zawahała się ani przez mgnienie oka.

Oczywiście nieraz w więzieniu przychodziło mu na myśl, że został wrobiony przez jej koleżanki. Że zarówno ona, jak i Jytta Gregersen oraz Herdis Hattarstein wiedzą, że to nie on odebrał życie tamtej dziewczynie. To tłumaczyłoby reakcję Ann-Mari... Tłumaczyłoby, ale nie trzymało się kupy. Hallbjørn nie miał zamiaru się oszukiwać.

– Jeśli nawet prześlizgniesz się bokiem jak najpaskudniejszy karaluch, Svein i reszta będą wiedzieli, gdzie cię szukać – dorzucił bardziej pojednawczo Isaksen. – Wiesz o tym, prawda?

– Skończmy z tym, do kurwy nędzy – mruknął Fløtum.

Dwóch jego kumpli zrobiło krok w stronę Olsena. Holgar jednak podniósł rękę.

– No co? – zachnął się Svein. – Widzisz przecież, że inaczej nie odejdzie. Trzeba go wyprawić w drogę.

– Nikt nie chce tutaj burdy.

– Nie? Olsen najwyraźniej jest innego zdania.

Isaksen westchnął i obrócił się do trzech rozgorączkowanych mężczyzn. Musiał zdawać sobie sprawę, że przyszli tutaj w jednym celu. Chcieli powtórki z Bryggjana, czekali na okazję do rewanzu. Wtedy było ich trzech, Hallbjørn jeden, a mimo to dzięki żołnierskiemu wyszkoleniu porządnie ich sponiewierał.

– Odejdzie po dobroci – odezwał się Isaksen.

– Nie żartuj – burknął Svein.

Kolejni mieszkańcy dołączali do grupy stojącej pod stacją benzynową. Ulica była już całkowicie zablokowana, nawet rower by się nie przecisnął. Większość krzyżowała ręce na piersi lub łypała na Olsena spode łba. Hallbjørnowi nie udało się dostrzec nikogo, kto byłby mu przychylny, nie wspominając już o kimś, kto studziłby emocje pozostałych.

– Odsuń się, staruchu! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Pozwól Sveinowi go wywalić!



Olsen spojrział na torbę wojskową, żałując, że nie nosi w niej takiego ekwipunku, jak kiedyś. Choć po prawdzie przydałaby mu się nie broń ręczna, a jeden z czołgów, którymi poruszali się pod Tuzlą. Tylko w ten sposób mógłby dostać się do miasta.

Była to niepokojąca, ale trafna myśl. Obserwując stale zwiększający się tłum, Olsen zrozumiał, że nie zobaczy dzisiaj Ann-Mari. Spróbuje innym razem, ale teraz należało się wycofać.

– Bierz go! – krzyknął ktoś.

Hallbjørn zobaczył, jak jeden z chłopaków doskakuje do Holgara. Złapał starszego mężczyznę za sweter, a potem szarpnął do tyłu. W tym samym momencie Fløtum z dwoma kumplami ruszył na Olsena. Wyglądało to jak dwa idealnie zsynchronizowane, mijające się wahadła.

Hallbjørn natychmiast zrobił unik, uchylając się przed ciosem Sveina. Chciał wyprowadzić kontrę, ale nagle poczuł uderzenie w brzuch. Zgiął się w pół. Zrozumiał, że tym razem przeciwnicy zamierzają skorzystać z przewagi liczebnej. W Bryggjanie walili na oślep, każdy chciał uszczknąć trochę tortu, który im się trafił. Teraz jednak byli jak sfora wilków – okrążyli go, a potem zaczęli tłuc.

Olsen odskoczył w bok, jednocześnie wyprowadzając cios z dołu. Prawy podbródkowy przeciął powietrze, ale nie sięgnął żadnego z celów. Svein w kontrze wyrzucił pięść do przodu, nieco nieporadnie. Żaden z nich nie miał opanowanej techniki, ale nie miało to jakiegokolwiek znaczenia. Fløtum trafił w skroń, aż Hallbjørnowi zahuczało w głowie.

Olsen zatoczył się w bok, ale zdążył jeszcze chwycić rękę przeciwnika. Przyciągnął go do siebie i gwałtownie pociągnął w dół. Kolano Olsena wylądowało wprost na czole Sveina. Ten jęknął, ale więcej nie oberwał, gdyż jego dwóch towarzyszy natychmiast zabrało się do roboty.

Ciosy dochodzące z dwóch, a potem trzech stron, niemal ogłuszyły Hallbjørna. Nie mógł się bronić, był zbyt dezorientowany. Cofał się krok za krokiem, całą uwagę skupiając już wyłącznie na tym, by trzymać gardę.

Kiedy poczuł, że nogi zaraz się pod nim ugną, rozległ się wystrzał.

Ciosy ustały. Olsen poczuł się, jakby prosto z nawałnicy nagle trafił pod wiatę, która zapewniła mu schronienie. Przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje. Farerowie przestali krzyczeć, a on dopiero teraz uświadomił sobie, jak duża wrzawa panowała przed momentem.

– Spokój, mówię! – rozległ się kobiecy głos.

Hallbjørn doskonale go pamiętał. Poznałby go wszędzie, choćby był tylko niewyraźnym szeptem.

– Jeszcze jeden nie dostosuje się do polecenia, a spędzi noc w celi w Tórshavn! – krzyknęła Katrine.

Torowała sobie drogę między mieszkańcami Vestmanny. Przedtem rozsuwali się niechętnie, ale po oddaniu strzału w powietrze wszystko się zmieniło. Teraz wyglądało to jak szpaler honorowy.

Hallbjørn otarł strużkę krwi znad oka i spojrzał w stronę Ellegaard. Nadal trzymała broń w górze, rozglądając się czujnie po Farerach. Przez moment Olsen nie rozumiał, co ona tutaj robi. Potem przypomniał sobie informację zasłyszaną w radiu – Dania wysłała na archipelag swoich przedstawicieli, tradycyjnie już wychodząc z założenia, że farerska policja nie poradzi sobie sama ze sprawą makabrycznego odkrycia podczas połowu.

Tuż obok Ellegaard szła Frida Skovmand, technik kryminalistyki, którą Olsen poznał w domu Mikkelsenów. Sprawiała wówczas wrażenie rozsądnej, choć upierdliwej kobiety.

Jeśli w kimkolwiek mógł szukać ratunku, chyba tylko w niej. Na Katrine z pewnością nie mógł liczyć. Mimo że nie dopuściła do linczu, w istocie to ona była jego największym przeciwnikiem.

Podeszła do stacji benzynowej, po czym spojrzała na Sveina i jego kumpli. Na Hallbjørna nawet nie rzuciła okiem.

– W tył zwrot – powiedziała.

Przez moment Olsen sądził, że Katrine mówi do niego.

– Co? – burknął Fløtum, sapiąc ciężko.

– Wracajcie do centrum.

– Nie pozwolę, żeby...

– Chcesz jechać do aresztu, Svein? – przerwała mu. – Nolsøe już podprowadza samochód i tylko czeka na nazwiska ludzi, z którymi pojedzie do Tórshavn.

Ellegaard nie musiała używać kolejnych argumentów. Ten, który trzymała w ręce, był wystarczający. Fløtum i reszta przez moment wbijali wzrok w służbowego hecklera & kocha duńskiej policji.

Katrine schowała broń do kabury dopiero, gdy mężczyźni odwrócili się i odeszli.

– Żyjesz? – zapytała chłodno, nadal nie patrząc na Hallbjørna.

- Tak, dzięki.
- Potrzebujesz lekarza?
- Nie, poradzę sobie.
- Weź torbę i chodź.

Wykonał polecenie, ruszając za nią. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przejście przez miasto będzie niczym innym jak marszem pokutnym. Niewielka osada na Wyspach Owczych nagle przeniesie się w czasie i przestrzeni, by stać się angielską wioską z połowy piętnastego wieku. A on będzie cudzołożnicą, którą przepędzało się boso, w samej bieliźnie, przez główną ulicę.

Skierowali się w stronę Niðari Vegur. Hallbjørn czuł na sobie spojrzenia mieszkańców i miał wrażenie, że przybierają fizyczną postać, stają się szlamem, który skrzętnie, centymetr po centymetrze, oblepia całe jego ciało.

Wbił spojrzenie w plecy Katrine, starając się zignorować obraźliwe komentarze wygłaszane pod nosem przez gapiów. Kilka osób wyglądało, jakby miało zamiar splunąć mu pod nogi. Ostatecznie jednak nikt się na to nie zdobył.

Ellegaard zaprowadziła go aż do Fjalsvegur. Potem stanęła przed drzwiami domu, spojrzała na nie i przez moment trwała w bezruchu.

Olsen przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. W walentynki wyszła z hali przylotów na Vágar, a chwilę później skuła mu ręce za plecami i rzuciła go na samochód. Kiedy go obróciła, nie dostrzegł na jej twarzy żadnych emocji. Uporała się z nimi w drodze na Faroje, być może nawet pogodziła się z tym, że jej największe osiągnięcie zawodowe jest jednocześnie największą porażką osobistą.

Obejrzał się. Mieszkańcy nie szli za nimi, nawet Svein odpuścił gdzieś na wysokości Fløttisgøta.

Katrine nadal się nie odwracała.

- Może... – zaczął Hallbjørn.
- Nie kończ.

Miała rację. Propozycja, by na chwilę weszła, była zupełnie absurdalna. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Ellegaard wciąż walczyła ze sobą, by nie obrócić się i mu nie przywalić. Miała do tego pełne prawo – zaufała mu, związała się z nim, planowała z nim mniej lub bardziej określoną przyszłość, a on okazał się zupełnie innym człowiekiem, niż przypuszczała. Owszem, śmierć dziewczyny była wypadkiem, ale to, co działo się

później – bynajmniej. Picie na umór, wypalenie cracku i ukrycie ciała to świadome decyzje Olsena, nawet jeśli o tym nie pamiętał.

Katrine w końcu się odwróciła. Na próżno szukał jakichkolwiek emocji na jej twarzy.

– Dziękuję – powiedział.

– Wykonuję tylko swoją robotę.

– Mimo wszystko mogłaś chwilę poczekać, zanim zainterweniowałaś.

Nie odpowiedziała. Dopiero teraz pomyślał o tym, że być może właśnie tak postąpiła. Może była na miejscu już wcześniej, ale z premedytacją nie podejmowała żadnych działań, tak by trzech Farerów zdążyło go obić.

– Gdyby coś się działo... Gdyby coś groziło Ann-Mari, znasz numer. Dzwonź do mnie albo do Sigvalda, będziemy na miejscu szybciej niż funkcjonariusze z Tórshavn.

– Dzięki.

Odeszła bez słowa, wciąż nie potrafiąc zmusić się do tego, by choćby na niego spojrzeć. Hallbjørn odprowadził ją wzrokiem, a potem się rozejrzał. Kilka zaciekawionych twarzy znikło za firankami. Sąsiedzi najwyraźniej nie mieli zamiaru dołączać do głosów oburzenia.

Olsen stanął przed drzwiami i zapukał. Spodziewał się, że córka będzie w domu, ale kiedy nikt nie odpowiedział, zreflektował się, że Ann-Mari musi być w szkole. Machinalnie pociągnął za klamkę, bowiem rzadko się zdarzało, by którykolwiek dom w Vestmannie był zamknięty. Przynajmniej kiedyś – teraz najwyraźniej zwyczaj się zmieniły.

Postawił torbę na ziemi i zaczął szukać klucza.

Wszystko go bolało, a impuls przechodzący wzdłuż kręgosłupa, gdy się pochylał, był paraliżujący. Obawiał się widoku, jaki zobaczy, kiedy wejdzie do łazienki i spojrzy w lustro.

Wygrzebał w końcu klucz, przekręcił go w zamku i wszedł do środka. Był już przedświt, ale w domu nadal panowała ciemność. Zapalił światło w przedpokoju i powiódł wokół wzrokiem. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Hallbjørn spojrział pod nogi i dostrzegł na podłodze kilkanaście kopert. Zupełnie zdezorientowany podniósł je i położył na komodzie.

Zastanowił się przez moment. Nie ulegało wątpliwości, że przez cały ten czas, gdy on był w Danii, Ann-Mari mieszkała gdzie indziej. Ale gdzie? Na dobrą sprawę mogła się zatrzymać u koleżanki, ale sąd formalnie postanowił o przyznaniu prawa do opieki jej

matce chrzestnej.

Erna Olsen była kuzynką Hallbjørna, mieszkała przy Heygagøta i nie należała do osób, które chętnie przyjmowały kogokolwiek pod swój dach. Była starą panną, co w Vestmannie zdarzało się naprawdę rzadko. Może jednak nie miała wyboru, a sąd nakazał, by przyjęła Ann-Mari. Z drugiej strony mogła się zmienić. W ciągu kilku ostatnich lat Olsen rozmawiał z nią raptem parę razy – i to zawsze podczas przypadkowych spotkań w sklepie czy na ulicy.

Wszedł do pokoju córki, by upewnić się, czy Ann-Mari rzeczywiście nie mieszka w domu. W szafie znajdowały się tylko pojedyncze ubrania, szuflady były puste. Hallbjørnowi przeszło przez myśl, że dawno żaden widok tak go nie przygnębił.

Zszedł na dół i otworzył lodówkę. Była wyłączona, świeciła pustkami.

Wrócił do przedpokoju i podniósł torbę. Jego wzrok padł na koperty, które listonosz musiał wsunąć przez szparę w drzwiach. Zastanawiał się przez chwilę, po czym sięgnął po plik listów.

Zaczął je przeglądać. Reklama, oferta, informacja o zmianie stawek z elektrowni, kolejna reklama i...

Na jednej z kopert nie było adresu, jedynie niewielki rysunek na środku. Przedstawiał czaszkę, która przywodziła na myśl pirackiego Jolly Rogera. Brakowało jedynie skrzyżowanych piszczeli i uśmiechu, który tradycyjnie znajdował się na banderach piratów.

W drodze do Vestmanny Olsen poznał szczegóły pechowego grindu; taksówkarz opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Skojarzenie nasunęło się samo, jakkolwiek rysunek niekoniecznie musiał się wiązać z odnalezioną kością – mógł stanowić zapowiedź groźby.

Hallbjørn ściągnął brwi i otworzył kopertę. W środku znajdowała się złożona na pół kartka formatu A4. Rozłożył ją, a potem przeczytał wiadomość. Nie była długa. I nie była to groźba.

## 8

### 13 października, czwartek, godz. 10.15

Katrine siedziała w Bryggjanie, czekając na wieści z Tórshavn. Pobrano materiał do badania DNA, ale technicy nie byli dobrej myśli. Twierdzili, że czaszka nadaje się dla

archeologów, a nie dla kryminalistów. Tym pierwszym wystarczy bowiem ogólny szacunek, podczas gdy oni muszą dokonać precyzyjnych ustaleń – a szpiku kostnego czy innych elementów, w których tkwi najbardziej wartościowy materiał do badań, próżno tu szukać.

Mimo to Ellegaard przypuszczała, że ich wyliczenia potwierdzą wersję Fridy. Nie słyszała, by Skovmand kiedykolwiek się pomyliła.

Katrine spojrzała na wygaszony ekran iPhone'a. Włączyła go i ponownie wyświetliła notatki. Ofiara była mężczyzną rasy białej w wieku około sześćdziesięciu lat.

Ellegaard zapisała to w Evernote, a potem trwała przez chwilę w bezruchu. Wyświetlacz znowu zgasł.

Zakłęła w myśli. Skąd wziąć jakiegokolwiek informacje na temat tego człowieka? Nawet jeśli uda się ustalić coś więcej na podstawie DNA, będzie potrzebowała jakiegoś kandydata, choćby hipotetycznej ofiary. Tymczasem nikogo takiego na wyspach nie było. Nikt nie zginął, nikt nie znikł, nikt nagle nie rozpułynał się w powietrzu.

Sprawa zaczynała przywozić na myśl typową *cold case*, nierozwiązaną i zamkniętą. Nie będzie to pierwszy ani ostatni taki przypadek; rocznie w Danii dochodziło do kilkudziesięciu zabójstw, z czego kilka pozostawało niewyjaśnionych. Była to dość dobra statystyka.

Tylko czy w tym przypadku w ogóle doszło do przestępstwa? Gdyby nie sprawa Olsena sprzed kilku miesięcy, zainteresowanie czaszką byłoby pewnie mniejsze, nie pojawiłaby się presja z ministerstwa... Być może nikt nie spodziewałby się, że doszło do zabójstwa.

Tak czy inaczej, to do Katrine należało stwierdzenie, co w istocie zaszło. Po to została tutaj wysłana i nie chciała wracać do Danii bez choćby dobrej hipotezy.

Znów włączyła komórkę. Patrzyła na ekran jak jeden z tych archetypicznych pisarzy na pustą kartkę. Pole do wpisania notatki wydawało się złowrogo puste – Katrine przypomniał się cytat z Nietzschego: „Jeśli zbyt długo będziesz spoglądać w otchłań, otchłań spojrzy na ciebie”. Teraz czuła, że wie, co niemiecki filozof miał na myśli.

Wygasła ekran, napiła się kawy i rozejrzała. Zupełnie ją zamurowało, gdy dwa stoliki dalej dostrzegła znajomą twarz. Twarz, której nie spodziewała się zobaczyć w publicznym miejscu.

Hallbjørn Olsen siedział przy piwie jakby nigdy nic, mimo że parę godzin temu omal nie dokonano na nim linczu. Wbijał wzrok przed siebie, machinalnie obracając kufel.

Zwariował, kompletnie zwariował. Bryggjan to ostatnie miejsce, gdzie powinien się pojawiać. Niewiele było trzeba, by któryś ze stałych bywalców rzucił kilka kolejnych gróźb, a potem wprowadził je w czyn.

Z drugiej strony o tej porze nie było tu zbyt wielu Farerów. Katrine szybko się odwróciła, by nie przyciągnąć niechcący uwagi Olsena.

Przez dobre półtorej godziny po spotkaniu przy stacji benzynowej dochodziła do siebie. Emocje zbierały się nad nią jak burzowe chmury, ale nawałnica rozpoczęła się dopiero, gdy odprowadziła Hallbjørna pod sam dom.

Oddalając się stamtąd, czuła, jak ręce zaczynają jej się trząść, a serce niepokojąco przyspiesza. Nagle zaczęły wracać wspomnienia z jej ostatniego pobytu w Vestmannie. Nie było w tym nic dziwnego, zmagająca się z nimi co jakiś czas, zwłaszcza gdy trochę wypiała. W Kopenhadze było jednak łatwiej je od siebie odsunąć. Tutaj...

Nie, nie miała zamiaru o tym myśleć. Zbyt wiele czasu poświęciła, by uporać się ze sprawą Hallbjørna. Nic się nie zmieniło, nie było sensu rozgrzebywać tego na nowo. Zabił dziewczynę, może przypadkiem, może nie. Ciało przeniósł z premedytacją i ukrył swój czyn w sposób, który cechował psychopatę.

Musiała o tym pamiętać.

Zerknęła na niego ukradkiem i zakłęta w duchu. Olsen złowił jej spojrzenie. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zemdleć. Potem potrząsnął głową i powoli się podniósł.

Ruszył w jej kierunku.

Katrine nie wiedziała, jak zareagować. Powinna jak najszybciej zrobić coś, cokolwiek, byleby dać mu jasno do zrozumienia, że nie zamierza z nim rozmawiać. Mimo to nawet się nie poruszyła.

Zatrzymał się przed jej stolikiem, trzymając w ręce kufel.

– Nie będę cię zamęczał tłumaczeniami – powiedział. – I nie mam zamiaru...

– Znam wszystkie tłumaczenia. Przedstawiłeś je w sądzie.

– No tak.

– I to wszystko z mojej strony. A teraz zostaw mnie w spokoju.

Była pod wrażeniem swojego opanowania. W głowie natychmiast pojawiły się dziesiątki formułek, z których tylko jedna była cenzuralna i nie brzmiała agresywnie.

– Ogłuchłeś?

– Posłuchaj...

– Nie.

– Chcę tylko...

– Odwróć się i wracaj do swojego stolika albo zaraz będziesz miał problemy.

Rozumiesz?

Zacisnął usta. Czego on od niej chciał? Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że naprawdę nie ma zamiaru się przed nią usprawiedliwiać. Zresztą wcześniej też była przekonana, że nic jej nie zaskoczy z jego strony.

– Nie chodzi o mnie, do cholery – rzucił.

– Odejdź, Olsen.

– Tylko...

– Rozmawiałam z Ann-Mari. Wszystko u niej w porządku.

Sięgnął do kieszeni, rozprostował pogniecioną kopertę, a potem z impetem położył ją na stole. Katrine drgnęła i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że machinalnie sięgnęła do kabury z pistoletem.

Hallbjørn spojrzał na jej prawą dłoń, a potem wskazał na kopertę.

– To znalazłem dziś za moimi drzwiami.

– Co to jest?

– Zobacz sama.

– Nie mam czasu i ochoty na gierki. Ani zamiaru zamieniać z tobą choćby jeszcze jedno słowo. Zabieraj to i spierdalaj.

Uniósł dłonie i cofnął się o krok. Piwo chlapnęło na podłogę.

Olsen powoli odszedł, ale nie zabrał ze sobą koperty. Katrine spojrzała na nią niepewnie, jakby mogła przez nią się czymś zarazić. Właściwie tak samo traktowała Hallbjørna. Zupełnie jakby był nosicielem jakiegoś groźnego wirusa.

Zastanawiała się przez moment. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałyby sprawdzić, co jest w środku. Nie podejrzewała Olsena o napisanie listu z przeprosinami czy innymi bzdurami. Musiało chodzić o coś innego.

Wyciągnęła z koperty kartkę i rozłożyła ją. Na białym papierze wydrukowano tylko pojedyncze zdanie:

„Znasz prawdę, Hallbjørn”.

Katrine mimowolnie wzruszyła ramionami, a potem podniosła wzrok. Spojrzała na



siedzącego kawalek dalej Olsena.

– Co to za bzdury? – zapytała.

Nie odpowiedział. Zamiast tego napił się piwa, a potem ruchem ręki zasugerował, żeby odwróciła kartkę. Zrobiła to i zobaczyła kolejną wiadomość:

„Wiesz, czyje to kości”.

Ellegaard potrzebowała chwili, by dotarło do niej to, co przeczytała. Ledwie to się stało, umysł natychmiast zaczął łączyć ze sobą szereg faktów, zdarzeń i domysłów. Rzuciła na Hallbjørna ciężkie spojrzenie, a ten powoli się podniósł.

Podszedł do niej i spojrzał pytająco na wolne krzesło.

– Siadaj.

Postawił piwo na stole, a potem zajął miejsce naprzeciw niej. Odchrząknął.

– Przypuszczałem, że cię to zainteresuje.

– Co to ma być, do cholery?

– Wiadomość, którą ktoś mi zostawił.

– Kto?

– Nie ma podpisu. Jeśli nie liczyć czaszki.

Słyszając jego lekki ton, miała ochotę wstać i wyjść. Nie miał prawa ani odrobiny się do niej uśmiechać, nie miał prawa choćby w najmniejszym stopniu traktować jej w przyjazny, zwyczajny sposób, nie miał...

Nabrała głęboko tchu i uspokoiła kotłujące się w jej głowie myśli. Musiała przyznać, że chętnie by zapaliła, gdyby tylko miała paczkę prince'ów czy innych papierosów. Zamiast tego napiła się kawy. Niewiele pomogło.

– Jeśli to jakiś wybieg, żeby zjednać sobie...

– Nie – zaprzeczył szybko Olsen. – Znalazłem to pod drzwiami, otworzyłem, a potem przyszedłem z tym tutaj.

– Po co?

– Chciałem się napić.

– Jest dziesiąta rano.

– Jakie to ma znaczenie?

Rzeczywiście, nie miało znaczenia. Wymagała od niego, by nie okazywał nawet najmniejszej zażyłości, a sama to robiła. Powinna bardziej uważać na to, co mówi.

– Nie mogłeś tego zrobić w domu?

- A co to, przesłuchanie?
- Całe twoje życie będzie nieustannym przesłuchaniem – odparła cicho, rozglądając się.
- Więc?
- Nie miałem w domu żadnego alkoholu. A najbliższy sklep jest w Tórshavn.
- W Miðvágur.
- No tak...
- Więc przyszedłeś tutaj, zobaczyłeś mnie i postanowiłeś podzielić się wiadomością.
- Najwyraźniej ma związek ze sprawą.
- Mhm – potwierdziła Ellegaard. – I najwyraźniej sugeruje, że wiesz więcej, niż pamiętasz.

Spojrzała mu prosto w oczy i po raz pierwszy wytrzymała nieco dłużej niż sekundę. Potem jednak odwróciła wzrok. Nie potrafiła na niego patrzeć. Ilekroć to robiła, widziała człowieka, który pijany wpadł do domu Hattarsteinów i próbował wyciągnąć stamtąd swoją córkę, nie przebierając w środkach.

– Na to wygląda – powiedział Hallbjørn.

– Więc kolejny zanik pamięci?

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę tego stwierdzić, skoro nie pamiętam niczego, co miałyby związek z jakimikolwiek kośćmi.

Katrine dopiła kawę. Uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie, gdy powoli zacznie zbierać się do wyjścia. Tym bardziej że w pokoju ma nieotwartą tabliczkę białej czekolady. Słodycze nie mogły się równać z prince'ami, ale chwila przyjemności z pewnością nie zaszkodzi.

– Skoro jednak ktoś twierdzi, że mam jakąś wiedzę, warto to sprawdzić – dodał Olsen.

– Może tak, może nie.

Popatrzył na nią badawczo.

– Miałeś ostatnio zaniki pamięci? – zapytała z powątpiewaniem.

– Nie.

– I powiedz mi, Hallbjørn, czy zdarzyło ci się to kiedykolwiek, zanim odebrałeś życie Pouli Jytcie Løkin?

– Nie.

Nie zdradzał żadnych emocji. W najgorszym wypadku przywodził na myśl psychopatę,

który nie odczuwa już satysfakcji z popełnionego czynu, w najlepszym skazańca, któremu jest już wszystko jedno.

– Więc to zdarzyło się tylko dwa razy?

– Wiesz, że tak. Przerabialiśmy to w sądzie.

– I za każdym razem byłeś albo tak pijany, że urwał ci się film, albo naćpany.

Nie odpowiedział, a Ellegaard się podniosła. Podczas procesu przysięgli jednogłośnie i bez długich dyskusji orzekli, że Hallbjørn nie cierpi na zespół stresu pourazowego i to, co przeżył w Bośni, nie rzutuje obecnie na jego psychikę. Nie miał żadnych zaburzeń – przynajmniej jeśli chodziło o traumę powojenną.

– Ktoś sobie z ciebie drwi – stwierdziła, rzucając na stół banknot pięćdziesięciokoronowy.

– Kawa kosztuje tu dwadzieścia pięć.

Katrine oddaliła się bez słowa. Nie miała zamiaru spędzać w Bryggjanie więcej czasu i była pewna, że nie pojawi się tutaj zbyt szybko. Mimo że w pierwszej chwili zapaliła jej się w umyśle czerwona lampka, Katrine szybko uznała, że ten list to złośliwy żart. Został napisany albo przez samego Hallbjørna, albo przez kogoś, kto chciał mu dopiec. Tak czy inaczej, nie powinna się nim przejmować.

Miała zresztą sporo roboty. Tego dnia zamierzała przepytąć kolejnych mieszkańców przy Niðari Vegur, choć nie miała już wielkiej nadziei na to, że pojawią się nowe fakty. Zaczęła od miejsca, gdzie skończyła poprzedniego dnia, a potem systematycznie szła od drzwi do drzwi w stronę Heygaganesgøta.

Już po godzinie miała dosyć. Niczego się nie dowiedziała, mimo że zastała większość starszych mieszkańców w domach. Zresztą nie tylko ich – najwyraźniej duża część Farerów nie miała żadnych obowiązków prócz domowych.

Około czternastej Katrine zrobiła sobie przerwę. Usiadła na jednej z ławek nieopodal wybrzeża i zaczęła leniwie przyglądać się kutrom i jachtom przycumowanym w porcie.

Po chwili wyjęła telefon i wybrała numer Skovmand.

– No? – powitała ją Frida.

– Masz coś?

– Nolsøego na karku.

Ellegaard uśmiechnęła się pod nosem.

– Współczuję – powiedziała. – A coś w sprawie?

– Przedstawię ci wieczorem dokładny raport, nie mam teraz...

– Daj spokój! – ucięła Katrine. – Mów, co wiesz.

Skovmand westchnęła. W tle Ellegaard usłyszała rozmowy, zapewne Frida była jeszcze na komendzie w Tórshavn. Nie było tam wprawdzie laboratorium kryminalistycznego, ale podstawowy sprzęt znajdował się na miejscu. Dzięki niemu mogli załatwić większość spraw zdalnie.

– Dania nie ma jeszcze wszystkich danych – odezwała się Frida. – Weryfikują pewne rzeczy.

– Ile to potrwa?

– Trudno przewidzieć. Nikt nie robi badań DNA *ad hoc*.

Katrine pomyślała, że jeśli zamierza wrócić do Kopenhagi w najbliższym czasie, powinna czym prędzej zadzwonić do Kjelda Moslunda i zasugerować mu, by zwiększył priorytet tej sprawy.

– Więc nic nie wiesz? – zapytała.

Skovmand zaśmiała się krótko.

– Próbujesz mnie podejść?

– Trochę.

– Cierpliwości. Wieczorem przedstawię ci wszystkie ustalenia, na razie nie mam czym się pochwalić.

Ellegaard mruknęła coś na do widzenia, a potem od razu zadzwoniła do szefa. Spodziewała się, że nie będzie musiała go zbyt długo przekonywać.

– Nie ma mowy – oznajmił Kjeld. – Technicy mają ważniejsze rzeczy do roboty. Znalaziono ciało dziewczyny na Christianii.

– Tam cały czas znajdują jakieś ciała.

– Zgadza się – potwierdził Moslund. – Co nie zmienia faktu, że badania DNA w sprawie, w której są zwłoki, mają pierwszeństwo nad taką, w której pojawiają się tylko kości.

– Mówi pan, jakby chciał zbagatelizować moje dochodzenie.

– Naprawdę?

– A zanim mnie tu wysłano, byłam przekonana, że to niezwykle istotna sprawa dla ministerstwa.

– Bo tak jest.

– Ale?

– Ale to nie znaczy, że ktokolwiek liczy na rozwiązanie – odparł Kjeld przyciszonym głosem. Mogłaby przysiąc, że szef czerpie z tej sytuacji satysfakcję. – Chodzi głównie o to, żeby Farerowie znów nie skrewili. Macie ze Skovmand patrzeć im na ręce.

– Patrzymy.

– Więc jestem zadowolony. I minister też będzie.

Ellegaard uniosła brwi.

– Dzięki, szefie. To naprawdę pokrzepiające.

– Zawsze do usług. A teraz muszę kończyć, poważne sprawy wzywają.

Rozłączył się, zanim zdążyła zaoponować. Położyła telefon na ławce i rozejrzała się. Na ulicach Vestmanny wreszcie zaczęli pojawiać się przechodnie, choć nie spacerowali po nich długo. Przechodzili kilkaset metrów i docierali na miejsce – do sklepu, pubu, znajomego czy do restauracji. Tutaj wszystko było po sąsiedzku.

Gdyby czaszka należała do kogoś pochodzącego z miasteczka, nikt nie zdołałby zachować tego w tajemnicy. Nie było sensu łądzić się, że może być inaczej.

Katrine zaniechała dalszych wywiadów z mieszkańcami. Straciła na nie wystarczająco dużo czasu... Choć aby mówić o stracie, musiałyby istnieć jakaś alternatywa. Coś konstruktywnego, z czego zrezygnowałyby na rzecz rozmów z Farerami.

Tymczasem nie było niczego takiego. Właściwie do czasu, gdy pojawią się wyniki badań DNA, mogła się wybrać na trekking w kierunku Melin, Hægstafjall czy któregoś z innych szczytów otaczających Vestmannę.

Ellegaard zabrała komórkę i niespiesznie ruszyła wzdłuż nabrzeża. Nie szła w kierunku hotelu i doskonale wiedziała dlaczego. Decyzja zapadła prawdopodobnie na jakimś poziomie podświadomości, Katrine była jedynie wykonawcą woli. Tylko czyjej? Swojego umysłu? Serca? Szybko odsunęła od siebie tę ostatnią myśl i podniosła wzrok. Odchodząca w górę ulica wiodła prosto na Fjalsvegur.

Policjantka nabrała tchu i przyspieszyła kroku, zanim zdążyła się rozmyślić. Po chwili zatrzymała się przed drzwiami Olsena i zapukała.

Przypuszczała, że najpierw sprawdzi przez okno, czy to aby nie Svein lub któryś z jego kumpli, Hallbjørn otworzył jednak bez wahania. Spojrzał na Katrine, otworzył usta, ale się nie odezwał.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu. Ellegaard pomyślała, że popełniła duży

błąd, przychodząc tutaj. Z drugiej strony nie miała wyjścia.

Odchrząknęła, a Olsen jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że gość stoi przed progiem. Cofnął się i ruchem ręki zaprosił ją do środka.

– Nie mam żadnego tropu – powiedziała Katrine, wchodząc.

– Rozumiem.

– Gdyby tylko istniał cień szansy, że na coś trafię, nie byłoby mnie tu.

– Wiem.

– I wciąż nie jestem przekonana co do tego listu.

– Nie dziwi mnie to.

– Ale nie mam innych poszlak – powtórzyła.

Hallbjørn skinął głową, a potem wyciągnął do niej rękę. Zignorowała ten gest i zrzuciwszy kurtkę, zawiesiła ją na wieszaku w przedpokoju. Rozejrzała się i stwierdziła, że od dawna nikt tutaj nie mieszkał. Ann-Mari musiała przenieść się do rodziny, choć Ellegaard nie przypominała sobie, by Olsenowie mieli jakąś w Vestmannie. Może zamieszkała u znajomych? W takiej sytuacji wiele rodzin z pewnością było gotowych pomóc.

Kurz na meblach było widać nawet mimo tego, że słońce mocno nie świeciło. W domu panował lekki zaduch, ale najgorsza była przejmująca cisza. Spojrzawszy na podłogę, Ellegaard stwierdziła, że nie musi zdejmować butów.

Olsen gapił się na nią jak ciele na malowane wrota. Zaczęło ją to irytować.

– Coś nie tak? – zapytała.

– Nie, nie... po prostu...

– Przeszkodziłam ci w czymś?

Popatrzył wokoło, jakby sam nie wiedział, czy mógłby robić cokolwiek, w czym ktoś by mu przeszkodził. Uśmiechnął się lekko, a ona poczuła się, jakby dostała obuchem. Co ona tu robi, do cholery?

– Nie mam żadnych zajęć – odparł po chwili, zapraszając ją do salonu połączonego z kuchnią. – Nie mam co liczyć nawet na radio czy telewizję, nie wspominając o Internecie.

– Odłączyli?

– Tak.

– A prąd?

– Rachunki za prąd Erna najwyraźniej opłaca. Albo Ann-Mari, sam nie wiem.

- Erna?
- Moja kuzynka.
- Mieszka w Vestmannie?
- Tak, przy Heygaganesgøta.

Rozmowa była wątpa jak pajęczyna na wietrze – i zerwała się, gdy tylko na moment zamilkli. Kiedyś cisza między nimi była dla Katrine czymś kojącym, niesprawiającym żadnego dyskomfortu. Stanowiła kwintesencję beztroski i bezpieczeństwa w ich relacjach. Teraz jednak była ciężka jak ołów i Ellegaard pożałowała, że nie rozegrała wcześniej scenariusza tego spotkania w głowie. Zastanowiłaby się dwa razy, zanim skierowałyby się na Fjalsvegur.

Hallbjørn przeszedł do kuchni.

- Rozgość się.

Nie odpowiedziała, ale zajęła miejsce w fotelu, gdzie zazwyczaj siedziała Ann-Mari. Olsen w tym czasie sięgnął do torby ze sklepu przy Fjarðarvegur, jedyne miejsce, gdzie można było jako tako się zaopatrzyć.

- Nie spodziewałem się gości – zaznaczył.
- Nie?
- Przynajmniej nie takich, którzy chcieliby zostać na kawę.
- Nie mam zamiaru pić kawy, Hal.

Obrócił się, zdziwiony. Zwróciła się do niego tak jak kiedyś, ale zrobiła to bezwiednie. Zwykły odruch, nic więcej. Wcześniej się pilnowała, by tego nie robić, teraz jednak na moment uśpił jej czujność. Zerwała się z fotela, jakby siedzisko było zrobione z rozżarzonych węgli.

- Pokaż mi jeszcze raz tę wiadomość.

Skończył nalewać wody do czajnika, a potem odstawił go na blat. Poszedł do innego pokoju i po chwili wrócił z pomietą kartką. Jak na potencjalny materiał dowodowy przeszła stanowczo zbyt wiele.

Ellegaard rozłożyła list na kuchennym blacie i przesunęła ręką po papierze.

- „Znasz prawdę, Hallbjørn” – odczytała, a potem odwróciła kartkę. – „Wiesz, czyje to kości”.

Spojrzała na niego. Wzruszył ramionami.

- Załóżmy na moment, że to jednak nie kpina.

– Założmy – mruknął.

– Skąd mógłbyś wiedzieć, do kogo należy ta czaszka?

– Nie wiem.

– Zastanów się.

– Robię to, od kiedy przeczytałem tę cholerną wiadomość – odparł, a potem nastawił wodę. – Zapewniam cię, że przeanalizowałem każdą możliwość, i nie przypominam sobie, żebym miał jakiegokolwiek dziury w pamięci.

– Oprócz tych momentów, kiedy zabiłeś dziewczynę i ukryłeś ciało.

Wyjął z szafki kubek, przyjrzał mu się, po czym przetarł szmatką i postawił na blacie. Wsypał dwie łyżeczki kawy.

– Rozmawiałeś z Ann-Mari? Może ona pamięta taką sytuację?

– Nie pamięta.

– Sprawdzałeś?

– Tak, dzwoniłem do niej podczas długiej przerwy. Jest pewna.

Wyjął drugi kubek i spojrzał pytająco na Ellegaard. Zastanawiała się przez moment, w końcu skinęła głową. Na Boga, jedna kawa nie mogła zaszkodzić, tym bardziej że Katrine potrzebowała kofeiny.

– Może to było tak dawno, że już tego nie pamięta?

– Może – przyznał. – Ale w takim razie nie ma nikogo, kto by o tym wiedział.

Katrine chciała o coś zapytać, ale postanowiła ważyć słowa. Wchodziła na niepewny grunt, toteż musiała zachować uwagę.

– Czy twoja żona przed śmiercią nigdy nie wspominała, że miewałeś zaniki pamięci, lunatykowałeś czy też...

– Nie. Przed śmiercią nie.

Spojrzał na nią z ukosa, a ona dopiero teraz uświadomiła sobie wydźwięk tak sformułowanego pytania. Przez moment słycać było jedynie gotującą się wodę na kawę.

– W porządku – powiedziała. – W takim razie trzeba przepytac rodzinę.

– Nie mam rodziny.

– A jednak twoja córka u kogoś mieszka.

– Ernę trudno nazwać rodziną. Chyba że chodzi ci o definicję słownikową czy prawną.

– Mimo wszystko chciałabym z nią porozmawiać.

– Powodzenia. Równie dobrze możesz podjąć konwersację z którymś z



zaszlachtowanych grindwali – mruknął. – Zresztą dlaczego to takie ważne? Nie przesadzasz?

– Nie – zaproponowała stanowczo. – Jeśli rzeczywiście miałeś zanik pamięci wtedy, gdy doszło do morderstwa, to... Sam rozumiesz, że to fakt kluczowy dla sprawy.

– Morderstwa? Nic nie wskazuje na to, że to morderstwo.

– Oprócz tego, że czaszka jest pogruchotana.

– Może pochodzić z pieprzonego wikińskiego okrętu, który rozbił się tutaj w dziewiątym czy dziesiątym wieku. Od tamtej pory...

– Kości dawno przestałyby istnieć.

Hallbjørn zalał kawę i podał Katrine kubek. Ellegaard podziękowała zdawkowym skinieniem głowy, a potem znów zaległa ciężka cisza. Katrine odnosiła wrażenie, że ona i Olsen są nienaoliwioną, dawno nieużywaną maszyną, która nie może wskoczyć na odpowiednie obroty i wciąż gaśnie.

Mimo to wydawało się jej, że zdarzyło się coś pozytywnego. W końcu trafiła na trop. Może złudny, może lichy, ale przynajmniej miała na czym skoncentrować swoje wysiłki.

– Trzeba dać ten list do analizy – odezwał się Hallbjørn.

– Technicy mają pełne ręce roboty.

– Ale...

– I tak niczego z niego nie wyciągną.

– Można z pewnością przeanalizować gramaturę papieru, ustalić, gdzie został kupiony, albo zbadać tusz czy charakterystyczne elementy z matrycy drukarskiej...

– Można.

– Ale?

– I bez tego mogę udzielić ci odpowiedzi na każde pytanie – odparła i wypiła niewielki łyk gorącej kawy. – Papier kupiono w sklepie przy Fjarðarvegur, bo innego tutaj nie macie. Sprzęt sprowadził twój kumpel, Jóhan Barentsen, bo tylko on ściąga tu takie rzeczy z Danii czy Norwegii.

– Niekoniecznie. W Tórshavn jest sklep Elding. To norweska sieć, choć ty możesz ją znać raczej jako Elgiganten.

– Mhm.

– W Klaksvík jest El-in. Do tego jeszcze Expert, który...

– Okej – ucięła Ellegaard. – Sprawdźmy, co się da, ale nie spodziewaj się cudów. To

nie jeden z odcinków *CSI*, a ja nie mam do dyspozycji ani odpowiednich zasobów technologicznych, ani ludzkich. Ani woli ze strony przełożonych, by to się zmieniło. Wciąż czekam na wyniki badań DNA.

Olsen podciągnął się na skraju blatu i przysiadł na nim. Katrine nie mogła nie zauważyć mięśni na jego ramionach i przedramionach. Hallbjørn wyglądał inaczej, niż kiedy widziała go ostatnim razem w sądzie, nie tylko z powodu muskulatury. Było coś surowego w jego spojrzeniu – coś, co nie pozostawiało wątpliwości, że część życia spędził w armii.

Wcześniej tego nie widziała. Kiedy go poznała, wyglądał jak jeden z wielu Farerów, głowa rodziny, złota rączka, porządny facet w nieodłącznym wełnianym swetrze.

Więzienie zmienia, nic nowego.

– Skoro nie idziemy tym tropem, co nam pozostaje?

Wzdrygnęła się, gdy użył liczby mnogiej, ale miała nadzieję, że tego nie zauważył. W jakiś sposób jego nowy image sprawiał, że okazywanie choćby najmniejszej słabości wydawało się Katrine niebezpieczne.

– Wywiad środowiskowy – powiedziała.

– Hm?

– Musimy przepytac wszystkich, którzy mogliby wiedziec cos o twoich zanikach pamieci.

– Mówilem ci juz, ze...

– To niekoniecznie musiało się wydarzyć rok czy dwa lata temu – przerwała mu. – Czaszka może pochodzić sprzed kilkunastu lub kilkudziesięciu lat.

– Aż tak stary nie jestem.

Puściła to mimo uszu. Znów na chwilę zamilkli.

– Kto mógł mi wysłać tę wiadomość? – zapytał Olsen. – Jeśli założymy, że to nie żaden głupi żart.

– Tę wersję odrzuciliśmy, Hal. Jeśli jesteś gotów ją przyjąć, ja się z tego wycofuję.

Uniósł otwarte dłonie.

– Nie, to nie żaden dowcip – stwierdził. – Gdyby ktoś chciał sobie ze mnie zadrwić, znalazłby lepszy sposób.

Pokiwała głową. Kiedy emocje opadły, doszła do takiego samego wniosku – owszem, Farerowie byli wściekli na Hallbjørna, chcieli się na nim odegrać, ale istniało wiele lepszych sposobów, by to osiągnąć.

– Więc kto? – zapytał. – Zabójca z wyrzutami sumienia, o ile w grę wchodzi morderstwo?

– Może.

– Albo przypadkowy świadek? A może niedoszła ofiara?

– Nie ma sensu gdybać.

– No tak – przyznał i na moment zamilkł. – Ale nurtuje mnie jeszcze jedna rzecz.

– Jaka?

– W liście nadawca wspomina o kościach, jakby miało ich być więcej.

– Zapewne jest.

– Ale gdzie? Znaleźliście coś w innych grindwalach?

– Nie – westchnęła Katrine. – Przeszukano zawartość żołądka każdego z nich, ale nie odnaleziono jakichkolwiek innych ludzkich szczątków.

Olsen opróżnił kubek i odstawił go do zlewu. Potem zsunął się z blatu i podrapał po karku.

– Wychodzi więc na to, że te kości nadal są pod wodą.

Ellegaard nie miała zamiaru odpowiadać na oczywiste uwagi.

– NAMMCO nie pomogło? – zapytał Olsen.

– Co takiego?

– Północnoatlantycka Komisja do spraw Ssaków Morskich, czy jak oni się tam...

– O czym ty mówisz?

Hallbjørn przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał pytania.

– Nie kontaktowaliście się z nimi?

– Nie. Po co mielibyśmy to robić?

Uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Naprawdę potrzebujecie kogoś obeznanego w temacie – powiedział. – Najwyraźniej Nolsøe zbyt dużo czasu spędził w Tórshavn i zapomniał już, jak to jest mieszkać w rybackiej wiosce.

– O czym ty mówisz, Hal?

– O tym, że ławice grindwali są śledzone. W osiemdziesiątym szóstym rozpoczęliśmy międzynarodowy program i systematycznie dzielimy się z NAMMCO jego wynikami.

Ellegaard zamarła z kubkiem w dłoni.

– Od dwutysięcznego roku umieszczamy na grindwalach nadajniki satelitarne – ciągnął

Hallbjørn. – Kiedyś mawiało się, że starszyzna w Vestmannie potrafiła na podstawie pogody oszacować, kiedy zjawi się ławica, ale teraz jest to dużo łatwiejsze. Niektórzy rybacy wiedzą zawczasu, czy grind się zbliża.

– Ale...

– Jeśli więc uda wam się ustalić, kiedy ten osobnik połknął kawałek czaszki, dowiemy się, gdzie znajduje się reszta kości.

Katrine zakłęła w duchu.

## 13 października, czwartek, godz. 13.50

Stare volvo S70 zatrzymało się przy Kúrdalsvegur 15 w Hoyvík, trzecim co do wielkości mieście na Farojach. Hallbjørn spojrział na budynek przed nimi, a potem skinął głową do Katrine. Oboje wysiedli z auta.

Mieściła się tutaj siedziba Søvnlandsins, organizacji dbającej o spuściznę kulturową Wysp Owczych. W każdym innym kraju z pewnością nie byłoby to miejsce, do którego chcieliby się udać, ale tutaj to właśnie ta instytucja zajmowała się namierzaniem grindwali.

– Oto centrum operacyjne – oznajmił Olsen. Niepozorny, niewielki budynek nie różnił się znacząco od innych w okolicy – był drewniany, a jego dach porastała trawa.

– Tutaj śledzą satelitarnie ławice?

– Aha – potwierdził Hallbjørn.

– I przesyłają wyniki swojej pracy do międzynarodowych organizacji?

– Mhm.

NAMMCO niespecjalnie im pomogło. Katrine dzwoniła do przedstawicielstwa w Tromsø w Norwegii, ale niczego konkretnego nie udało jej się dowiedzieć. Olsen żałował, że nie pozwoliła jemu rozmawiać – Farer z Norwegiem dogadaliby się znacznie lepiej, nie musieliby nawet używać języka angielskiego.

Tak czy inaczej, Ellegaard została odesłana do Søvnlandsins, która według Norwegów miała wszystkie dane; do międzynarodowych organów trafiała tylko część. Istniały jeszcze dwie inne instytucje zajmujące się analizą tego materiału, ale NAMMCO twierdziło, że najlepiej będzie zasięgnąć informacji u źródła.

Weszli przez otwarte drewniane drzwi do środka budynku. Panował tam zapach typowy dla starych farerskich domostw, zwłaszcza tych jeszcze używanych – wypadkowa wilgotnego drewna, trawy i fermentujących ryb. Ten ostatni element okazywał się szczególnie ciekawy dla przyjezdnych. Tutaj był wyczuwalny aż nazbyt wyraźnie, co kazało sądzić, że jest to pokaz na rzecz turystów.

– Dzień dobry – odezwał się starszy mężczyzna, który siedział na krześle przy wejściu. – W czym mogę państwu pomóc?

Katrine rozejrzała się niepewnie, Olsen zrobił to samo. Był przekonany, że dotarli pod

wskazany adres, ale chata wyglądała jak kapsuła czasu sprzed kilkadziesiąt lat, a nie jednostka badawcza, w której odbierano sygnały z orbity okołoziemskiej.

Ellegaard skrzywiła się, a potem przywitała z mężczyzną.

– Szukamy kogoś, kto namierza ławice grindwali – przeszła od razu do rzeczy. – Powiedziano nam, że państwo się tym zajmują.

– Taaak... – odparł przeciągle mężczyzna i zawiesił wzrok gdzieś za drzwiami. – Ale tu jest muzeum.

– Słucham?

– Trafili państwo do muzeum. Placówka jest kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy.

Chwilę później stali przed długim murowanym budynkiem. Z poprzednim miał tylko tyle wspólnego, że jego dach również był zielony – w tym przypadku jednak nie za sprawą trawy, a farby pokrywającej dachówki.

Szybko wyjaśnili powód swojej obecności, a potem jeden z młodszych pracowników zaprowadził ich do niewielkiego pokoju, w którym znajdowało się o kilka komputerów i monitorów za dużo.

Kobieta siedząca przy jednym z nich odwróciła się i posłała im uśmiech.

– To chyba mnie państwo szukają – powiedziała, wstając. Przedstawiła się jako Steinbjarta, a potem poleciła chłopakowi, żeby przysunął dwa krzesła. Hallbjørn podziękował, twierdząc, że już się nasiedział.

Kobieta prawdopodobnie nie wiedziała, jak wiele w tym prawdy.

Chwilę później wyświetliła na ekranie mapę Morza Norweskiego, a potem zaczęła wprowadzać w tabeli obok szereg danych. Na zdjęciu satelitarnym pojawiło się najpierw kilka czerwonych kropek, potem kilkadziesiąt, sto, wreszcie kilkaset. Większość koncentrowała się na zachód od Zatoki Biskajskiej, kawałek na północ od Azorów.

Hallbjørn nigdy by nie przypuszczał, że grindwale płyną aż stamtąd. Z drugiej strony, co je ograniczało? Mogły migrować w zależności od pory roku i temperatury wody, nie musiały pływać po wodach dalekiej Północy. Farerowie byli jednak tak przyzwyczajeni do tych zwierząt, że mieli wrażenie, jakby zawsze były gdzieś w okolicy.

– Co to za miejsce? – zapytała Katrine.

– Grzbiet Śródatlantycki – odpowiedziała Steinbjarta. – A konkretniej strefa pęknięcia Maxwella. Stamtąd zaczęliśmy śledzenie satelitami.

– I gdzie dalej popłynęły?

Kobieta miała już przygotowane dane, musiała tylko wcisnąć „OK” i poczekać chwilę na przeliczenie. Potem od czerwonych kropek popłynęły linie wyglądające jak pajęczyna. Niemal wszystkie ostatecznie docierały do wybrzeży Wysp Owczych, a sam archipelag w całości zabarwił się na czerwono.

– Symptomatyczne – mruknęła Katrine.

Dwójka Farerów nie skomentowała.

Olsen przyjrzał się i dostrzegł, że ławica zdawała się opływać wyspy niezliczoną ilością razy. Przez tę wszędobylską czerwień trudno było odczytać nawet nazwy poszczególnych miejsc. Walenie okrążały cały archipelag, wpływały między wyspy, poruszały się w jedną i drugą stronę przesmykiem oddzielającym dwie największe, a w końcu urządały sobie slalom między Kalsoy, Kunoy i resztą najmniejszych wyseppek.

– Ustaliliście, w którym miejscu grindwal połknął czaszkę? – spytała Ellegaard.

– Nie... to znaczy tak.

– Słucham?

– Udało nam się potwierdzić, że ten okaz nie miał nadajnika.

Katrine uniosła brwi i wskazała na ekran.

– Więc to wszystko na nic? – zapytała.

– Nie. Wiemy, że osobnik znajdował się w ławicy, którą wyświetliłam.

– Skąd?

– To logiczne założenie. Grindwale długopłetwe żyją w stadach, nie odłączają się od nich nawet, kiedy dochodzi do grindu.

– To znaczy? – mruknęła Ellegaard.

– Jeśli nawet wyczuwają zagrożenie, a kilka osobników zostało już ranionych, nie odpływają.

Hallbjørn miał wrażenie, jakby słuchał jednego z obrońców praw zwierząt, który zgrabnie rozmija się z prawdą. Ta zaś była taka, że żadne ze zwierząt nie płynęło ranne do brzegu – jeśli któryś z Farerów je atakował, robił to już przy nadbrzeżu, a dodatkowo zawsze w taki sposób, by jak najszybciej i jak najmniej boleśnie odebrać życie. To nie było typowe europejskie polowanie, podczas którego myśliwi strzelają z odległości dwustu metrów i czasem nie zabijają, a jedynie ranią zwierzę. Zanim dotrą na miejsce, upolowany osobnik powoli się wykrwawia, ale nikt specjalnie się tym nie przejmuje. Na coś takiego żaden Farer nigdy by sobie nie pozwolił.

– Koniec końców to tylko domysły – odezwała się Katrine – że akurat ten osobnik był w ławicy?

– Więcej niż domysły. Prawie pewność.

– Która nie obroni się w sądzie.

– Nie, w sądzie może nie – przyznała Steinbjarta. – Ale dość wnikliwie śledziliśmy akurat to stado.

– Dlaczego?

– Bo w tym roku grindwale podplnęły wyjątkowo późno. Może nawet rekordowo późno. Zazwyczaj w poszukiwaniu pożywienia, ryb czy kałamarnic zmierzają do nas dużo wcześniej, w okresie wakacyjnym.

Olsen pokiwał głową, choć nie przypuszczał, by Katrine potrzebowała potwierdzenia.

– W tym przypadku zawiniły głównie mięczaki – ciągnęła Steinbjarta. – Tego roku wyjątkowo późno przeniosły się z dna oceanicznego na szelf, przez co grindwale nie miały czego szukać na wodach przybrzeżnych. Oczywiście mogą schodzić do sześciuset metrów pod poziomem morza, ale robią to bardzo rzadko. Zazwyczaj nie zapuszczają się nawet na jedną szóstą tej głębokości.

Katrine nie odrywała wzroku od monitora.

– W porządku – powiedziała. – Może pani zrobić zbliżenie na Vestmannasund?

Steinbjarta spełniła prośbę, a potem cała trójka zaczęła się przyglądać ławicy przepływającej cieśniną między Streymoy a Vágar. Z boku pokazały się wszystkie dane, łącznie z datą, godziną, prędkością i głębokością.

Hallbjørn pomyślał, że starszyzna wioskowa naprawdę nie była już potrzebna do przewidywania terminu połowu.

– Będę potrzebowała wszystkich tych danych – oznajmiła Katrine. – Może mi pani to rzucić na jakiś pendrive albo przesłać na maila?

– Nie da rady.

– To kluczowe dla sprawy.

– Rozumiem – zapewniła Steinbjarta. – Ale tego po prostu nie da się eksportować do żadnego formatu, w którym mogłaby to pani otworzyć.

– A jednak przesyłacie wszystko do organizacji międzynarodowych.

– Oni mają ten sam program i...

– W takim razie program też będzie mi potrzebny.



Kobieta zastanawiała się przez moment, a potem skinęła głową i podniosła słuchawkę telefonu. Wezwała informatyka z Tórshavn i obiecała policjantce, że wszystko załatwi, jeśli ma to pomóc w śledztwie.

Olsen i Ellegaard opuszczali Søvn Landsins z poczuciem, że udało im się trafić na coś godnego uwagi. Jeśli tylko technikom uda się ustalić, kiedy zwierzę trafiło na czaszkę, bez trudu zidentyfikują miejsce, w którym to się stało. Wystarczyło zresztą poznać rejon, resztę załatwią nurkowie.

– Co teraz? – zapytał Hallbjørn.

Katrine nie odpowiadała. Wsiadła do samochodu, zamknęła za sobą drzwiczki i spojrzała przed siebie. Olsen zajął miejsce za kierownicą. Czekał, aż towarzyszka się odezwie, Ellegaard najwyraźniej jednak potrzebowała chwili, by się zastanowić. Zerknęła na zegarek, potem sprawdziła komórkę i w końcu skierowała wzrok na Hallbjørna.

– Sprawdźmy ten zanik pamięci – powiedziała.

– To znaczy?

– Chcę przepytąć twoją rodzinę – oświadczyła. – Nawet tę najdalszą, z którą miałeś kontakt jeszcze wtedy, kiedy żyła Karla. I jej rodzinę najchętniej też.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Dobry czy nie, jedyny – mruknęła. – Jeśli rzeczywiście coś widziałeś i tego nie pamiętasz, trzeba to sprawdzić. A inaczej tego nie zrobimy. Może któryś z krewnych ma jakieś informacje na ten temat albo twoja żona wspomniała o tym komuś z rodziny.

– A mnie nie? Nie sądzę.

Katrine spojrzała na niego badawczo.

– Mówię tylko, że to nie ma sensu – stwierdził.

– Bo nie masz dobrych relacji z rodziną Karli?

– Nie tylko dobrych. Nie mam żadnych.

Ellegaard zmrużyła oczy, a Olsen doskonale wiedział, o czym myśli. Już podczas śledztwa w sprawie Jytty Gregersen Katrine natknęła się na informacje, że Hallbjørn miał coś wspólnego ze śmiercią swojej żony. Była to śmierzcząca plotka, którą rozgłaszało w Vestmannie wprawdzie tylko kilka wyjątkowo upierdliwych osób, ale tyle wystarczyło. Nolsøe szybko zainteresował się tematem, a potem przekazał wszystko Katrine. Sprawa zresztą wróciła ze zdwojoną mocą podczas procesu – oskarżyciel przypomniał o wątpliwościach, jakie wiązały się z tamtym zdarzeniem.

Był to jeden z najgorszych momentów całej rozprawy, mimo że Olsen był na to przygotowany. Prokurator skorzystał z tego, że Hallbjørn wdepnął w bagno, i wylał na niego całe wiadro błota.

– Tym bardziej będą wiarygodni – odparła w końcu Ellegaard. – Jedźmy.

– Dokąd?

– Zaczniemy od rodziców Karli.

Hallbjørn zastanawiał się przez chwilę, ale ostatecznie musiał uznać, że nie ma innego wyjścia. Jeśli miał zamiar pomóc w sprawie, musiał robić to, czego Katrine od niego wymagała.

Zapalił silnik i zaczął rozmyślać, dlaczego w ogóle jej pomaga. Mógłby na własną rękę starać się ustalić, kto wysłał list i dlaczego. Tymczasem wyciągnął do niej pomocną dłoń. Podświadomie? A może liczył na to, że w jakiś sposób pomoże mu to w zbliżającym się procesie? Na razie wolał o tym nie myśleć.

Wyjechał z wąskiej dróżki dojazdowej na pięćdziesiątkę dwójkę w kierunku Hvítanes.

– Gdzie mieszkają? – zapytała Katrine.

– Na Eysturoy.

– Myślałam, że to rodowici mieszkańcy Vestmanny.

– Tak było.

– Do kiedy?

– Do śmierci Karli.

Hallbjørn nieco przyspieszył. Jechali wzdłuż wybrzeża, nie było tutaj zagrożenia, że za zakrętem nagle pojawią się owce. Ich stada były zmorą kierowców, a wypadki drogowe z udziałem owiec stanowiły lwią część wszystkich zdarzeń drogowych na archipelagu. Czasem Olsenowi wydawało się, że gdyby nie stada zwierząt, Faroje byłyby jednym z niewielu miejsc na ziemi, gdzie nie dochodzi nawet do stłuczek.

– Dlaczego się wynieśli?

– Nie wiem – odparł Olsen. – Przypuszczam, że mieli dość miejsca, które na każdym kroku przypominało im o córce. Wiesz, jak to jest, żaden rodzic nie powinien grzebać swojego dziecka.

– No tak.

– Od jakiegoś czasu mieszkają w Funningsfjórður – dodał Hallbjørn. – To jakieś czterdzieści minut drogi stąd. Byłoby szybciej, ale przypuszczam, że o tej porze na moście

między wyspami może być duży ruch.

– Nie spieszy nam się – powiedziała Katrine. – I tak musimy czekać na wieści z Tórshavn, by ruszyć dalej sprawę grindwali.

W milczeniu dotarli do drogi łączącej Streymoy z Eysturoy. Katrine spojrzała na jednopasmową szosę, po której jechało raptem kilka samochodów.

– I to jest ten wzmożony ruch na moście?

– Tak.

– Nie wspominając już o tym, że w ogóle trudno to nazwać mostem.

– Ma filary, przęsła...

– Osiem filarów. Z czego dwa na lądzie – mruknęła. – A jego długość to może sto pięćdziesiąt metrów.

Hallbjørn przypuszczał, że się nie myli. Na Farojach większość rzeczy występowała w wersji mini – przynajmniej jeśli chodziło o zabudowę i infrastrukturę. Natura to zupełnie inna kwestia.

Zjechał na stację Shell w Oyrarbakki, tuż za mostem, a potem napełnił bak, odprowadzając wzrokiem samochody leniwie przejeżdżające obok. Katrine nie miała racji – to były godziny szczytu. Gdyby dotarli tu wcześniej lub później, jedynym widokiem na ulicach między wioskami byłyby owcze odchody. Teraz jednak Farerowie masowo jechali z pracy w Tórshavn do swoich domów. Trudno było zliczyć, ilu codziennie rano dojeżdża do stolicy, a po południu wraca.

Olsen zapłacił i ruszyli dalej w kierunku Funningsfjørður. Przejechali dwuipółkilometrowym tunelem przecinającym okoliczne wzniesienia, a potem zjechali z krajowej dziesiątki na wąską drogę prowadzącą do wioski. Sama osada skryła się w gęstej mgle – co zapewne było spowodowane tym, że leżała w głębokiej niecce.

– Wygląda jak opuszczone miasteczko – rzuciła Katrine, gdy mijali pierwsze, pojedyncze zabudowania.

– Kiedyś kwitła tu produkcja oleju wielorybiego. Podobno kiedy w Europie rozpoczęła się rewolucja przemysłowa, Funningsfjørður eksportował tyle, że mieszkali tu sami krezusi. Chodziło o wykorzystywanie oleju jako smaru do maszyn.

– Aha.

Kolejny dom minęli po niecałym kilometrze.

– Najwyraźniej to było dawno – zauważyła Ellegaard.

– Dosyć. Ale dzięki temu ceny ziemi są śmiesznie niskie. Dlatego Egholmowie wybrali to miejsce.

– Mówisz o teściach per Egholmowie?

– Wspomniałem ci przecież, że nie jesteśmy w zbyt zażyłych stosunkach.

Katrine pokiwała głową i zamilkła. Olsen widział, że co jakiś czas przeszłość bierze górę i przesłania teraźniejszość – wszystko to, co niegdyś wypracowali w swoich relacjach, na moment stawało się ważniejsze od tego, co zepsuł. Mimo to Katrine szybko się mitygowała. Nie pozwalała, by nawiązali zbyt długą, swobodną rozmowę.

Hallbjørn wjechał do wsi i zaczął się rozglądać. Wiedział, gdzie zamieszkali teściowie, ale był tutaj tylko raz. Odwiedził ich na krótko po przeprowadzce, gdy ich stosunki były jeszcze w miarę poprawne. Tamto spotkanie nie zakończyło się najlepiej.

W końcu wypatrzył dom. Zaparkował na ulicy, przypuszczając, że nie będą nikomu zawadzać. Budynek znajdował się na uboczu i jeśli akurat nad Funningsfjorður nie wisiała mgła, było stąd widać całą wieś.

Katrine zadzwoniła do drzwi, a potem się odsunęła. Na podwórku stał niewielki biały ford, który najlepsze lata miał już dawno za sobą. To samo można było zresztą powiedzieć o wszystkich innych znajdujących się tu rzeczach. Wiatr zawodził w oddali, nie słychać było żadnych odgłosów świadczących o tym, by we wsi ktokolwiek mieszkał.

– Ponure miejsce – odezwała się Ellegaard, naciskając dzwonek jeszcze raz.

– W czerwcu jest inaczej, mają tu festiwal Jóansøkubáli, podczas którego... – Hallbjørn urwał, kiedy drzwi w końcu się otworzyły.

W progu stanął ojciec Karli. Najpierw zmierzył wzrokiem policjantkę, a potem spojrzał na Olsena. Początkowo na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, ale szybko zastąpiła je niespecjalnie skrywana złość.

– Co tu robisz? – zapytał Egholm.

Hallbjørn już otwierał usta, choć nie wiedział, co powiedzieć, ale wyręczyła go Katrine.

– *Góðan dag* – rzuciła. – Katrine Ellegaard, duńska policja.

– Duńska?

– Badamy pewną sprawę na Farojach i...

– A on? Co tu robi? – przerwał jej Egholm. – Powinien siedzieć teraz w więzieniu za zabicie tamtej dziewczyny!

Katrine nie wyglądała, jakby miała zamiar z nim polemizować.

– Tak, ale...

– I za to, co zrobił mojej córce.

Hallbjørn natychmiast przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. Niewiele brakowało, a doszłoby wtedy do rękoczynów. Właściwie to cud, że tak się nie stało. Rzadko gotów był przypisywać sobie zasługi, ale w tym przypadku musiał to zrobić – gdyby zawczasu nie odpuścił i nie odjechał z Funningsfjørður, nie uniknęliby rozlewu krwi.

Teraz też musiał ugryźć się w język, słysząc słowa teścia.

– Panie Egholm...

– Zabieraj go stąd! – ryknął mężczyzna. – Już!

– Proszę mnie posłuchać.

– Won! Won z mojej posesji!

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar ruszyć na Katrine. Hallbjørn odruchowo napiął mięśnie i przygotował się na odparcie ataku, ale Egholm cofnął się, a potem zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Spojrzeli na siebie.

– Mówiłem ci, że niczego się nie dowiemy.

– Najwyraźniej.

– Możesz go przycisnąć. Masz prawo, dla dobra śledztwa.

– Moja jurysdykcja tutaj jest tylko formalna, Hal – powiedziała Ellegaard. – W rzeczywistości musiałabym długo się tłumaczyć z każdego środka przymusu, który wykorzystałam... lub starałam się wykorzystać.

Przypuszczał, że ma rację. Dania zasadniczo mogła wchodzić tu z butami, kiedy chciała, ale szarżowanie mogłoby się skończyć dla Katrine nieciekawie.

– Wszyscy jesteście bandą pieprzonych nacjonalistów, wiesz o tym? – burknęła Ellegaard.

– Wiem.

– Od premiera, przez rybaków, aż po berbecie w kołyskach.

– Tak już mamy.

Sporunowała go wzrokiem.

– Wsiadaj do samochodu – nakazała.

– Wracamy?

– Nie. Mamy jeszcze do obskoczenia inne miejsca. Tu niczego się nie dowiemy, oprócz

tego, co już wiemy na twój temat.

Hallbjørn przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Może twoja rodzina będzie bardziej rozmowna.

– Myślę, że okażą się równie rzetelnym źródłem informacji, jak Egholm – wymamrotał Olsen. – W dodatku wioska jest jeszcze mniejsza niż ta.

– Nie szkodzi. Cudów się przecież nie spodziewam.

Słusznie, dodał w myśli Hallbjørn. Jedynym ratunkiem mogły być konkretne ustalenia z laboratorium w Tórshavn. Kiedy opuszczali wyspę Eysturoy i przejeżdżali trzykilometrowym podwodnym tunelem na Borðoy, Olsen miał nadzieję, że wieści ze stolicy pojawią się już niedługo.

Nie pomylił się. Ledwie minęli pierwszą wioskę na wyspie, zadzwonił telefon Katrine.

## 10

### 13 października, czwartek, godz. 16.30

Ellegaard natychmiast sięgnęła po komórkę. Dzwoniła Skovmand, co samo w sobie świadczyło o tym, że pojawiły się nowe, istotne ustalenia. W przeciwnym wypadku Frida nigdy sama z siebie nie telefonowałaby przed tym, jak miała złożyć meldunek.

– Tak?

– Mam ten raport, o który tak gorąco mnie prosiłaś – odezwała się Skovmand.

– Trzeba być wyjątkową optymistką, żeby polecenie służbowe traktować jako prośbę, ale niech będzie. Co mamy?

Zauważyła kątem oka, że Hallbjørn poruszył się nerwowo. Sprawa go intrygowała, tym bardziej że z tajemniczego listu wynikało, że dotyczy go osobiście. Mimo to Katrine nie miała zamiaru włączać trybu głośnomówiącego.

– Mądre głowy twierdzą, że to mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat.

– To już wiedziałyśmy.

– Owszem. Stwierdziła to inna, prawdziwie mądra głowa już po przeanalizowaniu szwów czaszkowych.

– Tak, tak – odparła Ellegaard. – Co jeszcze?

– Kości prawdopodobnie przeleżały na dnie morza około trzydziestu, może trzydziestu pięciu lat.

To by pasowało do tego, o czym mówiła Steinbjarta, pomyślała Katrine. Grindwale zazwyczaj nie zapuszczały się na tyle głęboko, by trafić na takie rzeczy. W tym roku jednak sytuacja była wyjątkowa.

– Są tego pewni?

– Też ich o to zapytałam.

– I?

– Powiedzieli, że niczego w życiu nie są pewni, oprócz tego, że kiedyś znajdą złoża ropy i uniezależnią się od Danii.

– No tak. Można było się tego spodziewać – stwierdziła Ellegaard, patrząc na wysokie wzniesienie w oddali. Przywodziło na myśl Wezuwiusza, choć z pewnością nie było nawet w połowie tak wysokie, jak neapolitański gigant. I ten wulkan z pewnością był wygasły.

– Przygotowują właśnie kilkudziesięciostronicowy raport, który przedłożą nam z początkiem przyszłego tygodnia – dodała Skovmand.

– Zapowiada się świetna lektura.

– Nawet sobie nie wyobrażasz...

– Ale mnie interesuje głównie jedna rzecz.

– Jaka?

– Kiedy grindwal połknął ten kawałek czaszki.

– A na co ci to wiedzieć?

Ellegaard szybko wytłumaczyła, do czego potrzebna jej informacja. Nie opuściła żadnego szczegółu i przypuszczała, że Skovmand skrytykuje ją za włączenie Olsena do sprawy, ale ta tylko cicho zagwizdała.

– Nieźle – oceniła. – Dobra robota.

– Będzie dobra, jeśli podasz mi przedział czasowy.

– Poczekaj chwilę.

Podczas gdy Frida rozmawiała z pozostałymi technikami, Hallbjørn zatrzymał samochód w Klaksvík, największym mieście na wyspie. Pod względem zabudowy przypominało Katrine Vestmannę, choć właściwie to samo mogła powiedzieć o jakiegokolwiek innej osadzie na Farojach. Domy ciągnęły się na zboczach, a otaczające miasteczko wzgórza przypominały piramidy schodkowe z płaskimi szczytami. Tutaj znajdowało się ich nieco więcej i były trochę wyższe, przez co odnosiło się wrażenie jeszcze większej monumentalności natury.

Stali przy nadbrzeżu, ulica nazywała się Klaksvíksvegur. Tuż przed nimi znajdowały się restauracja i pub, a także kilka sklepów. Wyglądało na to, że Hallbjørn postanowił zaparkować w ścisłym centrum.

Skinął na Katrine, po czym wysiadł z samochodu. Zaprowadził ją do niedużej restauracji Hereford, usiedli naprzeciwko siebie w jednym z boksów.

– Nadal nic? – zapytał, wskazując na telefon, który przyciskała do ucha.

Pokręciła głową. Olsen zamówił dla nich zupę z homarów za sto trzydzieści koron. Zapewne miał nadzieję, że to ona zapłaci – u niego z finansami musiało być krucho. Zanim trafił do Vestre Fængsel, poza sezonem turystycznym utrzymywał się z prac dorywczych – teraz jednak ze świecą szukać mieszkańca Vestmanny, który powierzyłby mu jakiegokolwiek zadanie.

– Okej – odezwała się Frida. – Jesteś?

– Tak.

– Oceniamy, że czaszka znajdowała się w żołądku od kilku dni.

– Kurwa mać.

– Chciałaś przedział czasowy – zaprotestowała Skovmand.

– Ale nie taki. Potrzebuję nieco węższego.

– No cóż...

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Nie osiągnęliśmy konsensu – odparła cicho Frida. – I nie wygląda na to, żeby w dającej się przewidzieć przyszłości udało nam się to zrobić.

– Nie przyjmuję takiej wersji.

Katrine dopiero teraz uświadomiła sobie, że Hallbjørn świdruje ją wzrokiem. Poczowała się nieswojo, więc obróciła się i przełożyła rękę przez oparcie.

– Ilu was tam jest? – zapytała.

– Pięcioro.

– I ile jest wersji?

– Trzy.

Nie były to idealne proporcje, ale od czegoś trzeba było zacząć.

– Która ma najwięcej zwolenników?

– Ta z dwoma dniami.

– Świetnie – oceniła Ellegaard. – Mamy coś, z czym mogę pracować.



– Ale nie wspomniałam, że ja nie znajduję się w gronie tych dwóch osób.

– Trudno – odparła Katrine, a potem rozłączyła się, zanim Frida zdążyła rozwinąć myśl. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Skovmand wstrzymała się od głosu, przyjmując ostrożny szacunek, że grindwał połknął czaszkę stosunkowo niedawno.

Przewaga jednego głosu na rzecz dwóch dni była w tej sytuacji niespecjalnie znacząca, ale lepsza niż nic. W najgorszym wypadku będą rozważać inne warianty.

Kelnerka podeszła z dwoma talerzami zupy i postawiła je na stole. Nie uroniła ani kropli, co właściwie nie stanowiło wielkiego osiągnięcia, bo na dużym i głębokim talerzu jedzenia było tyle, co kot napłakał.

Ellegaard spojrzała na gęstą zupę, w której pływały kawałki ogona i szczypiec. Olsen od razu zabrał się do jedzenia.

– Jest przełom? – zapytał po chwili.

Katrine ostrożnie zaczęła jeść zupę krem. Gdyby nie była zajęta rozmową z Fridą, zdecydowałaby się raczej na inne danie, ale wołała o tym nie wspominać.

– Założymy, że waleń miał to w żołądku przez dwa dni.

– To pewne?

– Nie – stwierdziła. – Ale mało co w tej robocie jest. Musi wystarczyć.

Po dwóch minutach zupa zniknęła z jej talerza. Katrine wzięła komórkę i wybrała numer Søvns Landsins. Nikt jednak nie odpowiadał i policjantka zakłęła pod nosem.

– Pewnie pracują do piętnastej – zauważył Olsen.

Dopiero teraz Katrine uzmysłowiła sobie, ile czasu minęło, odkąd opuścili z Hallbjørnem Vestmannę. Najwyraźniej ten dzień mogła już spisać na straty. Wątpiła, by krewni Olsena okazali się pomocni – gdyby Hal w istocie cierpiał wcześniej na zaniki pamięci, najpewniej byłaby o tym mowa podczas procesu. Musiała to sprawdzić, ale nie spodziewała się raczej, że będzie to dobrze spożytkowany czas.

– Masz wszystko na pendrivie – odezwał się Olsen. – Wystarczy, że zainstalujesz program i poszukasz.

– Nie mam przy sobie komputera, jak widzisz.

– Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zawrócili. Będziesz w hotelu za...

– Nie – ucięła. – Postępujemy zgodnie z planem. Dane nie uciekną.

– Moja rodzina też nie. Możemy ich przepyttać kiedykolwiek.

Nie miała zamiaru się z nim sprzeczać. Czas nie naglił, a ona nie należała do osób, które

zmieniają wcześniejsze założenia tylko dlatego, że pojawiło się zniecierpliwienie. Będzie trzymała się swojego planu, dotychczas ta taktyka zawsze się sprawdzała.

– Gdzie oni mieszkają, Hal? – zapytała, po czym skinęła na kelnerkę.

– Na Fugloy. To mała wysepka, wysunięta najdalej na wschód.

– To twoja ciotka i wujek, tak?

Hallbjørn pokiwał głową. Właściwie nie musiał jej informować, że od lat nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Ellegaard sama wywnioskowałaby to z faktu, że nie pojawili się nawet na ogłoszeniu wyroku, nie mówiąc już o wystąpieniu w roli świadków moralności.

– Pozwól, że to ja będę z nimi rozmawiać – zaproponowała Katrine.

– Nie ma sprawy. Choć z drugiej strony mogliby mnie nawet nie poznać.

Westchnęła, ponaglając wzrokiem kelnerkę.

– Rodzice twojej żony nienawidzą cię, bo sądzą, że miałeś coś wspólnego z jej śmiercią... – zaczęła. – A wujostwo? Czym im zawiniłeś?

– Zaciągnąłem się do duńskiego wojska. To twardogłowi niepodległościowcy.

A zatem czekała ją trudna przeprawa. Może jednak powinna tam wysłać samego Hallbjørna? Z dwojga złego Dunka mogła okazać się dla nich gorsza niż syn marnotrawny.

– Ale naprawdę nalegam, żeby to odłożyć – powiedział. – Grindwale są ważniejsze.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

– Więc...

– Załatwimy to szybko, a potem sprawdzimy te ławice.

Ze zdziwieniem uniósł brwi. Katrine przypuszczała, że to reakcja na użycie liczby mnogiej, i skarciła się w duchu za to, że nie zdążyła ugryźć się w język. Nie planowała niczego z nim analizować, wręcz przeciwnie – po tym jak Olsen odwiezie ją do Vestmanny, zamierzała zamknąć się w hotelowym pokoju i sama wszystko sprawdzić.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, dokąd jedziemy – zauważył.

– Hm?

– Fugloy jest... dość daleko.

Nie sądziła, by tak było. Tutaj wszystko było oddalone od siebie o rzut kamieniem.

– O czym ty mówisz? – zapytała. – Całe Faroje mają najwyżej osiemdziesiąt kilometrów szerokości. I to licząc wody archipelagu.

– Tak, ale Fugloy leży kawałek od Viðoy.

- No i?
- Ostatni most czy tunel prowadzi tylko do Viðoy.
- Jak to? A co potem?
- Potem trzeba czekać na prom.

– Żartujesz sobie?

Kelnerka podeszła do nich z szerokim uśmiechem, który jednoznacznie świadczył o tym, że liczyła na niemały napiwek.

– Nie – powiedział, odbierając rachunek. – Dojedziemy do Hvannasund, a stamtąd na Fugloy możemy dostać się wyłącznie promem, który płynie najpierw na Svínoy, a dopiero później na wyspę, gdzie mieszkają moja ciotka i wuj.

Katrine nie dowierzała. Wyjęła komórkę, po czym szybko sprawdziła mapy Google. Trasa promu nie była zaznaczona, ale to, co mówił Hallbjørn, mogło być prawdą. Jeśli statek wypływał z Hvannasund, mógł po drodze zahaczyć o Svínoy.

– Ile się czeka na ten prom? – zapytała Ellegaard.

Skierowali się do wyjścia.

– Skąd mam wiedzieć? Sprawdź w Internecie. To połączenie Hvannasund – Hattarvík. Pływa tam R/F Ritan.

Katrine zmarszczyła brwi. Gdyby było choć o godzinę wcześniej, być może załapałoby się na kurs dla osób wracających z pracy z innych wysp. Ale teraz? Wydawało jej się mało prawdopodobne, by przewoźnikowi opłacało się tak często pływać.

– Nie znasz orientacyjnych godzin?

– Nie.

– Ale zapewne po południu Ritan zabiera tych, którzy wracają z pracy?

Olsen znów uniósł brwi, jakby zapytała o najdurniejszą rzecz pod słońcem. Odchrząknął, przytrzymując jej drzwi. Wyszli na zewnątrz i skierowali się do volva.

– Tam są tylko dwie osady – zaczął Hallbjørn. – Hattarvík, gdzie na stałe mieszka pięć osób, i Kirkja, lokalna metropolia z dwudziestoma mieszkańcami.

– Ale...

– To kraina separatystów, Katrine. Nikt z nich nie ma żadnego interesu, by pojawiać się na innych wyspach. Są samowystarczalni, choć miejsc pracy jest... – Urwał i wzruszył ramionami. – Niespecjalnie dużo. Chyba cztery, z tego co pamiętam. Jedno w sklepie, pozostałe w porcie.

Wsiadła do samochodu i wygięła się do tyłu. Coś strzeliło jej w plecach.

– Tak czy inaczej, musimy sprawdzić.

– Jasne.

Spojrzała na niego ponaglająco, ale Olsen nie przekręcił kluczyka.

– Proponuję ci jednak najpierw dowiedzieć się, jakie są godziny rejsów.

– Świetny pomysł – burknęła. – Zaraz przypomnę sobie, jaki jest numer telefonu do...

Jaka to firma przewozi was między wyspami?

– Strandfaraskip Landsins. I nie tylko między wyspami, bo to państwowa spółka komunikacji miejskiej, mają też autobusy. Te niebieskie z...

– Tyle wystarczy mi do szczęścia.

– I nie znam numeru – ciągnął Hallbjørn. – Ale jeśli wejdiesz na stronę ssl.fo, wszystkiego się dowiesz.

– W takim razie przydałby się Internet.

Olsen wskazał na naklejkę na drzwiach wejściowych do restauracji. Informowała, że dostępny jest tutaj hotspot. Trochę potrwało, nim strona się załadowała, ale ostatecznie Ellegaard udało się dowiedzieć, kiedy odchodzą promy. Dziś ostatni planowy był o trzynastej – następny o czternastej czterdzieści pięć, ale ta opcja była jedynie na żądanie, należało wcześniej dać znać przewoźnikowi, że będzie potrzebny.

– To by rozwiązywało sprawę – zauważył Olsen.

– Raczej odwlekało nieuniknione.

Hallbjørn nie odpowiedział. Włączył silnik, wycofał samochód na ulicę, a potem skierował się w stronę, z której przyjechali. Katrine przemknęło przez myśl, że powinna skontaktować się z firmą obsługującą helikopter. Zanim pierwszy raz trafiła na Faroje, słyszała, że tutaj to dość powszechna forma transportu.

Na razie jednak musiała się zdać na volvo Olsena. Właściwie powinna dostać służbowe mondeo farerskiej policji, ale najwyraźniej Sigvald Nolsøe przywiązał się do niego nieco ponad normę.

– Przynajmniej szybciej dowiesz się, gdzie jest reszta kości – odezwał się Hallbjørn, gdy znów wjeżdżali do długiego tunelu.

– Wszystko w swoim czasie.

Uśmiechnął się zdawkowo i pokręcił głową.

– Nigdy nie potrafiłaś dobrze maskować entuzjazmu – ocenił.

Zamilkła, nie chcąc wdawać się w przyjacielskie zaczepki. Tak czy inaczej, miał rację – ciekawość ją zżerała. Czowała, że znalazła się znacznie bliżej rozwiązania zagadki. Część czaszki nie mogła jej powiedzieć wiele, ale gdyby udało się znaleźć pozostałe kości, sytuacja diametralnie by się zmieniła. Szkielet potrafił powiedzieć wiele, choć zazwyczaj robił to szeptem.

## 11

### 14 października, piątek, godz. 14.21

Hallbjørn czekał przed szkołą, wypatrując Ann-Mari. Próbował skontaktować się z nią wczoraj, ale miała wyłączony telefon, a na Facebooku nie odpisywała. Szczególnie to ostatnie niepokoiło Olsena – gdzie jak gdzie, ale właśnie tam powinno udać mu się ją złapać.

Specjalnie w tym celu założył konto, a już chwilę później zaczęły napływać zaproszenia od starych znajomych. Zastanawiał się, jak to możliwe, skoro nie dodał nikogo do swojej listy. Ostatecznie uznał, że lepiej tego nie rozważać. Tęższe umysły mierzyły się z tym problemem, jak Orwell w *Roku 1984*, i ledwo udało im się ogarnąć wagę problemu.

Hallbjørn szybko pożałował, że pojawił się w wirtualnym świecie. Zaczęło się wprawdzie niewinnie – ot, od pytania umieszczonego na tablicy przez starą znajomą. Chciała się dowiedzieć, kiedy ruszy proces i czy Hallbjørna będzie broniła ta sama prawniczka. Zanim Olsen zdążył odpisać, pojawiły się kolejne posty. Wiadro pomysłu napełniało się w zawrotnym tempie, aż w końcu wylało się na głowę Hallbjørna.

Postanowił nie czytać komentarzy i skontaktować się z córką w najbardziej tradycyjny sposób. Ubrał się ciepło, zamknął dom, a potem poszedł na Heygaganesgøta. Przez moment zastanawiał się, w którym miejscu stoi dom Erny Olsen. Potem zadzwonił do drzwi kuzynki.

Otworzył mu mężczyzna, którego Hallbjørn skądś znał, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak tamten się nazywa. Nieznajomy zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, a potem otworzył usta. Trwał tak z głupawym wyrazem twarzy, czekając, aż Hallbjørn się odezwie.

Olsen krótko oświadczył, że chce się widzieć z córką. Mężczyzna odpowiedział, że wyszły gdzieś obie z Erną i nie wie, o której wrócą. Rozmowa szybko przerodziła się w słowną przepychankę i Hallbjørn nie miał złudzeń, że Erna i jej partner najwyraźniej

postanowili chronić Ann-Mari przed ojcem.

Wrócił do domu, dochodząc do wniosku, że nie będzie kopał się z koniem. Nikt nie może mu zabronić widywania się z Ann-Mari. Sąd nie odebrał mu praw rodzicielskich, a nawet gdyby tak się stało, miałyby to gdzieś. Nic nie mogło ich rozdzielić. Nie po tym, co przeszli.

Dlatego stał teraz przed szkołą. Nie było sensu kłócić się z Erną, wolał to załatwić sam na sam z córką.

Przestępował z nogi na nogę, wodząc wzrokiem za dziećmi opuszczającymi budynek. Wszystkie patrzyły na niego z odrazą, ale bez strachu. Poczł się jak cholerny ekshibicjonista, o którym wszyscy wiedzą, ale nikt nic nie robi, by go stąd usunąć.

W końcu wypatrzył Ann-Mari i natychmiast się rozpromienił, odsuwając od siebie nieprzyjemne myśli. Podniósł rękę i krzyknął do niej, ale córka nie usłyszała. Była pochłonięta rozmową z Herdis Hattarstein i Jytta Gregersen. Obydwie wyglądały zupełnie inaczej niż Ann-Mari. Miały mocny makijaż i obłudę wypisaną na twarzy. Sprawiały wrażenie, jakby kogoś obgadywały.

Ale jego córka także się zmieniła. Olsen po raz pierwszy się przekonał, jak wiele znaczy dziewięć miesięcy w przypadku nastolatki. I to trudnych dziewięć miesięcy – bez ojca, ale za to z ciężarem nieustannie noszonym na barkach. Hallbjørn był przekonany, że połowa mieszkańców patrzyła podejrzliwie na Ann-Mari, a pozostała część na każdym kroku jej żałowała. Trudno było powiedzieć, która z reakcji była dla dziewczyny gorsza.

Po chwili córka wreszcie go zauważyła. Zatrzymała się jak rażona piorunem, otworzyła szeroko oczy, a potem odprawiła koleżanki. Herdis i Jytta rzuciły mu nienawistne spojrzenie, po czym się oddaliły, szepcząc jeszcze coś do Ann-Mari.

Hallbjørn podszedł do córki. Nie dostrzegł ani odrobiny radości na jej twarzy i jemu samemu mina również szybko zrzędała. Najwyraźniej przez dziewięć miesięcy zmieniło się więcej niż tylko kilka powierzchownych spraw.

– Hal – powiedziała.

Co to miało znaczyć? Trudno było nawet uznać to za powitanie.

– Próbowałem wczoraj się z tobą skontaktować, ale... – Urwał i rozłożył ręce, uśmiechając się lekko. Nie był to najlepszy początek rozmowy, ale co innego miał powiedzieć?

– Wiem.

– Założyłem nawet konto na fejsie.

– Widziałam.

Odchrząknął i rozejrzał się. Kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy, ustawiła się grupa uczniów. Przyglądali się spotkaniu ojca z córką.

– Zmieniłaś numer telefonu? Cały czas był brak sygnału.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ciocia Erna powiedziała, że tak będzie lepiej.

– Aha.

Słumił potrzebę powiedzenia, że „ciocia Erna” ma to do siebie, że gdy tylko otwiera usta, prawie zawsze wydobywają się z nich kompletne bzdury.

– Dziennikarze ciągle wydzwaniali – dodała dziewczyna.

– Rozumiem.

– W dodatku ciocia nie chce, żebym z tobą rozmawiała.

Hallbjørn powtórzył sobie, że najważniejsze jest, by zachował spokój. Jeśli teraz zacznie obrzucać Ernę błotem, nie wyjdzie z tego nic dobrego. Zrazi do siebie córkę, która najwyraźniej nawiązała z jego pieprzoną kuzynką jakąś nić porozumienia. Może nie powinien się dziwić – w końcu Ann-Mari została tutaj zupełnie sama, a Erna była jedyną rodziną.

– Wiesz, jak jest... – zaczął. – Nie darzymy się przesadną sympatią.

– Trudno się dziwić. W tej sytuacji.

– Nie, nie. Nigdy się nie darzyliśmy.

– Ciocia mówi co innego.

Olsen zacisnął usta i się skrzywił.

– Ona zazwyczaj mówi co innego niż reszta ludzi – mruknął. – Ale mniejsza z tym. Jestem już w domu, Ann-Mari.

Nadzieja jest matką głupich, ale w tym przypadku byłoby to niedomówienie, pomyślał Hallbjørn. Na dobrą sprawę nie wiedział, dlaczego w ogóle próbuje coś ugrać. Wiedział już, że córka nie ma zamiaru wrócić na Fjalsvegur. Znał ją dobrze, a poza tym widział to w jej oczach.

– Nie wracam, Hal.

– Tak, domyśliłem się, ale...

– Nie mam zamiaru o tym z tobą rozmawiać.

– Jestem twoim ojcem.

Oho, tracę grunt, pomyślał. Był to jeden z tych argumentów, których używały jedynie osoby chwytające się brzytwy. Efekt mógł być tylko jeden. Nie dość, że sam się pokaleczy, to jeszcze pokaże córce, jak bardzo jest zdesperowany.

– I? – zapytała zaczepnie.

– I chcę, żebyś wróciła do domu.

– Nie możesz mi rozkazywać. Nie w takiej sytuacji.

– Posłuchaj, przecież...

– Mam ci to powiedzieć jaśniej? – przerwała mu podniesionym głosem. – Nie możesz zmusić mnie, żebym mieszkała z mordercą, rozumiesz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, obróciła się i ruszyła szybkim krokiem w kierunku grupy znajomych. Herdis Hattarstein natychmiast otoczyła ją ramieniem, a pozostali okrążyli, jakby była hollywoodzką aktorką wychodzącą z premiery nowego blockbustera.

Olsen zaklął pod nosem i pokręcił głową. Rozegrał to beznadziejnie, ale właściwie chyba nie było żadnego scenariusza, który skończyłby się dobrze. Powinien spodziewać się, że pod jego nieobecność Erna zrobi swoje. Ta cholerna stara panna miała czarny pas w zatruwaniu umysłów innych ludzi.

Jest źle, będzie jeszcze gorzej. Przecież był na to przygotowany, nawet jeśli nie chciał dopuścić do siebie takich myśli.

Wrócił do domu, po drodze czując na sobie ciężkie spojrzenie każdego mijanego mieszkańca Vestmanny. Gdyby mogli, poćwiartowaliby go i zrzucili z klifów. Za kilkadziesiąt lat byłby kolejnym anonimowym szkieletem leżącym gdzieś na dnie oceanu.

Otworzył drzwi i zamarł. Zobaczył kolejną kopertę na podłodze. Był na niej dokładnie ten sam rysunek, co we wcześniejszej wiadomości.

Hallbjørn natychmiast się odwrócił i powiódł wzrokiem po Fjalsvegur. W zasięgu wzroku nikogo nie było.

Wyjął komórkę i wybrał numer Katrine. Zrobił to bezrefleksyjnie, choć nawet gdyby dał sobie chwilę na zastanowienie, z pewnością postąpiłby tak samo.

Nie odebrała za pierwszym razem, więc odczekał chwilę, a potem znów wybrał numer. Stał nad kopertą, wbijając w nią wzrok.

– Tak? – odezwała się w końcu.

– Dostałem następny list.



– Co takiego?

– Patrzę na kolejną kopertę z trupa czachą, w której z pewnością znajduje się wiadomość. Jak inaczej mam ci to jeszcze powiedzieć?

– Jesteś w domu?

– Tak.

– Nie ruszaj niczego. Już jedziemy.

– My?

Rozłączyła się, a dźwięk przerwanego połączenia zdawał się głośniejszy niż zwykle. Olsen spojrzął na telefon, a potem wsunął go do kieszeni spodni. Ominął kopertę, zszedł buty i poszedł do kuchni. Czekał na Katrine, sącząc kawę i raz po raz zerkając w kierunku korytarza.

Policjantka zjawiała się w towarzystwie Fridy Skovmand i Nolsøego. Kiedy Hallbjørn go zobaczył, miał ochotę złapać za pierwszy lepszy przedmiot, by mieć się czym bronić. Łysy Farer łypnął na niego spode łba, a w oczach zakołatała mu się dzika furia.

Trudno było mu się dziwić. Sigvald był tym, który od początku twierdził, że to Olsen zabił Poułę Løkin. I to on dał się oszukać najbardziej, ostatecznie przyjmując wersję, że Hallbjørn jest niewinny.

W czwórkę stanęli nad kopertą.

– Nie ruszałeś jej? – spytała Ellegaard.

– Nie. Uważałem, żeby nawet jej nie tknąć.

– Idealnie – wtrąciła Skovmand, a potem pochyliła się nad znaleziskiem i przyjrzała mu, jakby co najmniej analizowała włoki. – Dobra – rzuciła. – Pakujemy to i spadamy.

– Jak to?

– Musi trafić do laboratorium w Tórshavn – odparła Frida, naciągając lateksowe rękawiczki. Wyjęła przezroczysty woreczek foliowy i przykucnęła. – Trzeba zebrać odciski palców i sprawdzić całe mrowie innych rzeczy.

– Ale...

– Co? Chciałeś dowiedzieć się, co napisał morderca?

– Morderca?

Skovmand zmarszczyła czoło i pokiwała głową.

– Przypuszczam, że to on jest nadawcą – powiedziała. – Takie rzeczy to najczęściej wynik wyrzutów sumienia. Prawdopodobnie tłumionych dość długo.

Hallbjørn spojrział pytająco na Katrine. Ta nie zwracała na niego uwagi, podobnie jak Sigvald.

– Mniejsza z gdybaniem – powiedział Olsen. – Trzeba sprawdzić, co jest w liście.

– Zapewniam cię, że to zrobimy.

– Ale...

– Ale nie masz w tej sprawie nic do gadania.

– Oprócz tego, że to ja otrzymałem wiadomość.

– Która została teraz włączona do materiałów dowodowych – odparła Skovmand. – Za co zresztą jesteśmy ci ogromnie wdzięczni.

Nie tak to miało wyglądać, choć z drugiej strony mógł się przecież tego spodziewać. Wczorajsza podróż z Katrine po wyspach stanowiła wyjątek, odstępstwo od normy. Gdy tylko Ellegaard miała chwilę, by się nad tym porządnie zastanowić, zapewne doszła do wniosku, że zrobiła ogromne głupstwo.

Mimo to Olsen nie miał zamiaru odpuszczać.

– Nie – powiedział, gdy Frida zamknęła woreczek.

Podniosła się i westchnęła.

– Nie ma mowy – podkreślił.

– Spokojnie, Olsen – mruknął basem Nolsøe. – Podniesiesz głos, a uznam, że robisz się agresywny.

Zmierzyli się wzrokiem. Jeszcze jakiś czas temu proporcja mięśni była odwrotna – u Sigvalda występowały w przyzwoitej ilości, u Hallbjørna niespecjalnie. Dziewięć miesięcy więziennych ćwiczeń zrobiło jednak swoje – tym bardziej że dieta w Vestre Fængsel sprzyjała budowie masy mięśniowej. Białka było aż w nadmiarze, posiłki regularne, a pustych kalorii jak na lekarstwo.

– Jestem spokojny – odparł Olsen. – I nie mam zamiaru wdawać się z wami w przepychanki.

– Trudno – stwierdził Nolsøe.

– Ale dostanę kolejne listy.

Frida spojrziała na niego, a potem na Katrine.

– Że co? – warknęła.

– To już druga koperta, więc przypuszczam, że będą przychodziły dopóty, dopóki nie odkryję jakichś konkretów. A jeśli zabierzecie mi tę, gwarantuję, że nie poinformuję was o

kolejnej.

Sigvald zbliżył się o krok.

– Twoim zawszonym obowiązkiem jest to zrobić.

Hallbjørn go zignorował. Nie miał zamiaru się do niego zwracać, pewien, że nie przebije się przez mur niechęci i uprzedzeń, jaki wzniósł policjant z Tórshavn. Olsen popatrzył na Ellegaard, ale ta nadal zachowywała się, jakby nie było go w pomieszczeniu.

– Słyszysz, skurwielu?

– Słyszę cię aż za dobrze, Nolsøe.

– W takim razie zakoduj sobie to, co mówię. Jeśli dowiem się, że zataiłeś...

– Wyjdź z mojego domu.

– Co?

– Wynoś się, człowieku – odparł Hallbjørn najspokojniej, jak umiał, jednocześnie wskazując mu drzwi. Istniały niewątpliwe plusy kłócenia się z policją – policjanci mogli sobie pozwolić na pewne rzeczy tylko do momentu, w którym górę brały prawa obywatelskie.

– Nie będziesz mi mówił, co...

– Tobie nie – wpadł mu w słowo Olsen. – Ale moja prawniczka chętnie poinformuje komendanta, że jeden z jego podwładnych narusza mir domowy Bogu ducha winnego obywatela.

– Kto jak kto, ale ty niewinny nie jesteś, Olsen.

– Jestem, dopóki sąd nie uzna inaczej.

Nolsøe już otwierał usta, ale włączyła się Katrine:

– Dość tego. – Chwyciła torebkę i wyrwała ją Fridzie. – Wychodźcie, oboje.

– Zaraz, zaraz... – zaoponowała Skovmand.

– No już, wyłazić.

Sigvald i Frida spojrzeli po sobie, skonsternowani. Hallbjørn przez moment obawiał się, że nie dadzą się wyprosić, ale ostatecznie Frida skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Nolsøe poszedł za nią.

– Widzimy się w Krákureiðrið – powiedziała Ellegaard.

Frida mruknęła coś pod nosem, Sigvald nie odpowiedział. Chyba że za odpowiedź można było uznać trzaśnięcie drzwiami tak mocne, że aż zatrzeszczały.

Katrine nabrała głęboko tchu, po czym zdjęła kurtkę i przeszła do kuchni. Rzuciła

woreczek z listem na blat, a potem nalała wody do czajnika. Jej ruchy były nerwowe, niemal neurotyczne. Olsen podszedł do niej i spojrzał na kopertę.

– Nie traktuj tego jako wyraz zaufania – odezwała się. – Uważam po prostu, że czas może odgrywać tu jakąś rolę, więc powinienesz przeczytać to jak najszybciej.

– Mhm – odparł, sięgając po woreczek.

– Ale włóż rękawiczki, do cholery – upomniała go, otwierając jedną z szuflad. Były tam jedynie sztucce, więc zasunęła ją gwałtownie. – Gdzie trzymasz takie rzeczy?

Wysunął najniższą szufladę i wyjął jednorazowe rękawiczki. Po chwili oboje pochylili się nad blatem. Hallbjørn otworzył woreczek i wyciągnął z niego kopertę. Ostrożnie rozciął papier, jakby miał do czynienia z cennym archeologicznym znaleziskiem.

Rozłożył kartkę.

– „Byłeś na dobrej drodze” – odczytał.

Przez moment milczeli.

– Co to, kurwa, ma znaczyć? – zapytał.

– Że powinniśmy zamówić prom.

Tak, była to pierwsza logiczna konkluzja, ale potencjalnych znaczeń mogło być wiele. W końcu robił wczoraj nieco więcej rzeczy, niż tylko próbował dostać się na Fugloy.

– Może – przyznał. – A może nie.

– Odwróć kartkę.

Zrobił, jak poleciła, ale tym razem na odwrocie nie było żadnej wiadomości. Przez chwilę zastanawiali się, wlepiając wzrok w krótkie zdanie.

– Ten sam krój, co poprzednio – zauważyła Katrine. – Times New Roman dwunastka. Bardziej standardowo już się nie da.

– A gdyby był Comic Sans, miałyby to jakieś znaczenie?

– Tylko takie, że nadawca odznaczałby się bezguściem.

Hallbjørn westchnął. Kto sobie z nim pogrywał w taki sposób? Jeśli rzeczywiście chciano skierować go na jakiś trop, można było to zrobić za pomocą mniej enigmatycznych wiadomości. Jeśli ktoś chciał z niego zadrwić, również były na to lepsze sposoby.

Czuł, jakby gonił własny ogon. Dotychczas bagatelizował tę sprawę, podświadomie przyjmując, że może to jakiś szaleniak, który po prostu nie ma nic lepszego do roboty. Teraz jednak należało uznać, że nadawca go obserwował.

– Musi chodzić o podróż na Fugloy – powtórzyła Ellegaard.

– Albo o mnóstwo innych rzeczy.

– Jakich?

– Nie mam pojęcia – wymamrotał, wyjmując kubek. Wsypał do niego kawy, a potem zalał wodą i podsunął Katrine. – Nie wiem, jakie motywacje ma ten człowiek, więc nie wiem, do czego się odnosi.

– Co masz na myśli?

– Że to może być jakiś stary znajomy, który robi sobie dowcipy. Może być to morderca, który chce mi coś zdradzić. W końcu może to być moja niezrównoważona kuzynka czy ktokolwiek inny, kto z jakiegoś powodu czuje potrzebę, by zrobić ze mnie idiotę.

Katrine wzięła kubek i usiadła na fotelu.

– Byłem wczoraj u Erny – dodał. – Więc to także może być tą „dobrą drogą”, tym bardziej że nie udało mi się wtedy zobaczyć z Ann-Mari.

– Dlaczego nie?

– Nie było jej. A ta stara wiedźma nastawia ją przeciwko mnie.

– Dziwisz się?

– Tak. Jestem jej ojcem, do cholery.

– Który zabił jej przyjaciółkę, a następnie wmieszał ją w całą sprawę.

– Chyba żartujesz...

Nie odpowiedziała, a Hallbjørn odniósł wrażenie, że sama uświadomiła sobie, że nieco przeholowała. Owszem, był gotów wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił – nawet jeśli niczego nie pamiętał. Ale nie wmieszał w to córki. Ann-Mari podejmowała samodzielne decyzje, nie informując go o nich. Nie miał pojęcia, co zamierzała.

Ale może właśnie to determinowało, czy był dobrym ojcem? Może powinien wiedzieć?

Usiadł na kanapie i obrócił się do Katrine.

– Dzisiaj z kolei byłem w szkole – ciągnął. – Jeśli ktoś z moich znajomych czy rodziny nadaje te listy, wiadomość może mieć wymiar osobisty. Może chodzić o to, że staram się odbudować więź z córką.

– Nie sądzę.

– Bo jesteś dochodzeniowcem – odparł Hallbjørn i pochylił się. – Postrzegasz wszystko przez pryzmat sprawy.

– A to nie o niej wspomniano w pierwszej wiadomości?

– Tak, ale nie wiemy, co stanowiło jej istotę.

Odstawiła kubek i spojrzała nieufnie na Olsena.

– Dość tych dywagacji, Hal – powiedziała. – Sytuacja jest jasna. Tyle że ty nie jesteś w stanie tego zaakceptować, bo nie chciałbyś się przekonać, że jesteś zamieszany także w inne morderstwo.

Nie miał dla niej dobrej odpowiedzi. Oczywiście nie myliła się – miotał się w jasnych, jednoznacznych okolicznościach, jakby było jakiekolwiek pole manewru. Nie miał go. I musiał przyznać sam przed sobą, że może być zamieszany nie tylko w sprawę Pouli Løkin.

– W porządku – stwierdził w końcu. – Więc co teraz?

– Teraz zadzwonię po Łódź.

– Słucham?

– Śmigłowiec już odleciał. W piątki lata do Hattarvík i Kirkja o trzynastej trzydzieści, sprawdzałam.

– Ale Łódź...

– Dogadałam się z nimi.

– Jak?

– Wystarczyło poprosić.

– Wątpię – mruknął Olsen. – Wiesz, jak wygląda ten transport? Kiedy dobijają do Hattarvík, rozładowują olej do tamtejszej elektrowni, więc jest trochę więcej czasu. Ale w Kirkja mają tylko pocztę i śmieci do wzięcia. I dopóki nie skończą ładować tego na pokład, masz czas, żeby z niego zejść. Nieistotne, czy masz całą górę bagaży, czy nie, nie czekają ani chwili. Albo zdążysz, albo nie.

– Zmierzasz do jakiejś puenty?

– Tylko do takiej, że ci ludzie nie zgadzają się ot tak nawet na chwilowe opóźnienie, co dopiero mówić o dodatkowym kursie.

Katrine wzruszyła ramionami i po raz pierwszy, od kiedy ją zobaczył, uśmiechnęła się lekko. Było w tym sporo satysfakcji.

– Chodź. – Wskazała w stronę korytarza. – Umówię się z nimi za godzinę w Hvannasund.

– Nie zajedziemy tam w godzinę.

– Więc poczekają.

– Dobrych dwadzieścia minut.

Ellegaard wyciągnęła komórkę, a potem wybrała numer.

– No cóż... – bąknął. – Przynajmniej będziesz mieć wystarczająco dużo czasu, żeby powiedzieć mi, czy znaleźliście resztę kości.

Ruszyli do wyjścia.

## 12

### 14 października, piątek, godz. 16.04

Nie po raz pierwszy – i z pewnością nie po raz ostatni – Katrine zastanawiała się, co właściwie, do cholery, robi. Zachowywała się niemal jak uzależniona, brakowało tylko tego, by codziennie rano powtarzała sobie, że nie wciągnie do sprawy Hallbjørna.

Pomyślała o tych wszystkich zmęczonych życiem, zapijaczonych protagonistach skandynawskich kryminałów. Była taka jak oni, tylko zamiast butelki miała przeklętego Hallbjørna Olsena.

Kiedy zaparkował przy pirsie, spod którego odchodził prom, Katrine bez słowa wysiadła z samochodu. Rozejrzała się, ale wokół widać było jedynie mgłę. Po chwili wyłonił się z niej jeden z okolicznych szczytów, wznoszący się na niemal sześćset metrów Tunnafjall. Po promie nie było śladu.

– Najwyraźniej znudziło im się czekanie.

Ellegaard wyjęła komórkę, ale nie było tutaj zasięgu.

– I moglibyśmy spożytkować ten czas na rozmowę o kościach.

– Z pewnością.

– Daj spokój – rzucił Olsen. – Przecież prędzej czy później i tak się dowiem.

– Z mediów, a one nie powiedzą ci wiele.

– Tym bardziej powinnaś przedstawić mi to i owo.

Ponownie się rozejrzała, ale nigdzie nie dostrzegła Ritana. Nie słyszała też silnika, choć akurat to o niczym nie świadczyło – głośno świszczący wiatr skutecznie zagłuszał wszystkie pozostałe odgłosy. Katrine zapięła kurtkę pod szyję.

– Niby dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić?

– Bo niejako uczestniczę w śledztwie.

– Jesteś źródłem osobowym. To wszystko.

Spojrzał na nią, ale szybko odwrócił wzrok.

– Jest w tym jakaś poetyka – zauważył. – Ale to niekoniecznie prawda. Moja rola jest

znacznie poważniejsza, w dodatku rośnie z każdym kolejnym dniem. I każdym kolejnym listem.

Ellegaard wiedziała, że musi szybko ukrócić tę gadaninę. Miał oczywiście trochę racji – stawał się dla sprawy coraz ważniejszy. A ich relacje zdawały się w tym samym tempie ocieplać. Nie, nie ocieplać, to zbyt mocne słowo.

A może nie?

– Łatwiej będzie się pracowało, jeśli mi powiesz, co znaleźliście.

– Skąd wiesz, że cokolwiek znaleźliśmy?

– Tak sobie tylko spekuluję.

– Więc spekuluj sobie dalej – odburknęła. – Bo na razie wiemy tylko tyle, że grindwal połknął kawałek czaszki gdzieś u wschodnich wybrzeży Viðoy.

– Nurkowie już szukają?

– Od rana.

– I nic?

– Nic. Zaraz powinni kończyć, ale jutro od świtu wznowią badanie dna. Mamy trochę terenu do przeszukania, bo nie sposób stwierdzić dokładnie, w którym miejscu znajdował się ten pieprzony waleń.

– Mhm – mruknął Hallbjørn i się uśmiechnął.

Przerwali rozmowę, gdy usłyszeli narastający dźwięk silnika. Rzęził okropnie, jakby maszyna miała wyzionąć ducha – nie ulegało wątpliwości, że nadpływa R/F Ritan.

– Brzmi jak rozpadająca się krypa – zauważyła Ellegaard.

– Bo to pływająca trumna. Jakiś czas temu pływała na trasie Tórshavn – Nólsoy, potem przeniesiono ją tutaj. Optymiści mówią, że to zasłużona emerytura.

– A pesymiści?

– Że Ritan jest w stanie przedagonalnym.

Katrine spojrzała na prom wynurzający się z mgły. Rozległ się dźwięk przywodzący na myśl gong, a Ellegaard niemal podskoczyła. Statek nie budził zaufania, poszycie było powgniatane, jakby Ritan przy każdym wejściu do portu obijał się o pirsy. Niebieska farba odpryskiwała niemal wszędzie, a rdza zdawała się trawić całą dolną partię kadłuba. Żółte zacieki ciągnące się od burty w dół dopełniały obrazu jednostki, która dawno powinna zwinąć do któregoś z portów na stałe.

Weszli na pokład, witając się z niezbyt zadowolonymi marynarzami.



- Długo to potrwa? – zapytała Katrine.
- Tyle, ile trzeba.
- Dwadzieścia minut? Czterdzieści?
- Zobaczymy. Mocno wieje.

Nie sądziła, żeby miało to jakikolwiek wpływ na czas podróży, ale uznała, że nie będzie drażnić. I bez tego załoga była wściekła. Zamiast wrócić na obiad do domu, otworzyć piwo i obejrzeć coś w telewizji, musieli wieźć dwójkę ludzi na maleńką wyspę na wschodnim krańcu archipelagu.

Ritan ruszył z oporem, jakby musiał się przebijać przez spienione fale. Statkiem trzęsło tak, że już po kilku minutach Katrine poczuła, jak posiłek podchodzi jej do gardła. Ostatnim razem całkiem nieźle zniosła rejs Smyrilem, ale to była ogromna jednostka – ten prom zaś bardziej przypominał kuter. Był na tyle mały, że chwiał się na falach niemal jak kanu. Ellegaard miała wrażenie, że zaraz się przewróci.

- Wszystko w porządku? – odezwał się Hallbjørn.
- T-tak...
- Będziesz rzygać, jak rozumiem?
- Obawiam się, że tak.

Nie było sensu się oszukiwać. Ledwo powstrzymywała nudności.

- Wytrzymaj jeszcze kwadrans, to...

Urwał, kiedy Katrine przechyliła się przez burtę i zasilła wody archipelagu zawartością swojego żołądka. Wisiała tak przez moment, przechylona przez reling, i poniewczasie uświadomiła sobie, że Olsen trzyma ją za kurtkę.

Obróciła się i odtrąciła jego rękę. Przez chwilę się nie odzywali.

- To krótka trasa – powiedział. – Zaraz będziemy na miejscu.

Trudno było zweryfikować, czy mówi prawdę, bo całą okolicę spowijała mgła. Dopiero gdy znaleźli się tuż przed portem w Kirkja, Katrine dostrzegła ląd. Ritan powoli wyhamował, zmienił ciąg silnika, a potem podpłynął tyłem do pirsu. Ellegaard czym prędzej podziękowała za transport i zbiegła trapem na suchy ląd. Olsen spokojnie szedł za nią.

- Następnym razem chyba lepiej będzie helikopterem – zauważył.
- Zdecydowanie – odparła, rozglądając się. Wcześniej wydawało jej się, że w Hvannasund mocno wiało, jednak dopiero tutaj przekonała się, co oznacza porywisty wiatr.

Nic nie chroniło przed nim samotnej wysepki Fugloy. Zupełnie jakby wichura prowadziła nieustanną walkę ze skalistym skrawkiem ziemi, próbując przepchnąć go choćby o kawałek.

Zza burty promu wychylił się jeden z marynarzy.

– Długo trzeba będzie na was czekać? – zapytał.

– Nie – odparła Katrine.

– Pół godziny?

– Może godzinę.

Burknął coś po farersku. Hallbjørn posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Mężczyzna szybko uniósł otwarte dłonie, skrzywił się, a potem zniknął gdzieś pod pokładem.

– Dobra – rzuciła Ellegaard. – Prowadź. Czas poznać twoją ciotkę i wuja.

– O ile mnie rozpoznają.

– Nie martwiłabym się o to. Nawet jeśli naprawdę długo się nie widzieliście, dość często mogli cię oglądać w lokalnej telewizji.

Zaśmiał się pod nosem, a potem wskazał kierunek. Ruszyli z boczem pod górę, a im dalej szli, tym większa część Fugloy wyłaniała się z mgły. Mocny wiatr rozganiał ją dość szybko, ale najwyraźniej natura miała jej pod dostatkiem. Katrine udało się jednak zobaczyć pojedyncze zabudowania na stokach, sprawiające niemal komiczne wrażenie – jakby ktoś chlapnął farbą na puste płótno. Rozrzucone, kolorowe domki znajdowały się w dużej odległości od siebie, a zbocze wyglądało monumentalnie. Zupełnie, jakby ktoś przez przypadek wznosił tutaj kilka budynków.

Minęli kościół, a potem dotarli do samego końca Beitisvegur, ulicy położonej najwyżej. Olsen zatrzymał się przed murowanym domem.

– Jeśli przypuszczasz, że to oni wysyłają mi listy, to się mylisz – wysapał.

– Hm?

– Nie mają nawet drukarki.

– A kto powiedział, że to właśnie ich podejrzewam?

– Po coś chyba tutaj przyplłynęliśmy.

– Po to, żeby rozeznąć się w twojej przeszłości. Bo najwyraźniej właśnie w niej może tkwić rozwiązanie.

Pokręcił głową, a jego wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że szczerze w to wątpi. Weszli po kamiennych schodkach na ganek i stanęli przed grubymi drzwiami ze

starego drewna. Wyglądało na próchniejące.

Hallbjørn załomotał w nie stanowczo zbyt głośno, by Katrine mogła myśleć o zrobieniu dobrego pierwszego wrażenia.

– Gracji masz tyle, ile rozumu – zauważyła.

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły. Z wnętrza domu wyjrzała stara, zgarbiona kobieta, mrużąc oczy, jakby przypatrywanie się przybyszom sprawiało jej fizyczny ból.

– Hallbjørn? – zapytała zdziwiona.

– Tak, ciociu.

– Ależ to... jak to... Co ty robisz na Fugloy?

Spojrzał na Katrine, jakby szukał u niej odpowiedzi.

– Pomyślałem, że dawno mnie nie było.

– Dawno? Drogie dziecko, ja już nie pamiętam, kiedyś ty u nas był...

Olsen odchrząknął, a uwadze Katrine nie uszło, że kobieta nie ruszyła się ani o krok. Ellegaard spodziewała się, że staruszka zaprosi ich do środka, ale albo rzeczywiście była w szoku, albo postanowiła zachować rezerwę wobec siostrzeńca.

– Wujek w domu?

– Tak, siedzi i po raz tysięczny czyta zbiór opowiadań Heđina Brú.

– Czyli wszystko po staremu.

Ciotka spojrzała na niego przenikliwie.

– Chcielibyśmy, żeby tak było, Hallbjørn. Bardzo byśmy chcieli.

Katrine odchrząknęła, zwracając na siebie uwagę. Gospodyni jakby dopiero teraz zreflektowała się, że Olsen nie przyplłynął sam. Zmierzyła Ellegaard wzrokiem, a potem obróciła się przez ramię.

– Ingibjörg! – zawołała.

– Czego? – rozległ się głos ze środka.

– Chodź.

– Nie krzycz.

– Nie krzyczę, ale goście przyszli.

– Jacy goście?

– Hallbjørn i jakaś kobieta.

Wymiana krótkich pytań i odpowiedzi trwała jeszcze chwilę, zanim Ingibjörg upewnił

się, że to rzeczywiście jego siostrzeniec stoi na ganku i czeka, by wpuścić go do środka. Po chwili gospodarz pojawił się w progu.

Wyglądało na to, że teraz dwoje ludzi strzeże dostępu do domu.

– *Vicepolitikommisær* Ellegaard – powiedziała chłodno Katrine. Zazwyczaj zaczynała od pozdrowienia w języku farerskim, co zawsze wywoływało zadowolenie u wyspiarzy. Tym razem jednak nie miała ochoty na uprzejmości.

Kobieta przedstawiła się jako Tórunn.

– Dunka? – burknął Ingibjörg.

– Tak. Zostałam przysłana z Kopenhagi, żeby...

Stary Farer zaśmiał się chrapliwie, a potem zaniósł suchym, nieprzyjemnym kaszlem. Stojąca obok Tórunn zupełnie to ignorowała, mimo że jej mąż sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz się udusić. Najwyraźniej takie dolegliwości w tym domu były na porządku dziennym.

– Hallbjørn i Dunka – podsumował Ingibjörg, gdy opanował kaszel. – Czy może być gorzej?

Katrine była gotowa potraktować to jako żart, ale mężczyzna nawet się nie uśmiechnął. Jego żona również nie.

– Co cię sprowadza? – zapytał.

– Badamy...

– Badamy sprawę odnalezioną czaszki – wpadła mu w słowo Ellegaard, robiąc krok do przodu. – Z pewnością państwo o niej słyszeli.

– O czaszce? – Ingibjörg spojrzał na żonę, a Tórunn pokręciła głową. – Nie, nie przypominam sobie niczego takiego.

– Nie oglądają państwo telewizji? Nie słuchają radia?

– Nie tracimy czasu na kosmopolityczne banialuki.

Najwyraźniej Olsen nie przesadzał, mówiąc, że na wyspie jest sporo separatystów. Tych dwoje z pewnością do nich należało, co nie ułatwiało Katrine zadania. Jako Dunka musiała stanowić dla nich personifikację tego wszystkiego, co jest nie tak z dzisiejszym światem.

– Może przejdziemy do rzeczy – zaproponował Ingibjörg. – Chłód nam leci do chałupy.

Hallbjørn pokręcił głową, odwrócił się i odszedł na bok. Słuszna decyzja, uznała Ellegaard.

– Otrzymaliśmy pewne informacje, które musimy zweryfikować – zaczęła.

– Jakie?

– Dla dobra śledztwa nie mogę zagłębiać się w szczegóły, ale istotne jest, by...

– Więc chce pani informacji, a sama nie jest gotowa ich przekazać. Typowe.

– Proszę pana...

– Nie powinienem spodziewać się niczego innego – uciał, przenosząc wzrok na Olsena.

– Ale co ty z nią tu robisz, Hallbjørn? Przecież to oni zamknęli cię w więzieniu.

Katrine natychmiast pojęła, że dystans wobec siostrzeńca nie wynika z tego, co zrobił. Ci ludzie byli na niego cięci, ponieważ od wielu lat zaniedbywał relacje rodzinne, które były dla nich kluczowe. Sama sprawa Pouli Løkin mogła być dla nich jedynie kolejną duńską prowokacją.

– Tylko jej pomagam.

– Tak? Myślisz, że oni na to zasługują?

– Chcemy się tylko czegoś dowiedzieć – odparł Hallbjørn tak cicho, że wiatr niemal zagłuszył jego głos. – I to na mój temat.

– Nie rozumiem.

Olsen podszedł bliżej i spojrzał najpierw na Tórunn, a potem na Ingibjörga.

– Ktoś sugeruje, że już wcześniej miałem problemy z pamięcią.

– A więc... – zaczął gospodarz. – A więc to prawda, co mówią? Że...

– Prawda – uciał czym prędzej Olsen. – Nie pamiętam, co się stało tamtej nocy, gdy dziewczyna zginęła.

– Więc nie możesz być pewien, że popełniłeś to zabicie.

Hallbjørn wziął głęboki oddech. Katrine widziała, że nie ma najmniejszej ochoty roztrząsać tej kwestii. Miał dziewięć miesięcy, by ją przetrwać, przeanalizować pod każdym kątem, więc trudno było mu się dziwić.

– Mniejsza z tym – powiedział. – Porozmawiamy kiedyś na spokojnie. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy coś takiego przydarzyło mi się już kiedyś.

– A skąd my mamy wiedzieć? – włączyła się Tórunn.

– Może matka lub ojciec coś wam mówili, może byłem u jakiegoś lekarza, może słyszeliście coś... cokolwiek.

– Nie – odparł Ingibjörg. – Nic takiego się nie działo.

– I skąd te pytania, Hallbjørn? O co chodzi?

Olsen wahał się przez moment, zapewne czekając na reakcję Ellegaard. Ona jednak

milczała. Dopóki nie zdradzał niczego, co rzeczywiście mogłoby zaszkodzić śledztwu, nie miała nic przeciwko, by dzielił się wiedzą z wujostwem.

Hallbjørn przedstawił im w dużym skrócie sprawę z czaszką.

– Ktoś twierdzi, że wiem coś na ten temat – dodał. – Że znam prawdę, tylko mam dziurę w pamięci.

– Ktoś sobie z tobą igra – ocenił Ingibjörg.

– Możliwe.

– Nie przejmowałabym się tym – uznała Tórunn. – I na przyszłość daj nam znać, zanim przyjdiesz. Ugotuję coś, przyszykujemy ci sypialnię.

– I bądź sam – dodał gospodarz.

Patrzyli na niego w milczeniu, jakby chcieli w ten sposób wymusić na nim szybkie pożegnanie. Hallbjørn spojrział na Katrine, ledwo zauważalnie skinęła głową. Nie mieli tutaj nic więcej do roboty. Była to kompletna strata czasu, nie wspominając o podróży przeklętym promem, którym trzeba było jeszcze wrócić.

– Do widzenia – powiedziała Ellegaard, a potem zeszła po schodkach.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Hallbjørn nie ruszył za nią. Tórunn i Ingibjörg zatrzymali go i wdali się jeszcze w jakąś rozmowę. Ellegaard nawet nie próbowała czegokolwiek dosłyszeć – mówili po farersku, a wiatr i tak skutecznie zagłuszał słowa.

Westchnęła i wyjęła komórkę. Dwa połączenia nieodebrane. Oba z nieznanymi numerów. Wybrała pierwszy z nich i przyłożyła telefon do ucha, osłaniając go przed wiatrem.

– Tak? – rozległ się męski głos.

– Katrine Ellegaard. Oddzwaniem.

– Ach, to pani. Dzwoniłem, by poinformować, że zakończyliśmy przeszukiwanie dna.

Dopiero teraz Katrine rozpoznała głos jednego z nurków z Tórshavn.

– I nie znaleźliście żadnych kości? – zapytała.

– Niestety. Jutro wschód jest punktualnie o ósmej osiem, więc od tej godziny będziemy kontynuować poszukiwania.

Ellegaard zakłęła w duchu. Liczyła na to, że coś odnajdą, choć właściwie byłby to niemały cud, by trafić już za pierwszym razem. Terenu do przeszukania było całkiem sporo.

– Nie odnaleźliście żadnych poszlak?

– Poszlak?

– Nieważne – odparła, sama zastanawiając się, jakie poszlaki mogłyby znajdować się na

dnie morskim. – Dziękuję za informację i proszę jutro dzwonić, jak tylko coś znajdziecie.

– Oczywiście.

Rozłączyła się, a potem wybrała drugi numer. Ten miał kierunkowy z Danii, a konkretnie z Kopenhagi. Przypuszczała, że albo jakiś dziennikarz chciał z nią porozmawiać, albo Kjeld Moslund dzwonił z innego miejsca. Nikt inny raczej by się z nią nie kontaktował. Była to nieco przybijająca konstatacja, ale prawdziwa.

Tym razem Katrine usłyszała w słuchawce damski głos. Katrine przedstawiła się i oznajmiła, że oddzwania, bo dopiero teraz zauważyła nieodebrane połączenie. Kobieta okazała się lekarką z kliniki Frederiksstadens.

– Dzwoniłam do pani w sprawie wyników badań.

– Tak?

– Mammografii. Poddała jej się pani jedenastego października.

Ellegaard na śmierć zapomniała o akcji kopenhaskiej policji, która miała zachęcić Dunki do wykonywania profilaktycznych badań piersi. Nic dziwnego. Tutaj nie myślało się o takich rzeczach, a choroby cywilizacyjne stanowiły raczej odległy temat.

– Tak, oczywiście – odparła Katrine.

– Przeprowadziliśmy wszystkie analizy i... Kiedy mogłaby się pani u nas pojawić?

– Słucham?

– Chciałabym się z panią spotkać.

– W jakim celu?

– Aby omówić wyniki badań.

– Coś z nimi nie w porządku?

Cisza w słuchawce zdawała się przeciągać w nieskończoność. Napełniała Ellegaard grozą i sprawiła, że zaschło jej w ustach. Nie, spokojnie, upomniała się w duchu. Owszem, sporo Dunek choruje na raka piersi, ale jej to nie dotyczy. Żadna z kobiet w rodzinie nie miała tego nowotworu, nie było się czym przejmować. W najgorszym wypadku chodzi o to, że wykryli jakiś guzek i trzeba go sprawdzić, by mieć stuprocentową pewność, że wszystko jest w porządku.

Mimo to przekłęta w myśli Moslunda. On i jego akcje, jakby policjantki nie miały nic lepszego do roboty.

– Kiedy może pani do nas przyjechać? – zapytała lekarka.

Wymijająca odpowiedź zaniepokoiła Katrine nieco bardziej.

- Nieprędko. Jestem dość daleko, prowadzę śledztwo poza granicami kraju.
  - Poza granicami?
  - Poniekąd – odparła Katrine, patrząc na Hallbjørna. Nadal rozmawiał z ciotką i wujem.
  - Ale mniejsza z tym. Nie może mi pani powiedzieć przez telefon, o co chodzi?
  - Oczywiście, mogę, ale...
  - Więc proszę bardzo. Bo sama nie wiem, kiedy wrócę do Kopenhagi.
- Usłyszała, jak kobieta wzdycha.
- Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości – zaczęła lekarka.
  - Nie rozumiem.

Ellegaard rozumiała jednak doskonale. Choć wciąż nie oznaczało to, że jest się czym przejmować. Na dziesięć wykrytych nowotworów statystycznie tylko jeden był złośliwy. Reszta należała do łagodnych, niegroźnych. A nawet jeśli sprawdziłaby się najgorsza wersja, zawsze przecież istniało leczenie. U większości kobiet nie było nawet potrzeby przeprowadzania mastektomii.

To mnie nie dotyczy, powtórzyła sobie w myśli Katrine. Nie było żadnych czynników, które przemawiały za pojawieniem się u niej raka.

- Badanie wykazało obecność nowotworu – oznajmiła lekarka.
- Katrine poczuła, jak nogi się pod nią uginają.
- Ale...
  - Niestety, jest to postać złośliwa.
  - Nie, to nie...
  - Wiem, jak to brzmi – dodała doktor. – Ale proszę mnie posłuchać. W osiemdziesięciu ośmiu procentach przypadków, jeśli szybko stawiamy diagnozę i podejmujemy leczenie, pacjentki...
  - Ale jak to możliwe?
  - Ta choroba może dotknąć każdego – odparła lekarka. – Proszę jednak pamiętać o tych procentach.
  - Procentach?
  - Zdecydowana większość pacjentek cieszy się dobrym zdrowiem przez pięć lat.

Czy ona naprawdę to powiedziała? Pięć lat? Co to za argument, co to za pocieszenie? Samo w sobie stanowiło to potwierdzenie, że jej przypadek nie jest beznadziejny, ale tragiczny.



– Z każdym kolejnym rokiem prawdopodobieństwo nawrotu maleje. A tempo jest wykładnicze, czasem na przestrzeni piętnastu lat prawdopodobieństwo spada dokładnie o połowę.

Ellegaard nic z tego nie rozumiała. Miała wrażenie, jakby docierała do niej jedynie część słów wypowiedzianych przez lekarzkę.

– Ale... ale co teraz?

– Zostanie powołany zespół. Mamy najlepszych specjalistów: onkologów, radiologów, radioterapeutów, patologów i chirurgów, którzy przeanalizują...

– Chirurgów?

– Proszę być dobrej myśli.

– Jak... jak mam być dobrej myśli, słysząc, co pani mówi?

– To standardowa procedura.

Katrine wbiła wzrok w Hallbjørna, jakby to w nim mogła szukać pomocy. Kończył właśnie rozmawiać z rodziną i nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Wuj, nie podawszy mu nawet ręki, cofnął się, a potem zamknął drzwi. Olsen odwrócił się do Ellegaard, otworzył usta, a potem zamarł, widząc jej wyraz twarzy.

– Czy... Na ile to pewne? – zapytała Katrine.

– Musimy jeszcze wykonać biopsję, ale...

– Jak to?

– To konieczność, aby formalnie można było dokonać ostatecznej weryfikacji – wyjaśniła lekarka tonem tak subtelnym, na jaki było ją tylko stać. – Potrzebujemy badania cytologicznego lub histopatologicznego.

– Ale...

– Innymi słowy, potrzebujemy materiału pobranego z guza.

Katrine z trudem przełknęła ślinę. Olsen podszedł do niej, marszcząc brwi. Bezgłośnie zapytał, co się stało, ale Katrine machnęła ręką i odeszła kawałek dalej.

– Dlatego tak istotne jest, żeby pani się tutaj zjawiała.

– Nie mogę teraz. Ani w najbliższym czasie.

– Rozumiem, ale... nie powinniśmy zbyt długo czekać. Mam nadzieję, że jest pani tego świadoma.

– Tak – odparła Katrine i wbiła wzrok we mgłę spowijającą wszystko, co znajdowało się kilkaset metrów dalej. – Jak długo możemy poczekać z tym badaniem?

– Niedługo. Należy je wykonać jak najszybciej, żebyśmy mogli zacząć wspólnie planować leczenie.

Podkreśliła słowo „wspólnie”, jakby od Katrine rzeczywiście coś zależało.

– Damy sobie radę – dodała lekarka. – Proszę tylko nie zwlekać.

– Oczywiście.

Zapewniły się jeszcze wzajemnie, że będą w kontakcie, a potem Ellegaard w końcu się rozłączyła. Wsunęła komórkę do kieszeni dzinsów i poczuła ulgę. Zupełnie jakby w ten sposób mogła pozbyć się problemu.

Złudne uczucie szybko jednak ustąpiło miejsca przerażeniu. Katrine poczuła, że się trzęsie.

– Coś nie tak? – odezwał się Hallbjørn.

Nie odwracała się. Nie chciała, by widział łzy w jej oczach.

– Katrine?

– Wracajmy – powiedziała. – Nie mamy tu czego szukać.

## 14 października, piątek, godz. 17.02

Marynarze wyglądali, jakby tylko moment dzielił ich od odpłynięcia z Fugloy, mimo że dwójki pasażerów nie było jeszcze na pokładzie. Hallbjørn posłał zdawkowy uśmiech kapitanowi, a potem pomógł Katrine zejść z trapu. Chwiała się, mimo że statek pozostawał jeszcze nieruchomy.

Bezwiednie złapała Hallbjørna za rękę i pozwoliła zaprowadzić się na pokład. Olsen nie wiedział, o czym rozmawiała przez telefon, ale najwyraźniej sprawa była poważna. Stanęli na bakburcie i oparli się o nadbudówkę. Silnik pracował głośno, ale jego rżenie i tak nikło w dmącym wietrze.

Hallbjørn przez moment zastanawiał się, czy nie powinien poruszyć tematu rozmowy telefonicznej. Ostatecznie doszedł jednak do wniosku, że Katrine wspomni o tym, jeśli zechce. Zresztą miał jej pewne informacje do przekazania.

– Dowiedziałem się tego i owego – powiedział.

Potrząsnęła głową i rozejrzała się, jakby wybudziła się z drzemki.

– Tak?

– Mhm – potwierdził. – Okazuje się, że ciotka i wujek są nieco bardziej gadatliwi, kiedy w pobliżu nie ma Duńczyków. Choć to wciąż para mruków.

– Zauważyłam – odparła, unosząc lekko kącik ust.

Wyraźnie pobladła, i to jeszcze zanim weszli na pokład. W dodatku tym razem nie wyglądało, jakby przeszkadzało jej kołysanie.

– Twierdzą, że odwiedzałem ich z rodzicami co parę miesięcy, dopóki nie skończyłem czterech lat.

– Pamiętasz to?

Wzruszył ramionami.

– Jak przez mgłę pamiętam, że tam bywałem, ale nie mam pojęcia, kiedy to było.

Katrine pokiwała głową.

– Więc mieliście całkiem niezłe kontakty – stwierdziła. – Twoi rodzice wspominali im o jakichś problemach z tobą?

– Ingibjörg twierdzi, że nie mówili o niczym innym.

- Ani trochę mnie to nie dziwi. Musiałeś być okropnym dzieckiem.
- Pewnie tak było.
- Ale nie licząc kłopotów wychowawczych, było coś?
- Wygląda na to, że nie – odparł Olsen i zawiesił wzrok na niedalekiej wyspie. Im dalej odpływali od Fugloy, tym lepszą mieli widoczność. Niedługo powinny się ukazać pionowe, surowe klify Viðoy, z której przyплыnęli. – Twierdzą, że byłem okazem zdrowia. A potem kontakt z moimi rodzicami zaczął stopniowo się zmniejszać, aż urwał się zupełnie.
- Dlaczego?
- Według Ingibjörga dlatego, że moja matka i ojciec byli zbyt zajęci karierą na Streymoy.
- Karierą?
- Dla tutejszych ludzi Streymoy to coś jak... Bo ja wiem? Kopenhaga dla mieszkańca jakiegoś małego miasteczka na Falster.
- Ellegaard uniosła brwi i uśmiechnęła się blado.
- Znasz geografię Danii, brawo.
- O tyle o ile. Wiem, że Falster to jakaś wyspa między Cieśninami Duńskimi.
- Zawsze coś.
- W każdym razie mogę uznać, że w okresie pacholęcym nie miałem żadnych zaburzeń pamięci. A jeśli nawet, to nikt o tym nie wiedział.
- Mimo to nadawca listu twierdził, że byłeś na dobrej drodze.
- Mogło mu też chodzić o rodziców Karli.
- Albo o powód, dla którego twoja matka i ojciec poróżnili się z Tórunn i Ingibjörgiem.
- Myślisz, że doszło do jakiejś scysji?
- Jestem tego pewna – odparła, opierając głowę o nadbudówkę. – Wy, Farerowie, kładziecie absurdalnie duży nacisk na więzi rodzinne. Nikt ot tak nie przestałby się ze sobą kontaktować. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę liczbę zajęć, które mają na Fugloy.
- To znaczy?
- Ci ludzie prowadzą życie monotonne jak mnisi w klasztorze. Może nawet bardziej, bo mnich porozmawia chociaż czasem z Bogiem. O nich chyba nawet On zapomniał.
- Nie ucieszyliby się, że tak stawiasz sprawę.
- Może i nie.
- Tym niemniej masz rację. Dla niektórych z nich rozmowa telefoniczna to największe wydarzenie w ciągu dnia.

Hallbjørn niewiele pamiętał ze swoich dziecięcych wizyt w Kirkja, ale bez trudu potrafił sobie przypomnieć poczucie wszechogarniającego marazmu. Wówczas oczywiście nie umiał go do końca rozpoznać, a co dopiero nazwać, ale było na tyle znaczące, że zapadło mu w pamięć.

Dla przypadkowego turysty życie na Fugloy musiało jawić się jak cudowna sielanka. Tymczasem niejednen mieszkaniec codziennie musiał toczyć ze sobą walkę, by w ogóle wstać z łóżka. Powiedzieć, że życie w takich miejscach było monotonne, to grube niedomówienie.

– I to tyle? – zapytała Ellegaard.

– Niestety. – Hallbjørn wzruszył ramionami. – Ale przynajmniej wykluczyliśmy jedną opcję.

– Kto więc zostaje, żeby zweryfikować twoje zaniki pamięci?

– Rodzice Karli.

– Czyli musimy liczyć na cud.

– Ni mniej, ni więcej.

Nagle telefon Katrine rozdzwonił jej się w kieszeni, a ona sama drgnęła, jakby zamiast wibracji komórka zaczęła emitować prąd stały o wysokim napięciu. Olsen spojrzął na nią ze zdziwieniem, ale się nie odezwał.

Wyjęła telefon i z niepokojem popatrzyła na wyświetlacz.

– Nolsøe.

– Czekasz na jakieś informacje?

Wzruszyła ramionami i odebrała. Przez moment słuchała, co Sigvald miał do powiedzenia, raz po raz mrużąc coś pod nosem, a potem skrzywiła się i uniosła komórkę.

– To tyle, jeśli chodzi o zasięg – oznajmiła.

– Czego chciał łysy?

– Poinformować mnie, że zakończyli sprawdzanie wszystkich hoteli na archipelagu.

– Jakie sprawdzanie?

Ellegaard westchnęła, chowając telefon do kieszeni. Olsen przez moment sądził, że niczego się nie dowie, ale ostatecznie przekonał się, że był w błędzie. Z jakiegoś powodu Katrine wydawała się bardziej otwarta.

– Założyliśmy, że czaszka może należeć do jakiegoś turysty. Sigvald sprawdzał, czy w żadnym z hoteli, pensjonatów czy kwater w przeszłości nikt nagle nie zniknął, zostawiając

swoje rzeczy.

– I nic?

Katrine pokręciła głową.

– Cóż... – zamyślił się Hallbjørn. – Jeśli coś takiego kiedykolwiek by się zdarzyło, na miejscu właściciela siedziałbym cicho. Szczególnie gdybym przywłaszczył sobie wcześniej cały bagaż zaginionego turysty.

– Sądzisz, że ktoś tutaj byłby do tego zdolny?

– Ludzie są tu tacy jak wszędzie.

Ledwo to powiedział, uświadomił sobie, że rozmowa zmierza w nieciekawym kierunku. Wystarczyło, by Katrine chwilę się zastanowiła, a zapewne dojdzie do wniosku, że Hallbjørn jest ostatnią osobą, z którą powinna rozmawiać o tym, do czego zdolni są ludzie.

Dopłynęli do Hvannasund bez żadnych komplikacji. Trudno było powiedzieć, dlaczego choroba morska Ellegaard przeszła w stan uśpienia, ale powód nie był istotny. Wsiedli do starego volva i skierowali się w stronę Vestmanny.

Nie odzywali się do siebie w drodze do miasteczka, ale cisza nie była już tak namacalna, jak wtedy, gdy jechali w drugą stronę. Katrine sprawiała wrażenie, jakby jakiś ciężar spadł jej z serca – choć jednocześnie wyglądała na nieobecna. Patrzyła pustym wzrokiem na mijane szczyty, wodziła spojrzeniem gdzieś w oddali i raz po raz lekko się uśmiechała.

Olsen wyłączył stację Kringvarp Føroya, która jak zwykle nie nadawała niczego ciekawego. Uznał, że dobrze byłoby posłuchać czegoś relaksującego. Włączył album Högniego Reistrupa, ulubionego wykonawcy Karli. Po chwili dźwięki zbliżone do muzyki Depeche Mode wypełniły samochód. Katrine zdawała się tego nie zauważać.

Hallbjørn zatrzymał się pod Krákureiðrið i dopiero wówczas policjantka się ocknęła.

– Dzięki, Hal – powiedziała, otwierając drzwiczki.

Pochylił się nad podłokietnikiem.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak. Wracaj do domu, odpocznij. Jutro pogadamy.

Wiedział, że jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale to była już chyba któraś z kolei. Wszystko wskazywało na to, że Ellegaard nabrała trochę dystansu wobec tego, co działo się tutaj w tamtym roku.

Skinął głową, a potem odprowadził Katrine wzrokiem. Pojechał w kierunku Fjalsvegur,

choć na dobrą sprawę nie był pewien, dlaczego wraca do domu. Nikt na niego nie czekał, a on nie miał tam czego szukać. Bez radia, telewizji czy Internetu był skutecznie pozbawiony potencjalnych zajęć. Chętnie by poczytał, ale przez ostatnich dziewięć miesięcy pochłoniął ponad dwieście książek, a domowa biblioteczka nie rozszerzyła się w cudowny sposób pod jego nieobecność.

Zmienił zdanie i pojechał na Heygaganesgøta. Zaparkował pod domem Erny, dostrzegając, że w dwóch pokojach pali się światło. Wyłączył silnik i zastanawiał się przez moment.

Po chwili stał już pod jednym z okien i zaglądał do środka. Ann-Mari siedziała przy niewielkim biurku, odwrócona plecami do okna. Pochylała się nad laptopem, ale Olsen nie mógł dostrzec, co robi.

Stał przed drzwiami frontowymi, wyprostował się i nacisnął dzwonek. Przypuszczał, że znów otworzy mu ten sam mężczyzna, co ostatnio, ale tym razem w progu stanęła Erna. Zlustrowała kuzyna wzrokiem, a potem wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

– Przyszedłem zobaczyć się z...

– Nie masz prawa.

– Mam pełne prawo, Erna. To moja córka, do cholery.

Przemknęło mu przez głowę, że rozmawiają ze sobą, jakby widzieli się wczoraj. Jakby nic się nie zmieniło od ostatniego spotkania. Próbował sobie przypomnieć, kiedy do niego doszło, ale nie potrafił. Pewnie podczas jakiejś imprezy w Vestmannie, rok, może dwa lata temu.

– Jeśli będzie trzeba, zdobędę sądowy zakaz zbliżania się.

– Posłuchaj...

– Nie, Hallbjørn, choć raz ty kogoś posłuchaj. Sąd przyznał mi tymczasową opiekę i mam zamiar się z niej wywiązać tak, jak tego wymaga sytuacja.

– Sytuacja?

– Żadne dziecko nie powinno przebywać z ojcem, który jest zabójcą.

Olsen powiedział sobie w duchu, że jeśli teraz wybuchnie, wszystko będzie stracone. Tylko rozsądek i zimna krew mogły go uratować.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, byłem niewinny.

– Tylko formalnie – odparła Erna i zmarszczyła nos, jakby nagle poczuła smród za bardzo fermentującej ryby. – Kiedy będzie rozprawa?

– Za kilka dni.

– Więc wtedy ta formalna niewinność się skończy.

– Może.

– Może? – Zaśmiała się pod nosem. – Chyba nie sądzisz, że tym razem werdykt będzie inny?

– Trudno powiedzieć. Na tym polega domniemanie niewinności. Słyszałaś kiedyś o tym? Nie odpowiedziała, patrząc na niego z ukosa.

– Wpuść mnie.

– Nie mam takiego obowiązku.

– Więc powiedz Ann-Mari, że chcę się z nią widzieć.

– Ona dobrze o tym wie.

Hallbjørnowi przypomniało się, jak pod szkołą Ann-Mari mówiła o mądrościach wygłaszanych przez „ciocię Ernę”, jakby Erna była jakąś wyrocznią. Stara panna nastawiała przeciwko niemu córkę, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Owszem, miała postanowienie sądu, mówiące, że pod nieobecność ojca to jej przypada prawo do opieki, ale, do cholery, Hallbjørn wrócił. Nikt nie miał prawa pozbawiać go władzy rodzicielskiej, a już w szczególności nie Erna.

– Dostyc tego. – Zrobił krok w jej kierunku.

– Hej! – zaoponowała, cofając się do drzwi. Rozłożyła ręce i zaparkłszy się o framugę, rzuciła mu zaczepne spojrzenie. – Jeszcze chwila, a będziesz się tłumaczył policji w Tórshavn.

– Odsuń się, Erna.

– Nie. Zrobię wszystko, żeby ją przed tobą chronić.

– Co ty pieprzysz? Zejdź mi z drogi.

– Odejdź, Hallbjørn, albo zaraz...

Przysunął się jeszcze trochę, zaciskając mocno usta. Miał ochotę przywalić w drzwi, przestraszyć ją, tylko na tyle, by się odsunęła. Zobaczyła agresję w jego oczach i naraz pobladła.

Olsen pokręcił głową, a potem się wycofał. Podeszedł do okna i załomotał w nie, aż zaskrzypiały zawiasy.

– Ann-Mari! – krzyknął, choć nie było takiej potrzeby. Córka już zerwała się na równe nogi i odwróciła od biurka. Spojrzała na niego z przerażeniem.



– Czyś ty zwariował? – odezwała się Erna, podchodząc bliżej.

– Ann-Mari, idziemy!

– Uspokój się, na miłość boską...

– Ann-Mari!

Krzyczał, ale nie był tego świadomy. Z każdą chwilą, gdy córka stała przy biurku, nie robiąc choćby pół kroku w jego stronę, czuł, że racjonalność powoli go opuszcza. Znów uderzył w okno, tym razem jeszcze mocniej. Ann-Mari potrząsnęła głową i wyszła na korytarz, nawet nie patrząc na ojca.

Gdyby rzuciła mu choć przelotne spojrzenie, mógłby się łudzić, że tutaj idzie. W tym wypadku jednak sygnał był dość jasny.

Hallbjørn obrócił się i ruszył w stronę wejścia do domu. Erna próbowała go zatrzymać, ale odepchnął ją machinalnie. Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do momentu, gdy uświadomił sobie, że kobieta już nie protestuje. Zatrzymał się w progu i obejrzał przez ramię. Stała nieco dalej, zszokowana i wystraszona. Właśnie wyciągała komórkę.

Zaklął pod nosem i wszedł do domu. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Teraz musiał skupić się na tym, by zabrać stąd córkę.

– Ann-Mari!

– Co ty wyprawiasz, Hal?

Wyszła z pokoju, patrząc na niego jak na szaleńca.

– Gdzie masz torbę? – zapytał. – Weź kilka rzeczy i...

– Zostaję tutaj.

– Nie, wracasz do domu.

– Nigdzie nie idę, Hal.

– Powiedziałem, że wracasz, do kurwy nędzy! – ryknął.

Kiedy zobaczył jej minę, odniósł wrażenie, jakby dostał obuchem. Na moment czas chyba się zatrzymał. Córka powoli cofała się do pokoju, nie odrywając spojrzenia od Olsena. Zupełnie jakby był dzikim zwierzęciem, którego nie należy prowokować.

– Ann-Mari, posłuchaj...

– Nie. Proszę cię, wyjdź.

Weszła tyłem do pokoju, a potem powoli zamknęła drzwi. Hallbjørn był jak sparaliżowany. Stał na środku korytarza i nie potrafił się ruszyć. Wiedział, że skomplikował sprawę, ale nie potrafił jeszcze objąć umysłem wszystkich implikacji.

Nie mógł też uchwycić momentu, w którym stracił kontrolę. Odwrócił się i szybko ruszył do wyjścia. Erna stała na zewnątrz, rozmawiając przez telefon.

– Wszedł! Wszedł z domu, nie zabrał swojej córki – relacjonowała gorączkowo. – Kiedy państwo tutaj będą?

– Erna...

– Proszę natychmiast przyjechać! On jest niebezpieczny!

Próbował do niej podejść, ale natychmiast go minęła i pobiegła w kierunku domu. Słyszał jeszcze, jak zatrzasnęła drzwi, a potem przekręciła klucz w zamku. Spuścił wzrok i przez chwilę stał nieruchomo.

Potem usłyszał, jak zamykają się kolejne drzwi, i uświadomił sobie, że zaalarmował kilku mieszkańców na Heygaganesgøta. Popatrzył na okno pokoju Ann-Mari. W końcu wsiadł do auta i odjechał.

Podróż na Fjalsvegur była krótka, ale w jej trakcie przeklinał więcej niż przez miesiąc w wojsku. Nie tak to miało wyglądać. Przecież powtarzał sobie, by zachować czujność, nie dać się ponieść emocjom. Mimo to wzięty górę. Powinien się tego spodziewać.

Zaparkował pod domem, ale nie wysiadał z wozu. Słuchał Högniego Reistrupa, melancholijnie zawodzącego do cichego, elektronicznego podkładu. Zrezygnowany sięgnął po komórkę i wybrał numer Jóhana Bærentsena.

– Hallbjørn? – zapytał przyjaciel, jakby odebrał telefon z zaświatów.

– A kto inny mógłby dzwonić z mojego numeru?

– Wszystko w porządku?

– Nic nie jest w porządku – odparł Olsen. – Ale będzie lepiej, jak wpadniesz z czteropakami okkary.

Odpowiedziało mu milczenie. Właściwie powinien się spodziewać, że Jóhan nie będzie chętny, by się spotkać. Wciąż zapominał, że w oczach wszystkich mieszkańców bez wyjątku jest mordercą. I być może w swoich też powinien nim być.

– Dzisiaj? – jęknął Bærentsen. – Pech lub szczęście chce, że na piątkowy wieczór żona zarządziła romantyczny seans telewizyjny. – Zaśmiał się nerwowo. – Rozumiesz, że...

– Tak, jasne – przerwał czym prędzej Olsen, nie chcąc słuchać kolejnych wykretów przyjaciela. – Innym razem. Trzymaj się.

– Ty też, Hallbjørn.

Rozłączyli się i Olsen został sam z rzewnym Högnim. Westchnął, a potem złapał za

klamkę i popchnął drzwiczki. Wysiadł z auta, skierował się w kierunku domu i nagle zmarł.

Najpierw zobaczył, że drzwi są otwarte. Później dostrzegł wybite okna w salonie i pokoju Ann-Mari. Poczuł, jak owiewa go fala przejmującego chłodu, która potem nagle zamienia się w żar. Ruszył szybkim krokiem do środka.

Wewnątrz leżały kawałki szkła, fotel w dużym pokoju był przewrócony, a na ścianie w przedpokoju ktoś wymalował sprayem czerwony napis „DZIECIOBÓJCA”. Hallbjørn rozejrzał się, zaciskając pięści.

Miał nadzieję, że ktokolwiek to zrobił, poczekał na niego.

Nasłuchiwał, ale w domu panowała zupełna cisza. Olsen zaczął sprawdzać pokoje. Nie wyglądało na to, by cokolwiek zginęło, zresztą Ann-Mari zabrała ze sobą większość wartościowych rzeczy.

Największe spustoszenie zastał w swojej sypialni. Wyrzucono wszystkie jego ubrania na podłogę, a potem potraktowano je tym samym czerwonym sprayem. Większość pewnie była do wyrzucenia, może wszystkie. Łącznie ze swetrami, które dostawał od Karli co roku na święta. Podniósł jeden z nich, poskładał go, a potem położył na łóżku.

Złapał się za głowę i trwał tak przez moment. Potem przeszedł do pokoju Ann-Mari, mając nadzieję, że to miejsce oszczędzili. Pomylił się. Widok nie był tak dramatyczny jak u niego, ale tutaj również sobie pofolgowali.

Hallbjørn wrócił do kuchni i trzęsącą się ręką otworzył lodówkę. Żadnego alkoholu. Niczego, co mogłoby stanowić jego odpowiedź na to, co zobaczył. Zatrzasnął drzwiczki, aż lodówka się zachwiała.

Jego dom. Zbudowany własnymi rękoma z pomocą ojca Karli.

Olsen podniósł fotel i usiadł na nim. Pochylił się, opierając ręce na kolanach, po czym zwiesił głowę. Nie docierało do niego nic, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkadziesiąt minut.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział. Doskonale zdawał sobie jednak sprawę z tego, że decyzję podjął szybko.

Przez dziewięć miesięcy był trzeźwy, choć w więzieniu też istniały sposoby, by zdobyć coś do picia. Po powrocie do normalnego świata pił tylko piwo, w dodatku w niewielkich, symbolicznych ilościach. Ale dosyć tego.

Wsiadł do samochodu i pognął na drugą stronę zatoki, do Teitura Petersena. Stary

bimbrownik był zapewne jednym z nielicznych Farerów, których nie obchodziło, co robił Hallbjørn. Nie żywił nawet urazy o to, że Olsen nasłał na niego policję, sugerując, że handluje narkotykami.

Dla Petersena liczył się tylko handel. Hallbjørn wręczył mu odpowiednią sumę koron, odebrał samogon, a potem wszedł do volva i wrócił na Fjalsvegur. Zamienili przy tym trzy, może cztery zdania.

Otworzył butelkę już w progu. Pociągnął łyk i skrzywił się, gdy przełyk zaczął sprawiać wrażenie, jakby się skurczył, zaciskając na czymś gorącym. Olsen spojrzął na zawiasy. Drzwi były z nich wyrwane, ale dawały się zamknąć.

Wszedł do kuchni, napił się jeszcze, a potem odstawił butelkę na blat. Zaczął otwierać szuflady, szukając folii, którą mógłby pozastłaniać okna. Niczego takiego nie znalazł i musiał pogodzić się z tym, że tej nocy przemarznie.

Opadł ciężko z butelką na fotel. Pił dopóty, dopóki starczyło mu sił. Potem odpłynął w błogą nieświadomość.

Obudził się dopiero w środku nocy, sam nie wiedząc dlaczego. Po chwili zrozumiał, że usłyszał skrzypienie, jakby ktoś otwierał drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że to Ann-Mari. Zmieniła zdanie i uznała, że Erna opowiada bzdury. Doszła do wniosku, że przecież od początku broniła ojca, więc powinna się tego trzymać do końca.

Hallbjørn podniósł się gwałtownie i zatoczył w stronę korytarza. Świat wirował mu przed oczami, a nogi były jak z waty. Mimo to chwiejnie wyszedł do holu.

Zobaczył, że drzwi są otwarte. Przed nimi znajdowała się jakaś postać. Niska, przywodząca na myśl jednego z *huldufólk*. Hallbjørn przez chwilę był przekonany, że śni. Potem doszedł do wniosku, że w istocie mógł go nawiedzić jeden z duchów.

Potrząsnął głową i zatoczył się w bok.

Postać nagle go zauważyła. Olsen dostrzegł list w jej ręce.

– Co... do cholery...

Nocnym gościem okazał się ktoś młody, chłopiec lub dziewczynka, Hallbjørn nie mógł rozpoznać, bo było zbyt ciemno. Kiedy tylko dziecko zobaczyło, że Olsen stoi przy ścianie, cisnęło list na podłogę, obróciło się i puściło pędem na zewnątrz.

Hallbjørn ruszył za nim. Ledwo jednak pokonał pierwszy stopień na ganku, stracił równowagę. Wyłożył się jak długi na swoim podwórku i mimo że od razu próbował się poderwać, dziecka już nie było. Pobieгло gdzieś w stronę centrum.

Olsen przez moment wspierał się na rękach, starając się podnieść. Potem ramiona odmówiły mu posłuszeństwa. Zaniósł się pijackim śmiechem i ułożył wygodniej.

14

## 15 października, sobota, godz. 0.11

Staruszka wiedziała, że ryzykuje, wysyłając wnuczka z listem, ale nie było innego wyjścia. Co dwa, trzy tygodnie nocował u niej przez weekend, a to stwarzało wprost idealną okazję, by wysłać kolejną wiadomość Hallbjørnowi Olsenowi.

Tym razem jednak wszystko poszło nie tak. Wiedziała o tym, już kiedy chłopak wrócił do domu. Trzasnął drzwiami, co zdarzało mu się rzadko – a już nigdy kiedy wracał z „misji”, bo tak nazywali jego małe wypadki na Fjalsvegur.

Do tej pory wszystko szło dobrze. Fatum zostało zdjęte.

Ale do trzech razy sztuka. Zły los wziął górę.

– Babciu!

Podniosła się ze swojego starego, wysłużonego fotela, ale zanim ruszyła w kierunku korytarza, chłopiec już z niego wybiegł.

– Widział mnie!

Pochyliła się i zmrużyła oczy. Wnuk wciąż ciężko dyszał, w dodatku był cały mokry. Na dworze jak zwykle padał deszcz, ale przypuszczała, że to nie przez to. Chłopiec był spocony – zapewne ze strachu i z wysiłku.

– Spokojnie, nic się nie dzieje – zapewniła go. – Przebierz się i...

– Widział mnie!

– Żołnierz?

– Tak, on. Wybiegł za mną z domu, ale przewrócił się i... i już nie wstał.

Staruszka pokiwała głową.

– Zostawiłeś list?

– Tak, ale...

– Najpierw się przebierz i osusz. Zaparzę ci herbaty.

Przeszła powoli do kuchni, naląła wody do czajnika i postawiła go na gazie. Rodzice chłopca zwymyślaliby ją od najgorszych wiedźm, gdyby wiedzieli, że ich syn jeszcze nie śpi. Ale były sprawy ważne i ważniejsze.

Nasłuchując gwizdania czajnika, zastanawiała się, czy to możliwe, że Hallbjørn rzeczywiście zobaczył dzieciaka. Wnuk rzadko panikował, był rozwinięty raczej ponad swój wiek. Dlatego go wybrała. Gdyby był jednym z tych uciążliwych bachorów, które zrobią wszystko, aby koncentrować na sobie uwagę wszystkich, nawet by o tym nie pomyślała.

Ale mogła mu ufać, wiedziała o tym. Był ostrożny, a w dodatku rozumiał, że to ich tajemnica. Tajemnica, której nie może nikomu zdradzić, nawet matce czy ojcu.

Chciała od razu wypytać go o szczegóły, ale wolała nie podsycać jego strachu. Poza tym był przemoknięty. Zdrowie jest najważniejsze.

Usiadła w fotelu i postawiła dwie herbaty na stoliku.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby Olsen go zobaczył, popędziłby za nim aż tutaj. Nie odpuściłby tak łatwo, tym bardziej że wnuk nie był żadnym sprinterem. Hallbjørn tymczasem po wyjściu z więzienia sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wysportowanego niż przedtem. Wyróżniał się pod tym względem.

Chłopiec w końcu wyszedł z pokoju i usiadł na kanapie. Wciąż się trząsł.

– Nie przejmuj się – powiedziała kobieta. – Nie przybiegł za tobą, więc cię nie rozpoznał.

– Tak myślisz?

Pokiwała głową z głębokim przekonaniem, które jej zdaniem powinno być zarezerwowane jedynie dla osób, które przeżyły odpowiednio wiele lat na tym świecie.

– Jestem tego pewna – odparła i napiła się gorącej herbaty. – Ale powiedz mi, co się dokładnie stało?

Chłopiec otoczył dłońmi kubek.

– Chciałem wsunąć list tak jak ostatnio... Jak podchodziłem do domu, rozglądałem się, tak jak kazałaś.

– Słusznie.

– Zauważyłem, że nie ma okien.

– Nie ma?

– Ktoś mu wszystkie powybijał!

Staruszka nie była zaskoczona. Właściwie spodziewała się, że Svein Fløtum czy inni jego pokroju już wcześniej zdecydują się na coś takiego.

– Nikt go tutaj nie lubi – zauważył chłopiec. – Czyli że naprawdę zabił Poułę?

- Nie nam o tym decydować.
- Ale przecież my pomagamy mu sobie przypomnieć...
- To inna sprawa, drogie dziecko.
- Aha – kiwnął głową, jakby tyle wystarczyło.

Od kilku dni mocno nad nim pracowała. Udało jej się przekonać go, że wykonują naprawdę istotne zadanie, od którego zależy los wielu ludzi na archipelagu. Kluczowe było dochowanie tajemnicy. I poprowadzenie Hallbjørna Olsena przez mrok jego przeszłości.

Chłopakowi wystarczyło jednak wiedzieć, że ktoś zaufał mu na tyle, by powierzyć tajną misję. Reszta miała drugorzędne znaczenie. Drukował listy u siebie, miał komputer i drukarkę w pokoju, kobieta zaś nigdy takich rzeczy nie ruszała. Wybór wnuczka był dobrą decyzją – nawet jeśli ktoś rozpocznie dochodzenie w tej sprawie, nigdy nie będzie podejrzewał, że stoi za tym dziecko. A jednocześnie nic mu nie groziło, tego była pewna.

- Co zrobiłeś później? Kiedy już zobaczyłeś, że okna są powybijane.
- Zajrzałem do pokoiów. Zobaczyłem, że śpi w salonie.
- I co? Wszedłeś do środka?

Zabraniała mu tego od samego początku, ale najwyraźniej dziecięca ciekawość zwyciężyła.

– Miałeś przecież jasne zadanie – zauważyła. – Rozejrzeć się, upewnić, że nikt cię nie widzi, a potem wsunąć kopertę pod drzwi.

- Wiem, babciu, ale...
- Tajny agent nie powinien tak się zachowywać.
- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku...

Pociągnęła łyk czarnej herbaty, siorbiąc przy tym.

- Co było dalej?
- Wszedłem, a on się obudził. Wskoczył z pokoju, ale nie mógł się zatrzymać, jakby...

Nie wiem, jakby poniósł go wiatr. I patrzył na mnie tak dziwnie.

- Mówił coś?
- Tak, ale nie wiem co.
- Bełkotał?

Chłopiec pokiwał głową, wyraźnie zawstydzony tym, że postąpił wbrew zasadom. Za to go kochała. Być może za kilka lat jego gorliwość i gotowość do skrucy znikną, ale teraz przejawiał wszystkie te cechy, za które uwielbiała dzieci.

- Odwróciłem się i uciekłem.
- A list...
- Zostawiłem go w przedpokoju.

Wszystko wskazywało na to, że nic złego się nie stało. Staruszka spodziewała się, że Hallbjørn Olsen prędzej czy później wróci do alkoholu. Wprawdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa nie pił przez dziewięć miesięcy, ale w tak trudnej sytuacji musiało się to szybko zmienić.

Był pijany, nie rozpoznał chłopca, a kopertę otworzył rano, kiedy obudził się z przemożnym bólem głowy. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

## 15

### 15 października, sobota, godz. 2.15

Katrine żałowała, że kupiła paczkę prince'ów na stacji benzynowej, zanim wróciła do hotelu. Czułaby się teraz zapewne znacznie lepiej, gdyby nie wypaliła tylu papierosów.

Frida Skovmand towarzyszyła jej dzielnie niemal do drugiej, pomagając opróżnić piwo za piwem, ale ostatecznie spasowała. Ellegaard machnęła na nią ręką, ubrała się, wzięła papierosy, czekoladę i alkohol, a potem poszła do portu.

Usiadła na pirsie i zapatrzyła się gdzieś w mrok. Po drugiej stronie cieśniny było trochę zabudowań, ale w żadnym z nich nie paliło się światło. Najwyraźniej Farerowie nie czuli potrzeby, by w piątkowy wieczór nieco poimprezować.

Katrine uświadomiła sobie, że właściwie jest już sobota. Wyjęła telefon, aby sprawdzić, czy nie pomyliły jej się godziny, a potem zapaliła kolejnego papierosa. Zrobiło jej się niedobrze. Wyrzuciła go do wody, rozległ się cichy syk. Zjadła kilka kostek białej czekolady.

Siedziała bez ruchu, pochylona nad komórką. Kilkakrotnie przesunęła palcem po wyświetlaczu w prawo i lewo. W końcu zatrzymała się na ekranie ze skrótami kontaktów. Pierwszą osobą w szybkim wybieraniu był Kjeld Moslund. Jak to, do cholery, o niej świadczyło? Kto normalny w takim miejscu ma kontakt do szefa?

Wybrała numer. Musiała czekać dość długo, nim Kjeld odebrał.

- Kurw...
- Dobry wieczór, szefie – wymamrotała Katrine.



– Kurwa mać, Ellegaard... Wiesz, która jest godzina?

– Tak, przed momentem sprawdzałam.

– Czyś ty zwariowała?

– Mam ważną sprawę, szefie.

Przez moment milczał. W końcu odchrząknął, a Katrine przypuszczała, że wykopał się z pościeli i odszedł od łóżka, żeby nie budzić żony. Pani Moslund nie była jedną z tych kobiet, które wracającemu do domu stróżowi prawa dawały wytchnienie – przeciwnie, Moslund nieraz podkreślała, że to w robocie znajduje ukojenie, nawet jeśli tropi wyjątkowego skurwysyna.

– Mów.

– Muszę wracać do Kopenhagi.

– Teraz?

– Nie w tej chwili, ale niedługo.

Znów milczał przez moment.

– Jesteś pijana?

– Dosyć. Powiedziałabym, że jak na mnie, to całkiem porządnie. Nie przywykłam pić wiele, bo zazwyczaj robię to sama... Nie żeby to wykluczało popadnięcie w alkoholizm, ale najczęściej czytam do tego książkę albo oglądam film i... zasypiam dość szybko.

Wyciągnęła kolejnego papierosa, a potem poczuła, jak się uśmiecha. Rzadko zdarzało się, żeby była tak rozmowna. Może powinna częściej wypijać o kilka piw za dużo i wypalać o kilka fajek ponad zdroworozsądkową normę. O ile w tym przypadku można było mówić o zdrowym rozsądku.

– No dobrze... – zaczął Kjeld. – Powiesz mi, o co chodzi?

– O to, że muszę wracać do Danii... raczej wcześniej niż później.

– Dlaczego?

– Sprawy zdrowotne. Muszę się sobą zająć, o ile chcę mieć szansę, żeby pożyć jeszcze pięć lat.

– O czym ty pieprzysz, Ellegaard?

– Sama nie wiem – przyznała. – Lekarka mówiła dość mętnie, może źle zrozumiałam.

– Co takiego?

Odetchnęła głęboko, przygotowując się do dłuższego wywodu. Sądziła, że będzie mówić bez końca, ale już po dwóch minutach przedstawiła Moslundowi wszystko, co powinien

wiedzieć. Dziwne. Kiedy lekarka przekazywała jej informacje, Katrine miała wrażenie, jakby trwało to o wiele dłużej.

– Na Boga, Ellegaard... Przykro mi, do cholery, przykro mi.

– Za wcześnie jeszcze na kondolencje.

– Tak, oczywiście – powiedział stanowczo. – I możesz być pewna, że zrobimy wszystko, żeby cię wspomóc. Wracaj, kiedy tylko chcesz, wyślę tam kogoś na zastępstwo.

– Dzięki, szefie.

Milczał, zapewne zastanawiając się nad odpowiedzią, która nie zabrzmiałaby banalnie. Zawiodła się. Sądziła, że kto jak kto, ale Kjeld będzie przygotowany na takie wiadomości... Że będzie wiedział, co mówić. Nieraz musiał informować rodziny funkcjonariuszy o tym, że ojciec, matka, żona czy mąż nie wrócą do domu. Był zaprawiony w gównianych sytuacjach.

– Czyli jeszcze niczego nie wiadomo na sto procent? – odezwał się w końcu.

Wybrał podejście dobre jak każde inne, pomyślała.

– Wiadomo, że mam przesrane.

– Ale nie wiadomo, jak bardzo.

– Tak jest – przyznała. – Tego dowiem się dopiero po... biopsji czy innym zabiegu, nie pamiętam.

Gdyby rozmawiała z kimkolwiek innym, spodziewałaby się usłyszeć najbardziej utartą formułkę wszech czasów. Moslund jednak nie zająknął się ani słowem na temat tego, żeby była dobrej myśli.

– Jeśli to wszystko, Ellegaard, chciałbym wrócić teraz do łóżka.

– Wszystko, szefie.

– Spokojnej nocy – powiedział jeszcze, zanim się rozłączył, nie czekając na odpowiedź.

Katrine uśmiechnęła się pod nosem i odłożyła komórkę na piers. Wypiła łyk piwa, przypuszczając, że zamiast wracać do łóżka, Kjeld poszedł do kuchni po puszkę carlsberga lub tuborga. Te dwa piwa były na duńskim rynku alkoholi tym, czym Prince wśród marek papierosów.

Ellegaard nie zdążyła przełknąć, gdy komórka zaczęła dzwonić. Najwyraźniej szef miał jeszcze coś do dodania. Sięgnęła po telefon i przesunęła zieloną słuchawkę w bok.

– Jeśli to wyrazy współczucia, nie przyjmuję ich – rzuciła.

Kiedy odpowiedziało jej milczenie, uświadomiła sobie, że nie spojrzała, kto dzwoni.

Zerknęła czym prędzej na wyświetlacz. To nie był Kjeld Moslund.

– Hal? – Ściągnęła brwi.

– Jak rozumiem, spodziewałaś się kogoś innego.

– Tak, dopiero co skończyłam...

– Wiem, było zajęte – odparł nieco niewyraźnie. – O jakie wyrazy współczucia chodziło?

– Mniejsza z tym – ucięła. – Coś się stało?

Podniosła się, nieopatrznie trącając piwo. Puszka przewróciła się i potoczyła w kierunku wody. Katrine zakłęła w duchu.

– Tak – potwierdził lakonicznie Olsen. – Możesz przyjechać na Fjalsvegur?

– Jest druga w nocy...

– Właściwie w pół do trzeciej. Ale sprawa jest ważna.

– O co chodzi?

– O dwie rzeczy. Po pierwsze, ktoś urządził sobie terapię antystresową w moim domu.

– O czym ty mówisz?

– Rozwalili wszystko, co było do rozwalenia – wyjaśnił szybko. – A oprócz tego dostałem nowy list. I chyba widziałem nadawcę... nie, nie nadawcę. Posłańca.

– Co takiego? Kiedy to było?

– Przyjeżdżaj, skoro i tak nie śpisz.

Nie miała nad czym się zastanawiać. Szybko pożegnała Hallbjørna i ruszyła w kierunku hotelu, zataczając się po drodze. Olsen zapomniał, że nie miała samochodu – prawdę mówiąc, ona też. Na parkingu przed Krákureiðrið rozejrzała się za mondeo i dopiero po chwili dotarło do niej, że Nolsø korzysta z samochodu. Tym lepiej, nie będzie ryzykowała jazdy po pijaku.

Omiotła wzrokiem okolicę, starając się przypomnieć sobie, jak się dostać z portu na Fjalsvegur. Pamięć odmawiała jej posłuszeństwa, ale Ellegaard machnęła na to ręką. Zaczęła iść z boczem w górę, wychodząc z założenia, że prędzej czy później dotrze na Ovari Vegur lub Fjalsvegur.

Olsena zastała przed domem. Siedział na schodkach ze zwieszoną głową. Kiedy ją podniósł, Katrine zobaczyła, że na twarzy ma zaschniętą krew. Zanim zdążył się odezwać, wskazała na niewielkie rozcięcie.

– Co? – zapytał.

– Najwyraźniej jakiś czas temu krwawiłeś.

Nie miał o tym pojęcia, co potwierdzało, że był bardziej pijany niż ona. Widać było to po jego oczach, zresztą chyba przysnął, gdy na nią czekał.

– Wyrznąłem, kiedy zbiegałem z ganku – oznajmił, a potem zaczął relacjonować jej, co zaszło.

Słuchała go z uwagą, rozglądając się. Obraz momentami był zamazany, świat lekko wirował przy szybszych ruchach, ale nawet wstawiona mogła uzmysłwić sobie rozmiar zniszczeń. Wybite szyby, pełno szkła, w środku przewrócone meble. Nie musiała nawet wchodzić, żeby zobaczyć, że ktoś naprawdę sobie pofolgował.

Usiadła obok i poczęstowała Olsena papierosem. Pokręcił głową.

– Svein? – spytała.

– Najprawdopodobniej, ale równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny. Mieszka tu ponad tysiąc osób, z których przynajmniej dziewięćdziesiąt procent nie pała do mnie sympatią.

– Sprawdzimy to.

– Nie fatygujcie się. – Machnął ręką. – Chyba że chcecie doświadczyć prawdziwej zmowy milczenia w akcji.

– Nie możesz tak tego zostawić.

Obrócił się i spojrzał na nią z wdzięcznością. Oczy miał przekrwione i szkliste, ale Katrine była pewna, że sama wygląda podobnie. Emocje i zimne, nocne powietrze nieco ich otrzeźwiło, ale oboje wciąż mówili bełkotliwie.

– Dzięki za troskę, ale jest niepotrzebna.

– To nie troska.

– A co?

– Zwykły policyjny odruch, by ścigać chuliganów.

– Jak zwał, tak zwał, i tak nie ma sensu wszczynać postępowania – mruknął Hallbjørn i wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. – Oto, co się liczy.

Ellegaard sięgnęła po list i rozłożyła go.

Wiadomość była krótka i właściwie nic nieznacząca. „Naprawdę nic nie pamiętasz, Hallbjørn?”

– Tylko tyle? – zdziwiła się Katrine.

– Odwróć.

Zrobiła to i zobaczyła ciąg dalszy. „Postaraj się. Wszystko zależy od ciebie”.

Ellegaard zastanawiała się przez chwilę. Obrzuciła się w myśli przekleństwami za to, że tyle wypija. Gdyby nie miała tak zamrozonego umysłu, być może widziałyby w tym więcej sensu. Postanowiła, że nigdy więcej nie wypije tyle alkoholu.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że jej obecna sytuacja bynajmniej nie uprawnia do takich obietnic. Przeciwnie, los sprawił, że w najbliższym czasie Katrine powinna pozwalać sobie na wszystko, na co tylko miała ochotę. Nic nie stało na przeszkodzie, skoro koniec i tak zbliżał się nieuchronnie.

Wzdrygnęła się.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Olsen. – I dam ci jakąś kurtkę, bo tam też wieje jak cholera.

Po chwili siedzieli przy stole w kuchni. Hallbjørn zaparzył herbatę, a Ellegaard wpatrywała się w kartkę rozłożoną na blacie. Przez wybite okno do środka wpadał nocny ziąb.

– Brzmi dość protekcyjnie, prawda? – powiedziała bardziej do siebie niż do Olsena.

– Co masz na myśli?

– Ta ostatnia wiadomość. „Postaraj się. Wszystko zależy od ciebie”.

– Czy ja wiem...

– Jakby ktoś się o ciebie troszczył – dodała, a potem podniosła wzrok. – Choć może to tylko moje subiektywne odczucie.

– Może.

Przez chwilę w milczeniu popijali gorącą herbatę.

– Więc mówisz, że list podrzuciło jakieś dziecko?

– Inna możliwość to elf.

Katrine uniosła brwi.

– Podobno nie żartujecie z takich spraw.

– A kto powiedział, że żartuję? – odparł Hallbjørn i uśmiechnął się półgębkiem.

Nie dziwiła się, że zachował resztki dobrego humoru. Od pewnego czasu był przyzwyczajony do tego, by radzić sobie w trudnych sytuacjach. A skoro przetrwał proces i więzienie, doszczętnie przy tym nie wariując, musiał znać sekret pozytywnego myślenia. Ellegaard dałaby wiele, aby też go poznać. Na razie jednak nie wyobrażała sobie, jak mogłaby skierować myśli na optymistyczny tor.

– Dlaczego jakiś dzieciak miałby ci to podrzucać?  
– Zapewne dlatego, że poprosił go o to jakiś dorosły.  
– To absurd. Żaden rodzic nie wykorzystałby tak dziecka, szczególnie tutaj, gdzie nadal żyjecie jak na początku dwudziestego wieku.

Hallbjørn wzruszył ramionami, a potem sam sięgnął po paczkę prince'ów. Kilka razy obrócił papierosa między palcami, a następnie zapalił.

– Moim zdaniem trzeba założyć, że to nie rodzic wysłał młodego – zauważyła Ellegaard.  
– Lub młodą.  
– No tak – przyznała. – Choć dziewczynki zazwyczaj są rozsądniejsze i nie podejmują się takich nocnych eskapad.  
– Zazwyczaj.

Zamilkli, zastanawiając się nad tym, kto i dlaczego wysłał dziecko. Ryzyko było niemałe, bo trudno wymagać od takiego posłańca, by dochował tajemnicy. Z drugiej strony przy odpowiednim urobieniu młodego umysłu wszystko można osiągnąć.

– Wciąż nie mogę rozstrzygnąć, czy to nasz sprzymierzeniec, czy przeciwnik – odezwał się Hallbjørn.

– Ja też nie.  
– Czym się kieruje, do cholery? Po co wysłała mi te lakoniczne wiadomości?  
– Prędzej czy później się tego dowiemy.  
– Jak?  
– Przesłuchamy wszystkie dzieciaki w wiosce, jeśli będzie trzeba – zdecydowała Katrine. – W jakim wieku było to dziecko?

Olsen podrapał się po głowie. Właściwie to pytanie nie miało sensu – zeznanie świadka, który w kluczowym momencie był kompletnie pijany, na niewiele mogło się zdać.

– Od pięciu do dziesięciu lat – orzekł w końcu.  
– To spora rozpiętość.  
– Bo sporo wypilem. – Olsen jakby dopiero teraz zorientował się, że nie jest w tym osamotniony. – Zresztą nie bez przyczyny, jak widzisz. Nie dość, że czeka mnie rozprawa...  
– Kiedy?  
– W przyszłym tygodniu. Poza tym cała Vestmanna pragnie mnie powiesić, Ann-Mari nie chce mnie znać, dostaję listy świadczące o tym, że wiem o jakiejś zadawnionej zbrodni, a w dodatku zdemolowali mi dom...

Katrine pokiwała głową. Trudno było z tym polemizować.

– Ale dlaczego ty się tak zaprawiłaś, pozostaje dla mnie zagadką.

– Mam swoje powody.

– Jak każdy.

Napili się herbaty i popatrzyli na siebie. Jeszcze kilka dni temu byłaby gotowa przysiąc, że nigdy nie postawi nogi w tym domu. A już na pewno nie znajdzie się w jednym pomieszczeniu z Hallbjørnem Olsenem, popijając spokojnie earl grey. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Całkowicie.

– Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to nie będziemy.

– Nie chcę w ogóle z tobą rozmawiać, Hal.

– Więc dlaczego to robisz?

– Dobre pytanie.

Znów wypła łyk. Gorący napój za każdym razem działał kojąco na przemarznęte gardło.

– Niedługo wracam do Kopenhagi – powiedziała, zanim zdążyła się nad tym zastanowić.

Milczał. Wbił puste spojrzenie gdzieś za okno. Odniosła wrażenie, że Olsen robi wszystko, żeby nie okazać rozczarowania. Słusznie, uznała. Zachowywał się dokładnie tak, jak tego od niego wymagała. Wiedział, że nie zakłamię rzeczywistości, nie wkupi się w jej łaski, więc nawet nie próbował okazywać uczuć. Uczuć, które pewnie wciąż w nim tkwiły.

– Kiedy? – odezwał się.

– Nie wiem, prawdopodobnie najbliższym lotem.

– Codziennie są dwa do Kopenhagi – powiedział cicho. – Jeden o ósmej czterdzieści, drugi o czternastej czterdzieści pięć. Wyjątkiem jest sobota, wtedy odlatuje jeden samolot o dziesiątej.

– W takim razie może jutro po południu. Albo pojutrze rano.

– Tak ci się spieszy?

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego?

– Zostałam wezwana.

– Ale sprawa czaszki...

– Nie ma priorytetu – ucięła Ellegaard. – Poza tym sam widzisz, że to i tak ślepy zaułek.

Spojrzeli na list. Oboje mieli świadomość, że to gra, która nie dostarczy im żadnych

nowych dowodów. Katrine była przekonana, że im głębiej w las, tym więcej pojawi się niewiadomych. Ostatecznie wszystko sprowadzi się do tego, że oficer, który przejmie po niej dochodzenie, będzie miał w statystykach nierozwiązaną sprawę.

Katrine oderwała wzrok od listu i wstała.

– Wracam do hotelu. Złapię kilka godzin snu, zanim zaczniemy przesłuchiwać dzieci.

– W porządku. – Hallbjørn także się podniósł.

– Zaproponowałabym ci nocleg, ale dzielimy z Fridą pokój, więc nawet podłoga odpada.

– Nie szkodzi. Poradzę sobie.

– Masz dokąd pójść?

– Tak, Jóhan mnie przyjmie.

Szczerze w to wątpiła, on sam chyba też. Mimo to nie odezwała się. Kiwnęła mu głową na pożegnanie, a potem opuściła zdemolowany dom. Kiedy jakiś czas później kładła się do łóżka, była przekonana, że niebawem pożegna się z nierozwikłaną sprawą czaszki z Vestmanny.

Tym bardziej zaskoczyły ją pierwsze słowa, jakie usłyszała po przebudzeniu.

– Mamy przełom – oznajmiła Frida Skovmand.

## 16

### 15 października, sobota, godz. 11.04

Hallbjørn obudził się, mając niewielką nadzieję, że wszystko, co się zdarzyło, było tylko złym snem. Przeciąg w domu i głośny odgłos wiatru z zewnątrz skutecznie jednak rozwiały jego wątpliwości.

Przeciągnął się, zrzucając jeden z dwóch koców na podłogę. Owinął się w nie na kanapie w salonie, licząc, że dzięki wysokiemu oparciu choć z jednej strony będzie osłonięty od zimnych podmuchów.

Czuł się przeziębiony, skacowany i bezsilny. Nie wiedział nawet, jak długo spał. Prawdopodobnie zasnął o trzeciej, może nawet o czwartej. Im bardziej trzeźwiał, tym mniej chciało mu się spać, a przejmujący chłód nie pomagał. Podobnie jak świadomość tego, że nie miał dokąd pójść.

Nie próbował nawet kontaktować się ze znajomymi, przekonany, że nie ma sensu szukać



u nich pomocy. Ostatecznie był jak bezdomny, który zajął przypadkowy pustostan gdzieś na zapomnianych obrzeżach wielkiej metropolii.

Poszedł do łazienki, by opłukać twarz, ale szybko przekonał się, że rura pod umywalką została zniszczona. Pochylił się, by ocenić rozmiar uszkodzeń. Nie nadawała się do naprawy, musiał ją wymienić.

Zaklął pod nosem i wrócił do kuchni z ręcznikiem. Po prowizorycznej porannej toalecie udało mu się zlokalizować komórkę. Rozładowywała się już, miała może jedną kreskę, ale nie miał pojęcia, gdzie jest ładowarka. Trzymał ją w torbie wojskowej, która została wybebeszona przez nocnych gości.

Zobaczył, że ma nieodebrane połączenie od Katrine, i wybrał jej numer.

Czekając, aż policjantka odbierze, zastanawiał się nad tym, co w istocie się między nimi działo. Na dobrą sprawę powinna trzymać się od niego z daleka, tymczasem chyba wciąż ją do niego ciągnęło. Mimo całego ogromu argumentów, które przemawiały przeciwko temu.

Odebrała po kilku sygnałach.

– Chyba jednak jeszcze zostanę – oświadczyła.

Hallbjørn się ożywił. W jednej chwili zdemolowany dom zszedł na dalszy plan.

– Mamy coś nowego?

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Więc mi powiedz.

– Wolałabym ci pokazać – odparła z zadowoleniem, które kojarzyło mu się z niemal dziecięcym rozradowaniem. – Gdzie jesteś?

– U siebie.

– Miałeś przenocować u Barentsena.

– Mieli akurat jakąś imprezę. Dwuosobową, więc...

– Wiesz, gdzie jest Viðvík? – zapytała.

– Oczywiście.

– To zbieraj się i przyjeżdżaj. Jak szybko możesz tu być?

– Nie wcześniej niż za półtorej godziny.

– A zatem w drogę, Hal. Będę tu na ciebie czekać.

Brzmiało to tak dobrze, że aż podejrzenie. Olsen przypomniał sobie, jak ciepło Katrine zachowywała się przed lotniskiem na moment przed tym, zanim go skuła i przedstawiła mu

zarzuty. Powinien mieć się na baczności. Powinien pamiętać, że Ellegaard to przede wszystkim duńska policjantka, a dopiero potem kobieta, która kiedyś się w nim zakochała.

Przebrał się w czyste ubranie i wyszedł na zewnątrz. Nie udało mu się znaleźć swetra, który nie zostałby pomazany czerwonym sprayem, ale i tak miał na sobie kurtkę. Wsiadł do volva, zerknął na stan benzyny, po czym uznał, że na razie nie musi się tym przejmować.

Problem pojawi się za jakiś czas, kiedy poziom paliwa w baku zacznie odpowiadać poziomowi finansów na jego koncie bankowym. Ale może do tego czasu wróci do więzienia, więc nie było sensu martwić się na zapas.

Przestawił radio na sto jeden megaherców i złapał lokalną rozgłośnię Staðið FM. Był to bodaj pierwszy raz, kiedy dobrowolnie ją włączył, ale chciał dowiedzieć się czegoś w sprawie czaszki. Na antenie jednak nie podawano żadnych interesujących go informacji. Jak zawsze rozprawiano o nadchodzących meczach piłki ręcznej i imprezach szkolnych na archipelagu.

Podróż do Viðvík zajęła mu nawet mniej czasu, niż się spodziewał. Ruchu nie było, a na drogę nie wyszły żadne owce, co nie zdarzało się zbyt często. Już z oddali widział kordon samochodów policyjnych.

Viðvík było niewielką zatoką u wschodnich wybrzeży wyspy Viðoy – dla Duńczyków nazwa była enigmatyczna, ale w języku Farerów oznaczała „zatokę drewna”. Wywodziła się z opowieści, jakoby niegdyś całą tutejszą plażę pokrywało drewno wyrzucone na brzeg. Miało zostać przyniesione przez prądy morskie aż z Norwegii. Dziś rzeczywiście trochę go tam było – akurat tyle, by cały teren przywodził na myśl cmentarzysko kości.

Z tego względu do zatoki często kierowały się wycieczki z Hvannasund – ale nie tylko dlatego. Viðvík było z trzech stron otoczone wysokimi klifami, co robiło wyjątkowe wrażenie. Kilkakrotnie zresztą urządzano tutaj grindy – zaczęto jeszcze w dziewiętnastym wieku, a zaprzestano tego w następnym stuleciu, w osiemdziesiątym ósmym roku.

Hallbjørn wysiadł z samochodu i ruszył szybko w stronę policyjnego parawanu. Obawiał się, że zostanie zatrzymany przez któregoś z funkcjonariuszy, ale opór napotkał dopiero przed samym brzegiem, kiedy drogę zastąpił mu Sigvald Nolsøe.

– Niczego nie dotykaj – rzucił.

– W porządku.

– I nie wchodzić mi w paradę.

Hallbjørnowi przemknęło przez głowę, że dziś Katrine uczyniła sobie wroga z tego

człowieka. Zapewne kosztowało ją trochę słownej ekwilibrystyki, aby przekonać łysego, że obecność Olsena może się na coś przydać.

Wypatrzył w końcu Ellegaard, która szybko przywołała go ruchem ręki. Obszedł parawan i zobaczył, że na ziemi rozgarnięto trochę drewna, a pośrodku, na gładkim podłożu, umieszczono czarny worek. Na nim rozłożono kości. Był to szkielet, któremu brakowało jedynie kawałka czaszki.

– Wyławiają części już od ósmej rano – powiedziała rozentuzjasmowana Katrine. – Mamy naszego zaginionego, Hal.

– Widzę – odparł, wbijając pusty wzrok w kości.

– Powinniśmy od tego miejsca zacząć poszukiwania.

Miała rację. Prądy z Norwegii występowały nie tylko w opowieściach wyjaśniających, skąd wzięta się nazwa zatoki. Takie ruchy wody rzeczywiście były tutaj obecne.

– Leżały na samym dnie, jedynie lekko uszkodzone. Zapewne przez grindwala, który wypatrzył na czaszce jakiegoś skorupiaka.

– Więc to tutaj ofiara wpadła do wody?

Ellegaard podniosła wzrok i wskazała klif po prawej stronie.

– Możliwe, że mężczyzna spadł stamtąd – powiedziała. – A przynajmniej właśnie pod tym zboczem nurkowie znaleźli szkielet. Podobno przychodzą tu wycieczki?

– Tak – potwierdził Olsen. – I to od niepamiętnych czasów. Wprawdzie nie ma znakowanego szlaku, ale często prowadzi się tutaj turystów.

Powiódł wzrokiem wzdłuż surowych, pionowych ścian urwiska.

– Mogło dojść do nieszczęśliwego wypadku – ciągnęła Katrine. – A potem zmowa milczenia zrobiła swoje. Jak zauważyłeś wczoraj, jesteście w tym specjalistami.

– Nie miałem na myśli ogólnego obrazu, tylko...

– Mimo wszystko to możliwe.

– Możliwe – przyznał. – Ale wątpię, żeby komukolwiek udało się zachować taką tajemnicę. Jeśli jakaś grupa wyszła z Hvannasund, musieli przecież być świadkowie. I musieli zauważyć, że nie wszyscy wrócili.

Ellegaard skinęła głową.

– To tylko jedna z koncepcji. Więcej dowiemy się po analizie szkieletu.

– Będziecie ją robić tutaj? – spytał z rezerwą, patrząc na wiszące nad nimi ciężkie chmury. – Zaraz będzie padać.

– Ustawimy namiot.

– Nie lepiej zabrać to do Tórshavn?

– Wszystko w swoim czasie, Hal. Najpierw chcemy zbadać szczątki na miejscu, póki są w takim stanie, w jakim znajdowały się przez kilkadziesiąt ostatnich lat.

Nie odpowiedział. I tak czuł, że wychodzi daleko poza swoją rolę. Co on tu właściwie robił? Dlaczego go wezwwała, mimo że nie mógł się do niczego przydać?

Czekał na odpowiedzi, nie mając zamiaru jej o to pytać. Może powód był prozaiczny. Może Katrine była tak rozentuzjasmowana, że odsunęła zdroworozsądkowe argumenty na drugi plan. A może po prostu zaczynała na powrót mu ufać.

W końcu był jakoś związany ze sprawą, jeśli wierzyć tajemniczemu nadawcy listów.

– Frida oglądała już szkielet?

– Od samego rana – przyznała Ellegaard. – Kwadrans temu pojechała do Hvannasund złapać Internet. Musi coś sprawdzić online.

– Ustaliła coś?

– Całkiem sporo – odparła Katrine i przykucnęła przy kościach.

Hallbjørn zrobił krok w ich kierunku. Obejrzał się przez ramię, gdyż wydawało mu się, że czuje na sobie ciężkie spojrzenie Nolsøego. Przekonał się jednak, że Sigvald jest zajęty rozmową z jednym z nurków.

Olsen kucnął obok Katrine.

– Potwierdziło się, że to mężczyzna koło sześćdziesiątki – zaczęła. – Spójrz na miednicę, jest wyraźnie męska.

Hallbjørn się skrzywił.

– To znaczy byłaby większa, gdyby chodziło o kobietę. To podstawowy sposób ustalania płci.

– Okej...

– I mamy zęby!

Olsen przyjrzał się kawałkowi szczęki. Rzeczywiście tkwiły w niej dwa zęby, sprawiając makabryczne wrażenie. O ile same kości nie napawały go niepokojem, ocalałe uzębienie to zupełnie inna kwestia. W jakiś sposób przypominało, że ofiara niegdyś była żywym człowiekiem.

– Stopień zużycia da nam dodatkowe informacje o wieku, a korzenie to już podobno kopalnia informacji – kontynuowała Ellegaard. – Poza tym Frida mówiła coś o wysokości

jam szpikowych kości ramiennych i udowych.

– Ach tak?

– I mamy kości długie, Hal. Na ich podstawie ustalimy nawet, jakiego wzrostu był ten facet.

– Świetnie.

– Są kości piszczelowe, promieniowe, łokciowe, strzałkowe... i cała reszta. Brakuje tylko kilku elementów, ale nurkowie zaraz je wyłowią. Są dość ostrożni, w dodatku wszystko dokumentują.

Bezwiednie wyciągnęła paczkę prince'ów, popatrzyła na nią, a potem się rozejrzała. Wypatrzywszy jednego z techników, rzuciła mu ją i odwróciła się z powrotem do Olsena.

– Ale grunt to zęby – oznajmiła. – W nich jest DNA.

– Myślałem, że DNA jest we wszystkim.

– No tak – przyznała. – Z tym że nie ze wszystkiego udaje się go wyizolować. Zęby są do tego celu idealne.

– W takim razie dowiemy się, kim jest ofiara?

– To zależy.

– Jak wszystko na świecie – odparł, rozkładając ręce. – Od czego tym razem?

Uśmiechnęła się do niego i odgarnęła kosmyk włosów, który co jakiś czas za sprawą silnego wiatru opadał jej na czoło.

– Od tego, czy odnajdziemy krewnych – wyjaśniła. – Facet zginął wiele lat temu, więc nie będziemy go mieć w żadnej bazie, ale w takim razie będziemy porównywać materiał z DNA krewnych.

– Których nie znamy.

– To nie problem, prawda? Przynajmniej nie tutaj.

Miała rację. Gdyby prowadziła śledztwo w Kopenhadze, badanie DNA zapewne na niewiele by się zdało. Faroje zamieszkiwała jednak zamknięta społeczność. Nietrudno będzie znaleźć członka rodziny tego człowieka.

Z drugiej strony w Kopenhadze zapewne ostałoby się pełne uzębienie i karta dentystyczna. A może nawet dowód osobisty.

– Nie znaleźli przy nim niczego innego? – spytał Hallbjørn.

– Znaleźli, Hal, znaleźli.

– Co konkretnie?

– Trochę śladów po rozłożonych ubraniach, garść drobniaków, niewielki nożyk. Będą jeszcze szukać, bo o ile kości rozkładały się i wtapiały stopniowo w dno morskie, o tyle pojedyncze rzeczy mogły odpłynąć kawałek dalej.

Olsen czekał na konkrety. Wspomniała o tym z tak dużym entuzjazmem, że nie sądził, żeby to było wszystko. Uniósł brwi i wbił w nią ponagląjące spojrzenie.

– To wszystko? – zapytał.

– Tak.

– Ale... – zaczął, nie bardzo wiedząc, jak przejść do rzeczy. – Wyglądasz na dość podekscytowaną.

– Bo jestem – przyznała. – Chodź.

Zaprowadziła go kawałek dalej, a potem wskazała na znaleziska leżące na folii.

– Monety są kluczowe – oznajmiła. – Okazuje się, że to nie farerski bilon.

– Nie? – Pochylił się i przyjrzał. Miała rację.

– To norweska waluta.

– Więc naszą ofiarą jest Norweg?

– Najprawdopodobniej. W dodatku dzięki nim wiemy nieco więcej o dacie śmierci.

– Tak?

Czuł się nieco dezorientowany. Rozpoznawał norweskie korony czy øre, ale oprócz tego, z jakiej mennicy pochodzą, trudno było ustalić coś więcej.

– Mamy tutaj kilka monet o nominale pięciu øre, jak widzisz. – Wskazała mu je. Rzeczywiście było ich trochę. – Ale nie ma ani jednej o wartości dziesięciu øre. Jest za to dwudziestkapiątka.

– Do czegoś zmierzasz?

– Tak – odparła z uśmiechem. – Przesłaliśmy zdjęcie do Norwegii i po trzech godzinach mieliśmy dokładnie taką odpowiedź, na jaką liczyliśmy.

– To znaczy?

– Dziesięć øre zaczęli bić dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku.

– Aha...

– Jak widzisz, tutaj żadnej takiej nie ma, choć jest sporo piątek.

Hallbjørn nie był pod przesadnie wielkim wrażeniem.

– Jeśli to o czymkolwiek świadczy, to tylko o tym, że te monety pochodzą sprzed osiemdziesiątego trzeciego. O ile nie jest tak, że facet po prostu wydał wszystkie

dziesiątki.

– Owszem, gdyby nie pozostały bilon.

Olsen zauważył, że dawkanie mu informacji sprawia jej przyjemność. Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią spode łba.

– Więc o czym on świadczy? – zapytał.

Katrine przyjęła profesorski wyraz twarzy, wyprostowała się, a potem założyła ręce za plecy.

– W siedemdziesiątym trzecim zmniejszono średnicę piąta – powiedziała. – Dokładnie do takiego rozmiaru, jaki tutaj widzisz, drogi Watsonie.

– Mhm...

– Więc mamy już zakres od siedemdziesiątego trzeciego do osiemdziesiątego trzeciego roku.

– Dziesięć lat to wciąż sporo, biorąc pod uwagę, że potrzebujemy konkretnego dnia, gdy popełniono przestępstwo.

– Cierpliwości. Teraz będzie gwóźdź programu.

Rozłożył ręce i czekał.

– Gdybyś interesował się numizmatyką norweską za rządów Kårego Willocha, wiedziałbyś, że w osiemdziesiątym drugim postanowiono przestać bić monetę o nominale dwudziestu pięciu øre... – Ellegaard zrobiła pauzę – ...którą widzisz przed sobą.

Olsen spojrzał na monetę i zagwizdał pod nosem. Wprawdzie nie mógł zweryfikować, czy Willoch rzeczywiście rządził Norwegią w tamtych latach, ale dwudziestkapiątka niewątpliwie znajdowała się w portfelu ofiary.

– Nieźle – powiedział.

– Wychodzi więc na to, że nasz John Doe zginął w osiemdziesiątym drugim. Co też jest zbieżne z analizą wykonaną przez techników z Tórshavn. Względnie w osiemdziesiątym trzecim, jeśli nosił dwadzieścia pięć øre nieco dłużej.

– Po co miałyby to robić?

– Mógł o nich zapomnieć. Ale mniejsza z tym, mamy zakres dat. I prawdopodobną narodowość.

Hallbjørn musiał przyznać, że biorąc pod uwagę mgłę, w której poruszali się do tej pory, było to całkiem sporo. W połączeniu ze szkieletem mogło dać im jeszcze więcej – być może odpowiedzi, na które czekali.

– Powiedz mi więc, co wiesz o Norwegach na wyspie – dodała Katrine.

Nie uszło jego uwadze, że nagle spoważniała. Żarty się skończyły, Ellegaard przechodziła w tryb policyjnej roboty – i tym samym dotarli także do powodu, dla którego go tutaj ściągnęła.

– Ja? – zdziwił się Olsen.

– Skoro nadawca listów twierdzi, że coś wiesz, to najwyraźniej tak jest. I może nie chodzi o żadną dziurę w pamięci.

– W takim razie o co?

– Raczej o kogo – poprawiła go. – O Norwega.

– Nie znam żadnych Norwegów. To znaczy...

Ponagliła go ruchem ręki.

– Bądź jak kałasznikow, Hal.

– Słucham?

– Strzelaj bez ustanku – wyjaśniła. – Bez namysłu, bez ograniczeń. Każde skojarzenie, nawet pozornie absurdalne, może okazać się na wagę złota. Może już dysponujesz wszystkimi informacjami, tylko nie masz o tym pojęcia.

Rozejrzał się. Kilku policjantów raz po raz zerkało na niego kontrolnie, ale reszta była zajęta swoimi sprawami. Większość stała przy szkielecie, inni pomagali nurkom wyciągnąć pozostałe kości z wody. Najwyraźniej zjechały się tu wszystkie siły policyjne z archipelagu.

– W porządku... – zaczął, drapiąc się po głowie. – Norwegowie, Norwegia...

Katrine czekała, nerwowo przygryzając dolną wargę.

– Byliśmy kiedyś Norwegią.

Ellegaard milczała, wpatrując się w niego.

– To wszystko, na co cię stać?

– Nie. To tylko pierwsze skojarzenie.

– Kiedy to było?

– W jedenastym wieku. Dopiero w dziewiętnastym Norwegia przekazała nasze terytorium Danii i...

– Skupmy się na dwudziestym wieku, Hal.

– Okej – powiedział, pocierając skronie. – Nie wszyscy są gotowi to przyznać, ale właściwie jesteśmy potomkami norweskich wikingów... Dlatego mamy bardzo podobny



język, szczególnie jeśli chodzi o dialekty z zachodniego wybrzeża Norwegii. Dogadujemy się bez problemów, więc norwescy turyści często tu przyplývają. Głównie na trekking.

– I?

– I nie wiem, co więcej mógłbym powiedzieć.

– Znasz jakichś Norwegów?

– Kilku, pewnie. Są drugą co do większości mniejszością na wyspach, *ex aequo* z Polakami. Obie grupy stanowią razem może pół procent całej populacji. Mniej więcej tyle, ile Islandczycy.

– Świetnie. A konkretne osoby? Mieszka ktoś taki w Vestmannie?

– Tak, ale...

– Kto?

– Trond Haugen. Na przykład.

– Dlaczego on pierwszy przyszedł ci na myśl?

– Bo nie najgorzej się znamy. To znaczy raczej znaliśmy, bo w tej chwili trudno powiedzieć, żebym utrzymywał relacje z kimkolwiek w Vestmannie. Nawet z własną córką.

– Czym się zajmuje ten Haugen?

– Niczym szczególnym – odparł Hallbjørn i uznał, że to właściwie tłumaczy wszystko. Katrine nie wyglądała jednak na usatysfakcjonowaną. – Uczy trochę w szkole, pracuje w przetwórci ryb, czasem pływa na kutrach, a nieraz zajmuje się pracami dorywczymi. Standard... może nie licząc tego, że jest najbardziej znanym uczestnikiem programu Workaway.

– Czego?

Olsen westchnął. Przypuszczał, że Ellegaard będzie wiedziała, o co chodzi.

– To międzynarodowa inicjatywa – wyjaśnił. – Przyjmujesz u siebie ludzi z całego świata, tak zwanych *workaways*, zapewniasz im wikt i opierunek, a oni pomagają ci przy domu czy w pracy. Trond przyjmuje u nas najczęściej. I zawsze jest zadowolony, ale to chyba norma.

– Od jak dawna to robi?

– Od kilku lat.

Katrine pokiwała głową w zadumie, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Przez moment trwali w milczeniu, a Hallbjørn przyglądał się rzeczom zmarłego. Poza monetami, nie było ich wiele.

- Jedna rzecz mi w tym nie pasuje – odezwał się.
- Jaka?
- Rozumiem, że znajdujemy kości we wrakach statków, bo ciała nie mają jak wypłynąć...
- Wskazał na szkielet. – Ale to? Przecież kiedy ten facet wpadł do wody, nic nie ciągnęło go na dół. Powinien unosić się na powierzchni, a układ tych kości sprawia wrażenie, jakby ciało rozłożyło się na samym dnie.

Ellegaard spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie wiesz, jak to działa, prawda?
- Byłem żołnierzem piechoty, nie marynarzem.
- I naoglądałeś się sporo trupów na lądzie, ale żadnych w wodzie.
- Otóż to.
- Chodź – powiedziała i skinęła na niego. Podeszli do szczątków. – Kiedy ten człowiek wpadł do wody, przez chwilę się na niej unosił. Potem woda zastąpiła tlen w płucach i poszedł na dno jak kotwica.

Kiwnął głową. To było oczywiste.

- Przeleżał tam jakiś czas, zanim nastąpiły procesy gnilne – ciągnęła Katrine. – Rozpoczęła się produkcja metanu, siarkowodoru i innych gazów, które sprawiły, że jamy ciała stały się... cóż, bojami, które pociągnęły ciało na powierzchnię.

- O tym mówię – wtrącił Olsen. – Co w takim razie ściągnęło go z powrotem na dół?
- Natura.
- To znaczy?
- W końcu ciało wypuszcza wszystkie te gazy i ponownie się zanurza. To zupełnie naturalny proces. Zwłoki osiadają na dnie, a potem następuje dalsza dekompozycja. Jeśli są w dobrym stanie, czasem zdarza się, że dochodzi do powtórnego wypłynięcia, gdy nagromadzi się kolejna porcja gazów. To zazwyczaj ci, których widzimy zwróconych twarzą w górę. Jamy ciała są znacznie bardziej napuchnięte, stąd takie ułożenie. Tradycyjny topielec jest odwrócony tyłem do nas.

Hallbjørna cieszyło, że od ostatniego posiłku minęło trochę czasu.

- W tym przypadku mogło dojść do powtórnego wypłynięcia, biorąc pod uwagę, że ostatecznie osiadł na dnie plecami.
- W porządku. Tyle informacji mi wystarczy – odparł Olsen. – Co teraz?
- Teraz? Poznamy tożsamość naszej ofiary.

## 15 października, sobota, godz. 14.34

Katrine nie chciała, by emocje opadły. Odkrycie szkieletu było przełomem, który na moment przesłonił wszystko inne. Wiedziała jednak, że gdy tylko umysł się uspokoi, będzie musiała na nowo zmierzyć się z rzeczywistością.

Szczałki ofiary przewieziono do Tórshavn, a Ellegaard postanowiła towarzyszyć Fridzie i technikom w badaniu. Kiedy skończyli, zabrała od jednego z nich swoją paczkę prince'ów, po czym wyszła z budynku na papierosa. Zapaliła i zadzwoniła do przełożonego.

– Gratulacje, Ellegaard – powitał ją Moslund. – Nie przypuszczałem, że ta sprawa jest do rozwiązania, a okazuje się, że jednak pojawiła się iskierka nadziei.

– Na razie dość licha, ale rozpalimy ją.

– Jestem co do tego przekonany.

Rzadko miała okazję słyszeć tak krzepiące zapewnienia ze strony Kjelda. Zazwyczaj raczej dworował sobie z podwładnych, w najlepszym przypadku twierdząc, że są zbieraniną przypadkowych osób, które nie wiedziały, co zrobić z życiem, więc poszły do policji.

– Wyczuwam specjalne traktowanie, szefie...

– Słusznie. Staram się, choć kosztuje mnie to sporo wysiłku.

– Wolałabym, żeby pan tego nie robił.

– W porządku.

Oboje zamilkli. Katrine wiedziała, że nie ma sensu składać mu cząstkowego raportu – Moslund lubił mieć cały obraz i denerwował się, ilekroć ktoś zawracał mu głowę drobiazgami. A na razie niestety nie udało im się wyciągnąć z kości zbyt wiele informacji. Skovmand twierdziła, że najważniejsza będzie analiza chemiczna, którą przeprowadzą dopiero w Kopenhadze. To wtedy na podstawie wykrytych pierwiastków i ich związków będą mogli określić, z jakiego regionu pochodzi szkielet. O ile uda im się dopasować dane do warunków sprzed ponad trzydziestu lat.

Frida była pełna rezerwy, ale Katrine nie podzielała jej powściągliwości. Być może jako oficer prowadząca śledztwo powinna, ale czuła, że powoli zbliża się do rozwiązania

zagadki szkieletu. Prędzej czy później odkryje, kim był ten człowiek, co tutaj robił... i dlaczego zginął.

– Kiedy planujesz powrót? – odezwał się w końcu Kjeld.

– Dobre pytanie.

– Wczoraj byłaś pewna, że wracasz niezwłocznie.

– Bo wczoraj nie było kości. To wszystko zmienia.

– W twojej sytuacji niekoniecznie.

– Moja sytuacja i tak jest beznadziejna, szefie.

– Nie wiesz tego.

– Ale dowiem się po powrocie do Danii – mruknęła i zaciągnęła się głęboko. – Nie mam złudzeń.

– Powinnaś je mieć – wypalił. – To znaczy... Mam na myśli, że powinnaś mieć nadzieję. Powinnaś patrzeć pozytywnie w przyszłość.

– Rozumiem, co pan miał na myśli.

– Więc skończ z tym fatalizmem, rozdziel zadania na miejscu i powiedz, kogo mam przysłać na zastępstwo. A potem wsiadaj w pierwszy samolot Atlantic Airways i zgłoś się do kliniki.

Ellegaard wiedziała, że Moslund ma rację. Mimo że coś uporczywie podpowiadało jej, by rzucić się w wir pracy i nie myśleć o niczym innym, zdawała sobie sprawę, że może w ten sposób przypieczętować swój los. Oczywiście, wciąż była nadzieja. Wciąż istniała szansa, że jeśli podda się leczeniu, będzie miała przed sobą jeszcze trochę lat.

Moslund był jednak mężczyzną i nie rozumiał. Ani tego, co się działo, ani wszystkich implikacji. Właściwie Katrine nie była pewna, czy sama je rozumie.

– Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– Niebawem.

– Posłuchaj, Ellegaard... Możesz to zrobić po dobroci, ale możesz też otrzymać rozkaz.

– Rozumiem.

– Na pewno? – burknął. – Bo w papierach zupełnie inaczej będzie wyglądało, jeśli sama przekażesz sprawę, niż jeśli będę musiał ci ją odebrać.

W tej chwili to, jak formalnie to załatwią i co będzie miała w papierach, interesowało ją najmniej. Doceniła jednak, że szef troszczy się o nią na tyle, by uciekać się do mniej lub bardziej zawołowanych zawodowych gróźb.

– Zamknę tylko kilka spraw i wracam – obiecała. – Dzień czy dwa nie zrobią różnicy.

– Lekarka twierdzi, że mogą zrobić.

– Rozmawiał pan z nią?

– Oczywiście.

– To chyba wbrew zasadom. Tajemnica lekarska przestała obowiązywać, od kiedy opuściłam Danię?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale pamiętaj, że te badania były zorganizowaną akcją miasta i komendy. Tylko o tym rozmawiałem z lekarką. Tak czy inaczej, jesteśmy w kontakcie, prawda?

Katrine uśmiechnęła się pod nosem.

– Znaczy to tyle, że mam zadzwonić wieczorem?

– Owszem. Byle o ludzkiej porze. Nie będę więcej odbierać telefonów w środku nocy.

– W porządku, szefie. Będę pana informowała – zapewniła Ellegaard, a potem się rozłączyli.

Dopaliła papierosa, trzymając w ręce komórkę. Patrzyła przed siebie, starając się nie myśleć o tym, co próbowało przebić się do jej świadomości. Mimo wszystko powoli uświadamiała sobie, jak kruche było jej wyobrażenie własnej przyszłości.

Od dobrych sześciu miesięcy powtarzała sobie, że jeszcze rok czy dwa popracuje na wysokich obrotach, by w jak najkrótszym czasie wspiąć się jak najwyżej po drabinie służbowej. Potem zwolni trochę tempo, zajmie się życiem osobistym. Znajdzie faceta, z którym będzie chciała spędzić resztę życia. Wyjdzie za niego, wychowają dwójkę lub trójkę dzieci, a dzięki temu, że harowała jak wół na początku kariery, szybko przejdzie na emeryturę. Będzie cieszyła się życiem.

Już wtedy, gdy o tym myślała, powinno ją to przygnębić. Życ dla emerytury? To był jej cel?

Teraz i tak nie miało to żadnego znaczenia. Schowała telefon do kieszeni, a potem wróciła do budynku. Najlepiej zrobi, jeśli skupi się na pracy, przynajmniej na jakiś czas. Wieczorem będzie się martwić, co dalej.

Gdy wchodziła po schodach, jej strumień myśli popłynął w kierunku Hallbjørna. Wezwała Olsena na miejsce odnalezienia szkieletu wiedzona po części emocjami, a po części zawodową chęcią uzyskania szybkich i konkretnych odpowiedzi.

Trop norweski był jasny. I mógł poruszyć odpowiednią zapadkę w pamięci Olsena.

Katrine nie udało się wiele uzyskać, ale przynajmniej miała listę wszystkich Norwegów mieszkających w Vestmannie. Teraz doszła do wniosku, że powinna rozszerzyć krąg podejrzanych na inne wioski.

Tak czy owak, porozmawia z nim wieczorem. Do tego czasu może Hallbjørn coś sobie przypomni – i dobrze by było, gdyby tak się stało, bo wszystko wskazywało na to, że w przyszłym tygodniu nie będzie tutaj ani jej, ani jego.

Proces Hallbjørna będzie tylko formalnością. Podobnie jak jej badania.

Weszła do pomieszczenia, w którym kryminaliści analizowali kości. Przestała myśleć o niejasnej przyszłości i skupiła się na tym, co tu i teraz. Kości rozłożono na szerokim stole, w dużej odległości od siebie. Raz po raz badano którąś partię pod mikroskopem, a Skovmand krążyła wokół stołu i przyglądała się to z jednej, to z drugiej strony.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Frida.

– Nie mogłabym przegapić tych fascynujących zmagania. Dużo mnie ominęło?

Skovmand posłała jej powątpiewające spojrzenie.

– Tym razem tak – oświadczyła. – Mamy prawdopodobny dowód na to, że doszło do morderstwa.

– Najwyższa pora. Gdybyś teraz ustaliła co innego, miałybyśmy problem.

– Nielichy – przyznała Frida, a potem przywołała Katrine ruchem ręki. – Spójrz na to.

Ellegaard stanęła obok i wpatrzyła się w część czaszki.

– Wcześniej tego nie zauważyłam, bo wysłaliśmy już pozostały fragment czaszki do Kopenhagi, ale teraz widzę to wyraźnie.

– To znaczy co?

Frida wskazała na niewielki uszczerbek na skraju kości.

– Czaszka się rozpadła, bo ktoś ją mechanicznie uszkodził. I nie był to grindwal.

– To znaczy?

– Ten ubytek tutaj to prawdopodobnie efekt śmiertelnego ciosu zadanego ofierze przez zabójcę.

Katrine sięgnęła po szkło powiększające na pałaku i przesunęła je we wskazane miejsce. Spojrzała na uszkodzenie. Nie było wielkie – zapewne byłoby je widać jak na dłoni, gdyby połączyć obie części czaszki. Zobaczyłyby wtedy niewielką dziurę, od której odchodziły pęknięcia, niczym nici pajęczyny.

– Co to jest?

– Trudno jednoznacznie stwierdzić – odparła Frida. – Będę przymierzała różne narzędzia.

– A jeślibyś miała strzelać?

– Tobym zastrzeliła swojego męża.

– Skovmand...

– Okej, okej – odparła technik i wzruszyła ramionami.

Katrine przemknęło przez myśl, że Frida to jedna z ostatnich osób, którą posądzałyby o znalezienie czasu na założenie rodziny. Najwyraźniej jednak kryminaliści mieli go nieco więcej od policjantów. A może po prostu nie byli tak zblazowani? Albo byli bardziej ludzcy?

– Wygląda mi to na jakiś szpikulec – powiedziała Frida. – Taki do grilla, wiesz, co mam na myśli?

– Sądzisz, że wbiłby się tak głęboko?

– Przy odpowiedniej sile... czemu nie?

Ellegaard nie odrywała wzroku od uszczerbku w kości.

– Równie dobrze mógł to być śrubokręt czy inne narzędzie.

– Nie – zaprzeczyła Skovmand. – Byłoby więcej odprysków. Tutaj wchodzi w grę ostro zakończone narzędzie. O zmniejszającej się średnicy, im bliżej samego sztychu.

Katrine nie miała powodu, by to kwestionować. Dotychczas Frida strzelała nad wyraz trafnie, udało jej się nawet trafić z wiekiem. Była w formie.

– To sugeruje brutalne zabójstwo – odezwała się Katrine.

– Raczej tak.

– Bezpośrednie, konfrontacyjne, emocjonalne.

– Słusznie – poparła ją Frida. – Z pewnością nie może być mowy o żadnym wypadku. Wątpliwe jest też zabójstwo w afekcie, a całkowicie wykluczone z zamiarem ewentualnym. Tutaj ktoś chciał zabić. W dodatku pragnął zrobić to tak, żeby być jak najbliżej śmierci. To nie mógł być żaden strzał z oddali ani...

– Z pistoletu z pewnością nie. A strzała?

– Nie pasuje. Chyba że jakaś przedziwna.

– Nie takie rzeczy już ludzie wymyślali.

– No tak – przyznała Skovmand. – Ale odchyły w kryminalistyce zdarzają się stosunkowo rzadko. Zwłaszcza gdy chodzi o takie małe społeczności.

– Tradycja górą, co?

– Otóż to. Jeśli cała ludzkość ma ze sobą coś wspólnego, to właśnie sposób, w jaki lubi zabijać.

– I tą optymistyczną myślą zakończmy tę analizę – odparła Katrine, prostując się. – Wracam do Vestmanny, muszę przepytać kilkoro dzieciaków i paru Norwegów.

– Dzieciaków?

– W nocy ktoś napadł na dom Olsena.

– Najwyższa pora – mruknęła Frida. – Ale żeby dzieciaki?

– One nie miały z tym nic wspólnego. Za to zostawiły mu niespodziankę, która może okazać się kluczowa.

– Jaką niespodziankę?

– Jak tylko się dowiem, od razu cię powiadomię – odparła wymijająco Katrine, a potem ucisnęła Fridzie rękę i skierowała się do wyjścia. – A ty dzwoń, jeśli będziesz coś miała.

– Z pewnością będę. Szkieletor jest wyjątkowo rozmowny.

Ellegaard pokręciła głową z uśmiechem. Zeszła na dół, a potem odruchowo sięgnęła po prince'y. Wydało jej się śmieszne i zarazem żalosne, jak szybko uczyła się nowych odruchów. Ostatecznie zrezygnowała z papierosa i poszła na przystanek autobusowy. Pora była w sam raz, by złapać transport do Vestmanny. W dzień powszedni autobusy kursowały ze stolicy co godzinę, czasem co dwie, ale w sobotę nie można było na to liczyć.

Katrine spojrzała na rozkład. Gdyby przegapiła ten jadący o piętnastej dwadzieścia, musiałaby czekać do dwudziestej. Po raz kolejny uznała, że najwyższa pora, by Sigvald Nolsøe wziął inny samochód z komendy, a jej oddał mondeo.

Autobus linii sto przyjechał o czasie i już piętnaście po czwartej zajechał do Vestmanny. Cała podróż kosztowała Ellegaard pięćdziesiąt koron, co w porównaniu z taksówką było niemal jak za darmo.

Wysiadła na Torgið, na skrzyżowaniu czterech ulic – Bakkavegur, Heygagøta, Heygaganesgøta i Niðari Vegur. Zdążyła się już rozeznać na tyle, by wiedzieć, że to tutejszy odpowiednik centrum miasta. Wynikało to głównie z faktu, że tuż obok był Bryggjan, niewielki plac, na którym można było usiąść, oraz kafejka Disvoy. Ta ostatnia skupiała głównie młodą klientelę, zaś budżet Bryggjana systematycznie zasilali starzy pijacy.

Katrine spojrzała na zegarek. Było jeszcze zbyt wcześnie, by dołączać do tych ostatnich. Weszła więc do Disvoy, zamówiła sobie kawę i nachos za dziewięćdziesiąt koron. Potem



wysłała SMS-a do Hallbjørna. Liczyła na to, że Olsen zjawi się szybko.

Nie musiała długo czekać. Z Fjalsvegur było blisko – i najwyraźniej nie miał innych zajęć. Powitał ją zdawkowym uśmiechem, a potem zajął miejsce przy stoliku i wyjrzał przez okno.

– Trond niespecjalnie chciał ze mną rozmawiać – oznajmił.

– Powiedziałaś, że alternatywą jest rozmowa ze mną?

Haugena i tak to czekało, podobnie jak resztę Norwegów, ale Ellegaard wołała, by to Hallbjørn najpierw spróbował wyciągnąć coś z dawnego znajomego. Najwyraźniej jednak nie powinna spodziewać się cudów. Było kilka osób w Vestmannie, które odnosiły się do Olsena neutralnie, ale Norweg do nich nie należał.

– Tak, przekazałem mu wieści.

– I?

– Powiedział, że to niczego nie zmienia. W dodatku zapewnił, że chętnie zjawi się na procesie i zobaczy mój powtórny upadek.

Ellegaard napiła się kawy.

– Zjesz coś? – spytała.

– Chętnie, o ile pożyczysz mi kilkadziesiąt koron.

– Nie ma sprawy.

– Bez odsetek?

– Bez. Dla byłych i przyszłych skazańców przewiduję taryfę ulgową w ramach resocjalizacji.

– Dzięki – odburknął Hallbjørn, podniósł się i podszedł do lady. Stał przed nią, czekając, aż któraś z trzech młodych kelnerek się nim zainteresuje. Żadna jednak nie zareagowała na jego obecność. Krzątały się za ladą, po czym jedna z nich podeszła do Katrine.

– Podać coś jeszcze? – zapytała.

– Dla mnie nie, ale...

– Jego nie obsługujemy.

Katrine westchnęła. Nie miała zamiaru wdawać się w przepychanki słowne z każdym, kto żywił wobec Hallbjørna antypatię. Prawdę mówiąc, nie wiedziała nawet, czy byłoby to uprawnione. Bronić winnego człowieka, który tylko formalnie cieszy się jeszcze niewinnością? Nie przystawało jej to ani jako policjantce, ani jako porządnemu

człowiekowi z silnym kręgosłupem moralnym.

Popatrzyła na dziewczynę i przeszło jej przez myśl, że może to dobrze, że Olsen nie złożył zamówienia. W najlepszym przypadku kucharz naplułby mu do jedzenia.

– Jak chcecie – powiedziała. – Ja nie mam zamiaru go bronić.

– A jednak siedzi z nim pani tutaj.

– To źródło informacji. Próbuję się czegoś dowiedzieć.

Kelnerka pokiwała głową, jakby niespecjalnie ją to przekonywało.

– Więc podać pani coś jeszcze?

– Tak. Pastę pesto.

Kiedy dziewczyna się oddaliła, Olsen wrócił do stolika. Katrine oznajmiła mu, co zje, a potem podsunęła menu, aby wiedział, ile będzie jej dłużny. Spojrzał na cenę, jakby danie kosztowało krocie. Tymczasem jak na farerskie warunki dziewięćdziesiąt koron nie było wielkim wydatkiem w takim miejscu.

– Masz problem z kasą, Hal?

– Można tak to ująć.

– To znaczy?

Wyjrzał przez okno i się skrzywił. Zapewne chciał o tym rozmawiać mniej więcej tak samo, jak ona o diagnozie po mammografii. Mimo to wziął oddech i przeniósł na nią spojrzenie.

– Nie mam żadnego źródła dochodu – wyznał. – Wszystkie wyschły.

– Więc co zamierzasz?

– Nie mam pojęcia. Na razie Erna płaci część rachunków, ale przypuszczam, że to nie potrwa długo.

– Będziesz musiał sprzedać dom?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. Zresztą po co mi dom, skoro będę mieć przytulną celę w więzieniu? Ann-Mari i tak tam nie mieszka, a pieniądze jej się przydadzą.

Brzmiało to wcale nie najgorzej, przynajmniej pod względem finansowym. Niemniej jednak Ellegaard miała świadomość, że niełatwo sprzedać dom na Farojach. Może nie tak, jak mieszkanie, ale na rynku nie było wielkiego popytu. Nie zamierzała jednak o tym wspominać, Hal musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Po chwili kelnerka podała danie. Katrine przesunęła je na drugą stronę stołu, a

dziewczyna posłała jej wrogie spojrzenie.

– Ustaliliście coś? – spytał Hallbjørn z pełnymi ustami.

– Tak. Frida ma dowód, że doszło do morderstwa. Cios w głowę, najprawdopodobniej ostrym szpikulcem.

Olsen uniósł brwi.

– Żartujesz?

– Nie, to pewne. Nie widzieliśmy tego wcześniej, bo uszkodzenie rozłożyło się na dwie części czaszki. Dopiero teraz to zauważyła – wyjaśniła Ellegaard. – I rana wskazuje na to, że był to mocny, zdecydowany cios. Brutalny mord według mnie. – Dopła kawę i odstawiła filiżankę.

– Ale... – zaczął Olsen, jakby nie mógł zebrać myśli. – Jak to możliwe? Tutaj? Ukryte, bezwzględne zabójstwo?

Wzruszyła ramionami.

– W całej historii archipelagu było raptem kilka morderstw – ciągnął. – Ale sprawcy wszystkich zostali wykryci. W małych społecznościach nie da się takich rzeczy utrzymać w tajemnicy, szczególnie jeśli to była... zbrodnia z pasji, tak to nazywacie?

– *Le crime passionnel*.

– Mhm...

– Moim zdaniem wystąpił długo przygotowany zamiar – powiedziała Katrine. – Ale nie można wykluczyć, że to było coś takiego, o czym mówisz.

– Tak czy owak, nie przeszłoby to bez echa.

Właściwie trudno było z tym polemizować. Odnalezienie szkieletu w tym sensie nic nie zmieniało, bo nadal nie było jasne, jak ktokolwiek mógłby zabić tego człowieka trzydzieści lat temu i przez cały ten czas utrzymać to w tajemnicy.

– A sam szpikulcec nie musiał być szpikulcem – dodał Hallbjørn, wbijając widelec w makaron.

– Co masz na myśli?

– W typowej farerskiej chacie znajdziesz prędzej narzędzia do połowu grindwali niż... szpikulce.

– Przecież są zakazane.

– Owszem, ale zakaz używania harpunów i włóczni wszedł w życie dopiero w osiemdziesiątym piątym roku – odparł Olsen z pełnymi ustami. – Lobby obrońców zwierząt

wzięło się wtedy ostro do roboty. Choć oczywiście wtedy tak ich nie nazywaliśmy.

Przeżuwał spokojnie, patrząc na Katrine. Policjantka mimowolnie wyobraziła sobie, jak *grindadráp* musiał wyglądać przed uchwaleniem nowych przepisów. Jeśli teraz połów był okrutny, to wówczas musiał być krwawą łaźnią. Farerowie dźgali płynące do brzegu walenie i czekali, aż zwierzęta się wykrwawią. Do lądu ciągnęli już same truchła. Przynajmniej tak się jej wydawało.

– Teraz nie można używać takich narzędzi – kontynuował Hallbjørn. – Chodzi o to, by nie zadawać waleniom niepotrzebnego bólu. Umierają szybko.

Ellegaard przez moment się zastanawiała.

– Harpun czy włócznia mają zbyt duży sztych – oceniła w końcu.

– Niewątpliwie.

– Więc po co o tym wspominasz?

– Bo to niejedynie narzędzia, których obecnie zakazuje prawo.

Uniosła brwi, zapominając o tym, że ma jeszcze trochę nachos na talerzu.

– Kiedyś używaliśmy *sóknarongul*.

– Czego?

Olsen zamieszał pesto i makaron, przez chwilę szukając odpowiedniego określenia po duńsku.

– To coś w rodzaju osęki wędkarskiej.

– Mówi mi to mniej więcej tyle, co ten sok... na...

– *Sóknarongul*. Wyobraź sobie długi kij z hakiem na końcu, przy czym hak mógł przybierać różne kształty. Czasem miał grubą, choć ostrą końcówkę, czasem cienką. Akurat taką, że pasowałby do twojego szpikulca.

– Co się stało z tym sprzętem? Zarekwirowano go?

– Absolutnie nie. Ale ma walor tylko historyczny, nie używamy go już do niczego.

Zastąpił go *blásturongul*.

– Czyli?

– Grubsza osęka z tępym końcem. Kiedyś wbijało się hak w grindwala i po prostu ciągnęło go do brzegu, uszkadzając przy tym trochę cielsko. Nie było to zbyt efektywne i zadawało zwierzęciu niepotrzebny ból, więc w dziewięćdziesiątym trzecim wymyśliliśmy alternatywę. *Blásturongul* wsadza się w nozdrza walenia i w ten sposób holuje się go do nadbrzeża.

– To też niezbyt humanitarne.

– Dlatego od trzech lat ciągniemy tak jedynie te osobniki, które już nie żyją.

Katrine odetchnęła i rozejrzała się. Musi sprawdzić ten stary hak, zobaczyć, jak wygląda, a potem przekazać wieść Fridzie. Na dobrą sprawę zidentyfikowanie narzędzia zbrodni samo w sobie nie doprowadzi do kolejnego przełomu, ale z pewnością będzie przydatne.

Gdyby zabójstwa dokonano dziś, wczoraj lub kilka dni temu, sytuacja byłaby inna. Ellegaard mogłaby sprawdzić, który z Farerów trzyma bądź trzymał takie narzędzia w domu. W osiemdziesiątym trzecim było to jednak standardowe wyposażenie każdego gospodarstwa, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

– Nie wyglądasz na zadowoloną, a dałem ci potencjalne narzędzie zbrodni.

– Bardzo potencjalne. I niespecjalnie pomocne.

Hallbjørn uśmiechnął się lekko.

– Przyda się, jeśli znajdziesz sprawcę.

– Kiedy – poprawiła go.

Nie była jednak tego taka pewna. Z każdą chwilą jej optymizm malał, a do głosu dochodził rozsądek. Musiała wziąć pod uwagę, że najprawdopodobniej śledztwo okaże się długofalowe, a ona nie miała wiele czasu. Mogła przeciągnąć powrót o kilka dni, ale zdawała sobie sprawę, że im szybciej znajdzie się w Kopenhadze, tym większe będą szanse na wyzdrowienie.

Spojrzała na Olsena. Farer wyglądał przez okno, patrząc na zabudowania portowe. Szukał spokoju w znajomych, bezpiecznych widokach, zupełnie ignorując kelnerki, które wymieniały się między sobą uwagami na jego temat.

– Chcesz uczestniczyć w rozmowach z dziećmiakami? – odezwała się Ellegaard.

– Nie – odparł bez zastanowienia.

– Może uda ci się rozpoznać posłańca.

– Wątpliwe. – Wzruszył ramionami. – Byłem nawalony.

– Mimo wszystko chciałabym zabrać cię ze sobą na przesłuchania.

– Tak ci brakuje mojego towarzystwa?

– Nie, ale możesz się przydać.

– Mówię ci, że...

– Nie chodzi o ciebie, Hal – przerwała. – Jeśli dzieciak cię zobaczy, najpewniej się

spłoszy. Będziemy go mieć na tacy.

Potrząsnął głową i oderwał wzrok od nabrzeża. Sprawiał wrażenie, jakby miał do siebie pretensje, że o tym nie pomyślał. Właściwie Katrine też przyszło to do głowy całkiem niedawno – nieprzespana noc, alkohol i emocje robiły swoje.

– W porządku – stwierdził. – To nie najgorszy pomysł. Gdzie chcesz zacząć?

– Od Bakkavegur. Będziemy codziennie sprawdzać domy znajdujące się na jednej wysokości zbocza.

– Więc lepiej ruszajmy. Na Bakkavegur jest ponad sześćdziesiąt numerów, na Niðari Vegur podobnie.

Katrine skinęła głową i wstała. Uregulowała rachunek, nie zostawiając napiwku. Potem wyszli przed Disvoy i rozejrzeli się.

– Do roboty – powiedziała Ellegaard.

Zanim jednak ruszyli w kierunku pierwszego z domów, rozzwonił się telefon Katrine. Sięgnęła niechętnie do kieszeni. Była pewna, że to szef z pytaniem, kiedy Katrine wraca. Okazało się jednak, że to Frida.

– Tak?

– Nie uwierzysz – oznajmiła Skovmand.

Ellegaard popatrzyła na Olsena. Przed momentem jadła obiad z człowiekiem, który został skazany na dożywotnie pozbawienie wolności. Była gotowa uwierzyć we wszystko.

– Sprawdźmy – odpowiedziała Katrine. – Co dla mnie masz?

– Rzecz absolutnie, kurwa, niewiarygodną.

– Żarty sobie robisz?

– Nie – odparła podekscytowana Frida.

Ellegaard chyba po raz pierwszy słyszała, żeby cokolwiek tak ją poruszyło.

– Mów, o co chodzi – ponagliła ją.

– Badamy te kości, prawda?

– Mhm.

– I wszystko jest ze sobą jak najbardziej zbieżne, to znaczy... Nasze wnioski są zborne, trzymają się kupy. Wszystkie hipotezy się potwierdzają, łącznie z szacunkami przeprowadzonymi na podstawie bilonu. Przebadaliśmy też te zęby, które się ostały. Nie ma w nich zbyt wielu plomb, większość powypadała, więc trudno było na tej podstawie cokolwiek ustalić. Znaleźliśmy jednak trochę śladów, by potwierdzić, że ofiara mieszkała

w Europie Zachodniej.

– Jakich śladów?

– Między innymi koronę całoceramiczną górnej trójki. W mniej rozwiniętych krajach, w Europie Środkowej czy Wschodniej, zaczęto stosować je w połowie lat osiemdziesiątych. Na Zachodzie jednak pojawiły się nieco wcześniej.

– A facet zginął w osiemdziesiątym trzecim.

– Tak – potwierdziła Skovmand.

– Więc co jest nie tak?

– To, że wszystko gra, oprócz jednej kości.

Katrine ściągnęła brwi i potarła czoło.

– Jak to? – rzuciła.

– Jedna z kości piszczelowych różni się od drugiej.

– To chyba nic nadzwyczajnego? Z tego, co wiem, nasz organizm nie osiąga mistrzostwa w symetrii.

– Bynajmniej – zgodziła się Skovmand. – Śledzionę masz lekko na lewo, pęcherzyk żółciowy na prawo. Prawe płuco jest większe, trzypłatowe, lewe mniejsze, bo ma tylko dwa płaty. W dodatku układ krwionośny...

– Więc dlaczego dziwi cię ta kość? – przerwała jej Ellegaard.

– Bo wartość wskaźnika obwodowo-długościowego jest znacznie wyższa niż w przypadku drugiej. To nie zwykła asymetria, Katrine. W męskich szkieletach najczęściej kości ramieniowe, promieniowe, łokciowe czy udowe są bardziej masywne, ale przy piszczelowej jest odwrotnie.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że ten wskaźnik jest za duży, jak na faceta.

– To znaczy...

– Że jedna z kości nie należy do ofiary – oznajmiła Frida.

## 18

### 15 października, sobota, godz. 17.15

Hallbjørn przez moment słuchał wyjaśnień Katrine, ale niewiele do niego docierało. I tym razem nie mógł złożyć tego na karb zmęczenia. Zwyczajnie nie obejmował umysłem tego,

co przekazała im Frida Skovmand.

Kiedy Ellegaard skończyła relacjonować mu rozmowę, stali przez moment w milczeniu przed Disvoy. W końcu Olsen odchrząknął.

– Przecież to niemożliwe – powiedział.

– Mnie to mówisz, Hal? Jestem równie skołowana.

– Jedno niewykryte zabójstwo to rzecz u nas absolutnie niespotykana, ale dwa? – ciągnął, wodząc wzrokiem po kutrach w oddali. – Nie, to musi być jakaś pomyłka.

– Frida co do zasady się nie myli.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – zaproponował i odwrócił się do Katrine. – Poza tym to fizycznie niemożliwe. Widziałem zdjęcia nurków. Te kości były ułożone na dnie tak, jakby należały do jednego człowieka.

Ellegaard milczała.

– Gdyby okazało się, że piszczel pochodzi z innego szkieletu... – zaczął Hallbjørn i potrząsnął głową. – Wiesz, co by to oznaczało?

– Że ktoś z premedytacją zanurkował na dno i podmienił kość.

– Otóż to. Zupełny absurd.

Katrine również się do niego obróciła. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Wiesz, ilu morderców dokonuje rzeczy, które na normalnym człowieku robią wrażenie absurdu?

Zastanowił się nad tym i szybko doszedł do wniosku, że pytanie właściwie nie wymaga odpowiedzi.

– Ale jaki miałyby w tym cel? – zapytał.

– Nie wiem. Nie ustaliliśmy nawet motywu zabójstwa, a co dopiero powodu takich... dziwnych posunięć.

Olsen oparł się o ścianę kafejki i odetchnął głęboko. Trudno było uwierzyć, by na Farojach wydarzyły się dwa przestępstwa, które przez tyle lat pozostałyby niewykryte. Z drugiej strony jeśli jedno zabójstwo przeszło bez echa, morderca miał jakąś metodę. W dodatku skuteczną.

– Będą robić badania i potwierdzać tezę Skovmand. Jeśli się pomyliła, stawiam ci całą skrzynkę okkary.

Spojrzał na nią bykiem.

– Nie mam kasy na prąd, co dopiero na zakłady – odparł.



– Zwłaszcza że sam już dopuściłeś możliwość dwóch zabójstw.

– Nie.

– Oczywiście, że tak. Widzę to przecież po tobie.

Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, jak niegdyś zwykła to robić. Hallbjørn poczuł potrzebę, by cofnąć się o krok. Nie bardzo wiedział, z czego wynika ten impuls. Może to reakcja obronna? Albo podświadoma chęć chronienia Katrine? Z pewnością miał przed kim.

– Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że skoro ktoś zatuszował jedno morderstwo, mógł to też zrobić z drugim.

– Albo oberznął komuś nogę i podrzucił piszczel.

– Cóż...

– Względnie mógł sam pozbawić się kończyny – mruknął Olsen. – Wszystko to jednakowo prawdopodobne założenia. Przynajmniej dopóki nie ma dowodów.

Katrine z uznaniem pokiwała głową, a potem wyciągnęła paczkę prince'ów. Zapaliła jednego i schowała ją z powrotem. Stali w milczeniu, a Hallbjørn zastanawiał się nad tym, co trzeba mieć w głowie, by podmieniać jedną z kości. Mimo tego, co mówił, to była najbardziej sensowna wersja.

Chyba że mieli do czynienia z mordercą o wyjątkowo skrzywionej psychice.

– Mógł scalić kończynę przed śmiercią ofiary – mruknął Olsen.

– Co takiego?

– Odciąć nogę facetowi z Viðvík, a potem przyszyć cudzą.

Kiedy powiedział to na głos, zabrzmiało jeszcze bardziej absurdalnie niż w jego umyśle. Mimo to Katrine nie zareagowała drwiną. Przeciwnie, zmrużyła oczy i zaciągnęła się głęboko, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiała.

– Możliwe – przyznała. – Nie wiemy, z jakiego rodzaju zwyrodnialcem mamy do czynienia.

– Poważnie?

– Sam podsunąłeś tę wersję.

– Tak, ale...

– Kiedy przyleciałam tutaj w tamtym roku, byłam przekonana, że to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie nie ma mowy o psychopatach – przerwała mu. – Sądziłam, że nie ma tutaj odpowiednich warunków, które w procesie socjalizacji pierwotnej i wtórnej

wpływają na skrzywienie psychiki.

– To znaczy?

– Rozbite rodziny, alkoholizm, przemoc, wykorzystywanie i cały szereg innych dewiacji i patologii rodzinnych – powiedziała, wypuszczając dym. – Potem jednak zorientowałam się, że jest tego u was w nadmiarze.

– Niestety.

– Właściwie jesteście siedliskiem szeregu wynaturzeń.

– Nie da się ukryć.

– Młodzi uzależniają się od wirtualnego świata, starzy od alkoholu, a...

– Już to chyba przerabialiśmy ostatnim razem – przerwał jej Hallbjørn.

– Ale wtedy zapomnieliśmy o narkotykach.

Pokiwał głową, starając się nie myśleć o powodzie, dla którego o tym wspomniała.

– Koniec końców niczego nie możemy wykluczyć – dodała. – A spekulować możemy przez kilka następnych godzin.

– Innymi słowy...

– Zabierajmy się do konkretnej, policyjnej roboty, Hal. Pogdybamy sobie wieczorem przy piwie.

Nie wiedział, że mają je w planach, ale nie zamierzał oponować. Im więcej chmielu i alkoholu, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Katrine przypomni sobie, z kim w istocie spędza czas.

Ruszyli do pierwszego domu przy Bakkavegur, ale ich myśli wciąż zaprzętała nienależąca do ofiary kość piszczelowa. Raz po raz wymieniali się lakonicznymi uwagami na ten temat, ale do niczego konkretnego to nie prowadziło.

Podobnie jak rozmowy z dziećmi. Struktura wiekowa Vestmanny była zbliżona do ogólnych statystyk dla kraju – około jednej piątej wszystkich mieszkańców stanowiły osoby poniżej czternastego roku życia. Odliczając noworodki i dzieci zbyt małe, by przybiec na Fjalsvegur z wiadomością, do przesłuchania mieli niemalże dwustu podejrzanych.

Z których większość za dwie, trzy godziny będzie już smacznie spała.

Spieszyli się, zadając tylko kilka krótkich, kontrolnych pytań i obserwując reakcje dzieci. Na dobrą sprawę wystarczyłaby sama obecność Olsena. Już po pierwszym spojrzeniu widać było, czy dzieciak jest przestraszony.

Najmłodsi mieszkańcy Vestmanny współpracowali bez oporów, widząc Katrine

Ellegaard. Wprawdzie w hierarchii młodzieńczych idoli wyższe miejsce zajmował stróż prawa płci męskiej, ale znana policjantka także lokowała się dość wysoko.

Po sprawdzeniu domów na Bakkavegur zniechęceni i znużeni zadawaniem wciąż tych samych pytań mieli serdecznie dosyć. Zatrzymali się na skrzyżowaniu i powiedli wzrokiem wzdłuż Niðari Vegur.

– Tu pójdzie trochę szybciej – oznajmił Hallbjørn.

– Dlaczego?

– Nie mieszka tu wiele dzieci. Wystarczy spojrzeć na domy, wszystkie są wiekowe, podobnie jak ich gospodarze.

– Nie przechodzą z pokolenia na pokolenie?

– Przejdą – odparł Olsen z uśmiechem. – Ale nasze społeczeństwo jest wybitnie starzejące się. Średnia długość życia to teraz osiemdziesiąt lat, a trend cały czas postępuje. Dzieci tych ludzi dawno wybudowały własne domy nieco wyżej.

– Na przykład na Fjalsvegur.

– Na przykład.

Rzeczywiście szło im szybciej. Podzielili się domami – Katrine wzięła numery parzyste, on nieparzyste. Jeśli pod danym adresem mieszkało jakieś dziecko, zatrzymywali się na dłużej, ale były to jedynie pojedyncze przypadki.

Jednym z nich był dom stojący kawałek za przystanią portową. Do drzwi zadzwoniła Ellegaard, zaraz potem obróciła się i wezwała Olsena. Hallbjørn przeprosił mieszkańca, z którym rozmawiał, i potruczał na drugą stronę ulicy.

Znał kobietę z widzenia, ale nie pamiętał, jak się nazywała. Była staruszką, trudno było się spodziewać, że mieszka u niej dziecko w odpowiednim wieku, ale najwyraźniej było inaczej.

– Wnuk zostaje u mnie na weekendy – oświadczyła gospodyni, kiedy Olsen podszedł i ukłonił się zdawkowo. – Jest bliżej ze mną niż z rodzicami.

– Słuszne podejście – odparł Hallbjørn. – Mnie też zawsze bardziej po drodze było z dziadkami.

Stara kobieta zmierzyła go wzrokiem. Nie był agresywny, ale z pewnością pełen dezaprobaty. Biorąc pod uwagę wszystkie reakcje, jakich doświadczył podczas chodzenia po domach, tę musiał uznać za jedną z najbardziej przyjaznych.

– Mogłaby pani zawołać wnuka? – wtrąciła Katrine. – Nie zajmiemy dużo czasu.

Wyduła usta, uwydatniając całą sieć zmarszczek mimicznych.

– Nie powinniście niepokoić dzieci – powiedziała. – Do czego wam one potrzebne?

– Chcemy tylko zadać kilka pytań.

– Jakich?

– Niezobowiązujących. Interesuje nas wczorajsza noc.

– Dzieci w nocy śpią.

– Przynajmniej większość – bąknął Hallbjørn.

Katrine odchrząknęła i uśmiechnęła się kurtuazyjnie. Zapewne najchętniej odprawiłaby Olsena, ale jeszcze przez moment był potrzebny, by pokazać się dzieciakowi. Przemknęło mu przez myśl, że jego rola sprowadza się do odgrywania straszydła. Było w tym coś symptomatycznego.

– Zapewniam, że to nie żadne przesłuchanie – odezwała się Ellegaard. – Nie będziemy zadawać żadnych niewygodnych pytań, które mogłyby powodować niepokój. Zbieramy tylko informacje.

Staruszka zastanawiała się jeszcze przez chwilę, skupiając wzrok na Hallbjørnie. Zdawał sobie sprawę, że to on jest głównym powodem, dla którego rodzice czy dziadkowie nie chcą wołać swoich pociech. Reakcja tej kobiety nie była odosobniona.

– To naprawdę istotne – dodała Katrine. – Gdyby było inaczej, nie zaprzatalibyśmy pani głowy.

– No dobrze... – zdecydowała w końcu staruszka. – Ale niech on się nie odzywa.

– Będzie milczał jak grób.

Hallbjørn pokiwał energicznie głową. Chciał mieć to za sobą i ruszyć dalej. Do końca Niðari Vegur był jeszcze kawałek, a on wiedział doskonale, że nie przerwą poszukiwań dopóty, dopóki nie zrealizują planu Katrine.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa dzisiejsze starania będą jednak daremne. W Vestmannie było jeszcze mnóstwo ulic, które należało sprawdzić. Gdyby dziś na coś trafili, byłby to wyjątkowy uśmiech losu.

Olsen przestał o tym myśleć, gdy zjawił się chłopak. Spojrzał na Katrine, a potem na niego. Nie zdradzał żadnych emocji.

– Pani policjantka chce ci zadać kilka pytań – odezwała się staruszka, kładąc mu rękę na plecach. – Dobrze?

– Dobrze, babciu.

Chłopiec był tak spokojny, że wydało się to Hallbjørnowi niecodzienne. Z drugiej strony wieść o dwójce ludzi wypytujących dzieci z pewnością zdążyła już rozejść się po Niðari Vegur. Krążyli od dobrych kilku godzin.

Ellegaard przykucnęła przed progiem.

– Znasz tego pana? – zapytała, wskazując Olsena.

Był to chyba dwudziesty raz, gdy odgrywali ten sam scenariusz.

– Tak, to Hallbjørn.

– Skąd go znasz?

– Z telewizji – odparł niepewnie chłopak, cofając się nieco.

Olsen czuł ukłucie wstydu i zażenowanie, ilekroć któryś z dzieciaków zachowywał się podobnie. Miał ochotę czym prędzej odwrócić się i dać spokój Bogu ducha winnemu dziecku, które po spotkaniu z nim będzie na jak najlepszej drodze, by tej nocy mieć koszmary. Farerskie media obeszły się z nim litościwie, ale duńskie wytoczyły najcięższe działa, być może zapominając o tym, że są bez trudności odbierane na Wyspach Owczych. Każde dziecko na archipelagu znało twarz Olsena i przypisywało ją do bestii, o której mówiono w telewizji.

Reakcja tego dziecka i tak była jedną z łagodniejszych, uznał Hallbjørn.

– Nigdzie indziej nie widziałeś tego pana? – spytała Katrine.

– Nie.

– A co robiłeś wczoraj w nocy?

Chłopak spojrzał na babkę, niepewny, co odpowiedzieć. Ta popatrzyła błagalnie na Ellegaard, jakby chciała powiedzieć, że to najgłupsze pytanie, jakie można zadać małemu chłopcu.

– Spałem – odparł w końcu.

– A zanim zasnęłeś?

– Oglądałem *Tempelriddernes skat*.

– A co to takiego?

Staruszka westchnęła.

– Najwyraźniej nie ma pani dzieci – oświadczyła. – Inaczej znałyby pani ten film lepiej niż własną kieszeń.

Hallbjørn dobrze wiedział, o czym mowa. Cała ta seria zdominowała duńskie kino rodzinne na niemal dziesięć lat. Nie wiedział jednak, że dalej emitują te filmy w telewizji.

Widocznie jest posucha w nowych produkcjach.

- O której zaczął się film?
- O dwudziestej trzydziści pięć.
- I pamiętasz, o której się skończył?

Olsen wycofał się o krok i przestał słuchać. Nie było sensu egzaminować chłopaka z filmu o tajemnicy templariuszy. Każdy chłopak w jego wieku znał fabułę na pamięć. Hallbjørn uznał, że lepiej spożytkuje czas, jeśli uda się do kolejnego domu. Robiło się już późno i coraz trudniej będzie zamienić kilka słów z dzieciakami. Część z pewnością już spała, więc trzeba będzie wrócić tutaj jutro.

Z chłopakiem wszystko było w porządku. Wprawdzie na początku był trochę skołowany i dziwnie spokojny, ale kiedy tylko zorientował się, kto przyszedł, w jego oczach pojawił się strach. Dom można było odfajkować.

Olsen zdążył załatwić kilka kolejnych, nim dołączyła do niego Ellegaard. W żadnym nie było dzieci.

- Moim zdaniem tamten u staruszki jest czysty – powiedziała.
- Mhm...
- Ale sama kobieta mnie niepokoi.
- Nic dziwnego.

Katrine uniosła brwi.

– Mam na myśli to, że ty jesteś młodą Dunką, a ona Farerką starej daty – wyjaśnił Hallbjørn. – Prawdopodobnie najchętniej utopiłaby cię w cieśninie.

- Dzięki. To krzepiąca myśl.

Olsen zdawał sobie sprawę, że w Vestmannie większość osób stanęłaby murem za Katrine. Mieszkańcy wstydzili się za Hallbjørna i współczuli kobiecie, którą udało mu się omamić. W ich oczach była zagubionym dzieckiem, nad którym trzeba roztoczyć opiekę. Najwyraźniej jednak nie dotyczyło to wszystkich.

Zapukali jeszcze do kilkorga drzwi, nim Katrine machnęła na to ręką.

– Starczy tego – mruknęła. – Nie po to schodziłam tyle kilometrów kopenhaskimi chodnikami, żeby teraz szlifować bruki na Wyspach Owczych.

- Byłaś krawężnikiem? – zdziwił się Olsen. – Myślałem, że urodziłaś się śledczym.
- Każdy *politibetjent* musi wychodzić swoje.

Hallbjørn spojrział na nią niepewnie.

– To najniższy stopień, Hal.

– Tak, wiem. Po prostu wyobraziłem sobie ciebie w tej czarnej czapce z daszkiem. Musiało ci być naprawdę do twarzy.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego skinęła na niego, po czym ruszyli z powrotem w kierunku centrum miasta. Nie zostało im wiele domów do sprawdzenia, ale o tej porze i tak nie miało to już sensu.

– Jeśli o mnie chodzi, czuję, że się w tym spełniam – oświadczył Olsen, kiedy znaleźli się na wysokości Fløttisgøta.

– Lepsze to niż siedzenie za kratkami, co?

Kiwnął głową.

– A poza tym czuję się jak prawdziwy śledczy – wyjaśnił. – Wykonuję żmudną, nikomu niepotrzebną, parszywą robotę.

– Tak, to mniej więcej oddaje charakter naszej pracy.

– Powinni to umieszczać w materiałach rekrutacyjnych. Choć nie wiem, czy to by kogokolwiek odstraszyło. Do policji idą tylko desperaci niemający żadnej alternatywy.

– Odezwał się żołnierz.

Wymienili się zdawkowymi uśmiechami. Kiedyś pociągnęliby ten temat – ona zapytałaby, dlaczego zamienił rybacki sweter na duński mundur, on chciałby się dowiedzieć, czym się kierowała, aplikując do policji. Teraz jednak oboje zdawali sobie sprawę z ograniczeń w ich relacjach. Nie było powodu, aby rozwijać coś, co było pozbawione przyszłości.

Szli powoli w kierunku Krákureiðrið i zanim Olsen się obejrzał, byli na miejscu. Zatrzymali się przed głównym wejściem.

– Frida się nie odzywała? – spytał Hallbjørn.

– Powiedziałałabym ci, gdyby tak było.

– No tak...

– Jutro spotykamy się punkt ósma.

– W niedzielę? To nieludzkie.

– I tak nie masz co robić, Hal – odparła, a potem uniosła rękę i się odwróciła.

Począł, aż drzwi do hotelu się za nią zamknęły, i skierował się na Fjalsvegur. Miała rację, nie mógł liczyć na żadne zajęcia. Dopóki był prąd, zostawały mu książki, ale musiałby jakieś wypożyczyć. Jediną biblioteką w Vestmannie była ta szkolna,

przeznaczona głównie dla uczniów. Mieszkańcy mogli z niej korzystać, ale tylko jeśli wcześniej się zapowiedzieli i jeśli dana lektura akurat nie miała być opracowywana w którejś z klas. Najbliższa publiczna placówka, gdzie mógłby bez trudu wypożyczyć cokolwiek, znajdowała się czterdzieści kilometrów dalej, w Havn, przy Niels Finsens gøta 7.

Szedł do domu, myśląc o tym, że kiedy wróci do więzienia, przynajmniej będzie mógł spokojnie poczytać. Miał jeszcze sporo pozycji do wypożyczenia, może zabierze się do Kjella Erikssona, a może wreszcie nadrobi zaległości z Åkego Edwardsona. Jedno jest pewne – będzie miał okazję. W przyszłym tygodniu zapadnie decyzja, a wyrok mógł być tylko jeden.

Hallbjørn zwolnił kroku tuż przed domem. Zobaczył, jak sąsiad uchyla furtkę i wypuszcza psa na ulicę. Kiedy zwierzę przykucnęło, Olsen odwrócił wzrok i udał, że tego nie widzi. Niechętnie otworzył drzwi i wszedł do domu. Gdyby miał trochę grosza przy duszy, wynająłby którąś z przyczep kempingowych i zadekował się niedaleko portu. O ile oczywiście właścicielka kempingu by mu na to pozwoliła – a było to wątpliwe. W najlepszym wypadku jej reakcja byłaby taka, jak jego wobec srającego psa. Odwróciłaby wzrok i udała, że go nie dostrzega.

Olsen stanął w korytarzu, wbijając wzrok w miejsce, gdzie powinien leżeć szkolny plecak Ann-Mari. Lądował tutaj w piątek po południu, a zniknął dopiero w niedzielę wieczorem.

Hallbjørn westchnął, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że nie uratuje już sytuacji. Dawne życie przepadło i nic, co by zrobił, nie mogło mu go wrócić. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że tym razem sąd będzie mniej surowy.

Olsen odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Wsiadł do swojego volva i pojechał do Jóhana Bærentsena. Przyjaciel był tak przerażony jego wizytą – i spodziewaną reakcją żony – że natychmiast zgodził się pożyczyć mu kilkadziesiąt koron. Tak zaopatrzony, Hallbjørn udał się na drugą stronę cieśniny, do Teitura Petersena. Kupił butelkę samogonu i wieczór od razu stał się przyjemniejszy.

Hallbjørn zasypiał na kanapie w salonie, półprzytomny i przekonany, że nic nie może go uratować.

Nie usłyszał ani otwierających się drzwi wejściowych, ani kroków w korytarzu.

Nie mógł wiedzieć, że otrzymał kolejną wiadomość. Ani że minie wiele czasu, zanim



ktokolwiek ją odnajdzie.

## 19

### 16 października, niedziela, godz. 12.40

– Dosyć tego, Ellegaard. – Niewyraźny głos Kjelda Moslunda nie pozostawiał Katrine złudzeń, że szef cedzi słowa przez niemal zaciśnięte usta. – Próbowałem po dobroci, ale dotarłaś do granicy mojej cierpliwości.

– Nie wiedziałam, że ma pan jakieś granice.

– Zamknij się.

– Tak jest.

– I gdybyś miała jeszcze wątpliwości, wydaję ci bezpośredni rozkaz.

– Rozumiem.

– Masz natychmiast wejść na stronę Atlantic Airways, zamówić bilet na jutrzejszy poranek, a w południe stawić się w moim biurze. I od razu powiem ci, co tam zastaniesz.

– Domyślam się, że...

– Druk, który podpiszesz. Druk, który stwierdza, że przechodzisz na urlop. Dodam, że zaległy.

Katrine zakłęta cicho i zaciągnęła się papierosem. Stała przed hotelem, nie chcąc, by Skovmand słyszała rozmowę. Frida wróciła do pokoju późną nocą i wykończona padła na łóżko. Nie było żadnych nowych wieści – ani w sprawie piszczele, ani pozostałych części szkieletu.

– Jestem w trakcie dochodzenia – powiedziała. – Nie może pan tak po prostu...

– Mogę.

– Teoretycznie tak, ale...

– Mogę nawet tak po prostu wywalić cię na zbity pysk, jeśli uznam, że sprzeniewierzyłaś się przysiędze.

– Słucham?

– No co? – burknął. – Myślisz, że nie znajdę żadnego powodu, by tak uznać?

– Nie.

Moslund milczał przez moment.

– W porządku, ja też nie – przyznał. – Co nie znaczy, że nie mogę sfabrykować

dowodów. Jesteśmy w tym bardzo dobrzy.

– Nie wątpię, szefie. Ale proszę dać mi jeszcze trochę czasu. Odkryliśmy nową poszlakę, potencjalną drugą ofiarę. Niebawem znajdę dzieciaka, który przekazał list Olsenowi. To wszystko powoli zaczyna układać się w...

– W obraz, który ostatecznie ułoży ktoś inny – przerwał jej Kjeld. – Tymczasem ty będziesz tutaj, na badaniach. A potem na leczeniu. I nie każ mi tego, kurwa, powtarzać.

– Nie każę. Chcę tylko, żeby pan zmienił zdanie.

Odpowiedział jej przerywany sygnał w słuchawce. Najwyraźniej czas na dyskusję się skończył. Ellegaard dopaliła papierosa, przydeptała niedopałek, a potem wrzuciła go do stojącego obok kubła.

Zastanawiała się, jakie ma możliwości. Mogła próbować przekonać Moslunda, że jej obecność tutaj jest kluczowa, gdyż każdy inny oficer będzie traktowany jak wróg publiczny numer jeden. Mogła po prostu zignorować rozmowę. Zanim Kjeld przyśle zastępstwo i uruchomi postępowanie dyscyplinarne, może uda się jej odkryć kilka kolejnych kart.

Ale na dłuższą metę nie miało to sensu. Wszak nie chodziło ani o śledztwo, ani o rozkazy. Przyszedł czas, żeby zmierzyć się z rzeczywistością.

Katrine wróciła do pokoju, otworzyła laptopa i weszła na stronę przewoźnika. Frida siedziała na łóżku, pochylona. Oddychała ciężko, jakby w nocy ostro popiła i wciąż próbowała wrócić do świata żywych.

Ellegaard spojrzała na nią kątem oka.

– Wracam do Kopenhagi – oznajmiła.

– Co? – burknęła Frida, pocierając skronie. – Ktoś umarł?

Pytanie zawisło w pokoju jak smród. Frida powoli podniosła wzrok, obawiając się, że trafiła w sedno.

– Jeszcze nie – odparła Katrine. – Ale jest na dość dobrej drodze.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne – ucięła Katrine, wchodząc w zakładkę rezerwacji lotu. – Moslund kazał mi stawić się z powrotem. Mają sprawę jakiejś topielicy w Christianii, którą mam się zająć.

– A kości?

– Przyślą kogoś na moje miejsce.

Frida z dezaprobatą pokręciła głową. Podniosła się i podeszła do szafki, na której stała butelka wody. Odkręciła ją, przepłukała usta, a potem połknęła.

- Co za bzdura – stwierdziła. – Jesteś w trakcie śledztwa.
- Które prowadzi donikąd.
- Niekoniecznie. Zobacz, ile udało nam się odkryć przez kilka dni.
- Widocznie to nie wystarcza ludziom na górze.

Skovmand przewróciła oczami.

- Pierdolić tych na górze. Jakoś damy sobie z tym radę.
- Nie sądzę.

Frida podeszła do niej i zerknęła na ekran komputera. Cmoknęła, widząc, że Katrine wprowadza już dane do rezerwacji.

- Tak szybko się poddajesz?
- Czasem trzeba.

Skovmand przysiadła na stoliku obok laptopa, a potem skrzyżowała ręce na piersi.

– Słuchaj... – zaczęła. – Wiem, że to mało chodliwa sprawa, że nie przysporzy ci splendoru w kraju i nie popchnie twojej kariery do przodu, ale...

– Decyzja zapadła – przerwała jej Ellegaard. – Dostałam bezpośredni rozkaz od Moslunda.

Frida czekała jeszcze, świdrując ją wzrokiem, ale Katrine nie odrywała spojrzenia od monitora. Skończyła wprowadzać dane, po czym sięgnęła po kartę kredytową. Nie było się nad czym zastanawiać – i Skovmand zapewne stwierdziłaby podobnie, gdyby tylko wiedziała, jaki jest prawdziwy powód powrotu.

- Jak chcesz. – Frida wstała. – Sama z Nolsøem rozwiążę tę sprawę.
- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Nie chciała nawet myśleć o tym, jak będzie się czuła, kiedy przeczyta w gazetach o rozwiązanej zagadce szkieletu z Vestmanny. Spodziewała się, że na ukłuciu zazdrości się nie skończy.

Policjant nie powinien przywiązywać się do prowadzonego dochodzenia, ale tajemnicą poliszynela było, że dobry śledczy to nie tyle pasjonat, ile obsesjonat. Jeśli sprawa naprawdę go pochłaniała, rosło prawdopodobieństwo, że zostanie rozwiązana.

Śledztwo w sprawie czaszki tak na nią działało. Może nie początkowo, ale od pewnego czasu trudno jej było skupić się na czymkolwiek innym. Nawet na chorobie czy całej tej sytuacji z Hallbjørnem. Uświadomiła to sobie dobitnie, gdy nurkowie wyławiali pierwsze kości z Viðvík. Czuła się, jakby... cóż, jakby życie miało sens. Było to dojmujące uczucie,

biorąc pod uwagę, że takie emocje powinny towarzyszyć raczej sprawom osobistym, a nie zawodowym, ale nie miała zamiaru się nad tym zastanawiać.

Zabukowała bilet, a potem przejrzała lokalne wiadomości. Wszystkie media zajmowały się sprawą szkieletu, ale jeszcze nikt nie dotarł do informacji, że piszczel należy do kogoś innego. Najwyraźniej jednostka w Tórshavn potrafiła dochować tajemnicy.

– Mam jeszcze jeden dzień – odezwała się do Fridy. – Wylatuję dopiero jutro.

– Gratuluję. W tym czasie możesz liczyć na prawdziwy przełom.

Katrine odsunęła krzesło i obróciła je do Fridy.

– Mnie też to nie urządza – mruknęła. – Ale nie mam wyjścia, Frida. Naprawdę.

– Okej, okej.

– Mimo to zamierzam zrobić, ile się da. Jeżeli mi w tym pomożesz.

– Muszę?

– Dopóki Kopenhaga nie przyśle kogoś na moje miejsce, tak. Wciąż jestem oficer dowodzącą.

– W takim razie daj mi chwilę na ogarnięcie się, a potem pojedziemy do Tórshavn. Kiedy wychodziłam, technicy jeszcze pracowali, więc może udało im się coś ustalić. Zresztą dziś od rana mieli kontynuować.

Katrine uniosła brwi, a Skovmand wzięła kosmetyczkę i skierowała się do drzwi.

– W niedzielę? – zdziwiła się Ellegaard.

– Są podnieceni. Nigdy nie mieli takiej sprawy.

– Mimo wszystko...

– To najbardziej fascynująca rzecz, jaka wydarzyła się na wyspach od zaginięcia Pouli Løkin, zrozum ich.

Katrine się uśmiechnęła. Rozumiała ich aż za dobrze. Wyciągnęła telefon, a potem wybrała numer prywatnej firmy przewozowej, która kursowała na trasie Vestmanna – Tórshavn. Trudno powiedzieć, czy można by ją zaliczyć do przedsiębiorstw taksówkowych, ale zadanie spełniała – szczególnie w niedzielę, kiedy trudno było liczyć na komunikację miejską.

Na to, aż Frida doprowadzi się do porządku, Katrine nie musiała długo czekać. Właściwie trwało to tyle, ile w przypadku przeciętnego, niespecjalnie przykładającego wagę do wyglądu, faceta. Skovmand wróciła do pokoju prawie bez makijażu, z włosami zaczesanymi do tyłu i świeżym oddechem. Tyle wystarczyło, by mogła przystąpić do dzieła.

Wyszły przed Krákureiðrið i rozejrzały się. Transportu jeszcze nie było, ale Katrine nie dziwiło to specjalnie. Tutaj nikt się nie spieszył, bo i nie było po temu żadnego powodu.

Do Tórshavn dotarły dopiero około piętnastej i szybko przekonały się, że Skovmand pochwaliła Farerów nieco na wyrost. Na komendzie zastały jedynie dwóch oficerów, a po technikach nie było już śladu.

– Masz numer do któregoś z nich? – zapytała Ellegaard.

– Tak, do ich przełożonego – odparła Frida, wyjmując telefon. – I myślę, że się ucieszy, jak przerwę mu niedzielny obiad.

– Też mi się tak wydaje.

Frida wybrała numer, a potem przez chwilę przekonywała mężczyznę, że sprawa jest nagląca. Farerski technik oponował, twierdząc, że i tak siedzieli dzisiaj do czternastej, zamiast odpoczywać. W końcu jednak uległ.

Spotkały się z nim w Kaffihúsið przy Undir Bryggjubakka. Była to niewielka portowa kafejka, która bynajmniej nie urzekła widokami. Usiadły przy oknie i jedyne, co mogły podziwiać, to krople deszczu spływające po szybie i szereg samochodów zaparkowanych na ulicy. Trudno było jednak narzekać, bowiem według najlepszej wiedzy Katrine była to jedna z dwóch kawiarni w mieście.

Zresztą mieli tam świetne naleśniki. Cappuccino kosztowało trzydzieści pięć koron, co było kolejnym plusem – w innych miejscach na kawę trzeba było wysupłać nieco więcej.

Erling Jøkladal dołączył do nich pół godziny po telefonie. Wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu, a potem zajął miejsce przy stoliku i zamówił sobie naleśniki. Najwyraźniej w tej kawiarni każdy zaczynał właśnie od tego.

– Dziękujemy za spotkanie mimo weekendu – odezwała się Katrine.

– Nie ma problemu. I tak całe wolne przepadło. Wczoraj skończyliśmy w nocy, dziś pracowaliśmy od rana.

Skovmand westchnęła.

– Najwyraźniej was przeceniłam – stwierdziła.

– W jakim sensie?

– Takim, że...

– Moja koleżanka ma zawyżone oczekiwania w stosunku do każdego – wyjaśniła prędko Ellegaard. – Wszyscy już się nauczyliśmy, że nie sposób jej zadowolić.

Frida rzuciła jej wrogie spojrzenie i wypila łyk kawy.

– Udało się coś znaleźć? – zapytała Katrine.

– To i owo – odparł Jøkladal, wypatrując swoich naleśników. – Robocza teza jest taka, że kość piszczelowa przeleżała w wodzie tak długo, jak reszta.

– To było raczej logiczne – wtrąciła Frida.

– Nigdy nie wiadomo.

Ellegaard czekała na więcej, ale Erling zamilkł. Przypuszczała, że udało się ustalić także kilka innych rzeczy, ale Farerowi niespieszno było się tym dzielić – w końcu musiał jakoś zaakcentować swoje niezadowolenie z powodu niedzielnego spotkania służbowego.

– Wiadomo coś więcej o ofierze? – spytała Katrine.

– Piszczel to za mało, żebyśmy mogli wyciągnąć wnioski. Przypuszczalnie wiek tej kości jest zbliżony do pozostałych.

Skovmand prychnęła, odstawiając kubek z kawą.

– Będziemy tak krążyć wokół jednego tematu? Czy przejdziesz do rzeczy?

– Do rzeczy to znaczy...

– Konkrety, Jøkladal, konkrety. Co macie?

– Skąd pewność, że cokolwiek mamy?

– Bo inaczej nie przyslibyście dziś rano do roboty.

Przez chwilę trwał w bezruchu, a potem zaczął się krzywić, jakby próbował językiem wyciągnąć spomiędzy zębów resztki jedzenia. Kelnerka podeszła do nich i postawiła na stole talerz z naleśnikami. Erling od razu zabrał się do jedzenia.

– Zapakowaliśmy wszystko – oznajmił, przerywając na moment przeżuwanie. – Jutro rano materiał zostanie wysłany do Kopenhagi na próbę radiowęglową i badania DNA, może uda im się tam wyciągnąć coś więcej.

– A wy co wyciągnęliście? – nie ustępowała Frida.

– Tylko tyle, że to nie żadna makabryczna zbrodnia.

– Ponieważ?

– Ponieważ gdyby tak było, na kości byłoby widać ślady cięcia – wyjaśnił z pełnymi ustami. – Mówię o sytuacji, gdyby ktoś odciął kawałek nogi innej ofierze i przyszył tej, którą się zajmujemy. Tak nie było.

– Więc skąd tam ta kość?

– Nie wiem.

Katrine poczuła, że musi zapalić. Zaraz jednak skarciła się w duchu. Jeśli miała zamiar

wrócić do Danii, poddać się badaniom i leczeniu, roztropnie było przestać łądować w siebie kolejne porcje nikotyny.

Odsunęła myśl o papierosie i skupiła wzrok na Jøkladalu.

– Założmy, że mają państwo rację – powiedziała.

– Założmy.

– W takim razie sytuacja wygląda tak: ciało naszej ofiary trafia na dno, osiada na nim i zaczyna powoli się rozkładać. Jeśli puszczel była pod wodą równie długo, to jak ją tam umieszczono?

Wzruszył ramionami i odkroił kawałek naleśnika.

– Jest pan przekonany, że nie odcięto tej nogi?

– Tak. Byłoby widać jakieś ślady.

– Może cięcie wykonano z wyjątkową precyzją?

– Nie, to niemożliwe.

– Fizycznie niemożliwe czy...

– Po prostu nie byłoby tu nigdzie warunków, by czegoś takiego dokonać. To musiałyby być wyjątkowo drobiazgowo, chirurgiczne cięcie z pomocą specjalistycznej aparatury. A jako że szkielet pochodzi z osiemdziesiątego trzeciego... – Jøkladal urwał i rozłożył ręce.

– Jaka w takim razie jest alternatywa?

– Kość została podłożona.

– Podłożona? – Katrine się skrzywiła.

– Słyszysz w ogóle, co mówisz? – wycodziła Frida.

Erling przyjrzał się daniu na swoim talerzu. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się z całej siły, dlaczego w ogóle zgodził się przyjść na to spotkanie.

– Ciało poszło na dno, rozłożyło się, a potem ktoś podmienił kość. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– To absurdalne – obruszyła się Frida.

– I to nie może być jedyna możliwa wersja – zgodziła się Katrine i popatrzyła na pozostałych. – Prawda?

Nikt jej nie odpowiedział, co uznała za dostatecznie wymowny sygnał. Jøkladal wyglądał na pewnego tego, co mówi, a Frida po początkowym oporze też zaczynała sprawiać wrażenie, jakby nic innego nie mogło tłumaczyć sytuacji.

Ale jak to możliwe? Oznaczało to, że ktoś zamordował te dwie osoby, a potem czekał

ileś lat, aż ich ciała się rozłoży, żeby podłożyć kość puszczelową. Dlaczego? W jakim celu ktokolwiek miałby zadawać sobie taki trud?

– To się nie trzyma kupy – odezwała się Katrine. – Rozumiem, że z kryminalistycznego punktu widzenia to jedyna opcja, ale nie ze śledczego.

– Myślcie, co chcecie – odparł Jøkladal, kończąc w pośpiechu posiłek. Odłożył sztucce, otrzepał ręce nad talerzem, a potem sięgnął do teczki. Wyjął z niej niewielki tekturowy folder i rzucił go na stół, po czym wstał. – Zdjęcia. A tymczasem żegnam was. Miłej niedzieli.

Frida nawet nie odprowadziła go wzrokiem. Ledwo folder znalazł się na blacie, otworzyła go i sięgnęła po fotografie. Katrine przesunęła krzesło na jej stronę stołu, również ignorując wychodzącego Erlinga.

– Nie ma za co – mruknął.

Ellegaard wpatrywała się w kilka zbliżeń i różnych ujęć. Wszystkie skupiały się na miejscu, w którym kość puszczelowa łączyła się z rzepką. Obok widać było także kość strzałkową. Jako laik Katrine rzeczywiście nie potrafiła dostrzec jakiegokolwiek uszkodzenia świadczącego o tym, że doszło do odcięcia podudzia.

– Frida?

– Hm...

– Widzisz coś?

– To samo, co ty – odparła Skovmand. – Zresztą oglądałam to cholerstwo na żywo. I Jøkladal ma rację, nie było żadnego cięcia. Ktoś zabrał tę kość, kiedy nic więcej z ofiary nie zostało.

– I co potem? Zanurkował i podłożył ją temu facetowi na dnie?

– Najwyraźniej.

– Dlaczego?

– Nie wiem. My tylko ustalamy fakty, wy je interpretujecie.

– To wygodne. Naprawdę powinnam zostać technikiem kryminalistyki.

Skovmand wzruszyła ramionami.

– Nic nowego. Każdy policjant w końcu dochodzi do takiego wniosku.

Mimo że obraz zabójstw stał się jeszcze bardziej mglisty, w dobrych nastrojach dopiły kawę, a potem przeszły się wzdłuż pirsu, docierając do Vågsbotnur. Tam skręciły w prawo i skierowały się do pubu. Nadszedł czas na pożegnalne piwo albo dwa.



Katrine nie mogła uwierzyć, że opuszcza wyspy w trakcie śledztwa. I to akurat wtedy, kiedy sprawy zaczęły komplikować się jeszcze bardziej. Wciąż próbowała wyobrazić sobie, w jaki sposób kość mogła trafić na dno zatoki.

Początkowo nic nie przychodziło jej do głowy.

Potem jednak zamówiła drugie piwo, które okazało się wytrychem do zamkniętej dotychczas części jej umysłu. Wypiła pół – i nagle doznała olśnienia. Sięgnęła po komórkę i nerwowo przesunęła palcem po wyświetlaczu.

– Co robisz? – spytała Frida.

– Dzwonię do Olsena.

– Wypiłaś dopiero dwa piwa i już...

– Nie chodzi o nic durnego – odparła Katrine, wybierając numer. Czekwała, bębniąc palcami w blat stołu. Hallbjørn nie odbierał.

– Pewnie zapił – stwierdziła Frida. – Jest niedziela po południu, odpowiednia pora dla niego.

– Dla niego każda jest odpowiednia.

– Właśnie o tym mówię – odparła Skovmand i pociągnęła duży łyk. Spojrzała na Ellegaard gorączkowo obracającą telefon w dłoni. – Oddzwoni, jak zobaczy, że ma nieodebrane połączenie.

– Nie sądzę. Kupił pre-paid po wyjściu z więzienia.

– I nie ma środków na koncie?

– Na pewno.

Frida gwizdnęła cicho.

– Niezłego faceta sobie wybrałaś – zauważyła. – Nie dość, że dopuścił się zabójstwa, mactwa i krzywoprzysięstwa, to jeszcze jest goły jak pasternak.

– Krzywoprzysięstwa?

– Nie sądzisz chyba, że to, co mówił w sądzie, było prawdą? – prychnęła Skovmand. – To o zanikach pamięci?

Katrine nie odpowiedziała. Od początku jako jedna z nielicznych – a może jedyna – wierzyła w wersję, którą przedstawił, i to na długo przed tym, jak postawili mu zarzuty. Mimo że później rozsądek podpowiadał jej, aby zmienić podejście, nie potrafiła tego zrobić. Ława przysięgłych nie miała wątpliwości co do tego, że był w pełni poczytalny. W przeciwnym wypadku musieliby złagodzić karę.

Ellegaard spróbowała zadzwonić jeszcze raz. Tym razem Olsen odebrał po kilku sygnałach.

– Hal, możliwe, że mam trop.

Nie odzywał się.

– Hal?

Spojrzała na wyświetlacz. Wszystko było w porządku, łącznie z zasięgiem. Przyłożyła komórkę do ucha i wyteżyła słuch. Usłyszała jedynie ciche szmery, jakby odebrał przez przypadek, a telefon miał w kieszeni.

Potem usłyszała krzyk.

## 20

### 16 października, niedziela, godz. 15.32

Olsen patrzył na zakrwawioną twarz mężczyzny i zastanawiał się, co też najlepszego zrobił. Kiedy spotkał tego faceta po raz pierwszy po powrocie z Danii, nie mógł sobie przypomnieć, jak on się nazywa. Teraz jednak pamięć go nie zawiodła. Facet mieszkający w domu Erny Olsen miał na imię Signar.

Hallbjørn nigdy by nie przypuszczał, że kuzynce uda się związać z kimkolwiek, ale najwyraźniej była na najlepszej drodze ku temu. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że Signar walczył jak lew, by nie wpuścić Olsena do domu.

Mimo to Hallbjørn utorował sobie drogę.

A teraz musiał słuchać, jak Erna drze się wniebogłosy. Signar leżał w przedpokoju, zupełnie zdezorientowany i prawdopodobnie z przetrąconą przegrodą nosową. Kilka pierwszych ciosów, które wymierzył mu Olsen, miało jedynie zmotywować przeciwnika, żeby się odsunął. Mężczyzna nie dawał jednak za wygraną i odpowiedział, wyprowadzając dwa czy trzy uderzenia, przed którymi Hallbjørnowi udało się uchylić. Kiedy były żołnierz przystąpił do kontrataku, Signar nie miał wielkich szans. Olsen sam był zaskoczony tym, ile pary nabrał w więzieniu.

– Ty skurwielu! – krzyknęła Erna. – Coś ty zrobił!

Dopadła do swojego partnera i z hukiem wyrznęła kolanami o podłogę, klękając obok niego. Podłożyła Signarowi pod nos rękaw, który natychmiast zabarwił się na czerwono.

Olsen musiał przyznać, że ten ostatni sierpowy był naprawdę dobry. Nie przypuszczał, że

kiedykolwiek będzie dysponował tak mocnym uderzeniem.

– Wynoś się stąd! – pisnęła Erna.

Hallbjørn ją zignorował. Teraz i tak było już za późno, żeby rozważyć odwrót. Co się stało, to się nie odstanie. Signar leżał znokautowany na podłodze, a Ann-Mari zamknęła się w swoim pokoju. W tej sytuacji Olsenowi pozostawało tylko jedno.

Podszedł do drzwi i mocno szarpnął. Otworzyły się bez trudu.

– Zostaw ją! – wrzasnęła jeszcze Erna, zanim wszedł do pokoju córki i zamknął za sobą drzwi.

Ann-Mari siedziała przy komputerze, tyłem do wejścia. Nie jest źle, pomyślał Hallbjørn. Mogła czekać z telefonem w ręce, gotowa dzwonić na policję. W najgorszym wypadku należało się spodziewać, że dziewczyna znajdzie świecznik czy inny ciężki przedmiot, którego użyje, by się bronić.

Olsen oparł się o drzwi i skrzyżował ręce na piersi. Czekał, aż córka się odwróci.

Ann-Mari w końcu westchnęła, złapała za brzeg biurka i zakręciła się na krześle. Kiedy zatrzymało się przodem do niego, założyła ręce na piersi tak jak on.

– Jesteś z siebie dumny?

Miał wrażenie, jakby słyszał ton Karli. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Widzę, że tak. – Pokiwała głową. – I sądzisz, że jeszcze długo będziesz się tak cieszyć?

– Nie, z pewnością niedługo.

– Żebyś wiedział – mruknęła. – Bo sąd z całą pewnością weźmie takie rzeczy pod uwagę.

– I tak niczego to nie zmieni. – Wsadził ręce do kieszeni. – Może oprócz tego, że Signar będzie musiał się przejechać do szpitala w Tórshavn.

– Mocno go obięłeś?

Hallbjørn pokręcił głową.

– Czasem mam wrażenie, że masz poważne braki z dzieciństwa, Hal – powiedziała Ann-Mari mentorskim tonem. – I że zamieniamy się miejscami.

– Chętnie bym się zamienił, choćby na chwilę.

– Nie wątpię.

– Ale głównie po to, żeby się przekonać, co ci strzeliło do głowy.

– Mnie?

– A kto się odwrócił od swojego ojca? I to bez żadnej przyczyny?

Otworzyła usta, ale się nie odezwała. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Mam na myśli to, że nie pojawił się żaden nowy powód – dodał i odchrząknął. – Wcześniej broniłaś mnie jak lwica, ale ledwo zamknęły się za mną drzwi celi, zmieniłaś podejście o sto osiemdziesiąt stopni.

Wiedział, że powinien od początku w ten sposób podejść do sprawy. Jego córka nie była jednym z tych dzieciaków, do których można było przemówić tradycyjnymi sposobami. Ann-Mari należało traktować jak dorosłą i sięgać po logiczne argumenty.

– Skąd ta zmiana, Ann-Mari? – zapytał.

Zastanawiała się przez moment, naprawdę się zastanawiała. Nie sprawiała wrażenia, jakby szukała wymówki czy gotowych odpowiedzi – klisz, których mogłaby użyć. Nie, poszukiwała realnej przyczyny. I widział w oczach córki, że jej się to nie udało.

– Nie wiem, Hal.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Z korytarza zaczęły dobiegać kolejne krzyki, Erna musiała opatrzeć nos swojemu partnerowi i zapewne za moment zajmie się swoim drugim problemem.

– W porządku – powiedział Hallbjørn. – Dobrze i to.

– Przynajmniej jestem szczerą.

– Doceniam.

– Po prostu... – zaczęła i rozłożyła ręce, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. – Po prostu coś się zmienia, kiedy twój ojciec idzie siedzieć. Rozumiesz?

– Całkowicie.

– Nieważne, czy wcześniej byłam gotowa kłamać policji i prokuratorom. Kiedy wyprowadzali cię z sądu, zakutego w kajdanki, zwyczajnie... Sama nie wiem. Przepraszam, Hal. Wiem, że to beznadziejne.

– Wcale nie – odparł i od razu pomyślał, jak źle to zabrzmiało.

Ann-Mari uśmiechnęła się blado.

– Wiem, że to był wypadek. I że gdybyś mógł cofnąć czas, zrobiłbyś wszystko inaczej.

– Przede wszystkim nie wstawiłbym się tak – powiedział, odpychając myśl o tym, że ostatnią noc spędził z butelką samogonu Teitura Petersena. Najwyraźniej niektóre rzeczy się nie zmieniają.

– A ja nie zostałabym tam na noc. I nie robiłabym tego wszystkiego, na czym mnie

przyłapałeś.

W to akurat nie wątpił. Nawet jeśli teraz był jednym z ostatnich ludzi, których chciała widzieć, pragnęła mieć ojca z powrotem. Ojca, nie potwora. Hallbjørn po raz kolejny uświadomił sobie, jak daleko od zdroworozsądkowych torów odeszło jego życie.

Erna załomotała w drzwi.

– Zostaw ją, zwyrodnialcu! – ryknęła.

Ann-Mari spojrzała znacząco w stronę okna.

– Proponuję, żebyś się stąd zabierał, Hal. I to nie głównym wyjściem.

– Słusznie – przyznał. – Problem polega na tym, że jak tylko odejdę od drzwi, ta baba tutaj wpadnie.

Córka podniosła się z krzesła i podeszła do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie go odsunęła. Potem oznajmiła ciotce, że nie ma się czym martwić.

– Porozmawiamy tylko chwilę – powiedziała, uchylając drzwi.

– Absolutnie nie!

– To mój ojciec, ciociu.

– Stracił to prawo, kiedy odebrał życie twojej przyjaciółce!

– Tylko chwilę – powtórzyła stanowczo Ann-Mari, a potem zaczęła powoli zamykać drzwi. Erna Olsen protestowała jeszcze przez moment, ale ostatecznie odpuściła.

– Zadzwońłam na policję! – dodała jeszcze, gdy drzwi się zamknęły.

Ann-Mari odwróciła się i spojrzała na Hallbjørna pustym wzrokiem. Wcześniej nie mógł zdecydować, co w całej tej sytuacji jest dla niego najbardziej bolesne. Teraz wiedział już doskonale. Obojętność córki, jej opanowanie, a ostatecznie chłód.

– Pora na ciebie.

Spojrzał jej w oczy. Trwali tak przez moment, jakby żadne nie miało zamiaru przerywać chwili milczenia. W końcu Olsen spuścił wzrok, obrócił się i otworzył okno.

– Niedługo rozprawa, Ann-Mari.

– Wiem. Będę na sali.

– Potem prawdopodobnie już się nie zobaczymy.

Zabrzmiało to, jakby orzeczenie sądu miało być wyrokiem śmierci, ale wiedział, że ma rację. Wcześniej córka przez dziewięć miesięcy nie odwiedziła go w więzieniu – i nie miał złudzeń, że tym razem będzie inaczej.

– Wychodzi więc na to, że to nasza ostatnia rozmowa – dorzucił.

– Wiem, Hal. Ale nic na to nie poradzę. Musisz pozwolić mi uporać się z tym tak, jak... jak potrafię najlepiej.

Naraz uświadomił sobie, że jej niechęć i chłód to reakcja obronna. W jakiś sposób podniosło go to na duchu. Jeśli Ann-Mari znalazła metodę, by jakoś wszystko poukładać sobie w głowie, było to najważniejsze. Nic innego się nie liczyło.

Skinął głową, a potem podciągnął się na parapecie i wyskoczył na zewnątrz. Nie odwracając się, ruszył po Heygaganesgøta. Czuł, że nogi ma jak z waty. Dziwny efekt, biorąc pod uwagę, że w życiu przeszedł już niejedno. Nawet w Jugosławii nie czuł się tak roztrzęsiony, jak teraz.

W pierwszej chwili chciał skierować się na drugą stronę cieśniny, żeby uzupełnić zapasy u Teitura Petersena. Miał jeszcze trochę koron, w sam raz na jedną z mniejszych butelek.

Stał na skrzyżowaniu z Niðari Vegur i się rozejrzył. Nie, jeśli jego zapewnienia składane córce miały cokolwiek znaczyć, musi się opanować. Zwiesił głowę i przez moment trwał w bezruchu, z lekkim uśmiechem zastygłym na twarzy. Nie musiał toczyć wewnętrznej walki, wiedział, że zaraz pójdzie prosto do domu.

Pewność ta uleciała jednak już po kilkunastu sekundach, kiedy usłyszał policyjną syrenę. Uznał, że tę noc spędzi raczej w Tórshavn niż na Fjalsvegur. Włożył ręce do kieszeni i przestąpił z nogi na nogę, czekając na samochód. Nie było sensu uciekać, nie miał nawet gdzie się zaszyć, a cała społeczność Vestmanny była przeciwko niemu. Zaraz ktoś wskazałby go policjantom.

Po chwili nadjechał ford mondeo. Hallbjørn łudził się, że za kierownicą zobaczy Katrine, ale siedział tam Sigvald Nolsøe. Zatrzymał się z piskiem opon na skrzyżowaniu, po czym wyskoczył z samochodu.

– Ręce do góry, Olsen! – krzyknął, odpinając kaburę z bronią.

Hallbjørn wykonał polecenie. Policjant dopadł do niego od tyłu i popchnął go na maskę. Wykręciwszy mu ręce za plecami, skuł kajdankami przeguby. Olsenowi przemknęło przez myśl, że chłód metalu na nadgarstkach jest już dla niego stanowczo zbyt znajomy.

– Nie ruszaj się, skurwysynu.

Nie ruszał się. Nie miał też zamiaru się odzywać.

– Napadasz ludzi w ich własnych domach, co? – syknął Nolsøe. – Wciąż ci, kurwa, mało...

Szarpnął go za ubranie, obrócił jak szmacianą lalkę, a potem wepchnął na tylne

siedzenie mondeo. Zatrzasnął z impetem drzwi i wrócił za kierownicę.

– Doczekasz procesu w areszcie. Tam, gdzie twoje miejsce.

Hallbjørn milczał. Uznał w duchu, że Sigvald w istocie może mieć rację.

## 16 października, niedziela, godz. 17.08

Każdy krok pod górę zboczem Loysingarfjall stanowił dla Katrine przypomnienie tego, co działo się tutaj w grudniu tamtego roku. Wtedy przebywała tę trasę pospiesznie, chcąc jak najprędzej dostać się do sztucznego zbiornika. Na jednej z akwakultur Lómundaroyrn czekało na nią ciało, które musiała obejrzeć.

Teraz szły tam ze Skovmand w innym celu. Przy zbiorniku mieszkał Holgar Isaksen, jeden ze starszych mieszkańców Vestmanny, który zazwyczaj miał oko na wszystko, co działo się w mieście. W dodatku często przychodzili do niego najwytrwalsi pijacy z portu – ci, dla których Bryggjan miał zbyt skromne zapasy.

Ellegaard wiedziała, że to do niego musi się udać. Po tym, jak doznała olśnienia za sprawą mieszanki chmielu i alkoholu, nie miała innego wyjścia. Powinna powoli się pakować, ale z drugiej strony miała jeszcze trochę czasu. Na lotnisku musiała być dopiero o siódmej rano, może nawet nieco później, bo tutaj procedura *check-in* zapewne nie jest tak rygorystyczna, jak w wielkich europejskich metropoliach.

Przeszły przez kładkę nad rurami, którymi hektolitry wody spływały do elektrowni na dole. Frida rozejrzała się i odchrząknęła.

– Długo będziesz tak milczeć?

– Po prostu się zastanawiam..

– Nad Olsenem?

– A musisz pytać? – odparła Katrine i westchnęła.

Jadąc do Vestmanny, bez trudu rozpoznały policyjne mondeo Nolsøego. Nietrudno było je wypatrzeć, bo oprócz niego minęli może dwa czy trzy samochody na całej trasie. Ellegaard wydało się, że na tylnym siedzeniu widzi Hallbjørna, ale pewność zyskała dopiero, gdy zadzwoniła do Sigvalda.

– To się musiało stać prędzej czy później – orzekła Skovmand. – Zabierz ojcu dziecko, a masz tragedię jak w banku.

– Może i tak.

– Zresztą ostatecznie nie ma to wielkiego znaczenia. Posiedzi trochę w Tórshavn, przyzwyczai się na nowo do krat, wyjdzie mu to na dobre.



Katrine nie miała ochoty o tym myśleć, a co dopiero rozmawiać. Kiwnęła głową i nieco przyspieszyła. Miała nadzieję, że kiedy zajmie się sprawą, jej myśli nie będą ciągle krążyć wokół Hallbjørna.

W końcu Frida i Katrine, nieco zasapane, dotarły do Lómundaroyrn. W przybudówce do kompleksu hodowlanego paliło się światło, a gdy podeszły bliżej, usłyszały podniesione głosy. Właściwie powinny się tego spodziewać.

Katrine zapukała do drzwi, ale nie zdziwiła się, gdy głośna wymiana zdań nie ucichła. Holgar i jego towarzysze musieli być już odpowiednio zaprawieni.

– Przywal mocniej – poradziła Frida.

Ellegaard zaczęła łomotać do drzwi i nie przestawała, dopóki nie usłyszała zbliżających się kroków. Drzwi się otworzyły, a w progu stanął stary mężczyzna z białą, gęstą brodą. Zachwiał się nieco, przyglądając się dwójce nieproszonych gości.

– Znowu jakiś trup? – zapytał Holgar Isaksen.

Wymieniły spojrzenia. Kiedy Ellegaard była tu ostatnim razem, Holgar nie był taki hardy. Przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby miał zemdleć na widok rozkładającego się ciała. A gdy zaczęła dyktować swoje spostrzeżenia do komórki, czekał już tylko, by odpłynąć od akwakultury.

– Nie – odezwała się Katrine. – Starczy wam ich na kilka następnych lat.

– Co prawda, to prawda.

Skovmand zrobiła krok w prawo i zajrzała do środka ponad ramieniem gospodarza.

– Impreza?

– Gdzieżby. Normalnie, spotkanie kilku starych kumpli. Trzeba korzystać z życia.

– Bez wątpienia – odparła Katrine i uśmiechnęła się uprzejmie.

Szczęście jej dopisało. Liczyła na to, że Isaksen okaże się chętny do współpracy – był w odpowiednim stanie. Wstawił się, ale nie na tyle, żeby bełkotać. Lekko zamroczony, mniej czujny, ale też bardziej przyjacielski i zrelaksowany. Należało z tego skorzystać.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy – powiedziała.

– Ta? W sprawie tych kości?

Ellegaard skinęła głową i podeszła bliżej. Poczwała smród potu i przemknęła jej przez głowę, że gruby wełniany sweter Holgara ostatnim razem był prany dobry miesiąc temu.

– A co ja mogę? – spytał brodac. – Nie znam się na tym. Gdyby chodziło o ryby, stopień przełowienia gładzic czy plamiaków w zatoce, sposoby konserwacji sadzów, mógłbym coś

powiedzieć, ale tak...

– Nie chodzi konkretnie o szkielet.

– A o co?

– Możemy porozmawiać w środku? – zaproponowała Katrine.

Isaksen obejrzał się przez ramię i skrzywił. Wyraźnie zastanawiał się, jak kulturalnie odmówić, ale nie mógł nic wymyślić.

Skovmand westchnęła, rozkładając ręce.

– Nie interesuje nas nielegalny alkohol – oznajmiła.

– Na pewno?

– Tak – potwierdziła Katrine.

– W takim razie chodźcie. I nie mówcie do mnie per pan... Nawet bez tego czuję się zbyt staro.

Wprowadził je do dość przestronnego, ale dusznego pomieszczenia. Przy metalowym stole pod ścianą siedziało pięciu mężczyzn. Wszyscy mieli zaczerwienione policzki, przekrwione oczy i szerokie uśmiechy na twarzach. Zwłaszcza gdy zobaczyli dwie kobiety. Rozległo się kilka gwizdów.

– Spokój – rzucił Holgar. – To policjantki.

Rybakcy natychmiast spowaźnieli. Kilku odchrząknęło, pozostali spuścili wzrok, jakby dzięki temu mogli stać się niewidzialni. Ten siedzący najbliżej odsunął od siebie butelkę bez etykiety stojącą na stole.

– Nie będą nas gonić za gorzałę – zapewnił Isaksen. – Chcą pogadać o trupach.

Dwóch rybaków zaśmiało się i rzuciło kilka uwag po farersku. Po chwili mężczyźni zrobili gościom miejsce przy stole. Katrine i Frida usiadły, natychmiast pojawiły się przed nimi dwa plastikowe kubki.

– Polewać? – spytał Holgar.

– Tylko na rozgrzanie – odparła Ellegaard.

Pierwszy łyk był bolesnym doświadczeniem. Przypomniało jej się, jak wraz z koleżankami dobrały się kiedyś do barku jej rodziców. Były wtedy nastolatkami. Miały ochotę na szampana lub martini, ale otwarta była tylko butelka whisky. Spróbowały, a potem gorzko tego żałowały. Teraz Ellegaard czuła się podobnie.

Powiodła wzrokiem po zapijaczonych twarzach rybaków. Nie знаła żadnego z nich, bo przy poprzednim śledztwie nie skupiała się specjalnie na właścicielach kutrów. Może z

wyjątkiem jednego.

– Usta zwilżone, więc można przejść do rzeczy – oświadczył Holgar. – W czym mogę pomóc?

– Właściwie wszyscy panowie mogą.

– Ej, ej! – zaprotestował jeden z nich. – Panowie to siedzą w Løgtingu, my jesteśmy normalnymi... – Urwał, gdy mu się odbiło. – Równymi, kurwa, chłopami.

– Nie wątpię – odparła Katrine. – W dodatku znacie się na tym, co mnie najbardziej interesuje.

– Czyli? – zapytał inny.

– Na nurkowaniu.

– Eee...

Wyglądali na zdezorientowanych. Katrine splótła dłonie na stole i pochyliła się. Powiodła po zebranych konspiracyjnym wzrokiem.

– Mamy powody przypuszczać, że ktoś zanurkował w Viðvík i podłożył tam poszlakę, która jest dla nas znacząca.

Wydawało jej się, że była odpowiednio enigmatyczna. Nie zdradziła zbyt wiele, ale zainteresowała rozmówców.

– Jaką poszlakę?

– O co chodzi?

– Po co ktokolwiek miałby coś podkładać?

Kilka kolejnych pytań utwierdziło ją w przekonaniu, że wstępny cel został osiągnięty. Rozbudziła wyobraźnię pijanych Farerów i przyciągnęła ich zainteresowanie.

– Nie mogę zdradzić szczegółów, przynajmniej nie teraz.

– Ale...

– Muszę jednak ustalić, kto mógłby coś takiego zrobić.

Holgar Isaksen wydał usta i podniósł wzrok.

– Każdy – orzekł. – Każdy, kto ma sprzęt do nurkowania.

Katrine pokiwała głową. Dotarła do sedna.

Innego wyjścia nie było – jeśli kończyzna nie została odcięta, kość znalazła się tam już po fazie rozkładu. Ktoś umieścił ją na dnie z premedytacją, zapewne chcąc nakierować śledczych na określony tor. To założenie było zbieżne z tym, co działo się w Vestmannie. Listy kierowane do Hallbjørna dopełniały obrazu.

Ellegaard nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu. Ale nie do niej należało odnalezienie odpowiedzi na to pytanie. Tym zajmie się śledczy, który przyleci tutaj, by ją zastąpić. Jej zadaniem było teraz tylko to, by zostawić mu jak najwięcej konkretów.

– Kto dysponuje takim sprzętem? – zapytała Katrine.

– W tej chwili? Niewiele osób – wzruszył ramionami Holgar.

– A kiedyś?

– Trochę więcej, bo przyplływały tu buce z południa – mruknął i dolał kobietom. – Buce z ikrą, można by powiedzieć.

– To znaczy?

Holgar westchnął głęboko, jakby musiał przypomnieć sobie czasy tak odległe, że niemal nieosiągalne dla pamięci.

– Kiedyś turyści byli inni – zaczął. – Nie zadowalało ich samo pływanie do Vestmannabjörgini i oglądanie ptaków. Chcieli ponurkować w grotach na północ od Vestmanny, to była jedna z największych atrakcji.

– Nadal jest – uzupełnił jeden z rybaków.

– Tak, ale teraz chcą tylko oglądać klify – sprostował Isaksen. – A w grotach do szczęścia wystarczy im, że przewodnik coś krzyknie i pokaże, jaka tam jest akustyka. Niegdysiejsze buce były zupełnie inne. Chciały czegoś więcej.

– Więc więcej osób miało sprzęt.

– Ano – potwierdził Holgar. – Więc odpowiedź na twoje pytanie zależy od tego, jaki okres bierzemy pod uwagę. Bo kości chyba nie wpadły tam kilka dni temu, nie?

– Nie – przyznała Katrine i spojrzała znacząco na Skovmand.

Frida odebrała sygnał, by przejąć inicjatywę. Przez moment dokonywała obliczeń w głowie. Z tego, co pamiętała Ellegaard, zeszkieletowanie przy warunkach panujących w wodach Viðvík zajęłoby co najmniej pięć lat.

– Musimy brać pod uwagę okres od osiemdziesiątego ósmego w górę – powiedziała Frida.

Isaksen gwizdnął.

– No to mamy problem. Harde buce przestały nas masowo odwiedzać na początku lat dziewięćdziesiątych. Ludzie zaczęli pozbywać się sprzętu, sprzedając go głównie Norwegom lub Duńczykom. Pośredniczył stary Bærentsen, bo to on miał najwięcej

kontaktów handlowych.

To przedstawiało pewien problem, choć Ellegaard przypuszczała, że kość została podłożona znacznie później. Wersja, którą Katrine przyjęła, zakładała, że jedna osoba mniej więcej w tym samym czasie popełniła oba morderstwa. Ciało mężczyzny pozbyła się w Viðvík, zaś kobiety gdzie indziej. Przez lata wszystko było w jak najlepszym porządku, ale potem pojawiły się albo wyrzuty sumienia, albo czynniki, których zabójca nie przewidział.

Tak czy inaczej, coś zmusiło go, by zaczął żałować swojego czynu. Chciał doprowadzić śledczych do prawdy, więc podmienił kość, wiedząc, że szkielet prędzej czy później zostanie znaleziony. I dodatkowo wysyłał listy do Hallbjørna.

Katrine przypuszczała, że Olsen dostanie jeszcze jakąś wiadomość, zanim będzie musiała wracać do Kopenhagi, ale najwyraźniej się pomyliła. Szkoda. Wszystko wskazywało na to, że w każdym kolejnym liście znajdowało się nieco więcej informacji.

Nie wiedziała, na ile jej hipoteza jest słuszna, ale inaczej nie potrafiła poskładać wszystkiego w logiczną całość.

Mogło się okazać, że zupełnie rozminęła się z prawdą, a piszczel znalazła się w wodzie w osiemdziesiątym ósmym, dziewiątym lub kolejnych latach. Ale jaką motywację miałyby zabójca w takim wypadku?

– Będziemy potrzebować listy – odezwała się Frida. – Wszystkich, którzy mają na kutrach odpowiedni sprzęt.

– Ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy pływali w Viðvík – dodała Ellegaard.

– Lub pływają.

Rybacy na moment zamilkli, a potem zaczęli cicho rozmawiać między sobą po farersku. Stopniowo zwracali coraz mniejszą uwagę na dwie Dunki, aż w końcu w ogóle zapomnieli o ich obecności.

Katrine napiła się samogonu. Przy trzecim łyku smakował nieco lepiej niż przy poprzednich, ale różnica nie była wielka. Skovmand za to piła tak, jakby podano jej wodę.

– Jak sądzisz? – szepnęła Frida, opróżniwszy kubek. – Wymyślą coś?

– Coś na pewno.

– Może nawet coś konkretnego.

– Może – przyznała Katrine. – Jeśli tylko ustalimy, kto najczęściej zawijał do Viðvík, być może uda nam się znaleźć człowieka, który umieścił tam ciało.

– Uważasz, że takie to proste?

– Prawdziwe zbrodnie mają to do siebie, że nie są skomplikowane.

Skovmand zapatrzyła się gdzieś w dal, a po chwili pokiwała głową. Kobiety czekały, aż rybacy dojdą do porozumienia, ale ci zaczęli się przekrzykiwać, coraz bardziej poddając się emocjom. W końcu Holgar uderzył pięścią w stół, ryknął coś i zaprowadził porządek. Z biurka po drugiej stronie pomieszczenia wyjął stary notatnik z pożółkłymi kartkami i zaczął spisywać nazwiska podejrzanych.

Katrine zrozumiała, że emocje wynikają z tego, iż część obecnych również pływała do Viðvík. Zatoka była wprawdzie oddalona od Vestmanny, ale stanowiła dobre miejsce na połów skorupiaków. W najbliższej okolicy nie było portu ani miasteczka, z pewnością warunki były dogodne, a zasoby nie tak ogołocone, jak tutaj.

Wreszcie Holgar odłożył długopis i podał Ellegaard kartkę. Katrine spojrzała na niewyraźnie zapisane imiona i nazwiska. Do rozszyfrowania niektórych z pewnością będzie potrzebowała pomocy. A raczej będzie potrzebował ten, kto ją zastąpi.

– Dziękuję – powiedziała. – Sprawdzimy każdego z tych ludzi.

I przy okazji zweryfikujemy, czy nie pominęliśmy któregoś z was, dodała w duchu.

– Zwróćcie szczególną uwagę na kilku pierwszych – podsunął Holgar. – To rybacy z Viðareiði, oni najczęściej tam płyną. Kilku znamy, ale większości nie. Musicie tam pojechać i rozpytać.

Ellegaard nie przypuszczała, by miała okazję to zrobić. Trudno, zostawi to swojemu następcy, podobnie jak przepytывanie reszty dzieciaków w Vestmannie.

Katrine i Frida dopiły alkohol, a potem podziękowały i oznajmiły, że na nie już pora. Mężczyźni zaprotestowali, twierdząc, że skoro sprawy urzędowe zostały załatwione, powinni to odpowiednio uczcić.

– Będzie jeszcze okazja – rzuciła Ellegaard, zanim wyszły z budynku.

Chwiejnym krokiem skierowały się z boczem w dół. W oddali widać było światła Vestmanny i Vákur – pojedyncze punkciki rozrzucone w dolinie. W okolicy brakowało jakiegokolwiek źródła światła, a księżyc był przesłonięty chmurami. Katrine i Frida oświetlały sobie drogę komórkami – i w duchu dziękowały temu, kto wymyślił prostą aplikację przekształcającą telefon w latarkę.

Zeszły na Leitisvegur, nie odzywając się ani słowem, a potem skręciły w prawo, ku centrum. Dopiero po przejściu niewielkiego mostu nad Fossą Frida się odezwała:

- Zbliżamy się do konkretów.
- Najwyższa pora – odparła Katrine.
- To nie jest dobry moment, żeby oddawać komuś dochodzenie.
- Już ci mówiłam, że gdyby to zależało ode mnie...
- Zależy – ucięła Frida. – Obie o tym wiemy. Moslund je ci z ręki.

Ellegaard się roześmiała. Gdyby Kjeld to usłyszał, z pewnością ryknąłby na cały regulator. Owszem, darzył ją sympatią, być może też swego rodzaju szacunkiem, ale jeden z najlepszych kopenhaskich śledczych nie jadłby z ręki nikomu, nawet gdyby przyłożyć mu pistolet do skroni.

- Nie opowiadaj głupot – zachnęła się Katrine.
- Mówię tylko, jak jest.
- Tak? W takim razie nie powinnaś mieć nic przeciwko, żebym umieściła to w raporcie.
- Nie mam. Zresztą wszyscy w jednostce o tym wiedzą.
- O czym?
- Że traktuje cię jak... Bo ja wiem? Jak córkę, chyba o to chodzi.

W pewnym stopniu była to prawda, ale Katrine nie miała zamiaru nawet tego rozważać, a co dopiero rozmawiać o tym ze Skovmand. Zbyła temat milczeniem, mając nadzieję, że nie będą wracać ani do tego, ani do samego jej wyjazdu.

Na szczęście Frida odpuściła. Po powrocie do pokoju oznajmiła, że się odmeldowuje, a potem położyła się do łóżka. Nie umyła twarzy, nawet nie przepłukała ust. Wszyscy ci, którzy twierdzili, że ma nierówno pod kopułą, mogli mieć rację.

Katrine zasnęła dość szybko. Dwa piwa wypite w Tórshavn stanowiły idealny fundament dla samogonu rybaków. Całość podziała wręcz idealnie – Hallbjørn nie przemknął jej nawet przez myśl.

Zbudziła się przed świtem, szybko spakowała swoje rzeczy, a potem zamówiła taksówkę na lotnisko. Postanowiła z nikim się nie żegnać, zresztą nie było wykluczone, że za jakiś czas tutaj wróci. Wymieniła tylko uścisk dłoni z zaspaną Fridą, a potem wsiadła do auta.

Dopiero wtedy znów zaczęła myśleć o Olsenie. Właściwie zignorowała fakt, że trafił do aresztu. Dlaczego? Była to reakcja obronna? Może, ale miała wyrzuty sumienia. Powinna choć spróbować przemówić do rozsądku Nolsøemu.

W hali odlotów wyjęła komórkę, by ją wyłączyć. Zastanawiała się przez moment, czy nie zadzwonić do Sigvalda. Mogłaby go przekonać, że nie ma żadnego powodu, by trzymać

Hallbjørna w areszcie.

Nie zrobiła jednak tego. Ruszyła w stronę swojej bramki, po drodze mijając kobietę, którą dobrze pamiętała.

Anette Westerholm, adwokat ze znanej kancelarii Fabritius Tengnagel & Heine. Ellegaard oglądała jej wyczyny na sali sądowej i słuchała wywiadów, których prawniczka udzielała gdzie popadło. Przy każdej okazji uparcie podkreślała, że jej klienta skazano na podstawie poszlak, a nie twardego materiału dowodowego.

Nie rozpoznała Katrine. Minęła ją szybkim krokiem, ciągnąc za sobą porządną walizkę podrózną. Ellegaard odprowadziła prawniczkę wzrokiem, zobaczyła jeszcze, jak tamta wsiada do tej samej taksówki, którą ona przyjechała na lotnisko.

Zmieniły się jak piłkarki podczas meczu. I to Westerholm wchodziła do gry w kluczowym momencie. Zaczynało się prawdziwe dochodzenie, a Hallbjørn miał w tym tygodniu być sądzony. Tymczasem Katrine wracała do domu, by zmierzyć się z najgroźniejszym przeciwnikiem, jakiego do tej pory spotkała.

## 22

### 19 października, środa, godz. 9.15

Formalnie Olsena zatrzymano za zakłócanie porządku publicznego – w ocenie stołecznej policji właśnie to robił, kiedy Sigvald Nolsøe dokonał aresztowania. Zarzut z pewnością byłby inny, gdyby Erna lub Signar zdecydowali się wnieść oskarżenie. Nie zrobili tego jednak, za co Hallbjørn zapewne mógł dziękować wyłącznie sile przekonywania Ann-Mari.

Mimo to musiał przesiedzieć w areszcie trzy dni, zanim Anette Westerholm udało się go wyciągnąć.

– Niech pan się przygotuje – rzuciła, kiedy szli korytarzem w kierunku wyjścia.

– Na co?

– Na zewnątrz czeka tłum dziennikarzy.

– Tłum? – mruknął Olsen. – Tutaj to pojęcie nie występuje. Chyba że chodzi o owce.

Wyszedłszy na ulicę, przekonał się, że po tylu latach Tórshavn potrafi go jeszcze zaskoczyć. Rzeczywiście zebrało się kilkadziesiąt osób – część trzymała aparaty, niektórzy kamery, a jeszcze inni mikrofony. Kiloro reporterów natychmiast ruszyło w ich kierunku.



Anette uniosła otwarte dłonie.

– Mój klient porozmawia z państwem, jak tylko dojdzie do siebie – oznajmiła. – Nie muszę chyba dodawać, że nie miał łatwych przejść.

Nie musiała, pomyślał Olsen, ale zapewne i tak zamierzała.

– Został zatrzymany tylko dlatego, że organy ścigania się na niego uwzięły – dodała, kiedy skupiły się na niej wszystkie obiektywy.

Hallbjørn trwał z kamiennym wyrazem twarzy. Był jedynie paprotką, miał robić odpowiednio przybite wrażenie. Nie było to trudne, bo nie spał pół nocy przez grupę pijaków, których zgarnięto w porcie.

– Wyrok sądu został uchylony, ale do policji najwyraźniej nie dotarła wiadomość, że mój klient jest nie-win-ny – kontynuowała, przeciągając głoski. – Zapewniam, że tak tego nie zostawimy.

Kilku dziennikarzy wyrwało się z pytaniami.

– Odpowiemy na wszystko podczas konferencji prasowej – poinformowała Westerholm. – A na razie przepraszam, ale naprawdę trzeba dać panu Olsenowi odpocząć.

Przeclisnęli się przez grupę reporterów, którzy nie mieli zamiaru dawać za wygraną. W końcu jednak dopuścili ich do samochodu, który Anette wypożyczyła w AVIS Føroyar przy Staravegur. Duży SUV marki Volvo robił znacznie lepsze wrażenie niż wyeksploatowane S70 Olsena. Znacznie lepiej też nadawało się na kręte farerskie drogi – i już po czterdziestu minutach Anette zaparkowała przy Fjalsvegur.

Prawniczka wysiadła z samochodu, rozejrzała się, a potem z niedowierzaniem popatrzyła na wybite okna.

– Tutaj pan mieszka?

Hallbjørn stanął obok niej i skinął głową.

– Przecież wszystkie szyby są rozbite – zauważyła Anette.

– Jakoś daję radę.

W jej oczach zakolała strach niewątpliwie spowodowany tym, że klienci, którzy pomieszkiwali w ruderach, zazwyczaj nie należeli do najbardziej wypłacalnych. Niechętnie weszła do środka, uważnie się rozglądając, jakby w którymś pokoju miała napotkać strzykawkę, rozbite fiolki, a może nawet narkomana po złotym strzale.

– Nie wynajmowałam hotelu, byłam przekonana, że ma pan gdzie mieszkać. I gdzie mnie ugościć.

Wzruszył ramionami. Wciąż nie przeszli na ty, co wydawało się symptomatyczne – prawniczka wysyłała jasny sygnał, że przyjechała tu do roboty, a nie z towarzyską wizytą. Fakt, że chciała się u niego zatrzymać, nie miał znaczenia – tutaj po prostu nie było innego wyjścia. Wszystkie miejsca noclegowe w Vestmannie były zajęte na dziesięć miesięcy w przód, bez względu na to, ile pieniędzy zaproponowało się za pokój.

– Cóż... – zaczęła Anette. – Trzeba będzie przynajmniej to czymś zasłonić. A jutro przeniesiemy się do Tórshavn.

Hallbjørn z trudem przełknął ślinę.

– Coś nie tak? – zapytała, ostrożnie zaglądając do salonu połączonego z kuchnią.

– Nie wiem, czy mam fundusze na hotel.

Popatrzyła na niego badawczo.

– Więc niech pan je znajdzie.

– W domyśle: podobnie jak środki na pani wypłatę?

– O to się nie martwimy.

– Nie?

– Moja kancelaria zawsze dba o swoje interesy.

– W jaki sposób?

Westerholm rozłożyła ręce.

– To pańska nieruchomość, prawda? – zapytała. – W umowie mamy zapewnioną egzekucję w razie potrzeby. Nawet jeśli przepisze pan własność na córkę, przysługuje nam *actio Pauliana*. Roszczenie pokrzywdzonego wierzyciela.

– Rozumiem.

– Wątpię.

Hallbjørn popatrzył jej w oczy. Przez moment milczeli, a on nie mógł powstrzymać uśmiechu. Musiał przyznać, że z jakiegoś powodu ta kobieta budziła sympatię nawet swoją obcesowością.

– Ma pani rację, nie rozumiem – przyznał. – Ale nie mam zamiaru teraz się tym przejmować. Przysługuje mi jakieś odszkodowanie, jeśli wygramy, prawda?

– Oczywiście. I to niemałe. Jeśli przesiedziały pan bez powodu choćby jeden dzień w więzieniu, zadbam o to, żeby otrzymał pan z duńskiego budżetu małą fortunę. A jeśli nie będą skłonni jej wypłacić, zwrócimy się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

– Świetnie.

– Muszę tylko udowodnić, że nie popełnił pan tego czynu – dodała, wchodząc do kuchni. Postawiła walizkę przy ścianie, po czym podeszła do szafki, przejrzała kubki i wybrawszy jeden, umyła go i postawiła pod dyszą ekspresu. Przycisnęła guzik, ale urządzenie nie zareagowało.

– Zepsuty?

– Niewykluczone. Może też się okazać, że odcięli prąd.

– Jak to?

– Ostatnimi czasy moja kuzynka płaciła rachunki. A, jak pani wie... – Urwał i wzruszył ramionami.

– No tak – mruknęła Westerholm.

Odwróciła się i rozejrzała. Pokiwała do siebie głową, jakby prowadziła wewnętrzny monolog. Potem wyjęła z torby puszkę coli i usiadła przy stole, uprzednio sprawdzając siedzisko.

– Zmiana planów – oznajmiła. – Do Tórshavn pojedziemy jeszcze dzisiaj.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyjęła telefon i zaczęła przeglądać książkę adresową. Kiedy znalazła odpowiedni numer, zadzwoniła i szybko zarezerwowała dla nich dwa pokoje w hotelu przy Tórsgøta. Olsen znał ten przybytek i nie dziwił się, że są tam jeszcze wolne miejsca.

– Ile chcą za pokój? – spytał.

Anette otworzyła puszkę, uwalniany dwutlenek węgla wydał przyjemny, syczący odgłos.

– Tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt koron.

Hallbjørn poczuł, że robi mu się słabo.

– Proszę teraz się tym nie przejmować.

– Ale...

– Musimy porozmawiać – dodała, wskazując na krzesło po drugiej stronie stołu.

Olsen usiadł i nerwowo potarł czoło. Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, czy będzie zmuszony pozbyć się samochodu, a może nawet domu, prawniczka właśnie je rozwiązała.

– Dotychczas niespecjalnie mnie to interesowało, ale sytuacja się zmieniła – zaczęła. – Muszę wiedzieć, czy pan to zrobił.

– Słucham?

– Czy zabił pan tę dziewczynę?

Hallbjørn przez chwilę wbijał w nią pusty wzrok. Tym jednym pytaniem sprawiła, że cała sympatia, jaką do niej czuł, nagle znikła. Ale to uczucie właściwie do niczego nie było mu potrzebne. Miał szanować tę adwokat, ufać jej, a nie zaprzyjaźniać się z nią.

Wyprostował się na krześle. Do dziś była to bezwiedna, mechaniczna reakcja, którą wyniósł z wojska. Występowała, ilekroć rozmowa schodziła na bardziej oficjalne tory.

– Dobre pytanie – przyznał. – Ale chyba pani nie zaskoczę, mówiąc, że nie pamiętam.

– Więc to nie taktyka sądowa?

– Nie. Naprawdę mam dziurę w pamięci.

– Przez Bośnię?

– Nie tak całkiem – odparł. – To znaczy...

Wykonała ponaglący ruch ręką, nonszalancko, jakby chciała mu zasugerować, że naprawdę może jej powiedzieć absolutnie wszystko i że nasłuchiwała się już w swojej karierze najbardziej absurdalnych tłumaczeń, więc jest gotowa na wszystko.

– Nie cierpię na zespół stresu pourazowego, przynajmniej tak mi się wydaje – wyjaśnił.

– Czasem obrazy z Tuzli wracają, szczególnie przed snem, ale... nie jest to coś, co zaburzałoby moje funkcjonowanie.

Ściągnęła w zadumie brwi.

– Znajdziemy renomowanego specjalistę, który stwierdzi inaczej – zapewniła, po czym pociągnęła łyk coli. – Więc ta utrata pamięci nastąpiła przez alkohol? Urwał się panu film?

– Alkohol i kokainę.

– To by wiele tłumaczyło.

Był innego zdania. To tłumaczyło jedynie fakt, że nie mógł sobie przypomnieć samego czynu. Nie rzucało za to żadnego światła na jego późniejsze motywacje. A właśnie w tej kwestii pojawiło się najwięcej wątpliwości. Dlaczego ukrył ciało na Lómundaroyrn? Dlaczego nie oddał się w ręce policji, licząc na „nieumyślne spowodowanie śmierci”? Jako dobrze wyszkolony żołnierz powinien zdawać sobie sprawę, że ktoś prędzej czy później wpadnie na jego trop.

– Pójdziemy tropem PTSD – zdecydowała Westerholm.

– W porządku.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Chyba że istnieje szansa, żeby zakwestionować zeznania tych dzieciaków.

– Mówiąc o „tych dzieciakach”, ma pani na myśli także moją córkę?

– Tak.

– W takim razie nie widzę, jak moglibyśmy...

– Z tego, co wiem, Ann-Mari się od pana odcięła.

Skinął głową.

– To dobrze – oceniła. – Dzięki temu mamy podstawę do zbudowania teorii, że to spisek.

– Spisek kilku dziewczyn?

– Nie byłby to pierwszy i ostatni raz, gdy coś takiego ma miejsce – odparła Westerholm i znów się napiła. Zobaczywszy, że Hallbjørn wpatruje się w puszkę, wskazała mu walizkę.

– Proszę się poczęstować, mam jeszcze jedną.

Wziął sobie colę i wrócił do stołu.

– Te nastolatki na co dzień żyły w zмовie milczenia – ciągnęła. – Kupowały przecież narkotyki i alkohol. I przez całe miesiące czy lata nikt o tym nie wiedział. To profesjonalistki, panie Olsen, proszę nie mieć co do tego wątpliwości.

Właściwie miała rację. Nie było lepszych specjalistów od konspiracji niż nastolatki.

– Ich zaradność potwierdza też zniknięcie Jytty Gregersen. Przeprowadziły to z prawdziwym kunsztem i nikt się nie połapał. Przynajmniej dopóki pan i Katrine Ellegaard nie trafiliście na jej trop.

Hallbjørn otworzył puszkę i napił się coli. Miał wrażenie, że połyka sam cukier.

– Swoją drogą bardzo pomocne byłoby dobrze ukierunkowane zeznanie pani Ellegaard. Co pan o tym sądzi?

– Myślę, że równie dobrze może pani napisać do papieża, żeby przyjechał i zeznawał na moją korzyść.

Nawet nie drgnęły jej usta. Nie odzywała się, czekając, aż Olsen odpowie mniej wymijająco. Odstawił colę i wziął głęboki oddech.

– Nie wiem, jak to widzi Katrine – powiedział. – Naprawdę nie wiem.

– A więc spróbujemy.

– Jak pani uważa – odparł i podniósł się z krzesła.

Podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł grupę kilku mieszkańców, którzy żywiołowo o czymś dyskutowali. Jeden z nich spoglądał w kierunku domu Olsena, co wymownie świadczyło o tym, co jest tematem dyskusji.

Stali dość daleko i nie zanosilo się na to, by planowali podejść bliżej. Zwykła grupa

oburzonych – nie było wśród nich nikogo, kogo należałoby się obawiać. Do szczęścia Hallbjørnowi brakowało tylko tego, by ktoś teraz zaczął szturmować jego dom.

– Będzie pan musiał dokładnie opisać mi każdy krok, jaki pan zrobił w domu Hattarsteinów – odezwała się Anette.

Odwrócił się i pokiwał głową.

– I bez kręactwa.

– Oczywiście.

– Obowiązuje mnie tajemnica adwokacka, a pana nie stać na to, by z tego nie skorzystać.

– Rozumiem – zapewnił ją, choć sądził, że nie musiał. O pewnych rzeczach dwoje rozsądnych ludzi nie musiało wspominać, a przynajmniej tak mu się wydawało. Najwyraźniej jednak w oczach Westerholm nie wyglądał tak rozsądnie, jak się spodziewał.

– A teraz proszę się spakować. Pokoje już na nas czekają.

Niemal tysiąc trzysta koron. Z pewnością Anette wybrała opcję z widokiem na morze – choć z drugiej strony mogła po prostu nie mieć innej możliwości. Wszystkie tańsze pokoje dawno były zarezerwowane. I tak miał szczęście, że nie padło na apartament prezydencki.

Poszedł po torbę wojskową i upchnął do niej kilka ciuchów najmniej umazanych czerwonym sprayem. Nie miał wielkiego wyboru, więc nie zajęło mu to zbyt wiele czasu.

Potem wyszedł na korytarz i się rozejrzał. Czy było coś, co powinien ze sobą zabrać? Raczej nie, wszystko było albo zniszczone, albo uszkodzone, albo zwyczajnie mu w tej sytuacji niepotrzebne. Zdjęcia Karli i Ann-Mari miał w telefonie.

– Jestem gotowy – powiedział.

Kiedy prawniczka wyszła z kuchni, jeszcze raz powiódł wzrokiem po korytarzu. Mógł to być ostatni raz, kiedy tutaj przebywał. Jeśli sądowi będzie zależało na tym, by szybko załatwić sprawę, nie wróci już do Vestmanny.

Była to realna możliwość. Po prztyczku w nos, jaki farerski wymiar sprawiedliwości otrzymał od duńskiego, sędziowie z pewnością podejną do sprawy ambicjonalnie. Tym razem będą chcieli go skazać szybko, sprawnie i bez komplikacji.

– W takim razie chodźmy – odezwała się Westerholm, ruszając do drzwi.

Poszedł za nią. Nie zauważył koperty, którą dostarczono w nocy z soboty na niedzielę.

## 20 października, czwartek, godz. 11.51

Katrine w milczeniu wysłuchiwała wszystkiego, co lekarka miała do powiedzenia. Doktor Rikke Randrup skończyła i spojrzała wyczekująco na pacjentkę. Ellegaard nie wiedziała jednak, co miałyby powiedzieć.

– Jeśli ma pani jakieś pytania, proszę się nie krępować – zachęciła ją lekarka.

– Nie mam.

Randrup pokiwała głową, szukając odpowiednich słów. Katrine była przekonana, że onkolodzy mają zbiór przygotowanych zawczasu tekstów, których używają w zależności od tego, jakie są rokowania. Może w jej przypadku było na tyle źle, że zabrakło stosownego wariantu.

– Przykro mi, że nie są to lepsze wiadomości – powiedziała w końcu Rikke. – Ale mam nadzieję, że...

– Że będę dobrej myśli? – przerwała Ellegaard. – Po tym, co usłyszałam?

Randrup odetchnęła i wyprostowała się na krześle. Siedziała za wąskim i krótkim biurkiem, które swoimi gabarytami zapewne miało sprawiać wrażenie, jakby dystans między lekarzem i pacjentem się zmniejszył. Katrine uważała jednak, że mebel nie spełnia swojego zadania. Pomiędzy nią a Rikke była przepaść.

– Niby jak miałabym być dobrej myśli? – ciągnęła Katrine. – Zabrała mi pani jakąkolwiek nadzieję.

– Ależ...

Katrine uniosła otwartą dłoń i się skrzywiła.

– Przepraszam. W niczym pani nie zawiniła.

Lekarka patrzyła na nią w milczeniu. W jej oczach Ellegaard widziała sympatię, współczucie, empatię i ciepło – wszystko, co powinien dostrzegać pacjent z nowotworem złośliwym. Nowotworem, przez który miała stracić część siebie.

Rikke pochyliła się nieco.

– W tej chwili najważniejsze dla nas jest to, że regionalne węzły chłonne są niezmiennie klinicznie – oznajmiła i ponieważ zorientowała się, że medyczna nomenklatura jedynie pogarsza sprawę. – To naprawdę istotne – dodała. – Gdyby doszło do przerzutów na węzły chłonne, w tej chwili rozmawialibyśmy zupełnie inaczej, zapewniam.

– I to ma mnie pocieszyć?

Katrine skarciła się w duchu i szybko pożałowała, że zadaje takie pytania.

– Nie. Nie chcę pani pocieszać, bo nie o to chodzi.

– To dziwne podejście.

Znów pomyślała, że nie powinna się tak zachowywać. Mimo to trudno było jej kontrolować, co mówi. Zupełnie jakby przesiadła się z za kółka na siedzenie pasażera, a jej życie prowadził ktoś inny.

– Nowotwór nie jest w stadium, przy którym musiałabym panią pocieszać – wyjaśniła Randrup. – Moim zadaniem jest co innego.

– Co?

– Uświadomienie pani, że można z tym wygrać. Wystarczy chcieć.

Był to chyba jeden z tych frazesów, które można było usłyszeć wszędzie na oddziale onkologii. Katrine musiała przyznać, że lekarka sięgnęła po niego dość późno – cokolwiek by mówić, miała oryginalne podejście. Zaczęła od stworzenia wrażenia, że nie jest jedną z tych, które rzucają słowa na wiatr, a potem, gdy odwróciła uwagę pacjenta, przechodziła do ataku, mówiąc, że jeśli się tylko chce, wszystko jest możliwe.

Ellegaard pomyślała o paczce prince'ów, której nie dopaliła do końca. Chętnie zmieniłaby ten stan rzeczy.

– Myślę, że każdy chce wygrać, doktor Randrup – powiedziała. – A mimo to nie każdemu się udaje.

Lekarka splotła ręce na biurku.

– Proszę mi zaufać – odparła. – Da sobie z tym pani radę. I zapewniam, że sama dojdzie pani do tego wniosku, już niebawem.

– Po tym czy przed tym, jak wytną mi pierś?

Rikke położyła łokcie na blacie i oparła brodę na złożonych dłoniach. Czekwała. Nie odzywała się, nie patrzyła na pacjentkę, była cierpliwa. Wiedziała doskonale, czego się spodziewać, i prawdopodobnie żadna reakcja nie mogła jej zdziwić.

Katrine kilka razy odetchnęła, uspokajając się.

– Nie ma innej możliwości? – zapytała.

– Jest.

– Ale? W moim przypadku nie wchodzi w grę?

– Wchodzi – przyznała Randrup. – Ale to tylko półśrodek. W przypadku gdy mamy do



czynienia z drugim stopniem bez rozległych przerzutów, mastektomia z procedurą węzła wartowniczego to najlepsze rozwiązanie.

Katrine poczuła, że robi jej się gorąco. Co rusz musiała odsuwać od siebie niepokojące obrazy, które rysowała przed nią stanowczo zbyt bujna wyobraźnia. Ellegaard widziała siebie za kilka miesięcy, bez jednej piersi, z rozciętą pachą, ręką na temblaku i...

Wyrzuciła z głowy te myśli. Podniosła się z krzesła, uznając, że właściwie usłyszała już wszystko, co musiała wiedzieć.

Rikke szybko się poderwała.

– Proszę zostać jeszcze chwilę. Przedstawię pani, jak dokładnie...

– Nie, dziękuję.

Katrine ruszyła do drzwi i zanim lekarka zdołała coś dodać, była już na korytarzu. Na dobrą sprawę mogła opuścić gabinet po tym, jak Randrup skończyła przedstawiać jej wyniki badań. Cała ta dalsza gadanina tylko wpędziła ją w przygnębienie.

Wychodząc ze szpitala, pomyślała, że Rikke tego dnia nie zaliczy do udanych. Lekarka stawiała dopiero pierwsze kroki w zawodzie i było to widać. Nie uniosła ciężaru, nie udało jej się przekazać wieści tak, by nie zdruzgotać pacjenta.

Ellegaard potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że szuka winnego. Wsiadła do samochodu, po czym zastanawiała się przez moment. Powinna pojechać do domu, ale co miałyby tam robić przez resztę dnia? Zapewne zaczęłyby od otwarcia piwa, następnie zjadłyby całą tabliczkę białej czekolady, a potem... Cóż, cokolwiek by robiła, nie skończyłoby się to najlepiej.

Zamiast tego pojechała na Halmtorvet. Zaparkowała pod komendą główną, po czym skierowała się prosto do gabinetu przełożonego. Bez pukania weszła do środka.

Kjeld podniósł rozniewane spojrzenie. Nic nie powiedział, ale jego twarz wyraźnie stężała.

Ellegaard zamknęła za sobą drzwi.

– Niech pan się nie gorączkuje.

Moslund powoli zdjął okulary, złożył je i wsunął do kieszeni koszuli. Skrzyżował ręce na piersi, najwyraźniej nie mając zamiaru się odzywać.

– Zastanawia się pan, co tutaj robię.

Uniósł brwi, nieco mocniej zaciskając usta.

– Muszę się czymś zająć – ciągnęła Katrine. – Jeśli tego nie zrobię, zostaje mi

wyobrażanie sobie, jak wycinają mi węzły chłonne.

Moslund ani drgnął. Trwał jak posąg, świdrując ją wzrokiem.

– Litości, szefie. Potrzebuję jakiegoś wytchnienia od tej choroby.

Wciąż miała wrażenie, jakby mówiła do ściany.

– Apeluję o solidarność policyjną – dodała, a potem rozłożyła bezradnie ręce. – Do kurwy nędzy, szefie. Naprawdę.

– Jesteś na urlopie.

– Nic nie szkodzi, mogę od razu z niego wrócić.

– I co zamierzasz robić? Prowadzić dochodzenie? – spytał, przesuwając kilka dokumentów po biurku. – Czekaj, zaraz ci znajdę jakąś sprawę. Byle coś takiego, co zamkniesz w przeciągu kilku dni, bo inaczej to nie ma sensu, prawda?

– Nie chodzi mi o nic wielkiego, po prostu...

– Więc otwarcie nowego śledztwa nie wchodzi w grę? – przerwał jej Moslund. – Dobrze. W takim razie zastanówmy się, co innego mogłabyś robić.

Znów skrzyżował ręce na piersi.

– Może...

– Może chciałabyś trochę papierkowej roboty? – zapytał. – Nie ma problemu, tego u nas jest pod dostatkiem. Z pewnością przestaniesz myśleć o tym, co ci dolega.

Było to pewne niedomówienie, ale Katrine nie chciała o tym wspominać.

– Mogę przyłączyć się do kogoś, kto już ma sprawę. Pomóc, nawet nieformalnie, byleby...

– To tak nie działa, Ellegaard. I doskonale o tym wiesz.

– Więc niech pan mnie wyśle z powrotem na Faroje.

– Że co proszę?

– To krótki lot. Nie obejrzy się pan, a będę znów w Kopenhadze. Wesoła i gotowa do walki z rakiem.

– Widzę, że humor ci dopisuje.

– Robię dobrą minę do złej gry.

Kjeld westchnął i złapał za kant biurka. Rozsiadł się, a potem rozsunął ręce, demonstrując, kto tutaj rządzi. Zupełnie jak jedna z tych ryb, które się nadymają. Katrine uśmiechnęła się w duchu.

– Zwariowałaś kompletnie, jeśli mówisz poważnie.

– Być może – przyznała. – Ale tamta sprawa nie daje mi spokoju.

– Sprawa? Czy może Hallbjørn Olsen?

Ellegaard poprawiła się na krześle. Nagle stało się wyjątkowo niewygodne.

– To docinek czy realna troska? – zapytała.

– Jedno i drugie. A zarazem pytanie retoryczne.

– Więc nie odpowiem.

– Nie odpowiadaj – przyzwolił Kjeld i westchnął teatralnie. – Tak czy owak, nie ma to żadnego znaczenia. Zostajesz w Kopenhadze, na urlopie, bez możliwości powrotu.

Katrine czuła, że wali głową w mur. Moslund nie rozumiał, że najlepsza terapia dla niej to rzucenie się w wir pracy. Był wprawdzie jednym z najlepszych śledczych, ale oprócz życia zawodowego miał także osobiste. Mimo że nigdy by tego nie przyznał, wracał do domu i tam znajdował ukojenie po całym dniu – rodzina była dla niego tym, dzięki czemu pozostawał przy zdrowych zmysłach. W przypadku Ellegaard było odwrotnie. Nie miała życia prywatnego.

Wzięła głęboki oddech, a potem postarała się wyłuszczyć to szefowi. Kręcił głową, cmokał z dezaprobatą i robił wszystko, by pokazać jej, że żadne argumenty do niego nie trafią. Wiedział lepiej. Jak na przełożonego przystało.

– Idź do domu, Ellegaard.

– Szefie, nie upierałabym się, gdyby nie...

– No już – ponaglił ją. – Odmaszerować. A po drodze kup sobie piwo. Możesz pić, prawda?

– Mogę, ale...

– Więc nie wiem, w czym tkwi problem – uciął. – Daję ci wolne, alkoholi w sklepach pod dostatkiem. Zjeżdżaj, ale już!

Katrine podniosła się powoli i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się przed progiem i obejrzała przez ramię.

– I co mam robić w domu, szefie? Zalać się w trupa?

– Oczywiście, że nie. Odpocznij, zaproś przyjaciół.

– Jakich przyjaciół?

– Pierwszych lepszych.

– Jediną osobą, którą mogłabym tak nazwać, jest pan.

Moslund na moment zamarł, jakby usłyszał coś kompletnie niestworzonego.

– Bzdura – powiedział. – Masz wielu znajomych.

Ellegaard wiedziała, że trafiła do niego. Postanowiła jednak, że nie będzie ciągnąć tematu. Osiągnie znacznie lepszy efekt, jeśli bez słowa opuści jego biuro. Tak też zrobiła, szybko zamykając za sobą drzwi.

Przeszła przez korytarz, rozglądając się. Nikt nie zwracał na nią uwagi, najwyraźniej Kjeld nie powiedział nikomu, dlaczego nagle została ściągnięta z Farołów, a potem wysłana na urlop.

Wyszła na ulicę i wyjęła telefon. Przypuszczała, że Moslund do tej pory zastanowi się nad tym, co mu powiedziała, i zadzwoni, ale komórka milczała. Katrine zaklęła i schowała aparat. Być może przeceniała przełożonego.

W drodze do domu zatrzymała się w Netto przy Gasværksvej. Zaopatrzyła się odpowiednio na wieczór, ignorując paczki papierosów, które zdawały się łypać na nią z półek nad kasą. Kiedy wrzuciła zakupy do samochodu, zobaczyła, że ma nieodebrane połączenie.

Spodziewała się, że to Moslund, ale kiedy włączyła ekran, przekonała się, że dzwoniła Frida Skovmand. Katrine uśmiechnęła się pod nosem. Najwyraźniej były jeszcze na tym świecie osoby, które zdawały sobie sprawę, że nie można ot tak pożegnać się ze śledztwem w toku.

Szybko oddzwoniła do Fridy.

– Są jakieś postępy?

– Żadnego powitania? Nic z tych rzeczy? Od razu konkrety? – obruszyła się Skovmand. – A co, jeśli to przyjacielski telefon? Może chcę się dowiedzieć, co u ciebie?

Katrine pomyślała, że naprawdę powinna podszkolić się w relacjach z innymi ludźmi, być może pomyśleć o jakiejś przyjaciółce lub dwóch. Nie wspominając już o towarzyszu płci męskiej. Prawda była taka, że po powrocie z Wysp Owczych na początku roku zaczęła odsuwać się od wszystkich, z którymi utrzymywała jakikolwiek kontakt.

Do teraz nie była świadoma rys, które pojawiły się na jej psychice za sprawą Hallbjørna. Powiodła wzrokiem za przejeżdżającym rowerzystą, pragnąc, by ta konkluzja znikła równie szybko, jak on.

– Halo? – odezwała się Frida.

– Jestem, jestem. Zastanawiam się, co mi się stało.

Frida musiała być zaskoczona tą odpowiedzią, bo milczała przez moment.

– Nic dobrego – oceniła w końcu. – Ale biorąc pod uwagę to, jak niezrównoważeni są inni śledczy, których znam, nie jest z tobą najgorzej.

– Dzięki – mruknęła Katrine. – Więc co ze sprawą?

Frida zaśmiała się cicho i westchnęła.

– Do rzeczy, tak? – Ellegaard niemal mogła zobaczyć, jak Skovmand kręci głową. – A myślałam, że to ja jestem dziwakiem.

Nie ona jedna była o tym przekonana, ale Katrine postanowiła zostawić tę uwagę dla siebie. Odchrząknęła ponagląco, czekając, aż Skovmand zacznie mówić na temat.

– Sprawa jest rozwojowa – zaczęła wreszcie Frida. – Przepytałismy wszystkie dzieciaki w Vestmannie, żaden nie wygląda nam na podejrzanego.

– Jak sobie radzi Nolsøe?

– Nieźle. Naprawdę nieźle.

– Współpraca z moim zmiennikiem się układa?

– O tak. Pokochali się od pierwszego wejrzenia.

Mads Lykke, który zastąpił Katrine, był typowym kopenhaskim gliną – niewiele miał wspólnego z ciężkimi zbrodniami, bo zwyczajnie nie było okazji, by prowadził dochodzenia w takich sprawach. Stolica Danii była stosunkowo bezpiecznym miejscem do życia, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę statystyki z innych dużych miast europejskich.

Nie przeszkadzało to jednak Lykkemu robić z siebie weterana. Zresztą zważywszy na doświadczenie wyspiarzy w materii przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, być może było to zasadne.

– Nie pobili się jeszcze? – zapytała Katrine.

– Nie, ale są na jak najlepszej drodze. Przypuszczam, że do rozlewu krwi doszłoby już dawno, gdyby nie to, że śledztwo idzie naprzód.

– To znaczy?

– Zidentyfikowaliśmy rybaków, którzy w interesujących nas latach posiadali odpowiedni sprzęt i pływali do Viðvík. Mamy kompletną listę.

– Ktoś mógł przyplłynąć z innego miasta.

– Wykluczylismy taką możliwość – odparła Frida, jakby rzeczywiście uczestniczyła w dochodzeniu, a nie tylko sporządzała raporty. Ellegaard poczuła ukłucie zazdrości. – Za dnia ktoś dostrzegłby obcy kuter w tamtym miejscu. A nocą trudno byłoby podkładać kości.

– Lub ciało.

– Lub ciało – zgodziła się Frida. – Nasza robocza teza jest taka, że to nie prądy morskie ściągnęły tam Johna Doe, a morderca. To tam facet został zatopiony. Żywy lub nie, nie sposób tego teraz stwierdzić.

Nadal jednak nie mieli odpowiedzi na pytanie, kim był ten człowiek. Strzępki informacji pozwoliły ustalić, że miał sześćdziesiąt lat, był Norwegiem i zmarł w osiemdziesiątym trzecim roku. Ale gdzieś za tymi suchymi faktami kryła się realna osoba. Osoba, która miała rodzinę, życie i... problemy, które doprowadziły ją ostatecznie do śmierci.

Katrine przez chwilę się zastanawiała. Pamiętała, jak Hallbjørn wspominał o pewnym Norwegu mieszkającym w Vestmannie. Kiedy próbowała wyciągnąć z Olsena, ile zna takich osób, ten człowiek przyszedł mu pierwszy na myśl. Przyjmował turystów chcących pracować za wikt i opierunek w ramach jakiegoś programu. Workaway? Tak, chyba tak.

Ale dlaczego wpadło jej to do głowy?

– Hej, jesteś tam?

– Jestem – odparła Ellegaard. – Zastanawiam się nad... Poczekaj chwilę.

Zerknęła na telefon i włączyła Evernote. Przejrzała kilka notatek, które robiła po tym, jak ustalono narodowość dzięki bilonowi. Znalazła imię i nazwisko mężczyzny, który ją interesował.

– Trond Haugen – powiedziała.

– Co takiego?

– Nie co, a kto. To Norweg mieszkający w Vestmannie.

– I co z nim nie tak?

– Uczy dorywczo w szkole, pracuje w przetwórni ryb, jest samotnikiem i...

– Jak chyba każdy na Farojach.

Ellegaard uśmiechnęła się półgębkiem. Było to całkowicie niezgodne z prawdą – Farerowie chętnie zbierali się przy każdej, nawet błahej okazji, a potem wspólnie świętowali, jakby od tego zależało ich życie.

– Facet przyjmuje przyjezdnych w ramach Workaway – ciągnęła Katrine.

– I co z tego?

– To, że jest otwarty na turystów. To już coś, prawda? Nie wszyscy tacy są.

– No i? Nadal nie wiem, dlaczego miałyby to okazać się istotne.

– Ja też nie – przyznała Ellegaard. – Ale oprócz tego Haugen ma kuter. Stary, z tego co pamiętam. Sprawdź, czy przypadkiem nie macie go na swojej liście.

– Nie mamy. Mówiłam ci, że uwzględniliśmy jedynie tych, którzy normalnie przypływali do Viðvík na połów.

– To znaczy? Skąd przypływali?

– Głównie z Viðareiði, osady leżącej nieopodal.

– Sprawdź go. Może mieszkał tam wcześniej, a może...

– Masz jakieś powody, żeby sądzić, że ma z tym coś wspólnego?

– Nie – odparła Katrine. – Ale turyści i kuter to zawsze jakiś początek. I tak pewnie kręcicie się w kółko.

Frida nie odpowiedziała, więc należało uznać, że w istocie tak jest. Zresztą Ellegaard nie spodziewała się niczego innego – wprawdzie chętnie słuchała o postępach w dochodzeniu, ale nie sądziła, by doszło do przełomu.

– Nolsøe i Lykke przesłuchują jeszcze rybaków z Norðdepil, Hvannasund i Kirkja. Chcą ich sprawdzić, chociaż nie mamy informacji, żeby ci ludzie pływali do zatoki.

– Hvannasund?

– Tak. To niewielka gmina łącząca dwie osady na wyspach Viðoy i Borðoy.

– Wiem, płynęłam stamtąd promem na Fugloy. Do Kirkja.

– Po co?

– Razem z Olsenem podążaliśmy pewnym tropem.

– A konkretniej?

– Nie było to nic pewnego – stwierdziła Katrine. – Działaliśmy raczej na zasadzie wycucia i intuicji. Założenie było takie, że listy, które Olsen otrzymywał, dotyczyły jego zamierzchłej przeszłości.

– No i?

– Tylko w Kirkja mieszkają ludzie, z którymi można było porozmawiać na ten temat – odparła Katrine i zrobiła głęboki wdech. Nie wspominała dobrze tamtej wyspy. Zamglone szczyty, zupełna pustka, wrogie otoczenie i raczej nieprzyjaźni ludzie. A do tego telefon z Kopenhagi. To na Fugloy dowiedziała się o tym, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

– Rozmawiałaś z nimi? Co to za ludzie?

– Jego wujek i ciotka. Nie byli zbyt rozmowni, właściwie Hallbjørn jest tam *persona non grata*.

– Jak wszędzie.

Ellegaard uśmiechnęła się lekko.

– Drażcie dalej – powiedziała. – A jak tylko się do czegoś dokopiecie, daj mi znać.

– Zobaczymy.

Frida zamilkła. Na dobrą sprawę przekazała wszystko, co mogła, ale najwyraźniej nie spieszyło jej się, by zakończyć rozmowę. Katrine zmarszczyła czoło, zastanawiając się, o co jeszcze może chodzić.

– Chciałaś coś jeszcze? – zapytała.

– Była pierwsza rozprawa.

– Tak?

– Zaczęło się powtórne pranie brudów. Wezwali świadków, omówili cały tok zdarzeń od samego początku, a w dodatku znów były przepychanki z młodą.

– Z Ann-Mari?

– Tak. Nie chciała zeznawać, powołując się na klauzulę rodzinną.

To samo zrobiła podczas pierwszego procesu. Prawo pozwalało jej odmawiać odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, jeżeli udzielając ich, mogłaby zaszkodzić członkowi rodziny. Wtedy Ellegaard pochwaliła dziewczynę za to, że podjęła taką decyzję. Było to najrozsądniejsze, co mogła zrobić.

Ale teraz? Właściwie nic się nie zmieniło, nie pojawiły się żadne nowe okoliczności. Mimo to Katrine miała irracjonalną nadzieję, że tym razem coś się stanie.

– Westerholm jest niezła – dodała Skovmand. – Próbuje udowodnić, że podczas tamtej pechowej imprezy rzeczywiście zdarzył się wypadek, ale to nie Olsen zawinił.

– Powodzenia. Wszystkie dziewczyny zeznały przeciwko niemu.

– Twierdzi, że to zmowa milczenia.

– Na miejscu były jego odciski palców. Na ciele też.

– Bo był tam, a potem pomógł im ukryć ciało. Tak twierdzi Westerholm.

Ellegaard przez chwilę milczała, zastanawiając się, czy sąd byłby gotów przyjąć taki scenariusz. Istniała tylko jedna możliwość, by miało to ręce i nogi – należało znaleźć innego sprawcę. W tym przypadku wybór Anette Westerholm musiał być oczywisty. Ann-Mari nadawała się wprost idealnie. A udział Hallbjørna obrończyni wytłumaczyłaby bez trudu miłością ojca do córki.

Tyle że Hal nigdy by się na to nie zgodził. Nawet gdyby został przyparty do muru.

– Nieszczęścia chodzą parami, co? – odezwała się Frida.



– Hm?

– Ty zostałam odwołana, on wpakowany do aresztu. Naprawdę do siebie pasujecie.

Katrine przygryzła dolną wargę i powoli skinęła głową, jakby rozmówczynie mogła to zobaczyć.

## 24

### 24 października, poniedziałek, godz. 14.51

Każda godzina w Mjørkadalur była dla Olsena jak całe życie. Wrócił do aresztu, który znajdował się w dawnym budynku stacji radiowej. Kilkanaście lat temu mieściła się tu jeszcze baza NATO, potem realia się zmieniły – zarówno w polityce międzynarodowej, jak i na wyspach. Obecność żołnierzy nie była konieczna, natomiast znalezienie miejsca dla przestępców okazało się nagłą koniecznością.

Znajdowało się tu dziesięć cel, pokoju widzeń nie było. Kiedy Anette Westerholm odwiedzała swego klienta, spotykali się w klitce, która od kilku dni stanowiła jego cały świat. Olsen miał odpowiadać z wolnej stopy, ale sąd szybko uznał, że istnieje obawa mactwa. Prokurator argumentował, że Hallbjørn raz już zacierał ślady, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by dokonał tego ponownie.

Na nic zdały się riposty Westerholm, że gdyby jej klient chciał, już dawno by to zrobił.

– Muszę stąd wyjść – oświadczył Hallbjørn, gdy spotkali się z Anette po kolejnej rozprawie.

– Wyjdzie pan.

Miał wrażenie, że w jego sprawie zorganizowano już całe mnóstwo posiedzeń. Prawda była jednak taka, że odbyły się tylko dwa. Na trzecim zapadnie decyzja co do jego dalszych losów. Olsen nie miał złudzeń – znów zostanie skazany. Anette była jednak dobrej myśli, jeśli chodziło o apelację w duńskim sądzie.

Problem polegał na tym, że cały ten proces będzie się ciągnął przez ileś miesięcy, a Hallbjørn miał już serdecznie dosyć.

– To jest niehumanitarne, do cholery – powiedział.

– Wiem.

– Najpierw się mnie zamyka, potem wypuszcza, a teraz znowu... Tak nie można żyć.

– Będziemy domagać się odszkodowania, kiedy sprawa się zakończy.

– Nie chcę odszkodowania. Chcę odpowiadać z wolnej stopy.

Nerwowo zatarł ręce, choć nie było chłodno.

– Próbowałam – odparła Anette z wyraźnym rozgoryczeniem. Traktowała to jako osobistą porażkę, zresztą przed rozprawą była przekonana, że zapewni swojemu klientowi czystą kartę. – Teraz niestety nie mogę już niczego zrobić.

– Możemy próbować z kaucją...

– To tylko formalna możliwość. Jak pan wie, w naszym systemie prawnym wychodzenie za kaucją zdarza się wyjątkowo rzadko.

Hallbjørn zwiesił głowę. Siedział na pryczy, do której zdążył się już przyzwyczaić, jakby służyła mu za łóżko od dzieciństwa. Miał wrażenie, że zna każdą sprężynę, każde przetarcie koca i wgniecenie w materacu.

Areszt w niczym nie przypominał tego duńskiego, nie wspominając już o podobnych miejscach w Norwegii czy Szwecji. Stanowił pozostałość po placówce wojskowej i surowość, która wtedy tu panowała, nie znikła po zmianie przeznaczenia kompleksu. Aresztanci mieli do dyspozycji stare prycze, małe metalowe biurka i krzesła – i na tym kończyło się wyposażenie. Dostępu do książek Olsen nie miał. Być może dlatego odchodził od zmysłów.

– Proszę wytrzymać – odezwała się Westerholm. – W tym tygodniu to się skończy.

Skinął głowę.

– Posiedzenie jest w środę – dodała.

– Tak. Czyli w czwartek lecę z powrotem do Vestre Fængsel.

– Tego nikt nie wie, panie Olsen.

– A jednak wszyscy na tej sali sądowej sprawiają wrażenie, jakby już mnie skazali.

Mówił, jakby się tego nie spodziewał. Tymczasem był przecież absolutnie pewny, że i tym razem nic się nie zmieni. Wprawdzie miał lepszą prawniczkę, a emocje na wyspach nieco opadły, ale poprzedni wyrok został zakwestionowany tylko z powodu błędów formalnych. Nie merytorycznych.

– Mowa końcowa będzie tu najważniejsza – zaznaczyła Anette. – Jeśli uda nam się przekonać ławników, będziemy mieć szansę.

Jak dowiedział się Olsen, w większości kryminalnych spraw orzekało gremium trzech sędziów. Jeden był zawodowy, dwóch pozostałych reprezentowało społeczeństwo. Ich głosy miały jednak taką samą wagę, więc teoretycznie zdolny prawnik mógł zdziałać cuda.

Tylko teoretycznie, jak podkreślała Westerholm. W praktyce to przewodniczący składu podejmował wszystkie decyzje i dyrygował ławnikami. Dopóki nie wpływał na ich niezależność, wszystko było w porządku – problemy zaczynały się, gdy zaczynał wprowadzać ich w błąd. Tak jak przy ostatnim procesie Olsena.

Inaczej będzie w sądzie apelacyjnym. Tam o wszystkich karach przekraczających cztery lata więzienia orzekają ława przysięgłych i sędzia.

– Brakuje nam poparcia społecznego – zauważył Hallbjørn. – Cały archipelag czeka, aż trafię do duńskiego więzienia. Tych dwóch ławników też.

– Oni muszą pozostać neutralni.

Olsen zaśmiał się ponuro.

– Oczywiście – skwitował. – Muszą.

– I pozostaną, jeśli cokolwiek będzie ode mnie zależało.

Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Sprawiała wrażenie pewnej siebie, ale zdążył poznać ją już na tyle, by wiedzieć, że spokojnie mogłaby porzucić karierę prawniczą i zająć się aktorstwem.

– Liczę na panią – powiedział, sam nie wiedząc dlaczego. Anette nie potrzebowała dodatkowej motywacji, by walczyć o jego wolność. Ambicja i pieniądze w zupełności wystarczały.

– Jeśli tak, proszę mi zostawić wolną rękę.

– Słucham?

Poprawiła żakiet i rozejrzała się, jakby miała zamiar powiedzieć coś, co nie powinno trafić do niepowołanych uszu. Niestety, nie mieli tutaj zbyt wiele prywatności. Pijacy i chuligani w pozostałych celach z pewnością słyszeli każde słowo.

– Te dziewczyny naprawdę mogą być winne, panie Olsen.

– Już to przerabialiśmy...

– Tak, ale wciąż omijamy pańską córkę.

Nagle jego twarz stężała.

– I będziemy nadal to robić – oświadczył. – Inaczej jeszcze dzisiaj wypowiadam stosunek obrońcy i biorę kogoś z urzędu.

– Oczywiście, mówił pan o tym. Ale...

– Nie ma żadnych ale. To mój jedyny warunek. Resztę zostawiam pani.

– Tym niemniej...

– Nie! – rzucił, zrywając się z pryczy.

Westerholm odruchowo się cofnęła. Popatrzyła na niego jak na człowieka, którego widzi po raz pierwszy. Potem wróciła na poprzednie miejsce, zapewne chcąc pokazać, że mu ufa.

– Ann-Mari nie miała z tym nic wspólnego.

– Nie wiemy tego – przekonywała Anette. – I właściwie niczego innego też nie. Cały obraz tej sytuacji wynika z zeznań świadków. Świadców, którzy mieli dostatecznie dużo czasu, żeby ułożyć stosowną wersję. Żaden ślad DNA nie wskazuje na to, aby popchnął pan ofiarę, co było bezpośrednią przyczyną jej śmierci. Nic nie potwierdza, że w ogóle miał pan z nią kontakt, gdy jeszcze żyła. Na dobrą sprawę mógł pan się zjawić w domu Hattarsteinów już po tym, jak zmarła, zastać makabryczny widok i wpaść w panikę. Zobaczył pan krew na rękach dziewczyn, które próbowały ją ratować, może nawet na dłoniach córki. Nie wiedział pan, co robić, oprócz tego, by jak najszybciej zadbać o bezpieczeństwo Ann-Mari.

Hallbjørn zacisnął usta.

– Nie wiem, kto spowodował jej śmierć – dodała Westerholm. – Ale ustalanie tego to nie moje zadanie. Od tego jest prokurator, który w tym przypadku poszedł na ogromną łatwiznę. I trudno mu się dziwić, prawdopodobnie nigdy nie prowadził sprawy o zabójstwo, bo są one tutaj rzadkością.

Olsen milczał.

– Jeśli uznamy zeznania świadków za wątpliwe, nic nie świadczy o pana winie. Owszem, ukrył pan ciało, ale to jeszcze nie dowód na to, że popełnił pan zabójstwo. Równie dobrze można by mówić, że grabarz na cmentarzu jest sprawcą śmierci osoby, której szczątki chowa do grobu.

Mniej więcej to samo Anette Westerholm powtórzyła dwa dni później w sądzie. Dodała do tego trochę emocjonalnego przekazu i podkreśliła, jak bardzo Olsenowi zależy na córce – do tego stopnia, że był gotów pobić mężczyznę, który stanął mu na drodze do niej.

Mowa końcowa prawniczki z Kopenhagi wypadła znacznie lepiej niż przemówienie oskarżyciela publicznego. Mimo to Hallbjørn nie był dobrej myśli. Ławnicy patrzyli na niego z obrzydzeniem. Nie trzeba było specjalisty od mowy ciała, by stwierdzić, że żywią do niego wyłącznie nienawiść. Być może uda się to wykorzystać w apelacji, ale Olsen przypuszczał, że ostatecznie i tak powtórzy się poprzedni scenariusz.

Na ogłoszenie wyroku czekał w swojej celi w Mjørkadalur. Przewodniczący miał

obwieścić go po dwóch godzinach, ale potem przesunięto termin o kolejne półtorej. Westerholm czekała ze swoim klientem, stojąc na korytarzu. Dzieliły ich tylko kraty, przynajmniej pozornie. W rzeczywistości przepaść między nimi sprowadzała się do zupełnie odmiennego oglądu sprawy.

Ona była dobrej myśli, on wiedział, że to koniec. Już to przerabiał.

Anette co kwadrans gdzieś dzwoniła. Przechadzając się nerwowo po korytarzu, rozmawiała przyciszonym głosem, jakby chodziło o sprawy wagi państwowej. Obgryzała przy tym paznokcie, co Hallbjørn widział po raz pierwszy. Nigdy by nie przypuszczał, że prawniczka ma taki nawyk.

Po którymś telefonie podeszła do krat i spojrzała z nadzieją na Olsena.

– Dwa do jednego – oznajmiła.

– Co takiego?

– Ktoś jest po pańskiej stronie.

Hallbjørn podniósł się z pryczy. To nie była iskierka nadziei – to była supernowa, która eksplodowała mu przed samymi oczami. Szybko jednak uzmysłowił sobie, że to tylko ułuda. Dwa do jednego to wciąż wyrok skazujący. Co mu po tym, że jeden z ławników zgłosi zdanie odrębne?

– Dlatego to trwa tak długo – wyjaśniła. – Chcą orzec jednogłośnie, żeby nie dać dodatkowych argumentów przy apelacji. Chyba nie uśmiecha im się, by sprawa po raz kolejny wracała do farerskiego wymiaru sprawiedliwości.

Westerholm podniosła palec do ust i zaczęła skubać skórkę.

– Przekonaliśmy kogoś, panie Olsen.

– Świetnie – odparł, a potem opadł z powrotem na pryczę. – Ale nie sądzę, żeby temu komuś udało się przekonać dwóch swoich kolegów.

Zastanawiała się przez moment.

– Zgodziłabym się, gdyby nie to, że może chodzić o sędziego.

Po półtorej godziny przekonali się, że jej przypuszczenia były słuszne. Jedyne sędzia zawodowy uznał Hallbjørna Olsena za niewinnego zarzutu zabójstwa. Na szczęście dla oskarżonego należał do tych jurystów, którzy mieli dużą siłę przekonywania.

## 26 października, środa, godz. 14.52

– Jak to uniewinniony? – zapytała Katrine Ellegaard, podnosząc się z krzesła w poczekalni. W klinice Frederiksstadens jak zwykle panował lekki chłód, mimo że na korytarzach kłębili się ludzie. Co jak co, ale trzeba było przyznać, że jeśli cokolwiek działało tutaj bez zarzutu, to klimatyzacja. I dobrze. Emocji i tak było w nadmiarze – nawet bez takich telefonów od Fridy, jaki właśnie odebrała Ellegaard.

– Brak dowodów materialnych – wyjaśniła Frida. – Sędzia uznał, że zeznania świadków są niewystarczające w sytuacji, kiedy w istocie nie wiadomo, co się zdarzyło.

– Ale...

– Skazali go tylko za utrudnianie śledztwa... obrazę wymiaru sprawiedliwości – coś w tym stylu.

– Jak to możliwe?

– To znaczy za ukrycie ciała – dodała Frida, jakby nie słyszała pytania. – I sędzia uznał, że czas spędzony w farerskich aresztach i kopenhaskim więzieniu należy zaliczyć na poczet odbycia kary.

– To... to jakaś bzdura.

– Raczej sprawiedliwość w wydaniu sądów – burknęła Skovmand. – Od dawna wam powtarzam, że jeśli łapiecie kogoś, kto bez wątpienia jest winny, najpierw strzelajcie, a potem zakuwajcie w kajdanki.

Katrine spojrzała w kierunku gabinetu Rikke Randrup. Jeszcze przed momentem miała nadzieję, że wejdzie tam jak najszybciej. Teraz liczyła na to, że nie zostanie wezwana jeszcze przez jakiś czas.

Usiadła na krześle pod ścianą i oparła łokcie na udach.

– Czyli jest wolny? Niewinny?

– Zgadza się.

– Prokurator będzie apelował...

– Na pewno – przyznała Frida. – Ale równocześnie zajmie się alternatywną wersją i być może się do czegoś dokopie.

Ellegaard nie była gotowa na dopuszczenie do siebie tej myśli. Co więcej, była pewna,

że Hallbjørn również nie. Oznaczałoby to bowiem, że Ann-Mari była zamieszana w zatuszowanie tej sprawy.

– To możliwe, prawda? – dodała Frida. – Że te dziewczyny rzeczywiście ustaliły wspólną wersję i zdecydowały się na zмовę milczenia.

– Teoretycznie...

– Przecież facet nic nie pamięta. Był nawalony i naćpany, a i bez tego jego psychika jest w wątpliwym stanie po przeżyciach w Bośni.

Przez moment obydwie milczały.

– Wybrałaś sobie świetnego gościa – podsumowała Frida. – Ale poniekąd to rozumiem.

– Jest przystojny.

– No tak – przyznała Skovmand. – Przypuszczam jednak, że już niedługo to się zmieni. Jeśli nie dojdzie w tym miasteczku do samosądu i linczu, to uznam, że świat nie jest taki, za jaki go miałam.

– Trzeba mu załatwić ochronę.

Słowa same wypłynęły jej z ust. Wiedziała, że powinna poważnie zastanowić się nad tym, czy sędzia i ławnicy mieli rację, czy wersja obrony rzeczywiście jest możliwa i czy Hallbjørn może być niewinny, ale...

Ale co? Zadała sobie to pytanie, obawiając się odpowiedzi. Czy od pewnego czasu nie zbliżała się do konkluzji, że tak naprawdę nie mają twardych dowodów przeciwko Olsenowi? Czy nie narastał w niej optymizm, przynajmniej w tej jednej kwestii?

Teraz wiedziała, że tak było.

– Nolsøe twierdzi, że nic mu nie grozi – odezwała się Frida.

– Nie wątpię.

– W jego ocenie społeczność Vestmanny być może dopuściła się aktu wandalizmu, ale na tym się skończy. Poza tym teraz Olsen jest przecież niewinny.

– Będzie tak gadał, aż stanie się tragedia.

– Chyba że Olsen wyjedzie. Może zamieszkacie razem w Kopenhadze, co o tym sądzisz? Jednocześnie parsknęły śmiechem, jak na komendę.

– To niezupełnie absurdalna wizja – dodała Skovmand. – Sielankowa, ale nie do końca wydumana.

Może byłaby to prawda, gdyby nie to, że Katrine wciąż poddawała się leczeniu. Lekarze robili dobrą minę do złej gry, ale rokowania nie były najlepsze. Ciągłe powtarzano jej, że

musi być silna, że najwięcej zależy od podejścia pacjenta, jego determinacji i psychiki, ale to tylko potwierdzało, że nie jest z nią najlepiej.

Nie czuła się dobrze, choć to akurat jej nie dziwiło. Radioterapia była uciążliwa, a po operacji czuła się, jakby straciła całe poczucie własnej wartości. Owszem, powtarzała rodzinie, że to tylko powierzchowna zmiana, że nie przykłada do tego takiej wagi, bo przecież nie to jest najważniejsze – prawda była jednak taka, że nie czuła się już jak kobieta.

Zaczęła nosić swetry maskujące efekt operacji. Moslund śmiał się, że wygląda jak Sarah Lund z serialu *Forbrydelsen*, ale tak naprawdę nie było mu wcale do śmiechu. Sytuacja stała się na tyle poważna, że dopuścił nawet Katrine do śledztwa w sprawie przemytu dziewczyn ze wschodniej Europy do Kopenhagi. Przyjął w końcu argumentację, że praca pozwoli jej skupić się na tym, co zawsze było dla niej najważniejsze.

Był to kolejny element budujący raczej nieciekawy obraz jej życia, ale starała się nad tym nie zastanawiać. Liczyło się to, że znów miała zajęcie, które ją pochłaniało – i dzięki któremu mogła przestać myśleć o usuniętej piersi, niezbyt dobrych rokowaniach i kolejnych zabiegach.

– Jak postępy? – rzuciła.

Mimo że Frida miała dzwonić do niej, ilekroć trafiali na coś nowego, to Katrine musiała dopominać się o informacje. Telefonowała do Fridy dwa razy dziennie, czując, że musi trzymać rękę na pulsie. Cokolwiek przydzieliliby jej na miejscu Kjeld, sprawa czaszki z Farojów wciąż pozostawała dla niej priorytetem.

– Utknęliśmy – oświadczyła Skovmand. – Sigvald coraz więcej czasu spędza w Tórshavn przy innych sprawach, a Mads Lykke jest jak dziecko we mgle.

– Mówiłaś, że jakoś sobie radzi.

– Radził sobie, dopóki miał się czym zająć. Teraz nie wie nawet, od której strony ugryźć ten problem.

– Rozmawiał z Halem?

– Nie.

– Niech to zrobi. Te listy są kluczowe.

– W to nie wątpię – przyznała Frida. – Ale skoro sam Olsen nic nie pamięta, nie wie, o co chodzi, i nie potrafił tego ustalić nawet z twoją pomocą, to dużo nam to nie da.

– Nigdy nie wiadomo. Macie teraz nowe fakty.



– Nowe? Niby jakie?

– Profil ofiary, niezbędne wyposażenie sprawcy i...

– Niezbędne wyposażenie? – zachnęła się Skovmand. – Tutaj co drugi gość ma kuter, a w osiemdziesiątym trzecim chyba wszyscy nurkowali.

– Jest jeszcze *sóknarongul*.

– Co?

– Hak... szpikulec, o którym mówił Hallbjørn.

Katrine usłyszała westchnienie po drugiej stronie linii. Wiedziała, co Frida sądzi na temat tej koncepcji, ale tym razem nie zgadzała się ze Skovmand. Być może racjonalny ogląd przesłaniała Katrine sympatia do Olsena, ale na tym etapie jego wersja była równie prawdopodobna, jak jej.

– Wciąż uważam, że takim narzędziem nie można by zadać podobnego ciosu – burknęła Skovmand. – Nie wbiłoby się odpowiednio głęboko.

– Robiłaś testy?

– Nie. Ale moja wyobraźnia jest jak poligon. Możesz tam przeprowadzić próbną eksplozję termojądrową i uzyskasz wszystkie interesujące cię rezultaty.

– Stąd to spustoszenie w twoim mózgu.

– Co proszę?

– Nie, nic – odparła Katrin. – Chodzi mi tylko o to, że trzeba by to sprawdzić.

– Jak? Nie mam tutaj warunków do przeprowadzenia eksperymentu.

– Z pewnością znajdzie się jakaś czaszka w szpitalu w Tórshavn...

– Z pewnością – zgodziła się Frida. – Co nie znaczy, że dadzą mi ją do rozwalenia, prawda? Przypuszczalnie mają tutaj studentów medycyny, którzy potrzebują takich rzeczy, żeby się dowiedzieć, gdzie jest kość czołowa, ciemieniowa, skroniowa...

– Nie mają tam uniwersytetu medycznego.

– Ano tak – przyznała Skovmand.

– Większość młodych studiuje medycynę w Danii i w Polsce. Jakieś śladowe ilości na Węgrzech.

Frida mruknęła coś pod nosem, a Katrine nie kontynuowała tematu. Przemknęło jej za to przez głowę, że dość dobrze poznała Wyspy Owcze. I mimo surowości ich klimatu, odosobnienia i nieprzyjaznej przyrody brakowało jej tego miejsca.

Faroje szybko torowały sobie drogę do serc przyjezdnych. Mieszkańcy powtarzali jej to

często, ale sądziła, że to jedynie puste słowa, które powtarza się wszędzie. Przekonała się jednak, że było w nich sporo prawdy.

– Sprawdź ten trop, Frida – powiedziała. – Jeśli okaże się, że masz narzędzie zbrodni, być może uda wam się...

– Co? – przerwała Skovmand. – Co ma się nam udać? Drepczemy w miejscu i nic tego nie zmieni.

– Mimo wszystko im więcej materiału dowodowego, tym większe prawdopodobieństwo, że na coś trafisz.

– To błędzenie we mgle.

Ellegaard się uśmiechnęła.

– Jeszcze nie słyszałam lepszej definicji tego zawodu.

– Zawsze do usług – odburknęła Skovmand. – I skoro już jesteśmy przy moich zaletach, skorzystaj też z mojej dobrej rady. Idź do Kjelda i powiedz mu, że wracasz na Faroje.

– Mówiłam mu to.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano. I zapewniam cię, że słyszy to ode mnie codziennie.

– I nic?

– Absolutnie nic – westchnęła Katrine. – Jest nieugięty. Twierdzi, że muszę być na miejscu.

Zorientowała się, że zapędziła się stanowczo za daleko. Niewiele brakowało, a wspomniałaby o argumencie, który Moslund powtarzał jak mantrę. Na Wyspach Owczych nie ma odpowiedniej aparatury ani lekarzy, którzy w razie potrzeby mogliby jej pomóc. Ellegaard nie wiedziała, jaka miałaby to być potrzeba – przy jej chorobie trudno o nagłe, zagrażające życiu zdarzenie. Jeśli zacznie się dziać coś złego, efekt będzie tylko jeden.

Frida milczała przez chwilę, jakby rzeczywiście szukała drugiego dna w jej lekkomyślnie rzuconej uwadze.

– Niby dlaczego? – spytała w końcu.

– Rzekomo tutaj przydam się bardziej.

– Wariujesz tam. Słyszę to w twoim głosie. A teraz będzie tylko gorzej, skoro Hallbjørn wyszedł z aresztu. Cały czas będziesz...

– Nie myślę o nim.

– Oczywiście, że nie. Przynajmniej nie przez cały dzień, jak przypuszczam.

Przekomarzały się jeszcze trochę, po czym pożegnały się zdawkowo. Skovmand jak zawsze zapewniła, że zadzwoni jutro, by zdać raport z postępu prac. Katrine nie wątpiła jednak, że to ona będzie musiała wykonać telefon.

Na wejście do gabinetu Rikke Randrup czekała jeszcze tylko kilka minut. Już po przekroczeniu progu zorientowała się, że wieści nie mogą być złe. Lekarka uśmiechała się, co nieczęsto jej się zdarzało. Zazwyczaj miała zupełnie neutralny wyraz twarzy.

Wskazała policjantce miejsce przed biurkiem.

– Czyżby dobre rokowania? – zapytała Katrine, siadając.

– Bardzo dobre.

Ellegaard miała wrażenie, że na moment znalazła się w innym świecie. Nie tym realnym, w którym brodziła w coraz głębszym bagnie. Nagle wszystko jakby zmieniło barwy na jaśniejsze.

– Słucham? – spytała.

– Mam świetne wieści – poinformowała Randrup. – Przebadaliśmy każdy skrawek pani ciała, prześwietliliśmy je wzdłuż i wszerz, i nigdzie nie widać przerzutów.

Ellegaard poruszyła się nerwowo.

– Jest możliwe, że dopiero wystąpią?

– Odkrylibyśmy je do tej pory.

– Więc...

– Więc wszystko jest na jak najlepszej drodze do tego, by zupełnie pani wyzdrowiała.

– Naprawdę?

Nagle utrata piersi i wszystko, co się z tym wiązało, zaczęło mieć drugorzędne znaczenie. Lekarka skinęła głową i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, mimo to Katrine ciągle jeszcze nie do końca rozumiała, co się dzieje.

– Będziemy oczywiście monitorować sytuację i kontynuować radioterapię, ale teraz naprawdę można być dobrej myśli.

– Rozumiem – powiedziała Ellegaard, choć obie wiedziały, że to w istocie nieprawda.

Ile było w tym przesady? Z pewnością trochę, bo przecież chodziło o to, aby pacjent miał jak największą pewność, że wygrał tę batalię. Sama Rikke mówiła jej, gdy zaczynały, że klucz tkwi w psychice. Do pewnego stopnia ten hurraoptymizm musiał być skalkulowanym działaniem.

Randrup otworzyła leżącą przed nią teczkę, po czym zaczęła czytać i interpretować

wyniki Katrine. Każdy pacjent na onkologii co nieco orientował się w nomenklaturze medycznej – chcąc nie chcąc Ellegaard wiedziała, o czym mowa. I rzeczywiście było dobrze, przynajmniej na tyle, na ile rozumiała wszystkie te dane. Może entuzjazm był uzasadniony?

Kiedy opuszczała gabinet, była przekonana, że naprawdę tak jest. Jadąc samochodem do domu, doszła jednak do wniosku, że przesadza. Uprawia myślenie życzeniowe. Potem, gdy otwierała piwo, znów poniosła ją fala optymizmu.

Przypuszczała, że tak będzie to wyglądało przez najbliższe miesiące. Nawet gdyby nie czytała o leczeniu i nie nasłuchiwała się od lekarzy długich wywodów na temat tego, jak ważny jest wymiar psychiczny, pewnie miałyby wątpliwości.

Pomyślała, że jest zbyt świadoma, by się wyleczyć.

Może innym się udawało – tym, którzy potrafili bezkrytycznie przyjmować rokowania lekarzy i nie grzebali w opracowaniach na własną rękę. Ci nie wiedzieli, jak kruche jest życie. Ci byli przekonani, że lekarz prowadzący to wyrocznia.

Zanim Katrine zasnęła, jej punkt widzenia zmieniał się kilkakrotnie. Przed snem zrobiła jeszcze jedną rzecz – usiadła przy komputerze, odnalazła odpowiedni druk, a potem go wypełniła.

Rankiem Kjeld Moslund miał odebrać wiadomość z podaniem o bezpłatny urlop. Katrine nie zamierzała dłużej zostawać w Kopenhadze. Czekał na nią Norweg, który domagał się tego, by świat usłyszał jego imię i nazwisko.

## 26

### 27 października, czwartek, godz. 19.49

Hallbjørn stał oparty o volvo, czując się, jakby na nowo przeżywał to, co już się zdarzyło. Nie minął nawet rok od momentu, gdy znajdował się w tym samym miejscu, czekając na tę samą osobę. Tamtym razem zakończyło się dramatem, teraz jednak zanosilo się na to, że będzie zupełnie inaczej.

Planowo samolot Katrine miał wylądować na Vágar o dwudziestej, ale Olsen dostrzegł boeinga już dwadzieścia minut przed czasem. Spodziewał się, że teraz maszyna kołuje do miejsca, w którym pasażerowie zaczną wysiadać.

Hallbjørn przełknął ślinę, czując, jak niemal grzęźnie mu w gardle. Co chwilę odwracał

się i patrzył przez szybę na deskę rozdzielczą, sprawdzając godzinę. Czas włókł się niemiłosiernie, a Katrine nadal nie było.

Odwracał się, zawieszał wzrok na wyjściu z lotniska, potem znów sprawdzał porę. Powtórzył schemat kilkanaście razy, zanim wypatrzył Ellegaard. Skróciła nieco włosy, miała na sobie gruby, wełniany, czerwonożółty sweter i czarną kurtkę. Od razu zauważył, że mocno schudła. Zawsze miała nieco pyzate policzki, co stanowiło część jej uroku, teraz jednak widać było wyraźnie kości policzkowe.

Zatrzymała się przed nim i uśmiechnęła.

– Tym razem nie mam kajdanek.

– Dzięki Bogu – odparł, a potem załadował jej torbę do bagażnika. – Stoję tu od pół godziny i zastanawiam się, czy będzie powtórka z rozrywki.

– Nie. Tym razem nikogo nie zabiłeś.

– Jesteś tego pewna? – mruknął, patrząc na nią spode łba.

Znów się uśmiechnęła, a potem wsiadła do volva. Docenił fakt, że dotarli do takiego etapu, by móc żartować z przeszłości. Hallbjørn uświadomił sobie to, co powinien wiedzieć już od dawna – miał do czynienia nie tylko z kobietą, ale także z policjantką. Być może już wcześniej dopuszczała możliwość, że jest niewinny, ale dopiero wyrok sądu mógł sprawić, że rozważy powrót do poprzednich relacji.

Usiadł za kierownicą i włączył silnik. Stare S70 wymagało przeglądu, ale w hierarchii priorytetów nie znajdowało się najwyżej. Najpierw musiał zająć się naprawą domu – i rodziny, jeśli to możliwe.

– Jak Ann-Mari? – spytała Ellegaard, jakby czytała mu w myślach.

– Trudno powiedzieć – odparł, wycofując auto na ulicę.

– Nie odzywa się do ciebie?

– Nie. Pewnie uważa, że ta linia obrony była moim pomysłem.

Kątem oka zauważył, że Katrine przechyliła głowę na bok. Nie musiał sprawdzać, by wiedzieć, że popatrzyła na niego z politowaniem.

– Twoja córka doskonale wie, że to był wybieg prawniczki. Jest znacznie bardziej rozgarnięta niż ty, Hal.

Właściwie miała rację. I wychodziło na to, że zna jego dziecko znacznie lepiej niż on sam. Nikt nie musiał tłumaczyć Ann-Mari, co zaszło, sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Być może nawet lepiej od niego.

– Poza tym nikt nie rzucił na nią cienia oskarżenia – dodała Katrine.

– Niby nie, ale... Sam nie wiem. To wciąż nie w porządku.

– Nie wiesz nawet, co się stało – odparła pod nosem Ellegaard. – Więc siedź cicho i pozwól organom ścigania pracować.

Nie miał zamiaru się spierać. Owszem, nie pamiętał tamtej nocy, a nie potrzeba było wiele wyobraźni, by dopuścić wersję, że rzeczywiście była to zмова milczenia nastolątek. Tylko gdzie w tym wszystkim znajdowała się jego córka? Jeśli wszystko odbyło się według takiego scenariusza, Ann-Mari była w to zamieszana.

Olsen odsunął od siebie tę myśl. Niech dochodzeniowcy robią swoje, z pewnością znajdą winnego. Dobrą kandydatką wydawała się Jytta Gregersen, dziewczyna, która uciekła z wyspy. Rzekomo zrobiła to, bo nie mogła dłużej skrywać tajemnicy Hallbjørna, ale może uciekała przed odpowiedzialnością?

Nie czuł się komfortowo, rozważając winę którejkolwiek z dziewczyn. Dawało mu to jednak oddech, którego tak bardzo potrzebował. Spojrzał na Katrine i uznał, że teraz nie pora zadrećcać się przeszłością. Ani tym bardziej przyszłością.

– Ładny sweter – rzucił.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem i zapięła kurtkę.

– Zakup w ostatniej chwili.

– Więc twoja wizyta jest spontaniczna?

– Można tak powiedzieć – przyznała. – Wysłałam szefowi wniosek o urlop i wsiadłam w samolot.

– Dlaczego?

– Męczy mnie ten Norweg i jego towarzyszką.

– Raczej piszczał towarzyszką.

Katrine zapatrzyła się w okno. Przez chwilę milczała.

– Nie mogę tego wszystkiego poukładać – odezwała się w końcu. – O co chodzi w tej sprawie?

– Nie wiem. I obawiam się, że nikt nie wie.

– Rozmawiałeś z Trondem Haugenem?

Hallbjørn obrócił się do niej, zdziwiony. Nie pamiętał nawet, że na którymś etapie śledztwa Ellegaard pytała go o tego człowieka. Potem zaś tyle się działo, że nie wracał myślami do niepewnych poszlak, na które trafili.

Pokręcił głową.

– Trzeba się z nim spotkać.

– Dlaczego? – zapytał. – Masz coś konkretnego?

– Tylko intuicję. Poza tym trop nas do niego zaprowadził, nieprawdaż?

– To dużo powiedziane...

– Tak czy owak, chcę go sprawdzić. I innych Norwegów również.

– Trochę ich tutaj jest. W dodatku nie wiem, czy jest sens zajmować się tymi, którzy mieszkają w Vestmannie. Nie lepiej skupić się na wyspach we wschodniej części archipelagu?

– Nimi też się zajmiemy. Ale Vestmanna jest istotna.

– Nie wydaje mi się – zaproponował Hallbjørn, wjeżdżając do tunelu. – Fakt, że znaleźliśmy tutaj tego grindwala, o niczym nie świadczy.

– A listy?

Wzruszył ramionami.

– Ktoś w osadzie wie, co się wydarzyło. I chce, żebyś sobie o tym przypomniał. To nie jakaś durna gierka, tylko realna poszlaka.

Miała rację, choć najchętniej by tego nie przyznawał. Społeczność Vestmanny wycierpiała już swoje przez ostatni rok. Należał jej się oddech, a nie kolejna sprawa, która może ciągnąć się latami.

W drodze na Fjalsvegur Katrine streszczała wszystko, co wiedziała na temat śledztwa. W pewnym momencie wyłączyła dzwoniący telefon – Olsen przypuszczał, że to szef stara się z nią skontaktować.

Parkując pod domem, Hallbjørn nie wiedział, jaki widok zastanie. Wprawdzie po wyroku nikt nie uciekał się do gróźb, nikt go nie zaczepiał i nikt nawet krzywo na niego nie patrzył, ale niewiele było trzeba, by Svein i jemu podobni zabrali się do roboty.

Wszystkie dykty tkwiły nadal w oknach. Powstawiał je z samego rana, by zapewnić Katrine nieco prywatności i w końcu pozbyć się przeciagu. Najchętniej wprawilby nowe szyby – miał już nieco doświadczenia w takich sprawach – poza sezonem pracował dorywczo przy remontach – ale już wydatek na dykty mocno nadszarpnął jego finanse.

Wystawił volvo na sprzedaż, ale chętnych na razie nie było. I nie spodziewał się, by w najbliższym czasie miało się to zmienić. Popyt na samochody na Farojach nie był zbyt duży.

Ellegaard wysiadła z auta i obrzuciła wzrokiem budynek.

– Nic nie mów – uprzedził ją Hallbjørn. – Przerabiałem to już, kiedy przywiozłem tu Anette Westerholm.

– Nocowała u ciebie?

– Nie żartuj.

Weszli do środka, Olsen postawił jej torbę w przedpokoju, w miejscu, gdzie normalnie leżał plecak córki. Rozejrzał się, pocierając ręce. Było trochę za chłodno, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdyby miał kominek, sprawa byłaby prosta, ale Karla uparła się na nowoczesny i minimalistyczny salon. Nie było w nim miejsca na żadne palenisko.

– Musisz zacząć płacić rachunki, Hal.

– Też powoli dochodzę do tego wniosku.

– Mówię poważnie. Zamarzniesz tutaj.

Zrobili sobie herbatę i usiedli w kuchni. Olsen do tej pory łudził się jeszcze, że Katrine zdecyduje się zostać. Patrząc jednak na jej minę, nie mógł dłużej na to liczyć.

– Masz jakieś środki na koncie? – spytała.

– Nie. Kancelaria Fabritius Tengnagel & Heine wydoiła mnie niemal do ostatniej korony. Twierdzili, że dostanę odszkodowanie za bezprawne pozbawienie wolności, ale raczej nie mogę na to liczyć.

– Nie?

– Odsiadka poszła na poczet kary za to, że ukryłem ciało.

Tę jedną rzecz akurat mogli mu udowodnić. Odciski palców na ciele, ich rozłożenie i inne ślady wskazywały na to, że to on umieścił zwłoki Pouli na akwakulturze na Lómundaroyrn. Wciąż nie wiedział, dlaczego to zrobił. Może w pijackim otępieniu doszedł do wniosku, że w ten sposób skomplikuje sprawę tak bardzo, że organy ścigania nie dotrą do prawdy? Może liczył na to, że tam ciało szybko się rozłoży? A może miał zamiar zatopić je w zbiorniku, ale Holgar bądź ktoś inny go spłoszył?

Na te pytania nie uzyska już odpowiedzi. Ale były inne. Jeśli się na nich skupi, może nie zwariuje.

Napił się herbaty, czując, jak płyn parzy jego zziębnięte gardło. Katrine obracała kubek na stole, wbijając w niego wzrok. Sprawiała wrażenie mocno zaniepokojonej. Nie kontynuowała tematu jego opłakanej sytuacji finansowej, najwyraźniej odpłynęła myślami gdzieś daleko. Nie próbował sprowadzać jej na ziemię.

W końcu podniosła głowę. Nabrała głęboko tchu i na chwilę zatrzymała powietrze w



płucach.

– Mam raka – powiedziała.

– Słucham?

– To znaczy... miałam – sprostowała. – Nowotwór złośliwy piersi. Drugie stadium.

– Co takiego?

– Przeszłam operację, a teraz jestem w trakcie radioterapii. Bez niej miałabym prawdopodobieństwo nawrotu rządu od dwudziestu do trzydziestu procent, z nią zmniejsza się do dziesięciu.

– Ale...

– Radioterapię robi się, bo nie sposób usunąć wszystkich komórek. Z tego, co wiem, najtrudniej osiągnąć tych za mięśniem. W moim przypadku nie wygląda na to, żeby były zainfekowane, ale radioterapia jest konieczna.

Katrine wypuściła powietrze. Hallbjørn patrzył na nią z niedowierzaniem, próbując ogarnąć umysłem to, co właśnie usłyszał. Jego wzrok machinalnie ześlizgnął się na jej piersi. Rzeczywiście, mógł dostrzec różnicę. Potrząsnął głową.

– Ale... – zdołał wydukać.

– To nie najlepszy komentarz, ale przypuszczam, że twoja reakcja mogłaby być gorsza.

– Jak... jak to możliwe? Dlaczego nic nie mówiłaś i...

– Streściłam ci wszystko w pigułce, Hal. Nie ma co tego rozdrapywać.

Teraz przełknięcie śliny przyszło mu z jeszcze większą trudnością niż na lotnisku. Jak, do cholery, powinien się zachować? Czego oczekują ludzie w takiej sytuacji? Ellegaard sprawiała wrażenie opanowanej, zresztą miała wiele czasu, by uporać się z emocjami. Nie potrzebowała teraz gorliwego wsparcia, współczucia i troski. Ale w takim razie czego?

– Dowiedziałam się na Fugloy.

Pokiwał głową, gorączkowo poszukując właściwej odpowiedzi.

– Kiedy rozmawiałeś ze swoją ciotką i wujem.

– Rozumiem – bąknął w końcu.

– I niewiele więcej mogę ci powiedzieć. Wygląda na to, że będzie dobrze. Mam być dobrej myśli, bo to najważniejsze, *et cetera*.

– Ale... ale jakie są rokowania?

– Takie, jak ci przedstawiłam. Pieprzonych dziesięć procent, że to wróci.

– Raczej dziewięćdziesiąt, że nie wróci.

Z namaszczeniem skinęła głową. Zapewne słyszała to od każdego lekarza. Hallbjørn podrapał się po głowie, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że to robi. Spojrzał na włosy Katrine.

– Nie wypadają – oznajmiła. – Radioterapia to miejscowy zabieg. Tracisz owłosienie tylko w miejscu, gdzie skierowane jest promieniowanie.

– Aha.

Ellegaard zaśmiała się cicho.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Nie wiem, co mógłbym...

– Spokojnie. Widzę, że jesteś w szoku. Ja też byłam.

Napił się herbaty. Uznał, że to dobre wyjście. Musiał zrobić cokolwiek, byleby nie trwać w bezruchu i czymś się zająć.

– Ile osób o tym wie?

– Ja, ty, Moslund... moja rodzina, znajomi. Fridzie Skovmand zapewne powiem przy najbliższej okazji, nie ma już chyba sensu utrzymywać tego w tajemnicy. – Wskazała na klatkę piersiową.

Hallbjørn w końcu doszedł do tego, co powinien powiedzieć. I co tak naprawdę chciał wiedzieć.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Nie narzekam. Najgorsze mam już za sobą.

Było to pocieszające, ale jednocześnie wywołało ukłucie żalu lub poczucia winy, Olsen nie potrafił tego dokładnie określić. Nie było go przy niej, kiedy najbardziej potrzebowała pomocy. Nie mógł służyć jej wsparciem, nawet powierzchownym.

Ale teraz w pewnym stopniu mógł to nadrobić. Mógł pomóc jej odkryć prawdę o Norwegu z Viðvík.

– Więc czujesz się na siłach, żeby poprowadzić dochodzenie? – zapytał.

– Tak. Co nie zmienia faktu, że jestem na urlopie, więc o dochodzeniu nie może być mowy.

Pokręcił głową i uśmiechnął się blado.

– Zapewniam cię, że czeka nas śledztwo, jakiego Faroje jeszcze nie widziały – powiedział.

## 28 października, piątek, godz. 9.11

Katrine kilkakrotnie budziła się w nocy. Nie wysypiała się od dawna, chodziła nieco zmęczona, ale tutaj ten stan najwyraźniej miał sięgnąć zenitu. Przez pół nocy kręciła się w łóżku, zawinięta w kilka kołder. Było stanowczo za zimno, w dodatku nie mogła przestać myśleć o sprawie.

Teraz, kiedy była z powrotem na miejscu, to wszystko jeszcze bardziej nie dawało jej spokoju. Ellegaard układała w głowie scenariusze, próbowała zobaczyć twarz człowieka, którego ciało ktoś ukrył w zatoce. Szukała potencjalnego sprawcy, potencjalnego motywu... czegokolwiek, co tłumaczyłoby, co zaszło. I co wyjaśniałoby, dlaczego kobieca piszczel znalazła się na dnie.

Weszła do kuchni i zobaczyła, że Hallbjørn nastawił już wodę na herbatę. Kiwnęła mu głową na powitanie i przeciągnęła się.

– Niewygodnie się spało? – spytał. – Powinnaś spróbować zmieścić się na łóżku Ann-Mari.

– Jestem gościem, Hal. Z zasady biorę największą sypialnię. W dodatku jestem chora.

– Często będziesz używać tego argumentu, prawda?

– Taki mam zamiar.

Wyciągnął z pudełka ostatnie torebki liptona.

– Nie powinnaś być na terapii? – zapytał. – Możesz ot tak zrobić sobie przerwę?

– Nie ja ustalam terminarz – odparła, otwierając jedną z szafek. Nie znalazłszy niczego do jedzenia, spróbowała w kolejnej. – Radioterapia trwa jakieś pięć tygodni, ale nie dzień w dzień. Zazwyczaj od poniedziałku do piątku, weekendy są wolne.

– Wczoraj miałaś zabieg?

– Z samego rana.

– I możesz potem... zwyczajnie funkcjonować?

– Jestem trochę zmęczona, ale generalnie to nie wyklucza mnie z życia – oznajmiła, zatraskując szafkę. – Nie masz nic do jedzenia?

– Obawiam się, że nie.

Wypili herbatę, ubrali się, a potem pojechali do centrum. Ellegaard zaproponowała, by

zjedli w kafejce Disvoy – kiedy byli tam ostatnim razem, odniosła wrażenie, że serwują dobre śniadania. Hallbjørn uświadomił jej jednak, że lokal jest otwierany dopiero późnym popołudniem.

Zostało im Krákureiðrið, gdzie istniała duża szansa, że natkną się na Fridę Skovmand. W normalnych okolicznościach znajdowałyby się w terenie, badając ślady, ale w tej sytuacji zapewne nie było dla niej nic do roboty przez całe dni.

Katrine nie miała nic przeciwko spotkaniu. Przeciwnie, chętnie zamieniłaby ze Skovmand kilka słów. Obawiała się jednak, że jeśli tylko się do niej odezwie, zaraz pojawi się zaciekawiony Mads Lykke. A wówczas nie będzie musiała długo czekać na polecenie służbowe powrotu do Kopenhagi.

Weszli do jadalni i rozejrzeli się po zebranych. Frida siedziała przy oknie, obserwując bezmyślnie jachty w porcie. Zauważyła Katrine dopiero, gdy podeszli do niej z Olsenem.

Skovmand okazała emocje w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Wreszcie – odezwała się. – Myślałam, że prędzej doczekam się uśmiechu na gębie Nolsøgo niż ciebie na Farojach.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Ellegaard i Hallbjørn zajęli miejsca przy stoliku. Frida sprawiała wrażenie, jakby za długo spała. Miała zapuchnięte oczy, włosy w nieładzie i wyglądała na stanowczo zbyt wypoczętą. Niemal zrelaksowaną, co stanowiło pewną aberrację.

– Moslund przyklepał twój wyjazd? – zainteresowała się Frida.

– Wzięłam urlop.

– Można i tak – przyznała Skovmand. – Przynajmniej dopóki Lykke cię nie przyfiluje.

– Zatrzymał się w Krákureiðrið?

– Nie. Wypożyczył przyczepę kempingową.

Katrine spojrzała na Olsena.

– Niedługo będziecie sąsiadami.

– To znaczy? – zdziwiła się Frida.

– Hallbjørn ma na tyle duże braki w portfelu, że może pożegnać się z domem.

Skovmand pokiwała głową, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Trzeba było nie brać wielkiej kancelarii z Kopenhagi, tylko jakąś lokalną papugę – zauważyła. – Choć z drugiej strony mógłbyś wtedy na dobre zadomowić się w Vestre Fængsel. Ta mowa końcowa była naprawdę dobra.

– Mhm – potwierdził Olsen.

Zjedli śniadanie, a potem Frida zaprowadziła ich do pokoju. Ze sterty dokumentów wyciągnęła listę nazwisk, które przygotowali dla nich rybacy podczas popijawy u Holgara Isaksena. Większość pozycji była skreślona.

– Jacyś Norwegowie? – zapytała Katrine.

– Nie, sami rodowici Farerowie.

Frida pochyliła się nad skórzaną torbą i przez chwilę w niej grzebała, mruczając coś pod nosem. W końcu wyjęła kolejny plik kartek. Podała go Katrine.

– Co to jest?

– Kopia raportu z Kopenhagi, którą sobie wydrukowałam. Potwierdza, że rana mogła być zadana tym... – Frida urwała i rozłożyła ręce.

– *Sóknarongul* – odpowiedział Hallbjørn.

– Czymś tam. – Skovmand zaczęła przerzucać kartki, co kilka stron śliniąc palec. W końcu znalazła to, czego szukała, i podała zestawienie Katrine. – To jest lista tych, których podali nam kumple Holgara, zestawiona z tymi, których wskazali inni rybacy. Część wykreśliśmy jako nieprawdopodobnych kandydatów, bo w osiemdziesiątym trzecim przebywali poza Farojami. Część wyeliminowaliśmy, bo nie mieliby warunków, żeby kogokolwiek zabić niepostrzeżenie. Oto, co zostało.

Ellegaard spojrzała na długą listę nazwisk. Kątem oka dostrzegła, że Hallbjørn stanął obok niej. Mieli szczęście, że Frida była na miejscu – gdyby przyszło im współpracować z jakimkolwiek oficerem policji, a nie technik kryminalistyki, zapewne oboje zostaliby odprawieni z kwitkiem.

– Tu jest ze sto nazwisk – odezwał się Olsen.

– Niestety. Okazuje się, że sporo u was właścicieli kutrów, którzy mają suk... sok... odpowiedni sprzęt.

– No tak – przyznał Hallbjørn. – Niektórzy twierdzą, że nie ma sensu rozgraniczać słów „rybak” i „Farer”, bo to pierwsze mieści się znaczeniowo w drugim. Każdy na jakimś etapie życia zajmuje się połowem.

W tej sytuacji było to dość problematyczne. Przepytanie tych wszystkich ludzi, sprawdzenie ich alibi sprzed trzydziestu dwóch lat, a w końcu poznanie potencjalnych motywów z osiemdziesiątego trzeciego roku było właściwie niemożliwe.

– Rozmawialiście z każdym z nich? – spytała Katrine.

– My? – prychnęła Skovmand. – Trzymałam się od tego najdalej, jak mogłam. Ale Sigvald i Mads Lykke skrupulatnie odhaczali nazwisko po nazwisku.

– Jakież wnioski?

– Tylko takie, że wybrałaś sobie najbardziej parszywą robotę na świecie.

– A oprócz tego?

– Cóż... – Frida spojrzała na kartkę i westchnęła, jakby po latach rozłąki zobaczyła starego znajomego. Czy może raczej zaprzysięgłego wroga, poprawiła się w duchu Katrine.

– Wszystko sprowadza się do DNA, prawda?

Katrine i Hallbjørn zgodnie pokiwali głowami.

– Zawęziliśmy listę potencjalnych podejrzanych, więc teoretycznie mogliśmy zacząć badania porównawcze. Grupa była liczna, ale...

– Teoretycznie?

– W praktyce okazało się, że na wyniki będziemy musieli poczekać. To nie odcinek *CSI*, tylko prawdziwe życie. – Skovmand wzruszyła ramionami. – Zazwyczaj zajmuje to od miesiąca do pół roku.

Ellegaard zakłęta pod nosem.

– Sądziłam, że mamy solidny materiał.

– Mamy, ale brakuje nam magika, który zastąpiłby komputer. Bez niego musisz liczyć na łut szczęścia, bo tylko on lub magiczna różdżka mogą pomóc. Podobnie jest z odciskami palców.

– To znaczy? – zainteresował się Olsen.

– Nie jest tak, że wprowadzamy je do systemu i nagle na ekranie przewijają się dziesięć tysięcy odcisków w przeciągu ułamka sekundy. Porównujemy je metodą punktową, komputer oczywiście jest niezbędny, ale to też trwa kilka godzin.

– Mniejsza z odciskami – powiedziała Katrine. – Potrzebujemy wyników badań genetycznych.

– Mnie to mówisz?

– Jest jakaś możliwość, żeby przyspieszyć cały ten proces?

– Jest.

Katrine skierowała na Fridę pytający wzrok.

– Więcej ludzi. Więcej komputerów. Więcej środków.

– Innymi słowy, ograniczenie jest natury organizacyjnej.

– Zgadza się – potwierdziła Frida. – Komendę głównie obchodzi zbrodnia sprzed trzydziestu lat na Wyspach Owczych. Przymuszczalnie badaniem zajmuje się jakiś stażysta, który musi wszystko sprawdzać dwa razy.

– Więc nie potrzeba nam magicznej różdżki, tylko woli politycznej.

Skovmand się zaśmiała.

– Miałam na myśli właśnie to, że pojawienie się jednego lub drugiego jest tak samo prawdopodobne.

– Próbowaliście rozmawiać z Moslundem?

– A jakże. Mads dzwonił do niego trzy razy już pierwszego dnia. Raz, żeby się poskarżyć, drugi raz, żeby wybuchnąć, a trzeci, żeby przeprosić. Żaden z telefonów nie odniósł zamierzonego celu, jak możesz się domyślić.

Ellegaard odgarnęła grzywkę na bok. Od kiedy skróciła włosy, grzywka nieustannie jej przeszkadzała, opadając na czoło. Z jakiejś przyczyny zmiana fryzury wydawała jej się jednak konieczna. Może podświadomie chciała skierować uwagę ludzi na tę różnicę w jej wyglądzie, by nie dostrzegli innej? Zapewne tak.

Wyprostowała się i wyrzała przez okno. Nikogo w Danii nie interesował trup w jakiejś odległej farerskiej zatoce. Tym bardziej kość piszczelowa, która nie powinna się tam znajdować. Dodatkowo sprawę komplikował fakt, że ofiarą był Norweg.

– Nie wszystko stracone, Kat – rzuciła lekkim tonem Skovmand.

Katrine zmarszczyła czoło. Bodaj pierwszy raz Frida tak ją nazwała. Trudno było powiedzieć, czy to poufałość, czy może drwina. Kat i Hal. Tak, ta druga możliwość była znacznie bardziej prawdopodobna.

– Co masz na myśli?

– Na uniwersytecie odtwarzają wygląd tego nieszczęśnika.

– Najwyższa pora – wtrącił Hallbjørn. – Mają już twarz?

– Nie, ale radzą sobie całkiem nieźle. Zrekonstruuują go w przeciągu kilku dni, góra kilkunastu.

– Na ile to będzie miarodajne? – zapytał.

– Na tyle, na ile miarodajna jest mediana pewnych ludzkich cech. Gdy ma się całą czaszkę, to właściwie nie problem.

– Robią model komputerowy?

– Skądże! Mówiłam coś o CSI, tak? – spytała Frida i popatrzyła po rozmówcach. Potem

nachyliła się nad stołem. – Najpierw przyczepiają do czaszki niewielkie markery tkankowe. Chodzi tylko o to, żeby wiadomo było, jak gruba powinna być warstwa skóry. Potem jadą z plasteliną.

– Poważnie?

Skovmand skinęła głową.

– W ten sposób udało się znaleźć całe mnóstwo zaginionych. To znaczy, cóż... już po fakcie, więc może powinnam powiedzieć, że udało się zidentyfikować, do kogo należą zwłoki. Po zrobieniu zdjęcia nakładają tylko odpowiedni gradient w Photoshopie i puszczają zdjęcie w świat. Zazwyczaj ktoś się odzywa.

– Oby teraz też tak było.

– Oby – zgodziła się Frida.

Zjadłszy niezbyt obfite śniadanie, Katrine uznała, że pora przestać liczyć na to, do czego dojdą technicy i inni członkowie personelu wspomagającego śledczych. Przyszedł czas na kwintesencję czynności dochodzeniowych – długie, zmudne i monotonne drążenie najtwardszej skały, czyli człowieka.

Zaczęli wraz z Hallbjørnem od Norwegów mieszkających w Vestmannie. Już na wstępie Katrine przycisnęła Tronda Haugena, wypytując go bez ogródek o to, gdzie mieszkał w osiemdziesiątym trzecim, z kim utrzymywał kontakt, czym się zajmował i gdzie wyjeżdżał na wakacje. Przypomnienie sobie wszystkiego zabrało mu trochę czasu, ale szczęśliwie skupił się na tym na tyle, by się nie zastanawiać, co Katrine Ellegaard robi z powrotem na Farojach.

Ostatecznie Haugen okazał się ślepym zaułkiem. Trzydzieści lat temu wprawdzie był już na wyspach, ale nie miał wtedy dostępu do kutra. Ponadto inni Norwegowie, których przepytali tego dnia, twierdzili, że Trond nie opuszczał Vestmanny. Wyglądało na to, że na tym froncie niczego nie uda się zdziałać.

– Nie będziesz mieć problemów? – zapytał Hallbjørn, gdy przesłuchali ostatniego z Norwegów. – Za udawanie oficera na służbie czy coś w tym stylu?

– Moslund się wścieknie, ale nie na tyle, by złożyć parasol, który nade mną trzyma.

W normalnych okolicznościach mogłaby w to wątpić, ale teraz korzystała z okresu ochronnego. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, to wydłuży się on do następnych pięciu lat. Potem ryzyko nawrotu zniknie, a okres ochronny się skończy.

Ellegaard podciągnęła rękaw i spojrzała na zegarek. Dochodziła już dziewiętnasta i



dopiero teraz Katrine uświadomiła sobie, że spędzili cały dzień na przepytywaniu mieszkańców. I do niczego nie doszli.

– Jak, do cholery, mamy to rozwiązać? – wymamrotała. – Jak liczyć na jakikolwiek przełom, skoro drepczemy w miejscu?

– Nie wiem.

– Robię wszystko *by the book*, tak jak tego wymaga sztuka. A mimo to nie posuwamy się do przodu.

Olsen milczał. Widziała, że chciał rzucić coś krzepiącego, ale w porę się powściągnął. Słusznie, puste słowa nie mogły niczego zmienić. Potrzebowali konkretów.

– Na razie proponuję zrobić zakupy – odezwał się. – Tak żebyśmy dla odmiany mieli co zjeść jutro rano.

– Nie zamierzam spędzać kolejnej nocy w tamtej ruderze, Hal.

– Nie?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

– Jak tylko skończymy się babrać z tymi przesłuchaniami, zamierzam wynająć przyczepę kempingową i przespać całą noc. W ciepłym, zamkniętym pomieszczeniu, które od nocnego chłodu dzieli coś więcej niż tylko dykta.

– Kusząca wizja – przyznał i przez moment się zastanawiał. – Ale sądziłem, że już skończyliśmy nagabywanie Norwegów.

Rozejrzała się. Tak, miał rację, ostatni adres, pod który trafili, był także ostatnim zapisanym na liście w Evernote, którą ułożyła. Katrine westchnęła, a potem wskazała kierunek do sklepu. Starła się pomyśleć o czym innym, wiedząc, że chwila wytchnienia dla umysłu może zaowocować świeżą perspektywą.

Nie, to były brednie. W ostatnim czasie odpoczywała od Farojuw dostatecznie długo. Gdyby miała zyskać nowe spojrzenie na sprawę, dawno by się to stało. Zatrzymała się przed lodówką z napojami i powiodła wzrokiem po puszkach.

– To naprawdę kraj Trzeciego Świata – mruknęła.

Hallbjørn łypnął na nią z ukosa.

– A wydaje się, że to Unia Europejska – dodała.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że nie można tu kupić alkoholu w normalnym sklepie.

– Przecież wiesz, że jest monopol.

– To niezgodne z zasadami gospodarki rynkowej.

Olsen wzruszył ramionami z taką obojętnością, jakby rzeczywiście mu to nie przeszkadzało – i jakby był przyzwyczajony do tego, że przyjezdni zżymają się na to za każdym razem, gdy zaschnie im w ustach.

– To kompletny idiotyzm – podsumowała Ellegaard.

– W Szwecji też mają ograniczenia w sprzedaży.

– Od dwudziestej drugiej, z tego co pamiętam. To nie to samo, Hal.

– Co zrobisz... – bąknął, otwierając lodówkę. Wyciągnął puszkę coli, choć Katrine nie pamiętała, by wcześniej pijał tę płynną mieszankę cukru, sodu, karmelu, kofeiny i aromatów. – Tak było, jest i będzie.

– Najwyraźniej.

– Jesteśmy bardzo konsekwentnym narodem.

Poszedł z puszką do kasy, a Ellegaard została przy lodówce. Patrzyła pustym wzrokiem przed siebie. Jej myśli uciekły daleko. Nagle ją olśniło.

Zyskała nową perspektywę – perspektywę, której potrzebowała. I pomyśleć, że wszystko dzięki zakazowi handlu alkoholem w komercyjnych sklepach.

Farerowie byli konsekwentni, to prawda. Należeli do najbardziej wytrwałych, upartych, niezmiennych i metodycznych ludzi. Można było o nich powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że zmierzając do celu, gotowi byli zawrócić w połowie drogi. Było w tym coś z wikińskiej ambicji i przekonania o własnej sile.

– Hal...

Nie usłyszał, skupiając całą uwagę na tym, by wysupłać z portfela pieniądze na colę. Katrine potrząsnęła głową i szybko podeszła do Olsena. Rzuciła banknot na ladę, a potem spojrzała uważnie na Hallbjørna.

– Uważam, że coś przegapiliśmy.

Kasjerka wydała resztę, a Olsen otworzył puszkę. Wyszli na zewnątrz.

– Co takiego? – zapytał, oblizując usta.

– Listy.

– A konkretniej?

– Dlaczego przestałeś je dostawać?

– Sam nie wiem – odparł, proponując jej colę.

Katrine pokręciła głową, pospiesznie kierując się do stojącego na parkingu volva.

– Skoro komuś zależało, by dać ci wskazówki, dlaczego przestał to robić? Bez żadnej zapowiedzi, bez żadnego przełomu, bez czegokolwiek, co uzasadniałoby zmianę podejścia? To się nie trzyma kupy.

– Może ktoś się wystraszył, że zaczęliśmy grzebać.

– Nie. Wtedy zrezygnowałby dużo wcześniej.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i spojrzał na nią ponad samochodem.

– Więc jakie masz wytłumaczenie? – spytał.

– Żadnego.

Wsiedli do auta.

– Uważam, że przegapiłeś wiadomość.

– Nie wydaje mi się – zaproponował, przekręcając kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył przy trzeciej próbie i dopiero wtedy uruchomiło się radio. Z głośników popłynęły dźwięki tradycyjnej farerskiej muzyki. – Jak miałbym ją przegapić?

– Zastanów się nad tym.

– Zastanawiam, ale...

– Nadawca musiał wiedzieć, że czeka cię proces.

– I dlatego przestał przysyłać listy.

– Nie.

– Nie? – skrzywił się. Stare S70 zakaszłało, a potem wytoczyło się na drogę. Pojechali w kierunku Fjalsvegur.

– Co byś zrobił na miejscu nadawcy? – zapytała i ciągnęła, nie czekając na odpowiedź.

– Ja śledziłabym dokładnie to, co się dzieje. Wiedziałabym, że zbliża się proces, i zadbałabym o to, żeby przed jego rozpoczęciem dostarczyć ci ostatnią wiadomość. Ale w żadnym wypadku nie odpuściłabym ot tak.

Ściągnął brwi i zredukował bieg, gdy wjeżdżali pod pierwsze ze wznesień. Wydał z siebie długi, basowy pomruk, w którym Katrine usłyszała aprobatę dla swojej teorii.

– Może masz rację – przyznał. – Ale nie widziałem nigdzie żadnej koperty.

– Nie wątpię.

Popatrzył na nią pytająco.

– Masz tam taki burdel, że nietrudno coś przegapić.

Niełatwo było z tym polemizować. A jeśli już, należałoby uznać, że użyte przez nią określenie jest poważnym niedomówieniem. Zaparkowali pod domem Hallbjørna, a potem

szybko weszli do środka.

Rozejrzeli się po zawalonej gratami podłodze w przedpokoju, ale nie dostrzegli nigdzie żadnej koperty. Katrine przykucnęła przy drzwiach, po czym zaczęła metodycznie przetrząsać wszystko, co znajdowało się w holu. Już po kilku minutach znalazła to, co ją interesowało.

W triumfalnym geście uniosła zaklejoną kopertę z czaszką.

– Niech mnie cholera. – Olsen pokręcił głową. – Rzeczywiście przegapiłem.

– Przypuszczalnie byłeś pijany.

– Prawie na pewno – przyznał z bladym uśmiechem, a potem sięgnął po list.

Ellegaard cofnęła rękę, podniosła się i przeszła do kuchni. Nie miała zamiaru dawać mu satysfakcji przeczytania wiadomości. Najpierw chciała to zrobić sama. Należało jej się to.

## 28

### 28 października, piątek, godz. 20.21

Olsen zgniół puszkę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Właściwie nie musiał się fatygować – wystarczyłoby, żeby ją cisnął na podłogę w korytarzu. Katrine miała rację, że poziom entropii w jego domu osiągnął szczyt. Najwyższy czas rozważyć, czy opłaca mu się jeszcze tu mieszkać. Może znajdzie jakiegoś Duńczyka lub Norwega, który szuka kawałka ziemi na Wyspach Owczych? Na innych potencjalnych kupców trudno było liczyć. Nikt w Vestmannie nie będzie chciał domu, w którym mieszkał morderca.

Hallbjørn spojrział wyczekująco na Ellegaard. Przeczytała treść wiadomości, a potem podniosła wzrok. Olsen oparł się o kuchenny blat.

– I? – ponaglił ją.

Odchrząknęła i rozprostowała kartkę.

– „W twojej przeszłości kryje się mrok” – odczytała.

– Nie mów – mruknął. – Naprawdę?

– „W przeszłości zamierzchłej. Przed Poulą Løkin, przed Tuzlą”.

Hallbjørn obszedł wyspę kuchenną i stanął obok Katrine. Nie chciało mu się wierzyć, że ktoś zwracał się do niego w tak bezpośredni sposób, wymieniając z nazwy bośniacką wioskę, pod którą doszło do wymiany ognia między siłami duńskimi i serbskimi.

– „Tam też kryją się odpowiedzi” – zakończyła Katrine i podała mu kartkę.

Obejrzał list z obu stron, jakby biały papier mógł powiedzieć mu coś więcej. Nie było sensu opylać go argenteratem i liczyć na to, że pędzelek ujawni jakiegokolwiek odciski palców – Skovmand sprawdzała poprzednie listy i stwierdziła, że ktokolwiek je podłożył, nosił rękawiczki. Biorąc pod uwagę temperatury panujące na Farojach, nie było w tym nic dziwnego.

Olsen położył kartkę na stole i usiadł po drugiej stronie, naprzeciw Ellegaard. Spojrzeli na siebie bez wyrazu, jakby żadne z nich nie wiedziało, jak interpretować te słowa.

Cisza stawała się coraz cięższa, wypełniała pomieszczenie, zdawała się osiadać na nich jak skraplająca się mgła.

– Jaki mrok, do cholery? – zapytał w końcu Hallbjørn. – Wiem, że nie jestem materiałem na samarytanina, ale... – Urwał i rozłożył ręce. – Co to ma znaczyć?

– Najwyraźniej to, że masz związek z tymi kośćmi.

– Byłem wtedy dzieckiem, miałem związek co najwyżej z pierwszymi kreskówkami, które leciały na SVF. I to naszymi, bo Televarpið zakupiło prawa do emisji zagranicznych programów dopiero w dwa tysiące drugim roku.

– A jednak...

– Choć nie, SVF zaczęło nadawać chyba dopiero w osiemdziesiątym czwartym.

– A jednak wiadomość jest jasna.

Hallbjørn potarł czubek głowy. Włosy zaczynały mu odrastać – jeszcze trochę i może przestanie przypominać więźnia, a na powrót zacznie typowego Farera. Z pewnością pomoże w tym spadek masy mięśniowej. Od jakiegoś czasu Olsen zaniechał ćwiczeń i nie spieszyło mu się, by znów je podejmować. Kojarzyły mu się jednoznacznie z niewielką celą i brakiem innych zajęć.

– Może jednak ktoś sobie ze mnie drwi?

– I zadawałby sobie tyle zachodu, żeby po prostu dać ci prztyczka? Nie, nie sądzę.

– Więc może źle obliczono wiek tych kości...

– Niewykluczone – przyznała Katrine. – Ale to by znaczyło, że jednak masz dziurę w pamięci.

Uznał, że na tym etapie musi odsunąć wszystkie wcześniejsze przypuszczenia co do tych tajemniczych listów. W dochodzeniu posuwali się dalej, zbierali kolejne okrucieństwa dowodów, ale to było coś innego. Coś personalnego, co nie podlegało zasadom śledczych.

– Pora to zapakować i wysłać do Kopenhagi, Hal.

– Słucham?

– Przeanalizują gramaturę papieru, głębokość czcionki i inne rzeczy, o których istnieniu nie mam nawet pojęcia – wyjaśniła z uśmiechem. – Nie ma sensu tego trzymać. Niech zajmą się tym specjaliści.

Namyślał się przez chwilę, choć wiedział, że Katrine ma rację. Fakt, że sprawa była osobista, nie znaczył, że materiał nie może pomóc w rozwiązaniu sprawy. On załatwił swoje porachunki z nadawcą tak czy inaczej.

– Okej – powiedział, a potem podsunął jej kartkę.

– Gdzie jest reszta?

– Trudno powiedzieć – odparł, rozglądając się. – Gdzieś tutaj na pewno...

Tylko przez moment udało mu się znieść ciężki wzrok Ellegaard. W końcu wstał i zaczął szukać listów. Udało mu się znaleźć wszystkie, choć zajęło to trochę czasu. Przejrzał je od początku, zanim oddał Katrine.

– Widać, że ktoś się rozkręcał – zauważył. – Najpierw rzucał jedynie ogólności, potem stawał się coraz bardziej precyzyjny.

– Żałuję, że nie zastawiliśmy sideł.

– Co takiego?

Katrine spojrzała w stronę korytarza.

– Mogliśmy zamontować niewielką kamerę przed wejściem.

– Mogliśmy – przyznał. – Gdybyśmy wcześniej mieli pewność, że nadawca wróci. Po naszym ostatnim spotkaniu mogło być różnie.

Mruknęła potakująco.

– Tym bardziej jestem przekonana, że komuś naprawdę na tym zależy... – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Na czym?

Potrząsnęła głową.

– Na tym, żebyś odkrył prawdę – wyjaśniła. – Inaczej zrezygnowałby po tym, jak niemal złapałeś dzieciaka.

Hallbjørn w zadumie pokiwał głową. To wszystko rzeczywiście potwierdzało, że chodzi o realną pomoc, a nie o drażnienie się z nim. Z drugiej strony znacznie łatwiej byłoby, gdyby nadawca po prostu napisał, o co chodzi. Dlaczego tego nie robił? Olsen nie miał pojęcia.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak prześledzić twoją przeszłość.
- Świetnie.
- Może dotrzemy nawet do wydarzeń z dzieciństwa, które skrzywiły twoją psychikę.
- Nie wiedziałem, że jest skrzywiona.

Ellegaard popatrzyła na niego w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że to rzecz absolutnie oczywista.

- Nie żartuj – powiedziała. – Żaden normalny Farer nie idzie do duńskiego wojska.
- Coś w tym jest.
- Nie mówiąc już o ukrywaniu ciała dziewczyny na akwakulturze.

Nie odpowiedział. Nie miał zamiaru dopuszczać do siebie tej myśli, nawet jeśli był to tylko ponury żart. Dotychczas jakoś sobie radził ze świadomością swoich win, teraz jednak przychodziło mu to z trudem. Powód był prosty – jeszcze niedawno miał pewność, że dopuścił się okropnych czynów. Ale teraz zaczął wszystko podawać w wątpliwość. Pojawiła się nadzieja, sprawiając, że trudniej było pogodzić się z niektórymi rzeczami.

Niewiedza jest błogosławieństwem, a niepewność przekleństwem. Ta wyświechtana fraza nie mogła być prawdziwsza.

- Chcesz się dowiedzieć, co robiłem w osiemdziesiątym trzecim? – odezwał się.
- Oczywiście. To kluczowe.
- Mogę ci odpowiedzieć od razu.
- Proszę bardzo – odparła i skrzyżowała ręce na piersi, przyjmując pozę typowego śledczego. Zauważył, że poczuła się nieswojo. Szybko zmieniała ułożenie rąk.
- To było chyba mniej więcej wtedy, gdy wydano *Skilnaður*, więc musiałem już umieć czytać.

– Co to takiego?

– Książka dla dzieci autorstwa Marianny Debes Dahl. Urodziła się tutaj, w Vestmannie, publikowała sporo powieści dla dzieci, i najmłodszych, i nieco starszych, a także dla dorosłych. Zaczytywałem się w nich w latach osiemdziesiątych. Wcześniej czytali mi je rodzice. Marianna uczyła także w naszej szkole i prowadziła audycje w radiu.

Zaległo milczenie. Przez moment patrzyli na siebie i Olsen nerwowo poruszył się na krześle.

- No dobrze... Może to nie do końca istotne.
- Cieszę się, że to zauważyłeś. Bo chodzi raczej o pozostałe rzeczy, jakie w tamtym

czasie robięś, niekoniecznie związane z czytaniem bajek dla dzieci.

Wyprostował się.

– To znaczy? Sugerujesz, że czegoś się dopuściłem jako ośmio- czy dziesięciolatek?

– Tak wskazywałaby logika.

– To absurdalne.

– Niekoniecznie – odparła stanowczo. – Tkwi w tobie coś... coś, co każe ci stawać w opozycji wobec innego człowieka. I to nie tylko na płaszczyźnie umysłowej czy werbalnej.

– Co takiego?

– Przywdziałeś mundur i strzelałeś do ludzi, kiedy tylko osiągnąłeś odpowiedni wiek, prawda?

– Tak, ale to o niczym nie świadczy.

– Normalnie nie – powiedziała, pochylając się. – Może to wynikać z zamiłowania do prawdziwie męskich ról społecznych, z braku innych perspektyw czy z miłości do ojczyzny. Ale w tym przypadku nie wchodzi w grę żadna z tych rzeczy, prawda? Wy z zasady nie macie kompleksów, gdy chodzi o poczucie własnej, wikińskiej męskości. Nie mogłeś narzekać na brak perspektyw, bo ojciec zostawiał ci biznes...

– Biznes? On pływał do Vestmannabjörgini z turystami, co to za biznes?

– Zawsze jakaś perspektywa – odparła Katrine. – A o miłości do ojczyzny trudno mówić, bo wstąpiłeś do powszechnie znienawidzonej armii.

Olsen się uśmiechnął.

– Twierdzisz, że moje motywacje były wynaturzone?

– Nie. Twierdzę, że masz potrzebę bycia w stałym konflikcie z ludźmi.

Hallbjørn nigdy nie sądził, by drugi człowiek potrafił zdiagnozować czyjś problem lepiej niż sama zainteresowana osoba. A przynajmniej do tej pory żył w takim przeświadczeniu. Katrine miała jednak rację. Przejrzała go, poznała lepiej, niż on sam znał siebie. W dodatku zrobiła to jakby bezwiednie, wplatając swoje spostrzeżenie w rozmowę pozornie dotyczącą czego innego.

– Oho. Chyba trafiłam w sedno – zauważyła.

– Sam nie wiem.

– Widać po tobie, że wiesz.

Znów zamilkli. Rzadko zdarzało się, by Olsen zastanawiał się nad tym, jak ukształtowała go przeszłość. Skoro jednak miały tkwić w niej jakieś odpowiedzi, być może warto było



dosięgnąć fundamentów, na których ukształtował się jego charakter?

Ellegaard patrzyła na niego wyczekująco. Wyglądała na zadowoloną z siebie, czemu się nie dziwił.

– Postawiłaś mi cholernie dobrą diagnozę.

– Wiem. I choć nie jesteś gotów, by to przyznać, musisz wiedzieć, że nie jest zbyt odkrywczą. Każdy psycholog po rzuceniu okiem na społeczność Vestmanny stwierdziłby dokładnie to samo.

Wprawdzie pod jego domem nie paradowały tłumy manifestujące przeciwko obecności Hallbjørna w mieście, ale trudno było nie zgodzić się z Katrine. To, na co pracował przez całe życie, teraz przybrało wręcz gargantuiczny rozmiar. Jeśli potrzebował potwierdzenia, że szuka zwady z każdym, zawsze i wszędzie, to teraz je miał.

– W porządku – powiedział. – Osiemdziesiąty trzeci rok...

– Mówisz jak starzec.

– Którym jestem. Gdy przekroczysz czterdziestkę, to też będziesz brzmiała nostalgicznie.

– Mniejsza z tym. Zastanów się nad tym, co wtedy robiłeś.

– Przydałby mi się konkretny miesiąc, byłoby łatwiej. Przez cały osiemdziesiąty trzeci robiłem pewnie wiele mniej lub bardziej głupich rzeczy.

Katrine wzruszyła ramionami. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zawęzą w żaden sposób obszaru poszukiwań. Musiał odwiedzić więcej miejsc w pamięci, niż był gotów.

– Podczas roku szkolnego sprawa będzie prosta – zaczął. – Robiłem to, co każdy inny dzieciak, a jeśli miałem wolne popołudnia, to albo czytałem Debes Dahl, albo pomagałem ojcu przy kutrze.

– Łowił?

– Oczywiście. Poza sezonem utrzymywaliśmy się tylko z tego. Przed wakacjami czyścił łajbę, starając się usunąć zapach ryb, a potem głównie pływał do Vestmannabjörgini. Wtedy też zmieniały się moje obowiązki.

– Jak?

– Albo pomagałem mu w prowadzeniu dokumentacji, albo zajmowałem się domem, albo... cóż, prawdę mówiąc, nie pamiętam, jak spędzałem wolny czas. Pewnie tak, jak w każdym innym roku, kiedy byłem dzieckiem. Biegaliśmy po okolicznych wzniesieniach, bawiliśmy się w wikingów, tłukliśmy się nawzajem, zabiegaliśmy o względy dziewczyn, podchodziliśmy do chaty starego Mikkelsena, wyzywając się przy tym od tchórzy... i tak

dalej.

– Może do czegoś wtedy doszło?

– I nie pamiętałbym o tym?

Pytanie właściwie było retoryczne. Należało przyjąć, że w jego przypadku wszystko jest możliwe.

– Okej – przyznał. – Ale nie wierzę, że nikt by o tym nie wspomniał. Gdybyśmy przypadkiem ukatrupili jakiegoś podstarzałego Norwega, jestem pewien, że nie przeszłoby to bez echa.

– Co jeszcze robiłeś?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– To z grubsza wszystko. Pewnie pomagałem matce w kuchni, choć niespecjalnie mi to szło.

– Nie wyjeżdżałeś nigdzie?

– Gdzie? – zaśmiał się. – I za co? Nie latamy do ciepłych krajów, jak być może zauważyłaś. A teraz mamy możliwości, kiedyś ich nie było. Lot do Kopenhagi zajmuje... ile?

– Dwie godziny.

– Właśnie. A kiedyś, żeby przedostać się na kontynent, trzeba było sobie zarezerwować kilka dni na samą podróż. I łączyć wcześniej odpowiednie środki. W wakacje zresztą się pracowało. Wyjątkiem była sytuacja, kiedy jeździłem na Fugloy, do ciotki Tórunn.

– I twojego uroczego wuja Ingibjörga.

– Mhm – potwierdził Hallbjørn. – Bywałem u nich średnio dwa tygodnie w roku, może w osiemdziesiątym trzecim także.

– Trzeba ich o to zapytać.

– Ostatnio nie byli zbyt chętni do rozmowy.

– Ale tym razem pojedziesz do nich sam, bez Dunki, która wyraźnie podziałała na nich jak płachta na byka. I po drodze odwiedzisz rodziców Karli.

– A co oni mogą wiedzieć?

– Pamiętają, co się działo w Vestmannie w latach osiemdziesiątych.

– Podobnie jak wielu innych, którzy mieszkają bliżej.

– Właśnie w tym tkwi problem – odparła Ellegaard tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Badając jakąkolwiek małą społeczność, musisz szukać ludzi, którzy ją opuścili. To oni

będą gotowi przekazać ci najwięcej informacji.

– Może masz rację.

– Ja w tym czasie rozejrzę się po okolicy.

– To znaczy?

– Nie zamykacie drzwi, prawda? – spytała z uśmiechem. – Poszperam trochę w okolicznych budynkach gospodarczych, poszukam potencjalnego materiału dowodowego, a jeśli na coś trafię, wezwę Madsa Lykkego.

Nie brzmiało to jak najlepszy pomysł, na jaki Katrine wpadła w całej swojej karierze, ale przynajmniej nie będzie bierna.

– W dodatku powinniśmy wynająć przyczepę kempingową. Nie zniosę kolejnej nocy tutaj.

– My?

– Zapłacę, Hal.

– Miałem na myśli raczej to, że razem... Będzie to wyglądało...

– Niech wygląda. – Wzruszyła ramionami. – Najwyższa pora, żeby mieszkańcy zobaczyli, że możesz być niewinny nie tylko w majestacie prawa, ale też w świetle zwykłej ludzkiej moralności.

Nie poszedłby tak daleko w swoich wnioskach, choć chciałby, aby tak było.

– Jest jeszcze jeden problem – odezwał się. – Co, jeśli nadawca obserwuje dom? Co, jeśli czekał, aż wrócę, i zamierza dać mi kolejną wskazówkę?

Poczuł, że to słowo było nadużyciem. Listy nie stanowiły wskazówek, raczej niejasne poszlaki, które równie dobrze mogły mącić, jak i rozjaśniać obraz. Katrine jednak nie zaoponowała. Namyslała się przez chwilę.

– Racja – przyznała w końcu. – Zostaniemy.

– I możemy skorzystać z twojego pomysłu.

– Z nagrywaniem? Nie mamy sprzętu, to trzeba by zorganizować wcześniej.

– Niekoniecznie. Mam na podorędziu Jóhana, a u niego zawsze jest elektroniki pod dostatkiem. Właściwie z tego utrzymuje rodzinę.

– Tak, pamiętam, że zwozi sprzęt z Norwegii – odparła Katrine i powiodła wzrokiem po kuchni, jakby sytuacja zmusiła ją, by zaczęła postrzegać to miejsce jako tymczasowy dom. Zlustrowawszy zniszczone szafki, spojrzała na Olsena. – Odwiedź go. Może zmienił podejście.

– Jeśli tak, jeszcze dziś mielibyśmy kamerę – powiedział Hallbjørn z nadzieją.

Wstał, włożył kurtkę i zapiął ją aż pod szyję. Temperatura na zewnątrz nie przekraczała jednego stopnia, w dodatku lekko siąpiło. Grudniowe mrozy zbliżały się wielkimi krokami i dykty w oknach będą równie przydatne, jak klapki przy wyjściu na dwór.

Hallbjørn pożegnał Katrine, a potem pojechał w dół Fjalsvegur. Pod dom Barentsena dotarł kwadrans później, zziębnięty i wygłodniały. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w całym tym ferworze zapomnieli zrobić zakupy. Jedynym produktem przy kasie była puszka coli, którą wziął. Może pożyczycy parę groszy od Jóhana i coś kupi? Katrine z pewnością nie miałyby nic przeciwko.

Zadzwoił do drzwi, cofnął się o krok i wsunął ręce do kieszeni. Nasłuchiwał dźwięków z wnętrza domu. Ktoś zatrzymał film lub serial, a potem dały się słyszeć kroki. Hallbjørn odetchnął z ulgą, gdy zorientował się, że są ciężkie – niewątpliwie szedł Jóhan, a nie jego żona.

Jóhan otworzył drzwi, nie spoglądając przez wizjer. Przynajmniej tak można było wnioskować z zastygłego uśmiechu na jego twarzy.

– Hallbjørn?

– We własnej osobie.

– Co ty tutaj...

– Będziesz mnie tak witał za każdym razem, kiedy przychodzę?

Barentsen przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi. Zaklął pod nosem, ale nie na tyle cicho, by uszło to uwadze Olsena. Potem obejrzał się przez ramię i stanął tak, by zasłonić wizjer.

– Chcesz mi spierdolić wieczór? – zapytał.

Hallbjørn zawsze doceniał bezpośredniość w ich relacjach.

– Tak – przyznał.

– Dzięki. Tylko tego mi było trzeba.

Olsen westchnął.

– Znowu nawiązałeś poprawne stosunki z heterą? – zapytał.

– Staram się. Oglądamy *Najdłuższą podróż* na DVD.

Przeciętny Farer raczej ściągnąłby film z Internetu, ale Barentsen do przeciętnych nie należał. Kupował hurtem w Norwegii, zazwyczaj nie patrząc na to, co znajduje się w „promocyjnych pakietach”, jak nazywał zasoby, z których się zaopatrywał. Były to głównie

rzeczy zwinięte przy wyładowywaniu kontenerowców w porcie w Bergen. Roczne obroty w tamtym miejscu wynosiły mniej więcej sto dwadzieścia pięć milionów koron norweskich, a tonaż oscylował wokół pięćdziesięciu trzech milionów ton rocznie. W takim zamieszaniu współpracownicy Jóhana nie mieli problemu, by zwędzić to i owo.

– *Najdłuższą podróż?*

Bærentsen podrapał się po głowie.

– Film o gościu, który jeździ na rodeo – wyjaśnił. – Uratował taką... hm, dziewczynę. I ona, jak to uratowana dziewczyna, no wiesz...

– To książka Sparksa.

– Co?

– Czytałem w więzieniu.

Jóhan potrząsnął głową, jakby chciał odgonić tę myśl.

– Nieistotne – powiedział. – Ważne jest to, że odbudowuję relacje z żoną, a ty możesz sprawić, że cały mój trud pójdzie na marne.

– Codziennie odbudowujesz, Jóhan.

– Takie, kurwa, życie – mruknął Bærentsen. – Czego chcesz, do cholery?

– Potrzebuję jakiegoś sprzętu do nagrywania.

– W Tórshavn jest sklep, a dodatkowo zawsze możesz sprawdzić w...

– Potrzebuję na teraz.

– To masz problem, bo sklepy dawno pozamykali, a ja nie mam nic takiego.

– Chodzi o kamerę, niewielką... właściwie jak najmniejszą.

– Nie pomogę.

– Daj spokój – zaapelował Hallbjørn, sięgając po formułkę, która w prawdziwej męskiej przyjaźni zasadniczo powinna załatwić sprawę od ręki. Więcej nie trzeba było mówić. A przynajmniej nie powinno to być potrzebne.

– Naprawdę nie mam nic na stanie. Przyjdź w poniedziałek, będę po dostawie. Wszystko już poszło.

Olsen zaklął pod nosem. Wiedział, że przyjaciel mówi prawdę – gdyby miał pod ręką coś takiego, szybko wręczyłby mu urządzenie i się go pozbył. Teraz narażał się na to, że żona dowie się, kto przyszedł. Tyle wystarczy, by znalazła pretekst do jednej ze zwyczajowych scen, które mu systematycznie urządzała.

Jóhan rozejrzał się nerwowo na boki.

– Pójdiesz już? – bąknął.

– Coś taki nerwowy?

– Mówiłem, że...

– Mówiłeś, mówiłeś. Ale to, że naprawiasz relacje, jest akurat normą. Co się dzieje?

Baerentsen potarł skronie i westchnął. Najwyraźniej sprawa rzeczywiście była bardziej skomplikowana, niż początkowo to przedstawił.

– Mamy żałobę – wyznał.

– Co narobiłeś? Zabiłeś w końcu jej kota?

– Nie wygłupiaj się, do kurwy nędzy. Sprawa nie nadaje się do żartów.

Hallbjørn skinął głową i przybrał poważny wyraz twarzy.

– Jej ciotka zmarła – szepnął Jóhan. – I to niespodziewanie.

– Przykro mi.

– Była twarda jak klify Vestmannabjörgini, człowieku. Nie do zajechania.

Olsen przez moment się zastanawiał, próbując wyłowić z pamięci kobietę. W Vestmannie każdy znał każdego, każdy siedział kiedyś obok kogoś w Bryggjanie czy innym miejscu, każdemu zdarzyło się pożyczyć coś od każdego. Nie mógł jednak przypomnieć sobie zmarłej.

– Miała dobrą osiemdziesiątkę na karku, może nawet dziewięćdziesiątkę, ale trzymała się, jakby była wykuta z żelaza. Moja żoźa jest zrozpaczona, stąd film.

– Więc chyba można było się spodziewać?... No wiesz?

– Nie, absolutnie nie. Pieprzony okaz zdrowia.

– To co się stało?

Baerentsen wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo, stąd całe zamieszanie.

– Zamieszanie?

– Rodzina przesiedziała dzisiaj u nas cały dzień. Wszyscy jak jeden mąż uznali, że coś w całej sprawie śmierdzi. O dziwo, nikt cię nie podejrzewa o zabójstwo, ale w razie czego bądź gotów. Ta rodzina jest nienormalna.

– Jóhan! – wrzasnęła piskliwie żona Baerentsena, jakby na potwierdzenie słów męża. Ten wzdrygnął się i obrócił przez ramię.

– Już idę! – odkrzyknął, a potem spojrział na przyjaciela. – Nie chorowała, nie miała problemów z krążeniem.. No, przynajmniej nie takie, jak powinna mieć w tym wieku.

Organizm miała tak wydolny, jakby planowała, że nas wszystkich przeżyje. I wczoraj w nocy, ni stąd, ni zowąd, kaput.

– Jak się nazywała?

– Rannvá Jákupsdóttir.

Olsen słyszał już to nazwisko, jak zresztą każde na wyspach. Nie pamiętał jednak tej kobiety.

– Nie kojarzysz?

– Nie.

– Zawsze się mówiło, że wie, kiedy przyplływają ławice grindwali. Ojciec do niej chodził pytać. Chyba razem z twoim, z tego, co pamiętam.

Dopiero teraz Hallbjørn zaskoczył. Przypomniał sobie pomarszczoną, starą kobietę, która mieszkała na Niðari Vegur. Wydawało mu się, że odwiedził ją nawet z Katrine, kiedy szukali tropów jak dzieci we mgle. Był wtedy u niej wnuczek.

– Jóhan! – upomniała się o uwagę żona przyjaciela. – Co tam robisz?!

Bærentsen skrzywił się i szybko wyciągnął rękę do Olsena. Ten uścisnął ją i nie zdążył nawet powiedzieć, że przyjdzie w poniedziałek po kamerę, bo Jóhan znikł szybko w korytarzu i zatrzaskał za sobą drzwi.

Olsen natychmiast w nie załomotał. Jóhan zdążył zrobić może dwa kroki.

– Testujesz moją cierpliwość – mruknął, kiedy znowu otworzył drzwi.

– Potrzebuję pięćdziesięciu koron.

– Na co?

– Na narkotyki.

Bærentsen pokręcił głową, a potem sięgnął do komody w przedpokoju. Wyjął portfel, wybrał dwie pięćdziesiątki i wręczył Olsenowi.

– Masz stówę – oznajmił. – Ale pod warunkiem że tu nie wrócisz.

– *Deal.*

– Oddasz mi, jak staniesz na nogi.

– Dzięk... – zaczął Hallbjørn, ale nie dokończył, gdyż drzwi znów się zamknęły.

Jadąc w kierunku sklepu za kempingiem, Olsen myślał o zmarłej staruszce. Nie tak dawno mówił Ellegaard, że Niðari Vegur to coś w rodzaju najstarszej dzielnicy miasta. Farerowie byli długowieczni, spadkobiercy nie mogli liczyć na szybkie przejęcie rodzinnego domu. Zupełnie jakby wykrakał.

Zaparkował przy Fjarðarvegur i wysiadł z samochodu. Zrobił szybkie zakupy, nie przebierając zbytnio w i tak skromnym asortymencie. Miał do wyboru tylko gotowe produkty, w domu niczego nawet nie podgrzeje. Przy zakupach instant przemknęło mu jednak przez myśl, że mogą zalać je wrzątkiem. Nie będzie to ani wykwinna, ani przesadnie romantyczna kolacja, ale zawsze coś.

Wychodził ze sklepu zadowolony. Wrzucił torby do tyłu, a potem zatrzęsął drzwiami. Złapał za klamkę i już miał otworzyć samochód, kiedy usłyszał, jak ktoś go woła. Obrócił się, zaciekawiony, i szybko skarcił się w duchu za to, że nie rozpoznał głosu Sveina Fløtuma.

Przemknęło mu przez głowę, że najlepiej będzie, jeśli szybko otworzy drzwiczki i odjedzie. Nie było sensu wdawać się w przepychanki ze Sveinem, nawet jeśli tamten wyjątkowo nie miał ze sobą kumpli.

– Hej, Olsen!

Hallbjørn zastanawiał się przez moment. Nie miał złudzeń, że rozwiąże tę sprawę tu i teraz, że przemówi Fløtumowi do rozsądku i pozbędzie się największego upierdliwca. Jakiegokolwiek próby porozumienia będą tylko stratą czasu, a Katrine czekała.

Wsiadł do samochodu.

– Uciekasz? – rzucił Svein, podbiegając do volva.

Olsen westchnął, nie zdążywszy zamknąć drzwiczek. Fløtum szybko je chwycił i spojrzał na kierowcę spode łba.

– Taki strachajło się z ciebie zrobił?

– Daj mi odjechać, Svein.

– Nie ma mowy. Najpierw pogadamy.

W zasadzie była to niemała zmiana. Nawet jeśli ostatecznie Fløtumowi nie zależało na rozmowie, wcześniej jego podejście było diametralnie inne. Hallbjørn wbił wzrok przed siebie, powtarzając sobie w duchu, by zachować spokój.

– Nie mamy o czym gadać – powiedział. – Odsuń się.

– Nie mamy? A stara Jákupsdóttir to pies?

Olsen zgromił go wzrokiem.

– Odejdź. Naprawdę sądzisz, że zabiłem staruszkę?

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.

Svein przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar złapać go za kurtkę i



wyciągnąć z auta. Ostatecznie jednak cofnął się o krok i rozłożył ręce. Patrzył wyzywająco na Hallbjørna, zachęcając go, by wysiadł.

Olsen włożył kluczyk do stacyjki.

– No dalej, skurwielu – odezwał się Fløtum. – Pokaż, że masz jeszcze w sobie trochę ikry.

Hallbjørn spojrział na zegarek na desce rozdzielczej, a potem na torbę z zakupami. Ellegaard będzie mu wdzięczna za to, że nie tracił czasu na tego idiotę i przywiózł jedzenie. Odpalił silnik.

– Najpierw Karla, potem Poula, teraz pani Jákupsdóttir... Może zająłbyś się wreszcie jakimś facetem, Olsen.

– Wał się – odburknął Hallbjørn i sięgnął do klamki.

Zanim zdążył zamknąć drzwi, poczuł opór. Uświadomił sobie, że Fløtum natychmiast doskoczył do samochodu i chwycił za drzwiczki. Szarpnął je do siebie, niemal wyciągając przy tym Olsena z volva.

– Jesteś większą cipą, niż myślałem. A wydawać by się mogło, że w więzieniu cię trochę podszkolili.

Hallbjørn zaklął pod nosem. Zdawał sobie sprawę, że gdyby naprawdę chciał, dawno by odjechał. Logika nakazywała, by jak najszybciej okiełznać emocje i zniknąć, ale coś trzymało go na miejscu.

– Dobrze chociaż, że zabrali ci córkę – dodał Fløtum. – Ją też byś zabił, co?

– Zamknij mordę.

– Czy może miałeś wobec niej inne plany?

Irytujący uśmiezek Sveina niemal przepełnił czarę goryczy. Hallbjørn wysiadł z auta i zmierzył go spojrzeniem.

– Zabawiałeś się z nią, Olsen? Słyszałem kiedyś, jak mówiłeś Barentsenowi, że tak bardzo przypomina ci żonę. To by się zgadzało, co?

Hallbjørn zrobił krok w jego stronę, a Fløtum natychmiast zacisnął dłonie w pięści. Nie przybrał jednak postawy atakującej, lecz obronną. Olsen zdawał sobie sprawę, że jest prowokowany. Przeciwnik nie dążył do bijatyki po to, by dać mu po mordzie – chciał sprawić, że policja znów zainteresuje się Hallbjørnem.

Olsen zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów. Svein sprawiał wrażenie zawiedzionego.

– No tak – powiedział. – Z prawdą się nie dyskutuje, co?

Hallbjørn odwrócił się do samochodu. Słyszał, jak Fløtum zaśmiał się jeszcze pod nosem – sądził najwyraźniej, że to koniec, ale Olsen nie miał zamiaru odjeżdżać bez wysłania mu wiadomości. Hallbjørn sięgnął do klamki, jednak w ostatniej chwili zacisnął pięść, a potem gwałtownie się obrócił i z impetem przywalił prawym sierpowym. Celny cios zupełnie zdezorientował i obezwładnił przeciwnika. Svein zatoczył się na bok, osłaniając rękoma twarz. Mamrotał coś pod nosem, zapewne groźby, ale Hallbjørn ich nie słuchał. Wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku Fjalsvegur.

Pod domem wyciągnął zakupy i ruszył do wejścia. Katrine czekała w kuchni, opatulona grubym kocem, ogrzewając ręce przy kubku herbaty.

– Biorąc pod uwagę tempo znikania herbacianych zapasów, mogłem kupić liptona – powiedział, podnosząc siatkę.

Ellegaard spojrzała na nią z uznaniem.

– Zrobiłeś zakupy?

– Brzmi to, jakbyś nie dowierzała.

– Starczy powiedzieć, że nie miałam cię za przykładowego pana domu. A w dodatku podobno jesteś zupełnie splukany.

– To drugie to akurat prawda. Pożyczyłem od Jóhana.

– Kamery nie miał?

– Niestety. W poniedziałek będzie dostawa, może wtedy coś wskóramy.

Postawił siatkę na blacie, a potem zaczął wyciągać zakupy. Z dumą zaprezentował Katrine dwie paczki zupiek instant. Skinęła głową, jakby osiągnął coś, czego nie udało się wielu innym mężczyznom przed nim.

– I tyle czasu kupowałeś tych kilka rzeczy i dowiadywałeś się, że Bærentsen nie ma kamery?

– Spotkałem jeszcze pod sklepem starego znajomego.

– Aha.

– W dodatku Jóhan powiedział mi, że zmarła staruszka, którą odwiedzaliśmy na Niðari Vegur.

– Która?

Olsen zaczął opisywać Rannvę Jákupsdóttir, ale na nic się to zdało. Nic dziwnego, tamtego dnia zapukali do mnóstwa domów. Dopiero wspomnienie o wnuczku odświeżyło

pamięć Ellegaard.

- Dziwne – skwitowała. – Wyglądała jak okaz zdrowia.
- W tym wieku żadna śmierć nie jest dziwna.
- Może i masz rację.
- Ale rodzina nie przyjmuje wersji o tradycyjnym kopnięciu w kalendarz.
- Nie?

Pokręcił głową, zalewając zupki.

– Jóhan twierdzi, że ta staruszka nie tylko wyglądała na zdrową, ale i wyniki badań miała lepsze niż on sam.

Katrine ściągnęła brwi i nie odpowiedziała. Olsen zerknął na nią przez ramię.

- Chyba nie wierzysz w to, że ktoś ją zabił?
- Normalnie nie brałabym tego nawet pod uwagę – przyznała. – Ale w tej sytuacji trzeba się przyjrzeć wszystkiemu.
- Mówisz poważnie? To osiemdziesięcio- czy dziewięćdziesięciolatka, która zmarła.
- Z wnukiem, który mógł być posłańcem.
- Sprawdziliśmy go. – Hallbjørn pokręcił głową. – Nie przypominam sobie, żeby dał nam powody, by mieć choćby cień podejrzenia.
- Mimo wszystko rankiem dowiemy się szczegółów.

Olsen nie miał innego wyjścia, jak skinąć głową. Podał kolację, a potem zaczęli jeść w milczeniu.

## 29 października, sobota, godz. 9.18

Rozmowa z szefem była bodaj najgorszym sposobem na rozpoczęcie dnia, o jakim mogła pomyśleć Katrine. Dlatego postanowiła zignorować dzwoniącą komórkę i wyciszyła dzwonek, gdy szli w kierunku Hornavegur. Ulica znajdowała się w jednym z najwyższych punktów Vestmanny, wzdłuż niej ciągnęły się nowsze zabudowania.

Chłód o poranku przenikał na wylot. Ellegaard po raz kolejny postanowiła w duchu, że to ostatnia noc, jaką spędziła u Hallbjørna. Kiedy tylko porozmawiają z rodziną Rannvy Jákupsdóttir, pójdzie na kemping i wypożyczy przyczepę. Zaraz potem skorzysta z prysznic – a jeśli nie mają tam takich luksusów, poprosi Skovmand o udostępnienie łazienki w hotelu.

Stanęli przed drzwiami niewysokiego budynku, który nie mógłby być bardziej przeciętny. Miał białą, gładką elewację i czerwony dach. Nie wyróżniał się absolutnie niczym, przynajmniej z zewnątrz. W środku najpewniej trwała żałoba.

Hallbjørn zapukał. Czekali.

– Może nikogo nie ma? – odezwała się Ellegaard.

– A gdzie mieliby być w sobotę rano?

– Na nabożeństwie?

– O tej porze nie ma żadnego.

Wreszcie usłyszeli zbliżające się kroki, a moment później drzwi otworzyła im kobieta w szlafroku. Przetarła zaspane oczy i spojrzała na nich, jakby pochodzili z innego świata. Przez chwilę chyba sama nie mogła zrozumieć, dlaczego otworzyła drzwi, nie patrząc, kto przyszedł.

Katrine przywitała się, wyciągnęła legitymację służbową i pokazała ją kobiecie. Ta nagle się rozbudziła. Skierowała niepewny wzrok na Hallbjørna i cofnęła się odruchowo. Wyglądało, jakby chciała zamknąć drzwi.

– Mamy tylko kilka pytań, pani...

– Christiansen. Anne Christiansen.

– Możemy wejść?

– Ale... ale w jakiej sprawie?

– Chcieliśmy zapytać o pani matkę, Rannvę Jákupsdóttir.

Anne spuściła wzrok i zacisnęła usta. Olsen twierdził, że nie pamięta, czy Jákupsdóttir była matką tej kobiety czy jej męża, ale reakcja jasno wskazywała, że rozmawiali z córką Rannvy. Z domu doszedł lekki stukot butów, kiedy ktoś zbiegał po schodach z półpiętra.

– Ona...

– Odeszła, wiemy – wyręczyła ją szybko Katrine. – Możemy zająć chwilę?

– Tak, oczywiście, przepraszam... – odparła Christiansen i wycofała się do przedpokoju. Ściągnęła poły szlafroka, jakby nagle poczuła się naga, a potem zamknęła drzwi za gośćmi. – Proszę usiąść w salonie. Zaraz przyjdę.

„Zaraz” okazało się pojęciem względnym. Hallbjørn i Ellegaard czekali dobre dwadzieścia minut, nim Anne zjawiała się ponownie. W tym czasie nikt do nich nie przyszedł, choć słyszeli głosy dochodzące z kuchni. Mąż Anne i ich syn niewątpliwie już wstali.

W końcu kobieta do nich dołączyła. Podała im kawę, postawiła na stoliku przy kanapie półmisek z ciastkami, po czym usiadła na fotelu. Popatrzyła na nich badawczo. Miała głębokie cienie pod oczami, zaczerwienioną i podrażnioną skórę. Makijaż nie ukrył żałoby.

– O co chcieli państwo zapytać?

Nie był to najgorszy początek rozmowy. Katrine obawiała się, że zaczną od tego, co tu robi Hallbjørn. Kiedy przepytывali mieszkańców przy Niðari Vegur, często trafiali na opór. Może jednak po wyroku coś się zmieniło? Nie, nie było się co ludzić. Po prostu trafili na normalnych ludzi.

– Rozmawiałam już z panem Nolsøem – dodała Anne.

Wymienili spojrzenia.

– Kiedy? – spytała Ellegaard.

– Wczoraj. Niedługo po tym... po tym, jak zgłosiliśmy... – Urwała i potrząsnęła głową. – Co jeszcze mogę dodać?

Dobre pytanie, pomyślała Katrine. Nie zakładała, że Sigvald zjawił się tutaj, by przesłuchać rodzinę. Był to standard przy śmierci gwałtownej, ale w tym przypadku wszystko wskazywało na to, że wiekowa kobieta odeszła z przyczyn naturalnych.

Ellegaard zanurzyła ciastko w kawie i odgryzła kawałek.

– Nie kontaktowałam się z Sigvaldem Nolsøem – przyznała. – Prowadzę niezależne dochodzenie.

– Jak to?

Wzruszyła ramionami, przeżuując. Rozmówczynie doskonale wiedziała, kim jest Katrine. Wystarczyło dać jej chwilę, by sama poskładała wszystko w logiczną całość. Dania prowadziła swoje sprawy, Wyspy Owcze swoje.

Gdyby Ellegaard zaczęła ją mamić, naraziłaby się na odpowiedzialność karną. W końcu była na urlopie, nie mogła wykonywać swoich obowiązków, a tym bardziej wprowadzać obywateli w błąd. I tak ryzykowała, pokazując legitymację – choć uważała, by nie mówić, że przychodzi w celach służbowych.

– Niestety, więcej nie mogę powiedzieć – dodała.

Christiansen zastanawiała się przez moment.

– Rozumiem – odparła w końcu. – Ale... jaki związek ma moja mama z pani dochodzeniem?

– Nie wiem.

– Więc...

– Chcę po prostu porozmawiać, Anne – powiedziała przyjaznym tonem Ellegaard.

Christiansen popatrzyła na gości. Bezwiednie podsunęła im bliżej półmisek z ciastkami.

– Macie powody przypuszczać, że to nie była... że to...

– Niczego nie można wykluczyć na tym etapie.

– Pan Nolsøe twierdził, że nie doszło do żadnego przestępstwa.

Katrine przemknęło przez głowę, że kiedy rodzice umierają, dzieci w jakiś sposób wracają do bezbronnej, niemal niewinnej i naiwnej formy. Nie miało znaczenia, czy miały kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat. Efekt zawsze był ten sam.

– Nie zawsze zgadzamy się z Sigvaldem – odezwał się Olsen.

– Właściwie bardzo rzadko.

– Rozumiem...

– Jednocześnie nie chcemy tworzyć żadnych scenariuszy, dopóki nie mamy pełnego oglądu – dodała Katrine. – Stąd nasza wizyta. Co może nam pani powiedzieć?

Anne sięgnęła po ciasteczko, ale nawet go nie ugryzła. Obracała je w dłoni, przyglądając mu się pustym wzrokiem.

– Już blisko listopad... – szepnęła.

Ellegaard ani Hallbjørn nie odpowiedzieli. Kobieta podniosła wzrok.

– Mama zawsze w listopadzie żartowała, że zbliżają się pewnie już jej ostatnie święta.

Ale wszyscy wiedzieliśmy, że to nieprawda... zresztą ona sama też. Świetnie się trzymała, najlepiej z całej rodziny.

Katrine pokiwała głową, bo to na niej Anne skupiła wzrok.

– Ale kiedy już mówiła poważnie, zawsze mi powtarzała, że będzie wiedziała zawczasu, zanim odejdzie. I powie mi, żebym była gotowa. To była... bardzo...

Goście czekali cierpliwie, aż Christiansen się uspokoi. Wreszcie kobieta odetchnęła głęboko i usiadła wygodniej. Rozluźniła się nieco i lekko uśmiechnęła na jakieś wspomnienie o matce.

– Obiecywała, że nie obudzę się z ręką w nocniku – powiedziała Anne, rozbrajająco wzruszając ramionami. – Taka już była.

Katrine pochyliła się.

– Nie chorowała na nic?

– Nie, była ewenementem. Mojego męża przeraża, że odziedziczyłam po niej geny, bo twierdzi, że będę miała energię do narzekania jeszcze przez najbliższych pięćdziesiąt lat.

– Nie miała żadnych stresów?

– Mama? – spytała Anne i zaśmiała się niewesoło. – Ona przeszła już tyle, że niczym się nie przejmowała. Była dobrym człowiekiem, ale dawno pożegnała się z empatią. Zbyt wiele widziała.

– W państwa rodzinie nie działo się nic złego? Może jakieś problemy syna w szkole? – zapytała Ellegaard i zobaczyła jedynie, że w odpowiedzi kobieta kręci głową. – Nic z tych rzeczy? Wyglądało na to, że jest bardzo blisko z wnukiem.

– Tak, wyjątkowo. Ale nasz syn nie ma żadnych problemów. Przeciwnie, radzi sobie lepiej niż rok temu.

Katrine spojrzała na Olsena w poszukiwaniu pomocy. Ten jednak wpatrywał się w okno, marszcząc czoło. Przez chwilę wydało jej się, że jest znudzony, ale potem uznała, że nad czymś się zastanawia. Miała nadzieję, że to coś pomocnego, bo ten wywiad na razie prowadził donikąd.

– Jaką przyczynę śmierci ustalono?

– Ostra niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Ellegaard doskonale znała tę formułkę. Pojawiała się w dokumentacji medycznej dość często, bo była wyjątkowo pojemna. Pod tym pojęciem mógłby kryć się: zawał, ostra infekcja, sepsa, zatrucie lekami czy innymi środkami, a także poważny uraz.

- Skonkretyzowano przyczynę?
- Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.
- Przeprowadzono sekcję?
- Nie.
- Dlaczego?

– Nie chcieliśmy jej... a pan Nolsøe jasno oświadczył, że jeśli nie ma podejrzania, że stało się coś niezgodnego z prawem, nikt nie może nas do tego zmusić.

- Rozumiem – skinęła głową Katrine. – Ale warto byłoby ją zrobić.
- Nie... nie chciałabym tego. Ona również nie.
- Rozwieje to wątpliwości.
- Jakie?

Dotychczas Ellegaard sądziła, że ci ludzie mają podejrzania, że coś było nie w porządku. Tak należało przyjąć po rozmowie Hala z Bærentsenem, ale najwyraźniej Jóhan się mylił. Nic nie wskazywało na to, by Anne dopatrywała się w śmierci matki czegoś więcej niż osobistej tragedii. Owszem, podkreślała, że matka była okazem zdrowia, ale to nie znaczyło, że wierzy w zabójstwo.

- Jakie wątpliwości? – powtórzyła Anne.

Katrine pomyślała, że swoimi pytaniami i hipotezami może zburzyć względny spokój, który panuje w tej rodzinie. Jeśli w istocie do tej pory nie podejrzewali przestępstwa, teraz z pewnością zaczną.

Wybrała sobie naprawdę parszywą robotę, Skovmand miała co do tego rację.

- Chcemy po prostu wszystko sprawdzić.
- Ale... czy coś każe wam przypuszczać, że to nie... że mama nie odeszła z przyczyn naturalnych?

Ellegaard lekko wzruszyła ramionami i popatrzyła na Olsena. Nadal sprawiał wrażenie, jakby odpłynął myślami gdzieś daleko.

- Jak pani mówi, mama była nie do zdarcia – zauważyła Katrine i uśmiechnęła się lekko.
- Tak...
- Sprawdzamy każdą wersję, tylko o to chodzi. Sigvald Nolsøe skupia się na jednej, ja na innej.
- A ta inna to...
- W tej chwili jest niesprecyzowana.



Dopiero teraz Ellegaard zauważyła błysk w oku rozmówcy. Natychmiast zorientowała się, że źle oceniła sytuację. Anne Christiansen miała swoje podejrzenia, lecz nie zamierzała ich uzewnętrzniać, obawiając się kompromitacji. W takiej miejscinie wszelkie wieści rozchodziły się z prędkością błyskawicy. Gdyby wspomniała o tym Nolsøemu, jeszcze zanim dotarłby do Tórshavn, wszyscy wiedzieliby, że Anne tworzy teorie spiskowe.

Może dlatego jej męża nie było w pokoju? Może nie chciał po raz kolejny słuchać jej wywodów? Dla Katrine nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że w oczach Christiansen widziała realny niepokój połączony z nadzieją.

– Jak mogę pani pomóc? – zapytała Anne.

– Na początek potrzebowałabym wyników badań mamy. Możliwie najświeższych.

Christiansen przecesała włosy i zmrużyła oczy, zastanawiając się.

– Kilka miesięcy temu była w Tórshavn na rutynowej kontroli. Jeździła tam co roku.

– Ma pani wyniki?

– Nie, są u niej w domu.

– Moglibyśmy tam pójść?

– Oczywiście. – Anne podniosła się z miejsca. – Proszę dopić kawę, zaraz będę gotowa.

Katrine odprowadziła ją wzrokiem, po czym rozsiadła się wygodniej na kanapie. Miała nadzieję, że nie zjawi się mąż – według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie starał się przeszkodzić temu małemu śledztwu, zanim na dobre się rozpoczęło.

Nikt nie wchodził do pokoju, nie słyszała też żadnych kroków w korytarzu. Spojrzała na Olsena i szturchnęła go łokciem.

– Obudź się, Hal.

Popatrzył na nią, jakby dopiero się tutaj pojawiła.

– Zastanawiam się – odparł, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

– Nad czym?

– Później ci powiem.

– Okej. – Spojrzała w stronę drzwi. – A na razie skup się na tym, żeby wrócić na ziemię.

– Radzisz sobie lepiej beze mnie.

– To akurat prawda, co nie znaczy, że nie przydałaby mi się dodatkowa para uszu.

– Słucham uważnie, Katrine. Nawet bardzo uważnie.

Nie zdążył dodać nic więcej, bo usłyszeli, że zbliża się Anne. Wychyliła się z futryny i

posłała im blady uśmiech. Wstali i ruszyli za nią.

– Przyjechali państwo samochodem? – spytała. – Na Niðari Vegur jest kawalek.

– Niestety nie – odparła Katrine.

– Nie ma problemu. Weźmiemy mój.

Srebrny, rodzinny saab stał pod domem. Katrine w najlepszym przypadku przywodził na myśl jeden z pokracznych pojazdów, które pojawiały się w starych anime emitowanych w DR1 lub TV 2, a w najgorszym – ohydne monstrum. Innymi słowy, typowo szwedzka myśl technologiczna.

Usiadła na miejscu pasażera z przodu, Hallbjørn zajął miejsce za nią. Kiedy Anne przekręciła kluczyk w stacyjce, Olsen odchrząknął i przesunął się na środek kanapy.

– Mówiła pani, że mama wiele widziała, wiele przeszła – odezwał się.

Christiansen spojrzała na niego w lusterku, a potem wykręciła.

– Tak.

– Co miała pani na myśli?

Kobieta zastanawiała się przez moment, jakby dopiero teraz w ogóle przypomniała sobie, że coś takiego powiedziała. Skierowali się w dół Hornavegur.

– Cóż... chyba wszystko – odparła. – Przeżyła ciężkie czasy.

Hallbjørn pokiwał głową. Katrine rzadko widziała u niego tak skupiony wyraz twarzy. Doszedł do czegoś, ale wciąż nie mogła ustalić do czego.

– Widzi pani, zainteresowało mnie to.

– Dlaczego?

– Ponieważ w Vestmannie nie było żadnego kryzysu – zauważył. – W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie działo się tutaj nic, co sprawiłoby, że ludziom trudno by się żyło. Egzystencja jest tutaj *constans*.

Anne spojrzała na niego jak na idiotę, skręcając w główną ulicę.

– Osobistych tragedii też sobie nie przypominam – ciągnął. – A z pewnością byłoby o nich głośno.

– Ma pan rację.

– Więc dlaczego twierdzi pani, że życie tak mocno doświadczyło pani matkę?

– Bo przeszła mękę. Ale nie tutaj.

– Nie?

– Mieszkała jakiś czas na Fugloy, kiedy była młoda.

Katrine i Hallbjørn wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Kiedy to było? – zapytał Olsen.

– Trudno powiedzieć...

– Proszę się zastanowić.

– Ale jakie to ma znaczenie?

Dobre pytanie, pomyślała Katrine. Przypuszczała jednak, że odpowiedź na nie będzie jeszcze lepsza.

## 30

### 29 października, sobota, godz. 10.22

Weszli do domu przy Niðari Vegur z duszą na ramieniu. Nie było niczego przyjemnego w odwiedzeniu miejsca, gdzie kilkanaście czy kilkadziesiąt godzin wcześniej ktoś zmarł. Nawet jeśli nie było ogrodzone taśmami policyjnymi i przeczesywane przez techników kryminalistyki.

Hallbjørn omiół wzrokiem korytarz. Zastanawiał się, czy taśmy i technicy przypadkiem nie powinni się tutaj pojawić.

Anne Christiansen nadal układała sobie w głowie ciąg zdarzeń sprzed około trzydziestu lat. Problem polegał na tym, że nie miała wtedy dobrych relacji z matką. Niemal zerwały ze sobą kontakt na jakiś czas, jeśli wierzyć słowom Anne.

– Dlaczego tak się stało? – zainteresowała się Katrine, gdy wchodzili do kuchni.

– Mama była niepokieszona, że... Nie, to niewłaściwe słowo. Miała do mnie ogromny żal za to, że wyjechałam na studia do Aarhus.

– Studiowała pani w Danii?

– Tak. Weterynarię. Mama twierdziła, że nigdy nie wrócę na Faroje, otworzę praktykę w Aarhus i już tam zostanę. Ale nie taki był mój plan. Wybrałam te studia po to, żeby tutaj wrócić, bo brakuje u nas weterynarzy.

– I pogodziłyście się po powrocie?

– Nie od razu. Mama nie należała do osób, które łatwo przyznają się do błędu. Poza tym... sama nie wiedziałam, czy zostanę. Wymigiwałam się od odpowiedzi, kiedy mnie o to pytała.

Ellegaard pokiwała głową, a Olsen nadal się rozglądał. Przemknęło mu przez głowę, że

dobrze byłoby ściągnąć tutaj Fridę Skovmand. Nawet jeśli w domu nie doszło do zabójstwa, warto było go sprawdzić.

Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Kobieta mieszkała na Fugloy – a biorąc pod uwagę wiek Anne Christiansen i lata studiów, można było przypuszczać, że przebywała tam w okresie, kiedy doszło do morderstwa Norwega. Tylko czy miało to jakiegokolwiek znaczenie dla ich dochodzenia? Czy mogło doprowadzić do czegoś więcej?

Hallbjørn wiedział, że będą łapać się wszystkiego. Jak dzieci błądzące we mgle, chwyciliby nawet za ostrze, gdyby nagle wynurzyło się z oparów.

W domu nie dostrzegł niczego podejrzanego. Zresztą nawet jeśli ktoś zamordował staruszkę, nie stawiałaby przecież oporu. Nie było sensu szukać śladów walki.

Olsen potrząsnął głową. Co tak właściwie rozważał? Że ta kobieta została zabita, bo wiedziała za dużo? Wydawało się to niemożliwe. W Danii czy innym kraju europejskim byłby gotów w to uwierzyć, ale tutaj?

– Mieszkała na Fugloy w latach osiemdziesiątych – powiedziała w końcu Christiansen. – Mogę to bardziej sprecyzować, kiedy sięgnę do zdjęć.

– Bylibyśmy wdzięczni – odparła Katrine.

Hallbjørn obserwował kobietę, gdy szukała w szufladach wyników badań. Kuchnia była raczej dziwnym miejscem do trzymania takich rzeczy, ale kto wie?

– A jeśli chodzi o jej przejścia... – zaczęła Anne i westchnęła. – Wyjechała na Fugloy, przeżywała drugą młodość, zakochała się... niestety w niewłaściwym mężczyźnie.

– Co wtedy działo się z pani ojcem?

– Ojciec umarł młodo, zaraz po moich narodzinach. Zapalenie płuc.

– Matka spotykała się z kimś później?

– Przez wiele lat nie. Ale potem naprawdę ją dopadło, po części przeze mnie... W końcu zostawiłam ją tutaj samą.

Teraz Hallbjørn lepiej rozumiał, dlaczego doszło między nimi do scysji. Anne zostawiała nie tylko Faroje, ale także swoją samotną matkę. Nic dziwnego, że Rannvá szukała kogoś, z kim mogłaby dzielić trudy monotonnej, niełatwej egzystencji. Życie każdego Farera z zasady było naznaczone samotnością, nawet jeśli miał dużą rodzinę. Nikt nie chciał pogłębiać tego stanu.

– Gdzie poznała tego człowieka? – zapytała Katrine.

– Na Fugloy. Ale wiem to jedynie z jej opowieści...

Ellegaard zmarszczyła brwi i spojrzała na nią pytająco.

– Kiedy wróciłam ze studiów, już nie byli ze sobą.

– Co pani o nim wie?

– Niewiele. Tylko to, co mama mi powiedziała, kiedy... cóż, podczas tych okazji, kiedy mogłyśmy sobie wypić. Na trzeźwo o nim nie mówiła.

– Dlaczego?

– Bił ją, znęcał się nad nią psychicznie.

– Mieszkał na Fugloy? Czy przenieśli się tam razem?

– Nie wiem – odparła Anne, zamykając ostatnią z szuflad. Rozejrzała się, drapiąc się po dłoni. – Wyniki muszą być w przedpokoju – oznajmiła.

Kiedy wyszła z kuchni, Ellegaard i Olsen wymienili spojrzenia. Hallbjørn podszedł do niej.

– Wierzysz w te bzdury? – zapytał.

– Chyba tak.

– Nie brzmi to jak odpowiedź oficera w randze *vicepolitikommisær*.

Katrine uśmiechnęła się lekko.

– A jak twoim zdaniem powinna brzmieć?

– No wiesz... Powinnaś wszystko kwestionować, na tym to polega, prawda? A ta kobieta twierdzi, że niewiele wie o facecie, który mógł zostać jej ojczymem.

– Nie było jej wtedy w kraju. W dodatku nie utrzymywała kontaktu z matką.

– Ale przecież później rozmawiały, prawda? Miały dobrych trzydzieści lat, żeby na ten temat pogadać.

– Może rozmowa o nim okazała się zbyt trudna.

Hallbjørn tego nie kupował. Historyjka była zbyt zgrabna, zupełnie jakby Anne Christiansen zawczasu przygotowała się na to, że ktoś może kiedyś pytać ją o tego człowieka.

– Wiesz, jakie jest podstawowe pytanie, prawda?

– Wiem – odparła Katrine. – Jakiej był narodowości.

Zamilkli, kiedy Anne wróciła z wynikami badań. Położyła szarą wielkoformatową kopertę na stole, po czym wszyscy się nad nią nachylili. Christiansen wyjęła z koperty kilka zdjęć rentgenowskich i parę kartek, na których znajdowały się tabele z podanymi wartościami i mniej lub bardziej enigmatycznymi skrótowcami.

Dla Hallbjørna była to czarna magia, ale szybko spostrzegł, że Ellegaard wnikliwie studiuje wyniki. Najwyraźniej orientowała się co nieco w tych sprawach. I właściwie trudno było się dziwić.

Czekał cierpliwie, aż przeanalizuje dane, i zastanawiał się, jak podejść Christiansen. W końcu uznał, że najprościej będzie zrobić to tradycyjną metodą, zarzucając ją pytaniami i czekając, aż powie więcej, niżby chciała.

– Widziała się pani z nim kiedyś? – zapytał.

– Z nim?

– Z pani niedoszłym ojczymem.

– To chyba za dużo powiedziane... Mama nie wiązała z nim tak poważnych planów.

– A jednak przeniosła się dla niego na Fugloy.

– Była sama, nie miała wyjścia – odpowiedziała z wyraźnym poczuciem winy Christiansen. Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby matka mogła nagle gdzieś się pojawić. – Była bardzo zakochana, owszem, ale rozgraniczała swoje i moje życie.

– Tak mówiła?

Anne potwierdziła lekkim skinieniem głowy.

– Poza tym trochę wtedy piła. Nie pamiętała dokładnie wszystkich wydarzeń.

– Więc nie trochę – zaproponował Hallbjørn.

Christiansen wbiła w niego wzrok i przez moment trwała w bezruchu, jakby siłowali się za pomocą samych spojrzeń.

– Nie, nie trochę – przyznała. – Razem z tym człowiekiem pili na umór.

– Jak się nazywał?

– Dlaczego pan pyta? Zamierzacie go odszukać?

– Niewykluczone. – Hallbjørn zerknął na Katrine. Wciąż analizowała wyniki badań, marszcząc przy tym brwi. Patrzył na nią nieco za długo, ale widok był urzekający. Uśmiechnął się w duchu.

– W jakim celu?

– Chcemy z nim porozmawiać o pani matce.

– Nie sądzę, żeby był skory do rozmowy. Nie rozstali się w spokojny sposób.

– Domyślam się – mruknął Olsen. – Jednak minęło już trzydzieści lat. Nawet najgłębsze rany po takim czasie się zblizniają.

– Nie w tym wypadku.

– Dlaczego nie?

Przez chwilę milczała, sprawiając wrażenie, jakby ważyła słowa... Jakby jedno niefortunne sformułowanie mogło ją pogрузić. Hallbjørn miał coraz silniejsze przeczucie, że zbliżają się na wyciągnięcie ręki do rozwiązania sprawy. A ta kobieta stoi im na drodze.

Mimo to czekał cierpliwie, nie ponagając jej. W tym czasie Katrine wyjęła komórkę i wybrała jakiś numer. Odeszła kawałek dalej, zabierając ze sobą kilka kartek. Potem Olsen usłyszał, jak mówi do kogoś „pani doktor”. Najwyraźniej nadszedł czas na małe konsultacje.

– Mama mówiła ogólnikami... – zaczęła Anne. – Ale wiem, że dochodziło między nimi do bardzo... intensywnych spięć.

– To znaczy?

– Nie znam szczegółów.

– Przemoc?

– Tak – przyznała cicho Christiansen, jakby ktoś niepowołany mógł to usłyszeć. – Wiem, że kilkakrotnie ją uderzył, ona zapewne nie pozostawała mu dłużna. Była bardzo charakterna, wie pan?

Hallbjørn pokiwał głową. Przypuszczał, że kobieta miała sporo ikry – kiedy odwiedzili ją z Katrine, wyglądała na zdecydowaną, pewną siebie i pełną wigoru. Strach pomyśleć, jakie cechy przejawiała, gdy miała trzydzieści lat mniej.

– Nie było jej łatwo od niego odejść. Nie chciał jej na to pozwolić.

– A jednak jakoś się jej udało.

– Tak...

– Nie opowiadała nigdy, w jaki sposób?

– Nie, a ja nie pytałam.

Olsen zastanawiał się przez moment. Z łatwością potrafił wyobrazić sobie scenariusz, w którym kobieta w trakcie żywiołowej kłótni chwyta za narzędzie do połowu i wali nim w głowę mężczyzny.

Nie, było zbyt wcześnie na takie wnioski. Zresztą nic nie wskazywało na to, by ci ludzie byli zamieszani w sprawę z osiemdziesiątego trzeciego. Do Jákupsdóttir nie prowadził żaden solidny trop, jedynie poszlaki, których ostateczny kształt zależał wyłącznie od interpretacji. Równie dobrze na ich podstawie można było stwierdzić, że Rannvá nie ma nic wspólnego z zabójstwem.

Hallbjørn zmierzył Anne wzrokiem.

– Jak on się nazywa? – powoli pytanie. – Naprawdę musimy z nim porozmawiać.

Kobieta skrzywiła się i spojrzała w stronę Ellegaard, szukając ratunku.

– Nie rozumiem, dlaczego to miałyby być konieczne. On mieszka na Fugloy.

– Skąd pani wie?

– Nie rozumiem.

– Mógł się przecież przeprowadzić. Fugloy pustoszeje z każdym rokiem.

– Nie, on nie jest z tych.

– Z tych?

Westchnęła głęboko, jakby musiała tłumaczyć mu oczywiste rzeczy. Właściwie Hallbjørn doskonale wiedział, co Anne ma na myśli, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli pociągnie ją za język.

– Należy do zatwardziałych narodowościowców – wyjaśniła. – Nie uznaje przynależności do Danii, nawołuje do niepodległości.

– Wciąż?

– Słucham? – zapytała, zbita z tropu.

– W tym wieku?

– Myślę, że to jedna z tych rzeczy, które nie przechodzą z wiekiem.

– Ile ma teraz lat?

– Mniej więcej tyle, ile matka.

Jeśli ten człowiek nie żył i to jego kości znaleźli, obliczenia by się nie zgadzały. Anne równie dobrze mogła jednak kłamać. Doskonale zdawała sobie sprawę ze znaleziska w żołądku grindwala i wiedziała, że śledczy w końcu ustalą, jaki jest wiek kości.

Hallbjørn czuł, jakby grał w pokera z naprawdę dobrym przeciwnikiem. W dodatku takim, który przed rozpoczęciem rozgrywki naznaczył wszystkie karty.

– Może był trochę młodszy – przyznała. – Więc miałby teraz... najwyżej siedemdziesiąt osiem lat.

– To dość precyzyjny szacunek.

Wzruszyła ramionami.

– Szczególnie jak na osobę, która twierdzi, że niewiele o nim wie – zauważył Olsen.

Nagle wyraz twarzy Christiansen się zmienił. Dotychczas Anne była obojętna, może nawet nieco znudzona ciągiem pytań. Teraz jednak w jej oczach pojawiła się wyraźna



złość.

– Przesłuchuje mnie pan?

– Nie. Po prostu pytam.

– Przyznam, że mam tego dosyć.

– Więc proszę podać mi imię i nazwisko tego człowieka – powiedział. – Niczego więcej od pani nie oczekuję.

Przynajmniej na razie, dodał w duchu. Miał wrażenie, że jeszcze wrócą do Anne i jej rodziny. Z pewnością trzeba było bliżej przyjrzeć się synowi i mężowi. Jeden mógł być posłańcem, drugi zaś być może unikał ich nie bez powodu.

– Nie znam nazwiska.

– Wystarczy samo imię.

Christiansen spojrzała na niego w sposób, który mógłby sugerować, że czuje się pokonana.

– Gunnstein.

Hallbjørn zaklął w duchu. Było to imię, które nosili zarówno Farerowie, jak i Norwegowie. Zresztą pojawiało się chyba w takiej samej formie także w innych krajach skandynawskich.

– Coś nie tak? – zapytała Anne.

– Nie, nie. Zanotowałem w pamięci. Coś jeszcze pani wie na jego temat?

– Niestety nie.

– Był Farerem?

Hallbjørn zawsze uważał, że naprawdę nie ma głupich pytań – ale w tym przypadku musiał uznać wyjątek od reguły.

– Tak – potwierdziła Christiansen, patrząc na niego z ukosa. – Przecież mówiłam, że walczył o niepodległość.

Olsen pokiwał głową. Musiał o to zapytać. Gdyby okazało się, że jakiś Norweg nie tylko osiedlił się na wyspach, ale i przyjął do serca tutejsze przekonania, sprawa zasadniczo byłaby rozwiązana.

W końcu Katrine wróciła, chowając komórkę do kieszeni.

– Żelazna dama. – Potrząsnęła wynikami badań. – Rozmawiałam z lekarką z kliniki Frederiksstadens i jest zdania, że pani matka była okazem zdrowia. Jeśli pani pozwoli, chciałabym przeskanować akt zgonu i wyniki badań i przesłać je do wydziału

dochodzeniowego w Kopenhadze.

Anne sprawiała wrażenie zszokowanej.

– Ale...

– Musimy sprawdzić, czy przy takich wynikach było teoretycznie możliwe, że pani matka umarła w sposób naturalny.

Christiansen przez chwilę oswajała się z tą informacją. Początkowy szok szybko jednak zamienił się w dziwną satysfakcję. Najwyraźniej właśnie potwierdzały się jakieś niejasne przypuszczenia, które chowała w mrocznych zakamarkach umysłu.

Skinęła głową.

– Oczywiście – powiedziała. – Proszę nawet nie pytać.

Hallbjørna zdziwiła jej gotowość do współpracy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę dotychczasowe opory. Miał wrażenie, że przez kilkanaście minut starał się wyciągnąć z niej samo imię Gunnsteina.

Wy tłumaczenia były dwa. Albo była oporna, bo nie chciała rozmawiać z Olsenem, albo miała coś do ukrycia. Tak czy inaczej, musieli udać się na Fugloy. To tam tkwiły odpowiedzi.

## 31

### 29 października, sobota, godz. 14.45

Prom Ritan zjawił się o czasie. Tym razem Katrine nie naraziła się marynarzom, gdyż przyплыnęliby tak czy inaczej, zgodnie z rozkładem. W soboty o tej porze, na żądanie zgłoszone centrali dwie godziny wcześniej, jednostka zawijała do Hvannasund i płynęła na Fugloy, po drodze robiąc krótki postój na Svínøy.

Cała podróż do Kirkja trwała czterdzieści pięć minut. W trakcie rejsu Katrine i Hallbjørn dyskutowali – osobliwe, enigmatyczne podejście Anne i historia z Gunnsteinem pobudziły ich wyobraźnię. Katrine nie dziwiła się temu, od dawna czekała na to, by w sprawie pojawiły się jakieś konkrety.

Zamiast skanować wyniki badań, sfotografowała je, a potem przesłała zdjęcie zarówno do znajomego w Kopenhadze, jak i do Fridy Skovmand. Właściwie to od niej powinna zacząć, bo jeśli ktoś miał wyciągnąć z tego jakieś logiczne wnioski, to właśnie Frida. Ale nie zaszkodziło mieć danych z dwóch niezależnych źródeł.

O wpół do czwartej zeszli do portu w Kirkja. Została im jeszcze godzina do zmierzchu – wystarczająco dużo czasu, by odnaleźć człowieka, którego szukali. Ruszyli w stronę domu Ingibjörga i Tórunn. Nie był to najlepszy odpowiednik punktu informacji turystycznej, ale sensowniej było ich zapytać, niż pukać do przypadkowych drzwi.

– Frida nadal milczy? – zapytał Olsen.

Ellegaard sprawdziła telefon.

– Niestety. Namyśla się.

– Zazwyczaj zabiera jej to mniej czasu.

– Może w tym przypadku analiza jest bardziej pogłębiona.

Było coś pokrzepiającego w myśli, że Skovmand poświęca całą uwagę wynikom badań i pracuje nad nimi w pocie czoła. Dawało to niemal pewność, że niebawem otrzymają odpowiedź przynajmniej na jedno z pytań.

Idąc w kierunku domu Olsenów, rozważali jednak zupełnie inną kwestię.

– Obstawiamy – odezwał się Hallbjørn. – Facet żyje czy nie?

– Nie mam zamiaru się o to zakładać, Hal.

– To żaden zakład. Nie mam funduszy na takie szaleństwa. Po prostu ciekaw jestem, co sądzisz.

– Mówiłam ci na pokładzie. Chętnie gdybam w sprawach, w których jest strzępek dowodów, zresztą na tym polega moja robota. Ale nie będę strzelać w ciemno.

– Gunnstein... – mruknął Olsen. – To u nas raczej rzadkie imię.

– Mhm.

– Na pewno bardziej powszechne w Norwegii.

Nie odpowiedziała. Szli powoli pod górę, nie dostrzegając jeszcze domu. Zbocza Fugloy jak zwykle kryły się w gęstej mgle.

– Uważasz, że to byłoby zbyt łatwe? – zapytał. – Że po tym wszystkim rozwiązanie nie mogłoby być tak po prostu na wyciągnięcie ręki?

– Chciałabym, żeby tak było.

– A mnie się wydaje, że wręcz przeciwnie.

– Hm?

– Byłabyś zawiedziona. Rozbudziłaś w sobie nadzieję, liczyłaś na głośną, elektryzującą sprawę, a tymczasem wszystko może się sprowadzać do kłótni dwojga kochanków. I nieszczęśliwego wypadku.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Jestem gotowa przyjąć taki scenariusz – zapewniła. – Ale to nie tłumaczy obecności cudzej pizczeli. Z tego, co wiem, matka Anne miała obie nogi w całości.

Hallbjørn uśmiechnął się lekko. Po chwili ujrzeni ganek domu Olsenów, wyłaniający się z mlecznych oparów. Katrine zwolniła kroku, postanawiając, że poczeka, aż Hal rozmówi się z ciotką i wujem.

– Zostajesz? – zapytał.

– Tak chyba będzie lepiej.

– Nie sądzę. Ostatnim razem prawie mnie wykleli. Chodź, będę miał większą siłę przebicia, jeśli pomachasz legitymacją.

– Której nie powinnam używać.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Teraz też nie, ale...

Ujął ją za rękę i pociągnął w kierunku drzwi. Katrine poczuła się dziwnie, jakby włożyła naelektryzowany sweter, którego ładunek kopnął ją niespodziewanie. Wzdrygnęła się, ale Hallbjørn nie zareagował, najwyraźniej tego nie dostrzegł.

Na dobrą sprawę nie wiedziała, co najlepszego robią. Nie na stopie zawodowej, tutaj wszystko było jasne, lecz osobistej. Nie rozmawiali o tym, właściwie omijali ten temat, jak tylko się dało. Wydawało jej się, że oboje czują się komfortowo w tym swoim milczeniu, ale prędzej czy później musieli zająć się ich relacją.

Wiszenie w próżni do niczego nie prowadziło. A mimo to oboje zachowywali się tak, jakby liczyli na to, że sytuacja rozwiąże się sama. Ona wróci do Kopenhagi i po sprawie? Tak, na to wyglądało, choć nie zastanawiała się nad tym przesadnie. On zapewne również nie.

Stanęli przed drzwiami, Hallbjørn zapukał. Nie musieli długo czekać na Ingibjørga.

Stary Farer otworzył drzwi, popatrzył na gości, a potem przeciągle westchnął. Katrine poczuła się jak akwizytor, który już kilkakrotnie próbował sprzedać mężczyźnie swój produkt i za każdym razem odchodził z kwitkiem.

– Hallbjørn – odezwał się starzec.

– Cześć, wujku.

– Czego znowu chcesz?

– Zamieszkać u was – wypalił Olsen. – Mam trochę problemów finansowych, będę

musiał sprzedać dom przy Fjalsvegur. Prawdopodobnie także samochód, o ile znajdzie kupca. Wiesz, jak jest. Koszty procesowe, wydatki szkolne dla Ann-Mari, w dodatku...

– O czym ty mówisz, do licha?

Mężczyzna pobladł, zupełnie jakby wycelowano do niego z pistoletu, a on spojrzał prosto w lufę, dostrzegając tam śmierć. Z trudem przełknął ślinę.

– Jak... – wydukał. – Jak ty...

– Spokojnie – rzucił Hallbjørn. – Żartowałem.

Ingibjörg zmarszczył posiwiałe, gęste brwi. Każdy włos zdawał się żyć własnym życiem i być innej długości.

– Potrzebuję pomocy, ale niewymagającej od was żadnego poświęcenia.

Starzec nie sprawiał wrażenia, jakby po tym wstępie miał zamiar pomagać w jakikolwiek sposób.

– Szukamy Gunnsteina. – Ellegaard sięgnęła po legitymację. – To sprawa służbowa.

Pokazała dokument Ingibjörgowi, ale ten nawet na niego nie spojrzał. Chrząknął, a kiedy nie przyniosło to spodziewanego efektu, zakaszłał kilkakrotnie. Nie pofatygował się, by zasłonić usta.

– Gunnsteina? – mruknął. – Czego od niego chcecie?

– Może mieć informacje, które nas interesują – powiedział Hallbjørn.

– Jakie informacje?

– Na temat Rannvy Jákupsdóttir.

Katrine natychmiast spostrzegła błysk zrozumienia w oczach rozmówcy. Ingibjörg doskonale wiedział, o kim mowa, mimo że kobieta mieszkała po drugiej stronie archipelagu, a mieszkańcy Fugloy rzadko utrzymywali kontakt z kimkolwiek spoza swego grona.

– Znał ją pan?

– Ja...

Zauważyła, że ścisnął mocniej klamkę. Przez moment wydawało jej się, że zamierza zamknąć przed nimi drzwi. Potrząsnął jednak głową, a potem obejrzał się przez ramię, jakby obawiał się, że Tórunn zaraz zjawi się w przedpokoju.

– Tak czy nie? – spytała Ellegaard.

– Tak, znałem. Nie wiedziałem, że zmarła.

– Wczoraj w nocy – wyjaśnił Olsen.

– Jak to się stało?

– Ostra niewydolność krążeniowo-oddechowa.

– Jeszcze to sprawdzamy – dodała Katrine. – W tej chwili tak naprawdę może to oznaczać wszystko.

Świadomie zaakcentowała ostatnie słowo. Rzuciła przynętę, a Ingibjörg szybko się na nią złapał.

– Wszystko? – powtórzył. – To znaczy, że to... to mogło... to nie musiało być...

Mężczyzna jeszcze przed momentem sprawiał wrażenie jednego z tych twardych, surowych Farerów, którzy gotowi byli wypływać na połów nawet wtedy, gdy prognoza pogody przewidywała sztorm. Teraz odmienił się całkowicie. Wyglądał jak typowy starzec z małej społeczności, przyłoczony monotonią i ciężarem życia.

– Ustalamy szczegóły – zapewniła Ellegaard. – Ale musimy porozmawiać z panem Gunnsteinem.

– To niezwykle ważne, wujku.

Ingibjörg pokiwał głową i wytarł ręce o sweter.

– Tak... Przypuszczam, że może być ważne.

Katrine i Olsen nie odzywali się, pozwalając, by sam podjął temat. Znów zerknął do wnętrza domu i Ellegaard przemknęło przez głowę, że ten człowiek wie o czymś, czego nie jest świadoma jego żona.

– Oni byli blisko. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Tyle dowiedzieliśmy się od jej córki – zauważyła Katrine. – Ale nie wiedziała wiele więcej.

– Nic dziwnego. Rannvá na pewno nie chciała wracać do tamtych czasów. Nieraz zresztą wspominała mi, że nie zamierza mówić córce o wszystkim.

– Utrzymywaliście kontakt? – spytał Hallbjørn.

– Jak z każdym – odparł Ingibjörg, wzruszając ramionami. Popatrzył na Ellegaard i pojął, że policjantka nie bardzo wie, o czym mowa. – U nas telefon to... to coś innego niż w innych miejscach. Jest na wagę złota – wyjaśnił. – Czasem, kiedy ktoś miał dzwonić o danej porze dnia, wszyscy czekali w domu. Było to główne wydarzenie, wszystko inne dopasowywało się właśnie do niego.

Katrine obojętnie skinęła głową. Niespecjalnie ją to interesowało – bardziej ciekawa była tego, co wie Ingibjörg. I czego nie powiedziała im Anne Christiansen.

– Nie rozumie pani.

– Rozumiem czy nie, chodzi o to, że...

– Życie tutaj to czasem nie życie – przerwał jej mężczyzna. – Zawsze utrzymujemy kontakt z naszymi ludźmi, wie pani? Nie dlatego, że nie potrafimy się z nimi rozstać, gdy opuszczają Fugloy. Chodzi o to, że są oknem na świat.

– To zrozumiałe.

– Kiedy dzwoniли, całe rodziny się gromadziły...

Zaczął odpływać myślami w przeszłość, więc Katrine uznała, że najwyższa pora sprowadzić go na odpowiednie tory.

– I pani Jákupsdóttir dzwoniła do państwa?

– Nie tylko do nas. Nawiązała tu kilka przyjaźni. Byliśmy dość blisko.

– Dużo czasu z wami spędziła?

Zastanawiał się przez moment. Katrine przemknęło przez myśl, że tutaj trudno było to stwierdzić. Osiem czy dwanaście miesięcy znaczyło mniej więcej tyle samo. Wszystko zależało od okoliczności.

– Może pół roku... lub trochę więcej.

– I tak się zżyła ze społecznością?

– Tak, bo wszyscy chcieliśmy jej pomóc.

– W jakim sensie?

– Gunnstein był dla niej... Cóż, wystarczy powiedzieć, że nie mógł liczyć na żonę wśród miejscowych. Wszystkie nasze kobiety wiedziały, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Ale Rannvá przypląnęła ze Streymoy. Nieświadoma, w co się pakuje. Nie miał kto z nią porozmawiać, bo i jak? Podejść do nieznajomej i powiedzieć, żeby uważała, bo wpuszcza do łóżka potwora? Nikt z nas nie był na to gotowy. Potem żalowaliśmy.

– Staraliście się otoczyć ją opieką?

Ingibjörg w zamyśleniu pokiwał głową.

– Robiliśmy, co mogliśmy. Gunnstein nie miał rodziny, nie było poprzez kogo wyrzucić na niego presji. Ale chodziliśmy do jego chałupy pod byle pretekstem, sprawdzaliśmy, co się dzieje, nawiązywaliśmy z nim nowe relacje, odbudowywaliśmy stare... Rannvá zmieniła jego życie, tyle mogę powiedzieć na pewno.

Ellegaard szczerzej owinęła się kurtką. Z początku miała nadzieję, że wuj Hallbjørna zaprosi ich do środka, ale kiedy zaczął oglądać się przez ramię, wiedziała już, że nie ma co

się ludzić. Chciał załatwić wszystko tu i teraz, a potem pożegnać się z tamtymi wspomnieniami. I to najlepiej tak, by jego żona nie miała pojęcia o ich rozmowie.

– Tórunn śpi? – zagała Katrine.

– Drzemie.

– Rozumiem – odparła z lekkim uśmiechem. – Może więc załatwimy to, zanim się obudzi?

Ingibjörg wymamrotał coś niezrozumiałego, ale nie ulegało wątpliwości, że trafiła w sedno.

– Co chcecie wiedzieć?

– Wszystko. W pigułce.

– Czyli? – zapytał i się skrzywił. – Spędziła tu jednak trochę czasu.

– Zacznijmy od końca.

– To znaczy?

– W jaki sposób się rozstali?

Starzec wzruszył ramionami, jakby to było pytanie retoryczne.

– A jak mieli to zrobić? Wyglądało to dokładnie tak samo, jak w innych podobnych przypadkach. On był chorobliwie zazdrosny, ona miała dosyć ciągłych kłótni, przepychanek, obrażania i pijaństwa. Pewnej nocy po prostu się spakowała i odpłynęła z wyspy.

– Ktoś jej pomógł? – wtrącił Hallbjørn.

– Oczywiście. Przecież sama nie dałaby rady.

– Ty?

Ingibjörg ledwo zauważalnie skinął głową.

– Dlaczego?

– Lubiłem ją. Zresztą nie ja jeden.

Katrine zbliżyła się do niego o pół kroku, ale stary Farer natychmiast spiorunował ją wzrokiem, przywodząc jej na myśl zwierzę pilnujące swojego terytorium. Cofnęła się.

– A może było w tym coś więcej? Może sam pan coś do niej poczuł?

– Naturalnie, że poczułem. Sympatię. Tak samo jak większość mieszkańców Kirkja.

Ellegaard nie drążyła tematu. Wyglądało na to, że mężczyzna mówi prawdę. Poza tym mogła to zrozumieć – sama spotykała się z podobnymi reakcjami po powrocie do Vestmanny. Ludzie byli dla niej uprzejmi, współczuli jej tego, co przeszła za sprawą



Hallbjørna. Chcieli jakoś wynagrodzić jej to, że wśród nich mieszkał taki potwór.

Katrine spojrzała na Olsena. Zastanawiała się, czy wciąż tak go postrzegają... i czy sam nie myśli o sobie podobnie.

– Sam jej pomagałeś? – zapytał Hallbjørn.

– Nie, poszliśmy tam w kilku chłopów. Spodziewaliśmy się problemów.

– I napotkaliście je? – zainteresowała się Ellegaard.

– Nie.

Liczyła na coś więcej, ale najwyraźniej Ingibjörg nie miał zamiaru się nad tym rozwodzić. Nie była jednak gotowa od razu mu odpuścić.

– Nie było go w domu?

– Był środek nocy, więc trudno, żebyśmy go nie zastali.

– Spał?

– Tak, ale się zbudził.

– Doszło do jakichś przepychanek?

– Przecież powiedziałem, że nie. To był porywczy człowiek, ale nie idiota.

– A jednak sprawia pan wrażenie, jakby...

– Mieszka na Reynavegur – przerwał, cofając się do przedpokoju. – Znajdziecie go w domu z zielonym dachem. Porozmawiajcie sobie z nim... o ile ma dziś dobry dzień. A teraz przepraszam.

Usłyszała dźwięki dochodzące z wnętrza domu. Zanim zdążyła zaproponować, wuj Olsena zamknął przed nimi drzwi, nie siląc się na słowa pożegnania. „Przepraszam” i tak zdawało się przesadą w jego wykonaniu.

Ellegaard i Hallbjørn spojrzeli na siebie.

– Chyba nie ma sensu go dalej maglować – powiedział Olsen.

– Jeszcze do niego wrócimy. Chcę wiedzieć, co o tym wszystkim myśli twoja ciotka.

– Może nawet nie mieć pojęcia o całej sprawie. A przynajmniej tak wynikałoby z jego reakcji.

– Może – odparła Katrine powątpiewająco.

– Ale nie wydaje ci się?

– Nie – przyznała. – Kobiety zazwyczaj doskonale orientują się w takich sprawach.

Olsen zaśmiał się cicho, po czym wskazał w stronę Reynavegur. Skierowali się tam wolnym krokiem. Całe Kirkja można było przejść w ciągu kilku minut, nie było powodu, by

się spieszyć.

Przez gęstą mgłę trudno było się zorientować, czy dobrze idą, ale Hallbjørn nie wahał się ani przez chwilę. Najwyraźniej dobrze znał wioskę, co zresztą nie dziwiło Katrine – jeśli spędził tu choćby kilka dni podczas którychś wakacji, mógł poznać na wylot całą wyspę.

Wkrótce dotarli na ulicę, przy której stały cztery budynki, jeden z nich wyglądał na gospodarczy. W trzech paliło się światło, ale w oknach wisały zasłony na tyle grube, że Ellegaard nie mogła dostrzec, co dzieje się w środku. Podeszli do tego, który miał zielony dach. Nie był w najlepszym stanie – farba odpadała z elewacji, teren był zaniedbany, a okiennice chyba zmurszałe. Wilgoć robiła swoje, choć Katrine przypuszczała, że w takim miejscu wszystko impregnuje się na tyle dobrze, by nie mieć z nią problemów.

Hallbjørn zapukał do drzwi, a jej przemknęło przez głowę, że zaraz może uzyskać informacje, na które polowała od tak długiego czasu.

## 32

### 29 października, sobota, godz. 16.50

Z domu wyszedł stary, przygarbiony mężczyzna. Czas nie obszedł się z nim tak łaskawie jak z Rannwą czy Ingibjörgiem. Jego twarz znaczyły liczne głębokie zmarszczki, a dwa ciemne pląty pod oczami sprawiały wrażenie, jakby miały odpaść.

Gunnstein zmrużył oczy, przypatrując się dwójce gości.

– Coście za jedni?

– Hallbjørn Olsen. A to moja koleżanka, Katrina.

Miał nadzieję, że Ellegaard go nie poprawi. Wolał użyć farerskiego wariantu jej imienia i udawać, że z Danią nie ma nic wspólnego. Jeśli Gunnstein był typowym mieszkańcem Fugloy, prędzej spaliłby Dunkę na stosie, niż zaprosił do domu. Nie mówiąc już o rozmowie związanej z niezbyt chlubną przeszłością.

– Nie znam – odparł, wciąż mrużąc powieki.

Hallbjørn odniósł wrażenie, że mają do czynienia z nie do końca normalnym człowiekiem. Gunnstein przypatrywał się im, krzywił, drapał po głowie, zupełnie jakby kosztowało go to sporo sił. W pewnym momencie na jego twarzy pojawił się grymas, jak gdyby coś sprawiało mu fizyczny ból.

Olsen uświadomił sobie, że starzec najwyraźniej ma problemy z pamięcią. Pewnie gorączkowo starał się przypomnieć sobie, kim są goście.

Hallbjørn postanowił to sprawdzić.

– Nie pamięta nas pan? – zapytał.

– Hm...

Strzał w dziesiątkę. Mężczyzna ewidentnie zastanawiał się, jak zareagować – udawać, że doskonale ich pamięta, czy może powiedzieć wprost, że nie wie, kim są. Olsen spojrzął na Katrine i zobaczył w jej oczach zrozumienie. Przypuszczał, że policjantka szybko przejmie piłeczkę. I tak też się stało.

– Rozmawialiśmy jakiś czas temu – powiedziała po duńsku.

Na dźwięk tego języka Farer się wzdrygnął. Jego oczy się rozszerzyły, a w piersi coś zachrząściło, gdy brał głęboki oddech. Wciąż próbował przypomnieć sobie tych dwoje ludzi. Olsen pomyślał, że to może być coś więcej niż zwykłe kłopoty z pamięcią. Może cierpiał na wczesne stadium jakiejś choroby neurodegeneracyjnej? Tutaj takie rzeczy pozostawały niezdiagnozowane często aż do śmierci.

To tłumaczyłoby, dlaczego wuj wspomniał, że mogą z nim porozmawiać, o ile trafią na dobry dzień.

– Nie używamy tu tego języka – burknął Gunnstein. – Niech pani mówi po ludzku.

Katrine spojrziała na Hallbjørna w poszukiwaniu ratunku.

– To zaufana osoba – zapewnił. – Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Nie przypominam sobie. Kim jesteście?

– Dziennikarzami. Ja przyjechałem z Havn, moja koleżanka z kontynentu.

– Z jakiego kraju?

Olsen przypuszczał, że od odpowiedzi na to pytanie zależy, czy zamkną się przed nimi drzwi. Właściwie mógł rzucić jakąkolwiek nazwę, stary Farer i tak z pewnością mówił tylko w dwóch językach – ojczystym i duńskim. Tego drugiego musiał nauczyć się w szkole, czy tego chciał, czy nie.

– Ze Szkocji – powiedział Hallbjørn. – Ale mówi po duńsku, więc...

– I czego ode mnie chcecie?

– Nie pamięta pan?

– Mówże!

– Rozmawialiśmy w tamtym tygodniu.

Rzykował, ale najwyraźniej mężczyzna rzeczywiście nie po raz pierwszy miał problemy z przypomnieniem sobie rozmówcy. Hallbjørn zdawał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie – jeden niefortunny krok, zbyt szczegółowe wspomnienie i będzie po wszystkim.

– Chodziło o panią Jákupsdóttir – wtrąciła pojednawczym tonem Katrine. – O Rannvę. Gunnstein sprawiał wrażenie zupełnie skołowanego.

– Ona się tak nie nazywa.

– Słucham? – zdziwiła się Ellegaard.

– Ma na nazwisko Egholm.

Olsen i Katrine wymienili zdezorientowane spojrzenia. Hallbjørnowi przemknęło przez myśl, że mężczyzna znał ją, kiedy nosiła panięńskie nazwisko – ale Jákupsdóttir było wyraźnie żeńskie, nie mogło pochodzić od męża Rannvy.

– Nazywa się Egholm – powtórzył Gunnstein, ściągając białe brwi. – Od kiedy wyszła za tego kutasa w osiemdziesiątym piątym.

Odcharknął i splunął na bok.

– Skurwysyn – dodał.

Naraz Olsen wszystko zrozumiał. I uznał, że dzięki temu może zyskać nieco pewniejszy grunt. Jeśli udałoby mu się rozegrać to właściwie, mógłby zyskać sympatię tego człowieka.

– Wróciła do panięńskiego nazwiska – powiedział. – Ostatnim razem pana o tym informowaliśmy.

– Kim jesteście?

– Jej dobrymi znajomymi.

– Nie wydaje mi się...

– Panie Gunnstein, nie przychodzilibyśmy tutaj, gdyby było inaczej. Pani Jákupsdóttir przysłała nas, żebyśmy...

– Egholm!

– Zmieniła nazwisko – powtórzył ze spokojem Olsen. – Nie chciała nosić tego, które należało do męża.

– Dlaczego nie?

– Nie mnie to oceniać.

Miał nadzieję, że umysł starca funkcjonuje na tyle dobrze, by uzupełnić resztę. Gunnstein zawahał się, ale potem najwyraźniej wyobraźnia zrobiła swoje. Stężała twarz nagle się

rozluźniła. Krzaczaste brwi stały się trochę bardziej proste.

– Nie kochała go – zauważył.

– Tak przypuszczam.

– Nigdy go nie kochała. To był wyjątkowy kutas.

Hallbjørn miał wrażenie, że przez najbliższy czas będą jak dwa psy kręcące się za swoimi ogonami. Starzec miał mętny wzrok, mówił nieco niewyraźnie i najpewniej nie do końca rozumiał, co się dzieje. Nic z tego nie będzie. Fortel fortelem, ale skutków choroby nie przeskoczy.

– Możemy wejść, panie...

– Thorleifsson. Gunnstein Thorleifsson – powiedział, jakby był dumny z każdej głoski w swoim nazwisku. – Proszę, wejdźcie. Skoro Rannvá was przysłała, nie mam nic przeciwko.

Weszli za nim do środka, Hallbjørn zamknął drzwi i odetchnął. Trochę ciepła podziałało na niego uspokajająco.

– Co z nią? Dlaczego was wysłała?

Spojrzeli na siebie zakłopotani.

– Możemy wejść do pokoju? – spytała Katrine.

Starzec skinął głową, mrużąc coś pod nosem. Potem zaprowadził ich do dużego, ale zagraconego pomieszczenia. Większość miejsca zajmowały masywne meble, głównie stare komody i regały, tak jakby Gunnstein kolekcjonował stare, nikomu niepotrzebne sprzęty.

– Rozgośćcie się – powiedział głosem znacznie bardziej przyjaznym niż dotychczas.

Katrine i Olsen usiedli na niewielkiej kanapie, wciśniętej między dwa regały. Hallbjørn przebiegł wzrokiem po grzbietach równo ustawionych książek. Sama klasyka farerskiej literatury, ani jednego tytułu duńskiego autora czy nawet pozycji wydanej w tym języku. Biblioteczka typowego mieszkańca Fugloy.

– Co mogę wam zaproponować? – spytał Thorleifsson. – Coś do picia? Do jedzenia?

– Dziękujemy, nie trzeba – odparł Olsen.

Katrine uśmiechnęła się, starzec odpowiedział jej tym samym. Hallbjørn uznał, że trzeba korzystać, póki dopisuje mu humor. Według wszelkiego prawdopodobieństwa za kilka minut Gunnstein mógł zupełnie zmienić podejście.

Starzec powoli podszedł do fotela, a potem ciężko na niego opadł. Chciał założyć nogę na nogę, ale coś w jego miednicy zaprotestowało i zrezygnował. Skrzywił się, jakby dopiero w tej chwili uświadomił sobie, ile ma lat. Z jego oczu natychmiast znikła sympatia.

– Po co tu przyszliście? – mruknął.

– Pani Jákupsdóttir chciała, by...

– Ona nazywa się Egholm.

Olsen zaklął siarczyście w duchu. Udało mu się nie zwariować pomimo wszystkich tych szaleństw, jakie od pewnego czasu działy się w jego życiu, ale teraz czuł, że dociera do momentu, kiedy zdrowy rozsądek zaczyna go opuszczać.

– Rannvá zmarła, panie Thorleifsson – włączyła się zniecierpliwiona Katrine. – Odeszła wczorajszej nocy.

– Co? Jak to? Co się stało?

Mężczyzna chciał się zerwać z fotela, ale ciało znów odmówiło mu posłuszeństwa. W efekcie uniósł się lekko, a potem opadł na siedzisko.

– Zmarła we śnie.

– To... to niemożliwe, ona miała dopiero...

Kiedy urwał i uciekł spojrzeniem gdzieś daleko, Ellegaard spojrzała błagalnie na Hallbjørna. Jej wzrok mówił wszystko. Tym sposobem donikąd nie dojdą. Gunnstein miał przebłyski świadomości, ale kończyły się one równie szybko, jak letnie temperatury w Vestmannie.

– Ona nie chorowała... – ciągnął. – Była jak z żelaza... moja Rannvá...

Ból w jego głosie i smutek w oczach były przytłaczające. Rzadko widywało się tak intensywne emocje u tak wiekowych osób. Zazwyczaj ludzie ci byli uodpornieni na wszystko, co mógł zgotować im los – emocjonalne, ekspresyjne reakcje to domena osób młodych. Przynajmniej tak wydawało się Olsenowi.

– Kiedy widział ją pan ostatni raz? – zapytała Ellegaard.

Mężczyzna bełkotał niezrozumiale, jakby rozmawiał z kimś, kto chodzi wokół niego. Wodził głową na boki, wruszał ramionami, potem znów mruczał pod nosem. Katrine westchnęła.

– Nic z tego nie będzie, Hal.

– Widzę.

– Spróbuj jeszcze sam, może lepiej ci pójdzie. Ja mam dosyć.

– Sam? Nie, poczekaj...

Zanim zdążył jej wytłumaczyć, że to nie najlepszy pomysł, już wstała. Skierowała się do wyjścia, nie fatygując się pożegnaniem gospodarza. I tak był pogrążony w swoim świecie,

nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

– Panie Gunnstein – spróbował Olsen.

Żadnego odzewu. Thorleifsson nadal mamrotał, choć teraz nieco głośniej. Hallbjørn wsłuchał się w słowa i po chwili udało mu się wyłowić poszczególne frazy. Gunnstein najwyraźniej sądził, że rozmawia z Rannvą. Tłumaczył jej, że chciał wszystko naprawić, że do końca wierzył, iż nie jest jeszcze za późno.

Olsen potarł nerwowo czubek głowy. Miał tego serdecznie dość. Mimo to postanowił poczekać i posłuchać, może ciężar winy i wyrzutów sumienia sprawi, że Thorleifsson zrzuci w końcu z barków swoją mroczną przeszłość.

Po kwadransie stało się jasne, że nic takiego się nie wydarzy. Gunnstein używał samych ogólników, w dodatku mówił tak chaotycznie, że Hallbjørn nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Spróbował jeszcze kilkakrotnie nawiązać z nim kontakt, ale w końcu uznał, że mężczyzna jest w tak głębokim szoku, że to bezcelowe. Opuścił jego dom i znalazł Katrine czekającą nieco dalej.

– Beznadzieja – stwierdził. – Nic nie mam.

– A więc twój wuj zapewnił nam piękną stratę czasu.

– Może Gunnstein rzeczywiście ma lepsze dni.

– Może. Trzeba będzie porozmawiać z jego lekarzem.

– Z kim? – Olsen pokręcił głową. Dopiero po chwili zorientował się, że Ellegaard patrzy na niego pytająco. – Ci ludzie nie chodzą do lekarzy. Nie macie w Danii zapadłych wsi? Nie wiesz, jak tam się żyje?

– Jestem typowym mieszczuchem.

– Od razu to po tobie widać. Nawet jeśli masz farerski sweter.

Bez przekonania wymierzyła mu kuksańca.

– Więc co teraz? – zapytał, starając się zobaczyć coś przez mgłę. – Od Gunnsteina raczej się niczego nie dowiemy.

– Od niego nie... – przyznała, zawieszając głos.

– Ale?

– Ale skoro kilku mieszkańców pomagało Rannvie uciec od tego człowieka, to co najmniej kilku może wiedzieć coś, co nas zainteresuje.

– Co konkretnie? – zapytał Hallbjørn, obracając się do niej. – Czego szukamy?

Wzruszyła ramionami.

– Właścicielki puszczeli? Naszego Norwega? – zapytał Olsen. – Żeby łowić, trzeba wiedzieć, co chcesz mieć w sieci.

– Tak głosi stare farerskie porzekadło, co?

– Nie, wymyśliłem to na poczekaniu – uśmiechnął się krzywo. – Ale to ma sens. Innej przynęty potrzebowałabyś na dorsza, innej na śledzia.

– Może.

Znów wyczuł „ale” wiszące w powietrzu. Tym razem jednak zdawało się to sprawiać Katrine satysfakcję. Olsen czekał cierpliwie.

– Ale istnieją wyjątki – powiedziała w końcu. – Jeśli zarzucisz sieć w miejscu, gdzie jest cała ławica, z pewnością coś wyłowisz, prawda?

Hallbjørn znowu się uśmiechnął i przytaknął.



## 29 października, sobota, godz. 18.00

Chłopcu nie podobało się, że policja przyszła do jego domu. Nie mógł zrozumieć, czego mieliby tutaj szukać. Babcia zmarła i było to smutne, ale czasem się zdarzało, że ludzie odchodzili. Kiedy zmarł pan Poulsen, nikt nie chodził po domach i nie zadawał pytań. A jeśli już, to tylko po to, żeby zapytać, jak czuje się rodzina.

Gdyby zapytali o to Trygviego Christiansena, powiedziała, że czuje się normalnie. Czasem było mu smutno, czasem zajmował się swoimi sprawami. Miał nową grę od wujka Jóhana, z wypiekami na twarzy przechodził już kolejny etap. XCOM 2 było świetne. Pokonani w pierwszej części kosmici wrócili na Ziemię, żeby przypuścić kolejny szturm – tym razem jednak nie używali broni, ale obietnic. Zaoferowali ludziom dobrobyt, szczęście i wszystko, czego dusza zapragnie, a ludzkość nie wahała się długo.

Gra przycinała nieco, bo sprzęt Trygviego pozostawiał wiele do życzenia, ale koniec końców nie było najgorzej. Zresztą była to strategia turowa, z założenia nie powinno być tam wielkich fajerwerków.

Trygvi właśnie rozstawiał swój oddział, kiedy rozległo się pukanie do drzwi jego pokoju. Zatrzymał grę i obejrzał się przez ramię. Wiedział, że to ojciec, matka nigdy nie pukała. Nie wiedział czemu.

– Wszystko w porządku? – zapytał tata.

Trygvi pokiwał głową.

– Nie zdenerwowali cię?

– Nie.

Przez chwilę milczeli, patrząc na siebie. W końcu ojciec przeniósł wzrok na monitor. Podszedł bliżej i przysiadł na biurku.

– W co grasz?

– W XCOM dwa.

– O czym to?

Trudno było powiedzieć, że gra jest o czymś, ale w tym przypadku Trygvi mógł nakreślić przynajmniej początek fabuły. Tata słuchał piąte przez dziesiąte, jak zawsze. Chłopiec nie wiedział, dlaczego ojciec pyta, skoro potem nawet nie udaje, że go to interesuje.

Kiedy chłopiec skończył opowiadać o grupie ludzi, którzy zbuntowali się przeciwko obcym, tata pokiwał głową. Na moment zaległa cisza.

– Wróć tutaj? – odezwał się Trygvi z obawą, jakby przeniósł się do świata gry i nie pytał o policjantów, ale o wroga siły z innej planety.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

– Dlaczego tak wypytywali? Myślą, że ktoś zabił babcię?

Ojciec aż pobladł. Dorośli śmiesznie reagowali, gdy zadawało im się najprostsze, najbardziej oczywiste pytania. Zupełnie jakby sądzili, że o niektórych sprawach nie powinno się mówić wprost.

– Nie, oni po prostu... szukają tropów.

– Tropów? W sprawie tego szkieletu?

– Tak.

– A co ma z tym wspólnego babcia?

– Nic. Nie miała z tym nic wspólnego.

– A dzieci?

Tata ściągnął brwi, przyglądając mu się.

– Dzieci? – spytał.

– Wcześniej chodzili po domach i pytali o nas. Jakby kogoś szukali.

– No tak... – mruknął ojciec i potarł brodę. Trygvi usłyszał charakterystyczny dźwięk, gdy sucha skóra palców dotknęła twardych, krótkich włosków. Tata zawsze wyglądał, jakby nosił jednodniowy zarost. Chłopiec też chciałby taki mieć.

– Dlaczego tak wypytują?

– Sami chyba nie wiedzą – odparł tata i podniósł się. Uśmiechnął się do syna, poklepał go po plecach, a potem spojrział na monitor. – Nie przejmuj się tym. Ratuj Ziemię, ktoś musi.

Trygvi odpowiedział uśmiechem, a potem poczekał, aż ojciec wyjdzie, i wyjął słuchawki z szuflady. Podłączył je do komputera i założył. Z jakiegoś powodu rodzice nie byli zadowoleni, że tak robi. Raz słyszał, jak mówili, że przez to zanurza się jeszcze głębiej w wirtualnym świecie, ale nie miało to żadnego sensu.

Zaczął kolejną turę, od razu skupiając całą uwagę wyłącznie na grze. Nie myślał o tym, że listy, które dostarczał, mają coś wspólnego ze znalezionymi kośćmi. Nie zaprzętało mu głowy to, że policja węszy wokół śmierci babci.

Niemal zapomniał o tym, że miał jeszcze jeden, ostatni list do dostarczenia.

34

## 29 października, sobota, godz. 19.50

Na Fugloy nie istniał rozkład rejsów promów. Ritan odpływał, gdy warunki były sprzyjające – aby dowiedzieć się, kiedy to się zdarzy, należało zadzwonić pod jeden z dwóch numerów telefonów. W dzień taki jak dzisiaj nie było jednak sensu tego robić. Pogoda była dobra, więc prom dawno ruszył w drogę powrotną.

Katrine i Hallbjørn tymczasem rozmawiali z mieszkańcami, których wskazał im Ingibjörg. Nietrudno było wyciągnąć od niego konkrety – wystarczyło zagrozić, że jeśli szybko nie poda im imion i nazwisk, zawołają Tórunn. Z jakiegoś powodu, zapewne typowo damsko-męskiego, nie chciał, by wiedziała, że Rannvá w pewnym sensie wróciła do ich życia.

Poszło łatwo, ale tylko z początku. Ellegaard i Olsen szybko przekonali się, że dalsza droga będzie wyboista i kręta. Jeden z mężczyzn w ogóle nie chciał rozmawiać z Dunką, pozostali byli raczej oszczędni w słowach. Łypali na dwoje intruzów, jakby byli gotowi zabić za to, że tamci zakłócili im codzienną rutynę.

W końcu Katrine i Olsen przesłuchali wszystkich Farerów, którzy mogli coś wiedzieć. We wsi właściwie nie pozostało wiele osób, z którymi by nie rozmawiali. Po odwiedzeniu ostatniego domu spojrzeli na siebie bezradnie.

Katrine podciągnęła rękaw swetra i zerknęła na zegarek.

– A więc ustalone – powiedziała. – Zostajemy w Kirkja na noc.

– Zarezerwuję pokój w hotelu.

– Świetnie.

– Chcesz taki z widokiem na morze?

– Tutaj chyba zewsząd jest widok na morze.

– Słusznie. W takim razie życzysz sobie śniadanie do łóżka czy wolisz...

Urwał, kiedy pokręciła głową z uśmiechem.

– Tylko pytam – odparł i rozłożył ręce. – Muszę wiedzieć, czego szukać.

Ellegaard rozejrzała się, jakby gdzieś na Fugloy rzeczywiście mógł się mieścić widoczny stąd hotel. Prawda była jednak taka, że nie funkcjonowało tutaj ani Airbnb, ani

nawet Workaway. To miejsce stanowiło bastion odludków, nikomu nie było na rękę przyjmowanie turystów. Owszem, pozwalano im przyplęwać, by robili zdjęcia – szczególnie pasjonatom ornitologii. Nazwa zobowiązywała, bowiem Fugloy oznaczało dosłownie „wyspę ptaków”. Nikomu jednak nie zależało na tym, by przyjezdni zostawali tu na dłużej.

– Chyba nie mamy wyjścia – zauważyła Katrine. – Musimy się uśmiechnąć do Ingibjørga i Tórunn.

– Możemy się uśmiechać do woli. Wiele to nie zmieni.

– Odmówią ci noclegu?

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa tak.

– I zostawię na pastwę losu? Przy takiej temperaturze?

– Najwyraźniej nie wspominają dobrze moich wizyt na Fugloy.

– Najwyraźniej – mruknęła Katrine.

Mimo wszystko nie mieli innego wyjścia. Podeszli pod górkę, a potem zapukali do drzwi Olsenów. Ciężkie kroki świadczyły o tym, że także tym razem otworzy im Ingibjørg.

Rozmowa była krótka i konkretna. Hallbjørn poprosił o dach nad głową na jedną noc, wuj odpowiedział, że nie mają ani wolnego pokoju, ani nawet łóżka. Dopiero gdy Hal stanowczo oznajmił, że w takim razie pozostaje im noc pod chmurką, Ingibjørg ustąpił. Właściwie Katrine nie spodziewała się innego rezultatu. Cham czy nie, więzi rodzinne robiły swoje.

Godzinę później siedzieli w czwórkę w salonie, nie odzywając się do siebie. Pan domu czytał jedną ze swoich starych książek, Tórunn oglądała telewizję, nastawioną dość głośno. Ingibjørgowi zdawało się to nie przeszkadzać, najwyraźniej wykształcili rodzaj symbiozy, w której oboje doskonale się odnajdowali.

Katrine i Hallbjørn udawali, że ich tutaj nie ma. Mieli spać w salonie, co w praktyce oznaczało, że Olsen zajmie podłogę, a ona położy się na kanapie. Ellegaard przyglądała się Farerom, rozmyślając, jakie tajemnice skrywają.

Jedno było pewne – ta niezwykle mała społeczność miała ich więcej niż niejedna metropolia. Katrine pomyślała, że tego wieczoru ma wyjątkową okazję, by zacząć drążyć tę skałę.

– Nie udało nam się rozmówić z Gunnsteinem – odezwała się w końcu.

– Nic dziwnego – odparła Tórunn. – Jest z nim coraz gorzej.

– Ma swoje dobre momenty – burknął Ingibjörg, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Raczej miewał – poprawiła go żona.

Gospodarz westchnął i rozsiadł się wygodniej, po czym przerzucił stronę, sugerując, że nie ma zamiaru tracić czasu na cczą gadaninę. Tórunn sprawiała jednak wrażenie, jakby chętnie porozmawiała z Katrine. Monotonia i stałe, niezmiennie grono rozmówców najwyraźniej dawały jej się we znaki – w tej sytuacji nawet Dunka musiała wydać się jej dobrą towarzyszką do rozmowy.

– Od dawna to trwa? – spytała Ellegaard.

– Od dobrych kilku lat. Chociaż wcześniej też często zapominał o jakichś rzeczach.

– Alzheimer?

– Nie wiadomo. Nigdy nie pozwolił się zdiagnozować. Ale jaka to różnica?

– Rodzina nie może go przymusić? Może to da się leczyć?

– Gunnstein Thorleifsson nie ma żadnej rodziny. Nigdy nie miał i nigdy już mieć nie będzie. Może dlatego zwariował. Nikt nie powinien tak żyć.

Katrine trudno było się z tym nie zgodzić. Przemknęło jej przez myśl, że sama jeszcze niedawno była na jak najlepszej drodze, by mieć podobną perspektywę. Teraz jednak wszystko się zmieniało. Powoli, małymi krokami, ale się zmieniało. Nie była gotowa przyznać, że widzi nadzieję na horyzoncie – ale jej jutrzeńkę z pewnością. Spojrzała na Hallbjørna, a on również zerknął na nią ukradkiem.

– O co chodzi z tymi wszystkimi meblami? – zapytał. – Wygląda, jakby Gunnstein je zbierał.

– Owszem, zbiera – odparła Tórunn.

– Po co?

– Trudno powiedzieć. Hobby jak każde inne.

– Raczej nie jak każde inne. Cały dom jest nimi zavalony.

– Jest dziwakiem, w dodatku chorym na głowę. Co więcej mam ci powiedzieć?

Katrine kusiło, by zapytać o jego przeszłość, ale wiedziała, że musi być ostrożna. Jedno słowo za dużo i przekona się, że społeczeństwo farerskie było jeszcze mocno patriarchalne. Ingibjörg zarządzi koniec rozmów i tyle z tego będzie.

– Z nikim się nie związał przez te wszystkie lata? – spytała.

– Z nikim. Nie licząc przygody z Rannwą Egholm.

– Przygody?

Ingibjörg podniósł wzrok znad książki, ale się nie odezwał. Najwyraźniej nie wspominał żonie, o czym wcześniej rozmawiali. Tórunn zaczęła opowiadać, powtarzając właściwie to wszystko, co Katrine już wiedziała. Nie wspomniała jedynie o nocnej interwencji i ucieczce Rannvy.

– Od tamtej pory był sam?

– Jak palec – potwierdziła Tórunn. – Nawet nie próbował kogoś sobie znaleźć.

– Więc miał nadzieję, że dawna miłość wróci?

– Nie, nie. Wiedział, że nie może na to liczyć.

– I nie walczył o Rannvę?

– Nie.

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– A jednak tak było. – Ciotka Hallbjørna westchnęła. – Nie zawsze wszystko dzieje się tak, jak w filmach. Nie zawsze jest romantyczna walka o wspólną przyszłość.

– Oczywiście, że nie, ale...

– Gunnstein po prostu odpuścił.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć, co działo się w jego głowie. Widocznie uniósł się dumą, a może uznał, że i tak nic nie wskóra.

Ingibjörg znów zerknął na Katrine. Tym razem było to ostrzeżenie.

– No tak – przyznała Ellegaard. – Ale mimo wszystko trudno mi w to uwierzyć. Był zakochany do szaleństwa i nagle z dnia na dzień dał za wygraną? Mówimy o człowieku, który potem całe życie spędził samotnie, nawet nie próbując znaleźć zastępstwa?

Tórunn wzruszyła ramionami.

– Nie my pierwsze się nad tym zastanawiamy – odezwała się po chwili. – Kiedy to się stało, przez pół roku był to jedyny temat na wyspie. Ale, jak mówiłam, nikt nie wie, co siedzi w głowie Gunnsteina.

Więcej Ellegaard nie udało się dowiedzieć. Kluczyła wokół tematu, lecz Tórunn wciąż powtarzała to samo innymi słowami. W końcu Ingibjörg zamknął książkę, wstał z fotela i skinął na żonę. Nie musiał nawet nic mówić, posłusznie poszła za nim do przedpokoju, na odchodnym życząc Katrine i Olsenowi dobrej nocy.

Kiedy zostali sami, nie potrzebowali słów, by się porozumieć. Jedno wymowne spojrzenie załatwiło wszystko.

– Śmierdzi na kilometr – szepnął Hallbjørn.

– Bez wątpienia.

– Cała ta sprawa. Od początku do końca.

– Tyle że trudno ustalić źródło smrodu.

– Jest tutaj, na Fugloy.

– To oczywiste. Miałam na myśli bardziej konkretny wymiar.

Olsen popatrzył w okno.

– Ktoś musi coś wiedzieć o Norwegu i o tej cholernej piszczeli.

– Ktoś z pewnością. I to niejedna osoba, jak przypuszczam.

Hallbjørn mruknął potakująco, po czym potarł skronie i oświadczył, że na dzisiaj ma dość całej sprawy. Przeniósł się na fotel wuja, a potem sięgnął po książkę. Spojrzał na okładkę, skrzywił się i odłożył lekturę. Wybrał inną z biblioteczki i pogрузzył się w czytaniu.

Katrine położyła się na kanapie, zaplatając dłonie pod głową. Nie potrafiła ot tak odciąć się od tego, nad czym pracowała. Może dlatego, że dawało jej to wytchnienie, zastępowало uporczywe myśli o nowotworze, terapii i niepewnej przyszłości.

Po chwili zaczęła odpływać, ale dźwięk jej telefonu szturmем wdarł się do tworzącego się w jej umyśle ładu. Sięgnęła po komórkę.

– Nolsøe – powiedziała.

– Przełącz na głośnik.

Zastanawiała się przez moment, po czym uznała, że to nie najgorszy pomysł. I tak najpewniej będzie wszystko referowała Hallbjørnowi po rozłączeniu.

– Tak? – odezwała się, kładąc telefon na oparciu kanapy.

– Co ty wyprawiasz?

– Mnie też miło cię słyszeć, Sigvald.

– Jesteś na Farojach.

Chciałaby, żeby to było pytanie, ale ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to stwierdzenie faktu.

– Tak. Mam urlop.

– Chyba sobie żartujesz...

– Nie, nazbierało mi się trochę dni, muszę jakoś je wykorzystać. Odwiedzam starego znajomego.

– Nie pierdol mi tutaj, proszę cię.

Zważywszy na zwyczajową mrukliwość i opryskliwość Nolsøego, należało uznać, że nie była to najgorsza reakcja, jakiej mogła się spodziewać. Przeciwnie, Sigvald przed wykonaniem telefonu musiał wypić piwo lub dwa na rozładowanie emocji.

Katrine zastanawiała się, skąd Nolsøe wie, że się tutaj pojawiła. Frida Skovmand z pewnością milczała jak grób, ale może ktoś w Krákureiðrið przypadkiem się wygadał podczas niezobowiązującej rozmowy?

– Nie mam zamiaru – powiedziała. – Po prostu podchodzę do sprawy żartobliwie.

– Mnie nie jest do śmiechu.

– Dlaczego nie? Mamy ciepłą jesień, piękną pogodę...

– Bo prowadzisz nielegalne śledztwo – uciał. – O czym nie omieszkałem już poinformować twojego przełożonego.

Ellegaard uniosła brwi. Najwyraźniej nadepnęła mu na odcisk. Sigvald znosił jej obecność całkiem nieźle, o ile wynikała ona z bezpośrednich rozkazów płynących z Kopenhagi. Hierarchia i podporządkowanie służbowe – te sprawy Nolsøe rozumiał. Potrafił przełknąć wszystko, co się z nimi wiązało. Ale samozwańcze duńskie dochodzenie najwyraźniej przekraczało poziom jego tolerancji.

– Nie prowadzę żadnego śledztwa.

– Christiansen twierdzi inaczej.

– Kto?

– Jógvan Christiansen.

– Mąż Anne?

– Zgadza się – potwierdził Nolsøe. – Dzwonił do mnie z pytaniem, czy są jakieś nowe wieści w sprawie, którą prowadzimy wraz z Duńczykami. Skonsultowałem tę rzeczoną sprawę z Madsem Lykkem, ale, o dziwo, Mads nic nie wie. Możesz wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy okazało się, że u Christiansenów była pewna policjantka z Danii.

– Mhm.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Co mogę dodać? – zapytała z uśmiechem. – To mogłam być ja. Ale nie twierdziłam, że prowadzę tę sprawę.

– I nie pokazałaś im legitymacji?

– Nie, raczej nie.



– Raczej?

– Nie przypominam sobie tego – odparła nieco poważniejszym tonem. – Podobnie jak tego, byś nagle stał się moim przełożonym i mógł mnie maglować w ten sposób.

– To moje dochodzenie, Ellegaard.

– I nie mam zamiaru się wtrącać. Po prostu chciałam sprawdzić śmierć tej kobiety.

– Nie masz prawa. Ani właściwie powodu. Rannvá Jákupsdóttir zmarła ze starości.

Katrine nie odpowiadała. Zastanawiała się, czy jest w ogóle sens dyskutować z Sigvaldem. Wiedziała, że jeśli przedstawi mu swoje ustalenia z Fugloy, być może zainteresuje go na tyle, by podążył tym tropem i ostatecznie przyznał, że śmierć Rannvy mogła być spowodowana czymś innym niż tylko działaniem natury. Ale czy to prowadziłyby do czegoś dobrego? Nie, raczej nie. Nolsøe szybko przejąłby sprawę.

– Przyjedź do Tórshavn – powiedział. – Musimy to omówić.

– Nie ma czego omawiać.

– Przeciwnie. Mads też nie jest zadowolony, że kopiesz pod nim dołki.

– To nie ma z nim nic wspólnego – zapewniła. – Zresztą z tego, co wiem, i tak nie zajmuje się tą sprawą. Przyjął taktykę na przeczekanie.

– Przeczekanie?

– Gdy minie wystarczająco dużo czasu, Kopenhaga wezwie go z powrotem, a on uzna, że zrobił wszystko, co mógł.

Sigvald zaśmiał się.

– Bo zrobił. Czego jeszcze od niego wymagasz? Żeby węszył zabójstwo tam, gdzie według wszelkiej logiki go nie było?

– Nie bądź taki pochopny w osądach. Rannvá Jákupsdóttir była zdrowa jak ryba.

– W tym wieku nikt nie jest zdrow jak ryba. Zresztą zadzwoń do szpitala w Tórshavn, pomęcz tamtejszych lekarzy, ale, na Boga, daj spokój tej rodzinie. Pozwól im przeżywać odejście tej kobiety w spokoju.

– Nie zamierzam im przeszkadzać.

– Świetnie. Kiedy możemy się siebie...

Katrine rozłączyła się, zanim Sigvald zdążył dokończyć zdanie. Hallbjørn popatrzył na nią z uznaniem, ale ona była już myślami daleko. Nie przerwała połączenia, by zirytować Sigvalda. Nie chodziło też o to, że miała dosyć jego gadaniny. Coś, co powiedział, sprawiło, że w jej umyśle przeskoczyła jakaś zapadka.

Olsen odłożył książkę.

– Co jest?

– Zastanawiam się...

– Widzę. Sprawiasz wrażenie, jakbyś właśnie wymyśliła rozwiązanie problemu głodu w Afryce.

Katrine go nie słuchała. Wpatrywała się w komórkę leżącą na oparciu kanapy. W końcu sięgnęła po nią, a potem wybrała numer informacji w Tórshavn.

## 35

### 29 października, sobota, godz. 20.42

Hallbjørn z szacunkiem obserwował to, co przez ostatnie pół godziny starała się osiągnąć Katrine. Musiał przyznać, że ta kobieta naprawdę potrafi balansować na granicy prawa, pozostając wciąż po tej bezpiecznej stronie. Choć nie, nie było to balansowanie. Gracja, z jaką to robiła, przywodziła na myśl raczej taniec.

Nie wspominając słowem o tym, że dzwoni jako osoba prywatna, a nie przedstawicielka policji, przepytowała kilku lekarzy. Jeden z nich miał dyżur i to on udzielił jej kilku istotnych informacji, pozostali byli już w domach i zapewne niebawem zamierzali ułożyć się do snu, by od rana rozpocząć harówkę. Ci nie byli zbyt wylewni.

Po ostatniej rozmowie Ellegaard popatrzyła na Olsena, zmrużyła oczy i pokiwała głową. Podniosła się, przeszła po pokoju, przygryzając dolną wargę, a potem zatrzymała się przed oknem. Wyjrzała przez nie, ale na zewnątrz widać było jedynie nieprzenikniony mrok nocy.

– Jest tak, jak przypuszczałam.

– Czyli?

– Gunnstein Thorleifsson nie jest takim odludkiem, za jakiego tu go mają. – To znaczy? Bywał na Streymoy? Przyjeżdżał do Vestmanny?

Katrine obróciła się do niego i oparła o parapet.

– Co do tego nie mam wątpliwości – stwierdziła. – Twoja ciotka może uważać, co chce, ale te wszystkie romantyczne filmy nie powstają w próżni. Bazują na ludzkich doświadczeniach.

– Więc Gunnstein twoim zdaniem nie odpuścił.

– Oczywiście, że nie. Ale nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Był w szpitalu w Tórshavn. I to nieraz.

Właściwie nie dziwiło to Hallbjørna. Samotnik czy nie, Thorleifsson musiał się zaniepokoić, kiedy pojawiły się pierwsze objawy choroby. Nawet najbardziej zagorzały pustelnik szukałby pomocy, gdyby przyszło co do czego – gdyby od tego zależało, jak spędzi resztę życia.

– Na co choruje? – zainteresował się Olsen.

– Nie powiedzieli mi tego. Potrzebna jest zgoda pacjenta lub rodziny albo sądowy nakaz.

– Więc co ci powiedzieli?

– Że ostatnim razem był na badaniach dziesięć lat temu.

Hallbjørn zastanawiał się, czy można było już wtedy zdiagnozować jakąkolwiek chorobę neurodegeneracyjną. Jeśli chodziło o alzheimera, był pewien, że nie – to był uśpiony, dobrze zakamuflowany zabójca. Profesjonalista, który uderzał tak, by nikt tego nie zauważył. Stopniowa utrata pamięci, krok po kroku pogarszający się stan umysłowy – akurat na tyle, by choroba posuwała się naprzód, ale nie zaalarmowała nikogo w otoczeniu.

– Może to wtedy postawili mu diagnozę? – podsunął. – Gunnstein uznał, że nie ma sensu się leczyć, więc już nigdy więcej się nie pojawił.

– Nie.

Katrine wciąż patrzyła w okno.

– Nie?

– Jeden z lekarzy twierdzi, że wszystkie badania miał wtedy w porządku.

– Nie było śladu alzheimera?

Ellegaard pokręciła głową. Wyglądała, jakby biła się z myślami i nie mogła ich ułożyć. Olsen doskonale wiedział, co rozważa. I sam nie miał zamiaru kotłować się z możliwymi hipotezami i przypuszczeniami.

Skierował się do sypialni Ingibjörga i Tórunn i załomotał w drzwi. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc ponowił próbę, tym razem jeszcze bardziej się do tego przykładając.

Z drugiej strony najpierw doszedł go stek inwektyw po farersku, a potem ciężkie kroki. Ingibjörg otworzył drzwi tak raptownie, jakby nagle odmłodniał o kilka dobrych lat. Spiorunował wzrokiem Hallbjørna.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

– Potrzebuję szybkiej odpowiedzi na pytanie, które...

– Co takiego?

– Powiedziałem, że...

– Budzisz nas w środku nocy, ty zasrany gówniarzu, żeby o coś zapytać?

– O ważną rzecz, wujku – odparł Olsen, używając tonu, którym w dzieciństwie potrafił zjednać sobie sympatię tego człowieka. Tym razem jednak nie podziałało. Ingibjörg sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar potwierdzić nagłe odmłodnienie nie tylko poprzez energiczne ruchy, ale także silne ciosy. Przeszedł przez próg i spojrzał na siostrzeńca spode łba.

– Wynoś się!

– To istotne, naprawdę. Nie budziłbym was, gdyby było inaczej.

Ingibjörg zrobił jeszcze pół kroku. Teraz niemal stykali się głowami i Olsen musiał zdusić w sobie potrzebę, by się wycofać.

– Od kiedy Gunnstein ma problemy z pamięcią?

– Od dwudziestu pieprzonych lat.

– A te poważne?

Starzec zastanawiał się przez moment, ale z pewnością nie nad odpowiedzią na pytanie. Raczej nad tym, jak sprawić, by Hallbjørn dał jemu i jego żonie święty spokój. Tórunn narzuciła na siebie szlafrok i stanęła obok.

– Słyszysz te brednie? – zapytał ją. – Budzi nas po to, żeby...

– Dwanaście lat – powiedziała. – Zaczęło być z nim naprawdę źle już dwanaście lat temu.

– I wszyscy to zauważyliście?

Ingibjörg machnął ręką, zaklął pod nosem, a potem odwrócił się i wrócił do łóżka. Położył się, obrócił bokiem do drzwi i naciągnął kołdrę pod samą szyję. Olsen uśmiechnął się blado do ciotki.

– Tak – odpowiedziała cicho. – Trudno było nie zauważyć.

– To znaczy?

– Już wtedy nie potrafił przypomnieć sobie niektórych rzeczy. Gubił wątek podczas mówienia, coraz gorzej radził sobie ze wszystkim, co wymagało myślenia. To naprawdę było widać.

– Dziękuję, ciociu.

Skinęła mu głową i zamknęła drzwi, ale Olsen stał jeszcze przez chwilę na korytarzu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, choć tak naprawdę powinien się tego spodziewać od samego początku. Jak lepiej utrzymać tajemnicę sprzed lat?

Uśmiechnął się do siebie i odwrócił, chcąc zreferować wszystko Katrine. Ellegaard wyszła jednak zza progu, podobnie rozpromieniona.

– Nie może być – szepnęła. – Mamy przełom.

– O ile ci lekarze się nie mylą.

– Nie mylą się – powiedziała. – Dziesięć lat temu Thorleifsson dostał od nich *clean bill of health*. Co znaczy, że to wszystko symulacja. Jedna wielka symulacja.

– Chyba że nie zauważyli symptomów.

– Które od dwóch lat widzieli inni mieszkańcy? Nie sądzę.

Hallbjørn podzielał jej zdanie. Symptomy alzheimera łatwo było przegapić we wczesnych stadiach, ale jeśli z Gunnsteinem było tak źle, jak kazał sądzić pozostałym Farerom, w szpitalu z pewnością by to zauważono.

– W takim razie pozostaje nam wrócić rankiem do sukinsyna i go przycisnąć.

– Rankiem?

Olsen spojrział na zegarek. Jak na warunki w Kirkja było już późno, ale właściwie nic nie przemawiało za tym, by dawać Thorleifssonowi taryfę ulgową. Przeciwnie, lepiej było uderzyć w najmniej spodziewanym momencie.

– Bierz polar, Hal. Idziemy na łowy.

Opuścili dom chwilę później, zabierając ze sobą trochę suszonego mięsa z grindwali. Podgryzali je w drodze na Reynavegur. Nie było zbyt dobre, stanowczo za słone i za twarde, ale na szybką kolację nadawało się doskonale.

Stanęli przed drzwiami Thorleifssona i spojrzeli po sobie.

– Uderzamy od razu, czy proponujesz jakiś fortel? – zapytał Hallbjørn.

– Starczy tych forteli, Hal.

– Słusznie.

Przypuszczała, że miała na myśli szybkie przejście do rzeczy, wyłożenie swoich argumentów i niedopuszczenie Gunnsteina do głosu, ale Katrine najwyraźniej planowała pójść nieco dalej. Złapała za klamkę i popchnęła drzwi. Nie były zamknięte, pewnie nawet nie miały zamka.

Weszli do holu, w którym panowały cisza i mrok. Ellegaard nabrała głęboko tchu.

– Gunnstein! – ryknęła.

Z jednego z pokoiw dobiegł trzask. Wyglądało na to, że gospodarz ma lekki sen i właśnie zerwał się z łóżka.

– Gunnstein, wychodź!

Zatrzymali się w przedpokoju, Katrine skrzyżowała ręce na piersi. Czekwała na Thorleifssona niczym na przeciwnika na macie treningowej. Hallbjørn musiał przyznać, że Katrine potrafi pokazać, iż żarty się skończyły.

Stary Farer wyszedł niespiesznie z jednego z pomieszczeń. Pstryknął wyłącznik światła i spojrzał na dwójkę nieproszonych gości. Przywodził na myśl dziecko we mgle. Patrzył na nich, ale jakby zupełnie ich nie widział.

– Wystarczy tego – powiedziała. – Dzwoniłam do szpitala, Gunnstein.

– Ale kim wy...

– Nie mam czasu ani ochoty na wysłuchiwanie tego.

Olsen również przyjął zamkniętą postawę. Przekrzywił głowę i popatrzył na Thorleifssona, jakby ten był niesfornym szczyłem, który od zbyt długiego czasu robi problemy.

– Albo zaczniesz gadać, albo z samego rana popłyniemy do Havn.

– Nie mam... nie mam tam nic do załatwienia. Jutro jest niedziela.

Ellegaard rozłożyła bezradnie ręce i spojrzała na Hallbjørna.

– Owszem, niedziela. Trzydziesty października. Zapamiętaj tę datę, Gunnstein.

– Ale...

– To pierwszy dzień, który spędzisz w areszcie śledczym. Pierwszy i jeden z wielu.

Thorleifsson cofnął się, patrząc na nich niepewnie. Za odgrywaną rolę należał mu się Oscar – sprawiał wrażenie przestraszonego, nic nierozumiejącego, zagubionego i chorego człowieka. Gdyby nie to, że właściwie mogli mieć pewność, że kłamie, Hallbjørn dałby się na to nabrać.

– Byłeś badany dwa lata po tym, jak rzekomo rozpoczęła się twoja choroba – dodała Katrine, zbliżając się. – Nie wykryto żadnych niepokojących zmian.

– Nie rozumiem, co też...

– Skończ pierdolić, Gunnstein – syknęła. – Mam tego dosyć.

Zatrzymał się, ale nadal wyglądał na skołowanego.

– Przejrzeliśmy twój podstęp. I jeśli dalej będziesz w to brnął, scenariusz jest tylko

jeden: jutro jedziemy do Tórshavn, a jeszcze dziś zaczniemy mówić mieszkańcom Fugloy, dlaczego cię zabieramy. Z pewnością nie będą zadowoleni, że całymi latami robiłeś z nich idiotów.

Milczał. Jego twarz nieco spoważniała, ale nie na tyle, by Hallbjørn mógł sądzić, że do niego dotarli. W zasadzie nie wiedział, czy to w ogóle możliwe. Gunnstein od tylu lat pozorował chorobę, że być może nawet gdyby przystawić mu pistolet do głowy, nie przyznałby, że w istocie tak było.

– Zastanawiam się, jak karzecie tutaj takich łgarzy? – ciągnęła Ellegaard. – Macie na pewno swoje metody, prawda? Czy może powyżej jakiegoś wieku odpuszczacie takim sukinsynom, co?

Thorleifsson nie odpowiadał. Wbijał w nią wzrok, coraz bardziej agresywny i... coraz bardziej świadomy. A zatem jednak udało się do niego dotrzeć.

– Tylko że tobie już raz odpuścili, prawda? Wszyscy tutaj wiedzą, co zrobiłeś Rannvie. A mimo to dali ci czystą kartę, bo udało ci się wmówić im, że jesteś niespełna rozumu. Patrząc na ciebie, rzeczywiście można by w to uwierzyć. Ale tyle lat, Gunnstein... Naprawdę będą wściekli.

Zacisnął mocniej usta. Hallbjørn dostrzegł, że są suche i popękane jak skorupa.

– Koniec z taryfą ulgową. Czas wylać na ciebie cały ten gnój, na który zapracowałeś.

Thorleifsson uciekł wzrokiem w bok. Wciąż milcząc, skierował się do pokoju, a Katrine i Olsen po chwilowym wahaniu poszli za nim. Ellegaard odruchowo sięgnęła do miejsca przy pasku, gdzie powinna znajdować się kabura.

– Mamy dowody – oznajmiła, gdy weszli do pomieszczenia. Gunnstein usiadł przy stole otoczonym meblami. – Nie wygrzebiesz się z tego, rozumiesz?

Zajęli miejsca naprzeciw niego, niczym w pokoju przesłuchań. Thorleifsson patrzył na Katrine ze spokojem, już nie zaciskał ust i nie sprawiał wrażenia, jakby nie obchodziło go to, co policjantka mówi.

– No? – ponagliła go. – Co ty na to, Gunnstein? Chcesz ostatnie lata życia spędzić na dołku?

– Za co? – zapytał chrapliwie i odchrząknął.

– Za to, co zrobiłeś Rannvie. I za to, że nie poniosłeś konsekwencji.

Wzruszył ramionami. Obojętność była jak najbardziej na miejscu – nie istniał żaden dobry powód, dla którego mogliby go zamknąć w areszcie. Ellegaard użyła tego argumentu,

sądząc pewnie, że szok spowodowany odkryciem prawdy sprawi, iż Thorleifsson nie będzie myślał logicznie. Najwyraźniej jednak mężczyzna zdążył się zastanowić.

Cokolwiek zrobił trzydzieści lat temu, nie miało teraz znaczenia. Dawno doszło do przedawnienia, o ile nie była to zbrodnia największego kalibru. Gunnstein mógł spać spokojnie... przynajmniej jeśli chodziło o konsekwencje prawne.

Te społeczne były zupełnie inną kwestią.

– Nie masz nic do powiedzenia? – zapytała. – Trudno. Może więc posłuchasz.

Obojętnie skinął głową.

– Rannvá nie umarła śmiercią naturalną.

– Co takiego?

– I mam powody sądzić, że mogłeś mieć z tym coś wspólnego.

Cisza, jaka zaległa po tych słowach, była gęsta niczym mgła spowijająca Fugloy. Początkowo Thorleifsson sprawiał wrażenie głęboko poruszonego, wręcz wściekłego, ale po chwili na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech. Gunnstein z niedowierzaniem pokręcił głową i wskazał na siebie.

– Jak taki staruszek miałby kogokolwiek zabić? Nie bądź śmieszna, dziecko.

– Nie jest mi do śmiechu. I tobie też nie powinno być.

– Z tym nie mam zamiaru polemizować – zapewnił zwyczajnym, zdrowym i opanowanym głosem. Nie było w nim śladu rzekomej choroby. – Ale z innych powodów niż sądzisz. Kto mógłby chcieć ją zabić? To bez sensu.

– Brzmisz sztucznie, Gunnstein.

Trudno było temu zaprzeczyć. Olsen zastanawiał się, czy to rezultat tego, że Thorleifsson od lat nie mówił w ten sposób, czy może tego, że kłamie. Że doskonale wie, kto i dlaczego mógłby chcieć odebrać życie kobiecie.

– Ale skoro chcesz tak sobie pogrywać, niech ci będzie – powiedziała Ellegaard i podniosła się z krzesła. – Ja, jak mówiłam, mam tego dosyć. Dostyc tego waszego cholernego deszczu, pieprzonej mgły, zasranych owiec i wszystkiego innego, co wiąże się z tym zapomnianym przez Boga miejscem.

Ruszyła do wyjścia, Hallbjørn wstał i niepewnie poszedł za nią.

– Powiedz mi tylko, komu pierwszemu zdradzić prawdę – dodała na odchodnym. – Może Tórunn Olsen? Ona jako jedna z niewielu wypowiada się o tobie względnie dobrze.

Nie odpowiadał, mimo że znaleźli się już w korytarzu.



– Zresztą nie ma to znaczenia. I tak wieść rozejdzie się szybciej niż poranne wydanie „Dimmalætting”.

Kiedy dotarli do drzwi, nadal nie było żadnego odzewu. Hallbjørn zaklął w duchu. Na co liczył Gunnstein? Musiał wiedzieć, że nie rzucają słów na wiatr, przynajmniej nie w tym względzie. Grożenie mu aresztem było przesadą, nie musiał obawiać się tego, że spędzi tam więcej niż czterdzieści osiem godzin. Ale ostracyzm społeczny to zupełnie co innego. Być może jego widmo było dla niego bardziej dojmujące od perspektywy odsiadki.

Katrine chwyciła klamkę.

– Nic nie rozumiecie – odezwał się w końcu.

Spojrzeni po sobie i Olsen dostrzegł cień uśmiechu na twarzy Ellegaard. Wrócili do pokoju i ponownie zajęli miejsca po drugiej stronie stołu. Atmosfera wydawała się lżejsza, jakby dopiero teraz wszyscy mogli zaczerpnąć tchu.

Hallbjørn nie wiedział, czego się spodziewać po rozmówcy. Z pewnością nie był gotowy się otworzyć, ale coś musiał im dać. Coś, co sprawi, że zatrzymają swoje odkrycia dla siebie. Gunnstein zabębnił palcami o stół.

– Czego nie rozumiemy? – zapytała Katrine.

– Wszystkiego.

– W jakim sensie?

Thorleifsson wyprostował się, wypinając pierś. Rozluźnił mięśnie twarzy i w przeciągu chwili zdawało się, jakby odmłodził. Zrzucił maskę schorowanego, zmęczonego życiem człowieka.

– Znaleźliście szkielet, ustaliliście kilka faktów, może macie jakieś pojęcie o tożsamości tego człowieka, o historii, jaka się z nim wiąże... ale tak naprawdę nic nie wiecie.

Przez chwilę milczeli. Fakt, że Thorleifsson wspomniął o zamordowanym Norwegu, sprawił, że Olsen poczuł gęsią skórę. Po raz pierwszy ktoś w istocie przyznał, że wie coś na jego temat. I jeśli lekki uśmieszek Gunnsteina miał o czymś świadczyć, to mężczyzna mógł wiedzieć wcale niemało.

– Szkielet był kompletny? – spytał.

– Tak – odparła Katrine.

Starzec zaniósł się cichym, chrapliwym śmiechem. Szorstkość tego dźwięku sprawiła, że Olsen się wzdrygnął. Może i Thorleifsson nie chorował na alzheimera, ale z pewnością mierzył się z innymi zdrowotnymi problemami, typowymi dla jego wieku.

– Gówno prawda – warknął. – Brakowało nogi.

– Skąd pan o tym wie?

– Po prostu wiem. To i wiele więcej, w przeciwieństwie do was. Wy nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, gdzie szukać odpowiedzi. Nie macie pojęcia, co się wydarzyło, kto zawinił, dlaczego, kiedy... Jesteście żałośni w swoich próbach dotarcia do prawdy. Patrzę na to... obserwuję to od początku i śmiać mi się chce. Dawno nie widziałem tak nieporadnych, tak zagubionych, tak głupich i beznadziejnych ludzi. I to jest policja duńska? Kpina, zwykła kpina. Ty i ten drugi, Lykke, jesteście jak...

– Wystarczy.

– Nie skończyłem.

– Nie, nie skończyłeś – przyznała Katrine. – Przeciwnie, dopiero zacząłeś. I możesz być pewien, że nie odpuszczę, dopóki nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz.

– *Far til helvitis!*

Katrine spojrzała na Olsena.

– Idź do diabła – przetłumaczył. Biorąc pod uwagę okoliczności i to, na co było stać starych Farerów, trudno było uznać to za obelgę.

Ellegaard z rezygnacją pokręciła głową.

– Z samego rana jedziesz do Havn – oznajmiła.

– Pod jakim zarzutem?

– Żadnym. Zgłosisz się dobrowolnie.

Zaśmiał się i odsunął krzesło, które głośno zaskrzypiało. Wstał, podszedł do jednego z kredensów i wyciągnął z niego butelkę bez etykiety i banderoli. Usiadł z nią przy stole, po czym pociągnął łyk i oblizał usta.

– Mam cię w dupie – stwierdził, po czym przeniósł wzrok na Hallbjørna. – Ciebie również, zawszony zdrajco.

Napił się ponownie, tym razem biorąc jeszcze większy łyk. Olsen patrzył, jak grdyka starca przesuwana się w górę i w dół. Najwyraźniej nie miał zamiaru przestać. Wlał w siebie jedną trzecią butelki, nim Katrine wyrwała mu ją z rąk.

Spodziewali się, że będzie protestował, ale Thorleifsson jedynie się uśmiechnął, obnażając spore braki w uzębieniu. Odbiło mu się.

– Nikt nie zabił Rannvy – powiedział. – Możecie być tego pewni.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział. Patrzył to na jedno, to na drugie, wyzywająco i wyczekująco, jakby spodziewał się, że go zaatakują. Skrzyżował ręce na piersi, a potem odchylił się na krześle.

– Zaraz mnie trzepnie – poinformował. – A wtedy zrobię się agresywny. Jeśli zależy wam na przepychankach, zostańcie. Jeśli nie, znacie drogę do drzwi.

– Nigdzie się nie wybieramy.

Pokiwał demonstracyjnie głową, nie pozostawiając wątpliwości, że się tego spodziewał. Katrine zadawała mu kolejne pytania, starając się dowiedzieć czegoś o Rannvie, Norwegu i wydarzeniach sprzed trzydziestu lat. Gunnstein jednak zamilkł na dobre. Zaczął ich ignorować, rozglądając się po pokoju i czekając, aż alkohol zrobi swoje.

W końcu się doczekał. Głowa zaczęła mu opadać, a on walczył z sennością tylko przez moment. Wbrew swoim zapowiedziom nie zrobił się agresywny. Przeciwnie, oparł ręce na stole, położył na nich głowę i po prostu zasnął.

Ellegaard budziła go, szarpiąc za ramię, ale podnosił głowę jedynie na moment, po czym wracał do poprzedniej pozycji.

– To jakiś absurd – prychnęła.

Hallbjørn wstał i zbliżył się do starca. Potrząsnął nim bez skutku, po czym sięgnął po butelkę. Odkręcił i powąchał trunek.

– Mocne.

– Ile może mieć procent?

– Trudno powiedzieć. Wystarczająco, żebym dwa razy zastanowił się przed pociągnięciem łyku, a to mówi samo za siebie. – Odstawił butelkę na stół i spojrzał na Katrine. – Co robimy?

– Budzimy go.

– Chyba nie ma sensu – odparł Olsen. – Odpadł zupełnie.

– Więc sugerujesz, żebyśmy dali za wygraną?

– W żadnym wypadku. Wrócimy do niego rano, przecież nigdzie nie ucieknie. Nawet gdyby chciał, dopłynie najdalej do Streymoy.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie – zapewnił ją Hallbjørn. – Nie widziałem w porcie jednostek, które zdołałyby dotrzeć do Norwegii. Zresztą nie wiemy nawet, czy Gunnstein ma jakiś kuter. Jeśli tak, to z pewnością jest to stary rżęch.

Ellegaard zastanawiała się przez chwilę. Spróbowała jeszcze zbudzić Thorleifssona, ale

starzec unosił głowę tylko na moment, bełkocząc coś pod nosem. W końcu zaklęła głośno i zrezygnowała.

– W porządku. Wrócimy z samego rana.

Na wszelki wypadek zabrała ze sobą butelkę, a potem wylała jej zawartość, gdy tylko przekroczyli próg. Odstawiła pustą butelkę pod drzwi.

– Musisz przyznać, że to wybitny strateg – mruknął Olsen.

– Daj spokój, Hal. Skończył się czas na żarty.

– Mówię całkiem poważnie.

Popatrzyła na niego z ukosa.

– Najpierw choroba, teraz szybkie znieczulenie. Najwybitniejsi przestępcy z kontynentu powinni brać z niego przykład.

Pokręciła tylko głową, ale uśmiechnęła się lekko. Wrócili do domu Ingibjørga i Tórunn i zajęli swoje miejsca w dużym pokoju. Ledwo Olsen ułożył się na podłodze, gdy poczuł, że nadchodzi sen. Słyszał jeszcze, że Katrine wierci się na kanapie i pyta go o coś, ale nie rozumiał o co. Mruknął coś pod nosem, odpływając coraz bardziej.

Sen przyszedł szybko, ale nie przyniósł wytchnienia. Hallbjørn śnił o postaciach wyłaniających się z mgły na zboczach jakiegoś wulkanicznego wzniesienia, jednego z wielu, które składały się na krajobraz Wysp Owczych. Nie potrafił rozpoznać twarzy, ale widział żołnierskie mundury. Słyszał kobiece, może dziewczęce głosy, a potem charkliwe, drwiące pokrzykiwania Gunnsteina.

Nie wypoczął, ale nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy Katrine zbudziła go rankiem, wiedział, że właśnie nadszedł dzień, w którym odnajdą odpowiedzi.

## 36

### 30 października, niedziela, godz. 6.50

– Słońce wstanie za godzinę – oznajmiła Tórunn, stawiając przed gośćmi ciepłe mleko. – Musicie zobaczyć, jak wyłania się zza wysp. Będą dzisiaj świetnie widoczne.

Katrine napiła się mleka i płyn niemal od razu podszedł jej z powrotem do gardła. Zmusiła się jednak do uprzejmego uśmiechu. Odstawiła kubek i zerknęła na pianę, jaka zebrała się na kubku. Mleko bez wątplenia pochodziło prosto od kóz. Było tłuste, miało lekko pikantny posmak i Ellegaard nie wypiłaby ani odrobiny więcej, nawet gdyby ktoś jej

za to zapłacił.

– Ornitologdy często przyplývajú o tej porze – powiedziała Tórunn. – Fotografowie też. To najlepszy moment na świetne zdjęcia. Musicie to wykorzystać.

– Wykorzystamy na pewno – zapewnił ją Hallbjørn. – Ale najpierw mamy coś do załatwienia.

– Co takiego?

– Sprawy urzędowe – odparła Ellegaard.

Poczekala, aż Olsen dopije mleko, a potem podziękowali za gošcinę i skierowali się do wyjścia. Gospodarz zupełnie ich zignorował, jeśli nie liczyć szybkiego uścisku dłoni z Hallbjørnem i oschłego skinienia głową w kierunku Katrine.

Oświetlając sobie drogę komórkami, szli w stronę domu Gunnsteina. Kirkja powoli budziła się do życia. W oknach zapalało się światło, słychać było ciche rozmowy dochodzące z budynków. Gdzieś w porcie rozległy się pierwsze dźwięki silników.

– Jak to zrobimy? – zapytał Hallbjørn. – Wersja z aresztem nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia.

– A powinna.

– Co chcesz mu zarzucić?

– Utrudnianie śledztwa. Muszę tylko porozmawiać z Madsem, wszystko załatwimy.

– Więc zakujesz go w kajdanki i wyprowadzisz?

– Na urlopie? – uśmiechnęła się. – Nie ma mowy. Musi dobrowolnie popłynąć z nami do Hvannasund.

– Nie wyobrażam sobie tego. Próżno szukać bardziej upartych Farerów niż mieszkańcy Fugloy.

– Jeśli zależy mu, żeby resztę życia spędzić tu w spokoju, będzie współpracował.

– Wczoraj nic nie wskazywało na to, żeby miał taki zamiar.

– Miał trochę czasu, żeby się namyślić.

Zatrzymali się przed drzwiami i zobaczyli, że pusta butelka zniknęła. Najwyraźniej Thorleifsson już wstał. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, o której urwał mu się film. Nawet w miejscu, gdzie właściwie nie ma nic do roboty, trudno spać bez końca.

– Tym razem też nie zamierzam nawet pukać – oznajmiła Katrine i chwyciła za klamkę. Nacisnęła ją, ale drzwi ani drgnęły.

– A on tym razem nie zamierza ułatwiać nam zadania.

Oboje westchnęli, a potem Olsen zacisnął pięść i kilkakrotnie załomotał w drzwi. Nie było żadnego odzewu. Próbowali przez kilka minut, stopniowo tracąc cierpliwość. Nawoływali Gunnsteina, ale daremnie – najwyraźniej starzec był bardziej uparty, niż sądzili.

– Nie wpuści nas bez nakazu – mruknął Hallbjørn.

– W takim razie musi liczyć się z tym, że zjawi się tu cała wioska.

– Może to przekalkulował i stwierdził, że nie posuniemy się tak daleko.

Ellegaard nie sądziła, by tak było. Thorleifsson zdawał sobie sprawę, że Katrine nie ma nic do stracenia. Dobrze do miejsca, w którym mogła albo pójść na całość, albo uciec z podkulonym ogonem. Ta druga ewentualność nie wchodziła w grę.

– Otwieraj, Gunnstein! – krzyknęła. – Wiesz dobrze, że nie odejdę bez konkretów!

W domu nadal panowała cisza. Katrine przemknęło przez głowę, że Thorleifsson mógł się ulotnić. Archipelag nie był duży, ale istniało wiele miejsc, gdzie można było zaszyć się na jakiś czas.

Ellegaard ruszyła wzdłuż budynku.

– Rozejrzyjmy się.

– Za otwartym oknem?

– Też.

Wszystkie okna były jednak pozamykane, podobnie jak tylne drzwi. Zaglądali do wnętrza każdego z pokoi, oświetlając je telefonami, ale niczego nie dostrzegli. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego – a liczba starych, niepotrzebnych mebli dodatkowo przywodziła na myśl porzucone domostwo.

– Ten dźwięk silnika z portu... – zaczęła Katrine.

– Myślisz, że odpłynął?

– Najwyraźniej. Widzisz przecież, że nie ma po nim śladu.

– Dokąd miałby uciec? Wszędzie go znajdziemy.

– Ale nie od razu – burknęła, trąc nogą kawałek drewna. – Nie wiesz, czy Ingibjörg ma jakąś łódź? Kuter? Cokolwiek?

– Zapewne ma, ale co z tego? Prędzej wyrwie dziurę w poszyciu, niż nam pomoże.

– Racja.

Katrine obróciła telefon i wyłączyła aplikację z latarką.

– Co robisz?

– Dzwonię po posiłki. Dosyć tego, Hal. Czas, żeby zajęli się tym Nolsø i Mads Lykke.

– Mówisz, jakby ich obecność miała cokolwiek zmienić.

– Zmieni to, że jeśli Gunnstein odpłynął, złapią go. W dodatku będzie można zakuć go w kajdanki, zaprowadzić do aresztu w Tórshavn i potrzymać tam tak długo, aż zacznie gadać. Inaczej nic z niego nie wydusimy.

Nie miała najmniejszej ochoty wykonywać tego telefonu, ale wiedziała, że czas jej się kończy. Na jutro rano miała zarezerwowany lot powrotny do Kopenhagi, a po południu musiała się stawić na radioterapię w klinice. Cztery kolejne dni będzie miała wyjęte z życiorysu, na Faroje uda jej się wrócić dopiero na weekend. Jeśli chciała do tego czasu nie zwariować, należało wreszcie doprowadzić do jakiegoś przełomu.

Sigvald początkowo nie był zadowolony, ale kiedy usłyszał, że na Fugloy jest człowiek, który wie coś na temat kości, natychmiast zmienił podejście. W okamgnieniu przestało mieć znaczenie, że Katrine weszła z butami na jego teren.

Trudniej będzie z Madsem Lykkiem. To z nim będzie musiała się układać – i postarać się o to, by nie zawarł w raporcie zbyt wielu informacji o jej udziale w dochodzeniu.

Kiedy skończyła, odetchnęła głęboko.

– Załatwione – oznajmiła. – Nolsø zaraz będzie rozmawiał ze służbami, łodzie powinny opuścić Havn za pół godziny. Znajdą go, zanim dopłynie do kolejnej wyspy.

– Skąd ten nagły optymizm?

– Nolsø tak na mnie działa.

– Aha.

Powoli robiło się widno, ale okolica wciąż sprawiała niepokojące wrażenie. Dom Gunnsteina był zaniedbany, ale to nic w porównaniu ze stanem budynków gospodarczych. Obok stała niewielka szopa, a kawałek dalej metalowa buda.

Katrine zmarszczyła brwi.

– Chyba czas sprawdzić te baraki – powiedziała.

– Spodziewasz się znaleźć *sóknarongul*, co?

– Może.

Odwróciła się do niego i zobaczyła powątpiewanie w jego oczach.

– Coś nie tak? – spytała.

– Sam nie wiem. Gunnstein jakoś nie pasuje mi na kogoś, kto mógłby zabić człowieka.

– Chyba żartujesz...

– Owszem, widać, że jest zdolny do rzeczy, które są karygodne dla normalnego człowieka, ale brakuje mu... bo ja wiem, tego pierwiastka wynaturzenia, który drzemie w każdym psychopacie.

Katrine z uznaniem pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Proszę, proszę. Jesteś nie tylko byłym żołnierzem, skazańcem, ale także profilerem.

Ruszyli w stronę pierwszego z budynków. Obeszli go, przyglądając mu się z każdej strony, ale nigdzie nie znaleźli obluzowanej deski czy prześwitu, przez który mogliby zajrzeć do środka. W końcu zatrzymali się przy wejściu i spojrzeli na kłódkę.

– Po co zamykać szopę na Fugloy? – zapytała Katrine.

– Może przyjezdni ornitolodzy kradną mu lornetki.

– Z pewnością.

Potrząsnęła kłódką, mając nadzieję, że to stary, zardzewiały mechanizm. Szybko przekonała się jednak, że jeśli cokolwiek w szopie jest nowe, to właśnie zamknięcie. Popatrzyła na Hallbjørna, a ten wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz, możemy się tego pozbyć.

Rozejrzała się. Gdyby nie to, że czas naglił, z pewnością nawet nie wzięłaby tego pod uwagę. W takiej sytuacji jednak rozważała włamanie jako realną możliwość. Przynajmniej przez moment. Potem uznała, że narobiłaby problemów nie tylko sobie, ale także prokuraturze, jeśli okaże się, że Gunnstein miał coś wspólnego ze śmiercią Norwega. Nielegalne zdobycie dowodów mogłoby okazać się dla oskarżycieli co najmniej kłopotliwe.

– Sprawdźmy ten drugi budynek.

Olsen się obejrzał.

– To drewnitnia, niczego tam nie znajdziemy.

– Błazniana drewnitnia?

– Lepiej się sprawdza.

– Zawsze myślałam, że takie miejsce musi być przewiewne, żeby drewno oddychało.

– Bo tak jest – przyznał Hallbjørn. – Tyle że, jak może zauważyłaś, u nas zawsze wieje i pada. A jak wieje i pada, to także zacina. Drewno moknie i nie ma czym palić.

Podeszli bliżej i Katrine przekonała się, że ściany w istocie nie są jednolite. Jeden przy drugim znajdowały się poziome rowki, zasłonięte z góry krótkim blaszanym daszkiem. Sprytny wynalazek. Być może autorski, bo cała konstrukcja wyglądała, jakby była



wykonana własnoręcznie przez Thorleifssona.

– Tym razem chyba nie pocałujemy klamki – zauważył Olsen, wskazując na uchwyt w drzwiach.

– Czyń honory.

Hallbjørn złapał za prowizoryczną klamkę i pociągnął do siebie. Drzwi zaskrzypiały, otwierając się na zewnątrz. Ze środka doszedł ich zapach starego drewna, ziemi i...

Czegoś, co trudno było pomylić z czymkolwiek innym. Katrine natychmiast wyminęła Olsena i wpadła do środka.

– Mój Boże...

Gunnstein wisiał na pętli przewieszanej przez prowizoryczny strop. Sznur wrzynał się w podbródek, głowa zwisała bezwładnie, a skóra twarzy była trupioblada. Katrine zobaczyła kawałek pociemniałego języka wystającego z ust. W ciele człowieka po powieszeniu nie następowało wiele zmian, przynajmniej wizualnych. Plamy opadowe pojawiały się w dolnych partiach, a smród kału i moczu był taki, jak w przypadku każdej innej gwałtownej śmierci. Tyle że dla Katrine ta nie była taka, jak każda inna.

– Kurwa mać! – syknęła.

Hallbjørn stał obok bez ruchu.

– Dlaczego... jak... – wyjąkała, a potem pokręciła głową i odwróciła się. Odeszła nieco dalej, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Tylko czy naprawdę było to takie zaskoczenie? Czy nie powinna się tego spodziewać? Kiedy wczoraj opuszczali dom Gunnsteina, postawiła mu ultimatum, którego nie mógł zignorować. Była przekonana, że zostawia mu tylko dwa wyjścia – współpracę lub ucieczkę. Nie pomyślała jednak, że w obydwu przypadkach straciłby ostatnią rzecz, na której mu zależało. Dobre imię. Zabijając się, mógł się łudzić, że je ocali.

– Kurwa mać! – powtórzyła głośniej.

Olsen podszedł do niej i poczuła jego dotyk na ramieniu. W pierwszej chwili się wzdrygnęła, ale nie zabrał ręki. Poczekał chwilę, aż się z tym oswoi. Była mu za to wdzięczna.

– Powinam...

– Daj spokój – uciął. – Nie mogliśmy wiedzieć.

– Dlaczego nie? Zostawiliśmy mu inne wyjście?

– Tak. I to całkiem niezłe. Wystarczyło, żeby opowiedział nam o tym, co się stało z

Norwegiem.

Wiedziała, że to bzdura, ale doceniła, że Olsen próbuje ją pocieszyć i zawczasu zapobiec wystąpieniu wyrzutów sumienia. Na to było już jednak za późno.

Chciała znowu zakląć, ale się powstrzymała. Najchętniej wyciągnęłaby paczkę prince'ów, gdyby je miała, a potem wypaliłaby papierosa jednym długim sztachnięciem.

– Trzeba wezwać Skovmand – odezwał się Hallbjørn.

– Wiem.

– Nolsøe i Lykke mają prom o trzynastej z Hvannasund. Spokojnie zdąży do nich dołączyć.

– Nie... biorą jakąś łajbę z Tórshavn – odparła cicho, po czym potrząsnęła głową i sięgnęła po komórkę. – Ale zaraz to załatwię.

Hallbjørn cofnął dłoń i obrócił się w kierunku drewnutni. Katrine pomyślała, że w takiej sytuacji Faroje to idealne miejsce dla techników kryminalistyki. Lepiej jest chyba tylko na północy Norwegii i na Islandii. Ciało jeszcze przez jakiś czas nie zacznie gnić, co było w pewnej mierze zasługą tutejszego klimatu, ale przede wszystkim miejsca, które wybrał Gunnstein Thorleifsson. Przewiewna drewnutnia nadawała się wprost idealnie do przechowywania zarówno drewna, jak i zwłok.

Ellegaard wzięła głęboki wdech i wybrała numer. Nie zastanawiała się, co konkretnie powie. Wyszła z założenia, że Frida nie potrzebuje wiedzieć wiele. A sposób, w jaki przekaże to Sigvaldowi i Madsowi, Katrine pozostawi jej.

– Mamy trupa – oznajmiła bez ogródek.

– To już drugi w ciągu kilku dni – zauważyła Frida.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Zmarła Rannvá Jákupsdóttir, która...

– Wiem – przerwała Ellegaard. – Ale to nie wszystko, Frida.

– Nie?

Katrine wytłumaczyła jej pokrótce, co się wydarzyło. Dwie czy trzy minuty później było po sprawie, a Skovmand prawdopodobnie już zabierała sprzęt i pędziła do samochodu. W Tórshavn będzie za pół godziny, jeśli się pospieszy. Zapewniła, że po drodze zadzwoni do Nolsøego i powie mu o wszystkim. Ellegaard była jej wdzięczna – ostatnie, czego teraz potrzebowała, to wysłuchiwanie farerskich utyskiwań na to, że urządziła sobie samowolkę.

Obejrzała się na Hallbjørna. Stał przed szopą, patrząc pustym wzrokiem na zwisające ze

stropu ciało.

– Hal?

Drgnął, jakby przeszedł go prąd, i odwrócił się do niej.

– Co robisz? – zapytała.

– Przyglądam się.

– Widzę – mruknęła. – I niepokoi mnie to.

Podszedł do niej i uśmiechnął się blado. Kąciki ust się podniosły, ale zmarszczki mimiczne ani drgnęły.

– Nie masz się czym niepokoić – powiedział. – Sprawdzałem tylko, czy wszystko... No wiesz, jest w normie.

– To znaczy, czy sam się powiesił. To masz na myśli?

– Mhm – potwierdził, pocierając ręką krótkie włosy. – Wiele rzeczy mogło się zdarzyć od naszego wyjścia.

– Nic nie wskazuje na udział osób trzecich.

– Skąd ta pewność?

– Pewności nigdy nie mamy, Hal. Ale przewrócone krzesło, wysokość belki, brak śladów butów...

– Butów?

Katrine wskazała na skrawek ziemi przed wejściem do drewnutni. Kiedy tylko opuściła budynek, odruchowo powiodła wzrokiem po podłożu, szukając śladów świadczących o obecności osób trzecich. Dostrzegła jedynie odciski trzech par butów – jej, Hallbjørna i człowieka, który nocą lub rankiem odebrał sobie życie.

Ta ostatnia myśl przeszła jej głowę jak błyskawica. Na dobrą sprawę dopiero teraz Katrine uświadomiła sobie, że to swoimi działaniami doprowadziła do takiego rezultatu. Pomyślała, że powrót do Kopenhagi może okazać się najlepszą rzeczą, którą powinna zrobić.

## 30 października, niedziela, godz. 20.25

Olsen i Katrine wrócili zmordowani do domu przy Fjalsvegur. Temperatura wewnątrz chyba niewiele różniła się od tej na dworze, ale żadne z nich nie miało zamiaru narzekać. Przygotowali sobie po zupce instant, gorącej herbacie, a potem usiedli na kanapie i okryli się kocami.

Cały dzień spędzili na Fugloy, choć Sigvald Nolsøe szybko pokazał im, gdzie ich miejsce – nie zostali dopuszczeni do badania miejsca zdarzenia, a cały teren ogrodzono policyjnymi taśmami. Ellegaard podjęła kilka karkołomnych prób, by przekonać Madsa Lykkego, że może im się przydać, ale zarówno on, jak i Nolsøe byli nieugięci.

Nie mając innego wyjścia, Hallbjørn i Katrine postanowili przepytac resztę mieszkańców wyspy. Logika podpowiadała, że Ingibjörg nie był jedynym, który wie coś na temat Rannvy i Gunnsteina.

Pozostali Farerowie w Kirkja milczeli jednak jak grób. Twierdzili, że owszem, kiedyś pewna kobieta ze Streymoy mieszkała u Thorleifssona, ale było to tak dawno, że trudno przypomnieć sobie coś więcej.

Nie wiedzieli nic o żadnym Norwegu, a tym bardziej o tym, skąd mogłaby wziąć się piszczel, która stanowiła największy zgrzyt w śledztwie. Gdyby nie niepasująca kość, sytuacja wyglądałaby na bardziej klarowną – ten element jednak burzył każdą hipotetyczną konstrukcję i sprawiał, że nie sposób było znaleźć wytłumaczenia.

Czas jednak biegł nieubłaganie i zbliżał się moment, kiedy Katrine miała opuścić Faroje. Olsen przypuszczał, że wróci, kiedy tylko będzie mogła, ale z każdą kolejną godziną zaczynał coraz bardziej w to wątpić. Ellegaard sprawiała wrażenie, jakby była zmęczona tym wszystkim, w dodatku zaczęła obarczać się odpowiedzialnością za śmierć Gunnsteina. Nieważne, co mówiła – były to nie tylko zawodowe wyrzuty sumienia, ale także moralne.

– Muszę przyznać, że odczuwam ulgę – odezwała się, obejmując dłońmi kubek z parującą herbatą.

– Tak?

– Ja spędzę w tym wygwizdowie jeszcze tylko jedną noc, ty zostaniesz tu na dobre.

Olsen zaśmiał się chrapliwie i zaczął kaszleć, jakby na potwierdzenie jej słów.

– Nie sądę – odparł. – Jutro się stąd zabieram.

– Jak to?

– Wystawiam dom na sprzedaż, samochód też. Im szybciej spłacę zaległości, tym mniej będzie to dla mnie bolesne. Poza tym i tak nie da się tutaj mieszkać, chyba że komuś zależy na tym, żeby nabawić się zapalenia płuc.

– Święta prawda. Gdzie się przeniesiesz?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Istnieje tyle możliwości...

– O tak, mógłbyś wrócić na Fugloy. Ingibjörg i Tórunn przyjmą cię z otwartymi rękoma.

– Po co tak daleko? Mam tutaj rodzinę, Erna będzie równie wniebowzięta.

– Jest jeszcze Jóhan, który także nie marzy o niczym innym, jak o przyjęciu cię pod swój dach.

– Widzisz? Mam nieskończenie wiele opcji.

Przez chwilę milczeli. Katrine napiła się herbaty, siorbiąc przy tym cicho.

– Ale mówiąc serio, gdzie zamieszkasz?

– Nie wiem.

– Może rozważyłbyś...

– Nie ma mowy – uciął, zanim zdążyła zwerbalizować to, co prędzej czy później musiało się pojawić. – Tutaj się urodziłem, tutaj zamierzam wyciągnąć kopyta. Jakakolwiek inna ewentualność sprawiłaby, że moje życie... nie wiem, w pewnym sensie ostatecznie okazałoby się bezcelowe.

Ellegaard namyślała się przez chwilę, otulając się szczelniej kocem. Hallbjørn poczuł naturalny impuls, by ją objąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zdawał sobie sprawę, że nie są jeszcze gotowi, by pójść w tym kierunku. Nie potrafili nawet porozmawiać o tym, co między nimi jest lub było.

Z drugiej strony rozmowa w takiej sytuacji czasem jest bezsensowna. Znacznie lepiej sprawdzają się czyny.

Uśmiechnął się w duchu. Jego myśli błądziły niczym u nastolatka. Doszedł do wniosku, że właśnie to sprawia, że ludzie ciągną do siebie jak ćmy do światła. Szukają zakochania, bo to nic innego, jak eliksir młodości. Jeśli w jakikolwiek sposób można było cofnąć się w przeszłość, wrócić do stanu dziecięcej naiwności, niewinności, to wyłącznie poprzez gorące uczucie do innej osoby.

Olsen wy dobył rękę spod koca i objął Katrine. Przez moment się nie poruszała, ale

potem przysunęła się trochę. Zarzucił koc na jej ramię, a ona oparła głowę na jego barku. Trwali tak bez ruchu przez kilka chwil.

– Jesteście dziwnym narodem.

– Mhm.

– Wszystko przemawia za tym, żeby zostawić ten pieprzony, wulkaniczny archipelag i zamieszkać gdzieś na kontynencie, a mimo to siedzicie tutaj, jakby w przeciwnym wypadku świat miał się zawalić.

– Nie wszyscy. Młodzi uciekają.

– Bo mają coś w głowach. – Podniosła na niego wzrok. – Natomiast w takich starych, zakutych łbach jak twój jest tylko pustka.

Odchyliła głowę, a Hallbjørn dopiero teraz zdał sobie sprawę, że te zaczepki to nic innego, jak zaproszenie. Pochylił się, a potem ją pocałował. Ich usta dopasowały się jak dwa elementy długo niekończącej układanki. Pograżyli się w ciepłych, wilgotnych pocałunkach, które przepełniała namiętność, ale w jakiś sposób nie było w nich pożądania. Tym razem pozostawało jedynie gdzieś w tle. Na pierwszym planie znajdowały się bliskość i poczucie bezpieczeństwa.

Po chwili położyli się na kanapie. Katrine wtuliła się w niego, a on opatulił ich kocem.

– To czysty pragmatyzm – odezwała się.

– Hm?

– Z mojej strony.

– Ach tak?

– Oczywiście. Nie zamierzam marznąć w ostatnią noc tutaj. Wystarczająco już się nacierpiałam.

– Rozumiem.

– Nie interpretuj tego jako coś więcej.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Zamilkli. Hallbjørn wsłuchiwał się w coraz wolniejszy, coraz bardziej miarowy i głęboki oddech Katrine. Poczł spokój i komfort, jakich dawno nie doświadczał. Powoli zaczynał odpływać i sądził, że zaraz oboje zasną.

Katrine jednak poruszyła się nerwowo.

– Muszę nastawić budzik – oznajmiła. – Mam lot z samego rana.

Olsen zaklął w duchu, ale wydał z siebie jedynie ciche, niewyraźne mruknięcie.

Ellegaard odkryła się i poszła po komórkę, a on poczuł przejmujący chłód, który zdawał się przenikać całe ciało.

Kiedy wróciła, Olsen ponownie skrzętnie ją okrył. Przez chwilę znów leżeli w milczeniu.

– Zastanawiam się... – zaczęła.

– Nad czym?

– Nad Egholmem.

– Hm. Myślałem, że po głowie chodzą ci przyjemniejsze rzeczy.

– To też – odparła z uśmiechem. – Ale w tych sprawach nie ma się nad czym zastanawiać.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Mam już wszystko zaplanowane.

– I podzielisz się tym ze mną?

– Pewnie – powiedziała i obróciła się do niego. – Dwójka dzieci, wolnostojący dom, mąż pracujący gdziekolwiek, byle nie w policji, duża biblioteczka, przyzwoita filmoteka i obowiązkowo porządne kino domowe.

– Oddzielny salon i kuchnia.

– Co?

– Tylko tak podsunałem, może...

– Nie, nie. Kuchnia i salon łączone – odparła zdecydowanie.

Pocałowała go i Hallbjørn na moment przeniósł się myślami do tego wymyślanego scenariusza. Naprawdę nie był gotów opuścić Wysp Owczych? Naprawdę chciał właśnie tutaj dożyć swoich dni? Nie, nie o to chodziło. Rzecz polegała na tym, że tutaj była Ann-Mari.

Z drugiej strony nie wiedział nawet, co córka planuje. Może zamierzała wyjechać na studia do Danii? W takim układzie mógłby pomyśleć nad przeniesieniem się do Kopenhagi. Z wojskową przeszłością znalazłby zatrudnienie w firmie ochroniarskiej. Siedziałby osiem godzin w jakiejś budce przy budowie nowego centrum handlowego, czytałby książkę, raz po raz lustrował teren. Wiódłby spokojne życie.

– Ale poważnie, Hal. Zastanawiam się nad Egholmem.

Przyjemna wizja w jego głowie pękała jak balon napełniany powietrzem aż do momentu, kiedy guma czy lateks już nie wytrzymują.

– Nad czym konkretnie?

Katrine potrząsnęła głową.

– Kim był ten człowiek?

– Nie wiem.

– Nie znałeś go? Podobno w Vestmannie każdy zna każdego.

– Egholmów jest prawie tyłu, ilu Olsenów. Ale nietrudno będzie się czegoś dowiedzieć, wystarczy, że przejdziemy się po Niðari Vegur i zapukamy do pierwszego lepszego domu.

– Mają tam już nas dosyć.

– Skądże. Nie dotarliśmy jeszcze nawet do granicy ich cierpliwości.

Popatrzyła na niego i podciągnęła koc pod samą szyję.

– Rozeznaj się w sytuacji, kiedy mnie nie będzie – powiedziała. – Popytaj, kim był ten Egholm, dlaczego Rannvá się z nim związała, dlaczego wróciła później do panińskiego nazwiska i...

– W porządku, Kat – uciął. – Zrobi się, a potem dostaniesz wyczerpujący meldunek. Ale teraz olejmy to i po prostu śpijmy.

– Nie mogę ot tak...

– Zasnąć? To całkiem proste. Zamykasz oczy i pozwalasz myślom płynąć w jakimkolwiek kierunku. W końcu docierają do spokojnych wód, na których... – Ziewnął przeciągle. – Na których nie ma żadnych zmartwień. Umysłowa flauta.

Ellegaard pokręciła lekko głową i też ziewnęła.

– Poza tym Nolsøe i Lykke zajmują się już sprawą, nie wspominając o Fridzie. Ani się obejrzysz, jak będą mieli pierwsze konkrety. Teraz, kiedy daliśmy im wyniuchać trop, szybko wyczują, gdzie należy szukać odpowiedzi.

– Takim zaufaniem ich darzysz?

– Nie, po prostu teraz mają wszystkie narzędzia, których potrzebowali. Wystarczy trochę uporu i jestem pewien, że do końca tygodnia będą mieli coś konkretnego. Jak wrócisz, sprawa może być już rozwiązana.

– Skąd pewność, że wrócę?

Hallbjørn się uśmiechnął.

– A kto mógłby sobie odmówić powrotu do tak urokliwego miejsca?

– Ja.

– No tak... – przyznał. – Ale z pewnością nie odmówisz sobie bycia przy finale tej



sprawy.

Co do tego miał absolutną pewność. Ani przez moment nie dopuszczał możliwości, że Katrine postanowi zostać w Kopenhadze. Nawet gdyby przez ten tydzień zastanowiła się nad ich relacją i wyciągnęła krytyczne wnioski, przyleci z powrotem, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Zasnęli chwilę później. Sen tym razem przyniósł Hallbjørnowi ukojenie i gdy o poranku rozległ się dźwięk budzika, miał ochotę wyrzucić komórkę przez okno. Niechętnie się odkryli i popatrzyli na siebie w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że chcieliby spędzić razem więcej czasu.

Katrine w pośpiechu spakowała do torby kilka rzeczy, a potem Olsen odwiózł ją na lotnisko. Pożegnanie było krótkie, bo już zaczynała się odprawa.

– Do zobaczenia w piątek – rzuciła Ellegaard.

Uśmiechnął się i zamachał do niej, a potem odwrócił się i opuścił terminal. Wsiadł do samochodu, włączył ogrzewanie i przez chwilę się zastanawiał. Rzeczywiście dobrze byłoby dowiedzieć się, kim był mąż Rannvy Jákupsdóttir, ale poniedziałkowy poranek można było też spożytkować w inny sposób.

Hallbjørn pojechał na Heygagøta i zaparkował nieopodal domu Erny. Czekał, aż na ulicy pojawi się Ann-Mari, ale zamiast niej z budynku wyszedł mężczyzna. Signar wciąż wyglądał, jakby podczas wycieczki na jeden z klifów potknął się i potoczył kilkadziesiąt metrów w dół.

Olsen wzdrygnął się. Nie martwiło go, że to jego sprawka – obić już zbyt wielu ludzi, by się tym przejmować, a jego także potraktowano w podobny sposób wystarczająco dużo razy. Dręczyło go to, że Ann-Mari codziennie widzi twarz tego człowieka i wie, że ślady po pobiciu to sprawka jej ojca.

To stanowiło pewien problem. Tym bardziej że zaraz po Signarze z domu wyszła Ann-Mari. Wsiadli do samochodu, a potem skierowali się w stronę Toftavegur. Hallbjørn pojechał za nimi, trzymając się odpowiednio daleko. Zaparkował przy skrzyżowaniu przed budynkiem szkoły i patrzył, jak się żegnają. Dziewczyna uśmiechnęła się, wysiadła z auta i pomachała do Signara. Potem zniknęła za ogrodzeniem.

Olsen westchnął i uznał, że nic tu po nim. Zresztą nawet gdyby miał okazję porozmawiać z córką, nic dobrego by z tego nie wynikło. Ostatnie dwa spotkania dobitnie to potwierdzały. Wycofał samochód, a potem skierował się na Niðari Vegur. Przepyta

mieszkańców, przynajmniej na coś się przyda.

Może przy okazji dowie się czegoś, co rzuci na sprawę nieco więcej światła.

## 38

### 31 października, poniedziałek, godz. 23.33

Trygvi Christiansen doskonale wiedział, o której jego rodzice idą spać. Nie mieli wprawdzie stałej pory, ale doświadczenie nauczyło go, że w poniedziałki kładą się znacznie wcześniej – potem do końca tygodnia godzina spoczynku stopniowo przesuwała się na coraz późniejszą. Były to dla niego kluczowe informacje, bowiem bez tego nie mógłby spokojnie grać po nocach. A noc nadawała się idealnie do rozgrywek w sieci. Wtedy był największy ruch.

Początkowo Trygvi nie był pewien, dlaczego tak jest. Potem sprawdził kilka rzeczy i przekonał się, że kiedy u niego jest dwudziesta trzecia, na wschodnim wybrzeżu USA wybija dopiero dziewiętnasta. Nastolatki siadają do komputerów po całym dniu i zaczyna się prawdziwa zabawa.

Tej nocy jednak czekał, aż rodzice zasną, bo miał ostatnią misję do spełnienia.

Tuż przed dwunastą był już pewien, że nie natknie się na nich, kiedy będzie wychodził z domu. Wysunął szufladę biurka, wyjął z niej wszystko, aż w końcu dokopał się do grubej koperty, którą zostawiła mu babcia.

Jej ostatnia prośba dotyczyła tego, by dostarczył ją panu Olsenowi – podobnie jak wcześniej, miał zachować najwyższą ostrożność i nie dać się złapać. Miał być jak tajny agent, rebeliant rodem z XCOM 2, działający w ukryciu i w przemyślany sposób.

Trygvi szczerze pragnął stanąć na wysokości zadania. Kusiło go jednak, by sprawdzić, co znajduje się w kopercie opatrzonej złowrogą czaszką. Wcześniej wiedział, jaka jest treść wiadomości, sam je drukował. Ale ostatni list babcia napisała odręcznie, a potem zakleiła i wręczyła wnukowi. Trygvi obiecał, że nie otworzy koperty. I mimo że ciekawość go zżerała, nie miał zamiaru zawieść zaufania babci.

Ubrał się ciepło, nie zapalając światła, a potem cicho przeszedł przez korytarz. Rodzice mieli głęboki sen, nigdy się nie budzili, gdy w trakcie rozgrywki musiał zrobić siku. Kiedy zaczynał nocne seanse, obawiał się, że dźwięk spłuczki ich zbudzi, ale nigdy nic nie mówili. Mama wprawdzie twierdziła, że budzi się za każdym razem, kiedy tata chrapie, ale

chyba nie była to prawda.

Trygvi Christiansen wyszedł z domu i zapiął kurtkę pod szyję. Ruszył szybkim krokiem w stronę Fjalsvegur. W Vestmannie panowała cisza, o tej porze mało kto jeszcze nie spał. Światła paliły się tylko w tych domach, gdzie mieszkali znajomi Trygviego. Cała jego klasa prowadziła nocny żywot, chodzili spać około pierwszej, może drugiej. Dzień w dzień byli niewyspani, ale kogo to obchodziło?

W końcu dotarł do domu pana Olsena. Budynek sprawiał złowrogie wrażenie, jakby był opuszczony. Dykty w oknach nie wytrzymały ciągle napierającego wiatru, kilka już odpadało, inne się wykrzywiły. Chłopakowi trudno było uwierzyć, że pan Olsen może tam mieszkać. A mimo to babcia zapewniała go, że odbiorca listu będzie właśnie tam.

Trygvi podszedł do okna i zajrzał do środka. Wewnątrz panował zupełny nieład, a podmuchy wiatru świszczą głośno. Chłopiec poczuł niepokój. Przełknął ślinę i wyjął list. Przepchnął go przez szparę w oknie i upuścił, po czym szybko się oddalił.

Nie miał ochoty spędzać w okolicy tego nawiedzanego domu więcej czasu, niż to było absolutnie konieczne. Zresztą miał lepsze rzeczy do roboty. Inni gracze ze Stanów nie próżnowali i na pewno nie tracili czasu na takie sprawy. Wypełnił misję, mógł wracać do domu. Pan Olsen prędzej czy później odnajdzie grubą kopertę.

## 39

### 1 listopada, wtorek, godz. 15.09

Katrine wyszła z kliniki i rozejrzała się. Odkąd wróciła do Kopenhagi, miała wrażenie, że liczba samochodów wzrosła, a wraz z nią poziom zanieczyszczenia powietrza i wszechogarniający hałas. Kjeld Moslund zapewniał jednak, że wszystko jest po staremu – po stolicy Danii wciąż przemieszcza się rekordowo mała liczba aut, przynajmniej biorąc pod uwagę średnią europejską. Coroczne badania potwierdzały, że około pięćdziesięciu procent mieszkańców dojeżdża do pracy na rowerach.

A mimo to Ellegaard nie czuła się komfortowo w swoim mieście. Zadziwiające, jak pociągające i uzależniające potrafią być Faroje. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek będzie tak postrzegała zlepek kilku surowych wysp na Morzu Norweskim, ale teraz musiała przyznać sama przed sobą, że żywi do nich coraz większą sympatię.

Uśmiechnęła się i wyjęła telefon. Wybrała numer Fridy.

- Nie mam ci nic do powiedzenia – oświadczyła na powitanie Skovmand.
- To niedobrze, bo nie dam ci spokoju, jeśli nie dowiem się tego, co mnie interesuje.
- Mam zakaz rozmów z tobą. Nałożono embargo na informacje.
- Ale bynajmniej się tym nie przejmujesz.
- Nie?
- Oczywiście, że nie. Urodziłaś się, kontestując świat. Dziwi mnie w ogóle, że nie zbuntowałaś się w łonie i nie narobiłaś lekarzom problemów.
- Kto powiedział, że tak nie było? – burknęła Frida, jakby poczuła się urażona taką sugestią. – Tak czy owak, śledztwo znów stanęło, więc nie...
- Bzdury.
- Mówię jak jest, Katrine. Nasi dzielni stróże prawa nie przesłuchali w Kirkja jedynie owiec. Cała reszta musiała gęsto się tłumaczyć, a Nolsø łypał na nich, jakby wszyscy byli podejrzani. Nie zazdrościłam biedakom.
- I nic?
- Wszyscy potwierdzili oficjalną wersję. Rannvá Jákupsdóttir wyrwała się ze szponów Gunnsteina, uciekła na Streymoy, a on został na Fugloy i oglądał ptaki, stopniowo tracąc zmysły, aż w końcu się powiesił.
- Nie tracił zmysłów.
- Może i nie – przyznała Frida. – Ale jakie to ma znaczenie?
- Takie, że do czegoś potrzebna mu była cała ta historyjka z alzheimerem.
- Z pewnością. Ale powód zabrał ze sobą do grobu.
- Ktoś tam musi coś wiedzieć...

Skovmand wypuściła ze świstem powietrze.

- Oczywiście, że tak – powiedziała nieco niewyraźnie i Ellegaard zorientowała się, że Frida pali właśnie papierosa. – Ale kto i co? Skąd ta tajemnica? Po co? Dlaczego? Nie wyciągniesz z nich tego, nawet jeśli przystawisz im broń do głowy.

Katrine chciałyby myśleć, że będąc na miejscu, sprawdziłaby się lepiej od duetu Lykke – Nolsø, prawda przedstawiała się jednak tak, że każdy był z góry skazany na porażkę. W społeczności tak małej, jak ta z Vestmanny, trudno było wyciągnąć na światło dzienne tajemnice tej zbiorowości. W kilkunastoosobowej homogenicznej grupie mieszkańców Kirkja było to właściwie niemożliwe.

- Mamy już pełne wyniki Thorleifssona – dodała Skovmand. – Zadzierzgnięcie typowe,

żadnych śladów, by ktoś coś kombinował.

– Bez cienia wątpliwości?

– Bez – potwierdziła Frida. – Gunnstein odwalił dwie dobre rzeczy. Kitę i dobrą robotę.

– Daj spokój.

– No co? Rozwiązał problem. Ludzie pewnie są wdzięczni, że nie dał okazji, by zrobić z tego wszystkiego medialną szopkę. Wiem, że oni wyglądają na zblazowanych, znudzonych życiem ponuraków, ale w gruncie rzeczy kochają tę swoją monotonię. Byliby wściekli, gdyby zaczęto burzyć ich spokój.

Może coś w tym było. Mimo to dobro kilku mieszkańców nie stanowiło najważniejszej rzeczy w hierarchii wartości Katrine.

– A Rannvá?

– Rodzina wyraziła zgodę na sekcję, byłam obecna.

– I?

– I przejrzałam też całą nudną dokumentację. Jak tylko cię dorwę, będziesz żałowała, że się urodziłaś.

– Żałuję na samą myśl – mruknęła Katrine, ruszając w kierunku komendy przy Halmtorvet.

Siedziba kopenhaskiego wydziału dochodzeniowego mieściła się we wprost idealnym miejscu. Ta część dzielnicy była podejrzana, a liczne wąskie uliczki pełne imigrantów, którzy tylko czekali na dobrą okazję, by napaść Bogu ducha winnego turystę. Cóż, pechowcy przynajmniej mieli blisko, by złożyć zawiadomienie.

– Nic nie wskazuje na to, by Rannvá Jákupsdóttir padła ofiarą przestępstwa – wyrecytowała urzędowym tonem Frida. – I jeśli ja to mówię, możesz być tego pewna.

– Ale...

– Starzy ludzie umierają, do kurwy nędzy, to nic nowego. Nie trzeba od razu angażować do pracy techników kryminalistycznych, którzy mają znacznie lepsze rzeczy do roboty.

– Dobrze, już dobrze.

– Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

– Nie.

– Pewnie – burknęła Skovmand. – Reszty dowiesz się od swojego szpicla na miejscu. Jesteście w stałym kontakcie, co?

– Może.

– Oho, jaka tajemnicza. Myślisz, że go tu nie widuję? I że nie widzę uśmiechu, z jakim szwenda się po ulicach?

– Dałam mu pewne zadanie do wykonania.

– Tak, wiem. Od dwóch dni magluje mieszkańców Niðari Vegur, w dodatku chyba ze dwie godziny spędził w domu Christiansenów.

– Skąd wiesz?

– Anne mówiła mi o tym, kiedy rozmawialiśmy o sekcji. Swoją drogą cała ta sprawa niespecjalnie podobała się jej mężowi, Jógvanowi.

– Mało mnie to obchodzi.

– Pewnie, pewnie. Jesteś na urlopie, formalnie nie można złożyć na ciebie skargi, bo przecież nie maczasz w tym palców, prawda? Nic to, że kierujesz wszystkim niczym Goebbels.

– Różnie mnie nazywano, ale tak jeszcze nie.

– Przyzwyczajaj się. Dopiero zaczynam wylewać na ciebie swoją złość.

– Okej – odparła z uśmiechem Katrine. – Muszę kończyć. Cześć.

– Cześć.

Ellegaard przeszła przez Kongens Nytorv i skręciła w Østergade. Wąska uliczka jakby ciągnęła się w nieskończoność, a po obu stronach znajdowały się butiki, sklepy, muzea, restauracje... właściwie przybytki wszelkiej maści. Zabytkowe budynki sprawiały wrażenie, że człowiek znajduje się w prawdziwie starej, nobliwej europejskiej stolicy. I było w tym trochę prawdy. Sklepy opanowały tę ulicę już w dziewiętnastym wieku, a od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku była przeznaczona wyłącznie dla ruchu pieszego.

Katrine zastanawiała się, czy nie zejść z niej na Amagertorv i nie wziąć taksówki, ale uznała, że spacer dobrze jej zrobi. Pogoda była w sam raz. Zarówno ta na zewnątrz, jak i ducha. Rikke Randrup twierdziła, że wyniki badań są dobre i wszystko wskazuje na to, że nie doszło do przerzutów.

Wydawało się, że nadzieja na wyzdrowienie naprawdę jest uzasadniona. A fakt, że brakowało jej Wysp Owczych, dodatkowo nastrojał ją pozytywnie. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie musiała dłużej mierzyć się z dylematami na temat przyszłości. Choroba otwiera dotychczas zamknięte oczy, nic nowego.

Katrine zrewidowała wszystko to, w co do tej pory wierzyła i na czym dotychczas się skupiała. Teraz wiedziała, że może zacząć myśleć o zmianach – zmianach, które sprawią,

że będzie zadowolona z życia. Była gotowa dopuścić możliwość, że zamieszka na wyspach. Nie będzie mogła liczyć na wielką karierę – właściwie na żadną – ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, nigdy nawet nie pomyśli o perspektywach, które pożegnała.

Zamieszka z Hallbjørnem gdzieś poza Vestmanna, w niewielkim, nowo wybudowanym domu. Będą wiedli spokojne, rodzinne życie.

Uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową, mijając Amagertorv, na którym w drogich restauracjach tłoczyli się turyści. Kopenhagę raczej omijali takie miejsca szerokim łukiem, wybierając zamiast nich Cock's and Cows przy niedalekim Gammel Strand czy Tight przy Hyskenstræde.

Ellegaard przeszła przez wysepkę Slotsholmen, na której mieścił się zamek królewski, i dwadzieścia minut później dotarła do komendy. Spacer nastroił ją pozytywnie. Czowała się rześko, była gotowa do spotkania z Kjeldem Moslundem. Formalnie dziś kończył się jej urlop, powinna od rana być w robocie – szef zgodził się jednak wspaniałomyślnie, że badania są ważniejsze.

Chwilę później stanęła przed gabinetem przełożonego. Nabrała tchu, złapała za klamkę i weszła bez pukania. Kjeld gwałtownie podniósł głowę znad papierów rozłożonych na biurku, jakby eksplodował przed nim ładunek wybuchowy.

– Nie chciałam pana przestraszyć.

– Do cholery...

– Mnie również miło pana widzieć.

– Siadaj, Ellegaard – polecił Moslund, wskazując krzesło. Zatrzasnął jedną z teczek i odsunął ją na bok, niemal strącając przy tym starego laptopa stojącego na brzegu biurka. – Siadaj. Teraz będziesz się gęsto tłumaczyć.

– Na okoliczność czego?

– Proszę cię, bez tej policyjnej nowomowy.

– Jesteśmy przecież...

– Wiem dobrze, kim jesteśmy. I żeby zachować resztki zdrowego rozsądku, rozmawiajmy chociaż między sobą jak ludzie.

– Tak jest.

Kjeld zgarbił się, jakby w geście rezygnacji.

– Coś ty tam robiła, co? – zapytał. – Szef policji z Tórshavn nie daje mi spokoju, Mads Lykke twierdzi, że zrobiłem z niego dziwkę, a... – Dziwkę?

– Tak powiedział.

– Niby dlaczego?

– Nie wnikałem – odburknął Moslund. – Tak czy inaczej, nie jest zadowolony, że podebrałaś mu śledztwo.

– Niczego mu nie podbierałam. Leżało bezpieczne.

Moslund spojrział na nią bykiem, ale nie skomentował. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że trafiła w sedno. Gdyby nie wysiłki Hallbjørna i jej, dochodzenie nadal stałoby w miejscu. Fakt faktem, mieli trochę szczęścia – ale z drugiej strony równie dobrze można było przypisać wszystko policyjnej intuicji.

– Teraz to nieważne – odezwał się po chwili Kjeld. – Wracasz do spraw miejskich. Na początek mam dla ciebie...

– Nie ma chyba sensu mi czegokolwiek przydzielać, szefie.

– Co? Jak to? – zaniepokoił się. – Coś nie tak z wynikami?

Katrine uniosła brwi.

– Sądzi pan, że niebawem kopnę w kalendarz?

– Nie, po prostu...

– Wyniki są w porządku – odparła z lekkim uśmiechem. – I po raz pierwszy od dłuższego czasu w porządku jest też moje samopoczucie.

– Świetnie. W takim razie przechodząc do konkretów...

– Na tyle w porządku, że wreszcie mogę pójść dalej.

– Dalej? Dokąd?

Był wyraźnie skołowany, choć jako stary wyga wydziału dochodzeniowego musiał już poskładać wszystko w logiczną całość. Może nawet bez tej rozmowy powinien spodziewać się tego, co zaraz usłyszy.

– Zamierzam coś zmienić w swoim życiu, szefie.

– Niby co?

Powiodła wzrokiem dokoła, czując, że jej uśmiech się rozszerza.

– Właściwie wszystko.

– Mówisz jak... czy ja wiem... zakochana nastolatka, która nie miała okazji zastanowić się porządnie nad swoimi słowami.

– To chyba dobrze. Zbliżył się pan do definicji beztroskiego szczęścia.

– Nie opowiadaj głupot – mruknął. Spojrział na dokumenty zebrane na biurku, jakby



szukał czegoś, czym może się zająć i co pozwoli mu na ucieczkę od tematu. – Dostaniesz zaraz przydział, zajmiesz się tym, co robisz najlepiej, i wszyscy będziemy zadowoleni. Załatwię te sprawy z Tórshavn i Lykkem.

Katrine poczekała, aż Moslund na nią popatrzy, po czym przytrzymała jego wzrok przez chwilę. Kjeld zaklął pod nosem.

– Nie dopuszczasz takiej możliwości, tak?

Skinęła głową.

– Więc rzucisz wszystko, na co pracowałaś, i... co zrobisz?

– Prawdopodobnie zostanę Farerką.

Moslund zaśmiał się, odchylając się na krześle. Kiedy nie zareagowała, stopniowo mina mu rzedła. W końcu na jego twarzy pojawił się zawód – efekt zrozumienia, co Katrine przyjęła z ulgą.

– W porządku... – westchnął. – Rozumiem, że doszło do pewnego przewartościowania.

– Zgadza się.

– Nie zamierzam ci niczego perswadować.

– Doceniam to, szefie.

– I tak by mi się nie udało.

– To prawda – przyznała.

Przez chwilę trwali w milczeniu. W końcu Moslund znalazł dokumenty, których szukał. Obrócił je do siebie, skreślił nazwisko Katrine na pierwszej stronie i wpisał tam innego oficera. Potem odsunął teczkę.

– Resztę załatwię w wolnej chwili – oznajmił. – Na przykład wtedy, gdy teoretycznie powinienem jeść z żoną kolację czy być na meczu hokeja ligi juniorów, w której gra mój syn. – Zamilkł na moment. – Patrząc na to od tej strony, może dobrze robisz, Ellegaard. Może jeszcze jest dla ciebie szansa.

– Taką mam nadzieję.

Oparł łokcie na blacie i przysunął się nieco.

– Nie bierzesz tylko pod uwagę tego, że życie na wyspach to rutyna. Rutyna, do której nie jesteś przyzwyczajona. Nie znalazłaś się w policji bez powodu, wiesz o tym, prawda? Lubisz emocje, lubisz bliskość zbrodni, lubisz niebezpieczeństwo i...

– Mam nadzieję, że pan się myli, bo to naprawdę przejmująca wizja stereotypowego policjanta.

– Taa – mruknął tylko w odpowiedzi.

Opuściła jego gabinet z myślą, że może mówić, co chce. Rozważała wszystkie te kwestie i nie sądziła, by jej psychika była uformowana w taki sposób. Nigdy nie ciągnęło jej do mocnych przeżyć, nigdy nie czuła potrzeby, by oczyszczać świat z psychopatów. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego wylądowała w wydziale dochodzeniowym.

Teraz nie miało to już znaczenia. Musiała myśleć o przyszłości – o tym, jak to wszystko zorganizować, kiedy złożyć wypowiedzenie i jak przekonać komendanta z Tórshavn, że będzie dobrym dodatkiem do jego zespołu.

Uśmiechnęła się na myśl o tym. Kto nie lubi wyzwania?

Weszła do swojego gabinetu, zamknęła drzwi, a potem sięgnęła po komórkę. Zaczęła zastanawiać się nad tym, kiedy w istocie podjęła decyzję. Jeszcze na wyspach? Dziś w szpitalu? Po otrzymaniu wyników badań? A może dużo wcześniej, kiedy tylko okazało się, że Hal został uniewinniony?

Wzruszyła ramionami. Potem wybrała jego numer.

Czekała tak długo, aż automat oznajmił, że skończył się czas próby nawiązania połączenia. Zadzwoiła po raz kolejny, lecz i tym razem Hallbjørn nie odpowiadał. Ściągnęła brwi. Nie chciała snuć czarnych myśli, nachodziły ją jednak same, jak to zwykle bywa, kiedy wszystko zaczyna się układać. Człowiek podświadomie oczekuje czegoś, co zburzy całą konstrukcję, bo nigdy nie jest tak pięknie, jak się wydaje – to nie kwestia czarnowidztwa, ale doświadczenia. Każdy uczył się tego na własnym przykładzie.

Po chwili spróbowała znowu, ale i tym razem Olsen nie odbierał. Odczekała pół godziny, ponowiła połączenie, a potem zrobiła to samo godzinę później. Kiedy miała wychodzić z pracy, niepokój przybrał już znacząco na sile.

Tyle że tak naprawdę nic nie mogło się stać Hallbjørnowi. Wypadek drogowy nie wchodził w grę, w całej historii Wysp Owczych można było policzyć je na palcach jednej ręki. Mieszkańcy Vestmanny raczej mu odpuścili, nie musiał obawiać się niczego z ich strony.

Logicznym założeniem było, że jedyne niebezpieczeństwo tkwi w śledztwie, którym wciąż się zajmował. Rozpytywał mieszkańców, próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Ale czy z tego powodu mogło go spotkać cokolwiek złego? Nie, raczej nie.

Wyszła na Halmtorvet i zadzwoniła jeszcze raz. Do cholery, to nie powinno się dziać. Przez moment stała przed budynkiem, zastanawiając się, czy może pozwolić sobie na

panikę. Właściwie nie widziała przeszkód.

Wybrała inny numer.

– Już wiesz? – odezwała się Frida Skovmand.

– Co? O czym?

– Że się zwijamy.

Katrine poczuła się, jakby dostała obuchem i nawet nie zauważyła, kto był napastnikiem. Potrząsnęła głową, starając się zebrać myśli.

– Zwijacie się? Jak to? – zapytała. – Niedawno widziałam się z szefem, nic nie mówił.

– Ach...

– O co chodzi?

– O nic wielkiego. Śledztwo zostanie umorzone.

– O czym ty mówisz, Frida? – spytała Katrine, przeczesując nerwowo włosy. – Przecież Moslund by mi o tym powiedział. Rozmawiałam z nim niecałe dwie godziny temu.

– Na jego miejscu też bym ci nie powiedziała, chyba że jest masochistą, który lubuje się w twoich wybuchach.

– Ale... – Ellegaard urwała, rozglądając się. Nie było już samochodu przełożonego. – Ale to dochodzenie powinno trwać, jakim cudem zostanie umorzone?

– Nie mamy żadnych tropów.

– A Fugloy? Thorleifsson?

– Co z nimi? – burknęła Skovmand. – To ciekawa sprawa, ale raczej dla mediów, nie dla nas. Co mamy z niej wyciągnąć?

Było to dobre pytanie, ale Katrine nie zamierzała o tym wspominać. Sprawa była enigmatyczna, mimo że trafili w końcu na drogę, która w przekonaniu Ellegaard była tą właściwą.

– Tam są tropy, Frida.

– Tak? To może mi je wskażesz?

– Jak tylko będę na miejscu.

– To znaczy kiedy? W piątek, tak? – Frida nie dała jej czasu na odpowiedź. – To się kiepsko składa, bo my jutro rano wsiadamy do samolotu. I dobrze, bo to wszystko jest nie do rozwiązania. Niech się martwią Farerowie.

– Ale...

– Ale Thorleifsson i Rannvá Jákupsdóttir nie dostarczają nam żadnych odpowiedzi, nie

w sprawie Norwega, o którym wciąż gównie wiemy. Nie wspomnę już o kości piszczelowej, która spędza mi sen z powiek.

– Posłuchaj, Frida. Jestem przekonana, że...

– Decyzja już zapadła. Zresztą co ci do tego? Chcesz pomóc, to znajdź odpowiedzi i przekaż je Nolsøemu. Przyjmie je z otwartymi rękoma, chętnie pokazując, jak świetnie sobie poradził, kiedy tylko Duńczycy wrócili do siebie.

Ellegaard przez chwilę milczała. Nie miała za złe szefowi, że nie powiedział jej o zakończeniu dochodzenia. Zapewne decyzja zapadła na wyższym szczeblu i Kjeld niewiele miał do gadania. Chciał uniknąć kubła pomyj, które w emocjach z pewnością by na niego wylała.

– Ale skoro o tym nie wiedziałaś, po co do mnie dzwonisz? Niedawno składałam ci raport.

– Chodzi o coś innego...

– O co?

– Hallbjørn nie odbiera telefonów.

– Na pewno popił – stwierdziła Skovmand. – Nie ma się czym przejmować. Wiesz dobrze, że to sport narodowy Farerów.

– Mówię poważnie, Frida. Zaczynam się niepokoić.

Usłyszała, jak rozmówczyni głęboko wzdycha. Ellegaard zdawała sobie sprawę, że się jej naraża – taka troska w hierarchii wartości Fridy Skovmand plasowała się na jednym z ostatnich miejsc, być może była nawet oznaką kobiecej słabości.

– I czego ode mnie oczekujesz? – warknęła Frida.

– Tylko tego, żebyś rzuciła okiem, czy nie ma go na kempingu.

– Na kempingu?

– Tak. Wystawił dom na sprzedaż i przeniósł się do przyczepy kempingowej. Wreszcie. Skovmand nie odpowiadała.

– Jesteś w Krákureiðrið? – zapytała Katrine. – Jeśli tak, to rzut beretem.

– Niech ci będzie. Oddzwonię, jak go znajdę.

– Dzięki.

W odpowiedzi Ellegaard usłyszała tylko ciche mruknięcie, a potem dźwięk zakończonego połączenia. Spojrzała na zegarek, a następnie na Halmtorvet. Było jeszcze wcześniej, miała sporo czasu do zagospodarowania. Nie musiała pisać raportów,

wprowadzać danych do systemów ewidencyjnych, pracować nad sprawą... Dzień nagle wydał się dłuższy przynajmniej o jedną trzecią.

W tej sytuacji był to jednak minus. Każda minuta się dłużyła, a ilekroć Katrine spoglądała na zegarek, odnosiła wrażenie, że kiedy na niego nie patrzy, czas się zatrzymuje.

Skierowała się do najbliższej restauracji, Neighbourhood przy Istedgade. Zamówiła kawę organiczną i zdrową, lekką pizzę. Zdążyła zjeść całą, nim Frida oddzwoniła.

Katrine spodziewała się drwin i przekomarzenia, przeplatanych informacjami o tym, co działo się z Halem przez ostatnie godziny, ale Skovmand zaczęła od czegoś innego.

– Przyczepa stoi – oznajmiła rzeczowo. – Jest zamknięta na cztery spusty. Właścicielka ani inni kamperowcy nie widzieli Olsena.

Ellegaard odsunęła pusty talerz.

– Od jak dawna?

– Od wczoraj. Twierdzą, że nie wrócił na noc do przyczepy.

– Skąd to wiadomo?

– Właścicielka ma jakiś system kontroli poboru prądu. Przepaliło jej kilkakrotnie skrzynki, więc teraz wszystko jest skrupulatnie monitorowane. W przyczepie Hallbjørna nie było poboru od wczorajszego wieczoru.

Katrine nie wiedziała, co powiedzieć.

– Sprawdziłam też dom – dodała Frida. – Drzwi i okna pozamykane, nie wygląda na to, żeby tam był w ostatnim czasie.

– Nie miałyby powodu...

– Owszem, nie miałyby – przyznała. – Tak samo, jak nie miałyby powodu, żeby rozpuścić się w powietrzu. Przynajmniej tak dotychczas sądziłam.

## 40

### 1 listopada, wtorek, godz. 21.27

Katrine odłożyła telefon na stół, czując, że od przyciskania słuchawki boli ją już ucho. Siedziała w swojej kuchni, w zupełnej ciszy, próbując coś wymyślić.

Dzwoniła do Ann-Mari, Jóhana Bærentsena, Teitura Petersena, a nawet Nolsøego. Nikt nie widział Hallbjørna, nikt nie wiedział, gdzie jest ani co robi.

W takiej sytuacji został jej jeszcze tylko jeden numer do wybrania.

– Tak? – odezwała się Rikke Randrup.

– Muszę wyjechać.

– Katrine?

Ellegaard uświadomiła sobie, że może nieco zbyt szybko przeszła do konkretów. Czuła jednak, że nie ma czasu do stracenia.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam dzwonić o tej porze, ale...

– Nie ma problemu. Przecież mówiłam, że możesz się kontaktować, kiedy tylko zechcesz.

– Mimo wszystko...

– Co to za wyjazd? – przerwała Randrup, a Katrine była jej za to wdzięczna. – O co chodzi?

– Nagląca sprawa za granicą.

Lekarka milczała. Nigdy nie był to najlepszy znak.

– Katrine – zaczęła spokojnie, tonem rodzica przemawiającego do niesfornego dziecka.

– Jesteś w trakcie leczenia. Radioterapii nie można przerywać tylko dlatego, że...

– To naprawdę ważna sprawa.

– Rozumiem. Ale zdajesz sobie sprawę, że walczymy o twoje zdrowie?

Było to pytanie z gatunku tych, po których miało się ochotę odłożyć słuchawkę. Oczywiście, że wiedziała. Kto miał o tym wiedzieć, jak nie ona?

– Posłuchaj – ciągnęła Rikke. – To występuje dość często.

– Co?

– Potrzeba ucieczki. To w pełni normalne.

– Chyba żartujesz...

– Absolutnie nie! Pierwszy raz pojawia się u wielu pacjentów po diagnozie, co jest całkiem naturalne. Ale często wraca, kiedy sprawy zaczynają się poprawiać. Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak jest, ale nie jesteś jedynym przypadkiem.

Właściwie powinna się tego spodziewać. Rola Randrup sprowadzała się do tego, by lekarka dopasowywała wszystko, co widziała, do ogólnie przyjętego schematu. Nie powinno się mieć o to do niej pretensji, ale trudno było powściągnąć emocje.

Obróciła do siebie laptopa stojącego na stole i wpisała adres Atlantic Airways.

– Teraz ty mnie posłuchaj – odezwała się Katrine. – Muszę natychmiast opuścić Danię, bo człowiekowi, na którym mi zależy, może grozić niebezpieczeństwo.

– Słucham? Jak to? Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałam. Nic więcej nie wiem.

– Ale masz pewność, że...

– Na tyle, na ile mogę mieć – zapewniła. – Tak czy owak, wylatuję jutro. Zdażymy zrobić jeszcze jedną kurację?

Randrup nie odpowiadała. Nie była gotowa wdawać się w takie rozmowy dopóty, dopóki nie zyska pewności, że pacjentka rzeczywiście ma zamiar opuścić kolejne zabiegi.

– Rikke?

– Możemy zdążyć – odparła. – Ale jaki to według ciebie ma sens? Była przerwa weekendowa, teraz znów chcesz...

– Nie mam innego wyjścia.

– Oczywiście, że masz. Jeśli komuś coś grozi, powiadom miejscową policję.

– Już to zrobiłam.

– Więc pozwól im się tym zająć. Nie musisz być na miejscu. A nawet więcej, nie powinnaś być.

W naturalnym odruchu Katrine chciała się odciąć, by lekarka nie mówiła, co ktoś powinien, a czego nie powinien robić. W porę jednak uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy na tym polega praca Randrup.

– Chodzi o tego Olsena, tak?

– Tak. I jeśli o nim słyszałaś, to być może wiesz, że nie jest zbyt lubiany u siebie.

– Sympatia nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, służby pomogą.

Randrup nie miała pojęcia, jak bardzo się myli. Na Wyspach Owczych wszystko zależało od relacji międzyludzkich, to one były czynnikiem spajającym ten naród. Nie bez powodu zresztą utrzymywano kontakt ze wszystkimi Farerami, którzy opuścili archipelag.

– Twoja obecność nie jest tam niezbędna – powiedziała Rikke. – Tutaj natomiast tak.

– Już postanowiłam.

– Więc jesteś gotowa ryzykować życie.

W jej głosie nie było nuty pytania, jedynie wyraźne stwierdzenie trudnego do zaakceptowania faktu.

– Bo to właśnie robisz – dodała niepotrzebnie Randrup. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

Katrine nie odpowiadała.

– Możesz zaprzepaścić wszystko, na co pracowałaś.

- Nie ma przerzutów. Nic nie wskazuje na to, żeby...
- Ale nie możesz tak po prostu przerywać leczenia.
- Mówiłaś, że jest tylko na wszelki wypadek.

Słyszała, jak Rikke głośno wzdycha. Jej oddech był nierówny, jakby ta rozmowa była dla niej bardziej poruszająca, niż Ellegaard sądziła. Może przeliczyła się co do swoich sił? Była przekonana, że może na kilka dni zrezygnować z leczenia. Wróci w czwartek, może w piątek, będzie mogła kontynuować terapię. Nie powinno to niczego zmienić w ostatecznym rozrachunku.

Zastanawiała się, czy o tym wspomnieć, ale obawiała się, że lekarka zaprzeczy i zarzuci jej złą ocenę sytuacji. A to odbierze Katrine wymówkę, dzięki której mogła z czystym sumieniem polecieć na Faroje.

– Nic tutaj nie jest na wszelki wypadek – odezwała się po chwili Randrup. – To był nowotwór w zaawansowanym stadium, przecież wiesz.

– Był.

– Tak, był i nie wróci, jeśli mu na to nie pozwolimy.

– Wycięliście mi wszelkie zmiany. Będzie dobrze, Rikke.

– Nie rób tego, proszę cię.

– Będziemy kontynuować, jak tylko wrócę. A teraz powiedz mi, czy możemy zrobić rano zabieg. Mam lot o dziewiątej.

– Nie.

– Nie? Przed chwilą mówiłaś...

– To nie ma znaczenia. Tutaj liczy się ciągłość, a nie liczba terapii w ciągu miesiąca. Nie możesz zmieniać terminów, jak ci się podoba.

Ellegaard na moment zamilkła, wyświetlając stronę z odlotami na lotnisko Vágur. Pierwszy był o szóstej trzydzieści, drugi o dziewiątej, a kolejny dopiero o dwunastej. Trudno, przekona Rikke, by przeprowadziły rano radioterapię, a w południe poleci.

– Jeśli mi się uda, wrócę jeszcze w środę.

Lekarka milczała.

– To raptem dwugodzinny lot. Niektórzy codziennie spędzają tyle czasu, dojeżdżając do pracy z Glostrup.

– Niektórzy nie walczą z nowotworem.

Katrine miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie i rozmawiała z matką.



- Wydawało mi się, że wygrałam tę walkę.
- Wygrałaś – potwierdziła Randrup. – Co nie znaczy, że masz osiąść na laurach.
- Nie zamierzam, Rikke. I mówię tylko, że w razie czego mogę szybko wrócić do Kopenhagi.

Dyskutowały jeszcze przez chwilę, ale Ellegaard wiedziała już, że wygrała nie tylko z rakiem, ale także ze swoją lekarką. Ostatecznie Rikke nie pozostawało nic innego, jak przyjąć ją rano na zabieg. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Katrine, opuści raptem jeden dzień terapii. To dało się przeżyć.

Problem polegał na tym, żeby szybko odnaleźć Hallbjørna. Im dłużej będzie go szukać, tym większe prawdopodobieństwo, że Rikke Randrup nie będzie mogła zapisać sobie na konto kolejnej wyleczonej pacjentki.

Katrine jeszcze przez godzinę próbowała dodzwonić się do Olsena, a potem upewniła się, że Fridzie nie udało się odnaleźć żadnego śladu po nim. Wcześniejszy niepokój przerodził się w głęboki strach, kiedy uświadomiła sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wydawało jej się, że nie zmruży oka. Kładła się, wstawiała, wrzucała do torby rzeczy, o których wcześniej zapomniała, po czym wracała do łóżka. Raz po raz zerkała na zegarek z nadzieją, że jest już na tyle późno, a właściwie na tyle wcześnie, że może odpuścić sobie sen.

Zasnęła po czwartej, na półtorej godziny. Kiedy się obudziła, miała wrażenie, jakby właśnie skończyła długi, intensywny bieg. Była wyczerpana – znacznie bardziej niż przed tym, jak zasnęła. To tyle, jeśli chodziło o zbawienną moc snu.

Załadowała torbę do samochodu i pojechała do kliniki. Po rutynowej połajance Randrup zaprowadziła ją na radioterapię. Poszło sprawnie, choć lekarka nie omieszkła wypomnieć jej, że musiała przesunąć terminy dwóm osobom.

Katrine podziękowała jej i czym prędzej opuściła klinikę. Na odprawę bagażową zgłosiła się jeszcze przed czasem. Potem usiadła w boeingu Atlantic Airways i w końcu odetchnęła. Otworzyła książkę, ostatnią powieść Henninga Mankella. Ogarniała ją zgroza na samą myśl o tym, co będzie czytała, kiedy ją skończy. Chyba trzeba będzie zacząć spotkanie z Wallanderem od początku.

Samolot wystartował o czasie. Ellegaard starała się skupić na lekturze, ale bez skutku. W końcu zrezygnowała, uznając, że szkoda czytać przy takim poziomie koncentracji.

Zamiast tego zaczęła obserwować chmury ciągnące się poniżej wysokości przelotowej boeinga.

Na Vágar czekał na nią Sigvald Nolsøe w służbowym mondeo, które doskonale pamiętała. Wsiadła do samochodu i rozejrzała się z sentymentem po wnętrzu. Niewiele się zmieniło, może nie licząc okruchów na tapicerce.

– Skoro to ty na mnie czekasz, sprawa zrobiła się poważna – rzuciła na powitanie.

– Celne spostrzeżenie.

– Sigvald...

– W porządku, w porządku. – Uniósł otwarte dłonie, a potem położył jedną na kierownicy, a drugą wbił wsteczny. – Nie wiemy, co się z nim stało ani gdzie jest.

– Kto go widział jako ostatni?

– Prawdopodobnie właścicielka kempingu.

– I?

– I zauważyła tylko tyle, że wyszedł z przyczepy.

– A samochód?

– Stoi na parkingu z informacją za szybą, że jest na sprzedaż. Podobnie jak dom.

Kiedy Nolsøe zamilkł, Ellegaard zrozumiała, że z jego punktu widzenia sytuacja bynajmniej nie jest niepokojąca. Potwierdzała to nonszalancka nuta, którą nietrudno było dosłyszeć w jego głosie.

– Sprzedaje cały majątek – zauważył Sigvald.

– Wiem o tym. Potrzebuje pieniędzy na pokrycie zobowiązań. Sam rachunek od Fabritiusa Tengnagela & Heinego to mała fortuna.

Nolsøe skinął głową.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – zirytowała się Katrine. – On zaginął, do cholery...

– Albo po prostu się ulotnił.

– Dlaczego miałby to robić?

– Potrafię wymyślić co najmniej pół tuzina dobrych powodów. I niewiele takich, dla których chciałby zostać.

Katrine spiorunowała go wzrokiem, ale Sigvald nie odrywał oczu od drogi. Musiał wiedzieć, że ona i Hallbjørn znów się do siebie zbliżyli, ale postanowił udawać, że nie ma o tym pojęcia. Nie miała zamiaru grać w tę grę.

– Nie będę pytać, czy mi ufasz, Nolsøe, bo znam odpowiedź.

– Zaraz, zaraz...

– Ale przypuszczam, że Fridę darzysz zaufaniem. I o ile wiem, ona również twierdzi, że Hallbjørn zniknął w co najmniej podejrzany sposób.

– Frida przyjmuje twoją wersję. Nic nowego.

– Ona ufa mnie, ty jej. Nic innego nie ma znaczenia.

Nie odpowiedział, więc Ellegaard uznała, że Sigvald podziela to przekonanie. Zresztą gdyby było inaczej, nigdy nie odebrałby jej z lotniska. Łysy policjant z Tórshavn nie należał do osób, które zwykły bez powodu wyświadczać komuś przysługę.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Na kemping. Przypuszczam, że chcesz porozmawiać z właścicielką.

Katrine zastanawiała się, czy to dobry kierunek. Skoro kobieta nie powiedziała nic odkrywczego Fridzie ani Nolsøemu, nie przypomni sobie niczego nowego tylko dlatego, że to ona zapyta ją o Olsena.

Ale gdzie w takim razie szukać jakiegoś śladu?

– Masz inne plany? – spytał Sigvald, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Nie wiem.

– Z tego, co mówiła Frida, chodził po domach i pytał o Egholma.

– Tak. Umówiliśmy się, że zrobi mały rekonesans i przekaże mi informacje.

– Może na coś trafił?

– Może.

– Ale czy w takim razie nie zadzwoniłby do ciebie i nie powiedziałby ci o tym?

Dobre pytanie, pomyślała Ellegaard, ale niestety, nie miała żadnej odpowiedzi. Wydawało jej się, że dobrze zna Hallbjørna, nawet bardzo dobrze, ale trudno było stwierdzić, jak zachowałby się w takiej sytuacji.

– Możliwe, że chciał najpierw dowiedzieć się czegoś więcej.

– Tak się umawialiście?

– Na Boga, Sigvald, nie precyzowaliśmy tego i nie przypieczętowaliśmy cyrografem. Relacja dwójki zwykłych ludzi to nie stosunek służbowy jak w wojsku czy policji.

– Niestety – burknął, wjeżdżając do tunelu. Radio natychmiast ucichło. – Więc od czego chcesz zacząć?

– Od powtórzenia ostatniej rzeczy, jaką zrobił.

- Ostatniej rzeczy, o jakiej wiemy – poprawił ją Nolsøe. – Czyli chodzenie po domach?
- Tak, nie powinniśmy mieć trudności z odnalezieniem rodziny tego Egholma.
- To popularne nazwisko. Prawie jak...
- Tak, już to słyszałam – odparła Katrine i zaczerpnęła głęboko tchu.

Wiedziała, że nie będzie łatwo, ale nie miała zamiaru dać za wygraną. Była pewna, że Hallbjørn na coś trafił. I być może właśnie dlatego zniknął.

## 2 listopada, środa, godz. 14.11

Katrine ułożyła sobie wszystko w głowie, ale Nolsøe najwyraźniej potrzebował powtórki. Siedzieli w salonie Christiansenów, razem z Anne i Jógvanem. Ich syn przez chwilę im towarzyszył, ale ostatecznie ojciec odesłał go do jego pokoju.

– Czyli... – zaczął Sigvald, gładząc się po łysinie – ...pani jest córką Rannvy Jákupsdóttir.

– Owszem – potwierdziła Anne.

– I Ólavura Egholma.

– Nie, mój ojciec zmarł, gdy byłem dzieckiem.

– W porządku – powiedział Nolsøe i rozsiadł się w fotelu. Założył nogę na nogę, a rękę oparł na podłokietnikach. Spojrzał na kobietę spode łba, jakby spodziewał się jakichś forteli. – Więc jak to się stało, że Egholm i Rannvá się zeszli?

Anne popatrzyła na Ellegaard w poszukiwaniu ratunku.

– Interesuje nas tylko to, co działo się z pani matką – sprostowała Katrine. – Od momentu, kiedy wyjechała na Fugloy, do chwili, gdy wzięła ślub z Ólavurem.

Anne pokiwała głową. Spojrzała ostrożnie na męża, co nie uszło uwadze Ellegaard. Jógvan Christiansen prawie się nie odzywał, ale sprawiał wrażenie, jakby kontrolował sytuację.

– Po pani wyjeździe na studia mama odwiedziła Kirkja, tak? – zapytała Ellegaard.

– Tak. Poznała Gunnsteina, wykonując zlecenie dla jakiegoś magazynu... – zaczęła Anne i popatrzyła na męża. – „National Geographic”?

– Chyba tak – powiedział Jógvan. – Albo do „Travelera”, trudno powiedzieć. Rannvá współpracowała z wieloma czasopismami. Czy raczej próbowała.

– Mama była wyjątkowo obrotna.

– Tak, to trzeba jej przyznać. Nie próżnowała, dobijała się drzwiami i oknami. Była osobą pełną energii i... duchem znacznie młodszą, niżby to wynikało z metryki.

Brzmiało to jak wcześniej przygotowana formułka, ale Christiansen przynajmniej otworzył usta.

Sigvald ponaglił Anne ruchem ręki.

– Tak... – podjęła. – Więc mama pojechała na Fugloy fotografować ptaki. Jest tam wyjątkowo bogata...

– To już wiem – uciął Nolsøe. – Interesuje mnie spotkanie z Thorleifssonem. I to, czy była już związana z Egholmem, kiedy wyjechała.

Anne sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Rozumiem, że tak? – naciskał Sigvald.

– Owszem, byli już razem.

– Jako małżeństwo?

– Nie. Ólavur dopiero co się oświadczył.

– Nie wspominała pani o tym wcześniej – zauważyła Katrine.

– Nie sądziłam, że to istotne. Pytali mnie wtedy państwo o...

– W porządku, w porządku – przerwał Nolsøe. – Jak długo Rannvá przebywała na Fugloy?

– Mama miała tam spędzić raptem tydzień.

Nolsøe skrzyżował ręce na piersi, prezentując postawę zamkniętą. Uniósł lekko podbródek, by pokazać, kto tu rządzi, a potem wbił w Anne wyczekujące spojrzenie. Kobieta niespokojnie poprawiła się na kanapie. Jógvan natychmiast się do niej przysunął, widząc jej nerwowy ruch, jakby chciał przypomnieć o swojej obecności. Katrine nie wiedziała dlaczego, ale było w tym coś, co przywodziło na myśl groźbę.

– Okej – odezwał się Sigvald. – Rannvá i Ólavur dopiero rozpoczynają wspólne, spokojne życie, potem ona wyjeżdża na sesję. Dociera na Fugloy, do Kirkja, i...

– Mówiła mi, że szukała kogoś miejscowego, rozeznanego w temacie. Polecono jej, żeby porozmawiała z Gunnsteinem Thorleifssonem, samotnikiem, który rzekomo orientował się, gdzie przylatują jakie ptaki. Mama była bardzo zadowolona z jego pomocy.

– Na tyle, że zerwała oświadczyń.

– Nie, to nie tak.

Katrine słyszała już tę historię. Rannvá została na Fugloy tydzień dłużej, niż zamierzała, a potem stopniowo wydłużała pobyt jeszcze bardziej. Ólavurowi w końcu skończyła się cierpliwość i przyplął na wyspę, ale został pogoniony przez Gunnsteina.

Jeśli wierzyć Anne i mieszkańcom Kirkja, dwoje kochanków spędziło ze sobą kilka namiętnych tygodni, zanim sprawy zaczęły się komplikować. Thorleifsson zrobił się agresywny, opryskliwy i zaborczy, w końcu pokazując swoje prawdziwe oblicze.

Sielankowy romans przerodził się niemal w horror.

Resztę opowieści Ellegaard знаła dzięki wujowi Hallbjørna, jednak nawet mimo posiadania całego obrazu, nie była bliższa uzyskania odpowiedzi. Nic nie wskazywało na to, dlaczego Olsen miałby nagle zniknąć. I w żadnym miejscu tych historii nie było miejsca dla Norwega i kości piszczelowej jakiejś kobiety.

Anne szybko dotarła do końca opowieści, Nolsøe dopytał jeszcze o kilka szczegółów, a potem podziękował i podniósł się z fotela. Sprawiał wrażenie, jakby nie interesowało go ani jedno słowo, które tutaj usłyszał. Typowa policyjna maska. Choćby właśnie odkrył przełomowy fakt w sprawie, nie dałby tego po sobie poznać.

Wyszli na zewnątrz, pożegnali Christiansenów i wsiedli do mondeo.

– Łżą jak najęci – ocenił Sigvald.

Katrine obróciła się do niego, zapinając pas.

– Po czym wnosisz?

– Po zakłamanych wyrazach twarzy, zachowaniu tego faceta i nieskładnej opowieści kobiety.

– Cały czas jej przerywałeś.

– Co nie powinno sprawiać, że gubi wątek. Zna tę historię na wylot. Przecież, do cholery, chodzi o jej matkę, prawda?

Ellegaard również nie wierzyła im tak do końca, choć nie miała zamiaru nadinterpretować reakcji, które w gruncie rzeczy mogły być wynikiem tego, kto w tym domu rządził.

– Coś jest w tej sprawie mocno popieprzone – mruknął Nolsøe.

– Trudno się z tobą nie zgodzić.

Sigvald zaklął pod nosem i także obrócił się do Katrine.

– Ale co? – spytał. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Zadaję sobie to pytanie niemal od miesiąca. I nawet jeśli wydaje mi się, że mam jakąś odpowiedź, zaraz okazuje się, że grubo się myliłam.

Nie chciała nawet wspominać o Hallbjørnie. Miała wrażenie, że od rana nie porusza żadnego innego tematu. Zamiast zachowywać swoje zmartwienia dla siebie, raz po raz na głos zastanawiała się, co się z nim stało. Wymyślała już najbardziej niestworzone scenariusze, aż w końcu Sigvald uświadomił jej, że jej udział w poszukiwaniach jest nieformalny – i zależny od jego woli.

– Na Streymoy niczego się nie dowiemy – oznajmił Nolsøe.

– Ale...

– Ale powtórzyliśmy już wszystkie kroki Olsena. I nic nie wskazuje na to, żeby coś odkrył.

Katrine spojrzała na budynek przed nimi.

– Chyba że ich przycisnął.

– I co?

– I udało mu się coś z nich wyciągnąć. Coś, przez co...

– Znokautowali go, a potem zaciągnęli nad klify i zrzucili w morską toń? – rzucił drwiąco, ale szybko zmitygował się, że przeholował. Wprawdzie nie przeprosił, ale spuścił wzrok, co w przypadku Sigvalda należało uznać za oznakę kajania się. – Mam na myśli tylko to, że rodzina Christiansenów raczej nie dałaby rady byłemu żołnierzowi, który miał w ostatnim roku sporo czasu, żeby popracować nad mięśniami.

Z tym Katrine musiała się zgodzić. Z drugiej strony wystarczyło, żeby Jógvan miał broń, a rozkład sił drastycznie by się zmienił. Tylko skąd miałby ją wziąć? Wyspy Owcze to nie kraje Europy Środkowej, do których swobodnie trafiało uzbrojenie wywiezione z Ukrainy po tamtejszym konflikcie. A tym bardziej nie kraje Bliskiego Wschodu, gdzie porzucone kałasznikowy można było znaleźć na ulicach.

Nie, ci ludzie nie mogli mieć nic wspólnego z jego zniknięciem. Ze sprawą Norwega może i owszem, ale nie z Hallbjørnem.

– Albo podążymy dalej tym tropem, zakładając, że on zrobił to samo, albo...

– Albo co?

– Zostawiamy poszukiwania szeregowym policjantom w Tórshavn.

– I tym samym zrezygnujemy z odnalezienia go.

– W zasadzie tak. Do tego się to sprowadza.

Odpalił silnik i ruszył w dół Hornavegur. Żadne z nich nie musiało nic mówić, oboje doskonale wiedzieli, gdzie muszą się skierować. Przynajmniej jeśli chodziło o ostateczny cel – bowiem sposób dotarcia do niego założyli zgoła inny.

– Ostatni prom odpłynął chwilę temu – zauważyła Katrine.

– Nie mam zamiaru korzystać z promu.

– Więc jak dostaniemy się na Fugloy?

– Jak normalni ludzie. Helikopterem z Tórshavn.



Ellegaard uśmiechnęła się w duchu, uświadamiając sobie, jak długo prowadziła tę sprawę bez policyjnego wsparcia i namaszczenia. Dobrze było po raz kolejny mieć logistyczne zaplecze wśród lokalnych stróżów prawa. Wszystko, co było konieczne, sprowadzało się do wykonania jednego telefonu i krótkiej rozmowy, którą Nolsø odbył z pilotem.

Zaparkowali przed heliportem Bodanes, a chwilę później znaleźli się na pokładzie maszyny. Nastąpił rozruch silnika, wirnik zaczął wydawać ogłuszający dźwięk. Helikopter odleciał znad klifu i pomknął w kierunku Nólsoy.

Katrine poprawiła mikrofon przy kasku.

– Sądzisz, że on tam jest? – spytała.

– Olsen? Może. Biorąc pod uwagę, że powtórzyliśmy wszystko to, co robił, kiedy cię nie było... i fakt, że właśnie tam byśmy się udali tak czy inaczej, to całkiem możliwe.

– Ale dlaczego mi o niczym nie powiedział?

– Nie wiem. Może czekał, aż będzie miał więcej konkretów.

– Nie wydaje mi się.

– Jak każdej kobiecie – burknął Sigvald. – Wszystkie jesteście przekonane, że nie zależy nam na niczym innym jak na nieustannym składaniu wam raportów.

– Nie w tym rzecz.

Nolsø spojrział na nią na moment, a potem wbił wzrok przed siebie. Najwyraźniej wchodzili na grunt, który był dla niego raczej grząski.

– Muszę go znaleźć, Sigvald.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Na pewno? Bo jeśli będę miała wybierać, czy brnąć po prawdę w sprawie Norwega, czy...

– Rozumiem, rozumiem. Nie tłumacz mi rzeczy oczywistych – przerwał jej. – Poza tym jedno jest z drugim zbieżne. Olsen podążał tym tropem. Jeśli dojdziemy nim tak daleko, jak on, trafimy także na jego ślad.

Ellegaard pokiwała do siebie głową, przyznając mu w duchu rację. Problem polegał na tym, że nadal nie mogła ułożyć zbornej wersji zdarzeń, która prowadziłaby do zaginięcia Hallbjørna. Obawiała się, że przegapi jakiś trop, który mógłby jej wskazać, gdzie go szukać.

Wylądowali na niewielkim, okrągłym skrawku ziemi, służącym jako lądowisko dla

helikopterów w Kirkja. Katrine pożegnała pilotów, Sigvald wyszedł z maszyny, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, jakby byli tylko statystami. Potem dwójka policjantów skierowała się do jednego z domów stojących na najbliższym zboczu.

Ellegaard zapukała do drzwi Olsenów, licząc jeszcze na to, że jakimś cudem okaże się, iż Hallbjørn zatrzymał się u nich. Może zostawił telefon w domu na Streymoy, nie znał numeru, a może linie telefoniczne na Fugloy miały jakąś usterkę... Zanim ściągnięto by sprzęt i ludzi do naprawy, z pewnością minęłoby kilka dni.

Drzwi otworzył Ingibjörg. Spojrzał na Katrine niemal z przestrawieniem.

– To znowu pani?

Ostatnim razem byli już chyba na ty, ale Ellegaard nie chciała o tym wspominać.

– Mało jeszcze pani namieszała?

Nolsøe nie zamierzał tolerować takiego tonu wobec jakiegokolwiek stróża prawa, bez względu na to, jakiej byłby narodowości. Wyjął swoją legitymację służbową i ruszył z nią przed siebie, jakby była taranem.

– Zaraz, nie może pan... – zaprotestował słabo wuj Olsena.

Sigvald wszedł do środka i rozejrzał się po przedpokoju.

– Postawmy sprawę jasno – powiedział, nie patrząc na gospodarza. – To my zadajemy pytania, pan odpowiada. Jasne?

– Zdradzieckie...

– Co takiego?

– Tórshavn czy Kopenhaga, jeden pies. Tu Duńczycy i tam Duńczycy.

Nolsøe w końcu przeniósł wzrok na Ingibjörga. Podszedł do niego i przez chwilę mierzył go spojrzeniem. Żaden z mężczyzn nawet nie mrugnął. Katrine uznała, że nawet w najgorszych dzielnicach Kopenhagi policja ma mniej problemów z uzyskiwaniem informacji. Nieraz słyszała utyskiwania, że w Mjølnerparken czy Christianii nikt nie chce rozmawiać z mundurowymi, nawet jeśli proponuje im się zapłatę. Nie była to do końca prawda – zwitek banknotów, które można było przeznaczyć na narkotyki, rozwiązywał wiele języków. Tutaj jednak nawet mała fortuna by nie pomogła.

– Może przyłączcie te swoje wyspy do Danii i dajcie nam spokój – ciągnął Ingibjörg. – Tak będzie najlepiej.

– I całe Wyspy Owcze sprowadzą się do Fugloy, tak?

Stary Olsen wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar splunąć.

– Ważne, żebyście się stąd wynieśli.  
– Nie mamy takiego zamiaru – wtrąciła Katrine. – Szukamy...  
– Pani już wystarczająco się naszukała – warknął Ingibjörg. – Nie widziała pani, czym to się skończyło? Gunnstein powiesił się w szopie. Kogo teraz weźmie pani na celownik? Czyją przeszłość teraz zacznie rozgrzebywać?

Zbliżyła się do niego i Sigvalda.

– Szukam Hallbjørna.

– Co takiego?

– Od wczoraj nie mam z nim żadnego kontaktu.

– Może poszedł po rozum do głowy i...

– Zaginął, panie Olsen – rzuciła. – Nie ma po nim żadnego śladu.

Ingibjörg spojrział na Nolsøgo, jakby ten miał zaraz oznajmić, że Dunka tylko sobie żartuje, ewentualnie nie ma pojęcia, o czym mówi. Sigvald skrzyżował jednak ręce na piersi, cmoknął wymownie i skinął głową.

– Ale... jak to zniknął?

– Właśnie to staramy się ustalić.

– Tutaj? – zapytał zbity z tropu Ingibjörg. – W moim domu?

– Postanowiliśmy prześledzić wszystkie kroki, które podejmował Hallbjørn. I uznaliśmy, że w pewnym momencie musiał wrócić na Fugloy.

– Na pewno nie do Kirkja. Nie było go tutaj.

– Może zatrzymał się gdzie indziej?

– Nie, przecież przyszedłby do nas.

Po kilku ostatnich spotkaniach z Ingibjörgiem Katrine szczerze w to wątpiła. Tym bardziej jeśli Hallbjørnowi udało się odkryć konkretny trop. Mimo to musieli zacząć poszukiwania od tego miejsca. W tak małej społeczności każdy powinien wiedzieć, kto, kiedy i na jak długo zatrzymuje się na wyspie. Tórunn mogła coś słyszeć od sąsiadki, Ingibjörg od listonosza czy piekarza.

– Nie pojawił się tu w ostatnich dniach? – odezwał się Sigvald.

– Nie. Na pewno nie.

Nolsøe spojrział na Ellegaard i wzruszył ramionami. Dopiero teraz schował legitymację do wewnętrznej kieszeni kurtki, a potem wyszedł na zewnątrz. Dla niego ten trop był wyłącznie stratą czasu.

– Muszę go znaleźć – powiedziała Katrine. – I to szybko.

– Dlaczego?

– Powód nie jest ważny, panie Olsen.

– Grozi mu coś?

Właściwie odpowiedź była jasna – prawdopodobnie tak. Wraz z upływającym czasem hipotetyczne ryzyko zarówno dla niego, jak i dla niej rosło.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała zachowawczo. – Ale tutaj chyba nikt nie znika ot tak.

Ingibjörg zgarbił się bardziej niż zwykle. Potarł siwą głowę, chrząknął i ruszył w kierunku wyjścia. Ellegaard również to zrobiła.

– Nikt nie zniknął – poprawił ją gospodarz. – Ale teraz chyba już trudno tak utrzymywać...

– Chyba tak.

Starzec zatrzymał się za progiem, podciągnął kołnierz swetra, a potem obrócił się do Katrine.

– Co mogło się z nim stać?

– Przypuszczalnie trafił na jakieś informacje w sprawie kości z Viðvík.

– I ktoś chciał go uciszyć?

– Być może.

– To niemożliwe... Tutaj nikt nie miałby powodu, żeby go atakować.

– A jednak nie możemy go znaleźć, panie Olsen. Dlatego będę wdzięczna za wszelkie informacje, nieważne jak błahe czy nieaktualne. Wszystko może okazać się kluczowe.

– Rozumiem, ale ja naprawdę nic nie wiem...

– A w sprawie Gunnsteina? Może mógłby pan powiedzieć mi nieco więcej?

– Powiedziałem już wszystko.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do środka. Katrine westchnęła w duchu, że to bardziej wymowne niż milion słów. Zarówno Ingibjörg, jak i Anne oraz Jógvan ukrywali coś, co stanowiło ich wspólną tajemnicę. Ellegaard była tego coraz bardziej pewna.

– Panie Olsen...

Stał w progu i obejrzał się na nią.

– Los pańskiego siostrzeńca może zależeć od tego, ile mi pan powie.

– Nie mam nic więcej do dodania – odparł, a potem zamknął drzwi.

Katrine stała przez chwilę w bezruchu, wpatrując się w nie.

– Idziesz? – zapytał Nolsøe. – Czy będziesz tak wyczekiwać cudu?

W reakcji Ingibjörga zabrakło kategoryczności. Wprawdzie odwrócił się i czym prędzej znikł w bezpiecznym miejscu, ale jej nie pogonił. Może w jakimś stopniu, podświadomie dopuszczał możliwość, że od powiedzenia prawdy rzeczywiście zależy los Hallbjørna?

– On coś wie – stwierdziła Ellegaard.

– Nie on jeden. Co nie zmienia faktu, że niczego nam nie powie.

– Musimy go przycisnąć.

– Jak?

– Zabrać na posterunek, wsadzić do pokoju przesłuchań, a potem magłować, aż zacznie śpiewać.

– Na jakiej podstawie?

Katrine milczała.

– Intuicji? Przeczucia? Domniemania? Twojego szóstego zmysłu?

– To wszystko synonimy, Sigvald.

– Które mają ci uświadomić, że nie możemy go zamknąć i przesłuchać.

– W takim razie co proponujesz?

– Wziąć pod uwagę, że nikt nie pomógł Olsenowi zniknąć.

Nie miała zamiaru na to odpowiadać. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że prędzej czy później Nolsøe zacznie lansować tę teorię. Z jego punktu widzenia sprawa była prosta – Hallbjørn mógł uznać, że w Vestmannie nie czeka go nic dobrego. Znikł, bo tak było najłatwiej.

– Dopuść chociaż taką możliwość – dodał. – Przecież...

– Nie zabrał żadnych rzeczy z kempingu.

– Dziwisz się? Z tego, co mówiła Skovmand, wszystkie były albo porwane, albo pokryte czerwonym sprayem. Na jego miejscu też zostawiłbym wszystko w cholerę.

– On nie jest tobą.

– Nie, ale jest zamieszany w sprawę Norwega.

– Słucham?

Katrine spojrzała na niego ze zdziwieniem. Sigvald był jedną z osób, które nie powinny wiedzieć o tym rzekomym związku. I dotychczas była przekonana, że Nolsøe w istocie nie ma o nim pojęcia.

– Frida powiedziała mi o listach – wyjaśnił. – Wynika z nich, że miał z tym coś

wspólnego. Może nie pamiętał, może dopiero sobie przypomniał i...

– Nie.

– Nie? Tak po prostu zaprzeczysz wszelkiej logice? – prychnął Nolsøe. – Przypomnę ci w takim razie, że ten facet już miał problemy z pamięcią. I to dość znaczące.

Nie zamierzała z nim dyskutować. Przegadali już to z Hallbjørnem i oboje doszli do wniosku, że to niemożliwe.

– Ktoś zadał sobie trud, żeby dostarczyć te listy – ciągnął Sigvald. – Z pewnością nie zrobił tego tylko po to, aby wypisywać bzdury.

– Mógł chcieć zmylić trop.

– Tak możesz wytłumaczyć każdego w każdej sprawie. To bez sensu.

– Bez sensu jest to, o czym mówisz.

Nolsøe otworzył usta, ale się nie odezwał. Katrine przypuszczała, że w porę ugryzł się w język, dochodząc do wniosku, że użycie argumentów związanych z ich życiem osobistym będzie wejściem na pole minowe. Zamknął usta i pokręcił głową.

– Jak chcesz – burknął. – Jestem gotów poświęcić na to jeszcze kilka godzin, nie więcej. Potem wracam do ważnych rzeczy, a ty radź sobie sama, szukając faceta, który po prostu się zwinął. I powiem ci coś jeszcze, Ellegaard. Nie jest pierwszym ani ostatnim, który to zrobił.

Katrine byłaby gotowa dopuścić tę możliwość, gdyby nie to, że Hallbjørn nigdy nie zostawiłby tutaj Ann-Mari. Nawet jeśli był zdolny do najgorszych rzeczy, prędzej uwięziłby Ernę i Signara i porwał córkę, niż opuścił bez niej archipelag.

– No? – ponaglił ją Nolsøe. – Jaki masz plan? Korzystaj, póki zapewniam ci policyjne wsparcie. Potem będziesz zdana wyłącznie na siebie.

Mgła powoli opływała Fugloy. Ellegaard rozejrzała się, nie wiedząc, gdzie szukać odpowiedzi.

42

**2 listopada, środa, godz. 14.56**

Kaszel sam w sobie nie był problemem. Trudność sprawiało zrobienie głębokiego wdechu, bo Hallbjørn za każdym razem miał wrażenie, jakby wciągał do płuc sam pył.

Nie wiedział, gdzie się znajduje. Niewiele pamiętał z tego, co się wydarzyło – i tym

razem nie mógł złożyć tego ani na karb alkoholowego upojenia, ani traumy wojennej. Został zaatakowany, pozbawiony przytomności i przewieziony do tego miejsca.

Rozejrzał się. Pomieszczenie było niskie, panował w nim półmrok. Ściany były niepomalowane – tylko otynkowane, na etapie szlifierki. Jedyne źródło światła to niewielkie okienko pod sufitem, zasłonięte niemal w całości kilkoma deskami. W promieniach słońca padających przez szpary widać było unoszący się pylisty obłok.

Olsen znowu zaniósł się kaszlem.

Co to za miejsce? Piwnica? Garaż w trakcie remontu? Nie sposób było tego stwierdzić. Podobne trudności miał z ustaleniem, jak długo się tutaj znajduje. Równie dobrze mógł to być dzień, jak i dwa. W żołądku czuł pustkę, nie dostał nic do jedzenia.

Zadbano jednak o wodę. Obok stały dwa wiadra – jedno puste, drugie pełne. Właściwie przywodziło to na myśl warunki sanitarne, jakie mieli bośniaccy jeńcy podczas konfliktu w Jugosławii. Ktoś zapewnił mu minimum potrzebne do przeżycia.

Niestety, nie była to jedyna rzecz, którą zajęli się porywacze. Ręce miał skrupowane grubym, mocno ściśniętym sznurem, którego drugi koniec przytwierdzono do klamry w ścianie. Długość sznura wystarczała tylko na tyle, by Olsen mógł podejść do jednego lub drugiego wiadra. O rozwiązaniu supła nie było mowy.

Z zewnątrz dochodziły jedynie odgłosy zawodzącego wiatru. Hallbjørn wątpił, by krzyki na cokolwiek się zdały. Gdyby ktoś mógł go usłyszeć, z pewnością zakneblowano by go do tej pory.

Spojrzał na drzwi. Sprawiały wrażenie prowizorycznych, wykonanych z lichej blachy. Całe pomieszczenie najwyraźniej dopiero przygotowywano do użytku.

Rozglądał się, nerwowo poszukując kolejnych wskazówek, które pomogłyby mu się zorientować, gdzie jest. W pyłe pokrywającym podłogę zobaczył odciski butów i ślady, które zostawiło jego ciało, gdy ciągnięto go pod ścianę. Podeszwa była dość duża, a więc buty należały do mężczyzny.

Niewiele więcej mógł ustalić. Przysunął się do ściany, oparł o nią i w końcu zmusił się, by zaczerpnąć głęboko powietrza. Ktoś musiał zauważyć jego zniknięcie. Prędzej czy później zostanie odnaleziony. Miał tylko nadzieję, że stanie się to, zanim skończy mu się woda.

Albo zanim ten, kto go tu zamknął, postanowi się go pozbyć.

## 2 listopada, środa, godz. 20.38

– Pora na nas, Ellegaard – powiedział Nolsøe, przekrzykując buczenie wirnika.

Stali przy helikopterze, choć dawno powinni już być na pokładzie. Katrine jednak nie spieszyło się, by zrobić krok w jego kierunku. Podmuchy powietrza ze śmigła rozganiały mgłę, huk był ogłuszający, a maszyna sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała oderwać się od ziemi, z dwójką policjantów na pokładzie czy bez nich.

– Słyszysz?

– Słyszę – odparła Katrine. – Ale ja nie wsiadam.

– Co?

– Leć sam. Zostanę tutaj, spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Nolsøe rozłożył ręce i przewrócił oczami.

– Od kogo chcesz się czegokolwiek dowiedzieć? – spytał podniesionym głosem. – Rozmawialiśmy już ze wszystkimi. Olsena tutaj nie było, rozumiesz?

– Mimo wszystko...

– Jeśli chcesz go kiedykolwiek znaleźć, wsiadaj do tego helikoptera i uzbrój się w cierpliwość, bo twój facet na dobrą sprawę może być wszędzie. Wszędzie, ale nie na Fugloy.

Nie odpowiedziała. Sigvald wbił w nią wyczekujące spojrzenie, a ona musiała przyznać, że Nolsøe najwyraźniej żywi do niej niejaką sympatię. Gdyby nie to, dawno olałby sprawę i po prostu odleciał sam. Nie należał do ludzi, którzy zwykli uszczęśliwiać innych na siłę.

Czekał jeszcze przez moment, a potem machnął ręką.

– Jak chcesz. Ja nie zamierzam spędzać tutaj nocy.

Gdyby to od niej zależało, również by tego nie zrobiła. Czowała jednak, że musi zostać, bo tylko tutaj może mieć nadzieję na odnalezienie Hallbjørna. Nie było to racjonalne, policyjne podejście. Nie odkryła żadnych poszlak świadczących o tym, że Hal tutaj był, a tym bardziej że właśnie tu się teraz znajdował.

Ale twarde dowody przegrywały z kobiecą intuicją. Zawsze.

– Leć – powiedziała, wiedząc, że Sigvald potrzebuje ostatecznego przyzwolenia. –



Jakby co, będę dzwonić.

Wycodził coś po farersku, a potem szybko uścisnął jej rękę i truchtem skierował się do helikoptera. Maszyna chwilę później oderwała się od ziemi i zaczęła szybko się wznosić. Katrine odprowadzała śmigłowiec wzrokiem, dopóki nie znikł we mgle.

Trzeba było oddać Farerom, że nie brakuje im odwagi. W Danii w takich warunkach żaden helikopter by nie wystartował, nawet gdyby chodziło o akcję ratunkową gdzieś na wodach przybrzeżnych. Z drugiej strony miejscowi piloci znali ten teren na wylot, mogliby pewnie latać z zamkniętymi oczami – czego Katrine nie mogła powiedzieć o sobie. Potrzebowała mapy, kompasu lub nawigacji, by trafić na odpowiedni tor.

Rozejrzała się, ściągając gumkę z włosów. Zebrała je jeszcze raz, czując, że są całe pokryte skroploną mgłą.

Postanowiła, że zacznie od początku. Zupełnie tak, jakby dopiero teraz opuściła pokład śmigłowca, ze spokojnym, świeżym umysłem. Bez przedwczesnych założeń i uprzedzeń. Skupi się wyłącznie na tym, co by zrobiła, gdyby trafiła na wyspę, podążając zwykłym tropem, a nie kierując się chęcią... potrzebą odzyskania Hallbjørna.

Wyjście było jedno – rozpocząć od miejsca, w którym skończyła.

Ruszyła w stronę domu Gunnsteina Thorleifssona. Teren został wprawdzie skrupulatnie przeszukany, a taśmy policyjne dawno zniknęły, ale był to jedyny logiczny kierunek. Jeśli Hal coś odkrył, to być może właśnie tutaj.

Podeszła pod wzniesienie i kiedy mgła się przerzedziła, Ellegaard zobaczyła, że na parterze pali się światło. Zmarszczyła czoło i zatrzymała się. Z tego, co wiedziała, Gunnstein nie miał żadnej rodziny. Wprawdzie nie interesowała się tym, co się stało z jego masą spadkową, ale przypuszczała, że wszystko przeszło na własność gminy Fugloy.

Ale w takim razie budynek zostałby zaplombowany i o tej porze raczej nikt by w nim nie urzędował.

Katrine podeszła do drzwi i zawahała się. Formalnie mogła jeszcze nosić broń i chętnie z tej okazji korzystała. Ciężar służbowego hecklera & kocha w kaburze działał na nią uspokajająco.

Zapukała, a potem cofnęła się o pół kroku. Drzwi po chwili się otworzyły, a w progu stanął wysoki, szczupły mężczyzna w jasnym swetrze z wysokim, wykładanym kołnierzem. Był przynajmniej czterdzieści lat starszy od niej, ale spojrzał na nią, jakby dzieliło ich jeszcze więcej, jakby była jednym z tych niesfornych dzieciaków, które biegają po wsi i

niepokoją mieszkańców.

– Kim pani jest? Czego pani chce?

Ellegaard uniosła brwi. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Była przekonana, że to ona będzie zadawała pytania, a niespodziewany lokator będzie posłusznie odpowiadał.

– To chyba ja powinnam zapytać, kim pan jest i co tutaj robi.

– Słucham? Jak pani śmie mnie nachodzić, a potem...

Katrine szybkim ruchem wyjęła legitymację.

– *Vicropolitikommisær* Ellegaard z duńskiej policji – oświadczyła, podchodząc bliżej. Standardowa zagrywka, wykorzystanie inicjatywy. Prosty sygnał, który miał uświadomić rozmówcy, że nie ma nic do gadania i musi wpuścić funkcjonariusza do środka. Kompletnie nieuzasadniona z prawnego punktu widzenia, ale całkiem sensowna psychologicznie.

I tym razem poskutkowało. Choć nie zawsze tak się działo.

Mężczyzna cofnął się, a Katrine weszła do środka i zamknęła drzwi. To także był dobry układ – póki znajdowali się na zewnątrz, rozmówca czuł się pewniej, mógł sądzić, że w razie czego ktoś przyjdzie mu w sukurs, a w miejscu publicznym nic mu nie grozi. Teraz jednak zostali sam na sam.

– Ale...

– Kim pan jest? – powtórzyła Katrine.

– Herálvur... Herálvur Ólgarsson.

Ellegaard postarała się zanotować w pamięci imię i nazwisko. Tak naprawdę poznała tylu Farerów i tylu ich przewinęło się w całej sprawie, że nie potrafiła spamiętać wszystkich nazwisk. Była jednak przekonana, że tego konkretnego nie powinna zapomnieć.

– Co pan tutaj robi?

Herálvur przełknął ślinę i odzyskał nieco rezon.

– Mam prawo tu być – powiedział. – Otrzymałem tę nieruchomość w spadku.

Ellegaard ściągnęła brwi.

– Gunnstein zostawił testament?

– Zgadza się. Poświadczony notarialnie, więc jeśli ma pani zamiar go kwestionować, proponowałbym skontaktować się z kancelarią przy Pløyensgøta jeden w Tórshavn.

– Nie mam zamiaru niczego kwestionować. Chcę tylko dowiedzieć się paru rzeczy. – Spojrzała znacząco w kierunku zastawionego meblami salonu, ale gospodarz nie odebrał sygnału. – Zapewniam, że nie zajmę wiele czasu.

Olgarsson wahał się przez moment.

– Czasu mam pod dostatkiem – odezwał się w końcu i zaprosił ją do środka. – I proszę wybaczyć opryskliwe powitanie.

Katrine powiesiła kurtkę i przeszła do pokoju. Część gratów została odsunięta na bok i wydawało się, że miejsca w pomieszczeniu jest trochę więcej. Usiadła w fotelu i skrzyżowała nogi.

– Miejscowi maglują mnie, jakbym był przestępcą – dodał Herálvur. – Myślałem, że jest pani jedną z nich.

– Maglują pana?

– Tak. Nie mieści im się w głowach, że to mnie Gunnstein zostawił ziemię.

Przysiadł na jednej z komód i wsunął ręce do kieszeni. Zaczynał sprawiać dość przyjazne wrażenie, choć z pewnością byłoby ono lepsze, gdyby zaproponował jej herbatę na rozgrzewkę.

– Nie jest pan stąd?

– Nie, pochodzę ze Streymoy.

– W takim razie współczuję – odparła Katrine z lekkim uśmiechem. – Jest pan dla nich prawie tak samo obcy, jak ja.

– Tak... czasem odnoszę takie wrażenie.

Ellegaard założyła rękę za oparcie fotela.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – zaczęła. – Ale dlaczego Gunnstein zostawił panu swój majątek? Nie jest pan z rodziny, a do tej pory nie słyszałam, by zmarły miał jakichkolwiek znajomych. Szczególnie spoza Fugloy.

– Cóż...

– Proszę mówić śmiało. I tak nie wyjdę, dopóki się wszystkiego nie dowiem.

Liczyła na choćby blady uśmiech, ale kąciki ust Herálvura nawet nie drgnęły. Przeciwnie, jego twarz stężała, a wzrok stał się zdecydowany.

– Prawdę powiedziawszy, dla mnie również było to niejake zaskoczenie.

– Jak to?

– Nie utrzymywaliśmy zażyłych kontaktów, jak pani zauważyła. Leczyłem go.

– Jest pan lekarzem? Z Tórshavn?

– Zgadza się. Przychodził do mnie na kontrole, ale... ale nie tylko.

Ellegaard dopiero teraz skojarzyła nazwisko Olgarssona. Nie rozmawiała z nim, kiedy

zasięgała informacji o stanie zdrowia Thorleifssona – los chciał, że trafiła na młodszego lekarza, który był bardziej skłonny do współpracy. Gdyby dyżurował wówczas Herálvur, mogłaby nigdy nie dowiedzieć się tego, co pozwoliło jej zakwestionować chorobę Gunnsteina.

– Co pan ma na myśli? – spytała. – Po co jeszcze do pana przychodził?

Olgarsson podniósł się i przeszedł po pokoju. Zatrzymał się przed gablotą z książkami, otworzył ją, a potem zaczął przeglądać stare publikacje. W końcu wziął jedną – wydanie kieszonkowe jakiejś powieści – i usiadł na kanapie. Obracał książkę w dłoniach.

– Nie wiem, ile mogę powiedzieć.

– Sporo – odparła Katrine. – Zwłaszcza jeśli chce pan mnie mieć szybko z głowy.

– Ale... czy coś mi grozi?

– Słucham?

– W sensie odpowiedzialności karnej.

Samo to pytanie sprawiało, że Ellegaard miała ochotę sięgnąć po opaskę zaciskową, wykręcić temu człowiekowi ręce na plecy, a potem wpakować go do aresztu wydobywczego. Uśmiechnęła się jednak uprzejmie.

– To zależy, panie Olgarsson. Jeśli pan kogoś zabił, z pewnością nie odpuszczę, ale jeśli oszukał pan fiskusa, niespecjalnie mnie to interesuje.

Widziała, że pożałował, iż w ogóle podjął temat. Z drugiej strony coś go do tego skłoniło. Może chciał zrzucić z barków jakiś ciężar? Powód, dla którego otrzymał cały ten spadek?

– Nie, to nic takiego...

– Więc?

– Właściwie to tylko obietnica. Nigdy niespełniona, bo nie miałem ku temu okazji.

– A konkretniej?

Herálvur nabrał tchu i Katrine przypuszczała, że wreszcie czegoś się dowie. Starła się nie patrzeć na niego ponagłająco, ale uspokajająco. Nie wiedziała, czy przyniosło to jakikolwiek efekt, ale Olgarsson w końcu skinął głową, jakby do siebie, jakby chciał przekonać sam siebie, że pora powiedzieć głośno o pewnych rzeczach.

– Zналиśmy się z młodości – zaczął Herálvur. – Spotkaliśmy się kiedyś na grindzie, na Viðoy. Był to udany połów, a potem oczywiście odbywały się tradycyjne zabawy. Śpiewy, tańce... długo to wszystko trwało, a ja i Gunnstein wypiliśmy więcej, niż wypadało.

– Rozumiem.

– Nie można powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy, ale nawiązaliśmy dobry kontakt. Gunnstein zadzwonił do mnie pewnego razu, niby żeby porozmawiać, ale tak naprawdę chodziło o konsultację lekarską. Przyplłynął do Havn niedługo potem, zrobiliśmy badania.

– Tomografię?

– Między innymi.

– Zatem chodziło o zmiany w mózgu.

– Tak. Chciał potwierdzenia, że jest chory na alzheimera.

– Potwierdzenia?

– Tak sobie założył... Nie, nie założył. Przyjął takie pozory i zamierzał się ich trzymać. Przeprowadziłem badania, nic konkretnego na nich nie wyszło, ale powiedziałem mu, że niektórych schorzeń neurodegeneracyjnych po prostu nie da się zobaczyć.

Katrine właściwie mogła domyślić się reszty.

– Prosił, żebym potwierdził, że jest chory. Odmówiłem, ale Gunnstein nie ustępował. Ostatecznie po którymś badaniu powiedział mi, w czym rzecz. Obawiał się, że ktoś kiedyś będzie mnie o to pytał. Że ktoś kiedyś mu zagrozi.

– Policja?

– Nie, nie... mówił o społeczności. O ostracyzmie, samosądzie...

– I obiecał mu pan, że w razie czego potwierdzi, że jest chory?

– Tak – przyznał Olgarsson.

Ellegaard uznała, że najwyraźniej miała więcej szczęścia, niż się spodziewała. W pewnym sensie była to sprawiedliwość losu – dołożył jej na gruncie osobistym, ale uśmiechnął się na zawodowym. Gdyby wtedy dodzwoniła się do Herálvura, urobiłby ją bez problemu.

– Błagał, bym mu to obiecał. Twierdził, że od tego zależy jego życie.

– Dlaczego?

– Nigdy nie zagłębiał się w szczegóły.

– A pan tak po prostu złożył mu tę obietnicę?

– Nie miałem wyboru.

– Przystawił panu pistolet do skroni?

Herálvur spojrział na nią z pretensją.

– Widziała pani kiedyś dorosłego, barczystego i twardego mężczyznę, który o coś błaga?

Nie życzę, żeby kiedykolwiek...

– W porządku, panie Olgarsson. Rozumiem.

– Poza tym nigdy nie musiałem się nawet zastanawiać, czy dochować tajemnicy. Nikt mnie o niego nie pytał.

Spuścił wzrok, Katrine milczała, wychodząc z założenia, że lepiej będzie, jeśli rozmówca sam ułoży myśli. Była przekonana, że nie usłyszała całej prawdy. Jeśli w istocie doszło do złożenia jakiejś obietnicy, zapewne miała ona swoją cenę. Być może był nią testament, a być może coś innego.

– Zadzwoił do mnie w tę noc, kiedy... kiedy ze sobą skończył.

– Co takiego?

– Chciał wiedzieć, czy komuś powiedziałem.

Ellegaard szybko zrozumiała powód tego telefonu. Przed tym, jak Thorleifsson się powiesił, chciał wiedzieć, kto puścił parę. Mógł to być Herálvur, inny lekarz czy nawet rejestratorka, która sprawdziła wpisy pod jego nazwiskiem w systemie. Gunnstein chciał wiedzieć, czy zmieniać testament.

– Powiedział panu coś jeszcze? – spytała z nadzieją.

– Nie.

Katrine drgnęła. Nie miała wieloletniego doświadczenia w policji, ale to, które udało jej się zebrać, pozwalało ocenić, czy ktoś kłamie. Herálvur Olgarsson z pewnością właśnie to zrobił.

## 44

### 3 listopada, czwartek, godz. 10.15

Prom R/F Ritan kołysał się na niespokojnych wodach między Fugloy a Viðoy. Katrine starała się zignorować ten fakt, ale niepokojące uczucie w żołądku nieustannie przypominało jej o tym, że jej miejsce jest na lądzie, a nie na wodzie. Zanim jednak prom dotrze do Hvannasund, zatrzyma się jeszcze na Svínøy. Stamtąd czekać ją będzie półgodzinna męka.

Katrine była niewyspana, czuła się jak widmo. Noc spędziła u Olsenów, którzy nie byli przesadnie zadowoleni, widząc, że Ellegaard wróciła. Tórunn od razu zaproponowała nocleg na kanapie, ale Ingibjörg kręcił nosem.

Długo nie mogła zasnąć. Przede wszystkim wciąż nękały ją myśli o lekarzu z Tórshavn, który wiedział więcej, niż był gotów przyznać. Próbowwała coś z niego wyciągnąć, ale skończyło się to tym, że pożegnał ją opryskliwie, sugerując, że najwyższa pora, by opuściła jego dom.

Katrine czuła, że zbliżyła się do rozwiązania zagadki, a być może także do odnalezienia Hallbjørna. Nie potrafiła sprecyzować swojego przeczucia, ale wydawało się w jakiś sposób uzasadnione.

Nagle w kieszeni kurtki rozdzwonił się telefon, wrywając ją z zamyślenia. Odebrała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Tak?

– Mam nadzieję, że masz już bilet powrotny.

– Cześć, Rikke.

– Raczej dzień dobry, pani doktor – mruknęła Randrup. – Od naszego ostatniego spotkania muszę chyba być bardziej apodyktyczna. Ta przyjacielska relacja nie skończy się dla ciebie dobrze.

– Na razie tylko na niej korzystam.

– Na razie – odparła lekarka. – Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Jeszcze nie.

– Ale jesteś na dobrej drodze?

– Wydawało mi się, że byłam, ale ostatecznie poniosłam fiasko.

Rikke milczała. Najwyraźniej uznała, że sprawa jest na tyle poważna, że musi naprawdę uważać na słowa. Niechybnie zaplanowała sobie przekonujący, zgrabny wywód, który miał sprawić, że Katrine czym prędzej wsiądzie do samolotu i wróci do Kopenhagi.

Ellegaard nie miała jednak takiego zamiaru. Przynajmniej dopóki nie trafi na ślad Hala.

– Twój głos nie brzmi najlepiej – zauważyła Randrup.

– Jestem na promie. Mam chorobę morską.

– Nie mają tam aviomarinu w recepcji?

– Nie, raczej nie – bąknęła Katrine, patrząc na zardzewiałą nadbudówkę. – Plastrów Transway chyba też nie sprzedają.

– W takim razie zostają ci tradycyjne metody. Pozycja półleżąca, zwrócona w kierunku jazdy.

– Dzięki.

– I szybki powrót do Danii. Nie żartuję, Katrine.

– Wiem.

– Rozmawiałam z kilkoma innymi onkologami. Wszyscy jesteście zdania, że nie możesz sobie pozwolić na kolejne przerwy w terapii.

Mówiła spokojnie, niemal bez emocji. W jakiś sposób sprawiało to, że Katrine poczuła zagrożenie. W emocjach wszystko było naturalne, zwyczajne, tak jak w relacji dwojga równych sobie ludzi. Urzędowy ton nie pozostawiał jednak wątpliwości, że coś jest na rzeczy.

Ellegaard była przekonana, że stanowi on jedynie preludium do tego, co miała usłyszeć.

– Wrócę, jak tylko będę mogła, a tymczasem... Halo, Rikke, słyszysz mnie? Mam tu problem z zasięgiem i... – powiedziała, a potem szybko się rozłączyła.

Uśmiechnęła się do siebie. Bodaj po raz pierwszy w życiu potraktowała kogoś w ten sposób – i musiała przyznać, że było w tym coś przyjemnego. Jej nastrój jednak szybko opadł. Po pierwsze, zrobiło jej się niedobrze. Po drugie, myśli zaczęły wracać do ostatniego wieczoru. Przypuszczała, że zapamięta go na długo.

Była przekonana, że z Olgarssonem poniosła sromotną klęskę. Nie stanęła na wysokości zadania. Mężczyzna wyraźnie coś ukrywał, a ona nie potrafiła nic z niego wyciągnąć.

Niby udzielił jej odpowiedzi na wszystkie pytania, wyjaśnił to, co ją nurtowało, ale był w tym jakiś zgrzyt. Coś, co sprawiało, że jeszcze zanim lekarz zaprzeczył, jakoby wiedział cokolwiek więcej, już była pewna, że nie mówi prawdy.

Ale co to było? Katrine nie miała pojęcia.

Zakłęta w duchu i podeszła do relingu. Złapała się mocno poręczy, a potem pochyliła. Przez moment walczyła z nudnościami, po czym udało jej się powstrzymać odruch wymiotny. Wyprostowała się i wbiła wzrok w klify Viðoy widniejące w oddali.

Przez chwilę się zastanawiała.

Jak Hallbjørn dostał się na Fugloy? Jeśli rzeczywiście tam trafił, a zakładała, że tak było, miał do dyspozycji tylko prom. Jeszcze zanim Katrine wróciła na Faroje, Skovmand dzwoniła do firmy przewozowej i dowiadywała się, czy nikt go nie widział. Marynarze twierdzili, że nie, ale dziennie przewijało im się tyle twarzy, że nie mogli być pewni.

Ellegaard spojrzała na swoich współpasażerów. Było tu kilku turystów, którzy robili zdjęcia każdemu skrawkowi wulkanicznych wysp, ale na pokładzie znajdowało się także paru znudzonych Farerów. Rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami, opierając się o nadbudówkę.



Katrine pomyślała, że grzechem byłoby nie skorzystać z okazji i nie sprawdzić, czy nie widzieli osoby, której szukała. Przełknęła gęstą ślinę, wyjęła legitymację służbową i uniosła ją.

– Proszę o chwilę uwagi! – zawołała. – Szukam pewnego człowieka!

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

– Płynął w ostatnich dniach tym promem na Fugloy. Wszyscy go kojarzycie, to Hallbjørn Olsen.

– Ten, co to go skazano, a potem wypuszczono? – zapytał jeden z Farerów.

Katrine skinęła głową.

– Jeśli ktokolwiek z państwa go widział, proszę o informację!

Miejscowi popatrzyli po sobie, wzruszając ramionami. W przypadku każdego innego mieszkańca Farojów zapewne nie potrafiliby stwierdzić, czy płynął z nimi, czy nie. Byli zajęci rozmowami i nie zwracali uwagi na to, kto znajduje się na pokładzie. Ellegaard była jednak pewna, że Hallbjørna by dostrzegli.

– Nikt go nie widział? – zapytała dla pewności.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, opuściła legitymację i schowała ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Obróciła się w stronę wyspy, do której się zbliżali, i westchnęła.

Nie zauważyła, że chwilę później stanął obok niej mężczyzna.

– Hallbjørn Olsen, powiada pani...

Spojrzała na Farera. Miał na sobie niebieski uniform i grubą wełnianą czapkę.

– Tak, widziałem go. Płynął na Fugloy ze dwa dni temu...

Wzrok Katrine zatrzymał się na logo wyszytym na kufajce. Dopiero teraz przypomniała sobie, że z Ritana korzysta także poczta. Ten człowiek był listonoszem.

– Ale nie wrócił – dodał mężczyzna.

Katrine musiała zastanowić się dwa razy, czy dobrze usłyszała.

– Jest... jest pan pewien?

– Płynęliśmy razem w tamtą stronę, a wracałem sam. Potem już go nie widziałem.

– I to na pewno był Hallbjørn Olsen?

– Pani... niechże się pani zastanowi. Przecież ta twarz była wszędzie, jak miałbym pomylić?

Ellegaard potrzebowała jeszcze chwili, by przetrwać tę informację. Dotychczas

kierowała się wyłącznie przecuciem, a teraz otrzymała twardy, konkretny dowód na to, że była na dobrym tropie.

– Czyli został na Fugloy? – spytała bardziej siebie niż listonosza, po czym odwróciła się w stronę wyspy, od której się oddalali.

– A ja wiem? Na to wygląda.

– Może wrócił innym promem?

– Jakim? – Mężczyzna się zaśmiał. – Tu nie pływa nic innego.

Miał rację. Gdyby Hallbjørn miał się minąć z listonoszem, musiałby wybrać drogę powietrzną. A w jego obecnej sytuacji finansowej wydawało się niemożliwe, by wysupłał odpowiednią sumę na bilet na helikopter.

Katrine ujęła rękę rozmówcy i nią potrząsnęła.

– Dziękuję – powiedziała.

– Eee...

Zanim zdążył wyartykułować coś więcej, Ellegaard już pędziła w kierunku sterówki. Wpadła do niej bez ostrzeżenia, jednocześnie wyciągając legitymację. Kusiła los. W końcu ktoś musiał się postawić i zadzwonić do Tórshavn, by się upewnić, czy jakaś oficer duńskiej policji rzeczywiście ma prawo wydawać tutaj rozkazy.

– Proszę zawrócić łódź – nakazała.

– Co takiego? – obruszył się kapitan. – Nie wiem, jak to jest u was, ale tutaj...

– To sprawa życia lub śmierci.

– Słyszę to codziennie, proszę mi wierzyć.

– Nie przesadzam, kapitanie.

Spojrzał na nią z ukosa.

– A ja nie mogę tak po prostu...

– Niech pan zawraca tę łajbę, do kurwy nędzy, albo jedynym, co kiedykolwiek pan poprowadzi, będzie kosiarka na podwórku!

Wprawdzie nie zauważyła, by którykolwiek z Farerów przycinał trawę w ten sposób, ale najwyraźniej nie miało to żadnego znaczenia. Kapitan zastanawiał się tylko przez moment. Potem westchnął i zaczął obracać dziób w kierunku sterburty.

Wolał nie ryzykować, zresztą całkiem słusznie. Pół godziny w tę czy we w tę nie robiło mu różnicy, rozkład jazdy był płynny. Dziś i tak szybko odpłynęli z Fugloy, zdarzały się znacznie dłuższe przestoje.

– Dokąd wracamy? – zapytał.

– Do Kirkja.

Kiedy tylko R/F Ritan przycumował do kei, Katrine zeskoczyła z pokładu. Słyszała niewybredne określenia, jakie rzucał kapitan, ale jego głos szybko został zagłuszony przez silnik.

Ellegaard prawie biegła w kierunku domu Olsenów. Powtarzała sobie w duchu, że powinna powściągnąć emocje. Wygarnięcie wszystkiego Ingibjörgowi nie sprawi, że ten nagle zacznie współpracować. Przeciwnie, zapewne będzie jeszcze mniej chętny, by dzielić się z nią czymkolwiek.

Mimo to załomotała w drzwi, jakby to one były wszystkiemu winne. Tym razem otworzyła jej Tórunn. Katrine uznała, że grzechem byłoby nie wykorzystać okazji. Ruszyła zdecydowanie na kobietę, a ta instynktownie się odsunęła.

– Gdzie Ingibjörg? – syknęła Katrine.

– Dziecko, co ty robisz?

Ellegaard przemknęła przez korytarz i otworzywszy drzwi do salonu, wpadła tam jak wichura. Ingibjörg z książką w rękach siedział w swoim fotelu. Leniwie podniósł wzrok.

– Ty kłamliwy, zdraдлиwy...

– Uważaj – uprzedził ją, odkładając książkę. – Pewnych słów już nie cofniesz.

Podniósł się, a ona podeszła do niego szybkim krokiem. Zatrzymała się kilka centymetrów od niego, a potem wymierzyła w niego palcem.

– Hallbjørn tu był – oznajmiła. – Odwiedził was, a ty łągałeś prosto w oczy mnie i Nolsøemu, kiedy o to pytaliśmy. Do cholery, chodzi o twojego siostrzeńca!

W jego oczach pojawiła się wściekłość. Ellegaard cofnęła się o krok, uświadamiając sobie to dopiero po fakcie. Ingibjörg zacisnął usta. Milczał. Zupełnie jakby czekał, aż policjantka wyjaśni mu, skąd o tym wie... i czy udało jej się ustalić coś więcej.

– Nie masz zamiaru odpowiadać? – wycodziła. – W porządku, będziesz bardziej rozmowny na posterunku w Tórshavn.

– Nic nie zrobiłem.

– Zakłócasz pracę organów ścigania – powiedziała pewnym, mocnym głosem. Tego tonu uczono ich w policyjnych szkołach, choć ostatecznie na niewiele się zdawał. Przekonującym argumentem było dopiero sięgnięcie po broń. Katrine nie miała zamiaru tego robić, przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie miała innego wyjścia. Jeśli wszystko

sprowadzi się do alternatywy: popadnięcie w służbowe tarapaty albo odnalezienie Hallbjørna, nie będzie problemu z wyborem.

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

– Nie ty będziesz to ustalał, tylko sąd – odparła. – A jeśli widziałeś Hala i wprowadziłeś nas w błąd, możesz być pewien, że posiedzisz w areszcie chociaż dwie doby.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to oświadczenie nie było pustą groźbą. Skoro Ingibjörg nie zająknął się słowem na temat tego, że Hal tu był, należało uznać, że ma dobry powód sprawiający, że krótki pobyt w areszcie to cena, którą starzec jest gotów zapłacić.

– Nie było go tutaj, już mówiłem. Skąd w ogóle...

– Listonosz widział go na promie.

– O czym ty mówisz? – wtrąciła Tórunn. – Hallbjørn nie odwiedził nas, od kiedy byliście tutaj razem.

Ellegaard pokręciła głową. Dotychczas sądziła, że żona Ingibjörga nie jest zamieszana w... w cokolwiek, co dzieje się na tej zapomnianej przez Boga wyspie. Najwyraźniej jednak było inaczej.

– Nie róbcie ze mnie idiotki – powiedziała Katrine. – Mam uwierzyć, że Hallbjørn tu przyplłynął i nie zaszedł do was nawet na chwilę? Mimo że szukał odpowiedzi? Mimo że badał każdy trop?

Olsenowie spojrzeli po sobie bez wyrazu.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytała Ellegaard. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Uspokój się, dziecko – odezwała się Tórunn. – Usiądź, odpocznij, przyniosę ci coś do picia i...

– Jestem spokojna. Bardzo spokojna, biorąc pod uwagę, że wszyscy coś ukrywacie.

– W żadnym wypadku nie...

– Ale mniejsza z tym – przerwała jej Katrine. – Nie obchodzi mnie to. Miejcie te swoje małe sekrety, wsadźcie je sobie w dupę. Nie dbam o ten szkielet, o tę pizszcel, o samobójstwo Gunnsteina ani o nic innego. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest Hal.

Milczeli.

– No! – krzyknęła, kładąc rękę na kaburze z pistoletem. – Już! Mówcie!

Spojrzała na Ingibjörga, a potem na Tórunn. On miał zaciętą minę, jakby chciał dalej iść w zaparte, jednak na twarzy kobiety Ellegaard dostrzegła cień wahania. Może Tórunn

dopiero niedawno została wtajemniczona w to, co się tu zdarzyło?

– Dostyc tej pieprzonej zмовy milczenia! Gdzie on jest?!

Wysunęła broń, nie do końca świadomie. Uzmysłowała sobie to na dobre dopiero, gdy wzrok Tórunn padł na rękojeść hecklera & kocha. Ingibjörg trwał w bezruchu, wbijając w nią spojrzenie. Nie odpuści, nie teraz, kiedy właściwie bezpośrednio mu zagroziła.

– Może... – zaczęła Tórunn.

– Nie! – przerwał. – Nie damy się zastraszyć obcym.

Rzucił jej groźne spojrzenie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Pojawiła się szansa, jakkolwiek niewielka, że Katrine uda się dotrzeć do kobiety. Teraz musiała tylko pozbyć się hamulcowego.

– Ingibjörg...

– Milcz! – uciał starzec, zbliżając się do żony.

Katrine wysunęła pistolet jeszcze bardziej. Zastanawiała się, jak daleko są w stanie się posunąć – zarówno ona sama, jak i gospodarz. Patrzył na żonę w sposób, który sugerował, że jest gotów potraktować ją tak, jak Gunnstein swego czasu Rannvę.

– Niech pan się zatrzyma, panie Olsen.

– Co? – oburzył się Ingibjörg. – Będziesz mi rozkazywać w moim domu?

Wyciągnęła broń. Nie wycelowwała jej w mężczyznę, ale sam widok pistoletu sprawił, że ten nieco się cofnął.

– Zachowajmy spokój, proszę – odezwała się Tórunn. Na moment zaległa cisza, a kobieta spojrzała na swojego męża. – I skończmy z tym wszystkim – dodała.

– Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej.

Katrine stanęła między nimi, przodem do Ingibjörga. Obejrzała się przez ramię i wskazała wzrokiem korytarz.

– Wychodzimy – rzuciła do Tórunn.

– Posłuchaj mnie... – zaczął stary Olsen, ale natychmiast urwał, widząc, że ręka policjantki drgnęła.

Mógł być jednym z najtwardszych Farerów, zaprawionym w pijackich bijatykach, prawdziwym potomkiem wikingów, ale żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do tego, że całe życie spędził w niewielkiej wsi i nigdy nie widział prawdziwej broni. To musiało zrobić wrażenie.

– Nie waż się – powtórzył, patrząc na żonę.

Katrine wycofywała się powoli. Zerknęła na Tórunn, by upewnić się, że ta nie zrezygnowała. Kobieta jednak już narzuciła na siebie kufajkę i czekała, by razem z Ellegaard wyjść na zewnątrz.

### 3 listopada, czwartek, godz. 11.30

Jeszcze przez kilka chwil Katrine słyszała nawoływania starego Olsena. Ignorowała je, podobnie jak Tórunn. Obawiała się wprawdzie, że Ingibjörg za nimi ruszy, ale starzec zatrzymał się w progu swojego domu i zrezygnował. Może liczył na to, że jego żona jeszcze się opamięta, a może naprawdę obawiał się pistoletu – tak czy inaczej, odpuścił. Ellegaard była pewna, że w końcu dowie się czegoś konkretnego.

Szły powoli w dół zbocza, kierując się w stronę portu.

– Hallbjørn był u nas – zaczęła Tórunn. – Miałaś rację.

Katrine skinęła głową. W jej głowie kołatało się mnóstwo pytań, ale zatrzymała je dla siebie, przynajmniej na razie. Bała się, że w jakiś sposób może naruszyć lichą konstrukcję woli współpracy ze strony staruszki.

– Przyszedł zaraz po tym, jak Ritan przybił do brzegu.

Kolejna pauza kazała Ellegaard przypuszczać, że rozmówczyni zbiera myśli. Zastanawia się, jak powiedzieć to, co być może ciążyło jej już od pewnego czasu. Tym bardziej policjantka postanowiła milczeć.

Tórunn nabrała tchu i nagle się zatrzymała. Złapała Katrine za rękę, obróciła do siebie, a potem spojrzała jej głęboko w oczy.

– Musisz wiedzieć, że o niczym nie wiedziałam.

Gówno prawda, pomyślała Ellegaard.

– Wierzę pani – zapewniła, by Tórunn poczuła się pewniej.

– Nie sądzę – odparła staruszka z nikłym uśmiechem, a potem spuściła wzrok. – Sama nie wiem, czy sobie wierzę.

Ruszyły dalej w kierunku Skoragjógvarvegur. Na ulicy nie było ani jednego samochodu, ani jednego przechodnia. Wioska sprawiała wrażenie wyludnionej, jakby przeszła tędy fala uderzeniowa po wybuchu jądrowym.

– Kiedy tamtego feralnego dnia Hallbjørn do nas zapukał, nie wiedział jeszcze, co tak naprawdę się wydarzyło. Ja także tego nie wiedziałam.

Ellegaard pokiwała głową i rzuciła Tórunn ponagłające spojrzenie.

– Szukał tropów właściwie na ślepo. Chciał prześledzić wszystkie swoje poprzednie

kroki.

– To zrozumiałe.

– Rozpytywał w Vestmannie o Egholma. Dowiedział się co nieco.

– To znaczy?

– Głównie tego, że Ólavur Egholm był człowiekiem z natury spokojnym, opanowanym, grzecznym... Niektórzy mówili, że nadawał się bardziej na mnicha niż na męża dla pełnej wigoru Rannvy. – Kobieta odetchnęła chrapliwie i kaszlnęła, gdy zimne powietrze wpadło jej do płuc. – Trudno przesadzić, kiedy się o nim mówi w ten sposób. To był prawdziwy anioł.

Katrine zmarszczyła czoło.

– Po rozmowach z mieszkańcami Hallbjørn zrozumiał, że Egholm nie mógł maczać w tym wszystkim palców.

– W tym wszystkim?

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– O sprawie Norwega?

Tórunn potwierdziła. Katrine poczuła, jak przyspiesza jej serce. Naprawdę miała się czegoś dowiedzieć – teraz, za moment, po tak długim czasie, po męczącym kluczeniu we mgle domysłów i niepewności. Tajemnica, którą tak długo tutaj utrzymywano, była na wyciągnięcie ręki.

Rozejrzała się z przestraszeniem, jakby gdzieś miał się czaić snajper polujący na Tórunn Olsen, jakby zaraz szansa na dowiedzenie się prawdy miała bezpowrotnie przepaść.

– Wcześniej Hallbjørn myślał, że mogło dojść do jakiegoś konfliktu między Gunnsteinem a Egholmem – ciągnęła staruszka. – Ale musiał to wykluczyć. Podobnie jak to, że rozwiązania zagadki należy szukać na Streymoy.

– I przypłynął tutaj.

– Tak. Był przekonany, że Gunnstein nie zabrał ze sobą tajemnicy do grobu. – Tórunn na moment urwała, zwalniając nieco. – I nie mógł być bliżej prawdy. Właściwie śmierć Thorleifssona otworzyła mu oczy... To dzięki niej wszystko zrozumiał.

– Wszystko, czyli co?

– To, co się tutaj wydarzyło przeszło trzydzieści lat temu.

Dotarły do ulicy przecinającej wzgórze i Tórunn pokazała na prawo.

– Ale może sam ci o tym opowie.



Katrine drgnęła.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Tak.

Ellegaard miała ochotę znów sięgnąć po pistolet. W uspokojeniu emocji pomógł jej jednak wyraz twarzy kobiety – dostrzegła na niej głęboki smutek, zażenowanie i pretensje do siebie samej.

Tórunn wskazała na kościół w oddali. Znajdował się na samym skraju wioski, za nim biegła już tylko droga, wijąca się serpentyną pod górę.

– Niedawno zaczęli budować tam niewielki silos. Do tego postawili...

– Kto?

– Mężczyźni. – Kobieta spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem, jakby wszystko było oczywiste.

Katrine uświadomiła sobie, że tutaj wszystko odbywa się kolegalnie. Jeśli ktoś zabiera się do budowy jakiegoś obiektu, wszyscy się przyłączają. Jeśli trzeba załatać dziurę w drodze, zaraz zbiera się grupa chętnych. Podobnie zapewne było w przypadku utrzymywania tajemnicy przez te wszystkie lata.

– W silosie będziemy gromadzić zboże, potrzebny był też budynek gospodarczy. Wznieśli go, ale jeszcze nie skończyli. Hallbjørn został tam zamknięty.

– Przez kogo?

– Przez nich.

Ellegaard rozejrzała się, poszukując budynku. W oddali widziała jednak tylko kościół. Pojęła, że ma przeciwko sobie nie jednego człowieka, który od lat mylił tropy, ale całą społeczność.

Cokolwiek tu się stało, stanowiło rzadki przypadek odpowiedzialności zbiorowej.

– Nic mu nie jest – zapewniła Tórunn. – Inaczej nigdy nie czekałabym tak długo, żeby ci o tym powiedzieć...

– Siedzi tam zamknięty od kilku dni!

– Tak, ale...

– Co? – syknęła Katrine. – Uważasz, że wszystko jest w porządku?

– Nie.

– Uwięziliście go jak dzikie zwierzę, do cholery!

– Spokojnie, dziecko.

Ellegaard miała ochotę odparować, ale ugryzła się w język. Nie było sensu wyklócać się z kobietą. Powtórzyła sobie w duchu, że wie, gdzie jest Hal, zaraz do niego dotrze, uwolni go, wszystko będzie w porządku. A potem czym prędzej wróci na radioterapię do Kopenhagi.

Wciągnęła rześkie powietrze, a potem przyspieszyła kroku. Tórunn nadązała z trudem.

– Musieli to zrobić – odezwała się. – I to nie jest tak, że...

– Naprawdę? Będziesz ich i siebie usprawiedliwiać?

– Nie. Chcę ci tylko powiedzieć, że to rozwiązanie tymczasowe.

Katrine z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie wiedzieli, co począć w takiej sytuacji. Trwały długie dyskusje na temat tego, co z nim zrobić... W końcu postanowiono, że dopóki nie będzie rozwiązania, trzeba go zamknąć.

Ellegaard nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Nigdy nie łudziła się, że na niewielkiej wulkanicznej wysepce o kilkunastoosobowej populacji znajdzie normalnych ludzi, ale to przechodziło wszelkie pojęcie. Mieszkańcy Fugloy nie byli osobliwi, jak twierdził Hal i inni Farerowie. Byli wynaturzeni.

– Obawiano się, że jak tylko opuści wyspę, pojedzie do gazet w Tórshavn. „Dimma” tylko czeka na takie historie.

– Aha.

– Ale istniała szansa, że jeśli przetrzymają go tam dostatecznie długo, będzie miał czas, żeby się zastanowić. Dojdzie do wniosku, że zniszczy naszą społeczność, jeśli wyjawí prawdę.

Katrine dopiero teraz zrozumiała, że dla tych ludzi była to sprawa życia lub śmierci. Nagle zatrzymała się jak rażona piorunem. Spojrzała na Tórunn, a potem przeniosła wzrok na kościół. Czuła, jak ślina gęstnieje jej w ustach.

– Kurwa mać! Jest inna droga do tego silosu?

Tórunn sprawiała wrażenie, jakby znów padło pytanie, na które nie trzeba udzielać odpowiedzi.

– Ingibjörg – rzuciła Ellegaard. – Nie ruszył za nami, bo...

– Mój Boże... – Kobieta szybko zrozumiała. – Popędził tam z innymi...

Zanim krew zaczęła odpływać z twarzy Tórunn, Katrine już puściła się biegiem po ulicy prowadzącej do Hattarvík. Pędziła ile sił w nogach, mając nadzieję, że zdąży w porę. Nie miała wątpliwości, że stary Olsen zwołał wszystkich mężczyzn w wiosce. Utrzymanie

tajemnicy było dla nich zbyt ważne. Nie mogli pozwolić, żeby jeden człowiek pokrzyżował im plany. Musieli go uciszyć, nie było innej możliwości.

Ona i Tórunn schodziły ze wzniesienia lepszą, asfaltową drogą, ale do kościoła można było dotrzeć znacznie szybciej, idąc zboczami. Jeśli Ingibjörg i reszta się pospieszyli, mogli być już na miejscu.

Ellegaard w końcu zauważyła silos. W jego kierunku szła grupa czterech mężczyzn. Katrine brakowało już sił, ale zmusiła się do ostatniego wysiłku. Jeszcze kilka miesięcy temu przebiegłaby sprintem kilka kilometrów, zanim opadłaby z sił. Przez radioterapię jednak ledwo zipała.

W pewnym momencie zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zwolniła, zatoczyła się w bok.

Znajdowała się kilkadziesiąt metrów od grupy mężczyzn. Hallbjørn był bezpieczny, przynajmniej jeszcze przez kilka chwil. Dostrzegła, że jeden z Farerów niesie jakieś narzędzie do połowu.

– Stać! – krzyknęła, sięgając do kabury.

Miała wrażenie, że nogi ma jak z waty. Każdy kolejny krok kosztował ją stanowczo zbyt dużo sił.

– Policja! – zagrzmiała. – Stać, bo strzelam!

Zatrzymali się, po czym obrócili w jej stronę. Katrine zbliżała się powoli, nie wiedząc, czy wystarczy jej sił, by podejść na odległość celnego strzału. Obraz rozmazywał jej się przed oczami, głowa chwiała się na boki. Ellegaard uświadomiła sobie, że jest tylko o krok od utraty przytomności.

W końcu zatrzymała się i uniosła pistolet. Jej ręka zakołysała się w powietrzu, a potem nieco opadła.

– Niezbyt dobrze się czujesz, Dunko – odezwał się jeden z mężczyzn.

– Co jej jest? – zapytał inny.

Ingibjörg zrobił krok w jej stronę, przyglądając się uważnie.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Potrzebujesz pomocy?

– Stój...

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział, wyciągając do niej rękę i powoli podchodząc coraz bliżej.

– Stój, bo strzelam...

Głowa mimowolnie jej opadła, ale natychmiast ją poderwała. Zrobiła to stanowczo zbyt gwałtownie i zobaczyła, jak cały świat wiruje jej przed oczami. Zrobiło jej się niedobrze. Ingibjörg mówił coś do niej, ale jego głos zdawał się przytłumiony.

Wiedziała, że musi działać szybko. Wystarczyłoby, by stary Olsen lekko ją trącił, a padłaby na ziemię i prawdopodobnie już nie wstała. Dołączyłaby do Hallbjørna w tym budynku i Bóg jeden wie, co by się z nimi później stało.

Spróbowała przełknąć ślinę, ale ugrzęzła jej w gardle. Odkaszlnęła, odnosząc wrażenie, jakby spożytkowała na to resztkę sił.

– Dość tego... – powiedziała do siebie.

Uniosła broń i pociągnęła za spust.

Na dźwięk wystrzału Ingibjörg nagle się zatrzymał, a reszta mężczyzn się cofnęła. Katrine wymierzyła w stojącego najbliżej Farera.

– Jeszcze jeden krok... – ostrzegła go słabym głosem.

– Uspokój się. Zaraz zemdlejesz.

Wciągnęła głęboko powietrze nosem. Czowała, że serce bije jej nierówno, kołacze się w piersi jak dzikie zwierzę złapane w sidła.

– Nie ruszaj się, Ingibjörg.

– Posłuchaj...

Opuściła lekko lufę i znów pociągnęła za spust. Kula wbiła się z impetem w ziemię, wzniesając tuman kurzu. Tym razem stary Olsen się wycofał. Dołączył do swoich towarzyszy, patrząc na nią jak na wariatkę.

Dobrze. O taki efekt jej chodziło.

Wraz z poczuciem satysfakcji przyszedł spokój. Katrine miała wrażenie, jakby uczepiła się ostatniego kamienia przed spadnięciem w przepaść. Do tej pory wyslizgiwał jej się spod palców, teraz udało jej się poprawić chwyt. Wciąż znajdowała się w tym samym miejscu, ale sytuacja przynajmniej się nie pogarszała.

Odetchnęła.

– Dziecko! – usłyszała za sobą głos Tórunn.

Staruszka znalazła się przy Katrine, spojrzała najpierw na nią, a potem na mężczyzn stojących w rzędzie przed budynkiem, jakby czekali na egzekucję.

– Dzięki Bogu... Usłyszałam strzały i myślałam, że... – Urwała i potrząsnęła głową. – Nikomu nic się nie stało?

Farerowie się nie odzywali.

– Otwierać drzwi – poleciała Katrine. – Już.

Ingibjörg zastygł w bezruchu, ale pozostali mężczyźni nie mieli tyle rezonu. Dwóch wymieniło się cichymi uwagami, stary Olsen syknął coś pod nosem, a potem czwarty z nich podszedł do drzwi. Otworzył je i zajrzał do środka.

– Wracaj na miejsce – rozkazała Katrine, po czym spojrzała na Tórunn. – A pani niech wyprowadzi siostrzeńca.

Oddychała ciężko, ale wiedziała, że za moment będzie mogła odsapnąć. Odda broń Halowi, on zajmie się resztą. Czym prędzej opuszczą tę wyspę, najprawdopodobniej zabierając ze sobą Tórunn. Niech skończy składać swoje zeznania na komisariacie w Tórshavn, w obecności śledczych i dyktafonu.

Kobieta weszła do niewielkiego, niskiego budynku, który przypominał garaż.

– Jest związany! – krzyknęła.

Ellegaard czekała, aż Tórunn wyprowadzi Hallbjørna z celi, w której spędził kilka ostatnich dni. Nie chciała spuszczać z oka Farerów. Wprawdzie mieli już swoje lata i w normalnych okolicznościach nie musiałyby się ich obawiać, ale teraz stanowili zagrożenie nie mniejsze niż sfora wilków.

Wreszcie Hal wyszedł zza drzwi, wspierając się na staruszce. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Katrine. Zupełnie zignorował mężczyzn zgromadzonych pod ścianą.

– Wszystko w porządku, Hal?

– Trochę zgłodniałem – odparł słabo.

– Odbijesz sobie. Pożyczę ci kilka koron.

Szedł pochylony, powoli, jakby każdy krok kosztował go tyle sił, co przed momentem Katrine. W końcu Tórunn podprowadziła go do niej. Spojrzał jej w oczy i zmusił się do uśmiechu.

– Kiepsko wyglądasz – ocenił.

– Niekoniecznie to chciałam od ciebie usłyszeć.

– To znaczy...

– Tym bardziej że jestem twoją wybawicielką.

Olsen odchrząknął i wyprostował się. Obrócił się do grupy mężczyzn i posłał im surowe spojrzenie. Ingibjörg przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar się zbliżyć, powiedzieć coś, być może zaapelować o to, by nie rozgrzebywali starych, zagojonych ran.

Ostatecznie jednak popatrzył w ziemię.

– To koniec, wujku – odezwał się Hallbjørn. – Koniec waszej zмовы milczenia, koniec bezkarności, koniec...

– Wyrzutów sumienia – dopowiedział Ingibjörg.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Katrine nie odniosła wrażenia, że była w tym wrogość. Raczej próba zrozumienia z jednej strony i wstyd z drugiej. Nie potrzebowali słów, aby wyrazić to, co chcieli.

Ellegaard odeszła nieco dalej i wyjęła telefon. Wybrała numer Nolsøego, a potem poinformowała go, że będą potrzebowali helikoptera w Kirkja. Najszybciej, jak to możliwe.

## 46

### 3 listopada, czwartek, godz. 12.40

Hallbjørn nie miał zamiaru czekać z przekazaniem Katrine wszystkiego, co udało mu się dowiedzieć. Zostawiwszy grupę mężczyzn pod silosem, wraz z Tórunn i Ellegaard przeszli na lądowisko. Znajdowało się niedaleko, co największe znaczenie miało chyba dla Katrine. On sam był osłabiony, ale ona wyglądała jak siedem nieszczęść. Początkowo to jego podtrzymywała Tórunn, ale w pewnym momencie Olsen zasugerował ciotce, by pomogła raczej Ellegaard.

Zatrzymali się przy kolistym miejscu do lądowania, wypatrując maszyny. Sigvald zapewnił, że wyśle ją natychmiast. Sam był w Vestmannie, podobno trafił na niezwykle znaczący trop w domu Hallbjørna.

Olsen nie był zdziwiony, że przetrzepali budynek przy Fjalsvegur. Właściwie powinni zrobić to już kilka dni temu, gdy tylko pojawiło się podejrzenie, że mógł zniknąć nie z własnej woli.

Ale może była to jego wina. Sam zapracował na swoją reputację. Dla innych Farerów zawsze był tym, który znika, zostawia za sobą problemy i nigdy nie stara się ich rozwiązywać. Trudno było winić kogokolwiek, że w tym wypadku ludzie pomyśleli podobnie.

Hallbjørn spojrział w kierunku widocznej w oddali Svínøy. Mgła zdawała się ją oplatać, wisieć nad nią jak grzyb atomowy. Olsen oderwał wzrok od wyspy i popatrzył na Katrine.

– Wszystko okej? – spytał.

– Nie.

– Jeśli potrzebujesz...

– Hal, na Boga... – ucięła. – Wyłumaczysz mi, co się tu dzieje?

– Z wielką chęcią. Od kilku dni czekałem, żeby komuś o tym powiedzieć.

Ellegaard skinęła głową i zerknęła na podtrzymującą ją staruszkę.

– Tórunn mówiła, że śmierć Gunnsteina otworzyła ci oczy.

– Bo tak było. To znaczy nie konkretnie sama śmierć, a raczej jej konsekwencje.

– W jakim sensie?

– Kiedy przypląnałem na wyspę, przekonałem się, że w domu Thorleifssona ktoś mieszka.

– Wiem, jego lekarz. Herálvur Olgarsson.

– Otóż to. Dostał w spadku cały majątek Gunnsteina.

– Bo krył go, czy raczej miał go kryć.

Hallbjørn się uśmiechnął.

– Tak, mnie też przedstawił tę wersję – powiedział. – Ale nie chciało mi się wierzyć w to, żeby z tak błahego powodu stary niepodległościowiec zapisał coś kosmopolitycznemu mieszkańcowi Tórshavn.

– Co?

– Jesteś najlepszym śledczym, jakiego znam, Kat, ale nie jesteś miejscowa.

– To znaczy?

– Gdybyś się tu wychowała, podałaś w wątpliwość taką wolę spadkową. A przynajmniej motywacje, jakie rzekomo przyświecały spadkodawcy. Moim zdaniem to się nie trzymało kupy. Nie było wystarczającego uzasadnienia, dla którego Gunnstein miałby zapisać akurat temu człowiekowi cały swój majątek.

– Dlaczego nie?

– Bo Herálvur kończył medycynę.

– Mhm. Trudno, żeby tego nie zrobił.

– A w tym celu musiał wyjechać do Danii lub innego kraju – ciągnął Olsen. – W oczach takich ludzi jak Thorleifsson to nic innego jak zdrada. W najlepszym przypadku przyczynek do zdrady lub brak miłości do ojczyzny. Tak czy inaczej, nic pożądanego, dlatego Gunnstein potrzebowałby znacznie lepszego powodu, by zapisać wszystko Herálvurowi.

– Jakiego?

– Zastanawiałem się nad tym przez jakiś czas. I wpadłem na jedyne możliwe rozwiązanie.

– To znaczy?

– Herálvur Olgarsson miał dostęp do kostnicy. Ilekroć ktoś na wyspach umiera, trafia do szpitala w Tórshavn, prawda?

– Chyba nie sądzisz...

– Owszem, sądzę, że to właśnie on zabrał piszczel. A potem przekazał ją Gunnsteinowi. Na moment zaległa cisza. Nic jej nie mąciło, nawet wiatr jakby ustał.

– Nie miałem pewności – dodał Hallbjørn po chwili. – Ale teraz ją mam.

– Skąd?

– Powiedzmy, że przedstawiłem wszystkie swoje ustalenia Ingibjörgowi, a on potwierdził je, wsadzając mnie do prowizorycznego aresztu – odparł Olsen, krzywo się uśmiechając. – Kość należała do kobiety, która zmarła z przyczyn naturalnych. Nie miała nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Norwegowi.

Katrine spojrzała na Tórunn. Stara kobieta jeszcze przed momentem sprawiała wrażenie, jakby to ona miała najwięcej sił z nich wszystkich. Teraz jednak się to zmieniło. Zupełnie pobrała, a w jej oczach pojawiła się gorycz, której wcześniej tam nie było. Kiedy zorientowała się, że Ellegaard na nią patrzy, wzięła oddech.

– To prawda – powiedziała. – Herálvur zadbał o to, by szkielet był kompletny...

– Ale...

– Do wszystkiego dojdę – wpadł jej w słowo Hallbjørn. – Jednak punkt wyjścia był kluczowy. Kiedy zrozumiałem, dlaczego Gunnstein zostawił cały majątek temu człowiekowi, zacząłem rozumieć wszystko inne.

– W porządku. A teraz do rzeczy – odparła Katrine. – Po co komu potrzebny był kompletny szkielet?

– Żeby nie rozpoznać Norwega.

– Nie rozumiem.

– Oni wszyscy spodziewali się, że ciało zostanie znalezione znacznie szybciej – oświadczył Olsen. – Że niektórzy będą jeszcze pamiętać człowieka, który stracił nogę.

– Co takiego?

– Nasza ofiara miała amputowaną nogę, Kat. I to na długo przed tym, jak dotarła na



wyspy.

Katrine cały czas skubała dolną wargę w zamyśleniu, ale teraz zaczęła przyciskać ją palcem do zębów. Na Olsena widok ten w jakiś sposób działał kojąco.

– Wiedzieli, że tkanki szybko się rozłożą – kontynuował Hallbjørn. – I przypuszczali, że jak tylko ktoś odkryje szkielet, będzie wiedział, do kogo należał. Nie było na Farojach wielu mężczyzn, którzy chodzili o lasce i mieli nogę amputowaną tuż pod kolanem. Nikt nie sądził, że minie trzydzieści lat, zanim sprawa wyjdzie na jaw.

– No dobrze... więc chcieli utrudnić identyfikację ofiary. Ale dlaczego?

– Bo wystarczyło wiedzieć, o kogo chodzi, by odkryć prawdę.

– To znaczy? Jaką prawdę?

W oddali usłyszeli dźwięk wirnika. Zbliżał się śmigłowiec, ale Hallbjørn był pewien, że zdąży przedstawić Katrine wszystkie swoje ustalenia, zanim wejdą na pokład.

– Okazuje się, że w latach osiemdziesiątych tylko jeden Norweg z amputowaną nogą trafił na Wyspy Owcze – powiedział z uśmiechem Olsen. – Nazywał się Joakim Thomassen. Stracił nogę w wypadku samochodowym w Oslo, w którym zginęła też cała jego rodzina. Joakim doszedł do siebie dość szybko, przynajmniej fizycznie. Psychika potrzebowała jednak wytchnienia.

– Więc przeniósł się na Faroje?

– Początkowo przypłynął tu, żeby obserwować ptaki. To hobby miało odciągnąć jego myśli od tragicznego zdarzenia, wyciszyć go. Ale jak wielu innych, tak i on stwierdził, że to miejsce nadaje się na nowy dom.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Częściowo od Ingibjörga, częściowo od kilku ludzi, do których dzwoniłem, zanim mnie tutaj zamknięto. Pamiętali Joakima, z oczywistych względów, choć nikt nie wiedział, że był Norwegiem. To imię występuje zarówno w Danii, jak i w Finlandii, Szwecji, Norwegii czy na Farojach. Nazwisko też nie sugeruje kogoś z zewnątrz.

– Mniejsza z tym.

– No tak – przyznał Hallbjørn, wypatrując helikoptera. – Joakim kupił tutaj ziemię, zaczął budować dom. Odstawał trochę od reszty mieszkańców Fugloy, czego można było się spodziewać po facecie, który urodził się i spędził całe życie w Oslo.

– Mhm.

– Mogłabyś sądzić, że ciepło go tutaj nie przyjęli, ale byłabyś w błędzie.

Na potwierdzenie jego słów Tórunn skinęła głową. Potem zapatrzyła się gdzieś w dal, jakby starała się przypomnieć sobie naprawdę zamierzchłe czasy. Z perspektywy Olsena takie były, przypuszczał jednak, że dla ciotki tamte wspomnienia wciąż są świeże. Z tego, co mówił mu Ingibjörg, to był dobry czas dla Fugloy. Trwała tu sielanka, przynajmniej do czasu.

– Joakim szybko stał się ulubieńcem tej niewielkiej społeczności. Doceniali to, że się nie wywyższał, mimo że pochodził z wielkiej europejskiej stolicy. Odnosił się do nich z szacunkiem, a poza tym miał pewną pokorę, która cechuje chyba tylko tych, którzy mocno oberwali od życia.

– To prawda – wtrąciła Tórunn. – Był wyjątkowym człowiekiem.

– I podobnego zdania była Rannvá Jákupsdóttir, kiedy go po raz pierwszy spotkała.

– Co takiego?

– Od razu wpadł jej w oko.

– Ale ona jemu nie – dopowiedziała Tórunn. – Przeżywał jeszcze śmierć żony i wszyscy sądziliśmy, że będzie się to za nim ciągnęło aż do śmierci. Że już nigdy nie spojrzy na inną kobietę jak na potencjalną... towarzyszkę życia.

Katrine popatrzyła w stronę podchodzącego do lądowania śmigłowca. Potem przeniosła wzrok na Hallbjørna i ponagliła go ruchem ręki.

– Oboje byli ludźmi z zewnątrz – podjął Olsen. – Ona fotografowała tu dla jakiegoś magazynu, on robił to dla siebie. Interesowały go głównie ptaki, wiedział, gdzie których szukać, znał dobre miejsca do zdjęć. Zaczęli spędzać ze sobą czas.

– Norweg i Rannvá? – spytała skonsternowana Ellegaard. – Ale przecież...

– Ona i Gunnstein byli już kochankami, to prawda – wszedł jej w słowo Hallbjørn. – Zdrada rodzi zdradę. Pierwsza daje przyzwolenie na kolejne.

Przez moment milczeli, słuchając coraz głośniejszego szumu silnika.

– To nie pierwszy raz, kiedy rozwiąłość doprowadziła do tragedii – dodała Tórunn. – Rannvá... Rannvá zawsze była bardzo żywiołowa, energiczna, brała los w swoje ręce, żyła chwilą, chwytając dzień... Stanowiła zupełne przeciwieństwo swojego późniejszego męża.

– I zabiegała o względy naszego Norwega – dopowiedział Olsen. – Tym mocniej, im bardziej dawał jej do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

– Tak było – wtrąciła Tórunn w zamyśleniu.

– Pewnej nocy umówili się na zdjęcia. Prognoza pogody była dobra, mieli fotografować

wschód słońca nad Svínøy. Rannvá zadbała o to, by... cóż, by nie zaschło im w ustach.

– Miała zamiar go upić?

– Nie tylko miała zamiar. Zrobiła to.

Hallbjørn zobaczył w oczach Katrine iskierkę zrozumienia. Przypuszczał, że dalszy scenariusz ułożyła na podstawie tego, czego sama doświadczyła jako śledczy. Czyli na podstawie jego sprawy.

Upojenie, tragiczny wypadek, zatuszowanie śmierci.

Ale nie, w sprawie Norwega było zupełnie inaczej, choć Olsen musiał przyznać, że sam dał się początkowo zwieść własnemu bagażowi doświadczeń.

– W końcu Rannvá dostała to, o co tak gorączkowo zabiegała. Nie muszę ci chyba mówić, że tamtej nocy nie zrobili ani jednego zdjęcia.

– Przespali się ze sobą?

Tórunn i Hallbjørn potaknęli niemal równocześnie.

– Rannvá już kilka dni później straciła zainteresowanie Joakimem, a może nawet wcześniej. Może od razu po tym, jak zdobyła to, o co walczyła, uznała, że nie warto tego dalej ciągnąć.

– Taką była osobą – wyjaśniła staruszka.

Olsen wzruszył ramionami, gdy śmigłowiec siadał na niewielkiej płycie do lądowania.

– Albo każdy jest skonstruowany w podobny sposób – dodał. – Rannvá zdradziła swojego narzeczonego z Gunnsteinem, przekonała się, że świat się nie zawalił i nie grożą jej żadne konsekwencje, więc podświadomie dała sobie przyzwolenie na kolejny wyskok.

– Kamyk, który wywołał lawinę?

– Tak to widzę – odparł Olsen. – W każdym razie było to chwilowe zauroczenie. Uczucie, które wypaliło się, gdy tylko zabrakło potrzeby podboju.

Ellegaard spojrzała na niego spode łba.

– Co? – spytał. – Myślałaś, że tylko faceci są tak prosto skonstruowani?

– Bynajmniej.

– To dobrze. W tej kwestii panuje równouprawnienie.

– Co było dalej? – spytała Katrine. – Gunnstein się dowiedział?

Drzwi helikoptera się odsunęły. Ze środka wyrzał Sigvald Nolsøe, zachęcając ich ruchem ręki, by podeszli. Ruszyli w jego stronę.

– Niestety – powiedział Hallbjørn. – Niełatwo utrzymać tutaj coś takiego w tajemnicy.

– Wściekł się?

– To mało powiedziane – odparł Olsen. – Kiedy tylko sprawa wyszła na jaw, doprowadził do konfrontacji z Rannvą. Wygarnął jej wszystko, pięści poszły w ruch. Był to pierwszy raz, kiedy ją uderzył.

– Ale nie ostatni – dodała Tórunn.

– Co było dalej?

– Chwytał za *sóknarongul* i popędził do domu Joakima. W tamtych czasach Gunnstein utrzymywał się z połowu, jako pierwszy na Fugloy miał też porządny sprzęt do nurkowania, jeśli wiesz, do czego piję...

Podeszli do maszyny, huk wirnika sprawił, że dalsza rozmowa była niemożliwa. Sigvald wychylił się z pokładu i wyciągnął rękę do Katrine. Ta spojrzała pytająco na Tórunn, ale staruszka pokręciła głową i cofnęła się.

Do tej pory Hallbjørn przypuszczał, że ciotka poleci z nimi. Wprawdzie nic jej tutaj nie groziło – tych ludzi nie było stać na odwet w stosunku do niej – ale z pewnością lepiej czułaby się na Streymoy. Przynajmniej przez pewien czas, dopóki emocje nie opadną. Staruszka jednak nie dopuszczała takiej możliwości. Zamachała do nich, a potem się oddaliła.

Na pokładzie założyli słuchawki i mikrofony.

– Nie uwierzycie, co... – zaczął Nolsøe.

– Poczekaj – przerwała mu Ellegaard. – Najpierw muszę dowiedzieć się reszty od Hala.

– Co?

– Nieważne – mruknęła. – Hallbjørn, kontynuuj.

Olsen nabrał tchu. Było coś dziecinnie satysfakcjonującego w tym, że miał pierwszeństwo przed Nolsøem. Męska duma nie pozwalała o sobie zapomnieć nawet w takich sytuacjach.

– Według tego, co powiedział mi Ingibjörg, Gunnstein miał zamiar jedynie mu pogrozić, w najgorszym wypadku przywalić. Sytuacja jednak wymknęła się spod kontroli, a Joakim uwolnił długo skrywane demony. Musisz pamiętać, że po tym, co spotkało go w Olso, to był człowiek... cóż, zniszczony psychicznie.

– Więc według twojego wuja to on sprowokował sytuację.

– Mniej więcej – przyznał Olsen. – Po trzydziestu latach nie dojdiesz już do tego, co konkretnie się zdarzyło. Znamy jedynie sam skutek.

Szarpnęło nimi, kiedy śmigłowiec się poderwał. Zaraz potem przechylił się do przodu i pomknął ponad wodami dzielącymi Viðoy i Fugloy.

– Norweg oberwał hakiem w głowę – dopowiedziała Katrine.

– Zgadza się.

– I co stało się potem?

– Gunnstein wpadł w panikę, od razu pobiegł po pomoc. Tutaj mógł liczyć na każdego, przynajmniej wtedy. Dopiero od tamtego momentu relacje z innymi zaczęły się pogarszać, a on ostatecznie stał się odludkiem.

– Więc pomogli mu?

– Tak. Wszyscy, co do jednego.

Jeśli trzydziestoletnia zmowa milczenia gdziekolwiek była możliwa, to tylko w takim miejscu, jak to. Hallbjørn nie miał wątpliwości, że tajemnicy nie udałoby się utrzymać nawet w Vestmannie czy innym miasteczku. W Kirkja mieszkało jednak tylko kilka rodzin. Właściwie wszyscy byli skoligaceni, stanowili homogeniczną, samowystarczalną i mocno zsolidaryzowaną społeczność.

Olsen nie dziwił się mieszkańcom, że stanęli murem za Gunnsteinem. Gdyby postąpili inaczej, w rezultacie dopuściliby się w ich mniemaniu zdrady. Może nawet gorszej niż sympatyzowanie z Danią.

– Herálvur Olgarsson załatwił tę kość, żeby uniemożliwić identyfikację zwłok. W latach osiemdziesiątych badania DNA były w powijakach, wszyscy byli przekonani, że tym samym zakończyli sprawę.

Katrine milczała.

– Zostawili norweską walutę, a ciało umieścili w zatoce, gdzie płyną prądy z Norwegii.

– To wbrew logice... – odparła.

– Bynajmniej – zaprzeczył Hallbjørn. – Zależało im na tym, żeby po ewentualnym odnalezieniu ciała nikt nie sądził, że to ktoś z Farojów. Chcieli, by wyglądało na to, że prądy morskie przeniosły tutaj ciało.

– Ale ktoś mógłby skojarzyć narodowość z Joakimem. Sam mówiłeś...

– Piszczel wykluczała tę wersję. W końcu facet nie miał nogi. To idealne rozwiązanie, dlatego tak im na tym zależało. I wysupłali niemałą fortunę dla Olgarssona, by to załatwić.

Ellegaard pokiwała w zamyśleniu głową. Musiała zrozumieć, że z ich ówczesnego punktu widzenia nie było innej alternatywy. Nikt nie spodziewał się, że szkielet zostanie

odnaleziony trzydzieści lat później, kiedy technika kryminalistyczna pójdzie tak daleko naprzód. Potrzebowali tylko dwóch rzeczy. Dowodu, że to nie Farer, i dowodu, że to nie Joakim Thomassen.

Jedyne, co musieli zrobić, to przekonać ewentualnych wścibskich, że Norweg wrócił do siebie. Spodziewali się, że prędzej czy później ktoś zainteresuje się jego losem, ale z tego, co mówił Ingibjörg, nikt nigdy nie szukał Joakima na Wyspach Owczych. Być może nikt nawet nie wiedział, że to właśnie tutaj uciekł przed przeszłością.

Katrine długo milczała. Olsen przypuszczał, że Sigvald skorzysta z okazji i przejmie inicjatywę, ale farerski policjant nie odezwał się słowem.

– Trzeba to sprawdzić – oznajmiła w końcu. – Zadzwoń do policji w Oslo, zapytaj o tego człowieka.

– Pewnie – przyznał Hallbjørn. – Ale wiesz dobrze, że to formalność.

Pokiwała głową, sprawiając wrażenie rozczarowanej tym, że *de facto* nie uczestniczyła w rozwiązaniu tej sprawy. Olsena niespecjalnie to dziwiło – tajemnica Norwega była dla niej czymś więcej niż tylko służbowym zadaniem. Tymczasem podczas gdy ona zmagала się z chorobą, on odkrył prawdę. Może przypadkiem, może dzięki intuicji – sposób nie miał wielkiego znaczenia dla słodko-gorzkich odczuć Katrine.

Ellegaard potrząsnęła głową i wbiła w niego wzrok.

– Listy mówiły, że powinieneś o tym pamiętać – zauważyła.

– Tak, bo byłem tutaj w osiemdziesiątym trzecim. Spędzałem na Kirkja wakacje u Ingibjörga i Tórunn.

– I widziałeś coś?

– Wuj twierdzi, że widziałem Norwega na dwa dni przed tym, jak zniknął. Byliśmy u niego w domu, pomagaliśmy mu w jakichś pracach. Zostałem tu później jeszcze przez dwa tygodnie, więc zapewne powinienem odnotować jego zniknięcie. Najwyraźniej jednak moja pamięć jest bardziej zawodna, niż sądził nadawca listów.

– Nadawca, czyli Rannvá Jákupsdóttir.

– Tak.

– Wiedziała, co się stało, wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju – ciągnęła Katrine, marszcząc czoło. – Przynajmniej od pewnego momentu w jej życiu.

– Przypuszczam, że im była starsza, tym trudniej było jej funkcjonować z tym ciężarem.

– A odnalezienie czaszki przepełniło czarę goryczy.

Hallbjørn potwierdził ruchem głowy i zakołysał się na boki, gdy śmigłowcem targnął mocny podmuch wiatru. Katrine wzdrygnęła się, nieprzyzwyczajona do takich warunków.

– Nie była gotowa przyznać otwarcie, co się wydarzyło, więc próbowała mnie naprowadzić na trop.

– Ale jak? Miała swoje lata, a w jej domu próżno szukać drukarki.

Sigvald Nolsøe odchrząknął znacząco do mikrofonu. Oboje zwrócili na niego wzrok.

– Pomagał jej Trygvi Christiansen – oznajmił Sigvald.

– Co takiego? Skąd o tym wiesz?

Nolsøe zgarbił się i westchnął głośno, jakby mierziło go to, że musi cokolwiek tłumaczyć.

– Po powrocie na Streymoy kontynuowałem poszukiwania tego tutaj... – Zawiesił głos i machnął niedbale w kierunku Olsena. – Przeszukaliśmy dokładnie jego dom i znaleźliśmy list od Rannvy Jákupsdóttir.

– Jaki list? – spytał Hallbjørn.

– Ostatni, napisany tuż przed śmiercią. Wyjaśniała w nim wszystko to, o czym, jak mniemam, rozmawiacie.

– Żartujesz? – rzuciła Katrine.

– Nie. Jest w nim wszystko, od momentu pojawienia się Joakima Thomassena na wyspach, aż do momentu, kiedy pisała te słowa.

Hallbjørn i Katrine spojrzeli na siebie i trwali w bezruchu przez dłuższą chwilę.

Kiedy śmigłowiec dolatywał do lądowiska w Tórshavn, Nolsøe zdążył zreferować im treść całego listu. Nie musieli już dzwonić do Oslo, by potwierdzić, że wszystko, czego dowiedział się Olsen, jest prawdą.

Zmowa milczenia przez trzydzieści lat stanowiła monument nie do zniszczenia. Siła woli zżytych ze sobą Farerów była mocniejsza, niż najtwardsza skała, silniejsza niż wyrzuty sumienia i moralność. I jeden grindwal wystarczył, by to wszystko obrócić w pył.

47

**4 listopada, piątek, godz. 7.32**

Hallbjørn odprowadził Katrine aż do stanowiska odprawy. Jej samolot miał wystartować za pół godziny, ale już było wiadomo, że najprawdopodobniej się to nie uda. Wichura nad

Farojami uniemożliwiała zarówno lądowania, jak i starty. Jeden przylot został już odwołany, drugi stał pod znakiem zapytania.

Ellegaard nerwowo patrzyła na rozkład lotów i ich aktualizowany status.

– O której masz zabieg? – zapytał Hallbjørn.

– W południe. Ale w razie czego przesunę.

I tak opuściła ich już więcej, niż powinna, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Liczyło się to, że wyzerowała stan konta. Nie ciążyła już jej świadomość nierozwiązanej sprawy – sprawy, która była jedną z tych mogących latami zalegać w archiwach. Zamknęła ten rozdział z większym poczuciem ulgi, niż się spodziewała.

Początkowo czuła typowy, śledczy niedosyt, właściwy każdemu dochodzeniowcowi, którego ktoś wyręczył w ostatecznym rozwiązaniu zagadki. Szybko jednak uczucie to znikło, a jego miejsce zajęła satysfakcja z dobrze wykonanej roboty.

Spojrzała na Hallbjørna. Stał na wysokości zadania, mimo wszystkich przeciwności losu. Być może on też wyzerował konto? Został niewinny, odbudował swoją reputację wśród Farerów, na powrót był postrzegany na wyspach niemal jako bohater...

Nie, jego przypadek był znacznie trudniejszy. Nie wystarczy rozwikłana zagadka sprzed lat, by to wszystko zatrzeć.

– Daj znać, jak tylko lekarka skończy cię opieprzać i przejdzie do konkretów – odezwał się.

– Nie omieszkam.

– Z drugiej strony i tak wiem, że wszystko będzie w porządku.

Katrine uśmiechnęła się. Byli żołnierze nie należeli do mistrzów w pocieszaniu innych. Zresztą Ellegaard nie była przekonana, czy potrzebuje pocieszenia. Była dobrej myśli. Sądziła, że kilkudniowa przerwa w radioterapii nie doprowadzi do żadnych komplikacji. Nie teraz, kiedy wszystko zaczynało się układać.

Podniosła wzrok na rozkłady lotów. Jej samolot miał tylko niewielkie opóźnienie, najwyraźniej boczny wiatr słabł z każdą chwilą.

– Rozmawiałeś z Ann-Mari?

– Jeszcze nie. Ale mam zamiar to zrobić, jak tylko wrócę do Vestmanny.

– Daj jej trochę czasu. Nie naciskaj.

– Tak jest – odparł i zasalutował.

– Mówię poważnie. To tylko kwestia oswajania się z pewnymi rzeczami. Ta dziewczyna



nie jest głupia, mimo genów od strony ojca.

– Dzięki.

– Doskonale rozumie sytuację i nie da się zmanipulować ani Ernie, ani nikomu innemu.

– Wiem.

Machnęła ręką. Oczywiście, że nie wiedział. W swojej ojcowskiej trosce zakładał, że dziewczyna jest krucha jak wydmuszka, że trzeba ją chronić i nie pozwolić, by ktokolwiek próbował nią sterować. Prawda była jednak taka, że Ann-Mari była silniejsza niż większość osób, które Katrine знаła.

Rozległ się komunikat, by pasażerowie lotu Ellegaard udali się do odprawy paszportowej. Katrine poprawiła torebkę, rozejrzała się, a potem zbliżyła do Olsena. Pocałowała go, a on przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

– Szerokich lotów – powiedział.

– Dzięki – odparła i spojrzała w stronę bramek. – A ty pamiętaj o tym, co mówiłam.

– Będę – zapewnił.

Katrine sama nie była pewna, co miała na myśli. Poradę związaną z Ann-Mari czy to, o czym rozmawiali, kiedy zebrało im się na poważne rozważanie przyszłości? Oznajmiła, że jest gotowa przenieść się z Kopenhagi do Vestmanny, co wprowadziło go w zupełne osłupienie.

Reakcję mogła interpretować dwojako, ale szybko przekonała się, że szok jest pozytywny. To, co działo się później, było po części krępujące, po części wyzwalające. Rikke zapewniała ją, że nie ma żadnych przeciwwskazań co do uprawiania seksu, ale myliła się. Przeciwwskazanie było natury psychicznej – i wymagało niemałego wysiłku z jej strony, by o nim zapomnieć. Musiała przyznać, że Hallbjørn jej w tym pomógł. Gdyby nie był tak zdecydowany, tak bezkompromisowy, zapewne wycofałaby się i żałowałaaby tego przez długie lata.

Zamiast tego jednak odkryła zupełnie nową płaszczyznę w ich relacjach. Płaszczyznę zaufania, wzajemnego szacunku i wyjątkowej bliskości. Mimo przebytej operacji czuła się przy Hallbjørnie, jakby nic się nie zmieniło.

Uśmiechnęła się, a potem ruszyła w kierunku punktu kontroli. Olsen powstrzymał ją, łapiąc za rękę, a potem przyciągnął i pocałował. Ryzykując, że spóźni się do bramki, poddała się uczuciu.

Odchodziła z ciężkim sercem, ale wiedziała, że niebawem wróci. Zostało jej raptem

kilka zabiegów, po których będzie wolna. Z pewnością trochę wysiłku będzie ich kosztowało ułożenie sobie życia w Vestmannie, ale nie miała wątpliwości, że nie będą żałować.

Samolot oderwał się od płyty lotniska w Vágar z niewielkim opóźnieniem. Zaraz potem szarpnęło nim mocno i Katrine przez moment miała wrażenie, jakby siła nośna skrzydeł okazała się niewystarczająca w starciu z podmuchem wiatru. Fotele zaskrzypiały, poszycie samolotu jakby wydało jęk, a zaraz potem nadszedł kolejny podmuch.

Zrobiło jej się gorąco. Czowała, że silniki pracują na pełnej mocy, starając się przewyciężyć siły natury. Wycie zdawało się ogłuszające, znacznie głośniejsze niż zwykle. Chwyciła mocniej za podłokietniki.

Oczami wyobraźni zobaczyła, jak pilot walczy ze sterem, pocąc się przy tym nie mniej niż ona na siedzeniu pasażera. Wiedziała, że to absurdalna wizja. Z jej punktu widzenia wyglądało to niepokojąco, ale w kokpicie zapewne trwały rozmowy na tematy zupełnie niezwiązane z lataniem. Dzień jak co dzień.

Katrine zaczerpnęła tchu i postarała się skupić na czymś innym. Pomyślała o wszystkich tych mieszkańcach w Kirkja, którzy powinni ponieść konsekwencje. Nie usprawiedliwiało ich to, że chronili właściwie jednego z członków wielkiej rodziny.

Problem polegał na tym, że sprawca już nie żył i trudno byłoby pociągnąć kogokolwiek do odpowiedzialności za udział w zabójstwie. Wszystkie inne zarzuty dawno się przedawniły. Na sali sądowej nic nie groziło komukolwiek z Kirkja.

Ellegaard zastanawiała się, czy śledztwo w takim układzie spełniło swoje zadanie. Sam fakt, że zaspokoiło ciekawość dochodzeniowców, wydawał się mało znaczący. Owszem, był ich motorem napędowym, ale czy celem samym w sobie? Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie. Być może nie potrafili tego zrobić śledczy nigdzie na świecie.

W końcu samolot przebił się przez chmury i obrał wysokość przelotową, na której można było liczyć na spokojny lot. Zgasła kontrolka informująca o obowiązku zapięcia pasów, a Katrine odetchnęła.

Jeszcze nie pełną piersią. To zrobi dopiero, gdy otrzyma wyniki badań. Będą dobre, muszą być. Innej możliwości nie zakładała.

## 4 listopada, piątek, godz. 8.14

Tórunn i Ingibjörg jedli śniadanie w milczeniu. Robili to od lat, jakby potrzebowali czasu w ciszy, zanim na dobre się obudzą. Ilekroć któreś z nich wyłamywało się z tej rutyny, drugie było poirytowane. Częściej zdarzało się to Tórunn, ale tym razem to Ingibjörg był tym, który postąpił wbrew zwyczajowi.

– To koniec – powiedział.

Żona spojrzała na jego talerz. Prawie nie ruszył śniadania.

– Zrobiliśmy wszystko, co było trzeba – dodał.

– Tak.

– Wszyscy są przekonani, że to Gunnstein.

– I nie ma już nikogo, kto mógłby zaprzeczyć.

Ingibjörg pokiwał głową w zamyśleniu. Oczywiście teoretycznie było jeszcze wiele osób, które znały prawdę. Wszyscy jednak byli lojalnymi Farerami, z dziada pradziada, nie tymi kosmopolitycznymi śmieciami, które traktowały archipelag jedynie jako miejsce, z którego trzeba uciec.

Gunnstein mógłby zachować się różnie, był roztrzęsiony po śmierci Rannvy. Na szczęście postanowił dołączyć do swojej ukochanej w zaświatach. Gdyby tego nie zrobił, Ingibjörg musiałby zastanowić się nad tym, co z nim począć.

Może znów poprosiłby Olgarssona o interwencję. Tak, jak to zrobił z Rannvą. Jej śmierć nie była naturalna, co do tego siostrzeniec miał rację. Wystarczył odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu w szpitalnej hierarchii, a wszystko dało się załatwić.

Rannvá Jákupsdóttir musiała zostać usunięta. Zaczynała się poddawać, wyrzuty sumienia zwyciężały.

Zanim jednak o to zadbali, zmusili ją, by napisała ostatni list do Hallbjørna. Do Hallbjørna, który nosił w pamięci prawdę. Widział ciało Norwega leżące w kuchni. Widział krew. Doświadczył... nie, dotknął śmierci, był bliżej niej niż jakiegokolwiek dziecko. I wszystko wyparł z pamięci. O wszystkim zapomniał.

Ingibjörg przypuszczał, że trauma była zbyt duża. I być może miała wpływ na to, jak ukształtowała się psychika Hallbjørna. Być może tamto zdarzenie odcisnęło piętno na jego podświadomości i to ono kazało mu wstąpić do wojska. A potem zrobić to, co zrobił tutaj, na Farojach.

Stary Olsen sięgnął po kawę. Siorbnał głośno, ale Tórunn nie zwróciła na to uwagi. Była przyzwyczajona.

– Dziwi mnie, że tak łatwo uwierzyli – odezwała się.

Najwyraźniej tego dnia żadne z nich nie miało ochoty milczeć przy jedzeniu.

– W co konkretnie?

– W to, że Rannvá miała tutaj dwóch kochanków.

– Nie mieli powodu, by w to wątpić.

– Mimo wszystko...

Nie kontynuowali tematu. Nawet po trzydziestu latach był dla Ingibjörga bolesny. Kiedy przedstawiał alternatywną, zmyśloną wersję siostrzeńcowi, otworzyły się stare rany. Sądził, że dawno się zabił, ale tak nie było.

Obawiał się też, że Hallbjørn będzie podejrzliwy, gdy uświadomi sobie, że Ingibjörg nie miał żadnego powodu, by referować mu ze szczegółami wszystko, co wydarzyło się w Kirkja. Ale siostrzeniec przyjął to bezrefleksyjnie. Może naoglądał się zbyt wiele amerykańskich filmów, w których na końcu złoczyńca wszystko tłumaczył.

W tym wypadku złoczyńca jednak nic nie powiedział. Przynajmniej jeśli chodziło o prawdę.

Nikt z obcych nie miał pojęcia, że to Tórunn była kochanką Joakima Thomassena. I nikt nigdy się nie dowie, że to Ingibjörg przyłapał ich na gorącym uczynku. W dodatku w czasie gdy mały Hallbjørn był w domu...

Ingibjörg odsunął od siebie tamte wspomnienia. Nie było sensu roztrząsać przeszłości, którą dawno zostawił za sobą. Wiedział, że jego sekret jest bezpieczny. Jedynym sposobem, by dojść prawdy, było zbadanie narzędzia zbrodni. A *sóknarongul*, którym zabił Norwega, leżał gdzieś na dnie Morza Norweskiego.

Tajemnica znów była bezpieczna. Społeczność zadbała o swoich. Stało się tak, jak powinno być w rodzinie. Pewne rzeczy muszą w niej zostać.

– Dołożyć ci jajecznicę? – zapytała Tórunn.

– Dziękuję, nie jestem głodny.

Ingibjörg ociężale podniósł się z krzesła, a potem przeszedł do pokoju. Wziął jeden ze zbiorów opowiadań Heðina Brú i usiadł w fotelu. Jeszcze tylko przez moment myślał o tym, że ludzie z zewnątrz naprawdę sądzą, że odkryją sekrety drzemiące w małej społeczności. Potem skupił się już wyłącznie na lekturze.



# Przypisy

[1] Elfy w folklorze islandzkim.



# POŁÓW

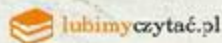
Raz do roku wody wokół Wysp Owczych przybierają krwawy odcień. Mieszkańcy urządzą *grindadráp*, czyli tradycyjny połów grindwali. Jedno z upolowanych zwierząt budzi w Farerach grozę – podczas patroszenia rybacy odkrywają w żołądku ssaka makabryczne znalezisko...

Na wyspę zostaje wezwana z Danii policjantka Katrine Ellegaard, która ma poprowadzić śledztwo w sprawie niepokojącego odkrycia. Tymczasem pojawiają się nowe fakty w sprawie, która wstrząsnęła farerską społecznością w poprzednim roku. Skazany za tamto przestępstwo odwołuje się od wyroku do Sądu Najwyższego.

## Cykl z Wysp Owczych



PATRONAT MEDIALNY



**POCISK**  
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5619-8

EAN 9788327156198

U.WD.KRW065.1.01.01

# Spis treści

## Dedykacja

1. Wtorek, 11 października, godz. 12.40
2. Wtorek, 11 października, godz. 13.01
3. Wtorek, 11 października, godz. 15.24
4. 11 października, wtorek, godz. 18.40
5. 12 października, środa, godz. 8.10
6. 12 października, środa, godz. 19.42
7. 13 października, czwartek, godz. 7.04
8. 13 października, czwartek, godz. 10.15
9. 13 października, czwartek, godz. 13.50
10. 13 października, czwartek, godz. 16.30
11. 14 października, piątek, godz. 14.21
12. 14 października, piątek, godz. 16.04
13. 14 października, piątek, godz. 17.02
14. 15 października, sobota, godz. 0.11
15. 15 października, sobota, godz. 2.15
16. 15 października, sobota, godz. 11.04
17. 15 października, sobota, godz. 14.34
18. 15 października, sobota, godz. 17.15
19. 16 października, niedziela, godz. 12.40
20. 16 października, niedziela, godz. 15.32
21. 16 października, niedziela, godz. 17.08
22. 19 października, środa, godz. 9.15



23. 20 października, czwartek, godz. 11.51
24. 24 października, poniedziałek, godz. 14.51
25. 26 października, środa, godz. 14.52
26. 27 października, czwartek, godz. 19.49
27. 28 października, piątek, godz. 9.11
28. 28 października, piątek, godz. 20.21
29. 29 października, sobota, godz. 9.18
30. 29 października, sobota, godz. 10.22
31. 29 października, sobota, godz. 14.45
32. 29 października, sobota, godz. 16.50
33. 29 października, sobota, godz. 18.00
34. 29 października, sobota, godz. 19.50
35. 29 października, sobota, godz. 20.42
36. 30 października, niedziela, godz. 6.50
37. 30 października, niedziela, godz. 20.25
38. 31 października, poniedziałek, godz. 23.33
39. 1 listopada, wtorek, godz. 15.09
40. 1 listopada, wtorek, godz. 21.27
41. 2 listopada, środa, godz. 14.11
42. 2 listopada, środa, godz. 14.56
43. 2 listopada, środa, godz. 20.38
44. 3 listopada, czwartek, godz. 10.15
45. 3 listopada, czwartek, godz. 11.30
46. 3 listopada, czwartek, godz. 12.40
47. 4 listopada, piątek, godz. 7.32
48. 4 listopada, piątek, godz. 8.14

